

UPADEK CESARSTWA

KRZYSZTOF BARREK

POSŁANIEC



BORGIS

Wydawnictwo z tradycją od 1880 roku

UPADEK CESARSTWA

KRZYSZTOF BARREK

POSŁANIEC



UPADEK CESARSTWA

KRZYSZTOF BARREK

POSŁANIEC



BORGIS

Wydawnictwo z tradycją od 1980 roku

Opieka redakcyjna

Agnieszka Gortat

Redaktor prowadzący

Monika Bronowicz-Hossain

Korekta

Słowa na warsztat, Anna Surendra, Agnieszka Wójtowicz-Zajac, Agata Czaplarska

Opracowanie graficzne i skład

Piotr Dobrzyński, Ewa Zduńczyk, Michał Klekowski

Projekt okładki i mapki

Przemysław Szczepkowski

Copyright © by Krzysztof Barrek 2022

Copyright © by Borgis 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone

Wydanie I

Warszawa 2022

ISBN 978-83-67036-50-4

Wydawca

Borgis Sp. z o.o.

ul. Ekologiczna 8 lok. 103

02-798 Warszawa

wydawnictwo@borgis.pl

www.borgis.pl

www.facebook.com/borgis.wydawnictwo

www.instagram.com/wydawnictwoborgis

Druk: Sowa Sp. z o.o.

Od Autora

Książkę tę dedykuję moim kochanym córkom, Dorocie Barrek i Karolinie Barrek. Napisałem ją z myślą o Was, czekając na dzień, kiedy będę mógł się z Wami zobaczyć.

Kapłani Wieloboga twierdzą, że trwamy w oknie życia zamieszkałym przez ludzkość, otoczonym ze wszech stron Wielką Pustynią. Nasz świat został ukształtowany w ten sposób wieki temu za przyczyną samego Boga Słońce. Kiedy to On postanowił w swej nieskończonej mądrości odizolować od siebie rozumne rasy, nawet jeśli u zarania dziejów żyły razem w harmonii.

Na początku wszystkiego Bóg nappełnił świat samą dobrocią, gdyż jego esencja pochodziła w całości z Jasnego Słońca. Mijały kolejne eony, a życie rozkwitało i miało się dobrze. Mieszkaliśmy wówczas w rajskim ogrodzie i cieszyliśmy się łaską Pana. Tak było do czasu pojawienia się Czarnego Słońca, to jego nadejście skaziło strumień dusz złą esencją. Z biegiem lat ciemnej esencji przybywało, a istoty żywe poddawały się jej wpływom. Rasy, dotąd żyjące w pokoju, zaczęły ze sobą walczyć, a Eden stanął w płomieniach. Wtedy to Wielobóg podzielił świat na enklawy, a zrobił to bynajmniej nie z chęci wymierzenia kary, lecz po to, by nas wszystkich ocalić.



Spis treści

Prolog

Rozdział pierwszy: *Posłaniec*

Rozdział drugi: *Spotkanie*

Rozdział trzeci: *Kenir*

Rozdział czwarty: *Wielki Las*

Rozdział piąty: *Naldis*

Rozdział szósty: *Port Meana*

Rozdział siódmy: *Morska Piana*

Rozdział ósmy: *Port Tamir*

Epilog: *Port Ostia*

Synti

Segal

Prolog

Góry OstSa na kontynencie Rubież, północna granica Wiecznego Cesarstwa

Poranna mgła zdążyła całkowicie opaść, pozostawiając po sobie jedynie perliste kropelki wody na młodej trawie. Pośród strzelistych turni górską dolina budziła się do życia w promieniach wiosennego słońca, które jak co roku przynosiło ocieplenie skulonej z zimna ziemi. Ta usiana świeżą zielenią niecka wżerała się w poszarpany skalisty krajobraz płaskim, szerokim na trzy tysiące kroków klinem. Niczym tętniąca życiem bruzda zbliżniała się z południa na północ. To tu, pod stromym wschodnim zboczem, zaplatał swój warkocz wartki strumień, który w dalszym biegu pęczniał, aby stać się jedną z największych rzek tego kontynentu, zanoszącą swoje jednostajne wołanie daleko na południe, by wpaść w objęcia szerokiej delty i wtulić się w Morze Zmierzchu. Przy skraju urwiska, dwadzieścia kroków nad poziomem lustra wody, stała kobieta w białej luźnej szacie. Nosila koszulę z szerokimi rękawami, a nogawki spodni owinęła ciasno wokół łydek skórzanymi rzemieniami. Jasne włosy spięła w zgrabny kok, zostawiła zaledwie kilka cienkich pasemek po bokach ładnej, delikatnej twarzy. Wyglądała na nie więcej niż czterdzieści lat i miała filigranową budowę ciała. Przybrała pozycję bojową, na ugiętej lewej nodze. W prawej ręce, schowanej za plecami, trzymała halabardę z ostrzem w kształcie półksiężyca, skierowanym w górę. Lewą dłoń wysunęła do przodu, z palcami uniesionymi w niebo. Stała tak zupełnie nieruchoma, z zamkniętymi oczami; czekała, całkowicie skupiona na swoim oddechu.

Na przeciwległym, zachodnim krańcu doliny znajdowało się łagodne zbocze, a na jego wypłaszczonej szczycie stał ubrany w szarą szatę tego samego rodzaju, co kobieta, młody, osiemnastoletni chłopak. Wygolone po bokach włosy koloru ciemny blond związał w skomplikowany warkocz

opadający mu za ramiona. Cały ciężar ciała oparł na wyprostowanej prawej nodze. Lewe kolano unosił wysoko, tak że niemal dotykało tułowia. Trzymał przed sobą włócznię z ostrzem wymierzonym w ziemię. On również pogrążony był w medytacji.

Każde z nich w tym konkretnym momencie przypominało figurę odlaną z pszczelego wosku. W dolinie panował zupełny bezruch, jak gdyby czas celowo zatrzymał się w tym miejscu. Złudzenie namalowanego na płótnie pejzażu psuły jedynie luźne kosmyki włosów kobiety, targane lekkim wiatrem, oraz krystaliczna woda przelewająca się po gładkich kamieniach. Cała reszta stanowiła nieruchome tło uchwycone na płótnie dziejów pędzlem samego stwórcy. Wokół wojownika ustawiono pękate stosy drewna tworzące zamknięty krąg o średnicy dziesięciu kroków. Wewnątrz znajdował się jeszcze jeden, mniejszy stos i to właśnie na nim tlił się nikły, pełgający płomień. Chłodne górskie powietrze niesło ze sobą woń dymu zmieszaną z atmosferą napięcia i wyczekiwania.

Chłopak oddychał głęboko, a jego pierś unosiła się miarowo, wdech przez nos, wydech ustami. Ruch przepony stawał się metronomem napięcia, swoistym wahadłem poddającym hipnozie wybrane emocje. Otworzył oczy koloru akwamarynu i wypowiedział zaklęcie. A wtedy nikły dotąd płomień wystrzelił w górę snopami iskier. Przeskoczył jak ognista wstęga na jeden ze stosów kręgu, ten najbliżej niego. Suche drewno najpierw cicho połknęło ognik, a po chwili cała sterta eksplodowała jasnym blaskiem. Kolejne wstęgi z równą zręcznością przeskakiwały na sąsiadujące stosy, a te momentalnie stawały w płomieniach. Trzy, pięć, siedem – ogień szybko rozszerzał się na boki, dopóki nie zamknął wojownika w gorejącym pierścieniu. Co zaskakujące, on wciąż stał nieporuszony. Wdech nosem, wydech ustami. Płomienie strzeliły wysoko w górę i skupiły się w jednym punkcie nad jego głową, a on sam stał się osią symetrii ognistego stożka. Tkwił w jego centrum niczym maszt namiotu utkanego ze światła. Języki ognia wiły się i gęstniały, nakładały na siebie, spętane w punkcie buzującego gorąca. Z tak skoncentrowanej mocy zrodziła się płonąca perła. Szybko puchła, gęstniała z każdym uderzeniem serca, syciła się blaskiem zupełnie jak ognisty kwiat wystawiony na zbawcze promienie porannego słońca. W parę chwil stosy

wypaliły się doszczętnie, zostawiwszy po sobie jedynie dymiące kopce szarego popiołu. Gorejąca kula, zupełnie jak mała gwiazda, zawisała nieruchomo nad głową chłopaka. Ten zrobił głębszy wdech. Spojrzał spod przymkniętych powiek na przeciwległe wzgórze, a spokojna dotąd twarz zaczęła tężeć w wyrazie skupienia. Był gotowy na to, co miało nadejść. Przyszedł czas, by zaatakować.

– Hai! – Ruszył w dół zbocza z bojowym okrzykiem na ustach, a ognista kula pomknęła za nim, jakby ciągnął ją na niewidzialnej nici. Biegł z całych sił w stronę wojowniczkę w bieli, z prawą dłonią mocno zaciśniętą na drzewcu włóczni.

„Muszę szybko skrócić dystans” – powtarzał w duchu, aby zmusić ciało do wytężonej pracy.

Tymczasem na przeciwległym wzgórzu pozornie nic się nie działo. Dwa uderzenia serca, trzy, cztery, pięć. Kobieta raptownie otworzyła oczy, jej błękitne tęczówki zachłannie objęły sylwetkę młodzieńca. Wypowiedziała zaklęcie, po którym z rzeki wyłoniła się masywna wodna kula i z niewiarygodną wręcz lekkością poczęła wzlatywać w górę. Zaraz za nią pojawiła się druga i trzecia. Całym stadem, lekko jak bańki mydlane, wzniosły się nad wzgórze. Tam w wirującym tańcu zajęły pozycje ponad głową wojowniczkę niczym kryształowe księżycy utkane z jej woli. Nagle bez ostrzeżenia ze wszystkich kul wystrzeliły lodowe groty i obierały za cel nadbiegającego młodzieńca. Było ich sześć, dwadzieścia, pięćdziesiąt, aż w jego stronę pomknął gęsty rój pocisków. Zaatakowany w ten sposób chłopak zatracił się w istic karkołomnych unikach, przy czym za wszelką cenę starał się zejść z linii nadlatujących sopli. Odskok w lewo, potem wślizg za stojący głaz – lodowy grot z trzaskiem rozbił się o skałę tuż obok jego głowy – znowu opętańczy bieg, przewrót w przód i zaraz kolejny unik.

„Jeszcze tylko kilka kroków” – powtarzał w myślach tę samą mantrę.

Wkrótce nawałnica lodowych pocisków była zbyt duża, aby w dalszym ciągu ją ignorować. Wszeptał zaklęcie, a wtedy część energii z wiszącej nad nim gorejącej kuli zamieniła się w utkaną z ognia tarczę, ta zmaterializowała się w powietrzu i zawisała w stałej odległości przed nim. Nadlatujące sopte trafiały w nią z trzaskiem, jakby pochłaniane przez jej strukturę, i znikwały w

obłokach pary. Chłopak wydał rozkaz, miniaturowa gwiazda nad jego głową bluznęła ognistymi pestkami, a te jak na komendę z zawrotną prędkością pomknęły w stronę wojowniczkę. Powietrze pomiędzy walczącymi rozerwał dojmujący świst przelatujących pocisków, ich zastępy mijały się lub spektakularnie zderzały ze sobą w locie, tworząc lodowo-ogniste inferno zniszczenia. Kobieta rzuciła zaklęcie samym ruchem warg, a w rezultacie w powietrzu przed nią zmaterializowała się wodna tarcza, i to w nią z syczącym hukiem uderzyły nadlatujące ogniste strzały. Wojownik biegł ile sił w nogach, aby jak najszybciej zmniejszyć dzielący ich dystans. Musiał zdążyć, zanim wyczerpie się energia ognia. Magiczny ostrzał nie ustawał, a wręcz przeciwnie – miało się wrażenie, że lodowych włóczy przybywało z każdą chwilą.

„Jeszcze tylko kilka kroków” – powtarzał w myślach wciąż te same słowa, za to z narastającą częstotliwością. „Jeszcze tylko ki...”

Nie skończył, gdy woda w strumieniu przed nim zafalowała nienaturalnie, zaczęła się wybrzuszać i formować w smukły kształt, by po chwili z zimnej toni, jak z nocnego koszmaru, wyłoniła się monstrualna wodna kobra. Kreatura wychynęła z rzeki na wysokość dziesięciu kroków, syknęła przeciągle, postawiła groźnie kaptur. Rozdziawiła smukłą paszczę, uzbrojoną w dwa wyjątkowo długie kły jadowe. Transparentne cielsko gada zaczęło więc się na boki jak u prawdziwego węża i wypełzło z rzeki na trawiasty brzeg. Bestia wbiła iluzoryczne ślepie w nadbiegającego wojownika, napięła monstrualne mięśnie, po czym z prawdziwą furią ruszyła prosto na niego.

„Niedobrze, próbuje odciąć mnie od rzeki. Co robić, co robić? Muszę coś wymyślić” – gonitwa własnych rozterek zdawała się go doganiać, mimo że sam gnał, ile sił w nogach. Jednocześnie nie spuszczał wzroku z szarżującego gada, zresztą z wzajemnością. Nie miał na tyle energii, aby walczyć z wężem, tak na dobrą sprawę, to na dalsze działania ofensywne też było jej zdecydowanie za mało. Pod wpływem ostatniej refleksji zupełnie zaprzestał ostrzału i zostawił sobie samą tarczę do osłony. Musiał racjonować energię, do tej pory gorejąca kula nad jego głową zdążyła skurczyć się o połowę, a on nie mógł sobie pozwolić na to aby pozostać bez magicznej osłony. Rozpędzona bestia była coraz bliżej. Trzy uderzenia serca później z tej samej

rzeki wystrzeliły wodne liany, te pomknęły prosto za oddalającym się wężem. Wyglądały niesamowicie, jak utkane ze strumienia macki, do tego poruszały się zdecydowanie szybciej od bestii. Nic więc dziwnego, że to właśnie one jako pierwsze dosięgnęły chłopaka.

„Wszystko albo nic” – pomyślał równie zdesperowany, co nieugięty młodzieniec.

Biegł teraz, zdawałoby się, prosto na rozszalałego węża. A kiedy ten rzucił się na niego do bezpośredniego ataku i rozwarł szeroko monstrualną paszczę, wodne liany u stóp chłopaka zamieniły się w lodowy tor. Wojownik wskoczył na niego ślizgiem, dzięki czemu zaledwie o włos zdołał umknąć przed rozwartą gardzielą węża. Uff, niewiele brakowało, przetarł ręką spocone czoło. Jego gambit się powiódł, co tym bardziej rozwścieczyło nacierającego stwora. Gdy monstrualny wąż zorientował się co zaszło, syknął złowrogo i bez zastanowienia ruszył w pogoń za uciekinierem.

– Za chwilę znajdę się w strefie wspólnej! – wołał podekscytowany chłopak. Mknął po lodowym torze, a ten formował się z wodnej macki tuż przed nim zgodnie z jego wolą. Wąż nie odpuszczał, a wręcz przeciwnie, robił wszystko, by go dogonić, młodzieniec jednak poruszał się zbyt szybko i nieustannie zwiększał dzielący ich dystans. Uderzenie serca później z rzeki wyłonił się wodny orzeł. Miał dziób wielkości człowieka, a on sam dorównywał rozmiarem pierwszej bestii. Magiczny ptak otrzepał się z lodowatej toni, a słabe o tej porze promienie słońca skupiły się w jego wnętrzu, tworząc na ciele stwora całą feerię migotliwych błysków. Wzbiwszy się w powietrze, przeleciał nisko nad ziemią, zatrzepotał transparentnymi skrzydłami, po czym skierował się prosto w stronę wojownika. Nieoczekiwanie minął chłopaka i z wyciągniętymi przed siebie szponami rzucił się na sunącego w dole węża. Bestie zwarły się w morderczej walce, w której cięły, kasały i dziobały siebie nawzajem. Młodzieniec, uwolniwszy się od pogoni, zauważył, że jego ognista tarcza szybko zaczyna się wyczerpywać, a do obrony przed ostrzałem zużył właściwie ostatnią resztkę energii.

– Trzy, dwa, jeden – powiedział, a wtedy gorejąca osłona zniknęła zastąpiona wodną. Podmiana była szybka, niemal natychmiastowa, dzięki czemu nieustająca nawałnica lodowych pocisków nie zdołała go dosięgnąć.

Kobieta na widok sprawnie przeprowadzonego manewru pokiwała głową z uznaniem. Niemal w tej samej chwili ostrzał sopli ustał zupełnie. W odpowiedzi na tak oczywisty gest ze strony rywalki wojownik odwołał wodną tarczę, by wyraźniej widzieć przeciwniczkę na wzgórzu. W chwili, kiedy obydwójce korzystali z energii tej samej rzeki, dalsza walka mentalna nie miała żadnego sensu. Nie minęły trzy uderzenia serca, a zarówno lodowy tor, walczące bestie, jak i lewitujące kule zamieniły się w zwykłą, niegroźną ścianę wody, a gdy ta opadła z chlupotem na ziemię, chłopak zakończył swój spektakularny ślizg, szorując tyłkiem po miękkiej trawie. Podniósł się na równe nogi, poprawił rozchełstane ubranie, zanim ruszył w stronę rywalki. Dla odmiany szedł teraz powoli i łapczywie chwytał powietrze ustami. Udało mu się zmniejszyć dystans na tyle, by odebrać przeciwniczkę przewagę energetyczną, a w związku z tym dalej nie musiał się nigdzie spieszyć. W tym momencie należało przede wszystkim odzyskać siły utracone podczas morderczego biegu. Przeszedł przez strumień suchą stopą, skacząc po wyslizganych kamieniach, zanim zdecydowanym krokiem ruszył w stronę skalnych schodów. Wspinaczka na górę nie trwała długo, szczególnie że szedł dziarsko, po granitowych stopniach, przy każdym kroku podpierając się drzewcem włóczni. Kiedy dotarł na szczyt, rozejrzał się wokół uważnie, a następnie w pełnym skupieniu, skierował się w stronę kobiety w bieli. Przecież właściwa walka miała się dopiero rozpocząć. Dystans pomiędzy nimi był zbyt mały, by którekolwiek mogło sterować energią. Dlatego pozostał im wyłącznie klasyczny pojedynek z bronią. Chłopak podszedł do przeciwniczki, chwycił włócznię mocno obiema rękami i od razu bez wahania rzucił się do ataku.

– Hai! – Wyskoczył w górę, skąd uderzył szybkim cięciem znad głowy. Kobieta zrobiła krok do przodu i jednocześnie wyciągnęła halabardę zza pleców. Sparowała cios tuż nad swoją głową, a drzewce obu broni starły się z głośnym chrzęstem.

„Nie mogę popełnić żadnego błędu, jeżeli mam ją pokonać” – pomyślał, całkowicie skupiony na nowym zadaniu.

Kobieta zrobiła wykrok w prawo, trzymając broń obiema rękami. Mocnym, zdecydowanym ruchem wyprowadziła krótkie cięcie halabardą na

wysokości jego barku. Chłopak w samą porę zastawił się włócznią, jednocześnie przesunął ciężar ciała tak, by stanąć na tylnej nodze. Drzewce obu broni starły się ponownie. Bez zastanowienia zrobił wypad w przód. Grot włóczni powędrował w górę. Ruch był tak szybki, że broń wygięła się w łuk niczym trzciniowa witka.

– Hai! – Stalowa śmierć ze świstem powietrza wystrzeliła w pierś kobiety. Wojownik postawił wolną nogę na ziemi, dzięki czemu uzyskał dodatkowy impet. Wyprostował lewą rękę, a prawą zaczął dokręcać tył włóczni do wysuniętego ramienia, co zwiększyło siłę ataku. Uderzenie było mocne i precyzyjne, lecz kobieta zdołała zastawić się halabardą, czym zablokowała śmiertelne pchnięcie. Zrobiła krok do przodu, tym samym skróciła dystans do przeciwnika.

– Śa! – Zaatakowała szybkim kopnięciem prawą nogą. Wycelowała prosto w twarz chłopaka. On zareagował błyskawicznie, uchylił się wężowym ruchem w tył, tak że jej stopa trafiła w pustkę, gdzie cięła jedynie samo powietrze. – Śa! – Kopnęła ponownie. Wybiła się mocno w górę z obu nóg i uderzyła najpierw jedną, a potem drugą nogą z półobrotu. To szybkie podwójne kopnięcie zaskoczyło chłopaka, który, by uniknąć trafienia, wygiął się do tyłu w łuk tak mocno, że zdołał obie ręce postawić na ziemi. Noga wojowniczkii pruć powietrze z wizgiem tuż nad umykającym młodzieńcem, kiedy on energicznie wybił się nogami do tyłu i wykonał spektakularny obrót za siebie. Wylądował na lekko ugiętych nogach trzy kroki od niej. Ponownie stali naprzeciw siebie gotowi do dalszej walki. Przez chwilę nic się nie działo, kiedy oboje uważnie mierzyli się wzrokiem. Kobieta trzymała halabardę w prawej dłoni, ostrzem skierowanym w dół na zewnątrz. Wdech, wydech, wdech. Chłopak zerwał się do kolejnego ataku.

– Haj! Haj! Haj! – Zaczął zadawać szybkie pchnięcia włócznią. Wojowniczka jednak nie uniosła broni do bloku, zamiast tego uchylała się zwinnie na boki, jak smuga dymu targana zmiennym wiatrem. Włócznia miarowo cięła powietrze wokół ramion dziewczyny, lecz samo ostrze raz za razem omijało ją, przelatując zaledwie o włos od celu. Dlatego pomimo całej zjadłości ataku wyszła z niego bez szwanku. Co więcej, zdołała jednocześnie zmniejszyć dystans, jaki dzielił ją od przeciwnika, w tym celu

robiła niemal niezauważalne kroczyki w przód podczas uników. Wyglądało to jak taniec, za którym ludzkie oko z ledwością mogło nadążyć.

„Muszę ją czymś zaskoczyć” – pomyślał, nerwowo mrużąc oczy w skupieniu. Kopnął nisko, wycelował w wysunięte do przodu udo wojowniczkii. Ta zablokowała cios uniesieniem kolana do góry w taki sposób, że jego noga niegroźnie ześliznęła się po bloku. Chłopak powtórzył kopnięcie tą samą nogą, ale tym razem zamierzył się piętą w jej głowę. Kobieta uchyliła się minimalnie, jednocześnie skontrowała uderzeniem otwartą dłońią lewej ręki. Jej przedramię wystrzeliło z szybkością atakującego węża prosto w brodę chłopaka. W tym właśnie momencie rozległ się stłumiony, metaliczny dźwięk. Usłyszeli znajome bicie dzwonu z klasztornej wieży i oboje natychmiast przerwali walkę. Chłopak zrobił dwa kroki do tyłu i z włócznią ułożoną wzdłuż ciała stanął wyprostowany przed kobietą, skłonił się przed nią z szacunkiem. Wojowniczka odpowiedziała mu w identyczny sposób. Walka była skończona, najwyższa pora wracać do klasztoru.

Szli obok siebie równym, miarowym krokiem wąską ścieżką, kołyszącą się leniwie na boki, w równie powykręcany sposób jak płynąca nieopodal rzeka opadająca granitowymi kaskadami gdzieś na południe. A gdy zielona dolina zniknęła za ich plecami, kobieta odezwała się do niego z uznaniem:

- Dobra walka, Nidro.
- Dziękuję, mistrzyni – odparł, a kąciaki ust uniosły mu się lekko.
- Widzę, że już cię nie oduczę tych twoich ryzykanckich ślizgów? – Spojrzała na niego z mieszaniną wyrzutu i rozbawienia.
- Raczej nie. – Wyszczrzył białe zęby w łobuzerskim uśmiechu.
- Twój sposób walki przypomina mi Salomona.
- Znałaś Salomona, dowódcę armii inwazyjnej na Kontynencie Wolnych Ludzi? – Chłopak przystanął zaskoczony, na chwilę gubiąc krok.

– Tak, brałam udział w tej kampanii od samego początku. Byłam w twoim wieku, gdy trafiłam na wojnę, niemal od razu po szkoleniu w klasztorze – mówiła bez nadmiernego entuzjazmu w głosie. Na chłopaku jednak jej słowa zrobiły piorunujące wrażenie. Ziki jak dotąd nigdy nie opowiadała mu o swojej służbie w armii, co tym bardziej wzmagало jego zainteresowanie.

– Walczyłaś pod Guadaran? – zapytał, z trudem kryjąc niepohamowaną ciekawość.

Kobieta szła przez chwilę w milczeniu, wreszcie potwierdziła skinieniem głowy.

– Dlaczego twierdzisz, że przypominam Salomona? – Spróbował pociągnąć ją za język z innej strony.

– On też był wielkim ryzykantem. Osiągał wprawdzie spektakularne zwycięstwa, ale musisz zrozumieć, że czasem granica pomiędzy wielkim zwycięstwem a sromotną klęską jest naprawdę niewielka.

– Ale przecież Guadaran była wielkim sukcesem armii cesarskiej. Ta bitwa przeszła do historii jako rozstrzygające starcie podczas początkowej fazy kampanii. Temu nie możesz zaprzeczyć. – Głos chłopaka podniósł się o ton na skutek silnych emocji.

– Pod Guadaran dowodziłam trzema kohortami w dziesiątym legionie – powiedziała ze wzrokiem utkwionym gdzieś w dal. – Jak mówiłam, to był sam początek mojej służby w armii, a ja miałam wówczas niewielkie doświadczenie bojowe. Salomon koniecznie chciał podjąć bitwę, mimo że wszyscy jego doradcy stanowczo się temu sprzeciwiali. Libertyni stali po drugiej stronie rzeki, a było ich co najmniej pięćdziesiąt tysięcy. To była największa armia, jaką udało im się zebrać w całej nowożytnej historii. Salomon miał pod sobą ponad osiemdziesiąt tysięcy doborowych żołnierzy, dysponowaliśmy więc sporą przewagą liczebną.

– Jednak oni mieli nad wami przewagę energetyczną, prawda?

– Tak, i to zdecydowaną. Podczas tej jednej bitwy mój legion skurczył się z dziesięciu tysięcy do niecałych sześciu. Szala zwycięstwa wielokrotnie przechylała się to w jedną, to w drugą stronę. W końcu udało nam się wygrać, a cała kampania nabrała tempa. Jednak każdy, kto wie, jak blisko tego dnia byliśmy klęski, powie ci, że osiemdziesięciotysięczna armia mogła całkowicie przestać istnieć tylko dlatego, że nasz wspaniały dowódca nie chciał się uganiać po lasach za wrogiem i wolał wszystko rozstrzygnąć w jednym decydującym starciu.

– Czy dlatego poprosiłaś o przeniesienie do klasztoru?

– Między innymi – odparła niechętnie po chwili namysłu. – Byłam zmęczona tą całą wojną. Wciąż oblegaliśmy twierdzę za twierdzą i miasto za miastem, a ta kampania nigdy nie chciała się skończyć. Uwierz mi, że przez dziesięć lat zdążyłam się nawalczyć i doszłam do wniosku, że takie życie nie jest dla mnie. – Urwała na chwilę, jakby musiała zebrać się w sobie. – Najgorzej jest – powiedziała po przerwie – kiedy zżyjesz się z oddziałem i patrzysz każdego dnia, jak twoi ludzie umierają jeden po drugim. Podczas tej jednej bitwy dowodzony przeze mnie oddział skurczył się z trzech tysięcy do zaledwie jednego. Straciłam dwie pełne kohorty, z którymi walczyłam ramię w ramię od pamiętnego desantu w Saruni. To wielkie zwycięstwo Cesarstwa stało się moją osobistą klęską.

Chłopak milczał, całkowicie pochłonięty opowiadaniem mistrzyni. Akurat tego dnia, po raz pierwszy, Ziki otworzyła się przed nim.

– Niedługo zrozumiesz, o czym mówię – spojrzała na niego smutno – kiedy sam zostaniesz dowódcą oddziału. Przekonasz się, że czasem łatwiej jest w pojedynkę zaatakować wodnego węża, niż wyznaczyć kandydatów do misji zwiadowczej.

Kobieta delikatnie położyła mu rękę na ramieniu, a wyraz troski zniknął z jej twarzy, jakby nigdy go tam nie było. Dalej szli w zupełnej ciszy, pogrążeni we własnych myślach. W dole zamajaczyły im klasztorne mury. Nidro musiał mrużyć oczy, kiedy zerkał w kierunku kamiennej budowli. Zakrył twarz ręką, by osłonić się przed oślepiającym słońcem. Zeszli po zachodniej grani skalistego zbocza, jak po plecach garbatego olbrzyma od zarania dziejów pochyłonych dokładnie na wschód.

Rozdział pierwszy

Posłaniec

W życiu spotkasz wielu ludzi, którzy dadzą ci to wszystko, czego tak bardzo nie potrzebujesz. Natomiast zaledwie kilka osób odda ci samych siebie. – Łombat z Tarnau, filozof, grajek

Klasztor Jasnego Cienia był kanciąstą dwukondygnacyjną kamienną budowlą, w kształcie zbliżoną do sześcienną kostki. W środku kompleksu, pomiędzy zabudowaniami, mieścił się plac do ćwiczeń. Do wnętrza prowadziła kamienna brama, opatrzona ciężką, drewnianą furtą. Nad samym wejściem wznosiła się strzelista wieża i to właśnie jej dzwon spiżowym głosem ustalał porządek każdego dnia. Dwójka magów wkroczyła na plac, gdzie oczekiwał na ich przybycie leciwy starzec odziany w granatową powłóczystą szatę.

– Dobrze, że już jesteście. – Przywołał ich do siebie zamaszystym gestem i poprowadził za sobą do środka budynku. Był niski, szczupły, wyglądał na kogoś grubo po siedemdziesiątce. Poruszał się jednak nadzwyczaj żwawo, zupełnie jak mężczyzna w sile wieku. Na wygolonej po bokach głowie skrzyły się długie białe włosy, a gęstą jak runo brodę upłócił w drobne kędziorki. Przeszli pojedynczo przez drewniane drzwi rozsuwane na boki do przestronnej, choć ascetycznie urządzonej kamiennej sali okolonej białymi kolumnami. Pośrodku pomieszczenia, na czarnej podłodze, stał niski drewniany stół. Starzec usiadł za nim ze skrzyżowanymi nogami na czerwonej poduszce. Pokazał gestem pozostałym, aby zajęli miejsca naprzeciw niego. Oparł łokcie na kolanach, splótł ze sobą chude palce i oznajmił uroczystym tonem:

– Chłopak jest gotowy do służby w armii, w zasadzie kilka miesięcy temu ktoś powinien przybyć po niego ze stolicy. Taka jest tradycja, że adept

kończy szkolenie w wieku osiemnastu lat. Problem w tym, że Nidro osiemnaste urodziny obchodził pięć miesięcy temu i jak dotąd nikt się po niego nie zgłosił. Coś takiego nie zdarzyło się jeszcze nigdy, a przynajmniej nie za moich czasów. Choć, jak sami dobrze wiecie, trochę już przeżyłem na tym łez padole. – Policzki mu się uniosły nieznacznie w parodii uśmiechu, co powiększyło szerokie zmarszczki pod oczami starca. – Od jakiegoś czasu nie dostajemy żadnych nowych wieści. Nie wiemy też, co dzieje się na zewnątrz, a to według mnie nie może oznaczać niczego dobrego. – Tu wymownie zawiesił głos i pozwolił wybrzmieć swoim słowom do końca. – Doszedłem do wniosku, że jeśli Cesarstwo jest w niebezpieczeństwie, a nie mogę przecież wykluczać takiej ewentualności, będą potrzebować każdego bojowego maga, który ukończył szkolenie. Dlatego postanowiłem zmienić nieco dotychczasową doktrynę i wysłać Nidro samego do stolicy. Od razu mówię, że to wyłącznie moja decyzja i biorę za nią pełną odpowiedzialność.

– Kiedy mam ruszać? – spytał Nidro, prostując się na macie.

– Ruszysz jutro z samego rana. Ale pamiętaj – przestrzegł go starzec – żeby nikomu nie rzucać się w oczy po drodze, a przynajmniej do momentu, zanim nie dotrzesz do Wybrzeża Końca Świata. Jak sami dobrze wiecie, lokalizacja klasztoru utrzymywana jest w ścisłej tajemnicy i nie wolno jej nikomu wyjawiać pod karą śmierci. Pamiętaj, chłopcze, że bezpieczeństwo tego miejsca, a co za tym idzie i całego Cesarstwa, znajdzie się w twoich rękach. Podczas wędrówki postępuj rozważnie i staraj się unikać kłopotów. Zrozumiałeś mnie, Nidro?

– Tak jest, Ligurze – odpowiedział bez wahania z nieskrywanym entuzjazmem młodzieniec.

– A więc postanowione – stwierdził starzec, jednocześnie podrapał się po długiej białej brodzie. – W takim razie nie zatrzymuję cię z nami dłużej. Idź lepiej szykować się do drogi, bo nie masz za wiele czasu na przygotowania.

Chłopak zaczął podnosić się z miejsca, kiedy Ligur nieoczekiwanie zwrócił się do niego, czym na powrót przykuł go do maty.

– Aaa, i jeszcze jedno. Skoro idziesz do Tarnau, dostaniesz ode mnie dwa listy. Jeden dla ciebie, ten możesz pokazać cesarskim żołnierzom i urzędnikom państwowym w razie potrzeby, zapewni ci wikt i opierunek

oraz wszelką możliwą pomoc po drodze. Drugi przekażesz bezpośrednio Konsulowi, gdy dotrzesz na miejsce. Jednak pamiętaj, że dopóki nie opuścisz kontynentu, nie wolno ci mówić nikomu, że jesteś bojowym magiem.

– To co w takim razie mam mówić? – spytał zdezorientowany chłopak.

– Powiedz, że jesteś... – Ligur zastanowił się nad odpowiedzią, cmoknął kilka razy ustami – ...posłańcem! Tak, to będzie dobre. Mów wszystkim, że jesteś cesarskim posłańcem. W końcu dostaniesz ode mnie list dla Konsula, więc łatwo wczujesz się w rolę. – Starzec wyraźnie ucieszył się z tak zręcznego rozwiązania tego jakże palącego problemu. – Zrozumiałeś wszystko, chłopcze?

– Tak jest, Saru!

– To uciekaj stąd, ja i Ziki chcemy jeszcze porozmawiać na osobności. Będzie mi ciebie brakowało, dzieciaku.

Chłopak, przekraczając próg, usłyszał jeszcze wołanie Ligura:

– Spraw się dobrze, jesteś najlepszym bojowym magiem, jakiego miałem okazję szkolić!

– Dziękuję, Ligurze – odpowiedział przez ramię, zanim wyszedł na zewnątrz.

– Idź już, idź, teraz sam będziesz musiał o siebie zadbać. – Starzec westchnął przeciągle, jakby razem z powietrzem wypuszczał z siebie niewidzialne okrucieństwa smutku.

Po nieoczekiwanym spotkaniu Nidro rzucił się biegiem do swego pokoju. Wciąż oszołomiony wspaniałymi wieściami wpadł do środka jak lis do kurnika i zaczął szykować rzeczy na wyjazd.

– Najpierw leki – napomniął samego siebie. Wyjął z szafki płócienny rulon i rozwinął go płasko na łóżku. Była to prostokątna torba pełna licznych kieszonek i przegródek, do których skrupulatnie zaczął upychać różne rośliny.

– Liście na powstrzymanie krwawienia są – powtarzał na głos, uzupełniając torbę. – Zioła na trucizny i jady są.

Wsadził kolejny zwitek do odpowiedniej kieszonki – ciasteczka z suszu na obrażenia wewnętrzne. Pakował rośliny do torby, a ta zaczęła pęcznieć w oczach. Kiedy skończył, zwinął ją z powrotem w rulon, jednak ten był

teraz znacznie grubszy niż przedtem. Związał go mocno sznurkiem, by się przypadkiem nie rozwinął, i z zadowoleniem odłożył na bok.

– No dobra, to teraz placki – powiedział z rezygnacją w głosie, kiedy schodził po schodach do kuchni. Wkroczył do pustego przestronnego pomieszczenia i skierował się prosto do kamiennego stołu. Z płóciennego worka wysypał na blat brązową górę mąki. Krytycznie zlustrował spiczasty kopczyk, po czym zdecydowanym ruchem dosypał do niego jeszcze raz tyle samo proszku. Wszystko przyprawił solą, pieprzem i czerwoną papryką, następnie wylał wodę z miski w sam środek mącznej góry. Na koniec z miną skazańca wsadził obie ręce w mąkę i zamieszawszy kilka razy, zaczął jednostajnie rozgniatać ciasto w dłoniach, stale dolewając przy tym wody, aż uformował jednolitą, lepką masę.

– Cześć, Nidro. – Usłyszał za sobą melodyjny dziewczęcy głos.

– Cześć, Dara – odparł machinalnie, nie przerywając pracy.

– Co robisz? – dopytywała dziewczynka rozparta w progu wejścia za jego plecami. Była ośmioletnią, szczupłą i bardzo gibką osobką o miłym usposobieniu. Miała na sobie żółtą szatę klasztorного ucznia. Jej długie włosy obcięte krótko nad czołem miały barwę przypominającą sierść zająca. Nidro odchylił się na bok, tym samym odsłonił jej wielką piłkę ciasta przed sobą.

– Bo wiesz... – ciągnęła dalej dziewczynka, owijając cienki kosmyk włosów wokół palców: – Słyszałam, że jutro wyjeżdżasz, i tak sobie pomyślałam, czy nie poszedłbyś ze mną ostatni raz na sanki?

„Chyba właśnie zwerbowałam ochotnika do plackowych wypieków” – pomyślał uradowany chłopak. Wciąż zachowywał jednak kamienny wyraz twarzy, by nie dać niczego po sobie poznać.

– Wiesz, Dara – odparł od niechcienia. – Chętnie poszedłbym z tobą na sanki, ale sama widzisz, ile mam dzisiaj roboty z tymi plackami. – Wskazał na lepkie ciasto rozsmarowane na stole.

Dziewczynka z poważną miną zastanawiała się nad problemem, gdy jej twarz pojaśniała nagle.

– Mam pomysł! – zawołała z dziecięcym entuzjazmem. – Jak pójdziesz ze mną na sanki, to ja upiekę ci te placki, zaraz jak wrócimy do klasztoru. Co ty

na to?

– Wiesz, trochę będzie tego. – Ponownie pokazał na zbitą masę ciasta.

– To nic. – Dziewczynka machnęła ręką w powietrzu. – Ja i tak mam dzisiaj ćwiczyć z ogniem, więc mogę piec placki podczas odrabiania lekcji.

„Jestem w czepku urodzony” – pomyślał uradowany chłopak, po czym przykrył ciasto cienką szmatką, by nie wyschło do ich powrotu.

– No to idziemy – oznajmił z mieszaniną ulgi i zadowolenia w głosie.

– Hura! – Dara podskakiwała w miejscu z uniesionymi rękami, co często robiła w geście zwycięstwa. Podbiegła do Nidro, aby go mocno objąć. Chwilę później oboje opuścili klasztor i udali się na drogę prowadzącą do Wielkiego Wodospadu.

Dara usiadła na przedzie masywnych drewnianych sań z miną wyrażającą zachwyt, za nią miejsce zajął Nidro, oparty plecami o szeroką poręcz. Kiedy chłopak wypowiedział zaklęcie, z rzeki w ich kierunku wystrzeliły wodne liny, te obwijały się dokładnie wokół ich sylwetek, by za pomocą skomplikowanych węzłów połączyć się z saniami i przycisnąć obydwój do siedzeń. Znajdowali się na szczycie Wielkiego Wodospadu, skąd długi wodny język z hukiem opadał w dół, gdzie lizał gładkie, wyslizgane skały dobre dwieście kroków pod nimi, rozłożywszy swój spieniony tren na dnie wąskiego jaru.

– Gotowa?

– Tak! – wykrzyczała podekscytowana dziewczynka i mocno zacisnęła drobne pięści.

Wtedy z wnętrza wodospadu wychynęła wodna macka, rozwinęła się przed nimi jak dywan i z łatwością wpełzła pod sanie. Te uniosły się minimalnie i zaczęły powoli, lecz nieubłagane zjeżdżać w stronę urwiska. Na skraju przepaści pojazd przechylił się, wtedy też wpadł w otchłań i runął pionowo w dół. Odwrócona perspektywa sprawiła, że dno jaru wyszczerzyło ostre zęby dokładnie na wprost nich, wodny szal falował obok i otaczał ich zimną mgiełką miniaturowych kropli wody.

– Łaaa! – krzyczała podekscytowana dziewczynka, gdy podmuch powietrza pociągnął jej włosy do tyłu. Skały przed nimi zaczęły momentalnie rosnąć, aż nabrały złowrogiej ostrości. Dara uniosła obie ręce

do góry, czuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła. Wtedy tuż przed nimi uformował się wodny tor, a sanki wsunęły się w niego niczym zgrabna dłoń w wygodną rękawiczkę. Zarzuciło nimi w bok, kiedy sanki wykonały karkołomny skręt do góry i w prawo. Ledwo wyszli z leniwego łuku, gdy wodny tor przed nimi uformował się w monstrualną pętlę. Dziewczynka zobaczyła, co się dzieje, i od razu zaczęła bić brawo, przecież pętla była jej ulubioną atrakcją. Nidro doskonale o tym wiedział, dlatego za pierwszą pętlą powstała druga i trzecia. Wyglądało to, jakby ktoś niewidzialny szedł przed nimi, kreśląc kręgi w powietrzu kryształową wstęgą. Poruszali się po torze w kształcie spiralnej sprężyny lewitującej w powietrzu. Tuż za nimi magiczna kreacja znikała w wodospadzie, jakby wymazana niewidzialną gumką. Tak oto poruszani po nierealnej spirali zbliżyli się ponownie do skalnej ściany. A wtedy ich tor bez ostrzeżenia skierował się niemal pionowo w dół. Pomknęli nim, przez co oddalili się od iluzorycznej pętli prosto do paszczy monstrualnej smoczej głowy, z jej nosa wydobywała się gęsta para. Dziewczynka ponownie zaczęła pisać z radości. Smok wyglądał jak prawdziwy, w dodatku poruszał szczęką, sprawiało to wrażenie, jakby przeżuwał tor przed nimi niczym długi makaron. Przemknęli tuż pod opadającymi kłami bestii, zanim te zacisnęły się za nimi z trzaskiem. Wpadli ze świstem powietrza prosto do gardzieli potwora, a ta przywitała ich długim, krętym tunelem, pozawijanym cudacznie we wszystkie strony, przez co ich sanki były raz na ścianie bocznej, to znów na górze, a poza tym pędziły do przodu jak szalone. W końcu wypadli na zewnątrz, dokładnie na wprost wodospadu. Tam tor ponownie zaczął wirować, tym razem jednak robił to wokół kaskady wody opadającej do jaru. Wykonywali ciasny obrót za obrotem, gdy poruszali się po wodnej spirali. Kręcili się na niej tak długo, aż pojawili się z powrotem na samej górze. Sanki zaczęły zwalniać, wkrótce całkowicie zatrzymały się na skalnej grani, dotarli więc na to samo miejsce, skąd zaczynali zabawę. Trzymające ich liny puściły i natychmiast wróciły do rzeki. Dziewczynka zeszła z sanek uśmiechnięta od ucha do ucha i zaczęła podskakiwać w miejscu z uniesionymi rękami.

– Tak! Tak! Tak! – Klaskała uradowana. – Także smok był dzisiaj, i rura! – mówiła szybko jak nakręcona zabawka wystawiona do tęczowego wyścigu. –

Szkoda, że wyjeżdżasz. Ja nie umiem jeszcze zrobić czegoś takiego – dodała i ułożyła usta w podkówkę. Po chwili jej twarz ponownie się rozpromieniła. – Pokazać ci, co ja potrafię? – zawołała do niego przymilnie.

– No pewnie. – Nidro zachęcił ją skinieniem głowy.

Dziewczynka zaczęła z przejęciem intonować zaklęcie, a wtedy z rzeki przed nimi wynurzyła się krystalicznie czysta kolumna wody, wysoka na trzy kroki w górę. Czoło dziewczynki zmarszczyło się wyraźnie.

– Dobra robota – pochwalił ją Nidro.

– To jeszcze nic – odparła, oddychając ciężko. – Zobacz na to.

Kolumna wody przesunęła się kilka kroków w lewo, potem w prawo, by na końcu całkowicie zniknąć w rzece. Nidro zaczął bić brawo.

– No proszę, widzę, że robisz spore postępy.

Dziewczynka, nakarmiona pochlebstwami, pękała z dumy.

– Za kilka lat sama będziesz chodzić na sanki – pocieszał ją, gdy wracali do klasztoru tą samą drogą. Po powrocie Dara, tak jak obiecała, zaczęła wypiekać placki dla przyjaciela i przy okazji uczyła się sterować płomieniem. Stała w kuchni przed otwartym piecem, w czasie gdy długi język ognia wyłaził z jego brzucha. Wisiał w powietrzu przez dwa uderzenia serca, po czym ponownie wracał do środka, gdzie buchał na wszystkie strony ciepłym żarem. Nidro wciąż nie mógł uwierzyć we własne szczęście. Zwolniony z kulinarnych obowiązków poszedł przygotować lotnię na czekającą go jutro wyprawę. Teraz, kiedy zwerbował sobie pomocnika, nie musiał się nigdzie spieszyć.

Tej nocy młody mag miał problem z zaśnięciem, wiercił się na łóżku niespokojnie. Owładnięty marzeniami, starał się zbudować w skołatanej głowie ostateczny plan podróży.

„Zobaczmy, jak daleko uda mi się dolecieć tą lotnią” – myślał wpatrzony w sufit sypialni. – „Wreszcie jadę do Tarnau, i to sam, kto by pomyślał. Będę musiał przejść przez cały kontynent Rubież. Przejść, a nie siedzieć przez cały czas na pokładzie łodzi latającej. Bo tak zapewne by to wyglądało, gdyby odebrali mnie z klasztoru żołnierze. Ale mi się udało. I sam sobie mogę wyznaczyć trasę wędrówki. Co prawda, nie ma tu za dużo opcji do wyboru, ale zawsze to coś. Za trzy dni powinienem być w Kenir, no i tu mogę sobie

«zdecydować», czy chcę obejść Wielki Las od zachodu przez Nair, czy raczej od wschodu przez Atolu. Potem jest w zasadzie prosta droga przez Tewu, aż do Meana. Tak, koniecznie muszę wyruszyć z Meana, ktoś mi kiedyś powiedział, że to najładniejsze miasto na kontynencie. A poza tym tędy będzie najbliżej. Dalej podróż przez Ocean Snów. Tu zostaje do wyboru statek albo łódź latająca. Zobaczymy, co się trafi na miejscu. Ocean, hm... To będzie jakieś dziesięć dni rejsu na kontynent centralny. Dobrze by było dostać się od razu do Tamir, bo stamtąd mogę się zabrać rurą bezpośrednio do samej stolicy. Kaszka z mleczkiem. Jak dobrze pójdzie, to za niecały miesiąc będę w Tarnau. Wreszcie zobaczę starożytne Domy Drzewa i kamienne anioły strzegące Wiecznego Placu. Ech, nie mogę się już doczekać”.

Czerwone słońce rozpoczęło swój poranny teatr cieni od wspinaczki na zbocze ośnieżonego szczytu. Nidro po skończonym śniadaniu pożegnał się ze wszystkimi wylewnie, i to po kilka razy z każdym. Można więc śmiało powiedzieć, że pożegnaniom nie było końca. Wziął swój mały zestaw podróżny, na który składały się: hamak, maczeta, torba na leki, podstawowa odzież i oczywiście smakowite placki. Zarzucił wypchany worek na plecy i ruszył pewnym krokiem w stronę urwiska, gdzie poprzedniego dnia zostawił lotnię, dobrze ukrytą w skalnej grocie.

„Piękny dzień na latanie” – pomyślał wpatrzonej w nisko zawieszoną tarczę słoneczną, przyklejoną na monochromatycznym błękitnym niebie. Poprawił plecak na ramieniu, a potem ruszył wąską, wyslizganą przez deszcz granią, znał tu chyba każdy kamień, wykrot i kępę trawy. Ostrożnie stawiał kroki, by się nie ześliznąć, góry nie miały w zwyczaju darować ludziom pomyłek.

– Nie chce mi się włączyć dookoła – powiedział do siebie ze wzrokiem utkwionym w skalną półkę przed nim, jak gdyby rzucał jej nieme wyzwanie. W tym miejscu wąska ścieżka zawijała w prawo, omijała tym samym skalne osuwisko na wprost długim, leniwym łukiem. – Idę tędy – oświadczył, robiąc krok w stronę osuwiska. Nie wszedł nawet do połowy wysokości, kiedy zaczął się powoli zsuwać na kamieniach. Wtedy przyklęknął i kontynuował wspinaczkę na czworakach, podczas gdy skalne odłamki

coraz większą strugą staczały się za nim w dół. Po kilku kolejnych krokach spojrzał na swoje czarne od prochu ręce i na niebywale upaprane spodnie.

– Aj, trzeba było iść po ścieżce. – Pokręcił głową z dezaprobatą. – Tak to właśnie jest z drogą na skróty, że się człowiek przy tym zawsze uwali po pachy. – Zmełł w ustach przekleństwo i wrócił do utrapionej wspinaczki, był prawie na górze, pozostało mu więc jedynie wdrapywać się dalej. Kiedy stanął na szczycie urwiska, otrzepał ręce z ziemi i wszedł do niewielkiej jaskini ukrytej przed wzrokiem ciekawskich za szerokim skalnym załomem. Była tam, gdzie ją wczoraj zostawił – trójkątna lotnia obleczona zwierzęcą skórą.

– No dobra, to będzie nasze ostatnie latanie. – Pogłaskał ręką smukłe skrzydło, które sam zresztą zbudował. Ostrożnie wytaszczył lotnię z jaskini i zaczął się pod nią wsuwać.

– Paski, paseczki – mruczał pod nosem, gdy zakładał skórzaną uprząż. – Będzie ciężko lecieć z tym plecakiem, ale... zawsze mogę sobie trochę dmuchnąć od spodu, jak będzie trzeba. – Uniósł lotnię w górę, zakołysało nim, zatrzymał więc powietrze wokół siebie.

„Od razu lepiej” – skonstatował zadowolony. Stanął na krawędzi urwiska. Ten widok zawsze robił na nim niesamowite wrażenie. Szeroka, otwarta przestrzeń. Hen z dołu patrzyły na niego dwa nieforemne oczodoły górskich jezior, otoczone kępami trawy porozrzucanej w przypadkowy sposób. Brakowało tylko nosa, by przypominało to wykrzywioną, piegowaną twarz skalnego olbrzyma. Na wprost niego, pomiędzy bliźniaczymi ośnieżonymi szczytami, zalegał lodowiec, przypominał mu błękitną błonę uplecioną z kryształu i rozpostartą pomiędzy szeroko rozwartymi palcami górskich szczytów. Krok do przodu, a potem chwila, gdy żołądek podchodzi do gardła. Lotnia runęła w dół, jak gdyby zachłysnęła się rozrzedzonym powietrzem. Pchnął drewnianą poprzeczkę od siebie, aby skrzydło złapało stabilny ciąg.

„Odrobina w lewo... jest” – odetchnął, gdy wyrównał lot.

– Ściąga mnie w dół – zauważył, robiąc kontrolny przechył w prawo. – Muszę lecieć jak najwyżej, by zmieścić się nad tym lodowcem. Dobra, nie ma co liczyć na szczęście. – Wypowiedział zaklęcie, a wtedy wiatr

momentalnie gwizdnął od spodu, by kontrolowany podmuch uniósł lotnię ku górze. Kątem oka dostrzegł jakiś ruch, tuż przed nim zapikował wielki biały orzeł i jednocześnie wydał z siebie powitalny świergot.

„Cześć, Arto. Znowu latamy razem, co?” – wysłał mentalny przekaz do przyjaciela. Orzeł zrównał się z chłopakiem i ustawił obok niego. Lecieli razem, niczym eskadra łodzi latających na misji bojowej.

Niebawem dotarli do przeciwległego krańca kotliny, a ziemia w dole niebezpiecznie zaczęła się przybliżać, sprawiało to takie wrażenie, jakby lotnia nabrała ogromnej prędkości. Znaleźli się w wąskim przesmyku, zaledwie dziesięć kroków nad spękaną taflą lodowca, i razem z nim, ponad kaskadami wody przedostali się do skalnego kanionu.

„To co, wlatujemy do środka?” – skierował retoryczne pytanie do orła, ten w odpowiedzi zapikował w dół. „Masz rację, taki lot bez przygód to żadna frajda”. Przyciągnął poprzeczkę do siebie, a lotnia ciasnym łukiem zapikowała w sam środek skalnego kanionu. Pionowe ściany po obu stronach wyciągały do niego strome ramiona, zapewne nie po to, aby go przytulić, za to on w akrobatyczny sposób unikał konfrontacji seriami wielokrotnie przećwiczonych manewrów.

– Długi łuk w lewo, wyrównanie, teraz trochę w dół, by się zmieścić, hum, w skalnym preclu. To jest to – powiedział i uśmiechnął się szelmowsko, gdy przelatował przez skalną szczelinę w kształcie nieforemnego koła. Ponownie wyrównał lot, w tym miejscu ściany kanionu schodziły się do wewnątrz, tak że ścisnęły wydłużoną perspektywę do zaledwie kilkunastu kroków. Do pokonania została mu wyłącznie sama szczelina na końcu i... Wystrzelił niemal z litej skalnej ściany, wprost w objęcia rozłożystej doliny. W tej samej chwili cały krajobraz zmienił się diametralnie. Wysokie góry pocięte wąwozami wyparły zielone wzgórza pofalowane niczym wzburzone sztormem morze. Oprócz niezaprzeczalnych zmian w topografii wymieniły się również wszystkie kolory. I tak szarobury dotąd krajobraz złodowaciałych skał wyparły soczysta zieleń drzew i niebieski błękit górskich jezior.

– O, tak – westchnął i zaciągnął się aromatycznym zapachem sosnowych lasów.

„Starczy tego latania” – napomniał się w myślach, gdy dotarło do niego, że słońce zaczyna ocierać się o pofalowany horyzont. Przysunął poprzeczkę do siebie, by zielony dywan lasu wyciągnął po niego swe iglaste ręce. Zniżył lot na tyle, że prawie poczuł, jak korony drzew łaskoczą go w stopy na podobieństwo drucianej szczotki.

„Jakaś polanka by się przydała – powiedział w duchu, rozglądając się dokoła – przecież nie wyląduję w lesie”.

Wypatrywał dogodnego miejsca dłuższą chwilę, a gdy je dostrzegł, odbił w lewą stronę, gdzie opadł łagodnie wprost na wypłaszczone, porośnięte bujną trawą wzgórze. Kiedy odkryta przez niego polana wyparła swym pękatym brzuchem wszędobylski las na boki, lotnia zaczęła zwalniać, zupełnie jakby wleciała w niewidzialny krem. Był trzy kroki nad ziemią, już tylko dwa, jeden, nogi złapały kontakt z podłożem. Przebiegł do przodu, by się nie wywrócić, stanął w miejscu i oparł trójkątne skrzydło na miękkiej trawie. Odpiął sprzączki, uwolnił się z uprzęży i wreszcie stanął wyprostowany na własnych nogach – koniec latania na dzisiaj. Zarzucił plecak na ramię, ostatnie spojrzenie za siebie na lotnię i góry.

– Ech... – westchnął przeciągle z nutką nostalgii w głosie przyprawioną młodzieńczą tęsknotą. Rozejrzał się dokoła, badawczym wzrokiem lustrując okolicę. – Trzeba znaleźć jakieś miejsce na nocleg – stwierdził, kiedy zapuścił się dalej w stronę potoku. – Tutaj rozbijemy pierwszy obóz – oznajmił, stanąwszy przed dwiema dorodnymi sosnami rosnącymi blisko siebie. Już na pierwszy rzut oka stwierdził, że odległość między drzewami jest idealna, by zawiesić hamak. Przywiązał jeden koniec sznura do smukłego pnia, po czym wygłodniałym wzrokiem spojrzał na rzekę przepływającą obok.

„Arto, zapraszam na kolację” – wysłał mentalny przekaz do orła. Wypowiedział zaklęcie, a wtedy z rzeki wystrzeliły w ich stronę cztery dorodne pstrągi. Ryby z plaśnięciem opadły na ściółkę, otwierały szeroko pyszczki w niemym grymasie zaskoczenia. Podskakiwały niezdarnie, wyginały na boki srebrzyste cielska, jakby próbowały podeprzeć się na płetwach. Orzeł sfrunął z gałęzi i z niemałą gracją pochwycił tłustą rybę bez

dotykania ziemi. Następnie podfrunął z wciąż szamoczącą się zdobyczą na z góry upatrzoną gałąź, donośnie świergoił przy tym z zadowolenia.

– Ty to masz dobrze – rzucił chłopak, wpatrzony w zajądającego się ptaka. A gdy hamak był gotowy, przyszła pora, aby i on zaczął przyrządzać kolację dla siebie. Przeszedł się wokół powalonego pnia i uzbierał pokaźne naręcze drewna na ognisko.

– Góry, góry, woda, las i zaśpiewaj jeszcze raz – mruczał sobie pod nosem pijacką piosenkę, jedną z zasłyszanych niedawno przy obchodach jakiegoś święta. Pamiętał, że na słowo „woda” wypijało się czarkę księżycówki do dna, co nadawało swoiste metrum imprezie. Tekst piosenki był, mało powiedzieć, że debilnie prosty, a w dodatku słowo „woda” pojawiała się w niej na okrągło, dlatego szybko zyskała ona miano standardowej przyśpiewki wszystkich mocno zakrapianych imprez. – Niebo, niebo, woda, głąz i zaśpiewaj jeszcze raz... Teraz krzesiwo. – Włożył rękę do worka w poszukiwaniu dwóch obłych kamieni. – Są! – Ucieszył się, kiedy natrafił dłonią na znajomy kształt. – Góry, góry, woda, trzask. – Uderzył, a kamienie wskrzesiły iskry. – Trzask i jeszcze raz. – Zanim zdołał rozpalić ognisko, dał radę wyśpiewać jeszcze co najmniej dwadzieścia równie natchnionych zwrotek. A chwilę później w powietrzu poniósł się zapach pieczonego pstrąga.

„To jest życie” – pomyślał zadowolony, gdy wyciągał pachnący placek z worka. Odrzucił w krzaki objedzoną do czysta skórę po rybie. Zawahał się przez chwilę, lecz ostatecznie wytarł dłonie w spodnie, te i tak nosiły na sobie zaskakująco liczne ślady wędrówki. Wysikał się na dogasające ognisko, zanim na dobre ułożył się na hamaku, by wreszcie położyć się spać.

„Dzień pierwszy za mną” – zdążył pomyśleć z zadowoleniem, zanim pozwolił opaść zmęczonym powiekom.

Rozdział drugi

Spotkanie

Kapłani mówią nam o sprawiedliwości, a przecież ich świątynie wzniesione są na ciałach niewolnych. Cesarstwo to nienasycona bestia karmiąca się ludzką krwią. Synti, powstańcie i niech śmierć stanie się bramą waszej wolności. – z Ksiąg zakazanych

Jest rok cztery tysiące dwudziesty szósty ery imperialnej. W kraju rządy sprawuje Asu XXXV (Cesarstwo po tysiącach lat niepodzielnego władania większością zamieszkałego świata stoi obecnie na progu wielkich zmian zarówno społeczno-gospodarczych, jak i militarnych. W starej talii do gry potasowanej jeszcze przed wiekami pojawiły się zupełnie nowe karty, za ich sprawą, jak również za sprawą samych graczy, zmieniły się zarówno skostniałe zasady, jak i stawki. Lecz czy kolejne rozdanie wypadnie lepiej czy gorzej, doprawdy trudno powiedzieć).

– Dupa, dupa, dupa – powtarzała zmęczonym głosem Sena, kiedy stawiała kolejny niepewny krok na grząskim osuwisku. – W co ja się znowu wpakowałam? Wiedziałam, że ten zasrany Szczur prędzej czy później zrobi mnie w takie gówno, że... – Tu właśnie zabrakło jej wystarczająco dosadnego porównania. „No jak w tej bajce o smoku i księżniczce, ona stanęła pod skałą, by się schronić przed deszczem. I ja mam dokładnie to samo” – pomyślała z niezachwianym przekonaniem. – Schroniłam się przed deszczem i... i smok na mnie nasrał. Prawie nic nie spałam – mówiła sama do siebie podczas żmudnej wspinaczki po wysokiej skarpie. – Prawie nic nie jadłam. Całe stopy mam pokrwawione od tego łożenia. I wszystko, dosłownie wszystko mnie boli. Nawet te części ciała, co nie powinny boleć. Włosy mnie nawet bolą! – Dziewczyna złościła się na cały świat, ale szła niestrudzenie dalej, gdyż od tego w końcu zależało w tej chwili jej życie. „A

te psie syny, obszczy mordy kopane – po chwili znowu zaczęła złorzeczyć – w żaden sposób nie da się ich zgubić. Szłam w lodowatym strumieniu, wlałam do tego bagna i jak pięknie teraz wyglądam?” – żaliła się przed samą sobą zdyszana ze zmęczenia. „A oni i tak mnie jakoś wytropili. Na Martwe Ziemie! Jakbym stanęła taka uwalona przed Szczurem, to by mi palant powiedział, że kąpiel w bagnie jest bardzo dobra dla cery i powinnam przestać narzekać. Oj tak, Szczurku. Wpakowałeś mnie w niezłe gówno i gdybym znalazła sposób, aby ci się jakoś odwdzińczyć, to chętnie bym to zrobiła. Powinnam tę przeklętą bransoletkę wrzucić do tego bagna, jak jeszcze miałam okazję”. Zbierało jej się na łzy, oddychała ciężko, ale wciąż szła. Jednak czy długo jeszcze da radę? – Jestem w czarnej dupie! – Załkała z bezsilności. Od dawna tłumiona rezygnacja walczyła u niej o lepsze ze zdrowym rozsądkiem, który na szczęście wciąż prowadził żywy dialog z instynktem przetrwania. A to – jak wiadomo – stanowi u większości ludzi nadrzędny imperatyw, i co za tym idzie – potrafi wycisnąć ostatnie poty z zapadającego się do wewnątrz ze zmęczenia ciała.

Nidro otworzył posklejane snem oczy, zaciągnął się powietrzem o zapachu młodej sosnowej żywicy i wyprężył na hamaku jak kocur. Właśnie zaczął się trzeci dzień jego wędrówki, a słońce ze znaną sobie gracją nieśmiało pokazywało się na niebie, skąd przeganiało zawstydzone porannym blaskiem gwiazdy. Z drzewa, jakie upatrzył sobie na nocleg, rozciągał się urokliwy widok na leśną polanę, przez którą prowadziła wąska ścieżka wydeptana wśród traw. Przejście było tak zarośnięte, że miejscami niemal zupełnie niewidoczne. Wokół nie było żywej duszy, a do uszu młodzieńca dobiegał jedynie cichy szmer strumienia i beztroski śpiew ptaków. Dzień zapowiadał się wspaniale. Planował iść dalej ścieżką aż do głównego traktu, którym zamierzał dotrzeć do najbliższego miasta w tych stronach, czyli do Kenir. Leśna dróżka, upatrzona przez niego, wiodła prosto wzdłuż rzeki, niemal dokładnie na południe. Zwinął starannie jeszcze ciepły hamak. Zjadł placek z rybą na śniadanie. Spakował dobytek i ruszył niespiesznie w dalszą drogę.

Niespodziewanie odebrał mentalny przekaz od orła. Coś było nie tak. Skupił się na przyjacielu i wszedł głębiej umysłem w jego jaźń. W ten sposób

mógł spojrzeć na świat ptasimi oczami. Arto zataczał ciasne kręgi gdzieś nad jego głową. Jedno spojrzenie z lotu ptaka wystarczyło, by dostrzegł siebie samego stojącego w dole pod rozłożystym dębem. Ptak odwrócił głowę w lewo, a wtedy jego uwagę przyciągnęła chmura pyłu unosząca się gdzieś w oddali. Skupił wzrok w tym miejscu, zaraz też obaj dostrzegli oddział konnych w barwach armii cesarskiej. Żołnierze jechali jeden za drugim, przecinali w poprzek skalne osuwisko. Nidro mógł w najdrobniejszych szczegółach obserwować, jak konie ostrożnie stawiają kopyta na niestabilnym gruncie. Szacował, że znajdowali się nie dalej niż tysiąc kroków przed nim. Co oddział kawalerii robi na takim zadupiu? I po co przedzierają się przez te chaszcze, skoro tuż obok mają naprawdę przyzwoitą ścieżkę? Pytań przybywało, a z każdym kolejnym rosło jego zainteresowanie. Na czele grupy nieco zgarbiony w siodle jechał centurion, jednak zamiast zwyczajowej setki miał przy sobie dziewięciu zbrojnych, czyli zaledwie dekurie. Osuwisko okazało się zbyt urwiste dla koni i zapewne właśnie z tego powodu oddział wybrał tę okrężną drogę.

„Jest ich raptem dziesięciu, a sprzętu mają tyle, jakby jechali na wyprawę wojenną” – przemknęło mu przez głowę.

Żołnierze nosili lekkie skórzane zbroje okutane w czarne peleryny do kolan, przewieszane przez lewe ramiona, na których bez trudu rozpoznał białego orła Cesarstwa. Uzbrojeni byli w lekkie okrągłe tarcze, typowe dla imperialnej jazdy, oraz w krótkie stalowe miecze. Dodatkowo dwóch z nich dzierżyło w dłoni bojowe lance, a dwóch kolejnych trzymało na podorędziu lekkie kusze.

„To musi być oddział jednego z portowych miast” – domyślił się tego po charakterystycznych emblematkach.

Na godle orzeł trzymał w szponach rybę, a pod spodem widniała łódź z dwoma żaglami. Widział to wszystko bardzo wyraźnie dzięki Arto, jego orli wzrok nie miał sobie równych. Wtedy ptak obrócił lekko głowę, a on zobaczył coś jeszcze, jakiś ruch w zaroślach. Przyjrzał się uważniej i dostrzegł, że kilkaset kroków przed oddziałem konnych ktoś cały od stóp do głów umazany błotem wspina się na stromą skarpę obrośniętą ze wszech stron gęstymi krzakami.

„Zamierzają jechać dookoła, by kontynuować... pościg za błotną istotą? Tak, to jest pościg” – szybko skojarzył fakty. Orzeł wylądował na gałęzi drzewa, skąd mieli dobry widok zarówno na ścigających, jak i uciekiniera. Z tego miejsca widać było wyraźnie, że błotna istota podąża nigdzie indziej, a dokładnie w jego stronę.

„A miało być tak pięknie” – pomyślał z przesadnym żalem, w czasie gdy oswajał się z równie nieoczekiwaną, co potencjalnie kłopotliwą sytuacją. „Dlaczego w życiu jest tak, że jak coś się może spieprzyć, to się pieprzy, a ja ostatecznie zwyczajowo kończę w gównie do kolan?”

Jego jaźń podzieliła się na dwie walczące ze sobą frakcje, które zaczęły bezlitośnie okładać się po pyskach przeintelektualizowaną argumentacją. Jak by to powiedział Ligur: „trzymaj się z dala od kłopotów”.

„Czyli co? Mam udawać, że mnie tu nie ma, i nie mieszać się w nieswoje sprawy? Ładny mi bojowy mag, jeden mały golem czochra się po krzakach, a ja się wycofuję. Przecież schwytanie go będzie łatwiejsze niż wstrzymanie cichego bąka. Tyle że wtedy wypadaloby się chociaż dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi, ostatecznie warto, abym ujął to w moim raporcie. No ale wtedy będę musiał się ujawnić. I co z tego, że mnie tu zobaczą? Zresztą jak dojdę do Kenir, to i tak nie będę się ukrywał, w mieście jak nic muszę okazać list na bramie. No dobra. Ryzyko zdemaskowania się podczas tej prostej akcji wydaje się wręcz zerowe. Trzeba obezwładnić bez mała tylko jedną osobę, mając po swojej stronie przewagę zaskoczenia. Wystarczy, że przekażę uciekiniera żołnierzom i każdy z nas pójdzie w swoją stronę. Innymi słowy, nie narobię się po łokcie, a przydam się do czegoś armii”. Ucieszył się na koniec w duchu z tak jednoznacznej puenty.

Zadowolony z podjętej decyzji ukrył się za szerokim konarem rozłożystego drzewa rosnącego na prawdopodobnej trasie przemarszu błotnego golema. Skupił się na pogoni, bowiem w dalszym ciągu monitorował całą sytuację oczami przyjaciela. Widział, jak uciekinier podchodzi bliżej, jak ciężko oddycha i słać się na nogach. Począł na dogodny moment, dopiero wtedy wyskoczył zza drzewa niczym nocna zjawia obleczone w ludzkie ciało. Ich spojrzenia wpadły na siebie z impetem i splotły się razem jak liny okrętowe ciągnięte w przeciwne strony. Zanim

Nidro powiedział... No właśnie, co powiedzieć w takim momencie? Jego umysł najwyraźniej przegapił ten element planu, musiał więc improwizować i rzucił:

– Stój w imieniu Cesarza! – To były pierwsze słowa, jakie przyszły mu do głowy.

Błotna istota zamarła, gapiała się na niego szeroko otwartymi oczami, jakby nie wierzyła, że to, co widzi, dzieje się naprawdę. W końcu po chwili pełnej drażliwej konsternacji przegnała kruchą ciszę szorstkim dziewczęcym dyszkantem, ociekającym jadem jak skwarka tłuszczem:

– Sam się, w dupę, skuj, palancie, i lepiej się do mnie nie zbliżaj, jeśli nie chcesz zaraz gaci z gówna szorować. Bo jak się tobą zajmę, to nie ma takiego zwieracza, który by to wytrzymał.

Teraz dla odmiany to jego zamurowało. Poczuł, jak nogi zatapiają się w miękką ziemię, przygniecione ciężarem krotchwili. Wyraźnie się zawahał i gorączkowo rozważał, co robić z tym fantem dalej. Jakoś inaczej to sobie wyobrażał, gdy siedział skitrany za drzewem. Co prawda, nawet w najbardziej absurdalnym scenariuszu nie zakładał natychmiastowej kapitulacji ze strony uciekiniera. Raczej stawiał na ucieczkę w zarośla, ewentualnie jakieś przekupstwo na zasadzie: puść mnie, a spełnię twoje trzy życzenia. Jednak teraz to on stał skołowany i nie wiedział, co powinien robić dalej.

„To dziewczyna!” – naszła go nieoczekiwana refleksja. „Ona rzuca mięsem jak grabarz łopata”.

Zawieszony w niebycie umysł zaczął pęcznieć mu niczym drożdżowe ciasto, jakby chciał w sobie pomieścić te wszystkie nowe informacje. Stali tak naprzeciw siebie jak postaci z różnych bajek, spotykające się na kartach jednej książki. Dziewczyna była wyraźnie spięta. Miała mocno przekrwione oczy i widać było, że dawno już nie spała. Jej buty wyglądały na zupełnie schodzone i nie wiadomo jakim cudem jeszcze trzymały się na nogach. Zdecydowanym ruchem wyciągnęła zza pleców nóż, czym przerwała przedłużające się odrętwienie. Ostrze było małe, do rzucania na średnią odległość, dodatkowo rękojeść obwiązano cienkim sznurkiem. Po tym, jak trzymała go w dłoni, założył, że umie się nim posłużyć.

„Robi się coraz ciekawiej” – zauważył, szykując się do niemiarkowanego ataku.

W tym czasie jego skrzydlaty przyjaciel wciąż siedział na pobliskim drzewie i z góry śledził rozwój wypadków. Był gotów. Tak, w każdej chwili mógł zaatakować. Nidro najwyraźniej bezbłędnie wyczuł intencje ptaka, bo upomniał go w myślach: „Arto, siedź na drzewie, nic mi nie będzie”.

Na skutek łączącej ich więzi emocje orła wpływały także na jego umysł. I właśnie w tym momencie zdał sobie wreszcie sprawę z tego, że sam, wbrew zdrowemu rozsądkowi, aż rwie się do walki. Na wszelki wypadek skarcił się w myślach, powtarzał przy tym w głowie słowa Ligura: „Masz być niewidoczny, nie rzucać się w oczy”.

Rozwarstwianie się jego świadomości ostatecznie przerwała dziewczyna:

– No, słodziutki, ani kroku dalej. To nie jest twoja sprawa, więc się w to nie mieszaj – mówiąc to, ostrzegawczo pomachała do niego nożem, po czym zdecydowanym krokiem ruszyła do przodu, tak by go wyminąć. Przez cały czas ani na chwilę nie spuszczała z niego wzroku.

Nidro skoczył w jej stronę zupełnie bez ostrzeżenia. Stawiał krótkie kroki, balansował ciałem, usiłował szybko zmniejszyć dzielący ich dystans. Dziewczyna zareagowała błyskawicznie i rzuciła w niego nożem. On uchylił się węzowym ruchem w bok, tak że ostrze przeleciało z wizgiem, zaledwie o włos mijając jego zaskoczone gardło.

„Było blisko” – pomyślał, lecz nie zaprzestał ataku. Dopadł do dziewczyny, kiedy ta zaciskała już palce na drugim nożu. Ten był odrobinę większy od poprzedniego.

„Nóż do walki wręcz” – domyślił się, rzuciwszy przelotne spojrzenie na ostrze. Błotna postać nie zdołała jednak dobyć broni, ponieważ Nidro gwałtownie wyprostował prawą rękę i uderzył otwartą dłońią w brodę dziewczyny. Cios sprawił, że nogi się pod nią ugięły i nieprzytomna runęła na ziemię jak marionetka, której podcięto sznurki. Chłopak przyglądał się zdziwony. Całą prawą dłoń miał czarną od błota. Powąchał lepką maź z obrzydzeniem, kiedy poczuł intensywny zapach torfu.

– Czy ona się kąpała w bagnie? – wyraził na głos swoje domysły i machinalnie wytarł dłoń o spodnie. Obrazek był tak nierzeczywisty, jakby

został siłą wyrwany z lunatycznego pejzażu. Pod strzelistym drzewem nieprzytomna dziewczyna leżała na plecach z bezładnie rozłożonymi rękami. – Jest cholernie szybka – dodał z uznaniem i niejakim współczuciem zarazem. Miał lekkie wyrzuty sumienia, że ją tak zdzielił w głowę. – A tam, nic jej nie będzie – przekonywał samego siebie. „Przecież rzuciła we mnie nożem, a ja zareagowałem odruchowo. A zresztą, jakie to ma znaczenie. Wyszło, jak wyszło”. Przestał się wreszcie łajać w myślach i spokojnie czekał na przyjazd zbrojnych.

Jeźdźcy, gdy ujrzeni leżącą na ziemi dziewczynę, wydali z siebie okrzyk triumfu okraszony niedowierzaniem.

– Mamy ją! Jest nasza! – wołali do wiwatu wspaniałemu zrządzeniu losu. Podjeżdżali jeden za drugim i ustawiali się ciasnym kręgiem wokół nich, następnie bez pośpiechu zaczęli schodzić z koni. Dopiero czując twardy grunt pod stopami, jedni z postękiwaniem rozciągali zastałe mięśnie, inni zaś masowali obolałe tyłki.

– Chłopaki, doprawdy nie wierzę w takie szczęście. – Tęgi żołnierz po trzydziestce w stopniu centuriona energicznie klepnął się dłonią w udo. Był zupełnie łysy i nosił długą czarną brodę. – Patrzcie tylko, toż to śpiąca królewna i sam książę z bajki we własnej osobie.

Na te słowa żołnierze ryknęli gromkim śmiechem, który do złudzenia przypominał walenie chochlą w garkuchnię. Najwyraźniej widok nieprzytomnej dziewczyny poprawił im humor. Łysy odwiesił kuszę przy lęku i podszedł do chłopaka.

– A tyś co za jeden? – zapytał, taksując go uważnie wzrokiem pełnym wielkopańskiej pogardy. – Brudne spodnie, żadnej sakiewki, żadnej broni, nie wyglądasz mi na księcia – stwierdził ironicznie. – Chyba że takiego księcia z czarnej dupy. A i ta twoja księżniczka... – tu wskazał na wciąż nieprzytomną dziewczynę – ...zalatuje torfem jak latryna gównem.

– Nazywam się Nidro – odparł chłopak, ignorując zaczepkę oficera – i jestem cesarskim posłańcem.

– Posłańcem, mhy... – westchnął brodacze i uniósł brew z niedowierzaniem. – Bez konia, bez pieniędzy... Cesarstwo najwidoczniej schodzi na psy, skoro wysyła takich obesranych posłańców.

„O tym nie pomyślałem” – Nidro pochylił się w duchu nad słowami żołnierza. Miał przeczucie, że plan Ligura nie jest taki znowu doskonały. „Ale tamten ma rację, posłaniec na pewno miałby konia i pieniądze. No nic, trzeba brnąć w to dalej, jak się powiedziało «a»...”

Zastanowił się nad jakąś sensowną odpowiedzią i oznajmił pewnym siebie głosem:

– Konia i pieniądze mi ukradziono, dlatego chcę poprosić o pomoc cesarski garnizon w Kenir. A jak wy się nazywacie, Saru? – spytał, utrzymując stały kontakt wzrokowy z żołnierzem.

– Jestem Elon, dzieciaku. – Centurion obdarzył go spojrzeniem przeznaczonym dla wiejskich głupków. – To ty ją tak urządziłeś? – Wskazał nieprzytomną.

– Tak. – Nidro chętnie skinął głową.

– W takim razie zasłużyłeś sobie na nagrodę. – Elon uśmiechnął się szyderczo. – Mam zamiar podarować ci najcenniejszą rzecz na świecie. Wiesz, co to takiego?

Chłopak nic nie odpowiedział, a Elon uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Twoje życie, gówniarzu! – oświadczył z wielkim rozbawieniem w odpowiedzi na niezadane pytanie. – Prawda, że jestem hojnym człowiekiem? Sek, sprawdź go! Jak jest taki goły, na jakiego wygląda, niech idzie precz.

Niski, żylasty żołnierz podszedł do chłopaka i zaczął skrupulatnie przetrząsać jego rzeczy. Nidro nie protestował, stał spokojnie i w zadumie czekał na dalszy rozwój wypadków, bo, że dojdzie tu do wypadku, był prawie pewien. Straciwszy zainteresowanie posłańcem, Elon z dwójką towarzyszy podszedł do wciąż nieprzytomnej dziewczyny. Ktoś polał jej twarz stróżką wody z bukłaka.

– Pobudka, księżniczko, całe błotko ci się zeschnie, jak będziesz tak leżeć.

Dziewczyna otworzyła zmęczone oczy. Czują pod czaszką dojmujący ból, natarczywe pulsowanie rozlewało się promieniście po wszystkich członkach. Rozejrzała się niepewnie dookoła, a dostrzegłszy nad sobą hycli Kapłana, złąkała się nie na żarty. Spróbowała wstać, lecz poczuła, że traci równowagę

i ponownie opadła na trawę. Siedziała tak niczym uosobienie ludzkiej niedoli, obejmując głowę rękoma.

– Edir, przeszukaj ją! – Brodac zwrócił się do jednego z dwóch towarzyszących mu żołnierzy. Wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna pochylił się nad dziewczyną. Niechętnie wyciągnął ku niej rękę, najwyraźniej starał się nie ubrudzić. Odwrócił głowę w przeciwną stronę, na moment wstrzymując oddech.

– Zostaw mnie, ty durny fiucie! – Dziewczyna za wszelką cenę próbowała utrudnić mu rewizję. W tym celu przycisnęła ramiona do ciała, tak aby się nimi szczelnie zakryć. Wtedy jakieś silne ręce pochwyciły ją za łokcie. To drugi z żołnierzy przyszedł koledze z pomocą.

„Gdzie są moje noże” – zastanawiała się, gdy jej palce trafiły na pustkę przy pasie.

– Chłopak jest goły i wesoły – rozległ się czyjś głos z tyłu. Elon w odpowiedzi jedynie machnął ręką niezainteresowany tematem.

– Mam! – zawołał mięśniak triumfalnie i ze szczególnym pietyzmem uniósł w dłoni jadeitową bransoletkę z wizerunkiem smoka na obwodzie. Wystawił ją do słońca, a ta jak na zawołanie rozbłysła zielonymi refleksami w blasku poranka. Elon klasnął w dłonie, serce zabiło mu mocniej na widok upragnionego klejnotu.

– To teraz musimy ją przetestować. Jacyś chętni? – Nikt nie odpowiedział na to nienachalne wezwanie. – Dobrze, w takim razie przetestujemy ją na naszej torfowej księżniczce. Edir, wsadź jej bransoletkę do ręki, ale w taki sposób, by nie mogła jej wyrzucić. Zagramy sobie w pytania – zaczął tłumaczyć Elon. – To bardzo prosta gra, w której ja zadaję pytanie, a ty mi grzecznie odpowiadasz – oznajmił, wyjmując ciężki bojowy nóż z pochwy. – Jeśli od razu nie usłyszę odpowiedzi, to utnę ci palec u ręki. Potem zadam to samo pytanie i jeśli znów nie odpowiesz, utnę ci kolejny, i tak do chwili, aż zabraknie nam fantów do dalszej gry. Wygrywa ten, kto na koniec ma się czym podrapać po nosie. Gotowa?

Edir ujął drobną kobiecą dłoń w swoją masywną prawicę i powoli, lecz zdecydowanie, zaczął zaciskać stalowe palce wokół bransoletki. Dziewczyna poczuła ostry ból, gdy obręcz coraz mocniej wżynała jej się w skórę.

– Kto zlecił ci kradzież artefaktu? – spytał Elon lekko rozbawionym głosem. Ostentacyjnie machnął jej nożem przed twarzą. Ból szybko narastał, a dziewczyna, nie mogąc się oswobodzić, krzyknęła zrezygnowana:

– Szczur! Szef gildii złodziei z Atolu, boli!

– Bardzo ładnie – ucieszył się łysy. Podszedł do niej i niemal pieszczotliwie poklepał płazem noża po jej policzku. – Grzeczna dziewczynka. Ja też jestem zdania, że lepiej umrzeć z palcami niż bez nich. – Wyrwał jej bransoletkę z dłoni, potem zawinął ją w czystą chusteczkę i schował do sakwy przy siodle. – Edir, powieś złodziejkę na drzewie za obie ręce, tak by dyndała co najmniej krok nad ziemią.

Osilek bez wahania chwycił za konopną linę, przerzucił ją przez grubą gałąź, łudząco podobną do ludzkiego ramienia i wystającą na odpowiednią wysokość z pobliskiego drzewa. Dwóch żołnierzy podniosło dziewczynę za ręce. Złodziejka, kiedy tylko zwęszyła, co się święci, zaczęła się wyrywać i nawet spróbowała któregoś ugryźć. Lecz wtedy Edir uderzył ją pięścią w brzuch tak mocno, że aż poderwało ją do góry, a wtedy drobne ciało dziewczyny złożyło się jak scyzoryk. Siła ciosu wypchała jej całe powietrze z płuc.

– He, he, he, he... – Bezskutecznie próbowała zrobić wdech sparaliżowaną przeponą. Żołnierze ucapili ją za ręce i bez dalszych przeszkód zawiązali jej linę na nadgarstkach. Elon podszedł bliżej iście paradnym krokiem, a błogi uśmiech nie schodził mu z twarzy.

– Dwadzieścia trzy dni – powiedział z emfazą. – Tyle czasu się za tobą uganiam. Dwadzieścia trzy dni w siodle. Ścigałem cię przez cały kontynent i wiesz co? – Zrobił pełną napięcia pauzę. – Na tych bagnach prawie nam uciekłaś – wyznał to niemal z podziwem w głosie. – Musiałem podzielić oddział, by kontynuować pościg. W dodatku przez ten twój głupi upór tyłek mi zaraz odpadnie. Ale opłaciło się, jak widzisz, szczęście sprzyja lepszym. – Centurion cmoknął z uznaniem.

W czasie gdy Elon napawał się sukcesem, dziewczyna stopniowo odzyskiwała oddech. Nagle liny nad nią napięły się i podciągnęły obie jej ręce do góry. Dwóch żołnierzy za jej plecami mocno ciągnęło za oba sznury jednocześnie. Stopy straciły kontakt z podłożem, gdy zawisła z lekko

rozstawionymi ramionami. Przypominała z wyglądu czekoladowy naszyjnik przerzucony przez gałąź lukrowanego drzewa.

– Na co czekacie? – zawołał Elon głosem nieznoszącym sprzeciwu. – Do roboty, zbierać gałęzie na podpałkę.

Żołnierzom nie trzeba było dwa razy powtarzać, szybko zaczęli znosić suche badyle i układać je w mały stos pod nogami pojmanej. Nidro z niedowierzaniem, a nawet pewnym współczuciem śledził losy błotnej nimfy. Była złodziejem – to rozumiał. Ukradła im coś cennego, dobrze, więc gonili za nią aż tutaj dwadzieścia trzy dni. Powiedzmy, że pojmował skalę ich frustracji. Ale złodziei nie pali się żywcem, w ogóle nic im się nie robi bez wyroku sądu. „Więc o co w tym wszystkim chodzi? Co oni wyprawiają?” – nie mógł tego zrozumieć. „To jest cesarskie wojsko, a zachowują się jak zwykli przestępcy, albo i jeszcze coś gorszego”. Najwyraźniej z kanonu wojskowych atrybutów zostały im jedynie same mundury.

„Nie pozwolę, by spalili ją na moich oczach” – zahuczał moralny imperatyw w jego głowie. „Muszę to jakoś odkręcić”. Nidro szukał w skołowanym umyśle wyjścia z sytuacji, a w tym czasie stos drewna rósł w oczach.

– Myślałem, że się zabawimy na koniec, no wiesz, jak zwierzątko – wznowił swój sarkastyczny monolog Elon. – Ale to bagno zrobiło robotę. Śmierdzi od ciebie takim torfem, że przeszła mi ochota na pieszczoty.

– Chyba że... – wtrącił się inny żołnierz – ...wsadzimy ją do rzeki, a potem... – Pokazał uniwersalny znak ręką, wkładając palec wskazujący w zwinięte palce drugiej dłoni.

– To może od razu przytnijmy jej paznokcie, a skórę nasmarujemy wonnym olejkiem, co? – wyśmiał pomysł podwładnego Elon. – Zabawimy się gdzieś po drodze, teraz jest czas na zemstę. Kiedy ogień wypali to błoto, robi się z niej gliniany posążek. A kto wie, jak nam nie popęka, może zabierzemy ją ze sobą do Segal, byłby z niej piękny wazon.

Żołnierze wyszczerzyli się ochoczo do podszytych zawołowaną groźbą słów dowódcy.

– Nie możecie karać jej w taki sposób! – Głos z tyłu przerwał ich rozważania na temat sensu życia.

– Co? – Elon w pierwszej chwili nie zorientował się nawet, kto to powiedział.

– Nie wolno wam jej karać bez sądu! – powtórzył ten sam głos.

W tym momencie centurion przypomniał sobie o chłopaku.

– Ty jeszcze tu jesteś? – Odwrócił się do niego szczerze zdziwiony. – Widzę, że nie możesz się z nami rozstać, gówniarzu. Skoro tak, to w nagrodę udasz się z nami do Segal, niewolników nigdy za wielu. Sek, ucisz go! Psuje mi nastrój, usiłuję tu rozmawiać z księżniczką.

Stos był gotowy, więc Edir przykucnął nad nim i zaczął krzesać iskry przy pomocy szarych kamieni. Po kilku nieudanych próbach w końcu błysnął nikły płomień, lecz zaraz znikł, jakby poczuł się nieproszony. Co gorsza, kolejne zabiegi przyniosły ten sam efekt, a raczej jego brak.

„Co jest grane?” – zastanawiał się osiłek, a jego twarz tężała z każdą kolejną nieudaną próbą.

– Czego się tak guzdrzesz, Edir?

– To drewno nie chce się palić, nie wiem, o co tu chodzi. Płomień pojawia się i znika po chwili.

Tymczasem Sek podszedł do posłańca energicznym krokiem, podniósł włócznię do ciosu, wycelował końcem drzewca w głowę chłopaka. Uderzenie miało go jedynie ogłuszyć, a nie zabić.

„Co robić, co robić? Ale się wpakowałem w gówno, i to w zasadzie już na samym początku wyprawy, no ładnie, sam jestem sobie winny” – myślał gorączkowo Nidro.

Atmosfera gęstniała pod naporem emocji tworzących w jego umyśle skomplikowany węzeł pełen rozterek i trudnych decyzji.

„Nie zostawiacie mi wyboru” – szepnął bezgłośnie. Oczyszczył umysł i przełączył się na tryb bojowy. Wziął głęboki wdech i skupił wzrok na nadchodzącym żołnierzu. Ku zaskoczeniu Seka włócznia trafiła w pustkę. Chłopak uchylił się zwinnie i jednocześnie uderzył go krótko nasadą dłoni w kark. Żrenice mężczyzny jak na komendę schowały się do środka czaszki, a on sam nieprzytomny osunął się bezwładnie. Nidro złapał go w objęcia i położył na ziemi delikatnie, jakby kładł go na piknikowym kocu. Na szczęście nikt nic nie zauważył, pozostali wciąż skupiali się na Edirze, który

konsekwentnie, niczym stuknięty dzięcioł, w dalszym ciągu próbował rozpaść ogień.

– Może powinienes na nie podmuchać, palancie. Jestem pewna, że smród z twojej gęby nada się na podpałkę jak znalazł – zawołała dziewczyna zaraz po nieudanej próbie splunięcia na zgięte plecy podpalacza. W ostatnim zrywie nieskrępowanej woli zaczęła się szamotać we wszystkie strony, energicznie wymachując nogami na boki. Skutkiem tego liny jeszcze mocniej zacisnęły się jej na rękach. Gdy poczuła piekący ból w nadgarstkach, poddała się zupełnie. Zawisła zrezygnowana niczym żywa relikwia wystawiona na widok publiczny.

„Upieką mnie!” – myślała zrozpaczona. „Te bydlaki upieką mnie żywcem”.

Elon stał pod drzewem dumny jak paw i obserwował jej zmagania z miną konesera sadysty, rozciągając spękane od wiatru usta w parodii uśmiechu. Cieszył się tak, jakby koń, którego dosiadał, zaczął właśnie kichać sprośnymi kawałami. Pozostali żołnierze z równym zniecierpliwieniem wpatrywali się w wisielca. Nikt nie chciał przegapić momentu, kiedy złodziejka stanie wreszcie w płomieniach. Zanosilo się na dobrą zabawę, poprzedzaną monosylabicznym śpiewem przy ognisku. W tym samym czasie za ich plecami Nidro biegł w stronę dwójki żołnierzy. Obaj stali zwrócenii plecami do niego, pochłonięci rozmową, całkowicie nieświadomi tego, co nadchodzi. Nidro precyzyjnie odmierzał kroki. Z początku wydawało się, że ma zamiar ich staranować. Ale wtedy on wybił się mocno z obu nóg, wyskoczył wysoko w górę i kopnął ich z całych sił. Obie stopy jednocześnie trafiły w szyje żołnierzy, gdy Nidro zrobił szpagat w powietrzu. Cios był równie mocny, co niespodziewany. Ich jaźnie zgasły nagle, niczym świece nakryte mokrą ścierką. Ciała odskoczyły na boki na podobieństwo zbijanych kręgli. Nidro wylądował miękko na nogach i nie zwalniając ani na moment, ruszył dalej przed siebie. Był w połowie drogi dzielącej go od dziewczyny. Ta, kiedy ujrzała, jak chłopak w widowiskowy sposób powala dwójkę żołnierzy, zaczęła się gorliwie modlić. Najwyraźniej wizja całopalenia wpłynęła na nią ekumenicznie. W tej chwili trzech z dziesięciu oprawców leżało na ziemi, nie dając znaku życia. Dziewczyna zachłannie wbijała wzrok w szarżującego

chłopaka, jakby próbowała przelać w niego własny gniew z niewielkiej czarki wciąż tłącej się w niej nadziei.

Elon usłyszał hałas za plecami, co sprawiło, że podążył wzrokiem w ślad za spojrzeniem dziewczyny. Obejrzał się przez ramię i stwierdził... No właśnie, co tu się działo, do jasnej cholery? Ujrzał za sobą rozpędzoną postać, jego umysł zareagował błyskawicznie i podsunął mu prawidłową odpowiedź. To ten gówniarz. Tak, to on dobiegał właśnie do jednego z jego ludzi. Czas wtedy jakby zwolnił na moment, stając niemalże w miejscu. Elon obrócił się w jego stronę, uniósł wskazujący palec.

– Uważaj, za tobą! – krzyknął, lecz o wiele za późno. Żołnierz w mig odczytał mowę ciała dowódcy, odwrócił się za siebie, by ujrzeć... o nie! Chłopak wybił się w biegu i wyskoczył wysoko w powietrze. Uderzył prawą nogą, z lewą podciągniętą pod siebie, by niczym żywy klucz trafić stopą prosto w zaskoczoną dziurkę zamka. Trafiony mężczyzna zdążył jeszcze zamknąć powieki w pożegnalnym tańcu ze świadomością. – Łup! – Czarna pustka zabrała go ze sobą. Elon zobaczył, jak głowa żołnierza odskakuje do tyłu, zmieciona siłą uderzenia. Skrzywił się cierpko na twarzy, jakby to on sam został właśnie trafiony.

„Ajaj, to musiało boleć” – pomyślał z goryczą.

– Brać go, do broni! – zawołał w desperackiej próbie odzyskania tak ważnej podczas starcia inicjatywy. – Gdzie ona jest...? – Uważnie rozejrzał się na boki. Była tam, gdzie ją zostawił – jego lekka kusza wisiała przy siodle. Nie tracąc więcej czasu, ruszył pospiesznie w jej stronę. Pozostali żołnierze także chwyтали za broń zaalarmowani ostrzegawczym wołaniem dowódcy. Edir odwrócił się. Zaskoczony zobaczył ciała poturbowanych kompanów leżących bez ducha na ziemi.

„Co tu się dzieje?” – zastanawiał się, rozłożywszy bezradnie ręce. Wtedy coś do niego dotarło. Osilek podbiegł do drzewa i złapał za opartą o nie lancę, zrobił krok do rzutu i... Nidro widział przed sobą kolejną dwójkę żołnierzy. Ci wciąż mieli zaskoczenie wymalowane na twarzach, przypominali grabarzy, przed którymi nieboszczyk raptownie otwiera powieki. Nidro wpadł pomiędzy nich dokładnie wtedy, gdy ci sięgali po miecze. Zawirował wokół pierwszego żołnierza i zwinnym ruchem

pochwycił go za prawy nadgarstek. Przez chwilę stali zwróceniu do siebie bokiem niczym odbicia widziane w lustrze. Mężczyzna co prawda zdołał dobyć miecza, ale Nidro na tyle wzmocnił jego ruch chwyciwszy za uzbrojoną rękę, że zupełnie wytrącił go z równowagi. Energicznie skręcił biodra w jego stronę i założył mu dźwignię na nadgarstek. Żołnierz poczuł dojmujący ból w prawej ręce, a potem... A potem już niewiele pamiętał. Zrobił niekontrolowany przewrót przez prawe ramię i z impetem runął na trawę. Zapamiętał jeszcze, że przez parę chwil po upadku był przytomny. Wtedy jednak chłopak doskoczył do niego i trzasnął go zaciśniętą pięścią w kark. Ten szybki jak atak żmii cios momentalnie pozbawił go świadomości.

W czasie, kiedy on walczył z pierwszym żołnierzem, drugi zdołał wyciągnąć miecz. Uniósł broń za głowę i zamierzył się do cięcia, lecz wtedy Nidro doskoczył do niego, czym szybko skrócił dzielący ich dystans. Uderzył wyprzedzająco zaciśniętą pięścią prosto w niczym nieosłoniętą twarz szermierza. Rozległ się chrzęst łamanej przegrody, a z nosa chlusnęła mu szkarłatna krew. Młodzieniec zwinnym ruchem wsunął się pod przeciwnika i przerzucił go przez prawe ramię. Żołnierz po równie krótkim, co niekontrolowanym locie uderzył plecami o ziemię, przy czym nie wiedzieć kiedy, wypuścił swój miecz z ręki. Nidro zostawił go tak leżącego w trawie, a sam skupił się na kolejnym rywalu. Znowu był w ruchu, bo ruch dawał mu przewagę w walce. W tym czasie Elon dopadł do swojej kuszy.

„Dobrze, że zostawiłem ją napiętą” – pochwalił się w duchu za przezorność.

Edir rzucił lancą, mocno, pewnie, celował dokładnie w odsłonięty tors chłopaka. Nidro dostrzegł nadlatujący pocisk. Stalowe ostrze z wizgiem rozcinało powietrze, pędząc prosto na niego. Błyskawicznie rzucił się na ziemię i wykonał kontrolowany przewrót w przód, w czasie gdy lanca przelatowała górami. Przetoczył się zwinnie przez ramię, po czym wstał na równe nogi niesiony siłą rozpędu. Jedno uderzenie serca później był już przy osiłku. Edir stał jak cielak pod drzewem zupełnie nieprzygotowany do walki, bezrefleksyjnie otworzył usta w niemym zdumieniu, jakby to miało mu w czymś pomóc. Nidro nie dał mu czasu, aby ten choćby sięgnął po miecz.

– Haj! – Wskoczył wysoko w górę i zaatakował mocnym kopnięciem z półobrotu. Edir odruchowo uniósł obie ręce, w ten sposób próbował nieporadnie zasłonić się przed ciosem. – Łup! – Pięta chłopaka spłaszczyła mu profil. Olbrzym zachwiał się na nogach, poczuł miedziony smak krwi w ustach, a obraz leśnego traktu zafalował mu przed oczami. Nidro zaatakował ponownie, tym razem uderzył otwartą dłoń w brodę. Przeciwnik poleciał na plecy z szeroko rozpostartymi ramionami. Paradoksalnie, choć tego wiedzieć nie mógł, spotkało go to samo, co błotną dziewczynę chwilę wcześniej. Elon zobaczył, jak jego zastępca pada bez ducha na ziemię. Przyłożył kuszę do ramienia i wymierzył nią w plecy chłopaka. A kiedy miał już pociągnąć za dźwignię spustową, poczuł, jak coś wyszarpuje mu broń z rąk. Usłyszał basowe dudnienie nad głową, jakie wydają olbrzymie skrzydła omiatające powietrze.

– Co jest, do wszystkich...! – krzyknął bardziej zdziwiony niż przestraszony. A wtedy para ostrych szponów rozszarpała mu skórę na twarzy.

Ostatnia dwójka żołnierzy postanowiła zająć chłopaka z dwóch stron jednocześnie. Poruszali się ostrożnie na ugiętych nogach, z obnażonymi mieczami w rękach. I wtedy właśnie powietrze rozdarł przejmujący krzyk.

– Aaaaaa! – To Elon darł się wniebogłosy. – Zabierzcie to ze mnie!

Orzeł najwyraźniej poczuł smak krwi, bo atakował jak w transie. Szóstka zakrzywionych czarnych szponów cięła, szarpała i rozrywała skórę na strzępy. Jakby tego było mało, Arto, zapewne niesiony bojowym szałem, wbił twardy dziób w oczodół centuriona. Elon zawył przeciągle, kiedy jego lewe oko zmieniło właściciela. Runął na ziemię zakrwawiony, jednocześnie w desperacji próbował zasłaniać się rękami przed skrzydlatym oprawcą. Na widok tego, co spotkało ich dowódcę, pozostali żołnierze jednocześnie rzucili broń na ziemię.

– Poddajemy się! – zawołał jeden z nich. Stali teraz chyba bardziej oszołomieni, niż wystraszeni całym zajściem, nie wiedzieli zapewne, co powinni robić dalej. Patrzyli ze zgrozą, jak bojowy orzeł zamienia ich dowódcę w jednookiego kalekę.

„Wystarczy, Arto, dziękuję za pomoc” – Nidro wysłał mentalny rozkaz, na co ptak w odpowiedzi wydał z siebie przeciągły świergot. Niechętnie przerwał atak i wzleciał na gałąź drzewa, na którym wciąż jeszcze wisiała przywiązana za ręce dziewczyna.

Sena obserwowała z zapartym tchem, jak chłopak eliminuje ludzi Kapłana jednego po drugim. W dodatku robił to z taką łatwością, jakby wieszał pranie na sznurku. Poruszał się szybko jak skrzydła ważki. Do tej pory uważała, że sama jest dobra w walce wręcz. Ale to, co wyprawiał ten dzieciak, było po prostu niesamowite. Wyglądał, jakby tańczył z żołnierzami Kapłana, nieustannie zmieniając partnerów. Poruszał się przy tym tak lekko jak mgła nad jeziorem. Nadzieja w jej sercu odżyła na nowo.

„Zostało jeszcze sześciu, czterech. Tak, załatw ich wszystkich! Oni nie mieliby dla ciebie litości, to pieski Kapłana” – kibicowała mu w myślach, dostrzegłszy w tym swoją szansę na ocalenie. Nagle serce w niej zamarło, gdy Elon uniósł kuszę do strzału. Wydała z siebie nieartykułowany jęk, sądziła zapewne, że wizję jej szczęśliwego uwolnienia zakończy zaraz belt w plecach chłopaka. Ale wtedy stało się coś bardzo dziwnego, żeby nie powiedzieć – nierealnego. Biała pierzasta plama, uzbrojona w długie szpony, spadła na niedoszęłego strzelca jak lawina w wysokich górach. Dziewczyna nie wierzyła własnym oczom, gdy orzeł dosłownie wyrwał mu kuszę z rąk.

– Tak! – krzyknęła triumfalnie. „Cuda się jednak zdarzają” – pomyślała uradowana. Widziała właśnie, jak jeden z nich przybiera formę skrzydlatego demona.

Nidro rozejrzał się po poboju. Wszędzie wokół leżeli nieprzytomni żołnierze. I chociaż nikt nie zginął w tym starciu, ogólny rozrachunek nie przedstawiał się zbyt różowo. Był zły na siebie za to wszystko, za całą tę absurdalną sytuację.

„To nie tak miało wyglądać, nie tak!” W ucieczce przed natłokiem myśli zaczął się przechadzać w kółko. „Ale się porobiło”. Popatrzył na zmasakrowaną twarz Elona. „Arto postąpił słusznie, co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Ten dureń chwycił za kuszę, już we mnie celował, kiedy orzeł go dopadł. Sam więc jest sobie winny”.

Dwójka ocalałych z pogromu żołnierzy stała teraz bez ruchu jak kwiatki na parapecie i wpatrywała się pytającymi spojrzeniami w chłopaka. Ich twarde dotąd oblicza ogarnęła rezygnacja, choć w oczach wciąż tliła się nadzieja, że ocalą skórę. Cały ich oddział został właśnie rozbity w ile? Piętnaście uderzeń serca? Sami nie byli tego pewni. Nikt z nich nie widział nawet, kiedy to wszystko się zaczęło. W każdej innej sytuacji – byli co do tego całkowicie przekonani – biliby się do końca za swojego dowódcę i kolegów z oddziału, a przynajmniej tak przekonywali samych siebie. Jednak ten numer z orłem kompletnie zbił ich z tropu. Nigdy w życiu nie widzieli czegoś podobnego. Wiedzieli wprawdzie, że cesarscy magowie mają ptaki bojowe, ale to wszystko działo się gdzieś tam, na kontynencie centralnym. Tutaj, na prowincji, nikt czegoś takiego nie widział. To było dla nich po prostu za wiele. Nawet jak na ludzi, którzy swoje w życiu widzieli.

– Moja twarz, moje oko! – Elon skomlał z bólu. Leżał na trawie w pozycji embrionalnej. Obiema rękami trzymał się za głowę, a raczej za to, co kiedyś nią było. – Kim ty, cholera, jesteś? Coś ty mi zrobił? Nic nie widzę na jedno oko! – zawył jak kojot, targany palącym bólem.

Orzeł tymczasem niewinnie spoglądał na wszystko z gałęzi, zupełnie jakby nic się nie stało. Gdyby był człowiekiem, pewnie ziewałby teraz z nudów. To były jednak pozory, gdyż Arto tak naprawdę przypatrywał się wszystkim z uwagą i oceniał sytuację.

Nidro od jakiegoś czasu przestał na cokolwiek zwracać uwagę, zamiast tego intensywnie szukał w głowie przyczyny wszystkich swoich problemów.

– Nie rzucaj się w oczy. Bądź niewidzialny. Pamiętaj, jesteś posłańcem. Pokaż żołnierzom list – powtarzał cicho z lekkim rozgoryczeniem słowa Ligura i zastanawiał się, gdzie popełnił błąd. – Chciałem jedynie pomóc w schwytaniu złodzieja. To nie moja wina, że ten dureń rozkazał ją spalić, przecież to jest jakiś absurd. Jak cesarskie wojsko mogło postąpić w ten sposób? I co ja mam z nią zrobić? Ale się wpakowałem w maliny. Będę ją musiał zabrać ze sobą do Kenir. Tych tu puszczyć wolno, niech wracają do Segal. Później napiszę raport i wyjaśnię wszystkie okoliczności zajścia. Jak znam życie, to postawią nas przed sądem polowym. Dziewczyna musi zeznawać, tak, jej zeznanie z całą pewnością oczyści mnie z wszelkich

zarzutów. Ale chryja. Nie ma to jak zacząć służbę w armii od totalnej katastrofy.

Sena z niepokojem obserwowała chłopaka, jak łązi bez celu i gada sam do siebie.

„Nie, no to jest jakiś świr” – zaświtało jej w głowie. „Ja to mam szczęście do facetów, no nie ma co. Najpierw mnie walnął, a potem zabrał mi noże” – odpowiedział ten sam oskarżycielski głos. „Ale jak chcieli mnie spalić, to nie pozwolił... – nieoczekiwanie odezwała się inna, bardziej zrównoważona myśl – ...świr nie świr, przecież uratował mi życie”.

W tym właśnie momencie Nidro przypomniał sobie o wciąż wiszącej na linach dziewczynie. Podszedł do niej i zapytał rzeczowo, z pewnym politowaniem:

– Jak cię zwa, Sari?

Ta zastanawiała się przez chwilę, czy go po prostu nie okłamać. W końcu doszła do wniosku, że w tym momencie to i tak nie ma znaczenia.

– Jestem Sena – powiedziała cicho z rezygnacją w głosie.

Nidro odwrócił się do dwójki żołnierzy.

– Rozwiążcie ją! – rozkazał lodowatym tonem, od którego wszystkim przeszedł po plecach dreszcz. – Tylko delikatnie – dodał ostrzegawczo.

Tamci ruszyli natychmiast, by zrobić, co im kazał. A Nidro na powrót zaczął chodzić w kółko, drapiąc się przy tym po zatroskanej głowie.

„Konie im zostawię. Potem powiedzą, że nie dość, że ich napadłem, to jeszcze okradłem. Do miasta zostało mi ile... jeden dzień drogi? I to niecały. Tak, pójdziemy na piechotę, najwyżej w Kenir poproszę o wierzchowca”.

Żołnierze szybko poradzili sobie z zadaniem, akurat wykonywanie rozkazów przychodziło im bez trudu.

– Zabierzcie swoich rannych i wynoście się stąd. Lepiej dla was, abyśmy się więcej nie spotkali – mówiąc to, Nidro wskazał na leżących pokotem żołnierzy.

Dziewczyna była cała i zdrowa. Gdy więzy puściły, zaczęła rozcierać dłońmi obolałe nadgarstki. Podeszła do siwego konia jakby od niechcenia i niepostrzeżenie wyjęła z sakwy jakieś zawiniątko, nikt nie zauważył, kiedy schowała je do kieszeni. W tym czasie dwójka żołnierzy po kolei wciągała

nieprzytomnych kompanów na konie, niektórych musieli przywiązać linami do siodła, by nie pospadali w drodze. Podnieśli rannego dowódcę z ziemi i pomogli mu utrzymać się w siodle. Elon obejrzał się na chłopaka swoim jedynym sprawnym okiem. A gdyby wzrok mógł zabijać, zapewne poćwiartowałby go na kawałki samym spojrzeniem. Nidro nic jednak sobie z tego nie robił. Stał nieruchomo z rękami na piersi i cierpliwie czekał, aż wszyscy odjadą. Kiedy żołnierze w taki czy inny sposób dosiedli koni, oddział ruszył w ciszy w tę samą stronę, skąd nie tak dawno przyjechał. Jechali stępą na zachód, w żałobnym kondukcje, pogrążeni w zadumie, jakby utonęli we własnych czarnych myślach. Elon trzymał się rękami za głowę. Jeszcze do niego nie dotarło, co się właściwie przed chwilą stało. Wiedział jednak, że to nie miało prawa się wydarzyć. To po prostu nie mogło się wydarzyć, a już na pewno nie jemu.

Oddział konnych zniknął za drzewami, a na leśnej drodze pozostali jedynie on i Sena. Nidro zakleszczył się w przewężeniu własnych rozważań, skąd spozierał nieobecny wzrokiem za odjeżdżającymi. Wszystko dopiero co pieruńsko się skomplikowało. A jego misterny plan zakładający niepostrzeżone przejście przez kontynent rozdziobały dzięcioły na strzępy, i to na jego oczach. Miał się przecież tylko dostać do Kenir, nie zwracając na siebie uwagi. To było wyjątkowo proste zadanie, a on je tak sakramencko spieprzył. A teraz dodatkowo ma na karku pasażera na gapę. Mimo wszystko był pewien, że postąpił słusznie. Nie mógł po prostu stać i patrzeć, jak będą ją palić żywcem. No nic, jak to mówią, nie łapie się byka za wymiona, a szczególnie w zagrodzie sąsiada.

– Hej, ty! – Usłyszał wołanie za plecami. Twardy głos dziewczyny wyrwał go z temporalnego ośpienia. – Nie jesteś chyba żadnym świrem, prawda? – zapytała z zaskoczenia, starała się go w ten sposób wybać.

„W końcu jeśli rzeczywiście jest świrem, to pewnie się wygada” – pomyślała Sena.

– Kim nie jestem? – spytał zdziwiony, przenosząc ociężałe spojrzenie na błotną postać.

– No, takim, co ma w głowie...

– Wiem, kim jest świr – przerwał jej ostentacyjnie. – Dlaczego uważasz, że z moją głową jest coś nie tak?

– Pomyślałam, że może jesteś takim zboczeńcem, co napada piękne kobiety w lesie. No wiesz, w niecnym celu.

Nidro, kiedy to usłyszał, zaczął się śmiać jak szwagier grabarza. Straciwszy kontrolę nad odruchami, nie zdołał się opanować.

– Świr, świr, świr – powtarzała pod nosem, wpatrzona z niedowierzaniem w podrygującą sylwetkę chłopaka. „A jednak, działanie z zaskoczenia całkowicie go zdemaskowało” – odezwał się wewnętrzny psycholog w jej głowie.

Nidro wracał powoli do stanu emocjonalnej równowagi. Jego organizm zapewne w ten sposób odreagował stres towarzyszący niedawnym wydarzeniom.

– To było dobre – stwierdził po chwili. – Warto w tym miejscu dodać, że wyglądasz równie pięknie, jak pachniesz. – Ponownie zaczął się chorobliwie śmiać.

Dziewczyna spojrzała na swe czarne od błota ręce. Powąchała lewą dłoń.

„No, nie pachnę co prawda różami, ale bez przesady” – pomyślała zirytowana ordynarnym w jej mniemaniu zachowaniem młodzieńca.

– O co chodziło z tą bransoletką? – zapytał w końcu, gdy się opanował.

– Ukradłam jadeitowego smoka Wielkiemu Kapłanowi z Segal, to taki stary artefakt. – Dziewczyna dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, co właściwie zrobiła.

„Na Martwe Ziemie!” – skarciła się w myślach. „Przecież zaraz mu wszystko wygadam, wciąż mam tę pieprzoną bransoletkę w kieszeni”.

– Wiem, co to za artefakt – odparł wyraźnie zdziwiony chłopak. – On należy do rodziny cesarskiej od wielu pokoleń.

Dziewczyna myślała gorączkowo, jakby się pozbyć tego ciepłego kartofelka, który tak parzył ją w... nieważne, w co. Jej wzrok zatrzymał się na kurtce chłopaka. Nagle wpadła na świetny w swoim mniemaniu pomysł. Potknęła się nieszczęśliwie, a wtedy on zgodnie z przewidywaniem doskoczył do niej, aby ją podtrzymać. Cała transakcja odbyła się

niezauważalnie dla oka. Kiedy Nidro chwycił ją za ramię, ta ruchem iluzjonisty wsadziła mu artefakt do wewnętrznej kieszeni kurtki.

– Dziękuję – powiedziała, gdy na powrót złapała równowagę. Czuła się o wiele lepiej bez bransoletki prawdy w kieszeni. Sena nosiła ją przy sobie od dobrych trzech tygodni, do tej pory jednak była sama. Natomiast do towarzystwa ten klejnot w ogóle się nie nadawał.

– Więc jesteś złodziejką? – podjął temat Nidro. – Masz jakieś tatuaże?

– Nie, nie mam żadnych, jeśli chcesz wiedzieć – odparła z równą dozą dumy i pogardy w głosie.

– W takim razie musisz być dobra w tym, co robisz. – Na jego usta wypłynął uśmiech, niczego nie ujmując wnikliwemu spojrzeniu.

Dziewczyna odpowiedziała mu tym samym, ale zza błotnej maski nie było niczego widać.

– Co chcesz ze mną zrobić? – spytała na pozór lękliwie.

– Nic szczególnego, przekażę cię w Kenir do aresztu śledczego. Tam oboje złożymy zeznania z tego zajścia. Ty, jak sama twierdzisz, nie byłaś dotąd karana, więc za kradzież artefaktu dostaniesz najwyżej kilka lat niewoli. No, może trochę więcej – poprawił się szybko – zważywszy na to, kogo okradłaś. Ale to i tak jest chyba dużo lepsze niż spalenie żywcem, nie uważasz? – Wykrzywił usta w grymasie uśmiechu i przyjrzał się jej badawczo.

– A nie mógłbyś mnie po prostu zostawić tutaj? – spytała błagalnie. – Ja bym sobie jakoś poradziła sama. Ty też masz pewnie różne ważne sprawy na głowie, szkoda czasu na składanie zeznań i takie tam. – Sena usilnie próbowała być przekonująca.

– Niestety, nie mogę tego zrobić – odparł szczerze rozbawiony jej żalosnym wybiegiem. – Widzisz, żeby uratować taką piękność jak ty – powiedział i wyszczerzył zęby w niewymuszonym uśmiechu na samą myśl o błotnej nimfie – pobiłem właśnie cały oddział cesarskich żołnierzy, a ich dowódca stracił w tym starciu oko.

Już chciała otworzyć usta, aby zacząć kolejną litanię prośb, gdy nagle zmieniła zdanie, i zamiast tego powiedziała półgłosem:

– Szkoda, że tylko tyle.

– Teraz muszę się z tego jakoś wykręcić, rozumiesz? – Nidro obrzucił ją przelotnym spojrzeniem.

– Rozumiem, ale oni chcieli mnie spalić. – Podjęła jeszcze jedną próbę z narastającą frustracją w głosie.

– No właśnie – podchwycił słowa dziewczyny. – Ale to jest niezgodne z prawem. Dlatego jeżeli potwierdzisz moją relację, to zaraz będzie po wszystkim. Sama widzisz, że koniecznie musisz zeznawać.

– A jeśli im powiem, że to ty zaatakowałeś żołnierzy bez żadnego powodu? – Wbiła w chłopaka wyzywające spojrzenie.

– Wtedy ja dopilnuję, abyś całą swoją karę odbyła w Segal – odpowiedział jej tym samym.

Dziewczynie aż ciarki przeszły po plecach na samo wspomnienie nadmorskiej miejscowości.

– A ty skąd pochodzisz, przystojniaczku? – zmieniła temat na neutralny.

– Jestem bojowym magiem z klasztoru Jasnego Cienia w górach OstSa – odpowiedział jej beztrząs, jakby zamawiał herbatę z miodem. Nagle stanął jak wryty, gdy dotarło do niego, co właśnie zrobił. – O nie! – Powietrze zadrgało basowo, niosąc ze sobą szorstki, rozsierdzony głos chłopaka. „Wygadałem się jej!” – myśli zaczęły boksować się w jego głowie. Co się stało? Przecież właśnie miał zamiar gładko ją okłamać, dlaczego tak głupio się wygadał? Złodziejka, artefakt, nieee! Wypowiedział zaklęcie, a z jego kurtki wystrzelił zielony pocisk, zostawiwszy w materiale dziurę na wylot.

– O cholera! – wyrwało się zaskoczonej dziewczynie. – Bojowy mag? Jakim cudem? Tutaj?

Patrzyła z niedowierzaniem na młodego chłopaka w brudnych spodniach. Jadeitowa bransoletka upadła na ziemię, niecałe dziesięć kroków przed nimi.

– A co to takiego? – wysyczał przez zaciśnięte zęby. Był wściekły. Podszedł do bransoletki i wbił palące spojrzenie w dziewczynę. Widziała na jego twarzy silne emocje buzujące pod cienką maską samokontroli.

– Ty idiotko! – wydarł się na nią z prawdziwą pasją. – Właśnie zamieniłaś sobie dwa lata niewoli na wyrok śmierci.

– Jaki wyrok, co ty wygadujesz? Ja nic nie zrobiłam! – Rozłożyła ręce na boki, robiąc jednocześnie minę zbolętego cielaka.

– O nie, zrobiłaś, i to co zrobiłaś! Dowiedziałaś się właśnie czegoś, czego nie powinnaś. W dodatku nielegalnie użyłaś artefaktu na cesarskim bojowym magu, już za samo to czeka cię kara śmierci.

– A skąd ja mogłam wiedzieć, że ty jesteś magiem? – odpowiedziała mu łamiącym się głosem. – Magowie siedzą w pałacach, w prowincjach centralnych, a nie latają z brudnymi portkami po lasach na końcu świata! Przecież nie masz na czole napisane, że jesteś bojowym magiem.

– No właśnie nie mam po to... – Urwał nagle, by posklejać na powrót poszarpane myśli. „No nie, kolejny plan właśnie sam się zeżarł na moich oczach. Ta dziewczucha przyciąga nieszczęścia jak cukier mrówki. I znowu trafiłem jak śliwka w kompot” – myślał gorączkowo, szukając jakiegoś sensownego wyjścia z sytuacji. – Podnieś to i trzymaj przy sobie! – Wskazał bransoletkę, z trudem opanowując emocje.

Dziewczyna podeszła z ociąganiem i dwoma palcami podniosła artefakt z ziemi. Zrobiła to z takim obrzydzeniem, jakby ta mała ozdoba miała jej wysmarkać się na dłoni.

– Nie zrobisz tego, prawda? – wymamrotała cicho, wbijając w chłopaka bursztynowe tęczówki. Dziewczyna wyglądała co prawda bardziej na zmęczoną niż przestraszoną, lecz w jej oczach dostrzegł gniew i determinację.

– Nie zrobię czego? – Jego głos zdradzał wściekłość.

– Nie zabijesz mnie tutaj, prawda?

– W sumie to nie jest taki głupi pomysł – odparł w taki sposób, jakby naprawdę się nad tym zastanawiał.

„Ten świr to robi, widzę to w jego oczach” – jej wewnętrzny psycholog głośno bił na alarm.

W końcu nie wytrzymała napięcia, zacisnęła pięść i zamachnęła się na niego jedną ręką. Nidro płynnym ruchem wsunął się pod ramię atakującej dziewczyny, zgiął się wpół, przepuszczając cały impet uderzenia nad sobą. Sena przeleciała przez niego, zadarłszy nogi ku górze, po czym walnęła z łoskotem o ziemię.

– Ałaaa! – jęknęła z bólu, łapiąc się ręką za obolałą nogę.

Niespodziewanie ten atak wyciągnął go z fatalistycznego narożnika i pomógł mu się pozbierać. Wyraźnie było widać, że emocje w nim stygną.

– Dlaczego to zrobiłaś? – zapytał, składając razem obie dłonie.

– A ty dlaczego mnie wałnąłeś w brodę? – odpowiedziała mu pytaniem na pytanie, jednocześnie wskazując palcem za siebie.

– Dlatego, że rzuciłaś we mnie nożem – odparował szczerze zaskoczony.

– A dlaczego rzuciłam w ciebie nożem? Ty kretynie! – Sena była zmęczona i obolała. W tej chwili nie myślała racjonalnie. A tak na dobrą sprawę to miała wszystkiego dość. Za dużo osób ostatnio groziło jej śmiercią.

Nidro się zawahał.

– No... dlatego że... chciałem cię zatrzymać? – Nieoczekiwanie zabrzmiało to jak pytanie.

– Tak, chciałeś mnie zatrzymać i oddać ludziom, którzy, jak sam powiedziałeś, zachowali się źle i chcieli mnie spalić!

– No dobrze, skończmy tę grę w: kto uderzył kogo. To do niczego nas nie doprowadzi – stwierdził pojednawczo. – Uznajmy więc, że jesteśmy kwita. Ja wałnąłem ciebie w brodę, a ty w afekcie rzuciłaś sobą o ziemię. Ponieważ rachunki zostały wyrównane, proszę cię, nie rób sobie więcej krzywdy. – Wyciągnął dłoń w stronę leżącej, a na jego twarzy pojawił się cień szczerego uśmiechu.

Sena podniosła się z ziemi, lecz ostentacyjnie wyminęła rękę chłopaka. W dodatku odwróciła głowę tak, aby przypadkiem na niego nie spojrzeć.

– Proszę cię, nie rób sobie więcej krzywdy – powtórzyła za nim, parodiując jego sposób mówienia. Miała tego serdecznie dosyć, w końcu chodziło tu przecież o jej życie.

„On się boi, że wszystkim wygadam, gdzie znajduje się ten cały klasztor. Ale nie chce mnie zabić, więc nie jest tak najgorzej. No cóż, trzeba zaryzykować” – pomyślała, gotowa wyłożyć wszystkie karty na stół. Spojrzała na chłopaka, złapała się rękami pod boki i rzuciła mu prosto w twarz:

– Jeśli mnie oddasz do aresztu w Kenir, powiem wszystkim o Klasztorze Jasnego Cienia czy Ciemnego Cienia, bez różnicy, w górach OstSa. Tak,

dobrze zapamiętałam? – wyrzuciła to z siebie jednym tchem.

Na te słowa twarz chłopaka zmieniła kolor na soczyście buraczany.

– Ale wiesz co? – dodała szybko, tym razem łagodnym tonem. – Jeśli mnie nie wydasz, to nie pisnę o tym nikomu, obiecuję.

– Wspaniale! – wykrzyczał z pasją szewca w szczycie sezonu obuwniczego. – Mam obietnicę złodziejki, po prostu cudownie! Więc wbij sobie do tej twojej zabłoconej głowy, że jesteś zwykłym złodziejem i twoje słowo nic dla mnie nie znaczy.

– Po pierwsze – przerwała mu bezceremonialnie Sena – to nie jestem zwykłym złodziejem, ale najlepszym złodziejem w Atolu – powiedziała to z nieskrywaną dumą w głosie.

– Wybornie – skomentował jej słowa z drwiną posmarowaną grubo sarkazmem.

– A po drugie, ja się chcę stąd wydostać tak samo jak ty, albo jeszcze bardziej. W tej chwili wszyscy na tym kontynencie chcą mnie zabić. Ludzie Kapłana polują na mnie za to, że ukradłam mu artefakt. Ludzie Szczura ruszą za mną, jak się dowiedzą, że zwiłam. Dlatego jedyna osoba, jaka może mi zagwarantować jakieś względne bezpieczeństwo w tej sytuacji, to tylko ktoś taki jak ty. I dlatego właśnie nie zdradzę nikomu, gdzie jest ten twój cały klasztor, bo od tego zależy też i moje życie, do którego, nie ukrywam, wciąż mam wielki sentyment.

– Dlaczego chcesz uciec z gildii? – zapytał po chwili niewdzięcznej ciszy, wyraźnie poruszony szczerością dziewczyny.

– Może dlatego, że wygadałam się dopiero co, dla kogo tak naprawdę pracuję. To wyłącznie kwestia czasu, kiedy Szczur się o tym dowie, a wtedy będzie po mnie. Gildia nie wybacza zdrady, więc w Atolu czeka mnie taki sam stosik jak tutaj, albo i jeszcze coś lepszego. Sam widzisz, jeśli chcę przeżyć, to muszę trzymać język za zębami. Twój sekret jest teraz moim sekretem. – Po tych słowach obydwójce pogrążyli się w zadumie, zapadła niewygodna cisza.

Nidro rozkładał w myślach wyznanie dziewczyny na czynniki pierwsze.

„Ale numer, właśnie zostałem nianią zawodowej złodziejki. Swoją drogą, to prawda, co mówią ludzie, że kobiety są mistrzami w komplikowaniu życia

swych męskich ofiar. Z drugiej strony, dziewczyna ma rację, że w Kenir nie mogę jej zostawić. Tam, jak wszystko wypała, to będzie po mnie. Nie ma wyjścia, muszę ją zabrać ze sobą do Tarnau, ale numer. Ona ma rację w jeszcze jednej kwestii. Faktycznie, nie mogła wiedzieć, że jestem bojowym magiem. Uznała pewnie, że znalazła sobie fajną kryjówkę na tę całą bransoletkę. Co innego, że złodziejka przyciąga kłopoty jak kupa owady. I jeśli w jeden dzień wpakowała mnie w takie gówno, to strach pomyśleć, co będzie jutro? No nic, trzeba działać sensownie i myśleć pozytywnie. Mam teraz artefakt, zawsze mogę powiedzieć, że zabezpieczyłem go, aby nie wpadł w niepowołane ręce. Tak, to jest dobre, że też od razu na to nie wpadłem. Może jeszcze wyjdę suchą nogą z tego szamba” – przekonywał się w duchu, gdy wyrwały go z transu słowa dziewczyny:

– No i zostałam sam na sam z tym świrem – sapnęła ciężko, jakby całe to zasrane życie usiadło jej na klatce piersiowej. – Zawsze mogło być gorzej. – Odruchowo rozmasowała obolałe nadgarstki. – Co jak co, ale uratował mi przecież życie. Jednak gdyby nie wałnął mnie wtedy w twarz, to sama bym im uciekła. – Od tych wszystkich problemów rozboleła ją głowa. Była zmęczona, o tak, zmęczona przez duże „Z”. Miała ostatnio bardzo ciężki okres w życiu i chciała się teraz wyspać. Spojrzała na swoje czarne od błota, śmierdzące torfem łachy. – Ale najpierw muszę się wykąpać. Tak, kąpiel, a potem muszę coś zjeść. Kąpiel, zjeść i spać. O tak, to jest dobry plan. – Ucieszyła się, że wreszcie zdołała określić swoje życiowe priorytety, po czym oznajmiła nieznoszącym sprzeciwu głosem:

– Musimy się tu zatrzymać!

– O nie... – zaczął, lecz jeszcze szybciej skończył, zgromiony lodowatym spojrzeniem towarzyszki.

– Popatrz, jak ja wyglądam! – wydarła się na niego.

Nidro spojrzał na nią, jak gdyby widział ją po raz pierwszy w życiu.

– Nie jest tak źleee – skłamał niezdarnie.

– Robimy postój i nie chcę słyszeć żadnych głupich wymówek! Zrobimy tak – powiedziała, doskakując do niego. – Ja teraz idę się umyć, a ty mnie później nakarmisz.

– Ale... – zaczął, lecz jego sprzeciw został ostentacyjnie zignorowany. Dziewczyna odwróciła się na pięcie i zdecydowanym krokiem odeszła w stronę strumienia.

Nidro wypuścił całe nagromadzone powietrze z płuc.

– Ooo tak, oddychaj – powtarzał sam do siebie, robiąc głęboki wdech nosem. Gdy trochę ochłonął, machnął ręką w powietrzu, jak gdyby oganiał się przed niewidzialną mgłą, zaraz też wziął się za zbieranie gałęzi na ognisko. Kiedy on zbierał patyki, Arto udał się nad rzekę po pstrągi. Rzucił niechlujnie gałęzie na trawę, jeszcze raz westchnął przeciągle, kiedy układał je w zgrabny stos. Wyjął z worka krzesiwo i zaczął cierpliwie rozpalać ogień.

– Sam jestem sobie winny – powtarzał, gdy kamienie krzesły iskry. – I teraz mam za swoje – gadał tak do siebie, aż sucha kora w środku stosu w końcu zajęła się ogniem. Był środek dnia, a on wciąż chciał jeszcze dzisiaj dojść do Kenir. Jednak szansa na to, że zdążą przed zamknięciem bram miasta, malała z każdą zmarnowaną na postój chwilą. Płomienie strzeliły w górę, kiedy Arto wrócił, świergoląc radośnie, z pierwszą porcją pstrągów. Nidro wypatroszył ryby maczetą i jednym sprawnym ruchem nabił je na gruby kij, który sam uprzednio zaostrzył. Wystawił je do ognia i usiadł zrezygnowany na ziemi. Westchnął przeciągle, przejechał dłonią po twarzy i zastygł zgarbiony, zawiesił wzrok wpatrzony w taniec płomieni. Wyciągnął dwa placki z plecaka i czekał z cierpliwością kamienia na powrót torfowej nimfy.

Sena niepewnie wsadziła nogę do wody.

– Jejku, jaka zimna – zapiszczała i raptownie wyciągnęła ją z powrotem. – Test środowiskowy wypadł niepomyślnie – powiedziała, nim ściągnęła zabłocone ubranie. Gdy je z siebie zrzuciła, odczuła wielką ulgę, jak koń, z którego zdjęto oblepione potem chomąto. Wzięła do ręki śmierzdzące łachy i zaczęła je moczyć w strumieniu. Błoto mimo jej usilnych starań nie chciało się oderwać od materiału, dlatego musiała mocno nim trzeć o kamienie. To samo zrobiła z butami, choć skórzane ciżmy swe najlepsze lata miały już dawno za sobą. – Dobrze, że jest taki ciepły dzień, przynajmniej ubranie zdąży mi wyschnąć przed zmierzchem, a i ja się trochę rozgrzeję po tej całej kąpieli – pocieszała się, chuchając na siniejące od zimnej wody palce.

Kiedy odzież była mniej brudna, a jej torfowa woń stała się ledwo co wyczuwalna, Sena powiesiła pranie do wyschnięcia na gałęzi pobliskiego drzewa. Teraz nadeszła ta trudna chwila. Znalazła większe zagłębienie w strumieniu i podeszła do niego, skacząc po kamieniach. No nic, trzy, dwa, jeden, skoczyła do lodowatej wody, która sięgała jej do pasa. Dziewczyna zaczęła krzyczeć na całe gardło:

– Zzzimna wwwoda, jaka zimna! – Ręce odruchowo przyłgnęły jej do piersi, kiedy próbowała się cała zanurzyć. – Szybko, szybko – wołała, zmywając z siebie pospiesznie błoto. Kiedy uznała, że jest w miarę czysta, wyskoczyła z powrotem na brzeg. Stała skulona na trawie, obejmowała się mocno rękami i trzęsąc się z zimna na całym ciele, zaczęła dreptać w miejscu. Wtedy nad jej głową przeleciał orzeł i nieoczekiwanie zrzucił jej prosto na ręce męską bluzę i spodnie. Zachłannie chwyciła podarunek w locie przemarzniętymi dłońmi. Oczekała, aż wiatr osuszy jej skórę, i dopiero wtedy zaczęła się ubierać. Chłopak był nieznacznie wyższy od niej, więc jego ubrania pasowały niemal idealnie. Zadowolona z takiego obrotu sprawy ruszyła w stronę ogniska z butami w ręku. Usiadła obok niego i błagalnie wyciągnęła ręce w stronę tańczących płomieni. Nidro w pierwszej chwili jej nie poznał. Dziewczyna bez błota na twarzy wyglądała, mhy... co tu dużo mówić, była olśniewająco piękna. Jasna, jedwabista cera, smukła, wyrazista twarz, karminowe, doskonale wykrojone usta, długie rzęsy oraz lśniące, bardziej niż czarne włosy spływające kaskadami do połowy pleców. Nidro rozdziawił usta w zdumieniu. Sena spojrzała na niego i parsknęła śmiechem.

– Faceci – powiedziała kpiąco, kręcąc głową. – Wszyscy jesteście tacy sami. Jeszcze mi powiedz, że dobrze wyglądam po bagiennym spa, i w ogóle poczuję się jak w domu.

„O czym ona mówi?” – zastanawiał się, jednocześnie z wyraźnym trudem próbował wrócić do rzeczywistości. Dziewczyna tymczasem przysunęła się bliżej niego i pytająco wskazała na pstrąga.

– Poczłustujesz mnie, czy wyłącznie będziesz się gapił?

– A tak, proszę – powiedział, podając jej patyk z rybami oraz placek, o którym trzy razy już zapomniiał, cały czerwieniąc się na twarzy.

– Spokojnie – powiedziała przymilnie – jestem przyzwyczajona. – Dmuchała na gorący kawał ryby, przerzucając go sobie z jednej do drugiej dłoni. – Faceci zawsze się na mnie gapią i właśnie dlatego jestem takim dobrym złodziejem. – Zaśmiała się uroczo, a Nidro po raz pierwszy zobaczył jej ładny uśmiech. Wyglądała czarująco, a on sam się przyłapał na tym, że tak ją teraz postrzega. Gdy nie rzucała mięsem na prawo i lewo, była naprawdę ujmująca.

Dziewczyna pożerała rybę w zastraszającym tempie, wpychała do ust ogromne kawałki, aż Nidro zaczął się martwić, że poparzy sobie gardło. Potem o mało co nie zadławiła się plackiem. Na szczęście w porę podał jej bułdak z wodą, zapewne po raz drugi tego dnia ratując jej życie. Sena przyjęła go z wdzięcznością, przepiła posiłek, beknęła jak prosię i położyła się do spania tam, gdzie siedziała.

– O nie! – zawołał, widząc, na co się zanosi. – O nie, moja droga, idziemy dalej, ja nie mam zamiaru...

Dziewczyna nie dowiedziała się, jakiego zamiaru nie miał jej towarzysz, ponieważ zasnęła od razu, kiedy tylko zamknęła powieki.

– No nie wierzę! – Zalała go fala wzbierającej wściekłości, która dopiero po chwili zaczęła z wolna opadać. Nidro postanowił wyżyć się na patyku po rybie i rzucił go na zatrącenie w ognisko. – Ja gotuję, to ty zmywasz – powiedział do śpiącej dziewczyny. – Następnym razem pozwolę im cię spalić – fuknął na koniec. Kiedy zdał sobie sprawę z tego, że jego tyrada nie przyniosła żadnego efektu, wziął hamak i zaczął sobie szykować miejsce do spania na przydrożnym drzewie. – I tak jest pewnie za późno, by zdążyć do miasta przed zamknięciem bram – okłamywał samego siebie podczas wspinaczki po gałęziach. Tego dnia kładł się spać z przeświadczeniem, że kolejny dzień musi się okazać lepszy od poprzedniego, co zważywszy na okoliczności, wcale nie powinno być takie trudne.

Hamak zaskrzypiał cicho, kiedy Nidro opuszczał go o poranku. Dawno się tak nie wyspał. Sprawnie odczepił związane linki, zwinął w kostkę prowizoryczne posłanie i zaczął niespiesznie schodzić na ziemię. Dziewczyna spała tak, jak ją zostawił poprzedniego popołudnia.

„Teraz będzie spać trzy dni” – pomyślał zirytowany. Dopiero gdy podszedł bliżej, zwrócił uwagę na jej poranione stopy.

– Oooj, nieładnie to wygląda – mruknął pod nosem, kiedy pochylił się nad śpiącą. Rozłożył swój rulon z medykamentami i uważnie zaczął go przeglądać. Wyjął z niego dwa długie zielone liście, którymi dokładnie obwiązał stopy dziewczyny. Wypowiedział zakłęcie, a jednocześnie skierował energię leczniczą z roślin prosto do ran. Rozległe krwiaki zaczęły się goić na jego oczach, a po chwili nie było po nich żadnego śladu. W dodatku skóra zrobiła się tak gładka, jakby dziewczyna przez całe życie podróżowała w lektyce. Pozbawione mocy liście zmarszczyły się i zaczęły usychać w okamgnieniu. I właśnie wtedy Sena poczuła łaskotanie. W jednej chwili poderwała się z ziemi, jakby oblaży ją jadowite żaby. Stała w pozycji obronnej i z obawą spojrzała na nagie stopy, do których wciąż miała przyklejone zielsko.

– Co robiłeś z moimi stopami, ty zboczeńcu?!

– Nie ma za co – rzucił w odpowiedzi. Przyglądał się jej z kolan, gdy zwijał rulon z lekami, i musiał przyznać, że miał przed sobą bardzo atrakcyjną wersję złości. Kiedy skończył, sięgnął do torby po placek i podał go zdeorientowanej dziewczynie. Ta rzuciła się na jedzenie jak ośmiornica w rui na samca, w jednej chwili zapominając o molestowaniu. Wiedziała, że je jak świnia, ale miała to gdzieś, znów była strasznie głodna.

– Niedługo wejdziemy na główny trakt – zagaił nieoczekiwanie rozmowę.

– Aha... – mruknęła, wpychając sobie kolejny kawałek placka do pełnych ust.

– W Kenir planuję zrobić krótki postój. Wejdziemy po cichu do miasta, zorientujemy się w sytuacji, może zaopatrzymy się w jakieś konie. A jutro z rana ruszymy w dalszą drogę na południe.

– Aha... – W tym jednym mruknięciu dziewczyna zawarła zarówno szczerą obojętność, jak i beztroskie lekceważenie. Zachowywała się tak, jakby poza plackiem świat dla niej nie istniał.

– Najważniejsza sprawa to nie rzucać się w oczy – tłumaczył jej jak małemu dziecku.

– Aha...

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz? – Zirytował się w końcu.

– Tak, proszę, mów dalej, najważniejsza sprawa to nie rzucać się w oczy – powtórzyła po nim jak papuga.

– Chodzi o to, by nie rzucać się w oczy miejscowym. – Próbował na nowo przedstawić swój plan, a wtedy jakby coś go olśniło. Spojrzał na czarnowłosą piękność stojącą obok i pacnął się ręką w czoło. – Dlaczego to musi być takie trudne! – zawołał, wznosząc ręce ku niebu. – Jak mam się przedostać niezauważony do Tarnau z dziewczyną, która rzuca się w oczy jak lemingi w przepaść! – Jego umysł konspiratora znów działał na pełnych obrotach.

W tym czasie Sena spałaszowała cały placek, a jej oczy zaczęły pożądliwie spoglądać na smakowicie wypchany plecak. Nidro uniósł wzrok ku niebu, demonstrując swoją bezradność, zanim podał jej kolejny kawałek. Dziewczyna capnęła go, jakby to był pierwszy placek, jaki jadła w życiu.

– Znajdziemy ci jakąś chustkę – oznajmił po przerwie nieco zrezygnowanym tonem.

– Jaką? – Zainteresowała się czymś wreszcie.

– Taką... – Zamyślił się na moment, miał to słowo na końcu języka. – Wielką – powiedział w końcu. – Tak, znajdziemy ci ogromną chustkę, by cię całą zakryć. – Zrobił dłońmi kwadrat w powietrzu, by unaocznić swoją wizję. Wtedy dziewczyna podeszła do drzewa, gdzie od wczoraj suszyła swoje ubranie. Nie przerywając jedzenia, ściągnęła z gałęzi czarną pelerynę z kapturem i nałożyła ją na siebie.

– Czy takie coś się nada? – powiedziała z pełnymi ustami, głosem słodkiej idiotki. Kaptur zakrywał całą jej twarz, był naprawdę wielki.

– Tak, właśnie o to chodziło! – zawołał podekscytowany, spontanicznie klaszcząc w dłonie. – No dobra, może nie będzie jednak tak źle, jak myślałem – mruknął sam do siebie zadowolony z takiego obrotu sprawy.

Sena zamarła, tym razem to do niej coś dotarło. Musiała czymś popić placki? Nie, to nie to, było coś jeszcze, lecz jej umysł nie potrafił tego rozgryźć, coś z pewnością było nie tak... albo raczej odwrotnie.

– Moje nogi! – krzyknęła oszołomiona. – Nie bolą! – Zaczęła skrupulatnie oglądać swoje stopy, jak gdyby wyrosły jej podczas snu. – Jejku! – pisnęła uradowana, nie miała na nich żadnych śladów po krwiakach. Podbiegła

uśmiechnięta do zaskoczonego chłopaka i pocałowała go w policzek. – Dziękuję, słodziaku, i przepraszam za tego świra. No wiesz, to ze zmęczenia – tłumaczyła się przed nim jak pijana w sztok niania.

Nidro stał zupełnie skołowany, patrzył na podskakującą z radości dziewczynę i po raz pierwszy od wczorajszego poranka poczuł się naprawdę dobrze.

„Ale obrazek” – uśmiechnął się w myślach. „Brakowało tylko, by pobiegła na łąkę i zaczęła zaplatać wianki”. Nie mógł uwierzyć w to niecodzienne zjawisko. Opryskliwa zołza w ciągu jednej nocy zmieniła się w skrzydlatego anioła.

– Ja też przepraszam – powiedział w końcu. Dziewczyna przestała podskakiwać i spojrzała na niego zdziwiona. – No za tę brodę.

– A daj spokój. – Machnęła ręką, jakby znokautował ją pełnym przypadkiem, w dodatku bukietem świeżych kwiatów. – Żyję i jestem cała i zdrowa, czego chcesz więcej? – Tryskała energią jak dojrzała pomarańcza sokiem.

„Może za mocno wałnąłem ją w głowę i przez to się popsuka albo wręcz przeciwnie – naprawiła się...” – jego myśli błądziły wokół niezwyklej towarzyski podróży, kiedy pakował swoje rzeczy do worka.

– W takim razie ruszajmy w dalszą drogę – oznajmił, wskazując ręką przed siebie.

– Prowadź, przystojniaku – odparł czarnowłose anioł, szczerząc się w szerokim uśmiechu.

– A, i jeszcze jedno – dodał po chwili. – W czasie wędrówki to ty odpowiadasz za artefakt.

– Dlaczego ja? – zapytała zdziwiona i jakby trochę zmartwiona. Akurat ten konkretny klejnot nie cieszył się jej uznaniem.

– Dlatego, że jesteś złodziejem. Jeszcze nie słyszałem, żeby ktoś kiedykolwiek okradł jakiegoś złodzieja. Sama widzisz, że przy tobie będzie najbezpieczniejszy. Pamiętaj – powiedział i pogroził jej palcem – że od tego zależy przyszłość nas obojga.

Dziewczyna skinęła głową na znak, że rozumie, po czym na zdrowe nogi założyła mocno schodzone buty. Schowała artefakt do kieszeni w spodniach

i razem ruszyli w dalszą drogę, nie oglądając się za siebie.

Rozdział trzeci

Kenir

Co zrobić, aby zakuci w łańcuchy niewolnicy mniej hałasowali? Obciąć im języki. – powiedzenie ludowe

Szli obok siebie po szerokiej łące, rzeka i las dawno zostały gdzieś za nimi pogrążone w szemrzącej rozmowie, która nierzadko zamieniała się w kłótnię podczas silniejszej burzy. Kierowali się na wschód i jak do tej pory nie spotkali nikogo na swojej drodze. Dziewczyna od dłuższej chwili patrzyła na Nidro z wyraźnym wahaniem, jakby toczyła wewnętrzną walkę.

– Czy mi się zdaje, czy chcesz o coś zapytać? – odezwał się pierwszy, by ją trochę ośmielić.

Sena leniwym ruchem wygięła palce na zewnątrz i powiedziała powoli, ważąc przy tym każde słowo:

– Jesteś pierwszym magiem, jakiego spotkałam w życiu – zaczęła trochę nie na temat. – No wiesz, nie chciałabym więcej wyciągać z ciebie żadnych tajemnic. – Wymownie wskazała na dziurę w kurtce.

– Kiedy ty trzymasz artefakt, możemy rozmawiać swobodnie. – Na jego twarzy zawitał subtelny uśmiech, co wskazywało poprawę nastroju.

– No bo wiesz – zaczęła od nowa, lepiąc słowa z bezkształtnej masy myśli.
– Zawsze mnie ciekawiło...

– Tak?

– Jak to jest z tymi czarami?

Nidro nie dał jej dokończyć, zamiast tego ryknął gromkim śmiechem. Chichotał, dopóki wesołość nie skryształizowała się w nim pod postacią łez i nie opuściła rozedrganego ciała w formie kryształowych słonych kropli. Dziewczyna patrzyła zaskoczona, jak chłopak wierzchem dłoni wyciera z twarzy stygmaty rozbawienia.

- Rozumiem – powiedział po dłuższej chwili, hamując swój wybuch.
- Za to ja nie rozumiem – odpowiedziała, układając usta w wąską kreskę, założyła ręce na piersiach i czekała na wyjaśnienia.
- Przepraszam, twoje pytanie zupełnie mnie zaskoczyło.
- No właśnie widzę – fuknęła na niego. Ostentacyjnie zadarła drobny nos do góry. – Wiem, że nie znam się na czarach, ale to nie powód, by się ze mnie nabijać.
- Widzisz, chodzi o to, że ludzie tak naprawdę niewiele wiedzą o magach, no i nie ma się co dziwić – powiedział pojednawczo. – W końcu nie widuje się nas zbyt często, zwłaszcza na kontynentach zewnętrznych. Zmierzam do tego, że ja nie jestem czarodziejem i nie umiem czarować.
- Jak to? – Uniosła brwi w zdumieniu, wpatrując się w niego bez śladu zrozumienia.
- Czarodzieje istnieją tylko w bajkach. A zresztą sama widzisz, idziemy właśnie na piechotę do Kenir. A przecież gdybym miał zaczarowany dywan, to nie musiałbym zadawać sobie tyle trudu. Albo jeszcze lepiej, od razu przeniósłbym nas do Tarnau jakimś czarodziejskim portalem.
- Dziewczyna przestała udawać, że się na niego gniewa, i z uwagą wsłuchiwała się w każde słowo.
- Widzisz, gdybym był czarodziejem, najpewniej zamieniłbym cię w ropuchę i miałbym problem z głowy.
- Ale tego nie zrobisz? – zapytała, raptownie chwytając go za ramię.
- Nie, nie zrobię – odparł rozbawiony jej nagłą reakcją. – To, co ludzie nazywają magią, tak naprawdę sprowadza się do kontrolowania energii wokół nas. To dar, z jakim rodzą się niektóre dzieci. Jak dotąd nikt jeszcze nie wyjaśnił, dlaczego jedni mają ten dar, a drudzy nie. Problem w tym, że trudno jest to dokładnie badać, ponieważ dzieci z darem rodzą się jak jeden na milion. A co gorsza, z roku na rok jest ich coraz mniej. Jeśli dar zostanie wcześniej wykryty u dziecka, przy odpowiednim szkoleniu może się rozwinąć do swojej pełnej formy lub, jak ma to czasem miejsce, zostać jedynie w swej szczątkowej postaci.

Sena nie spuszczała wzroku z mówiącego, a on, widząc jej rosnące zainteresowanie, kontynuował wykład.

– Mag szkolony od dziecka uczy się sterować energią różnych źródeł – wiatru, wody, ognia i innych. Jednak aby tego dokonać, musi się znajdować dostatecznie blisko...

– Co masz na myśli, mówiąc „sterować energią”? – Dziewczyna nie wytrzymała i musiała zadać mu to pytanie.

– Chodzi o to, że mag potrafi sięgnąć umysłem do ośrodka wypełnionego energią i sterować nim za pomocą swojej woli. Należy tu dodać, że posługujemy się wyłącznie istniejącą w przyrodzie energią. Dlatego to, czego można w ten sposób dokonać, zależy niemal wyłącznie od możliwości energetycznych źródła, a nie od jakiejś mistycznej siły samego maga.

Dziewczyna spijała każde wypowiedziane przez niego słowo, jakby zdradzał jej właśnie wszystkie tajemnice wszechświata.

– Wydaje mi się, że zaczynam rozumieć – stwierdziła po chwili namysłu, gdy ułożyła sobie wstępnie w głowie to, co właśnie usłyszała. – Dlatego musiałeś walczyć z tymi żołnierzami, zamiast ich po prostu uśpić – podsumowała głosem prawdziwego znawcy.

– Nie – odparł jej serdecznie rozbawiony.

– To ja już nic nie rozumiem. – Machnęła obiema rękami z rezygnacją.

– Spokojnie, daj sobie trochę czasu, akurat źle trafiłaś. Widzisz, każde żywe stworzenie też jest małym źródłem energii. Mógłbym, tak jak zasugerowałaś, uśpić tych żołnierzy. Wykorzystałbym do tego celu ich wewnętrzną energię, a w zasadzie zaledwie maleńką jej część. Jednak gdybym to zrobił, od razu zdradziłbym im swoją prawdziwą tożsamość, a tego nie mogłem zrobić. Wolałem, aby myśleli, że zdołałem ich pobić, ponieważ działałem z zaskoczenia i byłem taki szybki. Gdyby ten dureń, Elon, nie sięgnął po kuszę, z niczym bym się nie zdradził. Ale wracając do magii. Są jeszcze inne rodzaje energii. – Wskazał wymownie gestem na stopy dziewczyny. – Rośliny gromadzą w sobie energię słońca, którą można wykorzystać do tamowania krwawienia. Dodatkowo są bogate w substancje lecznicze stosowane do zwalczania wszelakich chorób. Dla przykładu, liście, jakie położyłem ci na nogi, mają właściwości przyspieszające gojenie i zasklepianie się ran.

– I wolno ci tak o tym mówić każdemu? – Zatrzymała się w miejscu, ani na moment nie spuszczając z niego wzroku.

– Przecież nie mówię o tym każdemu – odparł pozornie drwiącym głosem – ale najlepszemu złodziejowi w Atolu.

– Ja pytałam poważnie – fuknęła na niego jak kotka.

– Tak, to nie jest żaden sekret. Istnieje wiele książek na ten temat dostępnych powszechnie w każdej bibliotece.

Sena nie pamiętała, by chociaż raz w życiu znalazła się w takim przybytku, nie mogła więc o tym wiedzieć. W gildii nikt nie przejmował się jej wykształceniem, a szczególnie nie w powszechnym tego słowa znaczeniu.

– No a co z tym orłem? – zapytała, wbijając palec w niebo.

– A to zupełnie inna historia. Dar wiązania się ze zwierzęciem i dar kontroli energii występują niezależnie. A co za tym idzie, niezwykle rzadko zdarza się, aby jeden człowiek posiadał oba te dary jednocześnie. Jednak historia zna kilka takich przypadków.

– W takim razie jesteś w czepku urodzony, takie chodzące dziecko szczęścia. – Uniosła kąciki ust, ukazując perłową biel zębów.

– No nie wiem – zachnął się odrobinę, wciąż miał w pamięci ostatnie wydarzenia.

– Musisz być wielkim szczęściarzem, skoro trafiłeś na mnie – dodała, zalotnie trzepocząc rzęsami.

Nidro miał ochotę jej uzmysłować, że jego pojmowanie szczęścia było najwidoczniej zupełnie inne niż jej. Tak na dobrą sprawę to żywił szczerą nadzieję, że jego czarnowłosy talizman przestanie w końcu przyciągać to „szczęście” w tak nieprzebranych ilościach jak do tej pory. Ostatecznie jednak ugryzł się w język.

Zajęci rozmową nie zauważyli, kiedy na horyzoncie pojawił się zarys miejskich murów zwieńczonych krenelażem. Szli szeroką kamienną drogą, po której mogły przejechać nawet dwa duże wozy obok siebie, i to jeszcze ze sporym zapasem. Panował niewielki ruch w obu kierunkach. Podążali za mężczyzną ciągnącym za uzdę osła, a jego nie pierwszej młodości kłapouch niośł na grzbiecie jakieś zrolowane pakunki.

– Byłeś tu kiedyś? – Pokazała na miasto przed nimi. – Nie?

– Tak naprawdę to dopiero skończyłem szkolenie, więc mało gdzie byłem do tej pory. A ty?

– Tak, kilka razy. Mój poprzedni szef czasem przyjeżdżał tu z wizytą i zabierał mnie ze sobą. No wiesz – chrząknęła znacząco – bym się trochę rozejrzała po mieście. Ostatni raz, jeśli dobrze pamiętam, odwiedziłam Kenir pięć lat temu, jeszcze jako dziecko. Nie wiem, czy jesteś tego świadomy, ale tutejsza filia gildii podlega kierownictwu z Atolu.

– Więc to Szczur nimi dowodzi? – Zainteresował się wyraźnie chłopak. Nic nie wiedział o miejscowych grupach przestępczych i wydawał się tym tak samo zaciekawiony, jak dziewczyna tematem magii.

„Takie informacje mogą się kiedyś przydać” – myślał w duchu.

– Tak, Szczur – kontynuowała niespiesznie dziewczyna – ale nie bezpośrednio. W Kenir mają swojego herszta, to on kieruje sprawami gildii na miejscu, jednak sporą część zysków odprowadza do wspólnej kasy. To przypomina trochę zwyczajne przedsiębiorstwo. Gildia wbrew pozorom jest w tym regionie świata dużym inwestorem, a sporą część zarobionych pieniędzy lokują w legalnych przedsięwzięciach. I dlatego właśnie tak trudno jest z nimi walczyć. Państwo jest po prostu bezsilne. Ciężko jest udowodnić, że ktoś sprzedał za bezcen udziały w kopalni diamentów, bo bał się o własne życie lub o życie swoich bliskich. A dzisiaj nowy właściciel płaci jakieś tam podatki, w księgach rachunkowych wszystko się zgadza, więc nie ma się do czego przyczepić. I jak to się mówi, pieniądz robi pieniądz. Jeśli śledczy przy odrobinie szczęścia kogoś złapie, to ewentualnie jakiegoś zwykłego złodzieja, którego nie da się bezpośrednio powiązać z całym wielkim przedsiębiorstwem. Szefowie organizacji pozostają więc poza wszelkimi podejrzeniami. Oni wszystko robią w białych rękawiczkach, tak by nie pobrudzić sobie przy tym rączek.

Nidro zauważył, że dziewczyna jest wyraźnie poruszona, dlatego nie ciągnął tego tematu dalej.

Kenir to niewielkie, jak na standardy Cesarstwa, dwudziestotysięczne miasto ogrodzone pojedynczym murem obronnym z szarej cegły. Dodatkowo większa część umocnień od strony południowo-wschodniej przebiegała tu bezpośrednio nad Rzeką Alabastrową. Aby dostać się do

grodu, trzeba było przejść kontrolę na bramie fortecznej. Nawet z daleka widzieli, jak żołnierze drobniawo sprawdzają wszystkich przybyłych.

– Nie możemy mieć przy sobie artefaktu podczas kontroli – oznajmił, patrząc na zamieszanie przy bramie.

– To co mam z nim zrobić, zakopać? – Głos dziewczyny zdradzał napięcie.

– Niekoniecznie – powiedział z zastanowieniem. – Sądzę, że lepiej jednak wziąć go ze sobą, nigdy nie wiadomo, do czego się może przydać.

– To może go komuś podrzucę? – Niedwuznacznie wskazała na dziurę w jego kurtce.

– Lepiej nie. – Szybko ochłodził jej rosnący entuzjazm.

Nidro obiecał sobie, że postara się przewidywać kłopoty, w jakie potencjalnie może go wpakować towarzysza podróży.

– Wyrzucić go w trawę, jak najdalej od nas, w swoim czasie Arto przeniesie go za mury.

Sena wyjęła bransoletkę z kieszeni i rzuciła niepostrzeżenie na pobocze drogi. Jadeitowy krążek upadł bezszelestnie niecałe dziesięć kroków od nich. Gdy dotarli pod bramę, ustawili się w krótkiej kolejce do odprawy celnej. Czwórka żołnierzy, kilka kroków przed nimi, sprawdzała właśnie towary kupca z południa.

– Jaką historyjkę im sprzedamy? – spytała cicho Sena.

– Ja jestem posłańcem w służbie Cesarza, więc ty możesz być moim pomocnikiem. Mam przy sobie list z uwierzytelnieniem, dlatego zgodnie z prawem muszą nas wpuścić do miasta i udzielić wszelkiej pomocy.

– A jak się pytają, co robimy w mieście?

– To powiemy prawdę, że jesteśmy tu przejazdem i jutro ruszamy w dalszą drogę. Tyle będzie musiało im wystarczyć, na dobrą sprawę im mniej im powiemy, tym lepiej – dodał jeszcze, zanim oboje stanęli przed żołnierzami.

– Stać! – zawołał oficer w randze dekuriona. – Co za jedni? – W jego głosie słychać było zniecierpliwienie podszyte pogardą. Najwyraźniej widok dwójki nieznanych obwiesi nie nastrajał strażnika zbytnim optymizmem. – Zdejmij kaptur. – Wymownym gestem wskazał na Senę. Ta z lekko dostrzegalnym wahaniem posłusznie wykonała polecenie.

– Fiu, fiu... – Pozostali żołnierze zagwizdali na widok dziewczyny. Najwyraźniej nieczęsto przechodziły tędy tak ładne buzie. W każdym razie widok Seny zamienił obojętne dotąd oblicza w istne kłębowisko uczuć. Począwszy od niedowierzania, przez ekscytację, a na zwykłym zwierzęcym pożądaniu spotęgowanym długą wartowniczą służbą kończąc. Nidro najwyraźniej musiał to zauważyć, ponieważ postanowił się wtrącić do jednostronnej jak dotąd wymiany grzeczności.

– Witam, Saru – zaczął uprzejmym, choć zdecydowanym tonem, tym samym ściągnął na siebie uwagę oficera. – Jestem posłańcem w armii cesarskiej i podróżuję z pomocnikiem. – Tu wskazał Senę. – Proszę, tutaj jest list z pełnomocnictwem.

– Ano, list, powiadasz. – Oficer wziął dokument do ręki i zaczął go niezdarnie obracać w kanciastej dłoni. – Lepiej stańcie tu z boku, żeby nie tarasować przejścia. – Pokazał im miejsce na poboczu.

List opatrzone pieczęcią pierwszej klasy, a to oznaczało, że wystawił go ktoś z najwyższego dowództwa armii. Oficer z wyraźną konsternacją podrapał się po krótko ostrzyżonej głowie. Właśnie nieprzewidywalny los zaczął ściągać jego zrefowany codziennymi sprawami światopogląd na administracyjne rafy, pełne licznych niezrozumiałych przepisów i równie zagmatwanych pierdalamencji. Jego jak dotąd nieporuszony wojskowy duch zadygotał niepewnie, jakby nie umiał się odnaleźć w okowach hierarchicznych zawiłości. Dekurion spojrzał spode łba na parę przybłędów, jakby samo to miało sprawić, że problem się rozwiąże. W dodatku na dualizm całej bądź co bądź niezręcznej sytuacji nakładał się niepokojący fakt, że wygląd posłańców nie budził najmniejszego skojarzenia z wojskiem, a wręcz przeciwnie – jednoznacznie kierował myśli na kwestie związane z wielopokoleniową bezdomnością.

– Jaki jest cel waszej wizyty? – wykrztusił z siebie wreszcie, zużywając na to jedno zdanie resztki powietrza z płuc.

– Jesteśmy tu przejazdem, a jutro rano ruszamy w dalszą drogę. – Akurat w tym sformułowaniu Nidro zdołał otrzeć się o prawdę.

„Mhy, nietypowi goście wymagają nietypowego podejścia” – pomyślał oficer, przy czym nie spuszczał ani na moment wzroku z dwójki cudaczných

posłańców. – Muszę zgłosić wasze przybycie mojemu dowódcy – odezwał się w końcu po dobrej modlitwie. – A wy weźcie się wreszcie do roboty. – Tu wskazał pozostałych żołnierzy, upominając ich surowym tonem. Sam pospiesznie ruszył w stronę bramy. Dobrze się składało, akurat był u nich dowódca garnizonu na wizytacji i wciąż jeszcze rozmawiał z ich centurionem.

„Przybycie tej kuriozalnej dwójki z dowództwa armii może oznaczać kłopoty, a ja mam na nie alergię, dlatego niech ktoś inny się tym zajmie” – myślał dekurion, z gorliwością oddając salut dowódcy.

– Posłusznie melduję, że na bramie stawiał się do kontroli cesarski posłaniec z pomocnikiem, ma list uwierzytelniający – powiedział słuźbiście i przekazał dokument centurionowi, zgodnie ze starszeństwem. Ten nawet nie zaszczylił go przelotnym spojrzeniem i podał od razu dowódcy garnizonu. Najwidoczniej on również miał ukrytą alergię na śwędzący papier. Dowódca z zainteresowaniem obejrzał pieczęć, po czym zabrał się za studiowanie urzędowego pisma.

„Dziwna sprawa” – pomyślał, kiedy skakał skupionym wzrokiem po linijkach tekstu. „Nie piszą tu, z jakiego jest oddziału. W zasadzie oprócz tego, że jest posłańcem na misji, to nie ma tu żadnych konkretów. Niedobrze, dowództwo jak dotąd nie interesowało się naszym małym, prowincjonalnym miasteczkiem, ale kto wie, czasy są teraz dziwne, więc może coś się zmieniło w tej kwestii. Trzeba się będzie lepiej przyjrzeć tej dwójce” – postanowił w duchu, węsząc jakiś podstęp.

– Prowadź do naszych posłańców. – Ręką wskazał na podwładnego wciąż prężącego się na baczność, po czym oboje ruszyli do punktu kontrolnego.

Kilka uderzeń serca później Nidro zobaczył powracającego dekuriona w towarzystwie dowódcy garnizonu w stopniu primusa. I o ile na twarzy tego pierwszego malował się wyraz ulgi, obecny wszędzie tam, gdzie uda się przerzucić jakąś część najgorszej pracy na innych, o tyle oblicze dowódcy spowijał nieprzenikniony całun urzędowego wyrachowania. I jedynie czujny wzrok świdrujących oczu primusa był w stanie zdradzić Nidro jego skrzętnie maskowane podeksycytowanie.

„Szybcy są” – powiedział w myślach, kiedy dwójka oficerów zatrzymała się przed nimi.

– Witajcie, nazywam się Oswald i dowodzę w Kenir miejskim oddziałem armii cesarskiej – przedstawił im się dobrze zbudowany mężczyzna po czterdziestce, miał krótko przystryżone włosy koloru ciemny blond. Nosił skórzaną kurtkę mundurową, a na plecach trzymał długi oburęczny miecz z rękojeścią ozdobioną jadelitową głowicą.

„To nie jest standardowe wyposażenie armii, wygląda, jakby został zrobiony na zamówienie, i pewnie sporo kosztował” – zauważył Nidro z rosnącym zaciekawieniem.

Również Oswald przyglądał im się z podobną, o ile nie większą intensywnością. To prawda, że wygląd posłańców zostawiał wiele do życzenia, w szczególności dziurawa kurtka chłopaka i znoszone buty dziewczyny. Albo to jest jakiś doskonale przemyślany kamuflaż wiejskiego włóczęgi, albo standardy w armii spadły ostatnio na pysk.

– Czy wpuścicie nas do miasta i użyjecie gościny? – zapytał Nidro, patrząc dowódcy prosto w oczy.

– Tak, oczywiście, jeśli jesteście tymi, za kogo się podajecie, to jak najbardziej. Jednak muszę was prosić o odsłonięcie prawego ramienia.

„Chce sprawdzić nasze tatuaże” – pomyślał Nidro, jednocześnie ciesząc się w duchu, że dziewczyna nie miała żadnego. Chłopak bezceremonialnie zdjął kurtkę i pokazał mu swój tatuaż. Był to cesarski orzeł ziejący ogniem, pod spodem widniały trzy przekreślone krzyżyki XXX, co oznaczało, że jest on w służbie dożywotnio.

– Dziewczyna nie ma nic – zawołał dekurion, skwapliwie przyglądający się nie tylko samemu ramieniu Seny.

– Dobrze – wymamrotał Oswald pod nosem. Sam wciąż nie mógł oderwać oczu od tatuażu chłopaka. – Orzeł ziejący ogniem, orzeł ziejący ogniem, nigdy dotąd czegoś takiego nie widziałem. Co to jest za formacja?

– To jednostka pomocnicza – wtrąciła się Sena – ogień ma symbolizować, że aż się palimy do roznoszenia poczty – mówiąc to, mrugnęła niezauważalnie do maga, a dowódcy posłała szczerzy uśmiech wioskowej niedojdy.

– Jednostka pomocnicza, posłańcy – powtarzał pod nosem Oswald. – Ach tak – powiedział wreszcie, jakby nagle coś sobie przypomniał, wciąż jednak ani na moment nie spuszczał wzroku z tatuażu chłopaka. – Czy macie się gdzie zatrzymać?

– W zasadzie to nie i chętnie skorzystalibyśmy z jakiejś gościny – rzucił mimochodem Nidro, zakładając na powrót dziurawą kurtkę.

– Tak, no cóż. – Na te słowa Oswald energicznie zatarł ręce. – Chętnie udostępnimy wam miejsce w naszym garnizonie, jednak uprzedzam, że nie są to żadne luksusy, ale dla żołnierza powinno być w sam raz.

– To nam w zupełności wystarczy – zapewnił go chłopak z nieukrywanym entuzjazmem w głosie. Był zadowolony, że chociaż tutaj sprawy układały się po jego myśli.

– Zaprowadź Sur do pokoi dla strażników. Tego obok kuchni – dodał szybko Oswald, widząc pytające spojrzenie dekuriona. – I upewnij się, by dostali nową odzież i gorącą strawę.

– Tak jest, Saru, wedle rozkazu – odrzekł oficer, prężąc się przy tym służyć, następnie zwrócił się w stronę dwójki posłańców: – Sur, proszę za mną. – Wymownie spojrzał w stronę miejskiej bramy.

Obaj posłańcy ruszyli niespiesznie we wskazaną stronę odprowadzani lepkiem jak żywica wzrokiem Oswalda, który na długo przykleił im się do pleców.

Kenir przywitało ich dwupiętrowymi ceglanymi budynkami o kamiennych podmurówkach i na wskroś czystymi ulicami – miasto bez dwóch zdań wyglądało na zadbane. Kolorowo ubrani przechodnie opływali ich nieprzerwanym strumieniem ze wszystkich stron, i nic dziwnego, skoro dekurion prowadził ich główną, zachodnią ulicą. Kobiety odziane były w barwne luźne suknie, mężczyźni natomiast nosili długie, workowate spodnie i skórzane kurty, tak typowe dla mieszkańców Cesarstwa. Nidro jeszcze nigdy w życiu nie widział tylu ludzi naraz, mimo to zachował minę obieżyswiata i nie dawał po sobie poznać, że gród zrobił na nim aż tak duże wrażenie. Dziewczyna za to zachowywała się o wiele swobodniej, zupełnie jakby była żywym ognikiem tańczącym w swoim żywiole, sprawnie

lawirowała w tłumie i patrzyła przy tym – zdawało się – obojętnym wzrokiem, utkwionym gdzieś przed siebie.

– Miasto założono niespełna czterysta lat temu i zostało ono wzniesione zgodnie z planami najlepszych urbanistów cesarskich – oznajmił z dumą prowadzący ich oficer, wczuwając się tym samym w rolę przewodnika. – Kenir posiada również kanalizację miejską oraz system doprowadzający bieżącą wodę do domów. – Wskazał na górującą na placu wieżę ciśnień.

Trzymali się głównej ulicy, aż dotarli do miejskiego garnizonu położonego niemal w samym centrum miasta. Był to okazały gmach wzniesiony na planie kwadratu, jego konstrukcja przypominała cywilne budynki, był od nich jednak dużo większy i nie miał okien w ścianach od strony ulicy. O wojskowym przeznaczeniu przypominał dach, który spełniał też funkcję obronną, po jego blankach przechadzali się żołnierze uzbrojeni w lekkie kusze, gdzie zza ocienionych szarą dachówką hurdycji lustrowali okolicę z wysokości drugiego piętra.

Dekurion zaprowadził posłańców do części gastronomiczno-więziennej garnizonu, gdzie wskazał im pomieszczenie przeznaczone dla strażników niewielkiego aresztu. Bezpośrednio za ścianą ich pokoju znajdowała się przestrzeń, gdzie wydzielono dwie cele więzienne oraz strefę jadalną dla wartowników.

– Proszę się rozgościć, zaraz przyniosę ciepłą strawę – powiedział oficer, zanim zniknął za bocznymi drzwiami.

Udostępniony im pokój był czysty i przestronny, znajdowały się w nim cztery piętrowe łóżka drewniane, czyli typowe wyposażenie w obiektach wojskowych. Pomieszczenie było lekko zakurzone i najwyraźniej na co dzień nikt tutaj nie mieszkał. Nidro zostawił toboły w pokoju, a sam ruszył do aresztu, gdzie przy długim drewnianym stole mieli zjeść posiłek. Tam w kącie na zydlu siedział żołnierz, który monotonnym, posuwistym ruchem szczotki pastował czarne wojskowe buty.

– Pusto tu u was w tym areszcie – rzucił Nidro pierwsze, co przyszło mu do głowy, ot tak, aby zacząć kurtuazyjną rozmowę o niczym. – Tylko jeden więzień? – Wskazał ręką samotnego mężczyznę siedzącego na wiklinowej macie w rogu celi.

– To nie jest normalne więzienie – odpowiedział obojętnym głosem strażnik. – Te cele przeznaczone są dla żołnierzy, którzy złamali regulamin bądź nabroili coś na mieście. – Dopiero teraz podniósł wzrok na swego interlokutora. – Chodzi o to, by nie wsadzać ich do aresztu miejskiego za jakieś głupoty. Zawsze to i wyśpią się lepiej, i dobrze zjedzą. – Strażnik z butem nasuniętym na przedramię gorąco zachwalał wojskowy kurort. – Nie godzi się, by cesarskie wojsko siedziało w areszcie z hołotą.

Nidro przyjrzał się uważnie celi i zamkniętemu w niej mężczyźnie.

„To nie jest człowiek nawykły do machania mieczem” – tu zawiesił się na moment nad problemem natury egzystencjalnej. „On to może sobie pomachać co najwyżej swoim kutasem, ale na pewno nie bronią”.

Więzień był doskonale obły w swych kształtach, miał okrągłą głowę pozbawioną szyi i krótkie, włochate kończyny wystające bezpośrednio z wydatnego brzucha.

– Ten tam nie wygląda mi na żołnierza – zagadnął, wskazując palcem grubasa. – Jest trochę za bardzo... – zawiesił głos jakby szukał właściwego słowa – ...zaokrąglony w pasie.

– Tak, to kupiec z Tamir – roześmiał się strażnik rubaszenie, nagrodził tym samym wysiłki gościa, by nie palnąć gafy. – Wszczął wczoraj jakąś burdę na mieście i nie wiedzieć czemu, nie chcieli go wsadzić do więzienia. Kazali tutaj zamknąć, bo tu pusto, i siedzi teraz sam biedaczysko. Myślę, że mogłoby mu się nie spodobać w miejskim areszcie – dodał po chwili z szyderczym uśmiechem malującym się na wydatnych ustach.

W tej chwili do sali wszedł ich dekurion, niosąc mały kociołek pełen smacznie parującej brei. Do tego dołożył dwie gliniane misy i po łyżce dla każdego z posłańców.

– Mam dla Sur gulasz na ciepło z chlebem. Na stole jest świeża woda. – Wskazał dzban i gliniane czarki. – Mogę jeszcze przynieść wino, jeśli Sur sobie życzy?

– Nie – odpowiedział trochę chyba za szybko Nidro. – Nie ma takiej potrzeby.

– Przekazałem strażnikom rozkazy dowódcy, więc wszyscy w garnizonie wiedzą już, że jesteście naszymi gośćmi. W razie jakiegokolwiek potrzeby

proszę się zgłosić do kancelarii oddziału, oni zawsze chętnie pomogą. – Uśmiechnął się dwuznacznie.

– Bardzo dziękujemy, jednak na tę chwilę mamy tu wszystko, czego nam potrzeba.

Oficer postawił jedzenie na stole, odwrócił się na pięcie i wymaszerował z pomieszczenia, w którym rozeszła się intensywna woń ostrego pieprzu.

Po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko wejścia do garnizonu, znajdowała się gospoda o swojsko brzmiącej nazwie – Pod Złamaną Włóczęgą. W rzeczywistości był to jeden z największych lupanarów w mieście. Lokal był trzypiętrowy i, jak na miejscowe standardy, elegancko urządzone. Na ścianach wisiały obrazy przedstawiające piękne, roznegliżowane damy w różnych erotycznych pozach. W rogach pomieszczeń ustawiono donice pełne kolorowych kwiatów i drzew ozdobnych. Miejsce to przyciągało splendorem i przepychem, a że przy okazji dało się tu dobrze zjeść, ktoś wpadł na pomysł, by nazwać je gospodą. Chodziło o to, aby odrobinę pomóc żołnierzom lepiej wysławiać się w jednostce. W końcu o ile łatwiej jest powiedzieć dowódcy, że spóźnienie spowodowane było pobytem w gospodzie niż wizytą w burdelu. W każdym razie stałym bywalcom bardzo to odpowiadało, dlatego miano gospody przyłgnęło tu na dobre. Był to jeden z wielu domów publicznych będący pod kuratelą gildii złodziei, a dokładnie jeden z czterech w tym mieście.

Syr siedział przy stole na zacienionym balkonie, znajdującym się na pierwszym piętrze domniemanej gospody. Był niskim, krępyim mężczyzną o ciemnych włosach sięgających mu do ramion, do tego nosił czarną krzaczastą brodę. Jego twarz była zupełnie nijaka i śmiało można powiedzieć, że nie posiadała żadnych charakterystycznych cech. Był jednym z tych ludzi, jakich nigdy się nie pamięta. Od rana obserwował wszystko to, co działo się wokół wejścia do garnizonu. Wczoraj w porcie rzeczonym doszło do incydentu z udziałem przyjezdnego kupca z prowincji centralnych. Bezpalczy, lokalny herszt gildii złodziei, chciał mieć wszystkie informacje na jego temat. W sprawę mógł być zamieszany sam Baron Jug we własnej osobie, a on wśród miejscowych złodziei z wielu niekoniecznie szczytnych powodów cieszył się sporą estymą. Dlatego właśnie gildia postanowiła

trzymać rękę na pulsie. Szczególnie że chodziło tu o handel diamentami z kopalni w Tana. Zarówno same diamenty, jak i kopalnie znajdowały się w sferze zainteresowań gildii. Było to w końcu jedno z głównych źródeł dochodów wszystkich bardziej znaczących ludzi w tym rejonie świata. Diamenty z Tana i Kar transportowane były na wybrzeże przeważnie dwiema drogami – przez Atolu lub właśnie przez Kenir. Tam trafiały na statki kupieckie w portach Meana i Segal, skąd przewożono je dalej do odbiorców na całym świecie. Tego dnia nie zanosilo się już na nic spektakularnego, jakież było więc jego zdziwienie, gdy znany mu skądinąd dekurion wprowadził do budynku nikogo innego, jak tylko samą Senę, piękną i równie niebezpieczną złodziejkę z Atolu. Syr wszędzie rozpoznałby te kruczoczarne włosy, sam zresztą spędził w Atolu kawał życia i znał tamten półświatek jak mało kto.

„Co tu się dzieje, do jasnej cholery” – zastanawiał się złodziej, widząc, jak dekurion, skłaniający uprzejmie głowę, wprowadza dziewczynę do budynku. „Bezpalcy musi się natychmiast o tym dowiedzieć” – powiedział w duchu, odchodząc od stolika.

Elon jechał skulony jak krewetka na swym siwym rumaku i przez całą drogę nie odezwał się do nikogo słowem. Oddział poruszał się wolno, a w zasadzie to snuł się niczym żałobny kondukt nieuczęszczanym leśnym traktem, jakby przez dziurki w nosie uszło z nich całe życie. Pobici nad ranem żołnierze zdołali w większości dojść do siebie, przynajmniej fizycznie, bo zszarganej dumy nie da się tak łatwo wyleczyć. W dodatku nikt jak dotąd nie znalazł w sobie dość śmiałości, by pomówić z dowódcą. Jego poorana świeżymi bliznami twarz wyglądała dostatecznie odstręczająco, a obłąkańcze spojrzenie zawieszone w niewidzialnej próżni dodatkowo zniechęcało do konwersacji wszystkich potencjalnych rozmówców. Do celu dotarli późnym wieczorem. Miejscem wyznaczonym na zbiórkę była duża leśna polana leżąca tuż przy głównym trakcie na zachód od zdradliwych bagien. Pośrodku trawiastego zagajnika leżało zwalone drzewo, a sądząc po obłazującym je mchu i zmurszałej korze, zalegało w tym miejscu od dłuższego czasu. Właśnie wokół tego spróchniałego konaru grupa Elona oczekiwała powrotu towarzyszy z pozostałych dwóch oddziałów. Kiedy dziewczyna

uciekła im na bagna, Elon zdecydował się podzielić siły na trzy dekurie działające niezależnie, chciał w ten sposób otoczyć mokradła, aby zwiększyć tym samym ich szanse schwytania równie sprytnej, co zdesperowanej złodziejki. Na razie byli tu sami, lecz niedługo miało się to diametralnie zmienić.

– Szeffie... – Brak reakcji. – Szeffie, trzeba ci opatrzyć rany. – Edir z początku niepewnie położył rękę na ramieniu dowódcy. – Szeffie...

– Na Martwe Ziemi! Co tam się właściwie stało? – wymamrotał nieswoim głosem Elon. – Mieliśmy ją w garści – mówił bardziej do siebie niż do podwładnego, w dodatku wyjątkowo nieskładnie. – Co tam się, do cholery, stało? – Siedział oparty o pień zwalonego drzewa i obiema rękami przytrzymywał poranioną głowę.

– Szeffie, trzeba założyć opatrunek, inaczej rana zacznie się psuć i śmierdzieć – spróbował ponownie Edir bardziej zdecydowanym tonem. – Będę musiał wypalić ranę w oku. Masz, napij się. – Podał dowódcy bukłak z gorzałą. – Chociaż trochę pomoże – dodał ze współczuciem rzeźnika pochylonego nad przyszlą ofiarą.

Elon spojrzał na niego swym ocalałym okiem, jak gdyby widział go pierwszy raz w życiu. Powoli, bardzo powoli, coś zaczynało docierać do jego zdruzgotanego porannymi przeżyciami umysłu. Wziął bukłak do rozedrganej ręki i pociągnął z niego bardzo długi łyk, potem kolejny i jeszcze jeden. Znajome pieczenie w gardle pomogło uspokoić myśli.

– Rób, co trzeba – rzucił szorstko i po raz pierwszy skupił zaszkloną źrenicę na twarzy zastępcy, ich spojrzenia spotkały się w półmroku. – Zaczekamy tu na resztę oddziału, a jutro wspólnie zastanowimy się, co robić dalej – powiedział chrapliwym głosem. Wkrótce pociągnął kolejny łyk z bukłaka. W stalowym spojrzeniu dowódcy odbijał się blask paleniska, a żołnierz dostrzegł w nim gotującą się nienawiść. – Ja im tego nie daruję, zobaczysz, Edir, że jeszcze ich dorwiemy. Dopadniemy gówniarza w Kenir, tyle że tym razem będziemy przygotowani i będzie nas trzy razy więcej.

– Skąd wiesz, że udali się do Kenir? – spytał, wyciągając z ogniska miecz, którego ostrze jarzyło się intensywnym czerwonym blaskiem.

– Ta droga nie prowadzi nigdzie indziej. Jeżeli chcą iść dalej na południe, to muszą przejść tędy lub przez Kenir, innej drogi nie ma. A skoro nie idą za nami, to znaczy, że poszli przez miasto, i właśnie tam ich dorwiemy. – Centurion zamilkł nagle, a Edir nie wiedział, czy jest to dobry, czy zły znak.

– Ej, chodźcie tu, pomożecie mi ze starym. – Edir zawołał do siebie dwóch krępych żołnierzy. – Złapcie go, tylko mocno, chłopaki. – Żołnierze na te słowa chwycili dowódcę za głowę i ręce. – Trzymajcie teraz, żeby się wam nie wyrwał – powiedział i podał Elonowi kawałek skózanego paska, by ten mógł zacisnąć na nim zęby. Zdecydowanym ruchem przyłożył jarzące się od gorąca ostrze do pustego oczodołu. Wrzask rannego słychać było jeszcze wiele tysięcy kroków dalej. W pewnej chwili krzyk ustał, jakby zamknięty w dzbanie. Elon, straciwszy przytomność, zwiotczał im w rękach. Żołnierze delikatnie posadzili go na trawie, gdzie oparli plecami o pień zwalonego drzewa. Edir pochylił się nad nieprzytomnym dowódcą i czystą chustką nasączoną w samogonie zaczął mu przecierać rany na głowie, na oczyszczone miejsce założył opatrunek z bandaży. Po wszystkim zostawił nieprzytomnego dowódcę pod drzewem, w tej chwili nic więcej nie mógł dla niego zrobić.

Nad ranem, zgodnie z przewidywaniami, na polanę wjechał zbrojny oddział w sile dwudziestu konnych. Zaskoczone spojrzenia jeźdźców omiały w skupieniu to śpiącego Elona w bandażach, to znów sińce na twarzach kolegów. Domyślili się od razu, że coś poszło bardzo nie tak.

– Co wam się stało? – Jeden z żołnierzy, zsiadając z konia, wypowiedział na głos pytanie, jakie wszystkim nowo przybyłym cisnęło się na ustach. Mimo wyraźnej ciekawości malującej się na twarzach przyjezdnych jakoś nikt z obecnych w obozie nie wyrwał się z odpowiedzią, bo i co tu mówić. – Co z dziewczyną? – zapytał ponownie żołnierz, lecz tym razem z większym naciskiem w głosie.

– Uciekła nam – odburknął mu w końcu Edir.

– To może mi jeszcze powiesz, że to ona was tak urządziła?

– Jak ci powiem, to i tak mi nie uwierzysz. – W głosie osiłka wybrzmiewał zawód i zażenowanie. – Tam był jakiś chłopak – zaczął niepewnie, jakby wczorajszy dzień zdążył zatrzeć się w jego pamięci. – On najpierw pomógł

nam ją złapać, ale kiedy Elon kazał spalić złodziejkę, ten zupełnie oszalał i zaatakował nas w jej obronie.

– Chcesz mi powiedzieć, że jeden człowiek, w pojedynkę, pokonał dziesięcioosobowy oddział?

– Sęk w tym, że to nie był zwykły człowiek – zachnął się Edir, jednocześnie uniósł otwartą dłoń przed siebie. – To był... najprawdziwszy zwierzęcy mag i miał ze sobą bojowego orła. – Te słowa z jakiegoś powodu nie chciały mu przejść swobodnie przez zaciśnięte gardło.

– W takim razie to musiał być cesarski zwiadowca – odparł pewnie żołnierz, uniósł krzaczaste brwi wyraźnie zaskoczony tym, co usłyszał.

– Szczerze mówiąc, to wyglądał jak zwykły wieśniak – wznowił opowieść Edir. – Nosił brudne spodnie i poza zestawem noży nie miał przy sobie żadnej porządnej broni. Bez miecza, bez pieniędzy wydawał się zupełnie niegroźny. Dlatego początkowo nikt z nas nie zwrócił na niego uwagi, a wtedy on zaatakował Seka z zaskoczenia i zanim się zorientowaliśmy, co się dzieje, połowa ludzi leżała bez ducha na ziemi. Najgorzej oberwał Elon. – Pokazał bandażę na głowie dowódcy. – Kiedy wymierzył kuszę w chłopaka, orzeł rzucił się na niego i stary stracił oko, a kto wie, czy nie rozum. Wczoraj prawie nic się nie odzywał przez cały dzień, ciągle mamrotał coś pod nosem i kazał na was czekać. Mamy dzisiaj podjąć decyzję, co robimy dalej. Elon chce ścigać chłopaka. Uważa, że złapiemy go w Kenir. – Ułożył ręce w geście, który równie dobrze mógłby oznaczać: „tyle się dowiedziałem”, co „i tak to właśnie wygląda”.

Coraz więcej nowo przybyłych gromadziło się wokół nich i wszyscy z równym zainteresowaniem oglądali since na twarzach kolegów.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że jeden człowiek was tak urządził. – Pokręcił w zadumie głową żołnierz.

– Przecież ci mówiłem, że to był zwierzęcy mag – zirytował się Edir, wyraźnie podnosząc głos. – Ich od dziecka szkoli się do walki, w dodatku zupełnie nas zaskoczył.

Żołnierz, w reakcji na wzbierającą frustrację kolegi, uniósł dłonie przed siebie w pojednawczym geście.

– Mag nie mag, teraz to on ma artefakt, więc miejmy nadzieję, że Elon wymyśli, jak mamy go odzyskać. – Na te słowa oczy zgromadzonych skierowały się na wciąż śpiącego dowódcę. – Poczekajmy w takim razie, aż się obudzi, szkoda by było, aby cała ta nagroda przeszła nam koło nosa – zamilkli, chociaż temat ich najbliższej przyszłości bynajmniej nie został wyczerpany.

– Hej, psyt, Sari – wyszeptał tłusciuch, podchodząc rakiem do kraty celi.

Dziewczyna spojrzała na niego badawczo, jak właściciel, którego pies coś mu przyniósł w zębach. Odłożyła na bok wylizaną do czysta miskę po gulaszu. Grubas najwyraźniej chciał wykorzystać nadarzącą się okazję, że chwilowo znaleźli się sami w pomieszczeniu.

– Potrzebuję pomocy – powiedział cicho. Rzucił rozbieranymi oczami we wszystkie strony. – Trzymają mnie tu bez żadnego powodu, ja nic nie zrobiłem – dodał konfidencyjnie. – Zostałem oszukany przez lokalną grubą rybę w handlu diamentami. Ten złamas ukradł mi cały mój towar, a ja nie dość, że zostałem z niczym, to jeszcze na domiar złego gniję w tym areszcie.

– I co, tak zupełnie za nic cię tu zamknęli? – Z braku innych zajęć także Nidro zainteresował się tklivymi wynurzeniami aresztanta.

– No, nie do końca – wyznał szczerze więzień z niewielkim wahaniem. – Jak ten palant mnie okradł, to ja w afekcie wałęnałem go w plecy szczotką do podłogi. Ale nic mu się nie stało – dodał pośpiesznie, jakby chciał się usprawiedliwić. – I zaraz potem dopadli mnie jego goryle – powiedział z ogromnym żalem w głosie, szeroko rozłożywszy ręce niczym ptak szykujący się do lotu.

– Przykro mi, kolego – odparł Nidro z ironią w głosie – ale nie możemy ci pomóc. Musisz poczekać na wezwanie od śledczych, tam wyjaśnisz całą sprawę i pewnie zaraz cię stąd wypuszczą.

– Nie sądzę, Saru. – Więzień nie odpuszczał, a wręcz przeciwnie – przywarł mocniej do trzymającej go kraty. – To nie jest takie proste. Teraz w Kenir sprawy załatwia się zupełnie inaczej, a przez ostatnie kilka miesięcy wiele się tu zmieniło, oj wiele, szczególnie od kiedy poszła fama, że Cesarstwo przegrało wojnę na Kontynencie Wolnych Ludzi.

Te słowa sprawiły, że Nidro o mało nie zadławił się gulaszem.

– Ehe, ehe – kaszlnął głośno, jakby chciał wykrztusić z siebie niechciane wiadomości. – Co powiedziałeś? – wycharczał, gdy wreszcie odzyskał oddech. – Cesarstwo przegrało wojnę? Przecież to niemożliwe. – Jego wybałuszane oczy były najlepszym dowodem na to, że mówi poważnie.

– Jak to? – zdziwił się kupiec. – To Sur nic nie wiedzą? Ludzie! – zawołał i uniósł obie ręce przed siebie. – Mówi się, że to największa militarna klęska imperium w całej nowożytnej historii. Ponoć armia okupacyjna została niemal doszczętnie rozbita i jedynie trzem legionom udało się ująć z tej rzezi, jaką zgotowali im Libertyni. Na wieść o przegranej na kontynentach zewnętrznych zrobił się prawdziwy kocioł.

– Jaki kocioł, mów z sensem, człowieku, co się stało? – Nidro skrzywił się jak ktoś, kto przypadkowo ugryzł się mocno w język.

– No, dajmy na to, że Segal ogłosiło secesję.

– Co?! Jak to Segal ogłosiło secesję? – przerwał mu chłopak w pół słowa. Widać było, że ta wiadomość wstrząsnęła nim do żywego. Usiadł na ławie, choć bliższe prawdy byłoby stwierdzenie, że obalił się na nią, jakby uciekło z niego całe życie, a jego ciało oklapło, począwszy od luźno zwisających ramion, aż po ostatnie kręgi szyjne – sprawiał wrażenie, jakby ważył teraz dwukrotnie więcej.

– Normalnie – ciągnął dalej niczym niezrażony więzień. – Wielki Kapłan obwołał się władcą Segal i proklamował niepodległość prowincji. Skąd Sur żeście się urwali? – Nie ukrywał zdziwienia. – Jak możecie tego nie wiedzieć? Przecież w całym kraju nie mówi się o niczym innym.

Nidro z wyrzutem spojrzał na Senę, lecz ta jedynie wzruszyła ramionami, co mogło oznaczać: „myślałam, że wiesz”. Jego wzrok błędził przez chwilę po pokoju w poszukiwaniu czegoś bliżej nieokreślonego, aż ostatecznie skupił się z powrotem na więźniu.

– To jeszcze Sur powiem, skoro kompletnie nic nie wiecie – dodał tamten i spojrzał na chłopaka z dobrodusznym pobłażaniem zarezerwowanym głównie dla ludzi niespełna rozumu i zwykłych idiotów – że Synti się zbuntowali. Tak, tak, na kontynentach zewnętrznych wybuchły regularne powstania, w dodatku krwawo tłumione przez wojsko. Mówię Sur, że cały

świat właśnie stanął na głowie, a szczególnie tu się porobiło, na tym całym zadupiu, gdzie prawo z kretesem zeszło na dalszy plan. Doszło do całkowitego rozprężenia aparatu państwowego.

W pewnym momencie Nidro przestał go słuchać, a jego umysł zawiesił się, przeciążony od nadmiaru tak niefortunnych informacji. I choć pierwszy szok właśnie mijał, to jego miejsce wypełniły niesforne myśli. Kotłowały się one w jego głowie niczym stado wystraszonych baranów, spłoszonych wyciem wilka.

„Jeśli jest tak, jak on mówi – gorączkowo zastanawiał się Nidro – to sytuacja jest naprawdę kiepska. Armia rozbita, coś takiego. Wolni Ludzie zostali pobici. Zmuszeni do odwrotu wycofali się na południe, gdzie siedzieli jak myszy pod miotłą za pasem wulkanów, skąd nie mogli choćby wyściubić nosa na zewnątrz. Odcięci od reszty świata, uparcie odmawiali złożenia broni. Co tam się stało? To nie miało żadnego sensu, nie chciało się zsumować, jak ułamki bez wspólnego mianownika. Trzeba się jak najszybciej dostać do Tarnau. Skoro Segal się zbuntowało, to jesteśmy z nimi w stanie wojny. A to oznacza... że powinienem pozabijać wszystkich ludzi Kapłana, kiedy miałem taką okazję. No cóż, jak to się mówi, co się odwlecze, to nie uciecze”.

– Mówiłeś coś o buntach Synti? – zapytał na poły podekscytowanym, a na poły zrezygnowanym głosem, gdy wreszcie otrząsnął się z zamyślenia.

– Tak. – Więzień od razu podchwycił temat. Cieszył się niezmiernie, o czym świadczyły zamienione w ciasne szparki oczy, że wzbudził takie zainteresowanie chłopaka powszechnie znanymi wszystkim wiadomościami.

– Podobno na Rubieży Synti zbuntowali się w Oser i Tendar. Tak słyszałem, lecz przyznam się, że nie mam pojęcia, jak sytuacja wygląda w tej chwili, bo jeszcze do niedawna trwały tam ponoć krwawe zamieszki. O wiele gorzej sprawy mają się na kontynencie Genea. Tam wybuchały ponoć regularne powstania, a przynajmniej tak mówią kupcy w Tamir, mam tu na myśli takich, co byli na miejscu i wiedzieli wszystko na własne oczy.

– Jak cię zwą, przystojniaczku? – spytała niespodziewanie dziewczyna. Obdarzyła go równie zagadkowym, co przenikliwym spojrzeniem.

– Jestem Temu i zawodowo zajmuję się handlem diamentami. Przyjechałem tu po towar zakupiony z kopalni w Tana. Ech, po co mi to było, Sari. Od tylu lat robię interesy z miejscowymi kupcami i pierwszy raz spotkało mnie coś takiego. Ludziom to jednak nie można ufać ni w ząb. – Zawiesił się na moment w labiryncie własnych rozważań. – Zapłaciłem Derysowi za kamienie – wrócił do potoku przerwanej wypowiedzi. – A on wziął pieniądze i powiedział mi, że wszystko stracił po drodze i że powinienem to zrozumieć, „bo są ciężkie czasy”, i takie tam głupoty. Pierwotnie miałem odebrać od niego towar i ruszać bez zwłoki do portu Meana, gdzie czeka na mnie mój statek.

– Statek? – Z potoku całej wypowiedzi uwagę Nidro przykuło to jedno słowo. Wymienili z Seną ukradkowe spojrzenia, a on był pewien, że dziewczyna pomyślała o tym samym.

– Tak, mam swój własny szkuner, nazywa się Morska Piana i czeka na mnie z całą załogą w porcie.

Po tym oświadczeniu zapadła krótka, ale za to bardzo wymowna cisza.

– Przykro mi. – Nidro przerwał milczenie, ale tym razem jego głos wskazywał na to, że mówi szczerze. – Niestety, nie możemy ci pomóc, musisz się z tym zgłosić do tutejszego sądu.

– Właśnie o to chodzi – zirytował się nie na żarty handlarz – że nie będzie żadnego sądu. – Ostatnie słowa wycodził niemal przez zaciśnięte zęby. Pech chciał, że trafił na takich durni, ale co zrobić? „Jak się nie ma, co się lubi...” – przemknęło mu przez głowę, ale szybko wrócił do meritum. – W tym mieście jest pewien układ – zaczął cicho, przy czym rozejrzał się na boki uważnie. – Robi się tu przekręty na wielką skalę, a ja niechcący wdepnąłem w sam środek tego gówna. Dlatego nikt nigdy nie pozwoli mi zeznawać przed żadnym sądem. Derys to kanciarz i wiem o tym nie od dziś, ale nigdy wcześniej nie odważyłby się na taki numer. Nie na taką skalę. Skoro okradł mnie tak jawnie, to znaczy, że musi mieć na to przyzwolenie od lokalnych władz, a to może oznaczać...

– Że w sprawę zamieszany jest sam Baron Jug – weszła mu w słowo Sena.

– Dokładnie! – Grubas ucieszył się, że chociaż dziewczynę natura obdarzyła mózgiem. – I właśnie dlatego za wszelką cenę muszę się stąd

wydostać, zanim słuch po mnie zaginie. Dobrze wam zapłacę, jeśli pomożecie mi wyjść na wolność – przekonywał ich błagalnie, szczególnie że nie miał tu nikogo innego, do kogo mógłby zwrócić się o pomoc. W dodatku ci tutaj byli przyjezdni, a zatem mógł przypuszczać, że nie spiskują z jego wrogami, a przynajmniej jeszcze nie. Dlatego to przed nimi otworzył skołataną duszę, bo jak by nie patrzeć, ta dwójka, tfu, obdartusów, była jego ostatnią szansą na ocalenie...

Nidro dał dziewczynie znak ręką, aby przeszli do ich pokoju, chciał z nią porozmawiać na osobności. A kiedy znaleźli się sami, zapytał ją ściszone głosem:

– Wiesz, o co tu chodzi?

– Nie do końca, ale trochę się domyślam – zaczęła, a jego milczenie potraktowała jako sygnał, że ma kontynuować. – Jest tu kilku sporych graczy na rynku diamentów, jednym z nich z całą pewnością jest sam Baron, gildia też w tym siedzi. Teraz, kiedy w Cesarstwie panuje zamęt, każdy chce się szybko dorobić, a gdy obywatele boją się o swoją przyszłość, zbija się największe fortuny. Na pozór wszystko wygląda tu jak dawniej, lecz prawda jest taka, że każdy potrzebuje przyjaciół w ciężkich czasach. Dlatego od wybuchu kryzysu korupcja rośnie w zastraszającym tempie.

– Uważasz więc, że grubas może mieć rację i że faktycznie nie stanie przed sądem? – Chłopak nie miał za wiele doświadczenia w takich sprawach, dlatego koniecznie chciał poznać opinię złodziejki.

– Jeśli jest niewygodny, to zniknie bez śladu, tak to się teraz załatwia – odparła bez wahania.

– A to o Segal to prawda? – Nidro wyglądał na przybitego całą tą sytuacją.

– Tak – powiedziała rzeczowo, lecz zrobiła przy tym kwaśną minę. – Właśnie dlatego Szczur mnie tam wysłał. Cesarzowi bałby się ukraść artefakt, ale buntownikowi to co innego. – Obdarzyła go na pół kpiącym, a na pół łobuzerskim uśmiechem.

– Jeżeli Kapłan zdradził, wiesz, co to dla nas oznacza? – odpowiedział jej tym samym wyrazem twarzy. – Właśnie dostałaś swoją życiową szansę, więc jej nie zmarnuj.

– Jaką znowu szansę? – zdziwiła się dziewczyna, patrząc mu prosto w oczy.

– Masz właśnie niepowtarzalną okazję, żeby ze zwykłego złodzieja... to znaczy z najlepszego złodzieja pod słońcem – poprawił się szybko, kiedy dostrzegł karcące spojrzenie dziewczyny – ...stać się bohaterem, który kierując się wrodzonym altruizmem, lub jeszcze lepiej niebywałym patriotyzmem... – kontynuował i puścił do niej oko – ...z narażeniem własnego życia odzyskał cenny artefakt dla samego Cesarza. Dodam tylko, że i ja dostanę punkty za odeskortowanie cię bezpiecznie do Oka Świata. Dzięki tej wspólnej inicjatywie obydwójce dobrze na tym wyjdziemy.

– A co robimy z grubasem? – spytała ukontentowana tym rozwlekłym i jakże przekoloryzowanym wyjaśnieniem.

– Trudna sprawa. – Chłopak zmarszczył czoło w zadumie. – Nie możemy go stąd wyciągnąć bez zwracania na siebie niczyjej uwagi, a to, jak wiesz, w dalszym ciągu nie przestało nas obowiązywać. Z drugiej strony – dodał po chwili, jakby zastanawiał się głośno – jeśli faktycznie ma ten statek i nas nie okłamał, przydałby się nam taki towarzysz w kompanii po drodze do Tamir – przyznał szczerze, acz niechętnie. – Ponieważ pomoc grubasowi w ucieczce wydaje się kuszącym pomysłem, myślę, że zrobimy tak: ja przyniosę ci artefakt, a ty przy jego pomocy dokładnie wypytaj o wszystko naszego druha. Jeśli faktycznie jest jakiś spisek, to możemy tu trochę powęszyc.

– Co chcesz zrobić? – Spłoszone spojrzenie dziewczyny powiedziało mu, że nie nadaża za jego sposobem rozumowania.

– Moglibyśmy na przykład porozmawiać z tym całym Derysem i nakłonić go do wycofania zarzutów.

– A jeśli się nie zgodzi? – Jej głos świadczył dobitnie, że powątpiewała w powodzenie tak naiwnego planu.

– To trudno, wtedy grubas zostaje w celi. Nie mam zamiaru dla niego ryzykować, że ktoś nas tu zdemaskuje. Jeśli jednak jest jakiś spisek, a Cesarstwo ogarnęła fala zamieszek, to i tak warto to sprawdzić, by zameldować o wszystkim w dowództwie armii. Cesarz na pewno wkrótce wyśle zbrojny kontyngent na Rubież, a nasz raport może mu pomóc lepiej

zrozumieć bieżącą sytuację. No, dobra – skwitował chłopak, ponownie skupiając swój wzrok na dziewczynie. – W takim razie poczekaj tu na mnie, kiedy ja wyjdę się trochę przewietrzyć.

Na tym zakończył swój wywód, odwrócił się i zdecydowanie ruszył do wyjścia. W dodatku zrobił to tak nagle, że zostawił Senę samą z odpowiedzią zawieszoną na rozchylonych ustach. Kiedy dotarło do niej, że rozmowa z nowym szefem dobiegła końca, a ona ma wreszcie chwilę dla siebie, od razu pomyślała o dokładce gulaszu.

Chłopak wrócił po dłuższej chwili. Spojrzał na Senę porozumiewawczo i podał jej bransoletkę pod stołem. Dziewczyna znudzonym krokiem podeszła do celi.

– Hej, przystojniaczku. – Pokiwała palcem, aby Temu się do niej zbliżył. – Powiedz mi, proszę, gdzie mieszka ten twój Derys? – spytała go na ucho, a gdy ten się schylił, ukradkiem włożyła mu artefakt do wewnętrznej kieszeni kurty.

Sena z typową dla siebie przenikliwością kolejny raz wypytała Temu o wszystko, co chcieli wiedzieć, i z aprobatą pokiwała głową, gdy okazało się, że kupiec powiedział im prawdę. Pierwsza myśl, dość zadufana, podpowiadała, że łatwo poszło, lecz tak naprawdę to artefakt wykonał za nią całą pracę. Skoro poznali adres Derysa, postanowili wybrać się do niego wieczorem z nieoficjalną wizytą. Tymczasem Nidro oświadczył, że potrzebuje chwili dla siebie i położył się na łóżku. Wciąż miał spory mętlik w głowie i chciał sobie wszystko jeszcze raz dokładnie przemyśleć, zanim cały jego światopogląd runie i przygniecie go swym ciężarem. Patrzył w sufit nieobecny wzrokiem i analizował w skrytości serca wszystkie nie tak dawno zasłyszane wieści. Sytuacja zmieniła się diametralnie w sposób trudny do oszacowania, a i to delikatnie powiedziane. Przynajmniej wyjaśniło się, dlaczego nikt nie przybył odebrać go z klasztoru. W takim bałaganie, jaki musiał zapanować w dowództwie, nie było czasu na rutynowe operacje. Po rozmowie z Temu wiele niespójnych dotąd elementów układanki wskoczyło na swoje miejsce. A wykreowany w ten sposób obrazek, mimo że nie cieszył oka, pokazał mu kolejne zmienne, na które będzie musiał wziąć kolejną poprawkę, formułując kolejny z rzędu plan

działania. Całe szczęście, że trafił na tę nietuzinkową dziewczynę, chyba faktycznie był w czepku urodzony, skoro tak sromotną porażkę zdołał przekuć w jeszcze nieskonsumowane co prawda zwycięstwo, i przestał się wreszcie przejmować tym, co zrobił Arto. Gdyby tylko mógł cofnąć czas, to dopiero by im pokazał...

„W takich warunkach muszę być bardziej elastyczny” – pomyślał, przekonując samego siebie z mniejszym lub większym skutkiem. „Bardzo możliwe, że jestem obecnie jedynym bojowym magiem, poza klasztorem oczywiście, na całym kontynencie. Na razie postaram się jak najdłużej udawać tego nieszczęsnego posłańca, ale niewykluczone, że jeśli zajdzie taka potrzeba, będę się musiał ujawnić i interweniować bardziej zdecydowanie”. Z jakiegoś powodu, gdy o tym pomyślał, stanął mu przed oczami obraz płonącego grodu, zasnutego łunami pożarów. Poruszył głowę, jakby odganiał niechciane skojarzenia. „Najwidoczniej żyjemy w ciekawych czasach, kiedy wszystko może się zdarzyć, a ja nie mam zamiaru siedzieć bezczynnie, gdy ojczyzna znalazła się w niebezpieczeństwie”.

W tym momencie w głowie Nidro za dużo się działo, za dużo wielkich pomysłów cisnęło się do zdecydowanie zbyt ciasnego przesmyku dostępnych możliwości.

Baron Jug siedział rozparty wygodnie w wiklinowym fotelu, leniwie palił pękatą fajkę na tyłach ogrodu okalającego niewielki, lecz za to elegancko urządzony pałac. Służba krzątała się wkoło i usługiwała mu jak co dnia, to dolewając wina do pucharu, to sprzątając ze stołu. Jug był tęgim mężczyzną grubo po pięćdziesiątce, spod jego siwych, rzadkich włosów wyglądała lekka łysina.

– Przybył dowódca garnizonu. – Służący ciepłym barytonem zapowiedział nadejście Oswalda.

Baron dostojnie uniósł głowę i z zaciekawieniem krzeszącym iskry w oczach spojrzał na swego gościa.

– Z czym przychodzisz, mój drogi Oswaldzie? – Wskazał gestem na fotel naprzeciw siebie, a gdy oficer usiadł na miejscu, służąca nalała mu wina do przygotowanego zawczasu pucharu.

– Tak... – chrząknął oficer. Wyraźnie zbierał się w sobie, by odpowiednio klarownie nakreślić nietuzinkową sprawę. – Przybyłem osobiście, aby cię zawiadomić, Baronie, że zawitali dzisiaj do nas bardzo ciekawi goście. – Oswald starał się przemawiać dystyngowanie w obecności gospodarza.

– A jacyż to goście tak wystraszyli mojego dzielnego primusa? – Baron zaśmiał się rubasznie, a Oswald nie wiedział, czy była to jedynie poza, dlatego na wszelki wypadek wszystkie swoje obawy łagodził opróżnianym raz po raz do dna pucharem wina.

– Dzisiaj po południu... – zaczął lakonicznie, jak miał w zwyczaju każdy zawodowy żołnierz – ...przybyło do miasta dwoje dziwnych ludzi. Przedstawili się jako cesarscy posłańcy. Jest to młody chłopak i równie młoda, bardzo urodziwa dziewczyna.

Jug, chociaż nie dał nic po sobie poznać, z ogromnym zaciekawieniem słuchał relacji Oswalda, co jednak nie uszło uwadze oficera.

– Ten chłopak ma na ramieniu bardzo nietypowy tatuaż wojskowy, a mianowicie orła plującego ogniem, a co jeszcze dziwniejsze, posiada znak dożywotniej służby. Powiem szczerze, że nie mam pojęcia, co to jest za formacja, wiem jednak z całą pewnością, że nie są to żadni posłańcy.

– A dziewczyna? – spytał z rosnącym zainteresowaniem Baron.

– Ona nie ma nic.

– Więc dziewczyna jest cywilem, a chłopak z cesarskiej armii – powtarzał na głos Jug, jakby musiał upewnić się, czy dobrze usłyszał.

– Chłopak okazał list, dokument nakazywał udzielić mu wszelkiej pomocy.

– Ciekawe, bardzo ciekawe – powtarzał sam do siebie Baron, pykając dym z fajeczki.

– W dodatku list opatrzone pieczęcią pierwszej klasy, co jest równie rzadkim zjawiskiem jak burza śnieżna na pustyni.

– A co ty o tym myślisz, Oswaldzie? – zapytał Jug po dłuższej chwili bezowocnych rozmyślań.

– Stawiam na to, że są to cesarscy szpiedzy, ale pewności nie mam – odparł zasępiony oficer. – To tłumaczyłoby ten dziwny tatuaż i dożywotnią służbę. Zdziwiła mnie też ta dziewczyna. Dlaczego, skoro są tu razem, nie

miała oznaczenia jednostki? Jedyne, co przychodzi mi do głowy, to to, że ona musi być jakimś jego informatorem albo kimś w tym rodzaju.

Oswald łączywie wychylił kolejny puchar wina, akurat ten napój równie dobrze robił skołatany nerwom co zaschniętemu gardłu. Trochę pomogło, bo rozluźnił spięte dotąd mięśnie, w końcu i bez tej dwójki przybłędów miał dość własnych zmartwień.

– Uważam, że chłopak jest jej łącznikiem w armii. Tak, to by miało sens – zgodził się Baron, puszczając dymka. – W końcu bez tatuażu nikt jej nie zdemaskuje, całkiem sprytne, nieprawdaż? – Szukał potwierdzenia swoich domysłów w oczach podwładnego. – A gdzie są teraz? – Nie spuszczał wzroku z niczym niezmaconej twarzy Oswalda.

– Znalazłem im miejsce w garnizonie, dzięki temu mogę mieć ich stale na oku.

– Doskonale! – Pulchne dłonie Jurga same złożyły się do przyklasku. – Świetnie się spisałeś, postawa godna dowódcy, dobrze rozegrane.

Oswald w odpowiedzi jedynie usłużnie schylił głowę w geście równie nieskromnym, co niepoahamowanym.

– Najważniejsze pytanie brzmi, czy oni są tu z naszego powodu, czy wpadli przejazdem z niezapowiedzianą wizytą? No nic, trzeba będzie ich dyskretnie obserwować. Ale tak, by nie nabrali podejrzeń.

– Już wydałem odpowiednie rozkazy – powiedział z nieskrywaną dumą Oswald.

– Doskonale! – Baron energicznie zatarł ręce. – Nagroda cię nie ominie, tego możesz być pewien. A swoją drogą, musimy bardziej uważać na nasze przedsięwzięcia. Biały orzeł może i został ranny, ale wciąż jest śmiertelnie groźny. – Zniżył głos do szeptu, tak by nikt ze służby go nie usłyszał.

– Najwidoczniej – odparł żołnierz bez entuzjazmu.

– Dlatego właśnie musimy działać dyskretnie, o tak, dyskrecja to podstawa. Czy jest coś jeszcze, o czym powinienem wiedzieć? – Pytanie zawisło nad stołem i na przekór Oswaldowi nie chciało się rozproszyć.

– Nie, Saru, na tę chwilę nie wiemy nic więcej. – Nieprzypadkowo użył liczby mnogiej, chociaż w ten sposób mógł się zdystansować od taksujących go nieustannie źrenic.

– W takim razie informuj mnie na bieżąco. – Wzrok Barona przestał go palić w szyję.

– A jeśli będą chcieli wyjechać? Chłopak mówił, że jutro rano planują ruszać dalej.

– To niech jadą. W Kenir nie może im spaść włos z głowy, to skierowałoby na nas niepotrzebne podejrzenia. Jednak gdyby się okazało, że są tutaj z naszego powodu... – Zawiesił głos, a Oswald domyślił się, co to oznacza. – Wtedy po drodze musi im się przydarzyć jakiś wypadek.

– Rozumiem, że najlepiej tragiczny? – upewnił się oficer wyraźnie rozbawiony użytym przez Barona eufemizmem.

– Tak, wyjątkowo tragiczny, i oczywiście taki, co wykluczy ewentualne dochodzenie.

– Rozumiem, Saru – przytaknął czysto formalnie Oswald, zanim wstał z miejsca. Audiencja była skończona. – Saru pozwoli, że wrócę, kiedy dowiem się czegoś więcej o naszych posłańcach.

Zasalutował sprężysto, jak nakazywał zwyczaj, zrobił w tył zwrot i opuścił posiadłość namiestnika prowincji z równie nieodgadnioną miną, z jaką przybył. Baron siedział jeszcze dłuższy czas w swoim fotelu, puszczał dym z fajki, a jego zewnętrzny spokój stał się antytezą wewnętrznego rozbicia, deptanego okutymi butami przez podejrzliwe alter ego – tak przyzwyczajone, aby wszędzie węszyć spisek. Wędrował nieustannie myślami ku odpowiedzi na pytanie, jaki powinien być jego następny ruch na coraz bardziej zatłoczonej planszy do gry, na której, czego właśnie miał najlepszy dowód, co rusz przybywało nowych figur.

Siedziba gildii złodziei mieściła się na piętrze starej, ale za to eleganckiej kamienicy. Na parterze natomiast znajdowało się renomowane kasyno Mennica, czyli jeden z największych domów gry na Rubieży. Bractwo dbało o to, by prowadzić wiele – co tu ukrywać – prawie legalnych interesów. Dzięki temu dysponowało stałym napływem prawie legalnej gotówki.

– Szefie! – zawołał Syr. Złodziej wpadł do gabinetu Bezpalciego przez uchylone drzwi niczym zamieć na górskiej przełęczy. – Mam ważne wieści – powiedział zdyszany złodziej, a z jego zaciętej fizjonomii dało się wywnioskować, że sprawa jest niecierpiąca zwłoki.

Herszt zupełnie bezszelestnie przemieścił się w jego stronę. Zrobił to tak lekko, jakby unosił się nad ziemią. A był to przecież kawał chłopca. Muskularny mężczyzna po trzydziestce miał ciemne kręcone włosy, opadające burzą niesfornych kędziorów za szerokie ramiona. Nosił czarny, niezwykle wytworny płaszcz z wysokim kołnierzem, tak modnym wśród lokalnych kupców. Wbił zaciekawione spojrzenie w złodzieja i przyglądał mu się z taką intensywnością, że Syr odruchowo lekko się cofnął.

– Nowe wieści o naszym handlarzu? – Bezpalczy początkowo sam próbował zgadnąć, z czym przybywa bandyta.

– Nie, szefie. To, co właśnie widziałem, może być nawet ważniejsze od diamentów i samego handlarza. Zresztą, jeśli o niego chodzi, to sprawa stanęła w miejscu, a on w dalszym ciągu siedzi zamknięty w areszcie garnizonowym.

– Co więc się stało? – ponaglił go pozornie obojętnym tonem.

– Do miasta przyjechała Sena, to złodziejka z gildii w Atolu.

– Wiem, która to. – Bezpalczy przerwał mu bezceremonialnie. – To ponoć prawdziwa piękność, człowiek do zadań specjalnych Szczura.

– Jest tak jak mówisz, szefie.

– To dziwne, przysyłają do nas swojego najlepszego człowieka, a my nic o tym nie wiemy – zastanawiał się równie głośno, co intensywnie Bezpalczy.

– Tak, szefie, to jest bardzo dziwne, ale mam tego więcej. – Syr skrzywił się na twarzy, jakby rozgryzł cytrynę. – Żołnierz, który ją przyprowadził, umieścił Senę w areszcie razem z handlarzem.

– Znaczy się, została zapuszkowana? – Bezpalczy najwyraźniej zupełnie się w tym pogubił.

– Nie, szefie, właśnie do tego zmierzam, oni ją tam prowadzili jak jakiegoś gościa bardziej, na pewno nie więźnia. Była tam z jakimś chłopaczkiem, ale tego pierwszy raz widziałem na oczy.

– Sena przebywa w Kenir i to w dodatku w garnizonie wojskowym, to nie jest po prostu ciekawe, a wręcz niewiarygodne. Może te dwie sprawy jakoś się ze sobą łączą i dziewczyna jest tu z powodu handlarza? – Jego myśli rozbiegały się po bezdrożach wątpliwości, ale oczy pozostały czujne. – A ja

myślałem, że nic mnie nie zdziwi po tym, co ostatnio dzieje się w kraju. A tu proszę, taka, trudno powiedzieć, czy miła, niespodzianka.

– Co mam robić, szefie, w sensie, z tą złodziejką? – zapytał Syr z gorliwością miejskiego płaza.

– Przede wszystkim obserwuj garnizon – powiedział Bezpalczy tonem surowego nauczyciela, który najwidoczniej nie do końca zna odpowiedź na pytanie ucznia. Jednak już samo to, że musiał się odezwać, wyrwało go z temporalnego osłupienia. – Zbierz mocną ekipę i zaczekajcie, aż wyjdzie na miasto. Przyprowadzisz ją do mnie, ale tak, by jej włos nie spadł z głowy – dodał pośpiesznie z wyraźnym naciskiem w głosie. – Zrozumiałeś?

– Jasne, szefie, dokładnie tak zrobię. A jeśli nie będzie chciała, eee, pójść po dobroci? – zapytał, nagle dostrzegłszy niewielką, acz jego zdaniem frapującą lukę w wytycznych przełożonego.

– Wtedy rób, co będziesz musiał – westchnął Bezpalczy z wyraźnym wahaniem. – Ale pamiętaj, że chcę ją tu mieć żywą i w jednym kawałku, nie mam najmniejszego zamiaru zadzierać ze Szczurem.

– Tak zrobimy, szefie – zadeklarował złodziej najszczerzym głosem, na jaki było go stać, po czym wycofał się pośpiesznie z gabinetu. Musiał się spieszyć, zapowiadała się bowiem pracowita noc dla niego i jego kompanów.

Bezpalczy został sam w gabinecie i bezwiednym wzrokiem wpatrywał się w okno. Choć na jego twarzy nie drgnął żaden mięsień, to umysł pracował nieustannie, wciągając na kolejne poziomy zrozumienia wszystko to, co właśnie usłyszał.

– Sena jest w Kenir – mówił sam do siebie. – Przecież powinien mnie ktoś uprzedzić z gildii w Atolu, tak w końcu nakazywał kodeks. A skoro nikt tego nie zrobił, to znaczy, że dzieje się tu coś dziwnego i albo Szczur mnie sprawdza..., albo planuje jakąś nietypową akcję na moim terenie. Ale po co miałby się z tym kryć? Szczur jest moim zwierzchnikiem w organizacji, więc powinien mi zlecić tę robotę, cokolwiek by to nie było, gildia zawsze postępowała w ten sposób. To wszystko nie ma żadnego sensu. Mój złodziejski nos podpowiada mi, że coś tu śmierdzi i to bynajmniej nie serwatka z kanałów. Czyżby zanosilo się na jakąś grubszą aferę? – rozważał,

gdy w nerwowym geście wyłamywał sobie palce w stawach. – Trzeba się będzie dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi, i to jak najszybciej.

– Czy skoro z nikczemnej złodziejki stałam się najlepszą przyjaciółką Cesarza, mógłbyś mi w końcu oddać moje noże do rzucania? – Dziewczyna spojrzała na niego błagalnym wzrokiem, w równym stopniu przepelnionym zarówno tęsknotą, jak i nadzieją.

Nidro wytrzymał jej spojrzenie, stanął przed dylematem na pograniczu własnego bezpieczeństwa i zdrowego rozsądku, ale w końcu z ledwo dostrzegalnym wahaniem sięgnął do plecaka i podał jej pas z czterema nożami. Sena zachłannie wyciągnęła po niego ręce i z wprawą zaczęła go zakładać, ciesząc się przy tym jak dziecko.

– Wolę ci oddać twoje noże, niż patrzeć, jak okradasz wojskowe zapasy. – Wskazał nóż bojowy, którym bawiła się wcześniej.

– Tylko go pożyczyłam – odparła lekceważąco. – Oddam, jak będziemy wyjeżdżać.

Nidro w żaden sposób nie skomentował tych nieszczerých zapewnień. A Sena błędnie odebrała jego milczenie za akceptację.

– To jaki jest w końcu ten nasz cały plan? – zapytała, skupiając jantarrowe spojrzenie na magu.

– Szczerze powiedziawszy, to nie mam żadnego konkretnego planu, to raczej pewna idea, coś, co możemy przetestować.

Dziewczyna milczała wyczekująco, a jej mina sugerowała, aby przeszedł do szczegółów.

– Mam zamiar poprosić o nieformalną rozmowę z handlarzem i spróbować się czegoś dowiedzieć – wyrzucił wreszcie z siebie ponagłany jej spojrzeniem.

– A jeśli nie będzie chciał z nami rozmawiać? – zapytała przytomnie głosem zabarwionym drwiną.

– Wtedy musimy odpuścić. Gdybym go za mocno przycisnął, zaraz by się ktoś zaczął zastanawiać, dlaczego posłaniec miesza się w sprawy między kupcami. A ja nie potrzebuję takiego rozgłosu. Zresztą, ty też nie – dodał zaczepnie. – Bez względu na to, jak nam dzisiaj pójdzie z Derysem, jutro

rano i tak stąd wyjeżdżamy. Chcę opuścić miasto, zanim zjawi się Elon ze swoim oddziałem.

Senę замуrowało na dźwięk tego imienia.

– Myślisz, że jeszcze tu wróci, po laniu, jakie dostał? – Jej mina zdradzała brak przekonania.

– Tak, myślę, że wróci, i to prędzej niż później. Tacy ludzie są jak reumatyzm, im więcej się go leczy, tym częściej powraca. Jestem prawie pewien, że jak tylko zbierze resztę oddziału, ruszy za nami do Kenir. Dlatego jutro z samego rana musimy się stąd wynosić. Nie mogę sobie pozwolić na taką konfrontację przy świadkach, wciąż jesteśmy zbyt blisko gór OstSa. Ale jeśli spotkamy się gdzieś po drodze, „na osobności”, to będzie zupełnie inna sprawa.

– A co, jeśli to oni zaskoczą nas po drodze? Albo tym bardziej jak przygotują jakąś zasadzkę?

– Jest to bardzo prawdopodobne – przyznał spokojnym, pewnym głosem chłopak. – Jednak my mamy Arto do pomocy, a on przez cały czas obserwuje teren wokół miasta. Jeśli dobrze pamiętam, tu jest jedyne miejsce, gdzie mogą się bezpiecznie przeprawić przez rzekę.

– Masz rację – zgodziła się z nim Sena. – Na południe nie pójdą, bo tam jest Wielki Las, a rzeka jest za głęboka, by przejść ją wplaw.

– Dlatego sądzę, że nie mamy się czym martwić. – Podniósł się z miejsca, co było równoznaczne z zamknięciem dyskusji. – To jak, gotowa na nocny spacer?

Sena przytakująco kiwnęła głową, czuła się znów o wiele pewniej, od kiedy odzyskała swoją broń.

Gdy opuszczali grube mury garnizonu, na zewnątrz było już całkiem ciemno. Noc przywitała ich chłodem, a z granatowego, bezchmurnego nieba spoglądały trzy kolorowe księżycy, które swym obrysem przytulały się do siebie, jak to zwykle miało miejsce po koniunkcji. W kamienicach, tu i ówdzie, paliły się w oknach lampy oliwne, i to one właśnie rzucały migotliwy poblask na chodnik. Ruszyli niespiesznie, główną, tym razem południową ulicą miasta. Niezatrzymywani przez nikogo wmieszali się w kolorowy tłum przechodniów. Jak się okazało, nocą ulice tętniły życiem

niemal jak za dnia. W licznych gospodach słysząc było rubaszne śpiewy, które usilnie próbowały zagłuszyć skoczne dźwięki gitary. Co rusz mijał ich roześmiany korowód dobrze odurzonego takim czy innym trunkiem damsko-męskiego towarzystwa. Aby nie rzucać się w oczy na tle tej rozkrzyczanej ludzkiej masy, Sena założyła swoją czarną pelerynę z kapturem. Poruszali się naturalnym tempem ulicy, czyli takim, jakim szli pozostali przechodnie. To wszystko miało im pomóc zniknąć z oczu ciekawskich, wtopić się w otoczenie. Poza głośnym tłumem widzieli też sporo żołnierzy teoretycznie zajętych pilnowaniem porządku, a w praktyce wlepiających zachłanne spojrzenia w biusty co bardziej skąpo odzianych kobiet.

– Nie dziwi cię to, że nikt w garnizonie nie zainteresował się, kiedy powiedziałeś, że planujemy wieczorny wypad na miasto?

– Nie, dlaczego?

– Żaden z żołnierzy nawet się nie zapytał, dokąd idziemy o tej porze.

– To chyba dobrze, że nikt się nie pytał? – odparł niepewnie chłopak.

– Dla mnie to było trochę dziwne. Miałam wrażenie, jak gdyby oni wiedzieli, że będziemy gdzieś łązić po nocy.

– To niemożliwe, dopiero co sami to zaplanowaliśmy.

– No nie wiem, mam jakieś dziwne przeczucie. – Odwróciła wzrok od jego twarzy.

– Ostatnio miałeś sporo przygód, to normalne, że reagujesz w ten sposób.

Dziewczyna skrzywiła się na te słowa, lecz nic mu nie odpowiedziała, a cisza, jaka zapadła, powinna ostrzec Nidro, by na przyszłość w tak nonszalancki sposób nie lekceważył kobiecej intuicji.

Droga na nadbrzeże była prosta jak życiorys grabarza. Cesarskie miasta budowano na planie kwadratu, dlatego wszystkie ulice przecinały się tu pod kątem prostym. Dzięki temu łatwo było się odnaleźć w zupełnie nieznanym mieście. Kiedy zbliżyli się do portu rzecznego, tłum na ulicach widocznie się przerzedził, a wokół nich zrobiło się o wiele ciszej. Nie widzieli też żadnych żołnierzy na patrolu czy chociażby po służbie. Skręcili w boczną alejkę na skwerze przy małej fontannie, tak jak im to opisał Temu.

– To powinno być gdzieś tutaj. – Sena uważnie rozejrzała się dokoła.

Znajdowali się na ulicy Nadbrzeżnej, która wiała się bezpośrednio wzdłuż muru obronnego.

– Jesteśmy prawie na miejscu, to właściwa ulica. Tam jest coś takiego. – Wskazała luksusowy dom w oddali.

– Tak, to może być to – przytaknął Nidro na widok intensywnie oświetlonej posiadłości. – Na pewno nie jest to dom biednego rybaka – skonstatował kpiąco.

Ruszyli w tamtym kierunku, lecz nie uszli nawet trzydziestu kroków, gdy drogę zagroził im ubrany na czarno mężczyzna z brodą. Zaraz za nim, z tłustego cienia pobliskiej kamienicy, wyłoniło się bezszelestnie kolejnych sześciu drabów. Sena gwałtownie odwróciła głowę, za ich plecami także dostrzegła kilku mężczyzn wyglądających nie tyle znajomo, co stereotypowo, jak gladiatorzy karczemnych pól bitew na odprawie przed decydującym starciem.

– To ludzie gildii – wyjaśniła Nidro na ucho. – Musieli nas śledzić, od kiedy wyszliśmy z garnizonu.

– Witaj, Seno! – odezwał się niski brodacze. – Powiedz mi, proszę, co tak barwną postać jak ty sprowadza do Kenir?

– Nie twoja sprawa – odparła hardo dziewczyna, jednocześnie odruchowo wymacała broń pod peleryną.

– Nie moja sprawa – zachnął się złodziej i przeciągnął dłonią po długiej brodzie. – Widzisz, mój szef uważa inaczej. Tak się właśnie składa, że Saru Bezpalczy organizuje dziś wieczorem przyjęcie z okazji twojego przyjazdu. I nie muszę chyba dodawać, że twoja obecność na nim jest obowiązkowa. – Zrobił niedwuznaczną pauzę przed ostatnim słowem, co było dla nich równie jasną, co niepotrzebną aluzją. – Dostałem polecenie, aby bezzwłocznie odprowadzić was do siedziby gildii. I byłoby bardzo, mhy, rozsądnie z waszej strony, gdybyście przyjęli to uprzejme zaproszenie.

– Powiedz Bezpalcemu, że jutro sama do niego przyjdę, teraz jestem zajęta – skłamała gładko Sena swobodnym altem. Dziewczyna robiła dobrą minę do złej gry, udawała wyluzowaną, a tak naprawdę od wewnątrz aż gotowała się ze złości. No właśnie, ze złości, a nie ze strachu. Nie zlekka się kolegów po fachu, bynajmniej, zwłaszcza że miała u swojego boku bojowego

maga, który stanowił ekwiwalent baśniowego stwora lub jednoosobową armię. Najbardziej wkurzyło ją to, że tak łatwo dała się podejść, jak szczur wciągnąć w pułapkę, i to w dodatku bez sera. Powinna była to przewidzieć, skupić się na robocie, zamiast gadać z Nidro o dupie Maryni. Nieoczekiwanie ta myśl sprawiła, że poczuła się trochę lepiej, odrobinę. W końcu nie ma to, jak obarczyć winą za własne błędy kogoś innego. Przemknęła wzrokiem po twarzach bandytów, a w ich cwaniackich spojrzeniach nie znalazła choćby krztyny inteligencji. Ewidentnie mózgiem całej operacji był brodac, który od początku brylował elokwencją. Wyróżniał się na tle swych mało rozgarniętych kompanów niczym samotna wyspa zbójckiego intelektu na oceanie umysłowej indolencji. „Trudno, muszę wcisnąć mu jakiś kit, albo..., albo trzeba będzie sięgnąć po argumenty niewerbalne”.

– No tak, rozumiem – odparł złodziej zupełnie niezrażony awersją dziewczyny. – Widzisz, Saru Bezpalc, jest strasznie ciekaw, czym takim zajmujecie się w jego mieście. I na pewno zachodzi teraz w głowę, jak mógłby was wesprzeć w tym, co tu dużo mówić, niecodziennym przedsięwzięciu. – Uśmiechnął się paskudnie. – Oczywiście Bezpalc gwarantuje wam obojgu nietykalność.

– A jeśli pomimo tego „jakże miłego zaproszenia” nie zechcę się spotkać z waszym „wielce pomocnym” szefem?

– Wtedy będziemy musieli wam pomóc zmienić plany na wieczór. – W jego dłoni, nie wiadomo skąd, pojawił się ostry sztylet. – Zrozumcie, proszę, że Saru Bezpalc jest bardzo, bardzo niecierpliwym człowiekiem, a jego zaproszeń się nie odrzuca. Jest to niezwykle, jak by to ująć... – Udał, że się zastanawia. – Bolesne doświadczenie. – Znowu uśmiechnął się wymownie, a w rękach pozostałych bandytów zaciążyła najróżniejsza broń.

– Zostawcie nas w spokoju – odezwał się głosem wypranym z emocji Nidro, najwyraźniej wciąż w swojej naiwności licząc na uniknięcie konfrontacji. – Jeśli odłożycie broń, obiecuję, że nikomu z was nie stanie się krzywda.

– Och, dziękuję ci bardzo – wyśpiewał niemalże równie uprzejmym tonem brodac, wykonał przy tym ruch, coś jakby parodię dworskiego

ukłonu. – To akurat było dla mnie jasne od samego początku naszej przyjacielskiej rozmowy, natomiast jeśli ty, chłopczyku, zaraz nie zamkniesz tej swojej niewyparzonej mordy, to wtedy...

Nie dowiedzieli się jednak, co brodacze chciał im przekazać, ponieważ mały nóż do rzucania trafił go prosto w otwarte usta. Prawdopodobnie to odruch sprawił, że zacisnął zęby na wąskiej rękojeści, momentalnie zaczął charczeć krwią, a dwa uderzenia serca później zwałił się z łoskotem na ziemię i odgłos upadającego ciała zatrzęsł nocnym powietrzem. Na chwilę zapadła pełna konsternacji cisza. Bandyty stali zupełnie zaskoczeni i wlepiali nierozumiejące spojrzenia w trupa kamrata. Wokół głowy leżącego na podobieństwo aureoli zgromadziła się mała kałuża krwi. Było jasne, że takiego obrotu sprawy raczej nikt z obecnych się nie spodziewał, a zwłaszcza w wykonaniu drobnej, czyli stereotypowo bezbronnej dziewczyny. Ciosane tępą siekierą umysły bandytów dziobały nowe fakty z zawziętością dzięcioła drążącego całkiem nową dziuplę w korze mózgowej. W końcu piasek przesypał się w mentalnej klepsydrze, co uruchomiło od dawna nieużywaną zapadkę. A wtedy wszyscy jak jeden mąż zacisnęli dłonie na broni i rzucili się z opętańczym rykiem na dwójkę znienawidzonych przybyszy. Bandyty mieli mord w oczach oraz prosty imperatyw w sercach.

– Już jesteś martwy! – zasapał nabity osilek, kiedy rzucił się na Nidro z krótkim mieczem. Wykonał cięcie znad głowy, a wtedy chłopak wśliznął się pod niego, jednocześnie przechwycił opadającą rękę dzierżącą miecz. Sprawnie przerzucił osilka przez ramię, a ten poleciał do przodu niesiony siłą własnego ataku. Jego stopy momentalnie straciły kontakt z podłożem. Byczek przeleciał przez chłopaka jak szmaciana lalka i upadł z impetem na nienaturalnie wygięte plecy. Oglądał świat z perspektywy studzienki kanalizacyjnej, gdy dłoń Nidro wbiła mu się w miękką grdykę. Bandyta momentalnie zaczął się dusić, wyrzucił coś niewyraźnie, po czym zwinął się z bólu jak larwa na ziemi. Nidro bez chwili zwłoki wybił się tanecznym ruchem do tyłu i uderzył piętą w głowę kolejnego napastnika – w samą porę, ponieważ ten zamierzał się na niego drewnianą pałką. Cios dosłownie zmiotł zaskoczonego mężczyznę, oprych najpierw dziwnie zwiotczał, a dopiero potem zwałił się na ziemię. Trafiony leżał na plecach i nie dawał

żadnego znaku życia. Sena tymczasem podbiegła do ciała zabitego brodacza, schyliła się i pospiesznie wyrwała nóż z jego gardła. Następnie, zwinnie jak tygrys, uchyliła się przed ciosem pałąką, kiedy ta przeleciała obok, prując samo powietrze tuż nad jej głową. Dziewczyna zrobiła szybki obrót i zostawiła po sobie czerwoną kreskę na gardle najbliższego napastnika. Ten padł na kolana, a z rozciętej tchawicy połała się gorąca krew. W tym momencie z głównej ulicy dobiegł ich odgłos gwizdka. Jego charakterystyczny wysoki ton natarczywie wdarł się do uszu walczących. Po chwili doszła sekcja basowa, nadając nieco szybszy rytm stukotem wojskowych butów o uliczny bruk. Bandyci szybko zorientowali się w sytuacji i jeden po drugim zaczęli dematerializować się na podobieństwo rozwiewanego dymu w bocznych uliczkach oraz spowitych w mroku portowych zakamarkach. W tym czasie do osamotnionej dwójki dopadł oddział wojska z samym Oswaldem na czele. Z jakiegoś powodu widok twarzy dowódcy garnizonu w ogóle nie zdziwił Seny, a wręcz przeciwnie – z niewyjaśnionych względów idealnie pasował jej do sytuacji.

– Proszę, proszę... – szyderczy głos Oswalda mieszał się na twarzy z ironicznym uśmiechem podrygującym w skocznym tańcu. – Co my tu mamy? Czyż to nie jest czasem nasz tajemniczy posłaniec i jego równie piękna, co zagadkowa pomocnica? Jak to jest, że spotykamy się znowu w tak niecodziennych okolicznościach? Wasza dwójka razem, w środku nocy, w portowej dzielnicy, mhyhy, w dodatku pośród ciał zamordowanych z zimną krwią obywateli. Naprawdę malowniczy widok – skomentował sardonicznie Oswald, któremu uśmiech najwidoczniej przywarł na stałe do ogorzałej twarzy. – Rozumiem, że takiej biegłości w rzucaniu nożem nabywa się po latach dostarczania poczty?

– Co z nami zrobicie? – zapytał rzeczowo Nidro. Chłopak wciąż wyglądał na zaskoczonego szybkimi zwrotami akcji, jakie stały się ich udziałem podczas krótkiego pobytu w tym mieście.

– Z racji pełnionej funkcji zobowiązany jestem do wyjaśnienia całej tej sprawy. – Oswald przerwał na moment wyłącznie po to, aby podjąć wątek ponownie. – Ja osobiście wierzę, że to po prostu jedno wielkie nieporozumienie. Jednak ograniczają mnie przepisy i do momentu, aż

zostaniecie uniewinnieni przez sąd, co pewnie wydarzy się niezwłocznie, muszę was zamknąć w areszcie. Oczywiście zrobię wszystko, by jak najszybciej wyjaśnić całą tę aferę. – Oswald uśmiechnął się nieszczerze i ani na moment nie spuszczał z nich obłęśnie nachalnego spojrzenia. – To nic osobistego, rozumiecie przecież, że takie są przepisy. – Był tak przekonujący, że niemal sam zdołałby uwierzyć w stertę wymyślonych przez siebie kłamstw.

– Przecież od razu widać, co tu się stało – powiedział niezrażony Nidro, który wciąż najwyraźniej nie pojmował jeszcze wszystkich implikacji. – Napadli na nas uzbrojeni bandyci i musieliśmy się bronić.

– Ja to wszystko rozumiem – zarzekął się Oswald, kiedy bezceremonialnie wszedł mu w słowo – i tak właśnie opiszę to w raporcie. Jednak dla dobra was samych musimy dokładnie zbadać wszystkie okoliczności tego zajścia. Trzeba przecież zidentyfikować zabitych, przesłuchać świadków. – Oficer rzucił im coraz to nowe kłody pod nogi, jakby umiejętność tę wyssał z mlekiem matki. – Aby chociaż cień podejrzeń na was nie padł. Jak by to wyglądało potem w waszych papierach? Dlatego z wielką przykrością jestem zmuszony do czasu wyjaśnienia całej sprawy umieścić was w areszcie. Uważam, że za dzień lub dwa zakończymy całą procedurę, a wtedy zostaniecie bezzwłocznie wypuszczeni na wolność. Tymczasem dotrzymacie towarzystwa naszemu tłuściutkiemu handlarzowi diamentów. Ostatecznie niełatwo dzisiaj o miłych kompanów do całonocnych pogaduszek. – Tu wskazał wciąż stygnące ciała bandytów zalegające w kałuży krwi na drodze.

Żołnierze podeszli do nich i odebrali im broń.

– Wszystkie wasze rzeczy zostaną w areszcie, zwrócimy je wam bezzwłocznie, jak tylko sprawa się wyjaśni. Przekażę strażnikom, aby dobrze was karmili – powiedział Oswald chłodno, kończąc tym samym swój przydługi monolog. – Dekurionie! Proszę zabrać oddział i odeskortować naszych posłańców do aresztu.

Żołnierze sprawnie otoczyli parę ze wszystkich stron, dopiero wtedy całym kordonem ruszyli w kierunku centrum miasta. Ci, co przyszedli z Oswaldem, mieli krótkie włócznie i wysokie tarcze.

„To nie mógł być oddział ściągnięty z patrolu – dotarło w końcu do Nidro – oni faktycznie zaplanowali tę całą hecę”.

Chłopak zdał sobie sprawę z tego, że Sena miała rację, gdy niepokoiła się przed akcją. Najwidoczniej obserwowali ich, od kiedy pojawili się w mieście. W dodatku dziwne zachowanie dowódcy zdawało się potwierdzać słowa handlarza. Faktycznie coś było tu nie tak, i to bez dwóch zdań.

Tymczasem uśmiech nie chciał zejść Oswaldowi z twarzy, widok pojmanych szpiegów radował jego serce i pieścił duszę. Miał ich teraz oboje w garści. Co więcej, właśnie uzyskał pewność, że wysłano ich do Kenir z misją wojskową.

„Trzeba będzie jutro z rana porozmawiać z Baronem i rozwiązać ten wrzynający się w rzyć problem raz na zawsze. Jug na pewno coś wymyśli, miał w końcu sporo doświadczenia w takich sprawach. Ale nic to, najważniejsze, że mamy ich pod kluczem i koniec pracy na dzisiaj. Sukces trzeba oblać!” – pomyślał Oswald, kiedy wreszcie stanął w wejściu do Złamanej Włóczni.

Elon otworzył oko, leżał przy wypalonym palenisku okryty ciepłym pledem, czuł się znośnie, a w każdym razie o wiele lepiej niż... Ruchem ręki odpędził natrętne myśli. Przespał całą noc i większość następnego dnia. Zarumieniona twarz najlepiej świadczyła o tym, że wracają mu siły vitalne, w dodatku wraz z samopoczuciem odzyskiwał również pewność siebie.

– Edir, zbierz ludzi! – zawołał, a raczej zacharczał na swojego zastępcę. – Muszę z nimi pogadać.

Podwładny nie potrzebował dalszej zachęty, zaczął zwoływać żołnierzy, a dziesięć uderzeń serca później stanęło wokół niego dwudziestu ośmiu ludzi z ich oddziału.

– Założę się, że jak spałem, to mieliście trochę czasu, by sobie pogadać o gównianym życiu i równie przesranym zrzączeniu losu. Mam rację? – Rozejrzał się po twarzach zebranych. – Najwyższa pora, byście to usłyszeli ode mnie. Zacznijmy od tego, że udało nam się dogonić dziewczynę. Dowiedzieliśmy się w ten sposób, że pracuje na zlecenie gildii z Atolu, i co równie ważne, uzyskaliśmy pewność, że ma przy sobie artefakt. Wiemy też, gdzie w tym momencie prawdopodobnie się znajduje. Jednak to koniec

dobrych wiadomości. Niestety, na nasze nieszczęście złodziejka uzyskała niespodziewaną pomoc – a w całą sprawę z artefaktem wmieszał się zwierzęcy mag, który ma ze sobą bojowego orła.

Na te słowa po całej grupie przetoczył się szmer niezadowolenia.

– Wiem, że zadzieranie z cesarskim magiem to nie jest to, na co się pisaliśmy, podejmując się tego zadania. Jednak – położył akcent na kolejne słowa – to tylko pojedynczy zwiadowca. Może jest szybki i doskonale wyszkolony, ale to tylko jeden człowiek. I można go zabić, tak jak każdego z nas. To samo dotyczy jego orła. – Popatrzył na zatwardziałe twarze zebranych i uznał, że nie są do końca przekonani. – Jeśli wrócimy do Segal bez bransoletki – wznowił agitacyjną przemowę Elon – możecie zapomnieć o zapłacie za te wszystkie dni służby. Od razu wam mówię, że nie dostaniemy nic. Dla mnie dodatkowo ta sprawa stała się osobista. – Wskazał na swoje bandaż. – Nie mogę pozwolić, by to, co mi ten gówniarz zrobił, uszło mu na sucho. Dlatego proponuję pojechać za nimi i dokończyć robotę. Chcę jednak najpierw poznać wasze zdanie, w końcu bez mała sprawa dotyczy nas wszystkich.

Żołnierze zaczęli się przekrzykiwać jeden przez drugiego, co zamieniło się wkrótce w rwaną kakofonię okrzyków i przekleństw.

– Nie wiem, czy to zadanie właśnie nie zaczęło nas przerastać – zawołał któryś, jego głos zdołał przebić się przez ogólny rwetes. – Sam powiedziałeś, że chłopak jest w Kenir. A jeśli tam się zdradzi, że ich ścigamy, to co wtedy?

Na te słowa pozostali zamruczeli z aprobatą, najwyraźniej u wielu z nich zaległy się w głowach podobne wątpliwości. Elon westchnął głęboko i przejechał ręką po świeżo zabandażowanej twarzy. Kolejny raz uświadomił sobie, dlaczego to właśnie on, a nie ktoś inny jest tutaj dowódcą.

– Zastanówcie się nad tym trochę – powiedział z lekkim rozbawieniem, choć równie dobrze mogła to być irytacja. – Pominę tu najbardziej oczywisty fakt, że chłopak podaje się za posłańca, a nie maga, więc ewidentnie stara się pozostać anonimowy. Ale założę się, że do tej pory każdy z was na to wpadł – obwieścił z nieukrywaną drwiną. – Lecz nie to jest w tym wszystkim najważniejsze. Sena to złodziejka z Atolu, zakładam więc, że zna tutejsze realia jak mało kto. Dlatego doskonale zdaje sobie

sprawę, że jeśli Jug dowie się o artefakcie, to będzie po nich, znikną jak kamień w wodę.

Żołnierze pokiwali ze zrozumieniem głowami, wyraźnie zaczęli doganiać myśli dowódcy.

– No dobrze – zmienił temat jeden z nich. – Wciąż pozostaje jednak problem orła, przecież nie damy rady się do niego zbliżyć niepostrzeżenie.

– I tu się mylisz – przerwał mu Elon, wysilając się przy tym na uśmiech. – Orzeł może i jest świetnym zwiadowcą, ale wyłącznie w dzień. W nocy nas nie zauważy. W dodatku to jest nasza ostatnia szansa, żeby jeszcze ich dorwać. Kiedy wyjadą z Kenir, będzie po zabawie. – Zamknął jedną pięść w drugiej jak ktoś szykujący się do walki.

– A jak mamy go pokonać? – zawołał kolejny pytający głos. – Magów szkoli się w walce od dziecka, zresztą sami chyba wiecie coś na ten temat. – Przemawiający rozgoryczonym tonem żołnierz pokazał sińce na twarzach kolegów.

– Tak, to prawda – zgodził się Elon stanowczym głosem, czym przerwał rodzącą się dyskusję, jaka rozgorzała po słowach jego przedmówcy. – Jednak my nie będziemy z nim walczyć.

Gdy wypowiedział te słowa, ponownie zapadła cisza pełna narastającego wyczekiwania, podkreślona wiarą w nietuzinkową pomysłowość dowódcy.

– Mamy dziesięć lekkich kusz. Wystarczy, że przygotujemy zasadzkę, i po prostu go zastrzelimy.

– Mówisz tak, jakbyś miał gotowy plan – zauważył któryś.

Elon tylko na to czekał.

– Posłuchajcie mnie. – Zaczekał, aż się uspokoją. – Jeśli w nocy pojedziemy do Kenir, a oni wciąż tam są, wyślemy dziesięciu kuszników do gospody przy wschodnim trakcie. Oni tak naprawdę są tu w pułapce i muszą ruszyć w dalszą drogę w kierunku Atolu. Na tym trakcie panuje spory ruch, dzięki czemu kusznicy będą się w stanie wmieszać pomiędzy podróżnych. Zaczają się na chłopaka w jakimś ludnym miejscu, tak by orzeł ich nie zdemaskował. Ja natomiast z pozostałą dwudziestką wjadę do miasta, by odwrócić w ten sposób ich uwagę. Orzeł na pewno pilnuje bramy, więc od razu nas wypatrzy. Jest spora szansa, że jak tylko nas dostrzegą, będą się

chcieli ukradkiem ulotnić z miasta, a przynajmniej po cichu na to liczę. Nasza dwudziestka zadziała tu jak nagonka na polowaniu, wypłoszy zwierzynę z miasta, a wtedy... – Wykonał palcem ruch zwalniający dźwignię kuszy. – Co więcej, chłopak wyjdzie z Kenir pewien, że ma sytuację pod kontrolą, a wtedy my bez żadnej walki nafaszerujemy go bełtami, odzyskamy artefakt i wrócimy do domu jako bogaci ludzie. W dodatku, jeśli któryś z was zastrzeli przy tym orła, ode mnie dostanie dodatkowo dziesięć złotych imperialów.

– A jeśli chłopak i tak nam się wymknie mimo wszystko? – zapytał największy sceptyk w oddziale.

Na twarzy Elona pojawił się paskudny grymas.

– To złupimy po drodze jakąś karawanę, by zrekompensować sobie utratę bransoletki. Co wy na to? To akcja niemal bez żadnego ryzyka – przekonywał. – Mamy przewagę trzydzieści do dwóch.

Żołnierze dopiero co poddani subtelnemu praniu mózgu z aprobatą pokiwali głowami. Ponownie ulegli czarowi tak słodko sącących się w ich uszy argumentów Elona.

– W takim razie ruszamy do Kenir! – zakomenderował jednooki centurion, siląc się przy tym na obojętność. – Najwyższy czas na mały rewanz.

Ludzie zaczęli wygaszać ogniska i szykować się do drogi. Jeśli ich plan miał się powieść, należało się spieszyć. Czekala ich wszakże całonocna jazda traktem na północny wschód.

Wkrótce po otwarciu bram miasta oczom zaskoczonych wartowników ukazał się oddział zbrojnych. Z początku niewyraźne sylwetki jeźdźców zaczęły pojedynczo wyłaniać się z gęstej mgły w akompaniamencie końskich kopyt, rozrzucających za siebie grudy szarego piasku, jakim ubito kamienistą drogę zachodniego traktu.

– Saru dowódco! – krzyknął jeden z wartowników.

Centurion wyszedł z baszty, aby sprawdzić, co się dzieje. A kiedy dostrzegł wciąż jeszcze słabo widoczne postacie jeźdźców, zaczął pospiesznie wydawać rozkazy:

– Strzelcy na mury, ruchy, napinać kusze, opuścić kratę bramną! Goniec niech rusza po dowódcę do garnizonu.

Na zachodniej bramie zawrzało, rozpoczęły się gorączkowe przygotowania. Żołnierze wybiegali gęsiego z baszty bezpośrednio na mury obronne. Wszyscy rutynowo sprawdzali broń i wyposażenie, w czasie gdy stalowa brona zaczęła z cichym jękiem powoli opadać, skutecznie uniemożliwiając jakikolwiek wjazd do miasta. Centurion obserwował z nieskrywanym zadowoleniem, jak jego drużyna sprawnie przygotowuje się do obrony. W tak niepewnych czasach nie wolno zlekceważyć żadnego zagrożenia, mało to się nasłuchali o powstaniach Synti i grasantach napadających na karawany? Ale tu jest Kenir, cesarskie miasto, a nie jakieś tam wygwizdowo, niech więc tylko spróbują jakichś sztuczek, to on im zaraz pokaże, co tu się robi z nieproszonymi gośćmi.

Oswald spał w najlepsze, odzyskiwał siły po nocnej akcji, gdy obudziło go nagłące walenie do drzwi.

– Czego? – burknął, przecierając zaspane oczy.

– Alarm na bramie zachodniej, niezidentyfikowany oddział kawalerii pojawił się na trakcie! – wykrzyczał z korytarza podekscytowanym głosem żołnierz. Darł się tak głośno, że Oswald usłyszał go wyraźnie nawet przez zamknięte drzwi. Dowódcy nie trzeba było dwa razy powtarzać, momentalnie zerwał się z łóżka i zaczął w pośpiechu zakładać mundur. Wybiegł na plac apelowy, gdzie wciąż jeszcze zapinał ostatnie guziki kurtki. Skinieniem głowy pochwalił adiutanta za przezorność, gdyż jego koń niezawodnie czekał gotowy. Na placu panowało tak typowe dla sytuacji kryzysowych zamieszanie, sygnalista grał larum na trąbce, podczas gdy za jego plecami formowała się w pełnym rynsztunku centuria lekkiej piechoty. Oswald rącho wskoczył na konia, złapał oburącz lejce i nie oglądając się za siebie, ruszył z kopyta przez pustą o tak wczesnej porze ulicę. A kiedy w dwie modlitwy później dotarł do bramy zachodniej, z zadowoleniem zastał tam w pełni przygotowanych do obrony żołnierzy. Cztery dekurie kuszników czekały w pogotowiu na murach okalających bramę. Po szerokich ceglanych schodach wbiegł na wysokie blanki i stanął obok towarzyszy

broni, bezpośrednio nad opuszczoną kratą. Centurion zasalutował mu energicznie, a gdy ten oddał honory, przystąpił do raportu:

– Oddział to zaledwie kilkudziesięciu konnych, nie mają żadnych znaków rozpoznawczych.

– No ładnie, widzę, że Kenir zyskało ostatnio na popularności – stwierdził Oswald, przyglądając się przybyszom podejrzliwie, a nawet z wrogością.

Faktycznie, kawalerzyści nie mieli na sobie żadnych znaków rozpoznawczych, a to wydało mu się co najmniej zastanawiające, szczególnie że wyekwipowanie posiadali dokładnie takie samo jak cesarska kawaleria. Jechali stępą dwójkami, żaden z nich nie trzymał w rękach broni.

– Jest ich zaledwie dwudziestu – policzył oficer.

– Z początku założyłem, że mamy do czynienia z większym oddziałem – zaczął się tłumaczyć zmitgowany tym faktem centurion.

– W porządku, dobrze zrobiłeś, wszczynając alarm. Kiedyś może nam to wszystkim uratować życie, a i żołnierzom przyda się odrobina ruchu.

Gdy to powiedział, jak na zawołanie za jego plecami rozbrzmiało miarowe stukanie wojskowych butów.

– Skoro piechota tak szybko dotarła na miejsce, to znaczy, że musieli biec przez całą drogę z garnizonu – zauważył Oswald z uznaniem.

Kawalerzyści zatrzymali się zwartą kolumną marszową przed zwodzonym mostem. Za to kusznicy na murach, zapewne ośmieleni swoją przewagą, z nieskrywaną nonszalancją wycelowali w nich załadowaną broń.

– Kim jesteście i czego tu szukacie? – zapytał Oswald donośnym głosem, sugerującym twardą nieustępliwość.

– Jesteśmy grupą najemników i szukamy pracy przy ochronie karawan – wyrecytował przygotowaną naprędce historyjkę Elon. – Ponoć nie macie dość ludzi do zabezpieczenia transportów kamieni.

– Mam uwierzyć, że jesteście najemnikami? A nie posłańcami czasem? – powiedział to niby od niechcenia. Dostrzegł jednak wyraźny błysk w jedynym oku jeźdźcy z zabandażowaną twarzą, kiedy z jego ust padło słowo „posłaniec”.

„Tak też sądziłem, że wy już się znacie” – pomyślał Oswald, chwając się w duchu za wrodzoną przenikliwość. „Uderz w stół, a nożyce się odezwą”.

Głośno zaś zapytał:

– A skąd tacy „najemnicy” mają dokładnie takie samo wyposażenie jak oddziały jazdy cesarskiej? – Wpatrywał się lekceważącym spojrzeniem prosto w Elona. – Wszystko się tu zgadza, wszystko, poza oznaczeniami jednostki – dodał sarkastycznie. – Jestem ciekaw, w jaki sposób wyjaśnicie mi ten niezwykle zbieg okoliczności, Sarum, dezenterzy?

Oswald i Elon mierzyli się wzrokiem dłuższą chwilę. W końcu ten pierwszy powiedział:

– Jestem pewien, że na waszych prawych ramionach znajduje się tatuaż z cesarskim orłem. Dam wam więc dobrą radę, tropiciele przygód. Jeśli nie chcecie trafić do kata z wyrokiem za dezercję, radziłbym wam szybko zawrócić i poszukać pracy w innym mieście. – Twarz primusa była poważna jak amputacja powyżej kolana.

Elon zamaskował rosnący niepokój wyzywającym uśmiechem, a dostrzegłszy niezłomną minę primusa, spróbował podejść go z innej strony.

– Gratuluję spostrzegawczości, Saru, tak po prawdzie, to jestem centurionem w armii cesarskiej. Nie nosimy oznaczeń, ponieważ przydzielono nam wykonywanie misji specjalnej i na tę właśnie okoliczność mam przy sobie wszystkie potrzebne pełnomocnictwa do wglądu. – To mówiąc, poklepał się po kieszeni spodni, gdzie rzeczywiście miał przygotowane jeszcze w Segal fałszywe dokumenty. – Chcę prosić jedynie o wpuszczenie nas do miasta na jeden dzień.

– Misji, powiadasz. – Oswald nie uwierzył w ani jedno jego słowo, o czym świadczyła stal w jego świdrującym spojrzeniu. – A czegoż dotyczy ta wasza misja?

– Tego nie mogę powiedzieć. – Elon wysilił się na niewybredny uśmiech.

– Dokładnie... – odpowiedział Oswald wyzywająco. – Na tym właśnie polega twój problem, że ty w ogóle niewiele możesz. Daję wam ostatnią szansę i albo natychmiast zawrócicie, a ja nigdy więcej nie zobaczę waszych parszywych gęb, albo... – pokazał na rozstawionych pomiędzy krenelażami kuszników – ...zaraz zakończę waszą misję w bardzo spektakularny sposób. To jak będzie, wolisz rozstania na słodko, czy na ostro?

Elon dyskretnie spojrział w niebo i ujrzał tam kołującego ponad miastem orła. Wiedział, że stąpa tu po cienkim lodzie i bynajmniej nie miał zamiaru sprawdzać cierpliwości primusa. Ostatecznie doszedł do wniosku, że zrobił wystarczająco duże zamieszanie pod murami, i to w zupełności powinno wystarczyć, aby na dłuższy czas ściągnąć na nich uwagę maga. Dlatego idąc za głosem rozsądku, bez dalszych dyskusji zawrócił siwego konia i skierował się na południe. Za nim, w regularnych odstępach, ruszyła reszta oddziału. Postanowił, że rozbiją się gdzieś przy zachodnim brzegu rzeki, na tyle blisko miasta, aby orzeł nieustannie musiał ich doglądać.

– Czas na twój ruch, zasrańcu – wycedził Elon, otwierając tym samym nową rozgrywkę, w której tym razem to on zawczasu rozmieści swoje pionki na planszy.

Jeszcze przed świtem dziesiątka jego ludzi przeprawiła się przez most na rzece i zajęła upatrzone pozycje na wschodnim trakcie. To właśnie oni mieli zlikwidować maga i złodziejkę zmasowanym ostrzałem z dziesięciu kusz, podczas gdy ci zapewne spróbują się cichcem wymknąć z miasta. Co prawda, pierwotny plan zakładał, że jednak wjadą do Kenir, ale ten efektowny pokaz, jeśli nie samej siły, to chociaż ich niezłomności pod bramą w zupełności powinien wystarczyć.

– Muszę poinformować o tym Barona, natychmiast – zdecydował Oswald, wsiadając na konia. – Zaalarmuj wszystkie posterunki – wydał rozkaz centurionowi. – Pełna mobilizacja, wzmocnić obsadę na bramach, a w razie problemów meldować niezwłocznie! – Ostatnie słowa wykrzyczał przez ramię, zawróciwszy wierzchowca.

– Tak jest! – Oficer zasalutował sprężystości.

Oswald spiął konia i chwilę później gnał na złamanie karku do pałacu namiestnika.

Baron Jug jadł właśnie śniadanie w oranżerii, gdy Oswald wpadł do niej niczym lawina na górską przełęcz i o mało nie roztrącił przy tym służby. W odpowiedzi na karcące spojrzenie Barona, zmitygował się natychmiast, przystanął i poprawił rozchełstany mundur.

– Mów, co się stało? – spytał bez ogródek Jug. Baron nawet nie wysiłał się na powitalne uprzejmości. – Po twojej minie zgaduję, że w nocy dużo się

działo.

Służąca podała właśnie ciepłe bułeczki i wkrótce Baron zaczął je z pietyzmem kroić nożem w poprzek. Potem, bez pośpiechu, posmarował obie połówki masłem.

– A więc? – Baron przyzwalajaco skinął głową.

– Było dokładnie tak, jak Saru Baron przewidział – zaczął pospiesznie referować Oswald. – W nocy nasi goście wybrali się na spacer na nadbrzeże i tam gorąco przywitali ich ludzie Bezpalcego.

– Ludzie Bezpalcego – powtarzał za nim Baron – a to ciekawe, przyznaję. – Wsadził do ust bułkę posmarowaną miodem, odgryzł niewielki kawałek, i popił go herbatą.

– To jeszcze nie koniec – kontynuował podekscytowany Oswald. – Ludzie Bezpalcego dostali od nich tęgie lanie. – W jego słowach słysząc było cięń podziwu, a może także szacunku.

Usłyszawszy to, Jug uniósł brwi do góry. Teraz wyraźnie widać było, że zżera go ciekawość.

– Dwóch nie żyje, a jeden leżał bez ducha na ziemi i trzeba było go porządnie cucić, żeby odzyskał przytomność. Tak na dobrą sprawę, gdybyśmy nie interweniowali w porę, pewnie wyróżniliby ich wszystkich do nogi. Ci ludzie to prawdziwi zawodowcy.

– Bardzo ciekawe, bardzo. Co zrobiłeś z naszymi „posłańcami”? – spytał pełnym przejęcia głosem Baron, kładąc wyraźny akcent na ostatnim słowie.

– Zamknąłem ich w areszcie, razem z handlarzem. Przez cały czas obserwuje ich dyskretnie dziesiątka moich najlepszych ludzi.

– Wspaniale! – Baron zaklaskał w dłonie. – Dobrze się spisałeś. Czy jest coś jeszcze?

– Tak, Saru. – Oswald zrobił głęboki wdech, co miało być zapewne preludium do dłuższej tyrady. – Dosłownie przed chwilą przy zachodniej bramie zjawił się oddział dwudziestu zbrojnych.

Na te słowa Baron odruchowo napiął mięśnie, a jego czoło pokryło się zmarszczkami.

– Byli uzbrojeni po zęby. Mieli typowe wyposażenie kawalerii i bardzo chcieli się dostać do miasta.

– Myślisz, że szukają tu naszej dwójki?

– Jestem tego pewien. Wielu z nich miało widoczne świeże rany na twarzach, szczególnie ich dowódca, ten to w ogóle cały był w bandażach. Wyglądał, jakby ktoś jego głową zaorał pole kartofli.

– Widzę, że robi się coraz ciekawiej – skwitował kwaśno Jug. – Rozumiem, że nie wpuściłeś ich do miasta? – Wbił pytające spojrzenie w oficera.

– Kazałem im wszystkim iść w diabły, do tego wzmocniłem posterunki i kontrolę na bramach, ludzie mają mi meldować o każdym podejrzanym zachowaniu.

– Bardzo dobrze! – Baron energicznie pokiwał głową, a zmarszczki na jego czole zaczęły się wygładzać. – Doskonale! Teraz jak nasi posłańcy znikną bez śladu w niewyjaśnionych okolicznościach, zawsze możemy powiedzieć, że widziano, jak odjeżdżają z oddziałem najemników. To powinno załatwić sprawę. Niemniej jednak wpierw koniecznie musimy się dowiedzieć paru rzeczy. Po pierwsze, czego ci jeźdźcy chcieli od naszej dwójki. Po drugie, kim tak naprawdę są ci posłańcy. I po trzecie, po co przysłano ich do Kenir? No cóż, widzę, że przyszła pora, aby poważnie porozmawiać z naszymi gośćmi – oznajmił Baron stalowym głosem. Odstawił prędko filiżankę na stolik, a następnie wskazał ręką na służącego.

– Przyprowadźcie mojego konia, najwyższy czas, abym osobiście powitał w Kenir naszych walecznych posłańców. – Uśmiechnął się jadowniczo.

– Co się dzieje? – spytała cicho Sena na widok nieobecnego spojrzenia maga utkwionego w jednym punkcie na ścianie. Zaczynała rozpoznawać, kiedy Nidro kontaktuje się z orłem. Zwinnie podniosła się z siennika rozłożonego w rogu celi i niepostrzeżenie zbliżyła się do chłopaka.

– Nasz kolega Elon tu jest – oświadczył głosem wypranym z emocji.

Dziewczyna aż się wzdrygnęła, kiedy padło to znienawidzone imię.

– Właśnie się dowiedział, że nie zostaną wpuszczeni do miasta.

– No ładnie, jednak miałeś rację, że nie odpuszczą – wyszeptała konspiracyjnie.

– Możemy rozmawiać normalnie, oni nas nie usłyszą, a przynajmniej nie dość wyraźnie. Ale jak coś mówisz, nie odwracaj się twarzą w ich stronę, by

nie nabrali podejrzeń.

– Jeśli dobrze zapamiętałam wczorajszą lekcję, to musisz mieć źródło energii, by robić takie rzeczy. – Sena nie marnowała żadnej okazji, by uzupełnić braki w edukacji.

– Tak, dobrze zapamiętałaś, jednak nie wiesz jeszcze wszystkiego. Powietrze i woda są pod tym względem specyficznym źródłem. Nawet w zamkniętym pokoju powietrze generuje coś, co nazywamy energią tła. Ta energia jest tak mała, że na co dzień się ją pomija, a zwłaszcza jeśli chodzi o magię bojową. Jednak spokojnie wystarczy do tego, by nas tutaj wygłuszyć.

– Co w takim razie robimy?

– To, co ustaliliśmy, musimy się jak najszybciej wydostać z miasta – zawyrokował bez cienia niepokoju w głosie. – Budź handlarza, bierzemy go ze sobą.

Dwójka strażników grała w karty przy stole, a ich pozornie beztroskie zachowanie było w rzeczywistości nieudolną próbą inwigilacji więźniów. Nie szło im jednak za dobrze, gdyż mimo wszelkich starań nie zdołali zupełnie niczego podsłuchać, choć postawiliby na szali ostatnią noc w burdelu, że widzieli, jak para więźniów ze sobą rozmawia.

– Nasz dzielny Oswald jedzie właśnie co koń wyskoczy do pałacu Barona – powiedział po dłuższej chwili Nidro, wciąż zwrócony plecami do strażników. – Pewnie za długo im to nie zajmie, nim połączą wszystkie kropki razem. Nietrudno skojarzyć nasze przybycie do miasta z przyjazdem Elona i jego wesołej kompanii oprychów. Założę się, że Oswald i tak się czegoś domyśla.

– W takim razie wynosimy się stąd – powiedziała coraz bardziej zdenerwowana dziewczyna.

– Będziesz umiała otworzyć zamek? – Wskazał skinieniem głowy na drzwi do celi.

– Jasne, nie ma problemu. – Obdarowała go zawadiackim uśmiechem. – W takim razie pora na nas. Wstawaj, śpiochu. – Sena kopnęła grubasa w nogę.

– Co się dzieje? – zapytał rozespany handlarz, siłą sprowadzony do więziennej rzeczywistości.

– Nic takiego, uciekamy z pierdła, a ty, jeśli masz ochotę, możesz nawiać z nami. – Dziewczyna puściła do niego oko.

– Wiejemy stąd? Naprawdę? Ale jak, a straż? A celi? – zasypał ją nieprzerwaną lawiną pytań. – Jak zamierzacie wydostać się z celi? – wyszeptał podekscytowany.

– Wiatru nie da się zamknąć w celi – wtrącił się enigmatycznie Nidro.

– Właśnie nad tym pracujemy – zawtórowała mu równie tajemniczo Sena.

– Najtrudniej będzie przejść niepostrzeżenie przez bramę miejską. – Chłopak dorzucił kolejną podwalinę do wysoce improwizowanego planu. – Oswaldowi po spotkaniu z Elonem najwyraźniej skoczyło ciśnienie, ponieważ obsadził wszystkie kluczowe punkty w mieście dodatkowymi ludźmi.

– Jest jedno miejsce, którego na pewno nie obsadził – wtrącił się grubas, czym zaskoczył pozostałych. Nidro i Sena spojrzeli na niego ze sporym zaciekawieniem i jeszcze większym wyczekiwaniem.

– Derys zbudował sobie sekretne przejście za mury, w tym celu wydrążył ukryty tunel w piwnicy swojego domu. Ale to i tak jest bez znaczenia, skoro siedzimy zamknięci w celi.

– Już niedługo – oznajmił Nidro z niezachwianym przekonaniem. Wypowiedział zaklęcie, a głowy obu strażników walnęły głucho o blat stołu. Temu, gdy zobaczył, co się stało, zaczął się gorączkowo rozglądać, jakby chciał znaleźć winnego tego zamieszania.

– Spokojnie – powiedziała łagodnie dziewczyna, położywszy mu delikatnie rękę na ramieniu. Uśmiechnęła się kojąco, wypięła z włosów dwie bardzo nietypowe spinki i ruszyła prosto do drzwi celi. Wsadziła je do zamka i zaczęła gmerać nimi w środku w sobie tylko znany sposób.

– Dobra, chłopaki, robimy tak – zaczęła Sena, majstrując przy zamku. – Nidro usypia strażników w pokoju obok i tych w kuchni, by nie narobili hałasu. Ja potrzebuję jeszcze... Mam!

Coś zazgrzytało, zaraz po tym dziewczyna otworzyła drzwi celi na oścież.

– Nasze rzeczy. – Nidro wskazał na wieszak, gdzie wisiał cały ich dobytek.

– Z kuchni zabierzemy fartuchy i jakieś gliniane naczynia – streściła swój plan Sena. – Jest szansa, że wezmą nas za kuchcików. I w tych przebraniach spróbujemy się wysliznąć na zewnątrz. Jeśli coś pójdzie nie tak i ktoś nas rozpozna, biegniemy, ile sił w nogach na nadbrzeże.

– Chwila, chwila, zaczekajcie na moment. Jak to uśpi strażników? – zapytał zupełnie zdezorientowany kupiec, patrząc rozbieranym wzrokiem to na dziewczynę, to znów na chłopaka, nie rozumiejąc zupełnie nic z tego, co tu się dzieje.

– Nie ma czasu na pogaduchy, grubasku. – Sena klepnęła go czule dłonią w policzek.

– To może zadziałać – skomentował jej plan Nidro, jednocześnie ignorując pytanie handlarza. – Potrzebujemy dywersji. Musimy czymś dodatkowo odwrócić ich uwagę. W naszej sytuacji najlepiej będzie, jeśli wzniciemy pożar. To spowoduje dodatkowe zamieszanie i na moment zajmie strażników.

– Tam za kuchnią jest takie małe pomieszczenie, gdzie trzymają drewno na opał – dodała pośpiesznie dziewczyna.

– To się świetnie nada. W takim razie do roboty.

Nidro ruszył zdecydowanie w stronę drzwi do kuchni.

– Dlaczego po prostu nie uśpiś wszystkich żołnierzy w garnizonie? – zapytał z większą śmiałością Temu. Handlarz sprawiał wrażenie, jakby odzyskał ostrość myślenia po pierwszym szoku. – Wyjdziemy sobie wtedy spokojnie, bez kombinowania.

– To nie jest takie proste – odpowiedział rzeczowo chłopak. – Żeby kogoś uśpić, muszę się znajdować kilka kroków od niego, to są małe źródła energii, więc muszę stać naprawdę blisko.

– Jakie źródła? Jakiej energii? – Zdezorientowany kupiec drapał się po głowie. – O czym on mówi?

Nidro zaczął się przy drzwiach do kuchni. Wyczuwał wyraźnie czterech strażników ustawionych po drugiej stronie. Wypowiedział zakłęcie usypiające, a do ich uszu dobiegł odgłos opadających na podłogę ciał.

– Zrobione, droga wolna. – Chłopak otworzył drzwi na oścież. Pospiesznie wśliznęli się do kuchni, jednocześnie rozglądając się wokół.

– Są tam. – Sena wskazała na wieszak ścienny po drugiej stronie pomieszczenia. – Zakładać fartuchy! – Ponagliła ich zupełnie niepotrzebnie, ponieważ obaj działali nad wyraz sprawnie.

Nidro włożył fartuch przez głowę i skierował się do składziku z drewnem. Otworzył wąskie drzwiczki, za nimi leżały w równych rzędach grube drewniane klocki. Zgarnął z podłogi garść wiórów i zaczął je podpalać krzesiwem. Uderzał miarowo kamieniami o siebie, raz za razem.

– Nie możesz tego rozpalić czarami? – spytała poirytowana Sena.

– Nie da się zrobić czegoś z niczego – odpowiedział, nie zaszczyciwszy jej choćby spojrzeniem, zamiast tego wciąż wytrwale krzesał iskry.

Sena w tym czasie założyła na głowę biały czepek, tak by ukryć pod nim swoje długie włosy, a następnie celowo obsypała całą twarz mąką. Wyszła z założenia, że odrobina charakterystyki jej nie zaszkodzi. W kantorku wreszcie pojawił się mały płomień, do tego zdawało się, że ognik rośnie w oczach. Po chwili przeskoczył samoistnie na stojący obok stos drewna i jakby przykleił się do niego. Wkrótce niesforne płomienie pełzały radośnie po całym składziku. Przypominały przy tym ogniste żaby chaotycznie ganiające się po drewnianych klockach.

– Zostawcie te naczynia – zawołał Nidro do towarzyszy w chwili, gdy Sena chwyciła za gliniany dzbanek. – Mam lepszy pomysł.

Sam złapał za kołnierz kurty dwóch nieprzytomnych strażników i zaczął ich ciągnąć po podłodze w stronę wyjścia. Sena w lot zrozumiała, o co mu chodzi, odłożyła dzbanek i chwyciła oburącz ciało kolejnego żołnierza, zaraz też ruszyła w ślad za magiem. Zdezorientowany kupiec nie miał innego wyjścia, jak zrobić to samo z ostatnim wartownikiem. Gdy wydostali się z budynku, płomienie wystrzeliły z kantorka. Uwolnione zaczęły się wspinać na przyległe ściany i sufit. Nie minęło pół modlitwy, gdy kuchnia stanęła w ogniu. Wyglądała, jakby ktoś pomalował jej wnętrze pomarańczowożółtą farbą. Nidro, skoro tylko stanął na placu, odwrócił się za siebie. A kiedy ujrzał zbliżającą się białą postać, o mało nie popłakał się ze śmiechu.

– Najpierw bagno, a teraz mąka? – zapytał rozbawiony piekarskim kamuflażem dziewczyny.

– Idź i nie marudź – sarknęła na niego.

– Zachowujcie się naturalnie! – zawołał Nidro, kiedy zebrali się przed budynkiem. Ułożyli nieprzytomnych żołnierzy na ziemi i zaczęli ich energicznie cucić, a przynajmniej udawali, że to robią. Kuchnia przypominała w tym czasie środek wielkiego pieca zasypanego po brzegi węglem, ogień szalał dosłownie wszędzie. Ktoś musiał dostrzec czarny dym, jaki coraz grubsza smuga wydobywał się z zabudowań, ponieważ wszczęto alarm. Usłyszeli miarowe bicie dzwonu, a w zasadzie to usłyszało je całe miasto, i to właśnie jego spóźnione wezwanie zwabiło na plac pierwszych żołnierzy. Za nimi nadbiegali kolejni i wszyscy na podobieństwo stada szczurów stawali zdeorientowani, by z otwartymi gębami gapić się na pożar. I tu, o dziwo, najszybciej zareagował Temu. Gdy spostrzegł nadbiegających żołnierzy, zaczął się wydzierać wniebogłosem, z autentycznością kurczaka żywcem obdzieranego ze skóry:

– Pali się, ludzie, szybko, wody, pali się, na pomoc!

Zaledwie chwilę po nim zareagowała Sena, i z zapalem przyłączyła się do przedstawienia. Podbiegła do grupy zdeorientowanych żołnierzy i zaczęła im wydawać rozkazy:

– Biegnijcie po wodę, szybko, po wodę! Trzeba gasić kuchnię!

Żołnierze nie zastanawiali się długo, zamiast tego rzucili się hurmem po te kilka wiader leżących obok studni. W końcu pożar trzeba zacząć gasić ręcznie, zanim przybędzie specjalny powóz z gaśnicą. W tym momencie na wezwanie garnizonu odpowiedziały spóźnione kuranty w całym mieście, a na samym placu histeria zataczała koło, zapraszając do opętańczego tańca kolejnych żołnierzy. Dzięki interwencji Temu cała trójka zupełnie niezauważenie wtopiła się w chaotyczny tłum. To sprawiło, że Nidro i Sena z większym uznaniem i jakby pewną dozą szacunku zaczęli spoglądać na handlarza.

– Brawo! – Mag jowialnie poklepał go po ramieniu.

Wokół nich sprawy nabrały większego tempa. Wreszcie przyszedł ktoś, by się zająć nieprzytomnymi żołnierzami, a parę chwil później jacyś sanitariusze odnieśli ich na noszach. Któryś z oficerów podjął się próby ogarnięcia całego zamieszania i głośno wydawał rozkazy, starając się zbudować ludzki łańcuch do podawania wiader.

– To teraz, skoro znaleźliśmy im zajęcie na resztę dnia, pędzimy do portu rzecznego! – zawołał Nidro do towarzyszy.

W całym tym zamieszaniu nikt nie zwrócił nawet najmniejszej uwagi na wybiegających kuchcików. Zostawili płonący budynek za sobą, a sami wyszli na gwarną ulicę. Z początku jak gdyby nigdy nic ruszyli powoli chodnikiem, do tego specjalnie się nie kryli, a kiedy okazało się, że panika wywołana pożarem udzieliła się również zwykłym mieszkańcom, ruszyli dalej biegiem w stronę nadbrzeża. Wkoło nich słychać było przerażone krzyki przechodniów, najwyraźniej alarm zmobilizował wszystkich mieszkańców. Przecież ogień równie dobrze mógł się za chwilę przenieść na resztę zabudowań.

– Zobacz, jest wreszcie tak, jak zawsze chciałeś! – zawołała Sena, dobiegając do chłopaka, który wysforował się do przodu. – W końcu nikt nie zwraca na nas żadnej uwagi.

– Tak – odpowiedział jej z rozbawieniem podszytym sarkazmem. – Jest dokładnie tak, jak sobie zaplanowałem.

Droga na nadbrzeże zajęła im więcej czasu, niż początkowo zakładali. Temu włókł się za nimi ociężałe, dlatego co chwilę musieli przystawać, aby w ogóle zdołał ich dogonić. Nikt jednak nie miał zamiaru suszyć mu o to głowy. Jak dotąd, ku zaskoczeniu pozostałej dwójki, wszystko toczyło się znakomicie, nie było więc żadnych powodów do narzekań.

– To tutaj, jesteśmy na miejscu – oznajmił zdyszany kupiec. Był cały zlany potem i ledwo trzymał się na nogach.

„Takie bieganie to dla mnie o wiele za dużo” – pomyślał, oparłszy się o płaską ścianę budynku. Pozostała dwójka zbiegów, sądząc po ich minach, wyglądała bardziej na rozbawionych niż zmęczonych ucieczką.

Rezydencja kupca Derysa prezentowała się nad wyraz okazale. Dwukondygnacyjną kamienicę z szarego piaskowca ozdabiały narożne wykusze połączone wysokimi arkadami.

– Co teraz? – spytała zaciekawiona Sena, przeskakując wzrokiem na dwójkę kompanów.

– Zdajcie się na mnie – uspokoił ich pewnym głosem handlarz. – Ja nas wprowadzę do środka, a wy uspijcie ich lub róbcie, co tam chcecie.

– Dobra, nie ma czasu na wydziwianie – dodał ponagląjącym tonem chłopak. – Robimy rozpoznanie bojem. Czyli idziemy na żywioł i zobaczymy, jak wyjdzie. Tutaj i tak niczego więcej nie wymyślimy.

Temu ruszył przodem, wyglądał o wiele lepiej, choć wciąż wycierał pot z czoła jedwabną chusteczką. Kierował się bezpośrednio w stronę wejścia do rezydencji. Przed drzwiami stało dwóch umięśnionych strażników, profesjonalnie opierających się o filary arkad.

– Dzień dobry, Sur! – powiedział uprzejmie handlarz. – Jesteśmy umówieni z Saru Derysem.

– A w jakiej sprawie? – odparł zaintrygowany strażnik, jednocześnie lustrując ich podejrzliwym spojrzeniem.

– Chodzi o transport owoców morza z wybrzeża – powiedział pewnym siebie głosem Temu.

Nidro wymienił z Seną ukradkowe spojrzenia, najwyraźniej nie uszło ich uwadze podwójne znaczenie wypowiedzianych słów, szczególnie w kontekście przedsięwziętej przez nich ucieczki.

– Ależ oczywiście – odpowiedział nader uprzejmie strażnik. Zmiana nastawienia, jakiego stali się świadkami, dobrze oddawała szemrany charakter spotkania. – Zapraszam do środka.

Za drzwiami oczekiwał ich starszy wiekiem lokaj w ozdobnej liberii, on również nie krygował się przesadnie, gdy poprowadził domniemanych gości Saru Derysa do przestronnego salonu na piętrze. Co ciekawe, nikt ze służby nie dał po sobie poznać, że wizyta niezapowiedzianych gości ubranych w stroje kuchty jest dla nich jakimś zaskoczeniem. Nie wspominając tu o dziewczynie całej białej od mąki. Najwyraźniej w kupieckim fachu widywało się już nie takich cudaków.

– Saru Derys zaraz Sur przyjmie – zapowiedział lokaj, zanim zostawił ich samych w salonie.

– No pięknie – skomentował bogaty wystrój rezydencji Nidro.

Dom kupca wyglądał prawie jak pałac. Chłopak przyglądał się z podziwem kryształowym żyrandolom zawieszonym u powały śnieżnobiałego sufitu. Był oczarowany ich misternym wykończeniem i lekkością, z jaką unosiły się w przestrzeni. Wszędzie wokół na pobielonych

ścianach wisiały rozmaite obrazy, a w kątach pokoju stały delikatne porcelanowe wazy. Pośrodku salonu znajdował się ciężki stół z ciemnego drewna, na którym stały ceramiczna patera z owocami i karafka z wodą. Sena oglądała właśnie miniaturę żaglowca ustawioną w wyeksponowanym miejscu na regale z książkami, gdy do salonu wkroczył sam gospodarz. Odziany był w tradycyjny luźny strój, jednak zamiast pospolitej kurty miał na sobie bogato zdobiony płaszcz w kolorze krwistoczerwonym. Derys wyglądał na kogoś po sześćdziesiątce, jednak poruszał się lekko, pomimo swoich lat, i wciąż wydawał się tryskać zdrowiem.

– Witam, Su... – zaczął, lecz słowa momentalnie utknęły mu w gardle, gdy jego wzrok objął korpulentną sylwetkę handlarza. Wkrótce mina mu zrzedła, kiedy ujrzał wyraz triumfu na twarzy swego byłego wspólnika. Zanim jeszcze w jakikolwiek sposób zdążyłby zareagować, w ręce dziewczyny, nie wiadomo skąd, pojawił się krótki nóż do rzucania.

– Wydadz z siebie choćby jeden niewłaściwy dźwięk, a już jesteś martwy – zagroziła mu obsypana mąką postać.

– Nie wyjdziecie stąd żywi, zapewniam was – oznajmił Derys, cedząc słowa przez zaciśnięte zęby.

Wtedy Nidro podszedł do niego spokojnym krokiem. Twarz chłopaka nie wyrażała niczego. Uderzył go szybkim jak język żaby ruchem tuż pod lewym obojczykiem. Derys momentalnie zamarł, kiedy cios sparaliżował wszystkie jego mięśnie. Wkrótce zaczął się robić siny na twarzy, co musiało być związane z niemożnością nabrania powietrza do płuc. Był całkowicie zaskoczony tym, co się właśnie stało. Wpatrywał się w chłopaka z przerażeniem w oczach, co pozostawało jedyną formą ekspresji dla kogoś, kto nie jest w stanie poruszyć żadną częścią ciała. Jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak bezbronny. Dusił się, chociaż pozostawał w pełni świadomy tego, co się z nim działo. Stał się mieszkańcem, swoistym lokatorem własnego ciała, a nie właścicielem, dumnym władcą czterech kończyn. Jego myśli zaczęła ogarniać nieokiełznana panika, którą potęgował, rozniecał niczym kowalski miech niewzruszony wyraz twarzy chłopaka. Cała jego niedawna buta pękła jak bańka mydlana, a handlowe imperium skurczyło się do tej jednej chwili, ograniczone trywialną wręcz powierzchnią czterech ścian

grobowca o znanym mu skądinąd kształcie salonu. Zrozumiał równie dobitnie, jak i ostatecznie, że tak lubiana przez niego gra w szachrajstwa dla odmiany toczyć się będzie dzisiaj o jego własne życie. Nidro uderzył go ponownie w to samo miejsce, a wtedy kupiec na powrót odzyskał kontrolę nad swoim ciałem. Upadł na kolana i łapczywie zaczął wciągać powietrze do płuc.

– Mam nadzieję, że ta mała lekcja pokory wystarczy – powiedział Nidro głosem osoby zamawiającej herbatę w kawiarni.

Twarz kupca wracała powoli do swej naturalnej barwy, czy raczej naturalnej bladości.

– Bardzo przepraszam – wymamrotał Derys. – Wziąłem Sur za kogoś innego – powiedział to zadziwiająco uprzejmym tonem i wreszcie zdołał podnieść się z kolan. – W czym mogę pomóc? – Spojrzał niepewnie na trójkę przybyszy.

– Od razu lepiej – pochwalił go Nidro. – Chcielibyśmy skorzystać z przejścia, prowadzącego jak mniemam z twojej piwnicy za mury miasta. Jeśli dobrze rozumiem, to dotrzemy nim do ukrytej łodzi zacumowanej między skałami.

Derys na wieść o tunelu obdarzył grubasa spojrzeniem, jakie mogłoby powalić wołu. Mając jednak na względzie swoje zdrowie cielesne, szybko się opanował i odrzekł ugodowo:

– Oczywiście, zaprowadzę Sur.

– Nie tak prędko – wypalił Temu, i zatarł ręce z zadowolenia. Kto by pomyślał, że ich role tak szybko się odwrócą. – Jeszcze jesteś mi coś winny. Czyżbyś zapomniał o naszej małej „umowie”? Albo o tym, jak mnie elegancko wyrolowałeś? – Zrobił taką minę, jakby miał zamiar pastwić się nad swoją ofiarą wzrokiem.

Nidro i Sena wymienili szybkie spojrzenia, a wyraz ich twarzy płynnie dostosował się do nowej sytuacji.

„A to spryciarz z tego małego grubasa” – pomyślał mag z uznaniem. „Od samego początku to sobie zaplanował, nie doceniłem go”.

Sena, jakby czytając mu w myślach, obdarzyła handlarza życzliwym uśmiechem. Temu tymczasem wbijał w oponenta zniecierpliwione

spojrzenie. Derys zawahał się przez chwilę, a wtedy Nidro wykonał jeden oczywisty krok w jego stronę, tak że kupiec od razu skapitulował. Zasłoniwszy się rękami, zaskomlał:

– Dobrze, wszystko ci oddam, na Martwe Ziemie, proszę, nie róbcie mi krzywdy.

– Jeśli czegoś spróbujesz, drugiej szansy nie będzie – poinformował go spokojnie chłopak. – Zrozumiałeś?

Cisza.

– Pytam, czy rozumiałeś?

– Tak, Saru, zrozumiałem – odpowiedział załamującym się głosem.

– W takim razie chodźmy. – Nidro popchnął go w plecy na zachętę.

Derys poprowadził ich na korytarz, skąd po krótkiej galeryjce przeszli na klatkę schodową, którą dotarli do piwnic. Handlarz dawno porzucił wszelkie próby ucieczki. Co jak co, ale on doskonale znał się na ludziach i wiedział, że ta dwójka to prawdziwi zawodowcy. Dziewczyna sięgnęła po nóż z taką wprawą, że jego wzrok ledwo to zauważył, a to, co zrobił mu ten chłopak... Nigdy nawet nie słyszał o czymś podobnym.

„Skąd ten tłusty wieprz ich wytrzasnął? I to siedząc przez cały czas zamknięty w areszcie. Nie doceniałem drania” – łajał się w myślach za krótkowzroczność. „Trzeba było od razu go załatwić, a nie bawić się w aresztowania”.

Derys, wciąż bijąc się z trudnymi myślami, otworzył przed nimi masywne drzwi do piwnicy. W pomieszczeniu było widno, światło wpadało do niego przez otwór z zewnątrz, i odbite od miedzianych zwierciadeł zawieszonych w narożnikach rozchodziło się dookoła. Wewnątrz walało się mnóstwo skrzyń, beczek, pakunków wszelakich kształtów i rozmiarów. Derys jednakże zdawał się być doskonale zorientowany w tym pozornym chaosie, tak długo kluczył pomiędzy stertami zgromadzonych dóbr, aż przeprowadził ich sobie tylko znanym przejściem do przeciwległej ściany. Tam, za jedną z beczek ustawionych w kącie, znajdował się ukryty w ścianie schowek. Gospodarz wyjął klucz zawieszony u szyi i otworzył go na oścież mocnym szarpnięciem. Sięgnął do środka ręką, skąd wyjął pękate zawiniątko, z którego pośpiesznie zaczął wyciągać nieoszlifowane diamenty.

– Co robisz, głupcze?! – zbulwersowany jego zachowaniem Temu wskazał oskarżycielskim palcem na szary woreczek.

– Mówiłeś, że mam ci oddać twoje diamenty, więc...

– Dawaj to! – Były wspólnik wyrwał mu woreczek z rąk, czym przerwał jego żalospną tyradę. – Przyjaciele nie powinni spierać się o parę kamieni jak dzieci grabarza. – Roześmiał się rubasznie, a jego głos poniósł się echem po zagraconej piwnicy. – Przecież nie będę się na ciebie gniewał o tych parę diamentów więcej.

– Ale, ale... – Derys zaciął się jak zepsuta zabawka. Otworzył spierzchnięte usta, aby coś powiedzieć, lecz w tym momencie usłyszał za sobą bezkompromisowy głos dziewczyny:

– Ale lepiej się zamknij, ciesz się, że nie mam czasu, aby bliżej przyjrzeć się tej twojej skrytce. Pomyśl tylko, co jeszcze mogłabym tam znaleźć. Dlatego teraz, dobrze ci radzę, rusz łaskawie swą szanowną dupę i zaprowadź nas do tego przejścia.

– Dopóki jeszcze możesz chodzić o własnych siłach – dorzucił od siebie kilka ciepłych słów Temu.

Derys smętnie spuścił głowę, słysząc te zawołane groźby, i dalej już bez słowa skargi zaprowadził ich do, trzeba przyznać, misternie ukrytej klapy w podłodze. Nidro, zapewne w nagłym porywie serca, pomógł mu podnieść drewnianą pokrywę, za którą ukryto zejście do podziemnego tunelu. Derys przekręcił jedno z luster. Widocznie zamontowano je na zawiasach, tak by snop światła trafił do otworu w podłodze. Ruszyli na dół po wąskiej drabinie do zalatującego stęchłą wilgocią ciemnego korytarza. Przejście było na tyle szerokie, aby dało się w nim przetoczyć drewnianą beczkę. Na chropowatej, kamiennej ścianie samotnie wisiła zgaszona pochodnia, a ponieważ nie wzięli ze sobą lampy olejnej, Nidro zgodnie z tradycją musiał posłużyć się krzesiwem. Kiedy on rytmicznie uderzał kamieniami o siebie, reszta stała za nim, aby wspierać go duchowo w tym szczytnym przedsięwzięciu. Nawet bez oglądania się za siebie Nidro wyczuwał narastające zniecierpliwienie dziewczyny. Kiedy udało mu się zapalić pochodnię, od razu podał ją Derysowi. Sam nie zamierzał iść przodem w tym obskurnym miejscu. Kto wie, czy nie czekają tu na nich

jakieś ukryte pułapki. Derys ruszył pewnie przed siebie. Przejście miało zaledwie pięćdziesiąt kroków długości, dlatego zanim na dobre zdążyli zaaklimatyzować się do klaustrofobicznych warunków, dotarli na drugą stronę. Tam zagroziła im drogę solidna, podkuta żelazem drewniana brama.

– A oto i nasze przejście za mury – obwieściła z radością skowronka dziewczyna.

Kupiec wyciągnął kolejny klucz z tych noszonych na szyi i otworzył wrota na oścież. W ich nozdrza uderzył podmuch świeżego powietrza, było ciepłe i niesło ze sobą wilgotny zapach rzeki. Temu ten aromat jednoznacznie skojarzył się z wolnością. Słońce świeciło im teraz prosto w twarz, dlatego stali tak przez dłuższą chwilę, w milczeniu mrużąc powieki. Kiedy ich źrenice ponownie przyzwyczyły się do blasku dnia, dostrzegli przed sobą niewielki pomost zgrabnie ukryty w zaroślach pomiędzy skałami. Przypominało to coś na kształt wąskiej zatoczki przycupniętej u podnóża murów obronnych. Przy pomoście stała, a jakże, zacumowana drewniana łódź żaglowa, prezentowała się okazale, na pierwszy rzut oka miała co najmniej dziesięć kroków długości. Kadłub dla niepoznaki przykrywała gęsta sieć rybacka z powplatanymi w nią zielonymi skrawkami grubego materiału, dzięki czemu łódka była zupełnie niewidoczna z rzeki.

– Jest i nasza łajba – oznajmił zadowolony z tak udanej finalizacji tego mocno improwizowanego planu mag. Podszedł, zdjął z niej siatkę maskującą, zwinął ją starannie i wrzucił do środka kadłuba. – Dobrze się spisałeś. – Nidro poklepał Temu po ramieniu.

Kupiec zapomniał na moment o wrodzonej skromności i dumnie wypiął pierś, jednocześnie niestrudzenie uśmiechał się cynicznie do swego niedawnego współnika, robił to jednak bez wzajemności, gdyż tamten stał zupełnie zrezygnowany obok z opuszczonymi rękami. Idealnie kontrastował zatem z pozostałą trójką. Ci nie czekali na zaproszenie, zamiast tego ochoczo zaczęli gramolić się do środka. W niewielkiej bakiście Nidro wypatrzył długi zapas liny.

– To się może przydać po drodze – zauważył przytomnie z miną obiężyświata, i zaczął krytycznie oceniać wyposażenie żagłówki.

Kiedy usadowili się w środku gotowi do drogi, Temu, ku zaskoczeniu towarzyszy, z wielką werwą pozornie nieosiągalną dla kogoś jego postury złapał za długi kij i z determinacją dziecięcia karmionego ziarnami kawy zaczął ich odpychać od brzegu.

„Najwidoczniej zawartość mieszka u pasa wydobyła z niego tak głęboko skrywane pokłady energii” – myślał Nidro wpatrzony, jak kupiec zamaszystymi ruchami zanurza kij w wodzie.

Wkrótce przedostali się do głównego koryta rzeki, gdzie łódka popłynęła dalej z prądem, i to nadspodziewanie szybko, w związku z czym Temu dał sobie spokój z odpychaniem. Zamiast tego rozsiadł się wygodnie, a jego myśli zaczęły krążyć wokół zagadnień związanych z żeglarskim rzemiosłem. Sęk w tym, że ich żaglówka nie dość, że płynęła sama, bez użycia żagla, to w dodatku samoczynnie zmieniała kierunek, mimo że nikt z załogi nie trzymał za rumpel. Temu spojrzał zdziwiony na Senę, ale ta w odpowiedzi jedynie wzruszyła ramionami, jakby ten – co by tu nie mówić – mało wyszukany gest miał mu cokolwiek wyjaśnić. Niebawem znaleźli się w miejscu, gdzie rzeka odbijała od miasta pod ostrym kątem, nie żeby turbowali się ewentualną pogonią, ale na sercu jakoś robiło się weselej bez miotaczy oszczepów za plecami.

– Nie wiem, kim wy jesteście – zaczął uradowany kupiec – ale to była najlepiej zorganizowana ucieczka z więzienia, w jakiej brałem udział.

Była to co prawda też jego jedyna ucieczka, lecz ten mały drobiazg postanowił przemilczeć, by nie popsuć nadmiernym filozofowaniem tej wiekopomnej chwili.

– Ty też świetnie się spisałeś – pochwalił go Nidro. – Twój pomysł z tunelem okazał się strzałem w dziesiątkę. Dlatego uważam, że uczciwie zapracowałeś sobie na swoją wolność.

„I odzyskałem swoje diamenty” – dodał w myślach zadowolony kupiec, a głośno oświadczył:

– Mam nadzieję, że pozwolicie mi się jakoś zrewanżować. – Spojrzał pytająco na swych wybawicieli.

– Jeśli to nie problem, to chcielibyśmy popłynąć z tobą do Tamir – odparł skwapliwie Nidro, chcąc kuć żelazo, póki gorące.

– To się rozumie samo przez się. Obecność takich gości na pokładzie Morskiej Piany to będzie dla mnie prawdziwy zaszczyt. Wyciągając mnie z więzienia, uratowaliście mi życie. Dlatego uznajmy, że przewiezienie na kontynent centralny to najmniej, co mogę dla was zrobić.

Szare mury miasta szybko malały za ich plecami, gdy odpływali na południe. A ponieważ łódka w zasadzie sterowała się sama, wszyscy mogli rozsiąść się wygodnie i najzwyczajniej w świecie podziwiać sielskie widoki. Przed nimi na pełnym wietrze płynęło kilka łodzi rybackich, a oni i tak wymijali je wszystkie z dużą prędkością odprowadzani zaskoczonymi spojrzeniami rybaków. Najwidoczniej widok trzech kuchcików płynących szybko łodzią ze zwiniętym żaglem nawet na Rubieży nie był częsty.

W połowie drogi z pałacu zorientowali się, że coś jest nie tak. Dzwony biły na alarm, a to mogło oznaczać wyłącznie jedno, że w mieście wybuchł pożar. W tym samym momencie w głowach obu jeźdźców pojawiła się dokładnie ta sama myśl: garnizon! Obydwaj bez słowa spięli konie mocniej, aby zmusić je do galopu. Po dotarciu na miejsce stanęli twarzą w twarz z żywiołem, przyglądali się z niedowierzaniem, jak płonie cały segment budynku, a wysoki słup dymu unosi się aż do samego nieba. Wokół placu zebrał się liczny tłum gapiów, ludzie przyglądali się, jak rozwijano na ziemi skórzane węże gaśnicze. Tuż obok na zaprzężonym w cztery konie beczkowie strażackim stała w pogotowiu dwójka żołnierzy. Obaj obsługiwali ręczną pompę, gotowi, by na dany sygnał poruszyć stalową dźwignią. Kiedy jeźdźcy przecisnęli się na plac, z kuchennej części zabudowań zostały jedynie zgliszcza, a całe piętro waliło się właśnie do środka budynku, lub raczej tego, co z niego zostało.

„Jak to możliwe, aby ogień tak szybko się rozprzestrzenił” – myślał skonsternowany Oswald, obserwując płonący gmach. W tej chwili domyślał się już, co raportuje mu nadbiegający z naprzeciwka oficer straży. Dekurion wyprężył się słuźbiście, przyłożył prawą pięść do piersi, po czym powiedział niepewnie:

– Wszyscy ludzie, oddelegowani do straży przy więźniach, stracili przytomność jeszcze przed samym pożarem. Nie wiedzą, co się stało, ani w jaki sposób więźniowie opuścili cele.

– Saru! – Usłyszeli kolejne wołanie, w tym momencie podbiegł do nich zdyszany żołnierz. Stał przed dowódcą, wyprostował się i oddał salut.

– Melduj! – Oswald skinął na niego głową.

– Saru dowódcu, przed chwilą dostałem raport z szóstej baszty nieopodal portu rzecznej. Patrol doniósł, że jakaś mała łódź żaglowa wypłynęła w dół rzeki z trójką ludzi na pokładzie. Cała załoga miała na sobie stroje kuchni i to właśnie zwróciło uwagę dowódcy.

– Skąd oni wzięli tę łódkę? – spytał na pozór spokojnie, choć z coraz większym trudem przychodziło mu panowanie nad nerwami.

– Dowódca patrolu uważa, że łódź była ukryta gdzieś za murami miasta. Kiedy ją dostrzegł, było za późno, aby zrobić cokolwiek.

– Cholera jasna! – Do Oswalda dotarło właśnie, jaki popełnił błąd. – To przez tego grubasa! – wydarł się na całe gardło. – On wiedział! Na Martwe Ziemi! On wiedział, jak się wydostać za mury.

Baron stał nieruchomo tuż obok miotającego gromy oficera niczym głaz, jak gdyby został zahipnotyzowany i pozbawiony własnej woli przez falujący w powietrzu płomień. W skrytości ducha zastanawiał się, jak mogło do tego dojść. Przecież mieli ich w garści, a wszystko było pod kontrolą. Więc jak? W jaki sposób? Co poszło nie tak?

Elon dopiero co skończył poprawiać nowy opatrunek na głowie, kiedy usłyszał spiżowe wołanie miejskich dzwonów zapamiętałe bijących na alarm.

– A nie mówiłem?! – wykrzyczał radośnie do swojego zastępcy. – Wystarczyło trochę poczekać, a ofiara sama nam wpadnie w ręce.

– Co robimy, szefie? – spytał Edir, kulbacząc konia.

– Nic, czekamy – odparł wyraźnie ukontentowany dowódca, sam chytrze liczył na to, że orzeł ciągle im się przygląda. Jego oddział popasał właśnie na brzegu rzeki, ludzie chcieli odpocząć po całonocnej przeprawie, dlatego wielu żołnierzy skorzystało z okazji i poszło się wykąpać. Elon również moczył nogi w wodzie, kiedy jego wzrok przykuła mała łódka płynąca zadziwiająco szybko z prądem. Na pokładzie siedziało... trzech kuchcików? Przetarł oczy ze zdziwienia. Przepływali dokładnie naprzeciw niego, samym środkiem szerokiego koryta.

– Edir, popatrz na to! – zawołał do podwładnego.

Teraz razem obserwowali nietypową załogę.

– Szeffie, przecież to oni. – Edir wypowiedział na głos to, co od jakiegoś czasu tłukło się w jego głowie.

– Na koń! Zbieraj oddział! – wykrzykiwał rozkazy z rosnącym podnieceniem Elon. – Oni płyną w stronę Wielkiego Lasu. Ruszamy za tą cholerną łódką! Szybko, zanim nam uciekną. Edir, przejedź mostem na drugą stronę rzeki i zabierz wszystkich czekających w gospodzie. Od razu ruszajcie za nimi w pościg po tamtej stronie. Ja z resztą oddziału pojadę tędy. Prędzej niż później będą musieli zejść na brzeg, gdzieś przed Wielkim Lasem, i wtedy ich dopadniemy. Ruszaj się!

– Na koń, chłopaki! Mamy porachunki do uregulowania. – Edir dziarsko dosiadł swego wierzchowca, zmusił go do biegu i po chwili cwałował w stronę miasta, a dokładnie w kierunku mostu na trakcie wzniesionego w pobliżu murów obronnych. Pozostali żołnierze z samym Elonem na przodzie szykowali się gorączkowo do niespodziewanego wymarszu.

„Zaraz znów się spotkamy – pomyślał jednooki, spiąwszy swojego siwka – musicie niedługo wyleźć na brzeg, a wtedy ja przywitam was żelazem”.

Elon ruszył pierwszy, zaraz za nim pędziła reszta oddziału. Jechali co koń wyskoczy prosto na południe, wzdłuż zachodniego brzegu rzeki, by możliwie najprędzej dogonić umykającą łódkę i jej bezcenny ładunek.

– Pościg idzie za nami! – zawołała Sena z mieszaniną lęku i niedowierzania w głosie. Wskazała ręką na obłok pyłu sunący za rufą, jakby to on był przyczyną ich wszystkich zmartwień.

– Niech jadą – odparł Nidro z dziecinną beztroską. Jego pogodna mina nie zdradzała żadnych śladów zmartwienia. – Ciekawe, czy równie ochoczo wjadą za nami do Wielkiego Lasu?

Zuchwały ton zawarty w tych kilku słowach podkreślał szelmowski uśmiech, który za nic w świecie nie chciał zejść z przystojnej twarzy młodzieńca. To samo zdanie wywołało jednak skrajnie odmienne reakcje na obliczach jego towarzyszy przerażonych teraz do żywego wizją tej jakże nieoczekiwanej, a co gorsza śmiertelnie niebezpiecznej podróży. Nie dość powiedzieć, że Senę i Temu ogarnął trupio blady strach, a oczy zasnuły się

czystym szaleństwem. W jednej chwili ich ciała stały się kłębkim nerwów, splątanych ze sobą w ciasny węzeł niewypowiedzianych emocji.

– To koniec, musimy tu wyskoczyć! – wyrwało się rozpaczliwe wołanie z zaciśniętej krtani dziewczyny. Jeszcze przed chwilą była pewna, że ich „zuchwały plan” zakładał wydostanie się na brzeg tuż przed Wielkim Lasem. – Skok do wody to nasza ostatnia szansa, żeby ująć z tego z życiem! – Stała spanikowana tuż przy samej burcie łodzi, ugięła lekko nogi, najwyraźniej szukając się do desperackiego skoku.

Temu natomiast zabrakło odwagi, usiadł załamany na deskach pokładu. Wyglądał tak, jakby właśnie uszło z niego całe powietrze.

– Przecież każde dziecko dobrze wie, że jeszcze nikt nie przeszedł przez Wielki Las żywy. Nikt! Czy ty to rozumiesz?! – Dziewczyna krzyczała coraz bardziej załamującym się głosem. Jej mięśnie stężały w gotowości, lecz ciało zawahało się przed skokiem, jak gdyby splątany brakiem decyzyjności umysł zacisnął wokół niej niewidzialną pętlę. W tej samej chwili wokół łodzi pociemniało nagle, a rozległe łąki, jakie do niedawna porastały oba brzegi, zamieniły się w gęsty, tropikalny las. Wystarczyło na moment zamknąć oczy i otworzyć je ponownie po dwóch uderzeniach serca, by znaleźć się w zupełnie innym świecie, tak niepodobnym do wszystkich krain znanych człowiekowi.

– To koniec, już po nas, jesteśmy zgubieni – załkała zrezygnowana dziewczyna. Osunęła się bezwładnie tuż obok równie oniemiałego kupca i z niedowierzaniem pokręciła głową. Z jej oczu popłynęły łzy. Najwidoczniej przerwały tamę gorzkości, aby słonym deszczem bezgłośnie opaść na pokład. Przez jakąś wyrwę w jej psychice wylewała się fala strachu i to właśnie ona próbowała utopić ją w hysterii, co sprawiło, że przez chwilę Sena nie mogła oddychać. Byli zgubieni. Nie pozostało im nic innego, jak tylko żałośnie przeklinać swój los i patrzeć, jak ich nędzna łupinka znika nieodwołalnie gdzieś w trzewiach zielononiebieskiej dżungli.

Elon zdecydowanym szarpnięciem lejcy zatrzymał konia w biegu. Nie mógł uwierzyć w to, co właśnie zobaczył. Ścigana przez niego łódka nawet nie próbowała manewrować, zamiast tego wraz z całą załogą wpłynęła na jego oczach prosto do Wielkiego Lasu.

– Czy oni powariowali? – powiedział oszołomiony.

O bezcennym artefakcie mogli raz na zawsze zapomnieć. Elon nie brał pod uwagę możliwości zbliżenia się choćby na krok do morderczej krainy.

– Co robimy? – spytał Sek, podjeżdżając do niego.

– Opuuszczamy – odparł wyraźnie skołowany dowódca. – Jedyne szalenie zdecydowałby się na coś takiego. No nic, oni są równie martwi co postacie wykute w granicie. A skoro tak się sprawy mają, to cofniemy się do mostu i ruszymy na południe wschodnim brzegiem rzeki. Tamtędy podróżują liczne karawany do i z kopalń diamentów. Wielka nagroda właśnie nam przepadła, trzeba się więc rozejrzeć za jakąś alternatywą. Nie mam zamiaru wracać do Segal z pustymi rękami.

Rozdział czwarty

Wielki Las

Tak jak żadna kobieta nigdy nie urodzi jednorożca, tak żaden człowiek nie przejdzie żywy przez Wielki Las. – przysłowie ludowe

Trudno właściwie powiedzieć, od jak dawna Wielki Las stał się symbolem grozy, pierwszym synonimem dla słów „tajemnicza i niebezpieczna kraina”. Miejscem omijanym z daleka, okrytym złą sławą, wywołującym w ludziach strach samym swoim istnieniem, a przede wszystkim zupełnie wyobcowanym, tak różnym od reszty świata. Łódź płynęła szybko z nurtem szerokim na sto kroków korytem rzeki, na brzegach której wyrastała wysoko w górę gęsta ściana bujnej roślinności. Niespotykane nigdzie indziej drzewa i krzewy pochylały zmęczone konary nad brunatnym lustrem wody. Sena wraz z Temu nieustannie rozglądali się dokoła, jakby w obawie, że gdzieś za ich plecami nagle pojawią się żarłoczne macki usiłujące ich pochwycić. Nidro natomiast całą swoją osobą stanowił przeciwny biegun na torze emocjonalnego uniesienia – to znaczy, siedział sobie spokojnie z obojętnym wyrazem twarzy niczym lukrowany króliczek w Święto Przesilenia, co tym bardziej gotowało krew w żyłach u pozostałych odkrywców.

– Ten twój anielski spokój zaczyna mi działać na nerwy – odezwała się w końcu dziewczyna przez zaciśnięte zęby, a napięte do granic możliwości mięśnie szczęki były najlepszym dowodem na to, że mówiła zupełnie poważnie.

Nidro nic jej nie odpowiedział, ułożył się wygodnie na pokładzie, oparł plecy o burtę i zanosilo się na to, że zaraz pójdzie spać.

– Czy do ciebie naprawdę nie dociera to, że właśnie wpłynęliśmy do Wielkiego Lasu? Czy zdajesz sobie sprawę, że w tej rzece pływają krokozaury, tak wielkie, że mogłyby pożreć naszą trójkę w całości, na raz?

Wielkie węże wodne, długie na dwadzieścia kroków, o tygrysach szablozębnych nawet nie wspomnę – ciągnęła coraz bardziej czerwona na twarzy. – No, ale one nas nie zjedzą, o nie! – krzyknęła, jakby eksplodowała z rozgoryczenia. – Bo nie zdążą! – Rozłożyła bezradnie ręce. – Najpierw zajmą się nami te potwory, jakie żyją w rzece.

Nagle tuż obok nich przeleciała żółto-niebieska pszczoła o rozmiarach małego psa. Dziewczyna momentalnie zamilkła sparaliżowana strachem. Stała tak bez ruchu, wpatrzona w latające stworzenie wielkimi ze zdumienia oczami. A tymczasem na obu brzegach pojawiły się monstrualne niebieskie kwiaty i to one najwyraźniej były obiektem pożądania harcujących tu owadów. Pszczoła podleciała do rozłożystego kielicha wielkości dorosłego człowieka, by na moment, bucząc przy tym rozdzierająco, zniknąć w jego wnętrzu.

– Popatrzcie na to, laucje! – krzyknęła z zachwytem dziewczyna, jak gdyby na tę jedną chwilę zapomniała o grożącym im niebezpieczeństwie. – Jakie one są piękne. Poza lasem rosną takie malutkie, a te tutaj to prawdziwe olbrzymy.

Do niebieskich kwiatów niestrudzenie wlatywały przerośnięte pszczoły w towarzystwie błękitnych motyli, z tym że te drugie rozpiętością skrzydeł dorównywały jastrzębiom. Owadów przybywało, kilka kroków od łodzi przeleciał, bucząc basowo, fioletowy żuk o gabarytach tucznego prosiaka. Za to w koronach drzew królowały ptaki, zaopatrzone w dziobate kulfony całą chmarą wyklócały się na kolorowym, skrzydlatym wiecu. Robiły przy tym tyle hałasu, co oddział ciężkiej kawalerii podczas szarży na stos blaszanych garnków. Las wokół dosłownie wirował w oczach poruszany sylwetkami zjawiskowych stworzeń. A trójka dopiero co przybyłych widzów z zapartym tchem podziwiała w skupieniu ten synchroniczny taniec.

Do tej pory ludzie poznali jedynie nieliczne gatunki zwierząt, jakie zamieszkiwały Wielki Las. Wiązało się to z tym, że raz na kilkadziesiąt lat rzeka wyrzucała na brzeg truchło jakiejś równie dziwacznej, co wyjątkowo niebezpiecznej bestii. Takie szczątki trafiały następnie do badaczy cesarskich, kończąc jako bezcenne eksponaty na wyższych uczelniach całego kraju. Jeszcze rzadziej zdarzało się, by zamieszkujące las stworzenia same

opuszczały swój rezerwat. Lecz gdy doszło do tego, działy się rzeczy straszne. Ostatnim razem, kiedy krokozaur zaatakował łodzie rybackie pod Naldis, armia, aby się go pozbyć, wysłała pięć okrętów płaskodennych uzbrojonych w ciężkie balisty. Statki przez trzy dni patrolowały rzekę, zanim w końcu dopadły i ubiły potwora. Wszystkie te zdarzenia miały krwawy i tragiczny w skutkach przebieg. Co oczywiste, odcisnęły piętno w świadomości mieszkańców. Opowieści na ten temat krążyły między ludźmi jak gołębie wokół targu i podobnie jak one niesione na skrzydłach ludzkich języków urastały z czasem do rangi legend, a te z kolei systematycznie wzmacniały w społeczeństwie pierwotny lęk przed Wielkim Lasem. Na szczęście kolorowy taniec owadów zadziałał terapeutycznie, a nastrój na łodzi widocznie się poprawił, kończąc tym samym nieustanne pasmo oskarżeń i utyskiwań.

– Z tych całych nerwów zrobiłem się głodny – oznajmił Temu z przekonaniem, masując się po wydatnym brzuchu.

Wkrótce gdy to powiedział, z rzeki wystrzeliły trzy srebrne ryby, zatoczyły łuk w powietrzu i z głośnym plaśnięciem wpadały wprost do środka łodzi.

– Łaaa! – Temu momentalnie zaczął się wydzierać niczym opętany strachem warchlak, w dodatku wymachiwał rękami we wszystkie strony, co o mało nie wywróciło łodzi.

Niebo nad nimi zaroilo się od kolorowych skrzydlatych dziwołągów, gdy ptaki z okolicznych drzew poderwały się do lotu spłoszone nieludzkim piskiem handlarza diamentów. Sena przyklękła na jednym kolanie, jednocześnie chwyciła za nóż. Jedyne Nidro pozostał niewzruszony i z szerokim uśmiechem przypatrywał się reakcji towarzyszy. To właśnie niebawie rozbawienie na twarzy chłopaka sprawiło, że dziewczyna odłożyła broń. Domyśliła się, choć poniewczasie, skąd wzięły się te latające ryby.

– Skończyłeś się wydzierać? – przywołała Temu do porządku wyraźnie poirytowanym głosem.

– Na cycki Cesarzowej, ale się wystraszyłem, te ryby... – Temu pokazał na nie palcem – ...właśnie wyskoczyły z wody. O mały włos nie zlałem się przy tym w gacie – usprawiedliwiał się płaczliwym tonem.

– Jeśli powiesz tak jeszcze raz o rodzinie panującej – przemówił lodowatym tonem Nidro – to sam osobiście wrzucę cię do tej rzeki.

Zacięta mina chłopaka najlepiej świadczyła o tym, że Nidro nie żartował, dlatego Temu dla własnego dobra postanowił szybko zmienić temat.

– Jakie piękne ryby – zachwycił się jowialnie, wpatrzony w tłuste łuskowate cielska. – Tylko jak...? No, jemy tak na surowo? – zapytał niepewnym głosem.

– Nie, nie na surowo – odrzekł chłopak, wtedy też rozkazał łodzi podpłynąć bliżej brzegu. Tam zerwał kilka szerokich liści z wysuniętego nad taflą wody drzewa. Dokładnie owinął nimi ryby, zanim wsadził je do sieci maskującej i zawiesił na rufie łodzi. Kiedy skończył, z rzeki buchnęła gęsta para i otuliła sieć swym gorącym oddechem. Obłok uniósł się wysoko w górę, tak że niemal zasłonił swoim pierzastym ogonem cały widok za rufą.

– Na kuśkę Ce... – urwał nagle Temu, przywołany do porządku lodowatym spojrzeniem chłopaka.

Mag nie godził się na to, żeby ktoś tytułem Cesarza zamiatał podłogę. Była to jedna z zasad, jakie wpajano mu od dziecka, i w kwestii ich przestrzegania był bardzo zasadniczy. Temu przygnieciony karcącym spojrzeniem poczuł, jak zimne krople potu wystąpiły mu na czole. Zrozumiał, że jego niewyparzony język może mu zafundować krótką i jakże ostateczną kąpiel z krokozaurem.

Gęstą jak śmietana ciszę pojednawczo przerwała Sena.

– Wspaniale! Przynajmniej nie umrzemy z głodu. Czy myślałeś kiedyś o tym, by wystartować w zawodach wędkarskich? – zapytała chłopaka, aby go trochę rozchmurzyć.

Lecz wtedy, dwadzieścia kroków od nich, coś się zakotłowało w wodzie i przez jedno uderzenie serca ich oczom ukazał się gigantyczny ogon krokozaura. Na ten widok Temu z ledwością zapanował nad pęcherzem.

– Spokojnie, one nic nam nie zrobią – oświadczył niewzruszonym głosem Nidro. – Mówiłem wam, że na rzece jesteśmy bezpieczni. Od spodu chroni nas wodna tarcza i uwierzcie mi na słowo, że żaden krokozaur się przez nią nie przedrze. Dodatkowo, jeśli zaszłaby taka potrzeba, mogę podnieść tarczę wyżej. Jednak wtedy nie będziemy tak dobrze widzieć tego, co dookoła.

Po tych jakże pokrzepiających słowach otuchy Nidro znów wygodnie rozłożył się na deskach, jak gdyby to lakoniczne wyjaśnienie zamykało cały temat.

– Wodna tarcza? – powtórzyła bezwiednie Sena. – Taka z tej energii, o której mi mówiłeś?

– Tak, a mówiąc dokładniej, zasilana z energii płynącej rzeki.

– A czy ciebie to nie męczy? Czy dasz radę podtrzymywać zaklęcie przez całą drogę? A co będzie, jak zaśniesz? – mówiła coraz szybciej, zasypując go niekończącą się lawiną pytań.

– Spokojnie – zastopował ją Nidro uniesieniem obu rąk przed siebie. – Przypomnij sobie naszą niedawną rozmowę o magii – powiedział, patrząc dziewczynie prosto w oczy.

– Skoro jesteś magiem, dlaczego po prostu nie wyczarujesz nam pieczonego świniaka? – wtrącił się do rozmowy równie zaciekawiony, co głodny Temu.

– No nie, znowu to samo – odparł z westchnieniem Nidro. – Jak uprzednio po wielokroć tłumaczyłem Senie, nie ma żadnych czarów, a ja nie jestem czarodziejem, zrozumcie to wreszcie. Ludzie nazywają magią wszystko to, czego nie rozumieją, wplątują w to jeszcze jakieś swoje bajki i legendy, a na koniec się dziwią, że wychodzi im z tego zupełny stek bzdur. Zrozumcie wreszcie, że mag nie jest czarodziejem i że nie tworzy tego, co chce, po prostu pstrykając palcami. Samo słowo „mag” też jest tu użyte na wyrost. Tak naprawdę chodzi o to, że niektórzy ludzie mają dar kontrolowania energii, potrafią uporządkować ją w wybrany przez siebie sposób. W tej chwili używam energii rzeki, by ochronić nas przed krokozaurami.

– Dlatego mag nie zapali pochodni, pstrykając palcami? – skomentowała dziewczyna, dając tym samym upust swej cynicznej naturze.

– Dokładnie tak. Żeby nas osłonić, muszę dysponować źródłem mocy. A im większa, dajmy na to tarcza, tym więcej energii potrzeba, aby ją wygenerować, a potem utrzymać. Popatrzcie na rzekę, taka masa płynącej wody niesie ze sobą niewyobrażalne ilości energii. Ja potrafię nią sterować i tworzyć kreacje, jakie nie występują w naturze. Mogę jej również użyć, by

wyrzucić rybę z wody albo choćby całego krokozaura, dla mnie to bez różnicy.

Temu odruchowo pokręcił głową. On dostrzegał tę subtelny różnicę pomiędzy smakowitymi rybami a wielkim, krwiożerczym potworem. Już na samą myśl o wyjmowaniu go z wody aż włosy zjeżyły mu się na plecach.

– Mogę jej użyć, by wyparować część wody i upiec nam rybę na śniadanie.
– Tu wskazał ręką za rufę okrętu. – To jest wciąż ta sama energia i to samo źródło. Gdybym, dajmy na to, dysponował ogniem, mógłbym nam pewnie upiec te ryby. A nie męczy mnie to, ponieważ doświadczony mag musi się skupić jedynie wtedy, kiedy wprowadza jakieś zmiany. Potem kreacja pozostaje stabilna i czerpie moc bezpośrednio ze źródła. Dlatego jeśli niczego nie będę w niej zmieniać, to w zasadzie mogę o niej zapomnieć, a przynajmniej do czasu, dopóki nie zabraknie energii, by ją zasilić. Na szczęście rzeka jest niemal niewyczerpalnym źródłem mocy, dlatego nie musimy się martwić, że tarcza nagle opadnie. Powiedziałbym nawet, że wreszcie możemy sobie trochę odpocząć.

Na to stwierdzenie pozostali zareagowali uniesieniem brwi aż do połowy czoła. Tak, tak, Nidro musiał dostrzec ich wytrzeszczone spojrzenia, ponieważ zaraz dodał:

– Dzięki temu, że wpłynęliśmy do lasu, skutecznie pozbyliśmy się pogoni, nie musimy też nigdzie drałować, a rzeka sama niesie nas tam, gdzie i tak chcemy trafić.

– Czyli twierdzisz, że na łodzi nic nam nie grozi? – podsumował kupiec głosem obleczonym w niedowierzanie.

– Dokładnie tak, to właśnie staram się wam powiedzieć od samego początku.

– W porządku. – Temu zrobił głęboki wdech, co stanowiło prawdziwy test wytrzymałości dla jego obcisłej koszuli. – Jeśli dobrze cię zrozumiałem, to mógłbyś zrobić z wody na przykład coś...

Zamiast Nidro odpowiedziała mu rzeka, gdy przed łodzią zaczęły się wypiętrzać z bezkształtnej masy wody grube na dziesięć kroków filary oddzielone od siebie długimi łukami. Z kipieli na ich oczach uformował się pełnowymiarowy most łączący oba brzegi. Konstrukcja swym kształtem

naśladowała budowle wznoszone z kamienia. Miała wysoką balustradę ozdobioną rozmaitymi rzeźbami, a liczba szczegółów i dekoracji była wprost zaskakująca. Sena i Temu zastygli oniemiałymi, obserwowali, jak wewnątrz magicznej konstrukcji pływają sobie beztrąsko rozmaite ryby, węże i kawałki roślin. A gdy przepływali bezpośrednio pod mostem, mieli wrażenie, jakby przekroczyli bramy jakiejś baśniowej krainy. Oczy Seny lśniły z zachwytu, śmiała się i klaskała w dłonie, uradowana jak dziecko, a Nidro zdał sobie sprawę z tego, że podoba mu się ta niewymuszona wesołość dziewczyny.

– To było przepiękne! – krzyczała podekscytowana, kiedy most za nimi zniknął w rzece niczym roztopione lody. Tymczasem wokół łodzi pojawiły się trzy wodne jednorożce. Baśniowe stwory przemykały wokół nich, w dodatku zachowywały się zupełnie jak żywe zwierzęta.

– Jejku! Jakie one są słodkie. – Sena na widok swych ulubionych postaci z bajek aż podskoczyła z zachwytu. – Nie wiedziałam, że ty też lubisz jednorożce – wyznała z zapartym tchem.

Mag nic jej nie odpowiedział, zamiast tego wymownie uniósł oczy ku niebu. Dziewczyna wystawiła ochoczo rękę w stronę wodnego stwora. Jednorożec nieśmiało podszedł bliżej, parsknął strachliwie, sprawiał wrażenie płochliwego i wciąż się wzdrygał, by obwąchać dłoń dziewczyny. Zachowywał się, jakby zaraz miał czmychnąć spłoszony choćby najdrobniejszym gestem. Dopiero po dłuższej chwili oswoił się na tyle, aby zbliżyć się do łodzi. Jego zachowawcza postawa tym bardziej rozpałała zainteresowanie dziewczyny.

– Nawet dał się pogłaskać! – Radość Seny była spontaniczna i szczerą.

Chwilę później wszystkie jednorożce biegały po rzece niczym dzikie konie po kwiecistej łące.

– Jakie one są cudowne – powtarzała wciąż te same słowa Sena, nie mogąc się nacieszyć widokiem baśniowych stworzeń. Niebieskie kwiaty, wodne jednorożce, Nidro zmienił na moment morderczy las w krainę prawdziwych cudów. – Czegoś takiego nie widziałam jeszcze w życiu! – Obdarzyła go równie baśniowym uśmiechem.

– Rozumiem, że na polu walki taki, dajmy na to, bojowy mag ma za zadanie okrążyć przeciwnika jednorożcami? – spytał trochę na wyrost

niemniej podekscytowany kupiec.

Nidro spojrział na niego z zagadkowym błyskiem w oku, a wtedy z rzeki, tuż obok łodzi, wyłoniło się wodne tornado. Wirująca trąba spienionej kipieli szybko urosła do monstrualnych rozmiarów, do tego przez cały czas poruszała się równo z nimi. W pewnym momencie, zupełnie bez ostrzeżenia, wystrzeliło z niej dobrych kilka tuzinów lodowych włóczy, pociski rozcięły powietrze z dużą prędkością i na oczach oszołomionych widzów wbiły się z trzaskiem w sękatę drzewo rosnące na przeciwnym brzegu rzeki. Ostrzelany w ten sposób konar wyglądał dość niezwykle, jakby przytulił się do niego lodowy jeź.

– Coś takiego! – westchnął zdumiony kupiec. – Przecież żadna armia na świecie nie jest w stanie walczyć z czymś takim – oznajmił z emfazą w głosie.

– To nie jest takie proste – odparł Nidro głosem starego nauczyciela zwracającego się do nierozgarniętych uczniów. – Jak wspominałem wcześniej, mag musi mieć dostęp do źródła energii. A jak sami wiecie, nie wszędzie płynie taka rzeka jak tu. Jeśli dojdzie do bitwy w szczerym polu, pomoc maga nie na wiele się zda. Inna sprawa, że przeciwnik również może mieć w swych szeregach bojowego maga. Jeśli tak się zdarzy, to cała sprawa robi się o wiele bardziej skomplikowana.

Na poparcie swych słów Nidro zrobił teatralnie zbolalą minę, niewątpliwie ta jakże przerysowana poza miała im zasugerować, że jakiekolwiek dalsze wyjaśnienia znajdą się poza intelektualnym zasięgiem tego bardzo wąskiego gremium entuzjastów magii. Jednak nawet tak wyrazisty gest nie zdołał zniechęcić rozpalonych ciekawością umysłów słuchaczy, w dodatku ich zachłanne spojrzenia powiedziały mu wyraźnie, że obydwójce pragną się dowiedzieć jak najwięcej. Nidro, choć nieprzekonany, czy cokolwiek z tego zrozumieją, opowiadał dalej:

– No dobrze, jak by to wam... Gdyby stanął tu do walki ze mną inny bojowy mag, a ja wystrzeliłbym w niego te lodowe włócznie, on wykorzystałby energię tej samej rzeki i zasłonił się wodną tarczą. Chodzi o to, że w przypadku walki z udziałem bojowych magów istnieje wiele zależności, które wpływają zarówno na wynik, jak i przebieg starcia. Znaczenie ma tu zarówno ich położenie względem siebie, jak i w stosunku

do źródła mocy. Powiedzmy dla uproszczenia, że dwaj magowie stoją po przeciwnych stronach rzeki. Obydwaj używają energii tego samego źródła, a jego centrum znajduje się dokładnie między nimi. Wtedy każdy z nich dysponuje taką samą ilością energii. Pamiętajcie, że najważniejsze jest tu samo źródło, a nie jakaś wewnętrzna mistyczna siła maga. W takim przypadku, jeśli ich wzajemne położenie się nie zmieni, obaj w zasadzie będą się trzymać w szachu i nikt nie osiągnie przewagi w walce. Taka potyczka mogłaby trwać bez końca. Byłaby zapewne bardzo widowiskowa, jednak nie przyniosłaby żadnego rozstrzygnięcia.

– Nigdy nie słyszałam o walkach ciągnących się w nieskończoność. Domyślam się zatem, że musi być jakiś sposób na wyjście z impasu? – wtrąciła podniesionym z zaaferowania głosem dziewczyna.

– Tak, jak najbardziej – pochwalił jej przenikliwość Nidro. Lubił, gdy słuchacze zadawali sensowne pytania. – Wróćmy więc do naszego przykładu. Podczas realnej walki mag atakujący dążyłby do zmniejszenia dystansu z przeciwnikiem. W naszym przykładzie wiązałoby się to z koniecznością przeprawy przez rzekę. W chwili, gdy znajdzie się mniej więcej w dwóch trzecich szerokości rzeki, obaj walczący tracą zdolność sterowania energią. Dzieje się tak dlatego, że jednocześnie sięgają umysłem do wspólnego fragmentu źródła. Wtedy ich mentalne oddziaływania zaczną interferować.

Po tych słowach słuchacze spojrzeli na niego bez zrozumienia, jak cielaki postawione przed równaniem z trygonometrii. Nidro wymownie przewrócił oczami, zanim postanowił wyjaśniać im to w bardziej przystępny sposób.

– Zaczną sobie przeszkadzać nawzajem, będą się wzajemnie znosić. Ten dystans nazywa się „strefą wspólną”. Kiedy dalsze korzystanie z energii staje się niemożliwe, pozostaje wyłącznie walka konwencjonalna. I to jest właśnie główny powód, dlaczego w dalszym ciągu żołnierze biorą udział w bitwach. Pomimo wykorzystania bojowych magów ostateczne rozstrzygnięcie starcia na ogół odbywa się bez udziału mocy. Kiedy dwie armie zewrą się ze sobą na polu bitwy, dzieje się to właśnie w strefie wspólnej. Wtedy każda z walczących stron stara się za wszelką cenę ochronić swojego maga bądź wyeliminować maga przeciwnika. Jeśli magowie jednej strony zostają zabici

lub pojmani, dalsza walka staje się bezcelowa. Ostatecznie jeden bojowy mag z dostępem do potężnego źródła jest w stanie w pojedynkę zniszczyć całą armię. Z tych właśnie powodów każdy dowódca stara się podczas wojny rozlokować swe oddziały w pobliżu ośrodka mocy. Idealna sytuacja jest wtedy, gdy wyłącznie jego magowie mają dostęp do energii. Taki układ nazywamy „przewagą energetyczną”. Jak sami widzicie, nie są to wcale proste zagadnienia, a najmniejsza pomyłka może doprowadzić do całkowitej klęski. Z tego powodu to właśnie magowie dowodzą wojskiem. Oni najlepiej rozumieją sytuację energetyczną na polu walki. Nie wiem, czy zrozumieliście cokolwiek z tego, co powiedziałem? – zapytał w reakcji na rozbiegane spojrzenia słuchaczy. – Nie mam pomysłu, w jaki prostszy sposób mógłbym wam to wytłumaczyć. Trudno to opisać komuś, kto sam nie jest magiem.

– Skoro nie są to żadne czary – zaczął niepewnie Temu – to dlaczego magowie używają zaklęć? Sam też słyszałem, że używasz zaklęć, kiedy robisz te swoje cuda.

– Słuszna uwaga – pochwalił spostrzegawczość handlarza Nidro.

Senę również zaintrygowało to pytanie. Nastawiła więc oboje ślicznych uszu, bo jak do tej pory Nidro nie wyłuszczył jej tego zagadnienia.

– Ludzie używają określenia „zaklęcie”, jednak to konkretne słowo niczego nie wyjaśnia. Moja mistrzyni powiedziałaaby raczej „słowo kotwica”. Chodzi o to, że sterowania energią uczymy się od dziecka i wbrew pozorom nie jest to wcale łatwe, a zwłaszcza na samym początku.

Miny słuchaczy świadczyły dobitnie o tym, że nikt w to nie wątpił.

– Dlatego właśnie wiele stuleci temu ktoś wpadł na pomysł, aby podczas lekcji zastosować zaklęcia. Sama metoda jest wręcz banalna i polega na tym, że mag powtarza dane słowo podczas wykonywania konkretnych czynności. Dajmy na to, gdy sięga po energię ognia. Z czasem umysł zaczyna odruchowo kojarzyć słowo z konkretnym działaniem. Dzięki tym ćwiczeniom dużo łatwiej wykonuje się poszczególne techniki. Taki sposób jest też o wiele szybszy. Można sobie wyćwiczyć zaklęcie do tworzenia na przykład tarczy energetycznej. Wtedy podczas walki mag o wiele szybciej zdoła postawić osłonę. Pamiętajcie, że w trakcie starcia szybkość oznacza

życie. Dlatego właśnie zdecydowana większość magów stosuje zaklęcia. Okazuje się jednak, że z wiekiem nieliczni dochodzą do takiej biegłości w posługiwaniu się energią, że nie muszą ich dłużej używać. Tak postępował jeden z moich nauczycieli. Dla niego było to do tego stopnia intuicyjne, że nie potrzebował zaklęć, aby... – Przerwał w pół słowa, bowiem zdał sobie sprawę z tego, że w ten sposób sam by się zdyskredytował.

– Przez ciebie wszystkie moje wyobrażenia o czarach legły właśnie w gruzach – skwitowała dziewczyna z udawanym żalem.

– Zawsze służę pomocą – odparł i uśmiechnął się szeroko.

– Więc jeśli dobrze cię zrozumiałam, nawet słowa „kupa śmiechu” mogłyby być zaklęciem bojowym?

– Nie do końca, ale bynajmniej nie dlatego, że nie brak im polotu. Jak wspomniałem wcześniej, w czasie walki chodzi nam głównie o czas. Dlatego zaklęcie bojowe jest najczęściej samą sylabą, dajmy na to: „hab”. Gdybyś miała takie długie zaklęcia, to podczas walki umarłabyś ze słowem „kupa” na ustach, a śmiechu co niemiara miałby twój przeciwnik. Coś mi się wydaje, że nasza ryba będzie gotowa – oświadczył Nidro, przerywając tym samym wykład o magii dla przedszkolaków. A gdy zamierzał się podnieść, by ruszyć po nią, Sena uprzedziła go nieznacznie.

– Siedźcie sobie, ja wszystko przyniosę – odezwała się do nich niespodziewanie uprzejmie.

Mężczyźni wymienili zaskoczone spojrzenia.

– Co jej się stało? – zapytał cicho Temu, mrugając porozumiewawczo.

– To wszystko przez te jednorożce – odpowiedziała mu dziewczyna, która słuch miała najwidoczniej równie dobry, co refleks. – Wiem, że te stwory to była niespodzianka dla mnie. Dlatego postanowiłam, że się wam jakoś odwdzięczę. – Spojrzała z dziwnym błyskiem w oku na Nidro. – I postaram się być dla was jeszcze miłsza, chłopcy, niż do tej pory – dodała, podając im ryby na zielonych liściach.

– Bardziej to się chyba nie da – skomentował zachwycony Temu, kiedy z namaszczeniem wgryzł się w soczysty kawał różowego mięsa.

– Oj, uwierz mi, że się da. Już kobieta wie, jak uszczęśliwić mężczyznę – powiedziała zalotnie. – Szkoda, że nie widzicie swoich min. – Zaśmiała się

głośno na widok dwóch par maślanych spojrzeń. Jednoznacznie myśli obu mężczyzn zdradziły ich zaczerwienione uszy.

„Sena, jak chce, potrafi być naprawdę urocza” – pomyślał Nidro, zabierając się za rybę.

Wieczorem, gdy zaczęło się ściemniać, Nidro zatrzymał łódkę na samym środku rzeki.

– Koniec żeglugi na dzisiaj – oznajmił i zaczął szykować sobie prowizoryczne poślanie na deskach pokładu.

– Nie możesz płynąć w nocy? – spytał Temu chyba wyłącznie po to, aby usłyszeć tembr własnego głosu.

– Mogę, ale ja też muszę odpocząć. Teoretycznie łódka może płynąć jak śpię. Ale żeby nią skręcać, trzeba się skoncentrować.

Z rzeki wokół łodzi wybrzuszył się przezroczysty pierścień i na ich oczach zaczął równomiernie wypiętrzać się w górę. Ściany kipieli wygięły się w łuk ponad ich głowami, by zamienić dopiero co uformowaną całość w kopułę.

– Ła! A to co takiego? – spytała Sena, zadzierając głowę wysoko.

– Schowałem nas na noc pod płaszczem wodnym. Dzięki tej osłonie żaden drapieznik się do nas nie zbliży.

– To rozumiem – wtrącił uśmiechnięty kupiec. – Tak to można podróżować choćby i po Wielkim Lesie. Jaką to ma wytrzymałość?

– Trudno powiedzieć, pocisk z katapulty zatrzyma na pewno.

– Ooo, to powinno wystarczyć, chyba że żyją tu smoki – dodał jeszcze od siebie, zanim położył się do spania na siatce maskującej.

– Jeśli przyleci smok, to będę was budził.

– Mnie nie budź – odparła dziewczyna – lepiej zajmij się smokiem jak tym drzewem dzisiaj.

– Dobrze, pozabijam wszystko, co znajdzie się w zasięgu wzroku.

– Albo jeszcze lepiej wystaw na zewnątrz tabliczkę z napisem: „Uwaga, zły mag”.

– Świetny pomysł, Sena, jutro na pewno tak zrobię. Dobranoc.

– Dobranoc – odpowiedzieli mu oboje.

O poranku trójka odkrywców niespiesznie podnosiła się z prowizorycznych łóżek. Jeśli zwiniętym sieciom i linom można w ogóle

nadać to miano. Nidro spojrział w górę, a magiczna kopuła zaczęła się otwierać jak głodny kwiat do słońca. Równomiernie rozsunała się na boki, by ukazać im malowniczy krajobraz. Odgłosy dżungli na powrót obkoczyły ich ze wszystkich stron, gdy łódź wyrwała do przodu. Nidro zakrył twarz dłonią i z wyraźnym niezadowoleniem ściągnął brwi.

– Coś się stało? – zapytała Sena, gdy usiadła obok niego.

– Płyniemy prosto na wschód.

– I co w związku z tym?

– Rzeka bardzo meandruje w lesie, dużo bardziej, niż myślałem. Mam wrażenie, że poruszamy się jedynie w kierunkach wschód – zachód, a nie na południe, jak podpowiadałaby logika. Ta podróż zajmie nam o wiele więcej czasu, niż początkowo sądziłem.

– Najważniejsze, abyśmy dotarli na miejsce bezpiecznie – odparła niezrażona.

– Jesteśmy w lesie już cały dzień i jak dotąd nic nas nie zjadło – zauważył i uśmiechnął się do niej ciepło.

– To prawda. – Oddała mu uśmiech, choć w o wiele bardziej okrojonej formie. – Opowiedz mi o bransoletce – poprosiła, sięgając po grzebień, którym zaczęła rozczesywać włosy.

„Skąd ona wzięła ten grzebień? Skąd w ogóle ona bierze te wszystkie rzeczy?” – mimowolnie zastanawiał się w duchu chłopak.

– Masz ją, prawda? – zapytał nieco zmieszany. Tak naprawdę to od ucieczki z miasta co najmniej dwa razy zdążył o niej zapomnieć.

– Tak, jest tam. – Wskazała na małe zawiniątko ułożone niedbale na stercie innych rupieci.

– Nikt do końca nie wie, czym one są i jak powstały – zaczął mało konkretnie. – Ponoć starożytni umieli je wytwarzać, a w każdym razie uważa się, że artefakty pochodzą z zamierzchłych czasów. Nie wiem, ile jest w tym prawdy. Ale jedna z teorii mówi, że ludzką esencję można jakoś zamknąć w przedmiocie i że ten przejmuje wtedy jakąś część, jakąś szczególną cechę tej osoby. To jest trochę tak, jak z energią, a przynajmniej ja tak to rozumiem. Widzisz, w każdym człowieku jest energia, ale i coś jeszcze. Coś, co nasi uczeni określają „esencją”. Wolni Ludzie nazywają to „duszą”. Energia

zgromadzona w człowieku jest stosunkowo niewielka i dlatego zakres jej oddziaływania jest bardzo mały. Tak samo działa esencja zamknięta w artefakcie. Można z niej skorzystać tylko w bezpośrednim kontakcie ze źródłem.

– Dlatego artefakt działa, gdy nosisz go przy sobie – odpowiedziała sobie sama.

– Tak, tak ja to rozumiem. Jednak cała wiedza na temat wytwarzania artefaktów zaginęła wieki temu. Dlatego to, co ci powiedziałem, jest bardziej legendą niż nauką.

– W każdej legendzie jest ziarnko prawdy – odparła sentencjonalnie, patrząc mu prosto w oczy. – Wiesz, że jeszcze nikomu nie udało się przejść przez Wielki Las? – zapytała, skrzętnie maskując niepokój.

– Wiem, dlatego nie planuję go przechodzić, tylko przepłynąć. – Uśmiechnął się łobuzersko.

– Ale przeszło ci przez myśl, że rzeką też nikt nie pływa po tym lesie?

– Tak, zdaję sobie sprawę, że coś może być na rzeczy. Jednak tym też bym się zbytnio nie martwił. Jeśli pojawią się jakieś nieprzewidziane trudności, to w najgorszym wypadku zawsze możemy zawrócić. Jestem w stanie tak pokierować łodzią, aby popłynęła w górę rzeki.

– Dobrze wiedzieć, że nie jesteś po prostu samobójcą, który nie chce umierać w samotności.

– Słuchaj, Nidro – powiedział kupiec, dość obcesowo przerywając im rozmowę. – Czy nie pokazałbyś mi jeszcze raz tej swojej sztuczki z latającymi rybami? Zaczynam się robić wąski w pasie. – Pomacał się po wydatnym brzuchu.

– Dobrze – odparł skwapliwie chłopak. – Ale proszę, nie wydzieraj się tak jak za pierwszym razem. Ten twój pisk okropnie rani mi uszy.

Jego słowa nie zdążyły jeszcze wybrzmieć, gdy trzy tłuste ryby wystrzeliły z wody prosto do środka łodzi. Temu z namaszczeniem zaczął owijać je liśćmi, tak jak poprzedniego dnia robił to Nidro. Kiedy powiesił zawiniątko na rufie, z wody jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki buchnęła gęsta para. Płynęli po brązowawej wstędze rzeki, omijali po drodze wielkie powalone drzewa, ciągnąc za sobą wysoką smugę pary wodnej. W taki

właśnie kulinarny sposób trójka odkrywców rozpoczynała każdy kolejny poranek w tej egzotycznej krainie.

Siódmego dnia spływu krajobraz wokół nich ponownie zaczął się zmieniać. Oba brzegi wyraźnie się podniosły, a teren wokół stał się pofałdowany. Tu i ówdzie pojawiały się szare skały. Wyglądały spośród drzew, jakby rozpychały je na boki, skutecznie wypierając miejscami zielononiebieską roślinność.

– Musimy pogadać – oświadczył Nidro poważnie, odciągając tym samym pozostałych od nicnierobienia. – Pojawiły się właśnie te nieprzewidziane okoliczności, o jakich mówiliśmy wcześniej. Jednak dodam od razu, że nic nam nie grozi – mówił to wszystko uspokajającym tonem, choć na niewiele się to zdało, jego współtowarzyszy bowiem znów objął w posiadanie strach. – Przed nami cała rzeka znika gdzieś pod ziemią – kontynuował pomimo przerażenia, jakie właśnie odmalowało się na twarzach Seny i Temu.

– Jak to pod ziemią? – wydukał wstrząśnięty kupiec.

– Wygląda na to, że po drodze jest wielka jaskinia i cała ta masa wody wpada do jej gardzieli. Coś jak wielka dziura w skale, do której wlatuje ogromny wodospad.

– To koniec, musimy niezwłocznie zawrócić – odparła spanikowana dziewczyna.

– Spokojnie. – Nidro uniósł obie dłonie, czym starał się powstrzymać nadchodzący atak paniki. – Zanim podejmiemy decyzję, co chcemy robić dalej, pozwólcie, że wpierw nakreślę wam całą sytuację. Chodzi o to, że rzeka wypływa na powierzchnię po drugiej stronie tych skał. A w związku z tym, jeżeli przeprawimy się przez las i dotrzemy w tamto miejsce, możemy zbudować tratwę i kontynuować spływ rzeką na południe.

– Jak daleko jest to miejsce? – zapytał przytomnie kupiec.

– Jest to odległość, jaką przepływamy w ciągu jednego dnia spływu. Myślę więc, że jakieś dwa, może trzy dni marszu przez dżunglę.

– Chcesz porzucić łódź i iść na piechotę przez las? – spytał Temu z takim wyrzutem, jakby kazał mu opuścić starego przyjaciela w potrzebie.

– Łódź musi zostać – tłumaczył chłopak. – Nie przejdziemy z nią przez tę gęstwinę. Zabierzemy ze sobą jedynie sieci i linę, bo to się na pewno przyda

w lesie. A kiedy dojdziemy do rzeki, tak jak powiedziałem wcześniej, zbudujemy tratwę. To nie jest wielki problem, kiedy ma się pod ręką nóż i linę.

– Czy wy też macie wrażenie, że ktoś nas obserwuje? – przerwała im niespodziewanie Sena wyraźnie zaniepokojonym głosem, jednocześnie zaczęła przeskakiwać wzrokiem po okolicznych zaroślach.

Temu w reakcji na jej słowa od razu zrobił to samo.

– Tak – odrzekł Nidro.

– Tak?! – wydarła się na niego. – To ty wiesz, a nic nie mówisz?! Kto taki?!

– Uspokój się najpierw. – Nidro ponownie wyciągnął dłonie przed siebie.

– Nic nie mówiłem, żeby was nie martwić. Oni nie mogli zagrozić nam na rzece, więc...

– Więc co?! – przerwała mu lekceważąco w połowie zdania. – Teraz nagle wpadłeś na pomysł, by sobie pozwiedzać najbardziej śmiertelny las na świecie, i doszedłeś do wniosku, że warto by było nam o tym wspomnieć, co?! – wrzeszczała na niego z taką pasją, że aż się zachłysnęła.

– Właśnie, kim są oni? – wtrącił się do dyskusji Temu.

Oboje z narastającym wyczekiwaniem wbili pytające spojrzenia w maga.

– Oni... – Zawahał się, obracając na języku każde wypowiedziane przez siebie słowo. Sena, gdy domyśliła się, że kluczy, zacisnęła mocniej pięści. – W zasadzie wyglądają jak ludzie – zaczął równie ostrożnie, co mało konkretnie – ale...

I ta dziewczyna znów nie wytrzymała.

– Jeżeli wyglądaliby jak ludzie, to byś po prostu powiedział, że idą za nami ludzie! A nie, idą za nami oni!

– Spokojnie, Sena. – Chłopak próbował opanować sytuację. – To są tacy ludzie, tylko że mają niebieskie długie włosy i ogromne czarne oczy. Takie...

– Zamyślił się na moment. – Prawie dwa razy większe od naszych. A poza tym wyglądają zupełnie normalnie.

– Co, do cholery, mają?! A może to ty pochrzaniłeś wszystko w tym swoim zaczarowanym łbie? Może miało być: duże czarne włosy i niebieskie oczy?!

– Nie, nic nie pokręciłem, a ty przestań się wreszcie wydzierać.

Temu stanął między nimi, czym symbolicznie przerwał ich kłótnię.

– Jest jeszcze jedna sprawa, o której musicie wiedzieć.

Sena, kiedy to usłyszała, uniosła obie ręce ku niebu.

– A więc to nie wszystko?! To co tam jest jeszcze?! – krzyczała, coraz bardziej się nakręcając. – Krokozaur z pustym talerzem, nożem i widelcem?! A może wrzące bagna z kwasem?! Od razu wam mówię, bo wiem, gdzie zmierza ta cała gadka szmatka: ja-się-nie-zgadzam! – cedziła każde słowo przez zaciśnięte zęby, a przy tym darła się wniebogłosy jak oszalała.

– Ale przecież my jedynie rozmawiamy – skłamał gładko chłopak.

– Nie zgadzam się! – warknęła.

– Więc co tam jest jeszcze? – przypomniał o sobie kupiec.

Sena zapewne na znak protestu ostentacyjnie odwróciła się do nich plecami.

– Tak więc – kontynuował niezrażony zachowaniem dziewczyny Nidro – gdybyśmy teoretycznie... – Spojrzał wymownie na Senę, lecz ta energicznie odwróciła głowę w przeciwną stronę. – Gdybyśmy teoretycznie chcieli dojść do drugiego odcinka rzeki najkrótszą drogą, musielibyśmy przejść niedaleko wioski tych niebieskowłosych obcych. Inaczej droga przez dżunglę zajmie nam dużo więcej czasu.

– Jak dużo? – spytał handlarz żywo zainteresowany.

– Myślę, że tak dwa, no, może trzy razy dłużej niż na przełaj. To zależy, jak dużym łukiem chcielibyśmy ich obejść. I dlatego właśnie musimy wspólnie zdecydować, co robimy dalej. Ja sam nie chcę podejmować tak ważnej dla nas wszystkich decyzji. Proponuję więc głosowanie. Mamy dwa potencjalne wyjścia z sytuacji, a przynajmniej ja tak to widzę. Jedno to przejść ten kawałek lasem do miejsca, gdzie rzeka wypływa na powierzchnię. Drugie to cofnąć się z powrotem do Kenir, płynąc w górę rzeki. Tam możemy wrócić na drogę i ominąć cały Wielki Las. Jednak taka podróż zajmie nam o wiele więcej czasu. Stracimy również szansę, by jako pierwsi ludzie w historii przejść cało przez tę krainę. Głosujmy zatem – oznajmił uroczyście, niemal nabożnym tonem.

– Jesteś przegłosowany – warknęła Sena, dziewczyna tylko na to czekała, aby wreszcie dorwać się do głosu. – Ja i Temu głosujemy za powrotem do

Kenir, więc już możesz zawrócić tę swoją śmieszoną łódeczkę i płynąć jak najszybciej z powrotem. Prawda, Temu? – rzuciła do kupca wyzywająco. – Prawda, Temu?! – syknęła tym razem przez zaciśnięte zęby.

– Prawdę powiedziawszy... – zaczął wymijająco handlarz.

Słyszając to, Sena odruchowo położyła dłoń na rękojeści noża. Ten ruch nie przeszedł niezauważony, a handlarz wyraźnie się zawahał.

– Chodzi o to, że...

– No ładnie – przerwała mu bezceremonialnie. – Wyście wszyscy do reszty zgłupieli, jak to faceci. Czy każdy facet, jakiego spotkam w życiu, musi się okazać takim pewnym siebie, zarozumiałym i szastającym życiem innych dupkiem?! – Zrobiła wdech, gdyż na moment zabrakło jej powietrza. – Na Martwe Ziemie! Zostałam tu sama z tymi idiotami! – wołała do kniei i matki natury.

– Chodzi o to – wznowił przerwana wcześniej wypowiedź Temu – że kilku Cesarzy wysłało tu ekspedycje badawcze.

– Tyle że żadna z tych ekspedycji nigdy, powtarzam wam, nigdy nie wyszła stąd cała! – darła się na nich nieprzekonana ni w ząb sentymentalną argumentacją handlarza.

– Nikt nie powiedział, że to będzie łatwe – wtrącił się do dyskusji Nidro.

– Ale nikt też do tej pory nie wiedział, że tu żyją jacyś ludzie. Albo ktoś, kto chociaż odrobinę ich przypomina – poprawił się skwapliwie Temu. – To może być naukowe odkrycie na miarę epoki – podsumował patetycznym tonem. – A my możemy stać się sławnymi odkrywcami.

Kupiec przeliczał w myślach swe epokowe odkrycie na żywą gotówkę.

– Albo dobry pomysł na grupowe samobójstwo – odgryzła się nieprzejednana dziewczyna.

– Tak czy inaczej, zostałam przegłosowana. Jest dwa do jednego, więc postaraj się z tym pogodzić.

– Nigdy się z tym nie pogodzę i mam zamiar znienawidzić was obu do końca naszego już w tej chwili bardzo krótkiego życia! – wyrzuciła z siebie jednym tchem, wciąż nie panując nad nerwami.

– Zapomniałaś dodać jeszcze, że zakończonego długą i bolesną śmiercią w męczarniach – dopowiedział chłopak.

Na te słowa mężczyźni wybuchnęli szczerym śmiechem.

– Będzie, co ma być – podsumował filozoficznie Nidro. – Zabierajcie swoje rzeczy, zbliżamy się do wodospadu. Ja teraz podniosę łódź na wysokość klifu, byśmy mogli bezpiecznie zejść na brzeg – uprzedził ich, aby tym razem uniknąć ataku paniki.

Na potwierdzenie tych słów łódź zatrzymała się płynnie przy skalistym urwisku. Wodna ręka precyzyjnym ruchem uniosła żagłówkę do góry, przesunęła ją nad brzeg i ułożyła łagodnie na szczycie niewielkiego klifu, po czym samoczynnie wróciła do wody. Lewa burta operowała się o skaliste podłoże.

– Nie ma czasu do stracenia – poganiał pozostałych mag, gdy sam wyskakiwał na brzeg.

Wziął do ręki maczetę i ruszył ostrożnie przodem, jednocześnie przyglądał się uważnie gęstym zarośłom. Ściana zielska wydawała się niemal nieprzepuszczalna, a przynajmniej nie bez obróbki wstępnej. Dlatego po przejściu zaledwie kilku kroków Nidro musiał miarowo i z całej siły karczować żywy mur, aby stworzyć w nim wąską przecinkę. Szedł powoli i nieustannie machał maczetą na wszystkie strony. Za nim niepewnie podążała wystraszona Sena. Pochód zamykał Temu, z trudem przeciskając się w wyrębie.

Wielki Las roztaczał przed nimi egzotyczne pejzaże. Florę zdominowały niebieskie rośliny różnych kształtów i wielkości. Nad głowami wiły się błękitne pnącza, a grube liany spływały aż do samej ziemi, przywodząc na myśl takielunek leśnego okrętu. Arto wiedziony zwierzęcym instynktem przysiadł przed nimi na wyciągniętej niczym ludzka ręka gałęzi rozłożystego drzewa. Wysłał mentalny przekaz o niebezpieczeństwie, a wtedy Nidro spostrzegł przed sobą jadowitego węża ukrytego w gęstym listowiu.

„Dzięki, Arto!” – pochwalił przyjaciela w myślach.

A gdy dostatecznie zbliżyli się do gada, wypowiedział zaklęcie usypiające. Bezwładne cielsko zważyło się na ziemię z łoskotem niczym wiadro do głębokiej studni. Na ten odrażający widok Temu zaczął wydawać swój kwiko-pisk, płosząc przy okazji okoliczne ptactwo.

– Zamknij się! – wysyczał do niego Nidro. – Przecież go uśpiłem, zaraz cały las będzie wiedzieć, że tu jesteśmy.

Temu pomimo szczerych chęci ledwo nad sobą panował. Wystarczył sam widok uśpionego gada, aby kupiec zmienił się w roztrzęsiony worek wszystkich możliwych lęków.

– Idź dalej, mój ty bohaterze – skomentowała sardonicznie Sena. – Sam głosowałeś, aby pchać się w to zielsko. – Dziewczyna nie marnowała żadnej okazji, by choć trochę odegrać się na zdrajcy.

Po incydencie z wężem towarzysze wznowili marsz przez dżunglę, z widocznym trudem przedzierali się przez gęste zarośla. Jednak nie uszli nawet trzydziestu kroków, kiedy orzeł dał nura w krzaki przed nimi. Przez chwilę słyszeli wyłącznie rytmiczny odgłos trzepoczących skrzydeł. A kiedy ujrzeli ponownie wzlatującego ptaka, ten trzymał w szponach kolorowego węża.

„Dobra robota!” – pomyślał Nidro, znów chwaląc przyjaciela. Z ich całej trójki jedynie on wiedział, że Arto najprawdopodobniej po raz drugi tego dnia uratował mu życie. Co prawda, Nidro mógł wyczuć energię tych stworzeń, ale ze względu na ich niewielkie rozmiary robił to dopiero z bardzo bliska. Mogłoby się zatem okazać, że w przypadku szybkiego i niespodziewanego ataku ze strony węża zwyczajnie nie zdążyłby zareagować na czas. Tego dnia pomoc Arto okazała się nieoceniona. Bez jego doskonałego wzroku zapewne nie daliby sobie rady w tych warunkach. Orzeł wydał głośny świergot zadowolenia, po czym usiadł na drzewie przed nimi. Rozejrzał się uważnie, a gdy upewnił się, że nic im nie grozi, ochoczo zaczął pożerać cielsko upolowanego gada.

– Gdzie planujemy się przespać w tym... jakże uroczym miejscu? Pełnym tysiąca i jednej bestii chcących nas pożreć. – Głos dziewczyny ociekał sarkazmem.

Jeszcze dobrze nie skończyła mówić, gdy obok niej przeleciała pszczoła wielkości ludzkiej głowy. Senie na sam jej widok aż włosy zjeżyły się na głowie. Ogromny owad zawisł niemal tuż przed nosem dziewczyny.

– Mamy hamak, rozłożymy go wysoko na gałęzi, więc ty i ja prześpimy się razem – odparł rzeczowo Nidro, nie piętrząc żadnych trudności. – Za to

Temu zrobię specjalne łoże z sieci maskującej, którą zabraliśmy ze sobą. Myślę, że powinna go utrzymać. Dla pewności dodatkowo przywiążę go za nogi do drzewa, gdyby sieć miała się zerwać w nocy – dodał po namyśle. – Arto będzie nas pilnował przez cały czas, więc o węże czy inne paskudztwa nie musimy się martwić.

Prawdę powiedziawszy, gdyby nie kryjące się w nim niebezpieczeństwo, Wielki Las wydałby się niemal rajskim ogrodem pełnym kolorowych stworzeń i niebieskich kwiatów. Wszędzie wokół coś brzęczało, skakało, latało lub biegało. Sama wędrówka jednak dała im się mocno we znaki. Komary nieustannie kęsały ich zajadle, a pot cienkimi strużkami lał się po plecach. Sena spięła włosy w kok, by nie plątały się w zaroślach. Poruszali się powoli i bardzo ostrożnie, z mozołem pokonując kolejne odcinki. Tempo ich marszu okazało się nader wolne, do tego nie pomagał fakt, że co rusz Nidro musiał usypiać jakiegoś węża, pajaka, panterę lub inne równie podejrzanie wyglądające zwierzę, jak wielką skolopendrę czy inną kolorową żabę. Szli więc jeden za drugim w milczeniu przez niemal cały dzień. W pełnym napięciu nasłuchiwali wszystkiego wokół.

Kiedy zaczęło się ściemniać, Nidro zarządził postój na noc.

– Prześpiemy się tutaj. – Wskazał olbrzymie drzewo usiane wstęgą niebieskich kwiatów, wkrótce zaczął wspinać się na górę po szerokich, rozłożystych gałęziach. Sprawnie się podciągał, jakby robił to na co dzień od urodzenia. Kiedy wdrapał się na jedną trzecią wysokości, czyli jakieś dziesięć kroków, rozłożył hamak i przywiązał go do drzewa. Następnie zabrał się za sieci dla Temu. Sena, żeby nie czekać z wężami na ziemi, szybko ruszyła jego śladem, przez co kupiec, chcąc nie chcąc, ostał się sam na dole. Myślał teraz intensywnie o swej najbliższej przyszłości, drapiąc się po głowie.

– Jak ja mam na to wejść? – spytał w końcu dziewczynę, gdy ta z niemalym zainteresowaniem obserwowała go z gałęzi.

– Nie wiem, bohaterze, jesteś w końcu zdobywcą Wielkiego Lasu, więc na pewno sobie jakoś poradzisz. Dla takiego wspaniałego odkrywcy wspinaczka na drzewo powinna być jak kaszka z mleczkiem – mówiła to wszystko z szyderczym uśmiechem na ustach.

Kupiec, niesiony heroicznym zrywem, złapał za najniższą gałąź i spróbował się podciągnąć. Zaraz jednak zasapał się cały i padł z plaśnięciem na ziemię jak wielka błotna żaba. Dziewczyna, w reakcji na nieudolne popisy grubasa, ryknęła niepohamowanym śmiechem. Z kłopotliwego położenia na szczęście wybawił go Nidro, kiedy zrzucił mu na dół końcówkę liny do pomocy.

– Obwiąż się nią! – Pokazał na luźny koniec, a sam zaparł się mocno nogami o gałąź przed sobą. – Ty się będziesz wspinał, a ja spróbuję cię jakoś podciągnąć.

Temu posłusznie obwiązał się liną w pasie i zdwoił wysiłki, by wejść na pierwszą gałąź. Tym razem jednak nie runął z powrotem na ziemię, a powoli, z mozołem, zaczął wchodzić coraz wyżej i wyżej jak po naturalnej drabinie. A im wyżej się wdrapywał, tym łatwiej mu było iść dalej, ponieważ gałęzie znajdowały się coraz bliżej siebie. Gdy dotarł wreszcie do pozostałych, był cały mokry od potu, jakby dopiero co wyszedł z rzeki na brzeg.

– No jesteś wreszcie, mój mały pajączku – zadrwiła z kupca dziewczyna. – Myślałam, że tygrysy będą miały dzisiaj tłusty kąsek na kolację. A tu proszę, jedzenie odfrunęło na drzewo.

– Ty też jesteś jedzeniem, ale takim żylastym – odgryzł się natychmiast handlarz.

– Temu, wypróbuj swoje nowe łoże – zachęcał chłopak i wskazał na rozpięte na gałęziach sieci.

– Test wytrzymałości! – ryczała ze śmiechu dziewczyna.

Temu zawahał się przez chwilę, ale że nie miał za bardzo innego wyjścia, powoli i nieufnie wgramolił się na swą „pajęczynę”. Linki w sieci napięły się drastycznie, zatrzeszczały złowrogo, ale całość wytrzymała i wyglądała solidnie.

– Dobrze – skomentował zadowolony Nidro. – Złącz nogi razem, a ja przywiążę cię do drzewa na wypadek, gdybyś się za bardzo wiercił w nocy lub gdyby sieć miała się zerwać. Dzięki temu nie spadniesz na ziemię.

– Dobry pomysł – zgodził się z nim handlarz. Najwyraźniej wciąż czuł się niepewnie na swoim posłaniu.

Dokoła zaczął zapadać zmrok, więc dla bezpieczeństwa wszyscy położyli się na swoich miejscach. Sena przytuliła się do Nidro, ułożonego wygodnie w hamaku.

– Dobranoc, mój ty czarodzieju – powiedziała do niego czule, opierając twarz na piersi chłopaka.

– Dobranoc, piękna księżniczko – odparł jej równie uprzejmie.

Leżeli tak przytuleni do siebie. Nidro oddychał głęboko, a dziewczyna wyraźnie czuła bicie jego serca. W pewnym momencie delikatnie objął ją ramieniem i przytulił do siebie. Ta poczuła jeszcze, jak ogarnia ją senność. Tego wieczoru nikt nie odezwał się już ani słowem. Po całodniowym marszu wszyscy zasnęli niemal natychmiast, zupełnie jakby Nidro uśpił ich swoim zaklęciem.

Wczesnym rankiem, kiedy Nidro otworzył oczy, ujrzał wciąż śpiącą, przytuloną do niego Senę. Dziewczyna oddychała miarowo, a on czuł przyjemne ciepło jej ciała. Jego palce przemknęły delikatnie po długich kruczoczarnych włosach, kiedy troskliwie obejmował ją lewą ręką, a wtedy ona, wciąż śniąc, przytuliła się mocniej do niego. To właśnie wtedy po raz pierwszy od początku ich burzliwej znajomości uświadomił sobie, że dobrze czuje się w jej towarzystwie. Uczucie to było równie nowe, co intensywne, w dodatku spadło na niego niespodzianie niczym Arto na głowę Elona. Chłopak nie budził jej. Chciał, by ta chwila trwała jak najdłużej. Wiedział, że ten dzień może się okazać ich ostatnim. Leżał więc w hamaku i myślał o niebieskich migdałach, kiedy odebrał mentalny sygnał od orła. Ptak odczuwał wyraźny niepokój. Gdy Nidro spojrział na świat oczami przyjaciela, zobaczył zbliżającą się w ich stronę hordę obcych o niebieskich włosach.

„Czas się zbierać” – pomyślał z niepokojem.

– Sena, zbudź się, nadchodzą.

– Kto nadchodzi? – wymruczała, przecierając zaspane oczy.

– Obcy – odparł szeptem, lecz jego głos i tak zdradzał oznaki napięcia.

Podciągnął się na gałęzi wiszącej nad nimi i wyszedł z hamaka. Ruszył, balansując ciałem, w stronę śpiącego handlarza.

– Temu, wstawaj, mamy gości – oznajmił, kiedy odwiązywał linę od nóg kupca. Na szczęście sieci wytrzymały i ta nie była do niczego potrzebna. Pobudka towarzyszy okazała się nie lada wyzwaniem, a cała dwójka zbierała się do wymarszu jak grabarz do pracy. Kiedy w końcu wszyscy wydostali się ze swych pieleszy, Nidro podał Temu końcówkę liny, mówiąc:

– Obwiąż się nią, a ja pomogę ci zejść.

Handlarz bez słowa protestu wykonał polecenie. Systematycznie, jak mrówka, zaczął gramolić się w dół po gałęziach.

– Tak, mój mały pajączku, hyc, hyc – dokazywała Sena, kiedy dla własnej uciechy schodziła tuż obok niego po drzewie.

Temu miał wrażenie, że schodzenie jest jeszcze trudniejsze niż wspinanie się na górę. Podczas wchodzenia nie musiał przecież patrzeć w dół. Pocieszał go jedynie fakt, że w razie upadku Nidro utrzyma go na linie przerzuconej przez górną gałąź.

– Tak, mój tłusciutki pajączku, jesteś prawie na ziemi, teraz musisz jedynie puścić się gałęzi i miękko wylądować. No dalej, skacz jak piłeczka na trawę.

Temu znajdował się niemal na samym dole, ale wbrew wszelkiej logice nie chciał się puścić ostatniej gałęzi. Dlatego wisiał tak, pół kroku nad ziemią, i wciąż kurczowo trzymał się drzewa. Zupełnie jakby pod jego stopami płynęła rzeką gorąca lawa.

– No dalej – zachęcała dziewczyna. – Nie ma więcej gałęzi, skacz, pajączku.

Temu wyraźnie zaczynały już boleć palce, w końcu posłuchał dziewczyny, zrobił to co prawda bardziej z musu niż z rozsądku, ale wreszcie puścił się drzewa i upadł z łoskotem na ziemię. Zaraz obok niego opadła lina, a chwilę później zjawił się Nidro z hamakiem i siecią w rękę.

– Są tuż obok i nas obserwują – oświadczył poważnym tonem. – Nie sądziłem, że zejście z drzewa zajmie nam aż tyle czasu. – Popatrzył z wyrzutem na podnoszącego się z kolan kupca.

Powietrze zafurczało, to orzeł przeleciał nisko nad ich głowami, wydał z siebie głośny ostrzegawczy świergot. Arto zachowywał się tak, jakby chciał przegonić intruzów. Obcy tymczasem pozostali w ukryciu i przyglądali im

się uważnie poprzez gęste zarośla. Całkowicie zignorowali zachowanie ptaka, za to z dużym zainteresowaniem śledzili bezprecedensową w ich mniemaniu walkę grubasa z przyciąganiem ziemskim. Byli uzbrojeni w prymitywne łuki i dmuchawki, służące zapewne do miotania zatrutych strzałek. Dwóch z nich prowadziło ze sobą tygrysy jaskiniowe, co w efekcie zapewniało im zdecydowaną przewagę taktyczną nad trójką intruzów. Nidro wyczuwał wyraźnie więź obcych magów ze zwierzętami, tak jak zapewne oni wyczuwali jego. Utknęli więc pod drzewem przyparci do pnia, skąd przesuwali czujnym wzrokiem po okolicznych zaroślach, lecz mimo szczerych chęci nie udało się im dostrzec choćby najmniejszego ruchu. Nidro postanowił przerwać przeciągającą się ciszę i przemówił donośnie we Wspólnym języku. Zawołał do kępy krzaków i roślin znajdujących się bezpośrednio przed nimi:

– Wiem, że tam jesteście. Nie mamy złych zamiarów, chcemy jedynie dostać się do rzeki.

– Możesz ich uśpić? – szepnęła konfidentycznie Sena.

– Są za daleko – odpowiedział jej równie skrycie.

– No to mamy przesrane.

Nagle jednostronną ciszę przerwał świst powietrza. Nidro zareagował błyskawicznie. Szybkim ruchem wyjął maczetę zza paska i działając instynktownie, odbił ostrzem cztery zatrute strzałki lecące prosto w niego i Senę. Nie zauważył jednak, jak piąty pocisk trafił Temu prosto w pośladek. Handlarz zaryczał jak łoś i zwałił się nieprzytomny na ziemię niczym wół trafiony włócznią prosto w serce. Obcy, widząc, że dwójka przybyszy wyszła z zasadzki bez szwanku, zdecydowali się zmienić swój modus operandi i zaczęli wychodzić z ukrycia. Jako pierwszy ukazał im się szczupły mężczyzna w sile wieku. Miał jasną, niemal białą skórę, do tego długie niebieskie włosy spięte w gruby warkocz i oczywiście wielkie czarne oczy pozbawione białek, te świdrowały ich na wylot niczym onyksowe guziki przyszyte do twarzy lalki. Ubrany był w coś, co przypominało skórzaną spodniczkę do kolan, ponadto w ręce trzymał kostur, na którym wisiały połapane cienkimi sznurkami różnej długości kolorowe pióra.

– Witajcie, Brudne Włosy! – powiedział donośnym głosem obcy we Wspólnym języku. – Jestem Tyba. Ja znać wasza mowa i umieć dużo słowa. Wy musicie iść za mną, do Ludu. – Ręką wskazał im kępę krzaków rosnącą nieopodal. A następnie, nie czekając na odpowiedź z ich strony, ruszył energicznie we wskazanym przez siebie kierunku.

– Gdzie? – spytała zaskoczona Sena, lecz jej pytanie trafiło w pustkę, gdyż obcy niczym zjawa rozpułynał się w listowiu.

Sena i Nidro wymienili zaskoczone spojrzenia.

– Ja znać wasza mowa – powtórzyła z niedowierzaniem, parodiując przy tym artykulację obcego.

Za ich plecami pojawili się kolejni tubylcy. Ci mieli co prawda opuszczoną broń, jednak Nidro nie miał żadnych złudzeń, że obserwują ich uważnie. Kilku z nich chwyciło za linę, porzuconą obok drzewa, i przywiązało nią Temu za nogi i ręce do długiego pala. Sena najpierw obserwowała ich zmagania, dopiero potem zaczęła je komentować głosem z tych w rodzaju „a nie mówiłam”.

– Zobacz, upolowali tłuszciocha, pewnie całą wioskę nim nakarmią. Wiesz, a sam głosował za tym, aby stać się pierwszym daniem w menu. Teraz dopiero będzie sobie zwiedzał, odkrywca jeden od siedmiu boleści, podróżując po jelitach tych dzikusów. – Sena wyładowała całą swą frustrację na nieprzytomnym kompanie. W końcu, gdyby tak głupio nie zagłosował, nie byłoby ich tutaj.

Obcy chcieli najpierw podnieść kupca we dwójkę. A gdy to się nie udało, spróbowali w czwórkę. Ruszyli jednak dopiero wtedy, gdy złapali go w sześciu, i to i tak z wyraźnym trudem.

„Ten, co go trafił tą strzałką, pewnie sam pluje sobie w brodę” – myślał Nidro, obserwując ich zmagania.

W tym momencie z zarośli wyłoniło się dwóch magów w eskorcie bojowych tygrysów. Bestie miały rozmiar małego konia i kły jak kościane miecze. To były istne maszynki do zabijania.

– To po nas – wyszeptała przez zaciśnięte gardło. – Co robimy? – zapytała z nieskrywany strachem w oczach.

– Na ucieczkę jest trochę za późno, a walka to ostateczność. Dlatego nie widzę innego wyjścia, jak tylko iść za nimi.

– W takim razie prowadź. – Wskazała ręką kępę krzaków, w miejscu gdzie zniknął obcy. Nidro minimalnie się zawahał, lecz w końcu ruszył we wskazanym kierunku.

– Chodź, chodź – nawoływały krzaki przed nimi.

Przecisnęli się przez zarośla, gdzie czekał na nich Tyba. Sena dostrzegła w tym swoją szansę i podeszła prosto do niego.

– Co z nami zrobicie? – zapytała, zanim ponownie zniknął jej z oczu.

– Ja was prowadzić do wódz wodzów Soma. Wy przeżyć w las i mieć ze sobą swój wódz. – Pokazał palcem Nidro. – My zobaczyć, czy on przejść próba. Wódz wodzów zdecydować. A jeśli on dzielny, wy dołączyć do plemię. Taki zwyczaj, tak trzeba. Ale jeśli on zginąć, wy musieć wybrać nowy wódz. A wtedy wy pójść na żer dla tygrys i lulu. Taki zwyczaj, tak trzeba.

Sena spojrzała z wyrzutem na maga.

– A nie mówiłam, że zeżrą nas tygrysy albo to ich lulu, cokolwiek to jest. Mam nadzieję, że przyszedł ci do głowy jakiś sensowny plan, jak nas z tego wszystkiego wyciągnąć? – W duchu liczyła na jakieś słowa pocieszenia, ale Nidro jedynie bezradnie pokręcił głową. – No ładnie! I właśnie tak jest z facetami. Nie słuchają, jak im się coś tłumaczy. A potem się dziwią, że z ich wspaniałych planów wychodzi jedno wielkie gówno.

– Popatrz na to z tej strony – przerwał jej natchnioną egzortę mag. – Nawiazaliśmy właśnie pierwszy kontakt z obcą rasą. Co więcej, oni mówią we Wspólnym. A przynajmniej próbują mówić – dodał pośpiesznie. – Temu wreszcie nas nie spowalnia, a obcy sami niosą go przez dżunglę. – Rzucił okiem na uginających się pod ciężarem handlarza tragarzy, tamci mieli marsowe miny i z mozołem ledwo podążali ich śladem. – W dodatku wszystko wskazuje na to, że poruszamy się w dobrym kierunku. Dlatego uważam, że zawsze mogło być gorzej.

– Też mi się znalazł urodzony optymista. Oni nas chcą rzucić na pożarcie tygrysom, a ty twierdzisz, że mogło być gorzej? I jeszcze to lulu, nawet nie chcę wiedzieć, co to takiego.

– Jak na razie uważam, że idzie nam całkiem przyzwoicie. I chyba właśnie odkryliśmy, gdzie się podziiali ci wszyscy cesarscy badacze, o których mówił Temu. Skoro obcy mówią we Wspólnym, to znaczy, że ktoś z tych ekspedycji przeżył tu na tyle długo, by nauczyć ich naszej mowy. A to moim zdaniem bardzo dobrze rokuje na przyszłość.

– Oj tak, moje rokowania na przyszłość od dłuższego czasu pozostają bez zmian – stwierdziła gorzko Sena, przedzierając się przez kolejną kępę krzaków.

Las nagle się skończył i ustąpił miejsca szarym skałom. Nidro maszerował wraz z innymi, co nie przeszkadzało mu jednocześnie obserwować wioskę z lotu ptaka.

– Jesteśmy prawie na miejscu – oznajmił towarzyszce nieobecny głos. – Tam jest coś w rodzaju areny. Takie duże zagłębienie w skale, wokół niego stoi mnóstwo tubylców. Na arenie leżą jakieś ciała, tak, to na pewno ciała obcych. Jest ich tam bez liku, i mnóstwo krwi, mnóstwo – opowiadał jej to zupełnie bezwiednie.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo potrzebowałam tych słów pocieszenia – skomentowała dziewczyna i z dezaprobatą pokręciła głową.

Gdy weszli do wioski, wokół nich wyroiły się żółte chaty. Zbudowane głównie z wikliny i gałęzi przypominały podwójne jajka połączone szerokim korytarzem. Wioska zdawała się zupełnie wymarła, nigdzie nie było widać żywego ducha. To jednak miało się wkrótce zmienić. W oddali wyraźnie słychać było krzyki rozentuzjasmowanego tłumu. W miarę jak zbliżali się do skał, odgłos wrzawy narastał miarowo.

– Czy to jest ta arena? Co oni tam robią? – pytała zaintrygowana Sena, choć sama nie była pewna, czy chce poznać odpowiedź.

– Nie chcesz wiedzieć – potwierdził jej obawy Nidro. – Właśnie wielki tygrys jaskiniowy rozszarpał trzech takich obcych na kawałki.

– Jesteśmy zgubieni. Ja wiedziałam, że tak to się skończy – biadoliła załamującym się głosem.

Przed nimi wyrosła ściana obcych, a niebieskowłose istoty znajdowały się dosłownie wszędzie. Były ich tu całe setki, a może nawet tysiące, trudno ocenić ich liczbę, przeciskając się przez zbitą ciżbę. Tyba najwyraźniej nie

zważał na ścisk, bo prowadził ich dokładnie w sam środek tłumu. Z ledwością przedzierali się naprzód i zdawać by się mogło, że zaraz utkną tu na dobre. Mijani obcy przyglądali im się uważnie, ale ich twarze nie wyrażały żadnych emocji.

– Czekać tu! – rozkazał Tyba, zanim zniknął gdzieś w kłębowisku postaci.

– Czekać tu – powtórzyła po nim Sena. Całkiem dobrze naśladowała jego sposób mówienia.

Sześciu tragarzy niosących Temu jakoś dotarło tu za nimi. Byli zupełnie wykończeni. Z ulgą porzucili związanego jak półtuszę wieprzową nieprzytomnego kupca na ziemi. Tłum wokół nich zaryczał dziko, a u Seny ciekawość wzięła górę nad zdrowym rozsądkiem. Dziewczyna całkowicie zignorowała przykazanie Tyby i zaczęła się przeciskać przez obcych w stronę centrum wydarzeń. Chciała się przekonać na własne oczy, co wywołało takie poruszenie u miejscowych. Nidro przepychał się za nią, nie chcąc jej stracić z oczu. Gdy dotarła do głazu pełniącego tu funkcję poręczy, ujrzała jajowatą nieckę w skale. Zagłębienie miało jakieś dziesięć kroków głębokości i trzydzieści długości. Wszędzie wokół tej naturalnej areny na skalnych półkach tłoczyli się obcy. Oglądali coś z fascynacją niczym widzowie w teatrze, a ich spojrzenia skupiały się w jednym konkretnym punkcie. Sena, idąc za ich przykładem, nieopatrznie spojrzała w dół. Koniecznie chciała sprawdzić, co działo się na arenie. Kiedy wychyliła głowę, od razu pożałowała swej decyzji. To, co ujrzała, zmroziło jej krew w żyłach. Stała zszokowana ze wzrokiem utkwionym w stertę wypatroszonych ciał, z wnętrza których ospale sączyła się na boki rubinowa krew. Czerwona stróżka ściekała do niewielkiego zagłębienia pośrodku areny. W pierwszej chwili dziewczyna nie bardzo pojmowała, na co tak naprawdę patrzy. Jej sparaliżowany umysł nie był w stanie poprawnie sklasyfikować tego widoku. I dopiero po dłuższej chwili znalazła w tym obrazie rzezi jakiś wspólny punkt odniesienia. Tym punktem okazał się być niski obcy, odziany wyłącznie w przepaskę biodrową, uwięziony w rogu kamiennej niecki. Stał zgarbiony na ugiętych nogach, a w obu dłoniach trzymał drewniany kostur. Od czasu do czasu machał nim niezdarnie przed monstrualną paszczą tygrysa szablozębnego. Z uwagi na ich wzajemne proporcje odnosiło się

wrażenie, że obcy proponuje bestii wykałaczkę do zębów. Kiedy Sena przepchała się odrobinę bliżej, ujrzała coś jeszcze. Coś, co dobiło ją zupełnie. Zaledwie kilka kroków dalej siedziała, przyciskając kolana do brody, mała postać i chwytając się obiema rękami za głowę. Tak, to była drobna dziewczynka, jej długie chabrowe włosy spływały w nieładzie po całej twarzy. Mogła mieć może czternaście lat, jeśli przyjąć tu ludzkie kryteria. W tamtej chwili kulila się zalękniona za swoim obrońcą. Tygrys natomiast chodził czujnie w tę i z powrotem, nie spuszczając z nich wzroku ani na moment. Był wyraźnie rozjuszony, a jego długie kły całe zbroczone gęstą posoką zapowiadały rychłą śmierć. W pewnym momencie zwierzę skoczyło na obcego i jednym, ale za to potężnym ruchem łapy powaliło go na ziemię. W powietrze chlusnęła gorąca krew z rany na szyi i przedramieniu. Bestia złapała ofiarę zębami za nogę i wywlekła ją za sobą na środek areny. Obcy musiał umrzeć zaraz po tym, jak drapieżnik go zaatakował. Najwyraźniej stracił zbyt wiele krwi z odniesionych ran, bo kiedy zwierzę ciągnął go po kamieniach, on się w ogóle nie ruszał. Tygrys zaczął szarpać i rozwlekać dokoła ciało obcego, w tym celu energicznie machał głową na boki. Jego nagła śmierć sprawiła, że ostatnim żywym aktorem tego makabrycznego przedstawienia została wystraszona dziewczynka. Wyglądała na załamaną, do tego wciąż kulila się z przerażenia w rogu sceny. Gdy do Seny dotarło w końcu, na co tak naprawdę patrzy, kolana się pod nią ugięły. Tłum natomiast czekał w napięciu i oglądał z zapartym tchem przedstawienie grozy, w którym to tygrys jaskiniowy z apetytem pożerał zmasakrowane ciało obcego. Wtedy wydarzyło się coś niespodziewanego. Dziewczynka wstała powoli. Rozejrzała się oszołomiona. Jej oczy prześliznęły się po rozrzuconych szczątkach, jakby czegoś wśród nich szukała. Nagle jej wzrok zatrzymał się na kiju leżącym nieopodal w kałuży krwi. Robiąc małe kroczki, podeszła i podniosła z ziemi umazany posoką kostur. Ten sam, którym jeszcze niedawno próbował ich oboje bronić pożerany właśnie obcy. Sena patrzyła na to z przerażeniem w oczach. Cała ta scena wymykała się pojmowaniu przygniecionego nią rozumu.

– Co ona robi? – powiedziała trzęsącym się głosem.

Dziewczynka ujęła kostur w obie dłonie i powoli zaczęła zachodzić tygrysa od tyłu. Ten początkowo nie zwracał na nią najmniejszej uwagi, całkowicie pochłonięty jedzeniem. W pewnym momencie drapieżnik odwrócił się gwałtownie i spojrzał dokładnie w stronę dziewczynki. Czuć było, że coś się zmieniło, ponieważ dziki kot patrzył teraz dziecku prosto w oczy. Przez jakiś czas obserwowali się uważnie nawzajem. Potem dziewczynka upadła na ziemię, tracąc przytomność, jak gdyby ktoś przeciął podtrzymujące ją niewidzialne sznurki. Tygrys skoczył w jej stronę i dwoma długimi susami dopadł do wątlęgo dziecka. Sena z przejęcia odwróciła głowę, wtuliła zapłakaną twarz w ramiona maga.

– Nie mogę na to patrzeć – załkała. – Oni zabili tę małą dziewczynkę. – Coraz mocniej wtulała się w niego, a jej szczupłym ciałem targała prawdziwa rozpacz. I choć zamknęła oczy, wciąż widziała przed sobą rozszarpane szczątki obcych, którzy od wewnątrz wyglądali tak bardzo podobnie do ludzi. Świadczyła o tym choćby krew w kolorze kwitnących maków, wolno wyciekająca z rozszarpanych wnętrzności.

– Spokojnie – odezwał się łagodnie, kiedy ocierał dłonią łzy z jej twarzy. Przytulił ją delikatnie do siebie. – Dziewczynka jest cała i raczej nic jej nie będzie – dodał kojąco.

Sena odwróciła się gwałtownie w stronę areny. Nie mogła uwierzyć w jego słowa, a mimo to z nadzieją w sercu patrzyła na pobojuwisko. Okazało się, że Nidro mówił prawdę. Dostrzegła oszołomiona, jak wielki tygrys z czułością liże dziewczynkę po twarzy. Ta wciąż leżała na kamieniach i powoli odzyskiwała przytomność.

– Ocalała!

Sena zakryła usta dłońmi z niedowierzaniem. Na widowni tymczasem rozpętało się prawdziwe pandemonium. Jedni obcy wyli jak wilki, inni pohukiwali basowo. Skakali w miejscu i klepali się nawzajem dłońmi po ramionach. Zapanowała grupowa histeria radości. Dwa poziomy pod nimi otwarto drewnianą klapę, za nią znajdowało się wąskie przejście, którędy grupka tubylców zaczęła wdzierać się gęsiego do środka areny. Co dziwne, w ogóle nie przejmowali się obecnością tygrysa, mimo że zaledwie chwilę wcześniej on sam rozszarpał na strzępy półtora tuzina ich pobratymców.

Zamiast tego przybysze zaczęli krząć się po pobojuwisku, skąd wyciągali truchła zabitych i wrzucali je do wiklinowych koszy, z kolei te po zapełnieniu regularnie znikają za drewnianą klapą. Najwidoczniej przygotowywano arenę na kolejne widowisko. Do klęczącej dziewczynki podbiegło kilka postaci. Obcy złapali ją wprawnie za ręce i wyprowadzili na zewnątrz. Tygrys, jak gdyby nigdy nic, ruszył ochoczo za nimi. Niedługo po tym wrócił do nich Tyba, był cały rozpromieniony.

– Wielki dzień, wielkie święto! – wykrzyczał uradowany. – Plemię Osotuchu mieć nowy wódz. – Tu wskazał wynoszoną dziewczynkę. – Osotuchu być małe plemię i mieć jeden, co mówić do tygrys. Więc gdy on umrzeć, oni musieć przejść próba, by wybrać nowy.

– A gdyby tygrys zjadł ich wszystkich? – spytała Sena z mieszaniną wściekłości i niedowierzania w głosie.

– No, tak czasem być. Wtedy całe plemię iść na żer dla tygrys. Słabe plemię, a tygrys też musieć jeść – dodał, jakby to miało jej wszystko wyjaśnić.

Najdziwniejsze było jednak to, że opowiadał im o tym z taką lekkością w głosie, jakby opisywał, co jego zdaniem przypomina ta pierzasta chmurka na niebie.

„Oni są autentycznie szczęśliwi” – zauważyła Sena z jakąś wewnętrzną odrazą. Nie mogła uwierzyć w to wszystko, czego stała się świadkiem. Zabawa trwała w najlepsze, tak jakby właśnie nie wymordowano tylu bezbronnych istot.

– Teraz przynajmniej wiemy, co na nas tu czeka. Rozumiesz coś z tego? – zwróciła się do maga tak, by Tyba jej nie usłyszał.

– Podejrzewam, że oni w ten sposób szukają tych, co mają dar wiązania się ze zwierzęciem.

– Taki jak twój?

– Tak, ten sam. Ale są inne sposoby na wytworzenie więzi i nie trzeba przy tym wymordować całej wioski. Ja na przykład wychowywałem Arto od pisklaka i nasza więź powstawała naturalnie. Chodzi o to, by wytworzyć emocjonalny pomost między zwierzęciem a zaklinaczem. Wtedy pod warunkiem, że ktoś posiada w sobie dar, to on się aktywuje. Najwidoczniej

relacja łowcy z ofiarą też może aktywować wiązanie. W sumie nie powinno mnie to dziwić, w końcu są to równie silne emocje. Doświadczony zaklinacz może utworzyć więź z każdym zwierzęciem, o ile nie jest ono związane z kimś innym. Jednak za pierwszym razem nie jest to wcale takie proste.

– Ty, chodź – przerwał jego rozważania Tyba, obcy kosturem wskazał na Nidro. – Ty wódz Brudnych Włosów.

Nidro, chociaż nie mógł wiedzieć, o co konkretnie chodzi, ruszył niepewnie za nim, tym samym zostawił Senę samą na widowni. Szedł za przewodnikiem w dół po nieforemnych kamiennych stopniach, prowadzących wprost do drewnianej klapy. Przejście znajdowało się w naturalnej szczelinie skalnej. Kierowali się niechybnie na arenę. Tyba pociągnął go za sobą na drugą stronę wąskiego gardła. A kiedy wyszli wreszcie na sam środek niecki, czarne oczy obcych symultanicznie skupiły się na nich. Z tego miejsca Nidro miał znacznie lepszy widok na otaczający go tłum. Mógł wreszcie wypatrzeć wodza wodzów, rozpartego dostojnie na wysokiej skalnej półce górującej nad okolicą. Wydawał się wielce uradowany. Wskazał na niego palcem, tuż przed tym nim przemówił we Wspólnym języku:

– Jestem Soma, wódz wodzów Ludu. – Pokazał ruchem ręki na zgromadzonych dokoła obcych. Był żylastym mężczyzną po czterdziestce, jeśli przyjąć tu ludzkie kryteria. Wyglądał na kogoś o głowę niższego od Nidro, a szafirowe włosy spiął w długi do pasa warkocz. – Ja wiem, że ty jesteś jednym z ptakiem – przemówił ponownie Soma. Nie ulegało wątpliwości, że wódz zdecydowanie lepiej posługiwał się Wspólnym niż Tyba. – Nasz zwyczaj pozwala, aby wódz obcego plemienia mógł dostąpić próby. Jeśli ty pokonasz wojownika, a następnie zwyciężysz lulu, zostaniesz uznany za jednego z nas. Gdybyś pomyślnie przeszedł obie próby, cały twój klan zostanie przyjęty do Ludu. Ja jednak wolę, abyś przegrał.

Jak się okazało, szczerłość wodza nie miała sobie równych.

– Wtedy ty i twoi ludzie nie będziecie mieli tu żadnych praw. Jednak nie martw się, brudnowłosy. – W głosie wodza pobrzmiwała fałszywa troska. – Ponieważ ty rozmawiasz z ptakiem, ja chętnie przyjmę was do swojego klanu. Tyba powiedział mi, że jesteś zręcznym wojownikiem, a mnie

przydałby się dobry zwiadowca. Dlatego od razu ci zdradzę, że twoja próba będzie bardzo trudna. Chyba że wolisz określenie „niewykonalna” – mówiąc to, pokazał mu garnitur białych zębów. – Podczas walki z Tehu radzę ci się poddać. Zrozum mnie, brudnowłoso. Jeśli nawet jakimś cudem zdołałbyś go pokonać, i tak nie przeżyjesz spotkania z lulu. A jeśli ty zginiesz, wtedy cały twój klan czeka próba tygrysa. Będą przecież musieli wyłonić nowego wodza. – Jego słowom towarzyszył ten sam szeroki uśmiech, jaki widać czasem na twarzy cesarskiego kata. – Poddaj się, brudnowłoso, dobrze ci radzę, jedynie w taki sposób zdołasz uratować swój klan.

„Ciekawy eufemizm” – pomyślał Nidro. „Tutaj na pożarcie całej wioski przez tygrysa, poprzedzone krwawą łaźnią, mówi się po prostu wybory nowego wodza”.

– Możesz też odstąpić od próby i poddać się od razu. Ja obiecuję, że z radością przygarnę twoje plemię. Co ty na to, wodzu Brudnych Włosów? – oznajmił, patrząc mu prosto w oczy. – Jaka jest twoja decyzja? – zapytał uroczyście.

– Chcę się poddać próbie – obwieścił donośnie Nidro.

Ktoś najwidoczniej przetłumaczył jego słowa pozostałym, ponieważ wkrótce na widowni zapanowała wielka wrzawa. Niemal tak wielka, jak wtedy, gdy dziewczynka nawiązała więź z tygrysem.

– Niech i tak będzie! – odparł Soma, splatając ręce razem. W jego głosie słychać było rozczarowanie. Najwidoczniej sam nie zaliczał się do entuzjastów tego starcia. – Twoim pierwszym rywalem będzie wielki wojownik Tehu! To dopiero pierwsza próba, jeśli przejdiesz ją pomyślnie, będziesz mógł się zmierzyć z lulu, słońcem i radością tej wioski – zapowiedział wódz wodzów z emfazą.

Jego głos wciąż jeszcze wybrzmiewał, kiedy w szczelinie pojawił się dobrze zbudowany obcy, wyglądał na jakieś dwadzieścia parę lat. Nidro zauważył, że są podobnego wzrostu. Obcy pomimo potężnej muskulatury poruszał się zwinnie jak kot. Gdy precyzyjnie się przez szczelinę, zaczął podskakiwać w miejscu, aby rozgrzać się przed nadchodzącą walką. Podobnie Nidro robił podskoki i skłony, wymachiwał rękami nad głową. Skoro miał czas, by się przygotować, postanowił to wykorzystać. Zwłaszcza

że od tego pojedynku zależało życie ich całej trójki. Tehu nosił jadeitowe bransolety na nadgarstkach, tak ładząco podobne do ich artefaktu. Na jego rękach i nogach widniały niebieskie tatuaże, połączone w skomplikowane spirale. Miał wygolone włosy po obu stronach głowy, a na plecach spoczywał mu długi szmaragdowy warkocz. Jeden z obcych podszedł do niego i podał mu do ręki coś, co z daleka wyglądało jak mały zielony liść. Wojownik przyjął go i bez namysłu wsadził do ust. Dopiero wtedy wyszedł na środek, aby stanąć tuż obok maga. Energicznie pokręcił głową na boki. Zarówno jego postawa, jak i zachowanie zdradzały niezachwianą pewność wygranej. Stanęli naprzeciw siebie, a wtedy Soma ponownie zabrał głos:

– Walkę kończy śmierć, niezdolność do dalszej walki lub poddanie się – wyraźnie podkreślił ostatnie słowo i wymownie spojrzał Nidro w oczy, dawał mu tym samym jasną wskazówkę, jak powinien postąpić.

Drewniana kłapa zamknęła się z trzaskiem, a na arenie pozostali wyłącznie oni dwaj. Wódz wodzów uroczyście skinął dłonią na znak, by zaczęli pojedynek. Nidro uklonił się przed przeciwnikiem z szacunkiem, po czym zaatakował jako pierwszy. Chciał w tych początkowych chwilach starcia przede wszystkim wyczuć Tehu. Dlatego doskoczył do niego i wyprowadził kilka szybkich ciosów w głowę i tors. Jego ręce poruszały się tak szybko, że ludzkie oko ledwo wychwytywało pojedyncze uderzenia. Jakież było więc jego zdziwienie, gdy wojownik obcych z przesadną wręcz łatwością skutecznie blokował wszystkie jego ciosy. Co gorsza, sam poruszał się z jeszcze większą prędkością niż atakujący go mag. Nidro odskoczył od przeciwnika zupełnie zaskoczony. Dowiedział się tego, czego chciał. Zrozumiał właśnie, że to nie będzie łatwa walka. Pocieszał się jedynie tym, że Tehu, pomimo niesamowitej szybkości, nie pokazał jak dotąd znajomości technik sztuk walki, a jego ruchy wyglądały na dość chaotyczne.

Nidro starał się jak najdłużej utrzymywać bezpieczny dystans od przeciwnika, by dokładnie przemyśleć strategię walki. Przez chwilę obydwaj jedynie obserwowali się nawzajem. Każdy z nich poruszał się miękko na ugiętych nogach, gotowy do natychmiastowej reakcji. W pewnym momencie Nidro znów zaatakował. Wyskoczył do przodu, ale tym razem zadał mocne kopnięcie w splot słoneczny. Obcy uchylił się bez trudu,

jednocześnie sam wyprowadził szybką serię uderzeń prosto w głowę i korpus maga, który blokował je z widocznym trudem. Nidro natomiast, w odróżnieniu od Tehu, działał instynktownie i potrafił powstrzymać ciosy bez udziału świadomości. Gdy jednak został osaczony przez nacierającego z ogromną szybkością Tehu, postanowił odskoczyć od wojownika, a kiedy oddalił się od niego na optymalny dystans, skontrował atak mocnym kopnięciem z półobrotu. Jego noga w szaleńczym pędzie przeleciała tuż nad głową uchylającego się w ostatniej chwili Tehu. Wojownik najwyraźniej nie chciał pozostawać mu dłużny, ponieważ kopnął w przód wyprostowaną nogą, zamierzał trafić prosto w brzuch chłopaka. Ale ten umiejętnie zbił kopnięcie prawą ręką i jednocześnie zrobił szybki wykrok w stronę przeciwnika. Chciał zmniejszyć dzielący ich dystans i znaleźć się bezpośrednio za wysuniętą do przodu nogą rywala. Mag poruszał się płynnie, z dużą gracją, w dodatku wszystkie jego ruchy były dobrze przemyślane i skoordynowane. Teraz miał przed sobą odsłoniętego rywala. Wykorzystał okazję, wyprowadził szybkie kopnięcie po łuku, prosto w nogę zaskoczonego wojownika. Jego twarda piszczel wbiła się w samo zgięcie kolana, czym zmusił Tehu do klęknienia. W tym czasie Nidro wyciągnął przed siebie obie ręce, chwycił oszołomionego wojownika za głowę. Jednym szybkim ruchem przyciągnął ją do siebie i wyskoczył całym ciałem w przód tak, by uderzyć wysoko uniesionym kolaniem. Jego noga wbiła się z impetem prosto w nieosłoniętą twarz obcego. Nidro usłyszał charakterystyczny chrobot łamanego nosa, a oblicze Tehu momentalnie zalało się juchą. Tłum na arenie zamarł w oczekiwaniu, gdy wojownik otrzymał potężne kopnięcie w głowę. Soma szeroko otworzył usta, zamieniając zdumioną twarz w karmnik dla ptaków. Tehu klęczał przed magiem w stuporze, wyraźnie nie wiedział, co się dzieje. Jego misterny plan, zakładający szybkie zwycięstwo nad przeciwnikiem, pożerał właśnie krokodur na jego oczach.

„Nie tak miała wyglądać ta walka” – myślał upokorzony wojownik.

Mag tymczasem, dla lepszego efektu, postanowił powtórzyć uderzenie kolaniem. Liczył na to, że ten cios może ostatecznie zakończyć walkę. Lecz wtedy Tehu nieoczekiwanie zasłonił się łokciem, zrobił to przykładając

prawą pięść do ciała. Następnie wyrwał się ze stalowych objęć chłopaka, i w szybkim zrywie odskoczył na bezpieczną odległość.

„Jak to możliwe, że po takim uderzeniu on dalej stoi na nogach?” – zastanawiał się zdumiony mag. „Nikt po takim ciosie nie miał prawa tak szybko się pozbierać”.

To jednak nie był najlepszy moment na tego typu rozmyślenia. Wciąż należało wykorzystać chwilową przewagę, jaką uzyskał, ogłuszywszy rywala. Podniósł wysoko wyprostowaną nogę przed siebie, najwyraźniej zamierzał spuścić ją prosto na głowę przeciwnika, zrobił w tym celu szybki wypad do przodu. Cios był celny i mocny, ale Tehu zareagował bezbłędnie i zablokował go wyciągniętą do przodu wygiętą w łuk ręką. Skutek był taki, że noga chłopaka jedynie zsunęła się niegroźnie po zastawie. Nidro niezrażony chwilowym impasem zaatakował ponownie, wyprowadził szybką serię ciosów w okolice nerek. Cztery potężne uderzenia dosięgnęły celu. Tehu przyjął je wszystkie na ciało, krzywiąc jedynie usta w grymasie, jakby ten atak nie zrobił na nim większego wrażenia.

„On jest niesamowicie odporny na ból. Nawet coś za bardzo, jak na mój gust” – zastanawiał się oszołomiony Nidro. „Zaczynam dochodzić do wniosku, że ta walka nie jest tak do końca uczciwa”.

Spojrzał z podejrzliwością na bransoletki wojownika.

„Coś mi mówi, że to nie są wyłącznie plemienne ozdoby”.

Kiedy chłopak analizował w myślach sytuację, Tehu przeszedł do kontrataku. Wyprowadził długą serię precyzyjnie wymierzonych ciosów, wszystkie przechodziły o włos od głowy maga. Jego ruchy były nieprawdopodobnie wręcz szybkie. Nidro nie miał innego wyjścia, jak odskoczyć na bezpieczną odległość. I tak zrobił to dosłownie w ostatniej chwili. Ponownie stanęli naprzeciw siebie i jak na samym początku uważnie obserwowali się nawzajem. Po ich zaciętych minach widać było, że przed tą walką każdy z nich oczekiwał czegoś zupełnie innego. Wyraźnie starcie nie układało się po myśli żadnego z walczących. Ponownie zwarli się ze sobą. Tym razem zaatakował Tehu. Doskoczył do maga znienacka i spróbował chwycić go oburącz za ramię. Nidro nie dał się złapać i zanim dosięgnęły go wyciągnięte ramiona wojownika, on sam był już w parterze. Oparł się na

jednej ręce i z takiej pozycji zadał dwa szybkie kopnięcia w brzuch. Klęknął na obie nogi i spróbował zaskoczyć przeciwnika płaskim podcięciem z półobrotu. Tehu po przyjęciu dwóch ciosów w brzuch machinalnie odskoczył do tyłu, co w efekcie zupełnie przypadkowo uchroniło go przed zdradliwym podcięciem. Zaciekle starcie trwało nadal, a sposób walki chłopaka o „brudnych włosach” ewidentnie nie pasował obcemu. Nidro, gdy spostrzegł, że Tehu zwiększa dystans, wyskoczył w powietrzu w stronę rywala. Spadł na wojownika z góry, uderzając przy tym naprzemiennie pięściami w jego głowę z zawrotną częstotliwością. Ten jednak w dalszym ciągu z nadludzką szybkością skutecznie unikał ciosów. Tehu, najwyraźniej niepewny, co w tej sytuacji powinien zrobić, ponownie spróbował złapać chłopaka za ręce. Tym razem mu się to udało. Szybkim ruchem pochwycił przeciwnika za lewy nadgarstek, a na jego twarzy pojawił się nieskrępowany wyraz triumfu. Wtedy jednak Nidro zrobił coś dziwnego. Zamiast próbować się wyrwać, czego można by się spodziewać, on przysunął się bliżej rywala i naparł na niego całym ciałem, jednocześnie wsuwając pochwyconą rękę w podbrzusze przeciwnika. Dłoń Tehu wygięła się pod nienaturalnym kątem, a on sam poczuł silny ból w łokciu i przedramieniu. Nie było innego wyjścia – aby uchronić się przed narastającym bólem, Tehu musiał zwolnić chwyt. Wojownik nie miał pojęcia, co się właściwie stało ani jak brudnowłosy tego dokonał. Był za to pewien, że gdyby nie puścił chłopaka, ten w jakiś niezrozumiały sposób zgruchotałby mu rękę.

„Jak mam z nim walczyć?” – zastanawiał się oszołomiony wojownik.

Tehu zawył jak zwierzę, świadomy, że przeciwnik ponownie mu się wymyka. Zaraz też rzucił się z wściekłością do zmasowanego ataku. Uderzał teraz raz za razem, łokciami i kolanami. Jego ciosy były szybkie i mocne, dlatego mag próbował je blokować krótkimi, oszczędnymi ruchami. Uderzenia spadały na niego ze wszystkich stron, jedno po drugim, aż w końcu któryś cios łokciem zahaczył o jego skroń. Mag usłyszał świst powietrza, przyłożył lewą rękę do twarzy i zdaje się, poczuł bardziej, niż zobaczył, że do oka spływa mu krew z rozbitego łuku brwiowego. Na ten widok obcy na widowni odpowiedzieli głośnym westchnięciem. Nidro odruchowo odskoczył do tyłu, by uniknąć kolejnego trafienia. Jeszcze nigdy

w życiu nie widział, aby ktoś poruszał się tak szybko. Na szczęście udało mu się zwiększyć dystans.

– Hai! – krzyknął, gdy wyprowadził szybkie kopnięcie z półobrotu.

Tehu się uchylił, to była jednak wyłącznie zmyłka, ponieważ tuż za pierwszą nogą podążała następna. Szybkie podwójne kopnięcie zupełnie zaskoczyło wojownika, Tehu jeszcze nigdy nie widział, aby ktoś walczył w tak nieprawdopodobny sposób. Mag zawirował jak wstęga dymu, a jego noga z całym impetem dosięgnęła celu i trafiła Tehu prosto w twarz, która plastycznie odskoczyła na bok. Niezwyciężony, wydawałoby się, do tej pory wojownik padł na ziemię, plując krwią. Tłum zawył żałośnie, a potem zamarł. Soma bezradnie rozkładał ręce. Tehu podniósł się z ziemi, ale widać było, że to ostatnie uderzenie mocno go zabiolało. Nidro nie czekał, atakował, zadał kolejne szybkie kopnięcie w głowę. Wojownik i tym razem jakimś cudem zebrał się w sobie. Skrócił dystans do przeciwnika, jednocześnie sam zadał potężny cios w brzuch. Stali teraz zbyt blisko siebie, by kopnięcie maga mogło mu zrobić krzywdę, dlatego Tehu przyjął je na bark, nie zasłoniwszy się nawet. Nidro oberwał za to dużo gorzej, trafiony pięścią prosto w brzuch. Odruchowo wypuścił całe powietrze z płuc, w tym celu napiął mocno przeponę, jednocześnie poczuł, jak impet uderzenia podrywa go do góry. Widownia westchnęła, a Tehu zrozumiał właśnie, że to jest jego szansa. Zaatakował głową, jakby szukał okazji do zakończenia walki. Tym razem to Nidro zgął przytomnie rękę w łokciu, czym zablokował to podstępne uderzenie. Tehu wciąż nacierał, choć po całej twarzy ciekła mu gęsta krew. Kopnięcie kolanem w głowę, zaraz za nim seria uderzeń rękami w tors. I właśnie jeden z takich ciosów przesunął się po gardzie maga, a co gorsza trafił go dokładnie w poprzednio zranione miejsce. Tym razem uderzenie było celne i Nidro zatoczył się lekko do tyłu. Na moment zrobiło mu się ciemno przed oczami, zobaczył mroczki, a na koniec poczuł, jak pot razem z krwią spływają mu do lewego oka. Tehu zawył przeciągle uradowany tak długo wyczekiwanym sukcesem. Nidro tymczasem rozpoczął walkę o każdy następny oddech, w tym celu utrzymywał bezpieczny dystans i wyłącznie skupiał się na unikach, w dodatku robił to dość rozpaczliwie, gdyż ledwo uchodził przed kolejnymi ciosami, kiedy te spadały na niego

z każdej niemal strony. Było widać wyraźnie, że chłopak gra na czas. Z trudem zablokował dwa kolejne uderzenia, zrobił to jednak w bardzo szczególny sposób, gdyż wbił zgięte palce w łokcie napastnika. Tehu, kiedy poczuł silny ból w ramieniu, nieoczekiwanie przerwał atak.

„Nareszcie go czymś zaskoczyłem” – pomyślał Nidro, ciesząc się w duchu z drobnego daru losu.

I zrobił wtedy coś, co wprawiło w zdumienie wszystkich bez wyjątku. Zadał krótkie, zdradliwe uderzenie pięścią prosto w grdykę przeciwnika. Cios był tak szybki, że publiczność zobaczyła jedynie rozmazany powidok ręki chłopaka. Tehu, w jakiś zupełnie niezrozumiały sposób, dosłownie w ostatniej chwili złapał maga za przegub dłoni, czym ochronił się przed kończącym walkę ciosem. Pięść Nidro zawisała w powietrzu o włos od gardła wojownika, a wtedy chłopak błyskawicznie wyprostował palce, by wbiły się zaskakująco mocno we wrażliwe zagłębienie na szyi obcego. Wojownik, kiedy poczuł silny ból, odruchowo puścił chwyt i złapał ręką za obolałe gardło. Nidro wśliznął się pod niego. Chwycił Tehu za wolną rękę i zgięty wpół, przerzucił go przez ramię. Wojownik przeleciał przez niego jak szmaciana lalka i uderzył plecami o skalne podłoże. Tłum stał oniemiały. Nidro nie miał zamiaru zmarnować takiej okazji. Nie dał rywalowi czasu na reakcję, doskoczył do wciąż zdezorientowanego Tehu i zadał mu szybkie, krótkie uderzenie w brodę. Cios był celny i bardzo mocny, a Nidro niemal wpadł w Tehu całym ciałem. Po tym uderzeniu wojownik zwiotczał zupełnie. Jego ręce opadły bezwładnie na boki, a on sam leżał, nie dając znaku życia. Nidro wiedział, że taki cios powaliłby nawet słonia. Chłopak podniósł się na równe nogi, oddychał ciężko. Ta walka porządnie go zmęczyła. Rozejrzał się wokoło i demonstracyjnie omiótł wzrokiem po twarzach oniemiałych obcych. Na arenie zapanowała kompletna cisza zaskoczenia. Z pewnością żaden z miejscowych nie spodziewał się takiego finału.

– Tak! Tak! Tak! – Usłyszał kobiecy głos za plecami. To Sena podskakiwała w miejscu, klaszcząc w dłonie z radości. Nidro wytarł rękawem krew z twarzy i wyzywająco spojrzał na załamanego wodza.

Trochę to trwało, zanim Soma otrząsnął się po walce. Najwyraźniej przetwarzanie nowych faktów przychodziło mu równie wolno, co niechętnie. W końcu wstał i przemówił do Nidro pozornie opanowanym głosem:

– Wspaniałe zwycięstwo – przyznał szczerze zdumiony. – Pokazałeś nam, że jesteś doskonałym wojownikiem. Nie sądziłem, by brudnowłosa kiedykolwiek pokonał naszego Tehu. Jednak widziałem to na własne oczy i muszę uszanować wolę Wielkiego Ducha. W takim razie, jeśli wciąż czujesz się na siłach, przyszedł czas na drugą i ostatnią próbę, a mianowicie pojedynek z lulu na śmierć i życie. Zastanów się jednak dobrze, gdyż wciąż możesz się wycofać. Szkoda, aby tak wspaniały wojownik zginął marną śmiercią.

Obcy na widowni najwidoczniej otrząsnęli się po walce, gdyż zaczęli głośno skandować:

– Lu-lu, lu-lu, lu-lu...

Kiedy nieprzytomny Tehu opuścił arenę, niesiony na rękach współbraci, przez klapę przeszła dwójka miejscowych, ci minęli Nidro jak gdyby nigdy nic, i udali się do drewnianej przegrody zamontowanej, zdawałoby się, bezpośrednio na skalnej ścianie. Sprawnie usunęli kościane rygle z ciężkiej pokrywy, schowali je w specjalnych torbach i wycofali się do szczeliny, zaraz też wyszli na zewnątrz. Masywna przegroda unosiła się powoli, podciągana na niebieskich lianach, za nią znajdowało się wejście do równie ciemnej, co przepastnej jaskini. Wewnątrz groty poruszył się jakiś cień, z początku był to niewyraźny kształt, jednak ten kształt bacznie się mu przyglądał parą lśniących, zielonych ślepi. Chwilę później z mrocznych czeluści na arenę wytoczył się monstrualnej wielkości niebieski wąż. Cielsko gada było tak grube, że mag nie byłby w stanie objąć go rękami. Gadzie oczy wpatrywały się w swoją ofiarę. Wąż zaczął się kłębić, jednocześnie uniósł do góry głowę na jakieś sześć kroków. Rozwarł złowrogo paszczę, by zademonstrować zebranym dwa niezwykle ostre jadowe kły. Z wilgotnej gardzieli wysunął się długi, rozdwojony na końcu język, i zapamiętałe zaczął smagać powietrze. Gadzina syknęła przeciągle, nie ulegało wątpliwości, że szykuje się do ataku.

– O nie – stwierdził bardziej poirytowany niż przejęty Nidro. – Tak to się nie będziemy bawić.

Wąż wyraźnie napiął monstrualne mięśnie. Cofnął głowę, by nabrać rozpędu, a wtedy, ku zaskoczeniu całej widowni, olbrzymi gad, niczym lina rzucona w przepaść, zwałił się z głośnym plaśnięciem na kamienną podłogę. Tłum zamarł przerażony. To, co się właśnie stało, nie dawało się objąć rozumem. Wódz Brudnych Włosów pokonał ich wspaniałego lulu wyłącznie swoim szeptem?

– Czy to wam wystarczy?! – zawołał Nidro, wpatrzony lodowatym spojrzeniem w wodza wodzów. – Czy przeszedłem tę waszą zasraną próbę?! – wołał do nich coraz bardziej wzburzonym głosem. – A, przepraszam. – Rozejrzał się po arenie, najwidoczniej szukał czegoś. – Prawie zapomniałem, że miało być na śmierć i życie – powiedział w iście melodramatycznym stylu.

Zdecydowanym krokiem podszedł do skalnej ściany i podniósł z ziemi drewniany kostur. Ten sam, jakim jeszcze niedawno drobna dziewczynka chciała walczyć z tygrysem. Nidro chwycił kij w obie dłonie, jednocześnie zrobił nim kilka spektakularnych młynków w powietrzu. Stał przy głowie gada i wycelował kijem prosto w zamknięte oko węża. Wziął zamach, lecz wtedy przerażony okrzyk zatrzymał go w pół ruchu.

– Wodzu Brudnych Włosów, zaczekaj! – podjął polubownie Soma, a jego rozedrgany głos bardziej przypominał skrzek.

Nidro mógł przysiąc, że widzi, jak pot spływa mu po twarzy. Soma był wyraźnie zdruzgotany całą tą sytuacją.

– Wygrałeś walkę i jak sam powiedziałeś, masz prawo zarębać naszego lulu – mówił rozpaczliwym tonem. – Ale błagam cię, na Wielkiego Ducha, byś tego nie robił. Lulu jest światłem i szczęściem tej wioski, dlatego w imieniu nas wszystkich – kontynuował i wskazał ręką zgromadzonych – proszę cię, abyś go poniechał – powiedział z nieskrywaną nadzieją w głosie. – Ja, wódz wodzów Soma, obiecuję ci za to moją dozoną wdzięczność oraz wdzięczność nas wszystkich. – Ponownie wskazał zebranych.

Obcy wpatrywali się w niego w niewysłowionym napięciu. Spoglądali to na chłopaka, to znów na węża, a na ich twarzach widać było autentyczne

i równie ostateczne przerażenie.

– To ja jestem winny, że doszło do tej niefortunnej walki – oznajmił ze skrucą Soma. – Dlatego jeśli zrezygnujesz z zabicia lulu, będziesz mógł mnie prosić, o co zechcesz. A ja dam ci wszystko, o ile będzie to w mojej mocy.

Nidro wciąż stał pewnie przy głowie węża z kijem w dłoni. Po raz pierwszy widział, aby coś tak bardzo ich poruszyło. Ci obcy wymykali się jego pojmovaniu. Rzeź współplemieńców była dla nich dziecięcą igraszką. Za to atak na monstrualnych rozmiarów węża jaskiniowego okazał się największą zbrodnią na świecie. Najwyraźniej przekładanie na to społeczeństwo jakiegokolwiek znanej ludziom hierarchii wartości zupełnie mijało się z celem.

„To wszystko jest jakieś chore” – pomyślał skołowany.

W końcu jednak po krótkim wahaniu Nidro odrzucił kij na bok. Soma przyjął ten gest za dobry omen, zaraz też odetchnął z ulgą, zupełnie jakby pierwszy promień nadziei przedarł się przez zachmurzone niebo.

– Powiedz, czego żadasz w zamian za życie wielkiego lulu?

Nidro oddał się na chwilę zwariowanej gonitwie myśli. I wtedy powiedział coś, co zaskoczyło również jego samego, ale słowa te z pewnością wyszły z jego ust:

– Chcę, abyś pozwolił dziewczynce, z której zrobiliście dzisiaj wodza, pójść razem ze mną do kraju Brudnych Włosów. Oczekuję również, że nie każesz jej plemieniu wybierać nowego wodza – dodał pospiesznie, gdy zrozumiał, czym jego prośba skończyłaby się dla niedobitków plemienia Osotuchu.

– Zrobię to wszystko z największą przyjemnością – powiedział szczerze uradowany Soma. Był zachwycony, że obcy prosi go o takie drobiazgi. W tej sytuacji byłby gotów oddać mu swój zaszczytny tytuł, byle tylko uratować węża. Gdyby lulu zginął w tej walce, on sam zostałby uznany odpowiedzialnym jego śmierci. A wówczas jedyną formą odkupienia winy byłaby wyprawa do Świętych Jaskiń po kolejnego lulu. Należy tu dodać, że jest to wyprawa obarczona wysokim czynnikiem ryzyka, i przeważnie kończy się śmiercią, a potem zjedzeniem wszystkich jej uczestników.

Oddanie dziewczynki wraz z tygrysem, a choćby i całego plemienia nie było więc wygórowaną ceną.

– Zgadzam się na twoje warunki! – zawołał Soma niemal nabożnym tonem, w którym pobrzmiwały pierwsze nuty radości.

– Jest jeszcze jedna sprawa – dodał Nidro, czym momentalnie zmasał wyraz triumfu z twarzy wodza. – Chcę, żebyście odprowadzili nas bezpiecznie do miejsca, gdzie rzeka wypływa ze skały, i pomogli nam w zbudowaniu tratwy. Takie jest moje ostatnie żądanie.

Soma, słysząc o jakich błahostkach mowa, ponownie się rozweselił.

– Jeśli taka jest twoja wola, zrobię to wszystko z największą przyjemnością.

– W takim razie ja zostawię wam lulu w spokoju.

Nidro w geście dobrej woli odszedł kilka kroków od węża. Soma zaczął coś szybko tłumaczyć w niezrozumiałym szeleszczącym języku zgromadzonym na widowni obcym. Mówił z pasją, a wszyscy zebrani słuchali go uważnie, jakby każde słowo spijali z jego ust. Kiedy skończył, na powrót zwrócił się do maga.

– Co właściwie zrobiłeś lulu?

– Nic szczególnego, po prostu go uspiłem. W każdej chwili mogę go obudzić i będzie jak nowy.

Nidro wypowiedział zaklęcie, a lulu zaczął powoli odzyskiwać swą przerażającą formę. Ktoś najwidoczniej musiał być związany z wężem, ponieważ olbrzymi gad nie zareagował agresją, zamiast tego ruszył prosto do swojej jaskini posłuszny jak baranek. Chwilę później na arenie ponownie pojawiła się dwójka obcych, wyciągnęli z toreb kościane rygle i zamknęli drewnianą pokrywę za swoim pupilem.

– Ty i twój klan jesteście teraz częścią Ludu – uroczyście oznajmił Soma. – Powiedz mi, wodzu Brudnych Włosów, jak cię zwą?

– Jestem Nidro – odparł dostojnie młodzieniec.

– W takim razie witaj w naszej społeczności, wodzu Nidro. A ja zapraszam ciebie i cały twój klan do mojego ogniska na ucztę dziś wieczorem. Najwyższa pora, abyśmy zakopali siekacze tygrysa pośród korzeni wotywnego drzewa.

Po tych jakże osobliwych słowach Soma wypowiedział kilka zdań w mowie Ludu. Obcy chłonęli jego głos niczym gąbka wodę. A kiedy skończył przemawiać, ożywili się nagle jak wybudzeni ze śpiączki. Zapanowała świąteczna atmosfera, a zgromadzeni wokół areny tubylcy zaczęli spontanicznie śpiewać i tańczyć. Nidro doszedł do wniosku, że całe to przedstawienie ostatecznie dobiegło końca, dlatego niespiesznie ruszył do wyjścia, gdzie po drugiej stronie szczeliny czekał na niego Tyba.

– Jak się nazywa ta dziewczynka, ta co nawiązała więź z tygrysem? – zapytał Nidro, przy czym przezornie pominął kwestię zbrodni dokonanej na jej współplemieńcach.

– Być Kami – odparł z dumą w głosie Tyba.

– Kami, Kami – powtórzył pod nosem mag, jakby od razu chciał wyryć sobie jej imię w pamięci. – Ma piękne brzmienie – zreflektował się. – Czy sądzisz, że będzie chciała odejść razem z nami i zostawić swoich bliskich w wiosce?

– Ty jej pozwolic uratować lulu, a to wielki zaszczyt. Każdy z Ludu oddać życie za lulu. Kami teraz bardzo szczęśliwa, to wielki zaszczyt.

– Aha. – Ta odpowiedź musiała go zadowolić, bo nie zadawał mu więcej pytań. Wtedy nieoczekiwanie podbiegła do niego Sena, szczęście i radość jego klanu, i zupełnie nieprzyzwoicie rzuciła się mu na szyję. W jej figlarnych oczach tańczyła radość wraz z niedowierzaniem, kręcąc się wokół siebie w szaleńczym tańcu.

– Jest mój bohater! – wołała rozanielonym głosem. – Byłeś wspaniały! – wykrzyczała mu prawie do ucha, ciesząc się przy tym jak szczenię. – Nic ci nie jest? – Obejrzała rozciętą skroń chłopaka.

– Nic mi nie będzie, zaraz przyłożę liść i to sobie wyleczę. A jak tam Temu? – zapytał, gdy jej gibka postać oderwała się od niego.

– Jeszcze jest nieprzytomny. Zanieśli go do chaty wodza i mają go ocucić. Tak mnie przynajmniej zapewniał ten Tyba. Wy teraz Lud, wielka radość – powiedziała, naśladując osobliwy sposób mówienia obcego. – Chodź! – Pociągnęła go za rękę, a uśmiech nie schodził jej z twarzy.

– Dokąd?

– Zaraz zobaczysz. – Biegła cała w skowronkach, ciągnąc go za sobą. – Powiedzieli mi, że tu są gorące źródła. – Wskazała wolną ręką przed siebie. – Wypływają z tych skał do małych sadzawek. No chodź, brudasie, marzę o tym, by się wreszcie wykąpać.

Nidro dał się potulnie prowadzić niemal do samej termy. Szedł za dziewczyną przyciągany samą siłą jej uśmiechu. Ponieważ wciąż czuł pulsujący ból w skroni, gdy dotarli na miejsce, puścił jej dłoń i sięgnął po liść do torby z lekami. Sena tymczasem rzuciła się biegiem w stronę skał, jakby obcy mieli jej zaraz spuścić wodę z sadzawki. Zobaczył jeszcze, jak zrzuca z siebie ubranie i naga wskakuje do parującej wody. On tymczasem wyjął z torby nieduży liść i przyłożył go sobie w zranione miejsce. Następnie wypowiedział zaklęcie i z ulgą poczuł, jak ból odchodzi w zapomnienie. Krwawienie ustąpiło od razu. Zwinął torbę w rulon i z konsternacją spojrzał na kąpiącą się dziewczynę.

– No chodź! – zawołała, uśmiechając się przewrotnie, jednocześnie bez troski rozchlapała wodę rękami. – Na co czekasz?

– Chyba wykąpię się po tobie – stwierdził onieśmielony jej swobodnym zachowaniem.

– Nie bądź niemądry i wskakuj do środka. Przecież wszyscy śmierdzimy po tej przeprawie przez las. No chodź, brudasie. Chyba taki dzielny wojownik nie boi się kąpieli z bezbronną dziewczyną.

Nidro zrezygnowany machnął w końcu ręką i z ociąganiem zaczął się rozbierać.

– No ściągnij te spodnie. – Dziewczyna odwróciła wzrok, by go trochę ośmielić.

Nidro bez przekonania zdjął z siebie ubranie i zasłaniając się jak podrostek, wskoczył do gorących źródeł.

– I jak? – zapytała, leżąc zanurzona po szyję w parującej wodzie.

Chłopak nic nie odpowiedział, zamiast tego rozłożył się wygodnie na kamieniach. Gorąca kąpiel była czymś wspaniałym, szczególnie po ciężkiej walce. Czuł, jak skumulowane w mięśniach zmęczenie powoli opuszcza jego ciało, jakby odpływało na zewnątrz wszystkimi porami skóry.

– Dlaczego nie uśpiłeś tego wojownika, kiedy miałeś okazję? – zapytała bez owijania w bawełnę.

– Nie wiem – odparł zupełnie szczerze. – Chyba po prostu chciałem się z nim zmierzyć. To była dla mnie naprawdę trudna walka. Ostatni raz takie lanie dostałem od swojej mistrzyni Ziki, ale to było kilka dobrych lat temu. Muszę przyznać, że nie spodziewałem się aż tak trudnego starcia. Ten ich Tehu poruszał się szybko jak ważka.

– A z węzem czemu się nie biłeś? – Śmiała się teraz do rozpuku, chlapiąc go wodą.

– Daj spokój – zachnął się na samo wspomnienie pełzającego potwora. – Jak twoim zdaniem miałem z tym czymś walczyć? Widziałeś, jakie miał kły jadowe? Co ja mówię, jakie on miał rozmiary. Z tym węzem to ich naprawdę poniosło. Wiesz, że Soma zaplanował to, żebym się poddał? On ustawił wszystko tak, by nie dało się przejść tej durnej próby. Zresztą, podczas tej pierwszej walki z ich wojownikiem też było coś nie tak. Obiektywnie rzecz ujmując, co najmniej kilka razy powinienem był go pokonać. A jednak on wciąż stał na nogach. Dlatego koniecznie muszę się dowiedzieć, jakie liście zażył przed walką.

– Myślisz, że oni też oszukiwali?

– Jestem tego pewien – odrzekł bez zastanowienia, za to z typową dla niego pewnością siebie. – Nie wiem jedynie, jak tego dokonali. A ja nie oszukiwałem, po prostu podszedłem do problemu w bardziej anestezyjologiczny sposób. Może sama mi powiesz, jak twoim zdaniem w ogóle można walczyć z czymś takim?

– Nie wiem – odparła, przesuwając bezwiednie włosy za uszy. – Za to wiem co innego, że to był twój wspaniały pomysł, aby sobie zrobić spacer po Wielkim Lesie.

– Nie narzekaj, przecież żyjemy i sama słyszałaś, że teraz obcy pomogą nam w przeprawie do rzeki.

Kiedy to mówił, podeszła do nich dziewczynka o chabrowych włosach. Rozebrała się, weszła jak oni do parującej wody i usiadła dokładnie naprzeciw nich. Zaraz za nią, jak cień, przyszedł tygrys jaskiniowy o rozmiarach kucyka i majestatycznie zatoczył się wkoło w poszukiwaniu

wygodnego miejsca. W końcu uwalnił się z hukiem na ziemię. Tygrys z bliska wyglądał jeszcze groźniej, a w dodatku położył się w taki sposób, że jego najeżona zębami paszcza znalazła się dokładnie przy głowie Seny. Dziewczyna w jednej chwili zeszywniała ze strachu, napięła przy tym wszystkie mięśnie i wstrzymała oddech. Zupełnie tak, jakby to miało uczynić ją niewidzialną, a każdy, choćby najmniejszy, ruch miał oznaczać jej koniec. Kami tymczasem, pozostając w błogiej nieświadomości relacji damsko-tygrysich, zaczęła coś do nich mówić w dziwnej, szeleszczącej mowie miejscowych. Pokazała palcem na siebie i powiedziała wyraźnie:

– Kami.

Za chwilę ponownie mówiła coś po swojemu, aż padło słowo:

– Lulu.

Tu jednoznacznie wskazała na Nidro, kończąc tym samym swoją opowieść. Dziewczynka uśmiechnęła się do nich i zaczęła wesoło chlapać wodę nogami.

– Zrozumiałś coś z tego, co ona powiedziała? – zapytał, odwróciwszy głowę w kierunku Seny, ale ta nawet nie drgnęła. Siedziała sztywno, jakby połknęła kij od szczotki, w dodatku ze strachu zapomniała o oddychaniu.

– Nie bój się go. Gdy tygrys jest związany z Kami, nic ci nie zrobi. Udusisz się zaraz, jeśli nie zaczniesz oddychać.

Chłopak, gdy zdał sobie sprawę, że nie jest w stanie przemówić jej do rozsądku, porozumiewawczo zagadał do Kami. Dziewczynka na dźwięk swojego imienia przestała chlapać wodą i przyjrzała się mu z uwagą. Nidro wskazał palcem tygrysa, a potem Senę, napiętą jak skóra na bębnie. Kami wpatrywała się przez chwilę w dziewczynę swoimi wielkimi jak u lalki oczami, nie rozumiejąc zapewne, co jej się nie zgadza na tym obrazku. Nagle w przypływie empatii wybuchnęła gromkim śmiechem. Tygrys jak na zawołanie zaczął radośnie machać ogonem. Masywny pysk przesunął nieznacznie w stronę Seny i liznął ją po twarzy wielkim jak bochen chleba jęzorem. Liznął ją raz, drugi i czwarty, lecz mimo to dziewczyna nadal uparcie udawała, że jej tam nie ma. Zwierzęciu wyraźnie spodobała się zabawa wymyślona przez Kami, gdyż jego śliski jęzor z coraz większym zapałem omiatał głowę przerażonej złodziejki. W tym samym czasie, gdy

Sena walczyła o życie, Nidro i Kami dosłownie pokładali się ze śmiechu. Tygrys nie odpuszczał, a wręcz przeciwnie – machał jęzorem z coraz większym zaangażowaniem, jakby dziewczyna zrobiona była z cukru. Dlatego po niecałej modlitwie Sena została dokładnie obśliniona. Ostatecznie nie wytrzymała i zaczęła odpychać wielkiego kota rękami. Ten musiał dojść do wniosku, że zabawa się rozkręca, bo w odpowiedzi radośnie zamachał ogonem.

– Przestań, ty potworze – wołała dziewczyna, rozpaczliwie się z nim siłując. – Kami, zabieraj go ze mnie!

Dziewczynka w końcu zlitowała się nad nią, a tygrys był zmuszony porzucić tę jakże wspaniałe zapowiadającą się zabawę. Sena wręcz ceremonialnie wsadziła całą głowę do wody, aby zmyć tygrysią ślinę. Wynurzyła się z pluskiem, a wtedy długie antracytowe włosy przykleiły się jej do twarzy.

– No i z czego tak ryjesz? – Spiorunowała chłopaka karcącym spojrzeniem.

– Z niczego – odparł jej, wciąż się śmiejąc. – Stawiłaś mu zacięty opór – dodał po chwili. – Dobrze, że sobie poszedł, bo zalizałby cię na śmierć.

Nidro najwidoczniej bawił się doskonale, a szczery uśmiech ani na moment nie schodził mu z twarzy.

– Bo zalizałby cię na śmierć – sparodiowała udanie głos chłopaka Sena.

– Przecież nie mogłem pozwolić, abyś udusiła się na moich oczach – usprawiedliwiał się beczelnie.

Sena, do reszty zde gustowana zachowaniem pozostałych uczestników kąpieli, ostentacyjnie wyszła z wody i zaczęła się ubierać.

– Widzę, że się bardzo dobrze dogadujecie – stwierdziła z mieszaniną wyrzutu i niezadowolenia w głosie, przy czym wskazała oboje winnych palcem. Następnie obrażona na cały świat ruszyła w stronę centrum osady. Kami odprowadzała ją swymi wielkimi, pozbawionymi białek oczami, nie rozumiejąc zapewne, co się takiego stało.

– Nie przejmuj się – powiedział do dziewczynki Nidro – zaraz jej przejdzie. – Skinął głową na odchodzącą dziewczynę i artykułując wyraźnie, powiedział: – Sena.

– Sena – powtórzyła bezbłędnie dziewczynka.

– Tak, bardzo dobrze – pochwalił ją.

Kami, widząc zadowolenie na twarzy wodza, zapomniała o całym zajściu i ponownie zaczęła się chlapać w wodzie.

Po kąpieli zgłosił się do Nidro Temu w towarzystwie Tyby. Kupiec wyglądał na w pełni sprawnego, a może raczej należałoby powiedzieć – na w pełni wstawionego. Na skórzanym rzemieniu nosił przepasany gliniany antałek i nieustannie coś z niego popijał. Uradowane oczka szklily mu się jak dwie cyrkonie wystawione na słońce.

– Wy teraz iść do wódz – oznajmił Tyba łamanym Wspólnym. – Wielkie święto, wy teraz jeść.

– A nie żer dla tygrys? – zapytał z przekąsem Nidro.

– Nie, wy teraz Lud, twój klan tutaj, wielkie święto – przekonywał ich równie nieskładnie, co zachęcająco, wskazując przy tym na wioskę.

Bez dalszych dyskusji oboje ruszyli za nim we wskazanym kierunku, wymijając po drodze rozentuzjasmowany tłum miejscowych. Wtedy przy jednej z chat odnaleźli Senę, wyszło na to, że dziewczyna starała się wejść w posiadanie przepięknego grzebienia wykonanego z kości jakiegoś egzotycznego zwierzęcia. Nidro, o ile dobrze odczytał język gestów, jakim porozumiewały się obie przekupki, doszedł do wniosku, że obca kobieta chciała wymienić grzebień za jeden z noży Seny. Obie właśnie przekonywały się z zapalem w dwóch zupełnie sobie obcych językach, i mimo że nie rozumiały samych słów, pantomima ich twarzy i gestów pozwalała im ostro się targować. Wreszcie Sena doszła do wniosku, że musi to sobie jeszcze raz przemyśleć, i bez słowa wyjaśnienia zamknęła negocjacje. Zewsząd słychać było egzotyczną muzykę graną na fletach, piszczałkach i bębenkach. Wszędzie wokół nich płonęły wysokie ogniska, tam też na drewnianych roznach piekły się najróżniejsze tusze o nietuzinkowych wymiarach oraz kształtach, jakich próżno by szukać w innych częściach świata. Obcy jedli z apetytem proste potrawy przygotowane na szerokich zielonych liściach. Tygrysy też dostały jakieś mięso, a Nidro wołał nie dociekać, skąd mogło pochodzić.

– Wszyscy świętować, zwierzęta też – oznajmił uroczyście Tyba, najwyraźniej zwrócił uwagę, że chłopak z zaciekawieniem obserwuje tygrysy. – My nakarmić twój ptak – dodał zachęcająco.

Po tych słowach Sena parsknęła niewybrednym śmiechem.

– Co cię tak rozbawiło? – Nidro nie zrozumiał. – Mój ptak się sam nakarmi – odpowiedział obcemu zgodnie z prawdą.

Wkrótce Sena śmiała się wespół z Temu.

– Wyjaśniło się, kto będzie uczyć Kami mówić we Wspólnym – dodała z widocznym trudem, jednocześnie zanosząc się chrapliwym chichotem. – Mój ptak wzbił się wysoko – dodała, naśladując głos chłopaka, a jej słowom towarzyszyła kolejna salwa śmiechu.

– Totalnie wam odbiło. Chyba macie za dużo wrażeń jak na jeden dzień – skomentował wybuch chorobliwej głupawki u towarzyszy. Tamci jednak wciąż niestrudzenie rechotali jak szwagier grabarza.

Tyba zaprowadził nowych współplemieńców do największego ogniska w centrum osady, gdzie ucztował Soma w towarzystwie wodzów poszczególnych klanów, najlepszych wojowników oraz wiedzących, o których Nidro w zasadzie niewiele się zdołał dowiedzieć.

– Ciebie czekać zaszczyt, siedzieć z wódz wodzów. – Tyba zamaszystym gestem wskazał Nidro na wiklinową matę.

Kiedy zajął miejsce obok wodza, zaraz ktoś przyniósł mu liść z jedzeniem, na którym ułożono wyśmienicie pachnące, pieczone na ognisku mięso otoczone kolorowymi owocami. Do kompletu dostał antałek pitnego miodu, taki sam zresztą, jakim chwilę wcześniej raczył się Temu.

– Witaj, wodzu – powiedział, usadowiwszy się wygodnie na macie.

– Witaj, brudnowłoso, cieszę się, że jesteś z nami. Są tu dzisiaj wodzowie dziewięciu różnych klanów, a ty jesteś dziesiąty. Tak widocznie miało być. Wybrał cię Wielki Duch, abyś stał się jednym z nas.

Soma poufale poklepał go dłonią po ramieniu. Nidro, skuszony przez nęcące zapachy, zabrał się ochoczo do jedzenia. Pieczone mięso okazało się naprawdę wyborne. Spróbował także miodu, trunek okazał się zaskakująco mocny, a do tego słodkawy w smaku. Doszedł do wniosku, że jeszcze nigdy nie pił podobnego alkoholu. Senie przypadło w udziale miejsce po drugiej

stronie ogniska, pomiędzy najlepszymi wojownikami plemienia. Nidro obserwował, jak dziewczyna pokazuje tubylcom swoje noże do rzucania. Soma również zapatrzył się na nią, wkrótce stwierdził z niejakim znawstwem:

– Twoja kobieta... – zawiesił głos, jakby zbierał myśli – ...mimo że ma takie brudne włosy i małe oczy, jest na swój sposób bardzo ładna. Podoba mi się – wypalił na koniec.

– Koniecznie muszę sobie zapamiętać ten komplement – odparł rozbawiony do żywego mag.

– Zrób tak – zgodził się zadowolony Soma. – Kobiety są łase na komplementy.

„To jest dobre. Może jeszcze jej powiem, że ma krzywe nogi i pryszczaty nos. W końcu, czy można przesadzić w prawieniu komplementów?” – uśmiechnął się psotnie do swoich myśli, zanim zapytał:

– Powiedz mi, wodzu, jakie liście Tehu zażył przed walką?

– Aaa, tak myślałem, że o to zapytasz. Wy, Brudne Włosy, macie małe oczy, ale widzicie wcale niezgorzej – roześmiał się wielce ubawiony własnym żartem wódz. – Wojownik przed walką dostaje liść z kroplą jadu lulu i to daje mu szybkość tygrysa. Jad lulu jest zabójczy w większej ilości, dlatego nakładamy jedną małą kroplę na liść, a wojownik w razie potrzeby wkłada go sobie pod język.

– A czy mógłbym dostać trochę tego jadu na drogę?

– Ależ oczywiście, poproszę, żeby wiedzący ci przyniósł. Mam tu jeszcze coś dla ciebie i twojego plemienia – oznajmił wyjątkowo podniosłym tonem. – Twoja walka z Tehu była naprawdę wspaniała, a ty ją wygrałeś, mimo że on zażył liść i miał na sobie ndulu siły i odporności na ból. Jeszcze nigdy w życiu nie widziałem, aby ktoś tak walczył. I dlatego właśnie postanowiłem nagrodzić twój honor wojownika i podarować śmieć dla wszystkich Brudnych Włosów. Zazwyczaj dar otrzymuje jedynie przywódca plemienia, po tym jak pomyślnie przejdzie próbę, ale że te nie są nam do niczego potrzebne, postanowiłem obdarować was wszystkich – mówiąc to, Soma wyciągnął trzy jodeitowe bransoletki i rozłożył je na macie przed magiem.

– Artefakty – zauważył równie zaskoczony, co uradowany Nidro, dłuższy czas przyglądał się podarunkowi z rosnącym zainteresowaniem. – To dla nas wielki zaszczyt, wodzu – powiedział zgodnie z prawdą głosem pełnym autentycznego podziwu.

„Jak sobie przypomnę, ile miałem kłopotów przez jedną taką bransoletkę, to co dopiero mnie czeka z czterema?” – zamyślił się i z jakiegoś powodu rozbawiła go ta refleksja.

– Tak – ciągnął swą przemowę wódz. – Dla nas to śmieć, ale Brudne Włosy, schwytane dawniej, mówiły, że dla was są dobre.

– Umiecie wytwarzać artefakty? – zapytał z nieskrywanym zdumieniem w głosie.

– Tak. – Soma roześmiał się, widząc jego zdziwioną minę. – Wiedzący to robią. Kiedy Lud ma wspaniałego syna lub córkę, to w nagrodę w chwili śmierci ich duch przenosi się do ndulu, by towarzyszyć nam w wędrówce po Świętym Lesie. – Wskazał ręką na bransolety. – To tajemny rytuał, znany jedynie wiedzącym, ale nawet oni nie są w stanie przewidzieć, jaka cecha po odchodzącym duchu przejdzie następnie do ndulu. Czasem po wielkim siłaczku bierzemy ndulu do ręki i okazuje się, że mamy taki śmieć jak ten.

– Więc nie zawsze się udaje?

– Nie, w zasadzie to bardzo rzadko trafia się cenny dar. Wtedy jest to wielki skarb dla plemienia.

– Słyszę, że bardzo dobrze znasz Wspólny język.

– Tak, dziękuję. Nauczyłem się od jednego z waszych. Mieszkał w wiosce, kiedy ja byłem jeszcze dzieckiem. Dawniej myślałem o tym, żeby zobaczyć, co znajduje się poza Świętym Lasem, ale wiedzący zabronili mi tam wyruszyć, twierdząc, że Wielki Duch tego nie pochwali. Widzisz, wojownika, czasem do lasu wchodzi Brudne Włosy, jednak większość z nich ginie bardzo szybko. A to krokozaur albo wąż, albo trujący kwiat, lub żaba. Brudne Włosy umierają strasznie głupio, na przykład wejdą do jaskini tygrysa szablozębnego, bo tam nie pada i można rozpalić ognisko. – Uśmiechnął się do swoich wspomnień. – A w lesie jaskinie to pewna śmierć. One są ogromne, a tam spotkasz albo tygrysy, albo węże takie jak lulu. Ty i twoje plemię nie jesteście tacy głupi. Wy poszłicie spać na drzewo. Nie

rozumiem jedynie, dlaczego krokozaur was nie zżarł, kiedy płynęliście rzeką? Może wasz smród go jakoś odstraszył? – Zaczął intensywnie obwąchiwać chłopaka. – Jedynie szaleniec płynie przez las rzeką – wrócił do przerwanej rozmowy, nie wywłachawszy niczego. – Z tego powodu właśnie Lud nie pływa po rzece, a to przejście, gdzie rzeka wpada do jaskiń, jest dla nas takie ważne. – Pokazał ręką wkoło. – Żeby przepłynąć się z jednej strony lasu na drugą, trzeba koniecznie przejść tędy, dlatego tu powstała największa wioska Ludu w całym lesie. Każdy kolejny wielki wódz otrzymuje prawo osiedlenia się tutaj ze swoim klanem. W dodatku nieopodal znajdują się nasze Święte Jaskinie. Wojownicy chwytają tam nowe tygrysy dla Ludu. Te Brudne Włosy – kontynuował Soma, wracając niejako do pierwotnego wątku rozmowy – co przeżyły w lesie i zostały złapane, trafiały do Skalnej Wioski, a my uczymy się od nich waszej mowy i wiedzy o świecie. Na niebie pojawia się ostatnio coraz więcej łodzi latających. Wiemy, że prędzej czy później Brudne Włosy tu po nas przyjdą. Sam widzisz, ty i twoje plemię jakoś tu dotarliście i nikt z was nie zginął. Co więcej, jesteście teraz częścią Ludu, a to również nie zdarzyło się jeszcze nigdy w historii. To musi być znak od Wielkiego Ducha. Teraz tu jest wasz dom. – Ponownie zatoczył ręką szeroki krąg.

Nidro jadł i pił z apetytem, kiedy Soma opowiadał mu bez skrępowania o życiu obcych w Wielkim Lesie. Tego wieczoru jedzeniu i opowieściom nie było końca.

Gdy Nidro wstał od ogniska, był już na lekkim rauszu, dlatego trochę czasu zajęło mu, zanim zorientował się, że widzi wszystko tak samo wyraźnie jak w dzień. W pierwszej chwili podejrzliwie spojrzał na pusty antałek po miodzie. Wtedy jednak przypomniał sobie, że trzyma w ręku bransolety подарowane mu przez Somę.

– Wreszcie rozumiem! – zawołał niesiony na fali kompletnego zaskoczenia, kolejny raz obejrzał je z uwagą. – Te artefakty sprawiają, że widzimy tak jak obcy, dlatego oni sami nie mają z nich żadnego pożytku. Dla nas to śmieć... – powtórzył z rozbawieniem słowa wodza. – Jednak dla ludzi taki artefakt był, co tu dużo mówić, niezwykle przydatny.

Bezwiednie schował cenne bransolety do kurtki i wraz z przyjaciółmi udał się do wiklinowej chaty na spoczynek.

Życie w Skalnej Wiosce zaczynało się wcześniej rano, dlatego zaraz po brzasku wódz wodzów zaprosił ich do swego ogniska na wspólne śniadanie. Nidro ponownie usadzono na honorowym miejscu obok niego. Gdy usiedli na wiklinowych matach, podano im liście z jedzeniem. Tego dnia usługiwała mu młoda dziewczyna, musiał przyznać, że była niezwykle atrakcyjna, do tego na powitanie obdarzyła go wyjątkowo ciepłym uśmiechem. Podobnie Soma ciągle szczyrzył się do niego, jakby rozmawiał ze srebrnym lusterkim.

– To moja córka, Lamia – oznajmił wódz, wskazując dziewczynę.

– Jest bardzo ładna – odpowiedział z wrodzoną uprzejmością, oddając dziewczynie uśmiech.

– Ty również jej się spodobałeś – wtrącił wódz nie tyle pospiesznie, co nachalnie.

Nidro zamurowało. Miał wrażenie, że zwykła, kurtuazyjna rozmowa zaczęła zmierzać w niewłaściwym kierunku. Poczuł się niemal jak morski plankton, na który rzuca się wygłodniały wieloryb.

– Gdybyś został z nami, Lamia zajęłaby się tobą. – Wieloryb coraz szerzej otwierał przepastną paszczę.

„Nie wątpię” – pomyślał osaczony plankton, wpatrzony w czarne oczy dziewczyny.

– To bardzo miłe i w ogóle, jednak ja muszę wracać do świata Brudnych Włosów – odrzekł stanowczo, jednocześnie cały poczerwieniał na twarzy, co nie umknęło pozostałym.

– Jeśli zdecydujesz się zostać z nami, nie musisz rezygnować ze swojej brudnowłosej wybranki. – Wódz poufale poklepał go po ramieniu. – Jestem pewien, że dziewczyny szybko dogadają się ze sobą.

Nidro odruchowo spojrzał na Senę, siedzącą kilka kroków dalej.

– Naprawdę nie mogę zostać i nie chodzi tu wyłącznie o nią. Jeślibym to zrobił, złamałbym przysięgę i utracił honor wojownika.

Soma westchnął głęboko, nie zdołał przy tym ukryć swego rozczarowania. Nieoczekiwanie ich rozmowę przerwała jakaś staruszka, gdy podeszła do

Nidro w towarzystwie dwóch innych kobiet i podała mu mały, gliniany flakonik. Mag podziękował, jednocześnie wbił pytające spojrzenie w wodza.

– To jad lulu, o który prosiłeś mnie wczoraj.

Nidro odkorkował naczynie. Wewnątrz znajdował się przezroczysty, lepki płyn. Powąchał zawartość, ale nie wyczuł żadnego zapachu.

„Spory zapas – pomyślał wielce uradowany – zwłaszcza że wystarczy zażyć jedynie kroplę, aby uzyskać pożądany efekt”.

Schował flakonik do kieszeni, a wtedy jego ręka natrafiła na znajomy kształt. Dopiero teraz przypomniał sobie o bransoletkach. Wyjął je z kieszeni i podszedł do miejsca, gdzie siedzieli Sena i Temu.

– To dar od wodza dla naszego plemienia – oznajmił z rozbawieniem, zanim podał im jadeitowe obręcze.

– Przecież to artefakty – powiedziała zachwycona Sena.

Oboje z zainteresowaniem obejrzel podarek.

– Jest piękna, ciekawe jakie ma działanie?

– Nie powiem wam.

– Dlaczego?

– Bo nie chcę wam psuć zabawy. Niech wam wystarczy, że to nie jest bransoletka prawdy i śmiało można nosić ją przez cały czas. – Na poparcie swych słów pokazał im klejnot, jaki samemu nosił na lewym nadgarstku, to wystarczyło, by przekonać pozostałych.

Nidro zostawił towarzyszy i wrócił na swoje miejsce.

– Jesteś pewien, że chcecie płynąć rzeką? – zapytał Soma głosem przepełnionym zwątpieniem i niedowierzaniem. – Jeśli zechcesz, to przeprowadzimy was lasem na drugą stronę.

– Nie, nie ma takiej potrzeby.

– A krokozaury?

– Z nimi też damy sobie radę. – Nidro uśmiechnął się zagadkowo.

– Czy je też jesteś w stanie przepędzić szeptem? – zapytał, patrząc mu prosto w oczy.

– Tak, można tak powiedzieć.

– To niesłychane, naprawdę niesłychane. – Soma pokiwał głową, wkrótce też utonął w bezbrzeżnej zadumie.

Nidro podobało się to określenie, jakiego używali obcy do opisywania magii – „przepędzić szeptem”. Miał wrażenie, że coraz lepiej ich rozumie. Dzięki wczorajszej rozmowie z wodzem zaczął inaczej spoglądać na wiele spraw. Pojął choćby to, dlaczego lulu darzono w wiosce taką czcią. Przecież bez jadu węża ich wojownicy nie mogliby walczyć z leśnymi bestiami. A co za tym idzie – nie daliby rady pochwycić kolejnych tygrysów dla klanów.

Po obfitym śniadaniu tłum obcych zebrał się, aby ich pożegnać. Wszyscy bez wyjątku kładli im ręce na ramionach, jakby chcieli sprawdzić w ten sposób, czy są prawdziwi.

– Tyba pójdzie z wami – powiedział Soma, wskazując na grupę dziesięciu obcych przygotowanych do drogi.

– To wspaniale. – Nidro ucieszył się zupełnie szczerze. – Obecność tłumacza na pewno okaże się pomocna.

Chwilę później stanęli przed ścianą lasu, a wtedy Nidro z niejakim zaskoczeniem zdał sobie sprawę, że żał mu tak szybko opuszczać to miejsce. Na pewno było tu jeszcze wiele ciekawych rzeczy do odkrycia. Żywił szczerą nadzieję, że pewnego dnia pokrętny los znów przygna go w te strony. Teraz jednak jego najważniejszym zadaniem było dotarcie do Tarnau i nie mógł się tak po prostu od tego wykręcić. Gdyby zostali tu choćby kilka dni dłużej, zapewne szybciej niż lulu pożarłyby go własne wyrzuty sumienia.

„Czas na nas” – pomyślał z nostalgią, ostatni raz spoglądając na wioskę.

Wciąż czekała ich jeszcze długa droga na Wybrzeże Końca Świata. O rejsie na kontynent centralny nawet nie wspominając.

– Ruszamy! – zawołał Nidro do Tyby, skoro, jak się właśnie okazało, tłumacz wziął na siebie obowiązek organizatora przeprawy.

Tyba ustawił wszystkich w odpowiedniej kolejności, tak by mogli sprawnie poruszać się po lesie. W ten sposób z przodu kolumny szło pięciu miejscowych. Za nimi, niczym na rączym rumaku, jechała Kami na tygrysie. Za dziewczynką szła trójka ludzi z brudnymi włosami, a całość zamykała czwórka obcych. Ich karawana poruszała się zadziwiająco sprawnie. Miejscowi w sobie tylko znany sposób potrafili odnaleźć drożną ścieżkę na pozornie niedostępnym terenie. Tyba szybko wczuł się w rolę przewodnika i tłumaczył im wszystko jak małym dzieciom. Pokazywał ludziom

najróżniejsze miejsca, mówiąc: to śmierć, tam wąż albo żaba, tam nie iść, bo mrówki, to jeść – dobre, a z tego robić strzałki, i tak dalej. Dzielni odkrywcy na widok wszystkich tych niebezpieczeństw czyhających dokoła dopiero zdali sobie sprawę z tego, jakie mieli szczęście, że trafili na tych obcych. Las aż roił się od śmiercionośnych istot. Szczególnie zdziwiły ich niebieskie mięsożerne rośliny, do środka których mógł wpaść choćby i cały tygrys. Zamykały wtedy monstrualny klosz, skutecznie więżąc ofiarę w środku. Następnie pompowały trujący gaz, żeby sparaliżować pochwyczone zwierzę. To, co wpadło do środka pułapki, było gruntownie rozpuszczane przez soki trawienne i pożerane przez wiele miesięcy. Na szczęście miejscowi rozpoznawali bezbłędnie wszystkie te zagrożenia z dużym wyprzedzeniem. Trzeba przyznać, że doskonale przystosowali się do panujących w lesie warunków, dlatego cała grupa przemieszczała się niezwykle sprawnie i to bez strat w ludziach. Najwolniejszy z nich wszystkich, jak zwykle zresztą, okazał się Temu, który jak sam twierdził strasznie się odwodnił poprzedniego wieczora i wciąż jeszcze nie doszedł do formy. Choć w jego przypadku słowo „forma” odnosiło się raczej do kwestii ducha aniżeli ciała.

Sena podeszła do Nidro na tyle blisko, aby złapać go za rękę, chwilę później cmoknęła go w policzek.

– Dziękuję – szepnęła mu czule do ucha. – I przepraszam – dodała po chwili.

– Nie rozumiem? – spytał zupełnie skołowany, żeby nie powiedzieć – oczarowany.

– Dziękuję za to, że nie zjadł mnie tygrys. A przepraszam, no, chodzi o to, że miałeś rację, aby iść przez las, a ja się tak strasznie bałam i w ogóle.

– Daj spokój – stwierdził pojednawczo. – Gdybym na łódce wiedział to, co teraz wiem o tym miejscu, pewnie nigdy bym się nie zdecydował drugi raz na taką wyprawę. Okazuje się właśnie, że mieliśmy sporo szczęścia, skoro nic nas nie zjadło po drodze. I choć może zabrzmieć to trywialnie, powiem szczerze, że ja też się bałam.

– Naprawdę? – powiedziała szczerze zdziwiona. – Kiedy? Nic nie zauważyłam.

– Bałem się, kiedy Kami podniosła ten kij i stanęła gotowa, by walczyć z tygrysem. Myślałem wtedy, że on ją rozszarpie na kawałki i to w dodatku na moich oczach, a ja nie będę w stanie nic na to poradzić.

Po tych słowach obydwójce zanurzyli się we własnych myślach.

– Prawda, że ona jest niesamowita? – zapytała, przerywając milczenie.

– Tak, Kami jest wyjątkowa. Widzę to w niej, chociaż nie umiem tego dokładnie nazwać.

– Wiem, o co ci chodzi – zgodziła się z nim. – Czasem też tak mam. Ta sytuacja z Kami przypomniała mi własne dzieciństwo. Moi rodzice byli niewolnikami. Oboje pracowali w kopalni diamentów w Tana, a przynajmniej tyle zdołałam się o nich dowiedzieć. Najwidoczniej nie chcieli, bym trafiła do niewoli z piętnem na całe życie, i woleli oddać mnie do gildii. Chyba uważali, że w ten sposób będę miała szansę na bardziej „normalne” życie. Ale w gildii, co tu dużo gadać, też łatwo nie jest.

Milczała przez chwilę, a on jej nie ponaglał.

– Nie musimy o tym rozmawiać, jeśli nie chcesz – powiedział łagodnie, sondując jej nastrój.

– Ale ja chcę rozmawiać, tyle że do tej pory nie miałam z kim. W gildii trzeba trzymać swoje słabości schowane gdzieś głęboko. Jeśli pokażesz komuś, gdzie jest twoje czułe miejsce, to tak, jakbyś podpisał na siebie wyrok śmierci. To zlecenie z kradzieżą artefaktu od Wielkiego Kapłana to była w zasadzie misja samobójcza. Z całej naszej trójki przeżyłam jedynie ja, i to wyłącznie dzięki tobie. Widzisz, Kapłan ma wielką słabość do młodych dziewcząt, a Szczur postanowił to wykorzystać. Wysłał mnie i dwie inne złodziejki z poleceniem, że mamy nie wracać bez artefaktu. Na miejscu jednak okazało się, że Kapłan trzymał bransoletkę ukrytą w sobie tylko znanej skrytce. Zanosił się na to, że nic tam nie wskóramy, a co za tym idzie, że wkrótce same pójdziemy do odstrzału. Wtedy nieoczekiwanie trafiła się nam niepowtarzalna okazja. Zgłosiłyśmy się do pomocy przy obrzędach w Wielkiej Świątyni. Kapłan wykorzystywał sanktuarium do odbierania przysięgi wierności od swoich akolitów, a bransoletka prawdy, jak się pewnie domyślasz, była jej kluczowym elementem. Pojawiła się realna szansa, że jedną z nas Kapłan wybierze jako hostessę do podawania artefaktu

podczas ceremonii. Ta osoba miała za zadanie rzucić klejnot do pozostałych dziewcząt ukrytych w tłumie tuż za kordonem żołnierzy. Wszystkie wiedziałyśmy dobrze, że ta, którą wybierze, nie będzie miała realnej szansy, by ująć z tego z życiem. Mogła jednak ocalić pozostałe dwie przed podobnym losem. Kapłan akurat wybrał blondynkę i tego dnia to właśnie Tena rzuciła klejnot mojej koleżance. Ta, gdy złapała go w ręce, natychmiast wmieszała się w tłum gapiów zgromadzonych przed świątynią. W ten sposób próbowała zgubić ścigających ją żołnierzy. Następnie, zgodnie z planem, wpadłyśmy na siebie w powstałym zamieszaniu, a wtedy ona przekazała mi artefakt. Chciałyśmy w ten sposób zmylić ludzi Kapłana. Tena również spróbowała ucieczki, ruszyła biegiem w naszą stronę, lecz wtedy strażnik zagroził jej drogę włócznią. Ta nawet nie zwolniła, zamiast tego sama nabiła się na wystawione ostrze. Ona po prostu wybrała szybką śmierć. Drugą dziewczynę trafił bełt z kuszy, kiedy w zasadzie wybiegałyśmy z tłumu po przeciwległej stronie placu. Z miasta żywa wyszłam tylko ja, i od tej pory robiłam wszystko, co w mojej mocy, by za wszelką cenę zgubić pogoń. Resztę historii znasz. Jeśli teraz dopadnie mnie jakakolwiek ze stron, i nieważne, czy będą to ludzie gildii, czy Kapłana, czeka mnie powolna śmierć w męczarniach. Sądzę, że gdybym miała taki wybór jak Tena, również wybrałabym włócznię.

Nidro słuchał w skupieniu, a gdy dziewczyna skończyła opowieść, wtórowały jej jedynie odgłosy Wielkiego Lasu. Szli w milczeniu, wsłuchani w wołanie małą i jazgot ptaków, od których roiło się wszędzie wokół. Nidro złapał Senę mocniej za rękę, gdy dostrzegł, że po policzku spływają jej pojedyncze łzy. Nie miał pojęcia, co powinien zrobić w takiej chwili, dlatego milczał razem z nią, najważniejsze, że był blisko i najzwyczajniej w świecie dotrzymywał jej towarzystwa, jak niemy powiernik, odbijał emocje dziewczyny na podobieństwo lustra. Sena wytarła twarz wierzchem dłoni.

– Dziękuję. – Spojrzała na niego szklistymi oczami. – Potrzebowałam w końcu to z siebie wyrzucić. Teraz wiem, że miałam wielkie szczęście, kiedy trafiłam na ciebie w lesie. Elon to zwykły sadysta i spaliłby mnie żywcem dla zabawy. Gdybyś mnie wtedy nie ocalił, to skończyłabym o wiele gorzej od

pozostałych dziewcząt. Ja naprawdę nie chcę wracać do starego życia i mam szczerą nadzieję, że w Tarnau zacznę wszystko od nowa.

– Myślę, że otrzymasz swoją szansę – potwierdził kojącym głosem – ale co z nią zrobisz, będzie zależeć wyłącznie od ciebie.

Ich rozmowa urwała się nagle, gdy z przodu kolumny rozległo się wołanie Tyby.

– Chodź patrzeć, tam być skała, na dół dużo krokozaur.

Ruszyli za nim, by po kilku krokach wyjść z lasu na niewielką polanę. Tubylcy zebrali się w jednym miejscu, żywo gestykulując. Stali na krawędzi urwiska, a dwadzieścia kroków pod nimi ze skalnej groty wypływała rzeka.

– Dużo krokozaur, niedobrze. – Tyba pokazywał w dół ręką.

„Faktycznie – pomyślał Nidro – dużo krokozaur to mało powiedziane”.

W wodzie aż roіło się od niebieskawych gadów. Były ich tu dziesiątki, jeśli nie setki. Stworzenia miały długość dwunastu kroków, a ich wielkie cielska nieskładnie przewalały się przez siebie nawzajem, co w efekcie wywoływało sporej wielkości fale na wodzie.

– Co robić, co robić – lamentował Tyba.

– Nie martw się. – Nidro położył mu dłoń na ramieniu. – Wystarczy, że zbudujemy tratwę tutaj.

– Tutaj?

– Tak, tu być dobrze – zapewnił go Nidro.

– Aaa... – Tyba uśmiechnął się chytrze. – Ty chcesz zrzucić tratwa na dół, a potem skoczyć. Bardzo głupie, Brudne Włosy, bardzo głupie. Ale jak ty chcesz, my zbudować tratwa tutaj.

– My wam pomóc – oznajmił mag.

– Nie, nie, wy tu. Ja chcę zobaczyć, jak wy skakać do krokozaur. – Tyba uśmiechnął się przymilnie. – Jak Brudne Włosy wejść do las, to długo nie pożyć. My zbudować tratwa, a wy potem skakać do woda.

– No dobrze, to nie jest wcale taki zły pomysł.

Tyba powiedział coś w mowie Ludu, a wkrótce po tym miejscowi rozplnęli się w lesie w poszukiwaniu odpowiednich pni do budowy tratwy.

– Wychodzi na to, że mamy resztę dnia dla siebie – zauważyła Sena, zdejmując dmuchawkę z pleców. – Ja idę postrzelać – rzuciła na

odchodnym, nie czekając na odpowiedź.

– A ja zrobię kolację – powiedział Temu, łakomie spoglądając na worki z prowiantem.

– W takim razie my rozłożymy hamaki. – Nidro zwrócił się do Kami, dziewczynka stała obok i wwiercała się w niego czarnymi jak onyks oczami.

Wskazał na drzewo, dziewczynka kiwnęła głową, że rozumie. Nidro najpierw przywiązał wszystkie hamaki do liny. Trzymając wolny koniec w ręku, zaczął się wspinać po gałęziach. Kami wchodziła zaraz za nim. Wciągnęli hamaki na górę i zaczęli je rozwieszać. Teraz mieli ich czternaście sztuk. Praca szła im nad wyraz szybko, widocznie dla Kami spanie na drzewie nie było niczym nowym. Kiedy wszystko było gotowe, Nidro niezwykle sprawnie niemal zbiegł z drzewa na ziemię, głównie skakał przy tym z gałęzi na gałąź. Gdy miękko wylądował na trawie, spostrzegł z uznaniem, że Kami robi dokładnie to samo co on. I to niemal z równą finezją. Dziewczynka skoczyła z ostatniej gałęzi, zrobiła przewrót przez ramię, żeby zamortyzować upadek, po czym wstała na równe nogi sprężysto jak kot.

– Brawo, Kami. – Nidro zaklaskał w dłonie.

Dziewczynka wyglądała na zadowoloną i odpowiedziała mu uśmiechem.

– Jesteś bardzo zwinna, a co powiesz na to?

Zademonstrował jej prostą kombinację ciosów obiema rękami. Następnie wyskoczył energicznie w górę, jednocześnie kopiąc kolaniem w przód. Wkrótce uderzył ponownie, tym razem tylną nogą z półobrotu. Dziewczynka patrzyła na to wszystko z fascynacją w oczach. Wiedziała, że jej wódz jest niepokonanym wojownikiem, a teraz dzielił się z nią swoją wiedzą. Nidro powtórzył całą sekwencję jeszcze kilka razy, powoli, tak by Kami na spokojnie mogła się dokładnie wszystkiemu przypatrzeć. Kiedy skończył, wskazał ręką na nią, a wtedy Kami z ogromnym zapalem zaczęła powtarzać szalone ruchy wodza. Nidro tłumaczył jej wszystko cierpliwie, mimo że dziewczynka nie mówiła we Wspólnym. Pokazywał, w jaki sposób prawidłowo zacisnąć pięści. Demonstrował, by wypuszczała powietrze przeponą podczas zadawania ciosów. Poprawiał ją, by kopała, wysuwając biodro do przodu. Kami próbowała raz i drugi, potem setny, a za każdym

kolejnym powtórzeniem wychodziło jej to coraz lepiej. W końcu ćwiczyła sama, a on jedynie stał i się przyglądał.

– Właśnie o to chodzi. – Zaklaskał w dłonie, cieszył się, że dziewczynka dobrze sobie radzi.

– Kolacja! – zawołał Temu.

Rozejrzeli się po polanie i faktycznie pozostali dawno już rozsiedli się wieńcem przy ognisku, zajęci jedzeniem. Po całym dniu spędzonym na samych owocach wszyscy byli wyjątkowo głodni. Kami jadła z apetytem, nie mogła uwierzyć we własne szczęście. W tak krótkim czasie spotkał ją kolejny zaszczyt. Klanowy wódz pozwolił jej rozpocząć szkolenie wojownika. W dodatku uczył ją walki w zupełnie nieznanym jej ludowi sposób. Wiedziała przecież, że Nidro sam pokonał Tehu i to bez pomocy ndulu. To oznaczało, że jest największym wojownikiem na świecie, dlatego postanowiła sobie, że będzie ćwiczyć regularnie, by kiedyś stać się taką jak on. Z jakiegoś powodu to właśnie ją wybrał Wielki Duch, kiedy sprawił, że całe jej dotychczasowe życie stanęło na głowie. To właśnie ona, jako pierwsza z Ludu, opuści Święty Las. Wczoraj stała się jednym z tygrysem, w dodatku uratowała życie samego lulu. Przyjął ją nowy klan, i choć jest mało liczny, to składa się z samych nietuzinkowych postaci. Jej wódz to niepokonany wojownik. Jej siostra Sena potrafiła zabrać jajko gnoku prosto spod ogona i to tak, by się gnoku nie zorientował. A jej brat Temu może zjeść tyle, co wielki krokozaur, i popić to wszystko miodem, który w takiej ilości zabiłby na miejscu dziesięciu spośród Ludu. Była pewna, że ci obcy również zostali wybrani przez Wielkiego Ducha, a ona z jakiegoś powodu mogła do nich dołączyć.

Kolacja zakończyła się dobrze po zachodzie słońca. Sena, gdy wstała z ziemi, rozejrzała się dokoła. Dopóki palił się ogień, widziała wszystko wyraźnie, niemal jak w dzień, a gdy zapadła całkowita ciemność, cały świat ukazał się jej w odcieniach czerni. Robiło to równie dziwne, co fascynujące wrażenie, jakby wszystko zostało szczegółowo naszkicowane ołówkiem na białym tle.

– Fajne, co? – Nidro zaśmiał się do niej perliście.

– Bajka – odpowiedziała z mieszaniną zdumienia i zadowolenia w głosie.

– Teraz będę widziała, co nas pożre w nocy.

– To dobrze, opowiesz mi nad ranem. Pora spać. – Wskazał ręką na drzewo.

Następnego ranka, zaraz po śniadaniu, obcy zabrali się do budowy tratwy. Do ukończenia prac zostało jedynie związanie pni niebieskimi lianami. Nidro pracował razem z nimi, chciał być pewien, że tratwa wytrzyma podróż. Temu w tym czasie zwijał hamaki i szykował ich do dalszej drogi, a Sena... Sena postanowiła zająć się edukacją dziewczynki.

– Chodź, Kami! – zawołała. – Pokażę ci, jak prawidłowo rzucać nożami do celu z różnych odległości i przy wykorzystaniu rozmaitych chwytów. Popatrz na mnie, na krótkim dystansie rzucamy małym nożem. – Podała broń dziewczynce, by ta wyczuła ją w dłoni.

Kami ostrożnie przejechała palcami po lśniącej stali; broń wydała się jej wyjątkowo piękna, do tego była bardzo ostra, jakby została wykonana z niesamowicie twardego, śliskiego kamienia.

– Takim nożem rzucamy na dystansie od trzech do pięciu kroków.

Pokazała gestem dystans do drzewa. Dziewczynka skinęła głową na znak, że rozumie.

– Najpierw poćwiczmy rzut z chwytu za rękę.

Kami pewnie złapała nóż w dłoń, a w następnej chwili rzuciła nim z całej siły, niemal bez celowania. Ostrze z trzaskiem wbiło się w drewno.

– Bardzo dobrze – pochwaliła ją Sena. – Spróbuj jeszcze raz – powiedziała i podała dziewczynce kolejne ostrze.

Kami rzucała jeszcze kilkukrotnie, a nóż za każdym razem wbijał się w coraz bardziej podziurawiony pień.

– Świetnie ci poszło. – Sena nie ukrywała zadowolenia. – To teraz spróbuj rzucić z chwytu za ostrze.

Pokazała jej, jak prawidłowo złapać broń dłonią, by się nie skaleczyć. Dziewczynka cisnęła ostrzem w drzewo, a ono, jak poprzednim razem, wbiło się z trzaskiem w sam środek pnia. A ponieważ wychodziło jej to wyjątkowo dobrze, Sena postanowiła podnieść poprzeczkę trochę wyżej. Odeszła kilka kroków od zaimprovizowanego celu i podała dziewczynce większy nóż. Kami z zainteresowaniem zważyła go w dłoni.

– Ten... – tłumaczyła Sena i pokazała na broń – ...służy do rzucania na dziesięć kroków. Spróbuj.

Pokazała na drzewo. Kami rzuciła raz i drugi. Z tej odległości udawało się jej trafić dwa razy na trzy próby, co i tak było zaskakująco dobrym wynikiem. Sena z uznaniem pokiwała głową, dziewczynka miała prawdziwy talent. Po treningu z nożami ich role odwróciły się na moment. Teraz to Kami pokazywała Senie, w jaki sposób prawidłowo strzelać z dmuchawki.

W czasie gdy dziewczyny szkoliły się nawzajem, obcy zakończyli budowę tratwy. Konstrukcja miała jakieś dwadzieścia kroków długości i piętnaście szerokości.

– Zbieramy się! – zawołał Nidro do pozostałych.

Wtedy jak na zawołanie z lasu wyłonił się tygrys, kot ochoczo podbiegł do maga i bez wahania wskoczył na zaimprovizowany pokład. Zachowywał się tak, jakby wiedział, że będą zaraz ruszać.

– Dziękujemy za pomoc! – zawołał Nidro do Tyby, obcy tymczasem wpatrywał się w niego z rosnącym zainteresowaniem.

– Wy skakać w dół? – zapytał skonfundowany, obserwował w napięciu, jak pozostali zajmują miejsce na trawie.

– Nie ma takiej potrzeby – odparł Nidro i wypowiedział zakłęcie.

Z rzeki pod skalną granią wynurzyła się wodna ręka, ta najpierw chwyciła tratwę z obu stron, zupełnie jakby to była dziecięca zabawka, a potem z wprawą ułożyła ją na wodzie. Miejscowi gapili się na to wszystko z zapartym tchem, byli zupełnie dezorientowani, najwyraźniej nie wiedzieli, co mają ze sobą począć. Instynkt nakazywał im uciekać, ale uśmiechnięta twarz Nidro machającego im ręką na pożegnanie zatrzymała ich w miejscu. Obserwowali, jak tratwa ląduje miękko na wodzie, a następnie rusza do przodu z ogromną prędkością. W rzece aż się zakotłowało, gdy niewidzialna siła zaczęła stanowczo odpychać krokozaurów na boki. Gady odskakiwały od tratwy z takim przyspieszeniem, że niemal wylatywały przy tym z wody. Ten widok zebrani na górze tubylcy powitali gromkimi okrzykami zwycięstwa. Skakali w miejscu, pohukując głośno. Kami, równie podekscytowana co oni, robiła na tratwie tyle samo hałasu. Zastanawiała się, kim był jej nowy wódz, który rzuca krokozaurami z taką

łatwością, jakby to były owocowe pestki. To, co właśnie zobaczyła, utwierdziło ją w przekonaniu, że wybrał go Wielki Duch. Jedynie on potrafi zesłać taką moc. Tygrysowi najwidoczniej udzielił się wojowniczy nastrój dziewczynki, bo biegał z jednej strony tratwy na drugą i próbował pochwycić krokozaury łapami. Te jednak za każdym razem odlatywały w niebyt, zanim jeszcze zdążył je dopaść.

– Co zrobiłaś z bransoletką prawdy? – zapytał Nidro Senę, odruchowo łapiąc się za dziurę w kurtce.

– Dałam ją Kami na przechowanie – odparła zadowolona z siebie dziewczyna. – Ona nie mówi we Wspólnym, więc...

– Więc nie wpakuje nas w żadne kłopoty – dokończył za nią mag.

Na te słowa oboje wybuchnęli śmiechem. Sena usiadła obok niego. Podała mu do ręki piękny i bardzo znajomo wyglądający grzebień, zapewne wykonany z kości jakiegoś egzotycznego zwierzęcia. Przyjął go od niej, a jego oczy na moment skierowały się ku niebu. Zrobił głęboki wydech i już, bez słowa skargi, zaczął delikatnie rozczesywać jej piękne włosy. Przez cały ten czas Kami przyglądała im się uważnie. Sena, widząc zaciekawione spojrzenie dziewczynki, uśmiechnęła się psotnie i puściła do niej oczko. Kami momentalnie powtórzyła jej gest, co pozostali nagrodzili gromkim śmiechem. Z jakiegoś powodu jej najzwyczajniejsze w świecie oczy robiły piorunujące wrażenie na ludziach.

„Muszę o tym pamiętać” – powiedziała w duchu i oparła się plecami o cielsko śpiącego tygrysa.

Rozdział piąty

Naldis

To dzięki cierpieniu odkrywamy nasz pełny potencjał. Człowiek bez cierpienia jest zupełnie jak szczenię, będzie się potykać o własne nogi. W Synti drzemie wielka siła, która czeka, by się wyzwolić. – z Ksiąg zakazanych

Szóstego dnia spływu Wielki Las wypuścił ich ze swoich objęć. Ściana zieleni została gdzieś z tyłu za nimi, wyparta przez jasny błękit nieba i jaskrawy blask słońca. Szerokie łąki mieniły się po obu stronach rzeki wszystkimi kolorami tęczy, pełne pachnących kwiatów i owadów niewielkich rozmiarów. Kami z przejęciem rozglądała się dokoła, próbując to wszystko objąć wzrokiem. Tak duża otwarta przestrzeń była dla niej czymś zupełnie nowym. Na pozostałych widok ten nie robił aż tak dużego wrażenia, choć trudno było nie dostrzec wyrazu ulgi malującej się na twarzach niektórych.

Nidro powoli wypuścił powietrze z płuc i otworzył oczy, kończąc tym samym poranną medytację.

– Otwórzcie oczy – odezwał się do swoich nowych uczniów.

Kami i Sena powtarzały wszystko po nim, deklarując tym samym chęć nauki sztuk walki.

– Tratwa to dobre miejsce, aby nauczyć was walki w zwarcu – mówiąc to, wyjął maczetę z pochwy.

Sena podała Kami nóż i obie z bronią w ręku stanęły naprzeciw niego.

– Zaatakuj mnie – wydał polecenie i wskazał na Senę. – W końcu nóż to twoja ulubiona broń.

Dziewczyna udawała, że się zastanawia. Nagle wyskoczyła w jego stronę i zadała szybkie cięcie w krtani. Nidro odchylił się lekko, w taki sposób, by zejść z linii ataku, i minimalnym ruchem przedramienia zablokował

uderzenie. Wszystko wydarzyło się tak szybko jak mrugnięcie powieką. Sena, nie wiedząc kiedy, stała z opuszczonymi rękami, a Nidro trzymał maczetę przy jej nieosłoniętym gardle.

– Dobrze, zrób dokładnie to samo, ale wolniej.

Dziewczyna powtórzyła atak i dopiero teraz dało się dostrzec wyraźnie, jak Nidro jednocześnie układa nogi i ręce. Wolną dłoń naparł na ramię dziewczyny, a następnie odsunął jej rękę po łuku na bok.

– Zobaczcie, jest wiele sposobów na zablokowanie tego uderzenia.

Dał znak gestem, by Sena zaatakowała ponownie. Tym razem Nidro zbił jej rękę do środka i zakończył ruch z maczetą przystawioną do jej uda.

– Podczas walki decydujące znaczenie ma kierunek, w którym będziecie się poruszać. Jak myślicie, co robi wasz przeciwnik, kiedy będzie miał nad wami przewagę liczebną? Dajmy na to, cztery do jednego.

– Spróbuje nas otoczyć i zaatakować jednocześnie – odparła bez zastanowienia Sena.

– Tak, czysto teoretycznie taki atak dałby przeciwnikowi największą szansę na zwycięstwo. Pamiętajcie jednak, że walka jest ruchem, a skoro napastnicy starają się was otoczyć, to wy musicie wydostać się z okrążenia. Gdy wybieracie właściwą technikę, powinniście myśleć o tym, gdzie chcecie się przemieścić. Najlepiej będzie, jak wam to pokażę. Zaatakujcie mnie obydwie naraz – powiedział, dając Kami znak gestem, by wzięła udział w ćwiczeniu.

Obie dziewczyny spojrzały na siebie, wymieniły się uśmiechami i zaatakowały go jednocześnie. Nidro blokował ciosy lub w jakiś niepojęty sposób płynnie schodził z linii ataku, przy czym nieustannie przechodził z miejsca na miejsce. Robił to wszystko tak zmyślnie, że zaledwie jedna z dziewcząt mogła z nim walczyć w danym momencie.

– Widzicie? – Przerwał ćwiczenie ruchem ręki. – Jeśli podczas walki poruszacie się we właściwym kierunku, wasi przeciwnicy będą przeszkadzać sobie nawzajem, co w efekcie zredukuje ich przewagę liczebną. Dobrze, stańcie naprzeciw siebie i poćwiczcie walkę w parze, ale powoli i bez kontaktu. Pierwsza atakuje Kami, a potem zmiana.

Dziewczyny ćwiczyły, podczas gdy Nidro chodził wokół nich, udzielając im wszelkich wskazówek.

– Kami, jesteś niska, wykorzystaj to i tnij w tętnicę udową lub ścięgna. Sena, nie wychylaj się do przodu, musisz stać stabilnie na nogach.

Trening trwał w najlepsze, gdy nagle Sena zatrzymała się w pół ruchu, jakby coś sobie przypomniła.

– A czy pokazałbyś nam tę sztuczkę, to co zrobiłeś Derysowi w Kenir? No wiesz, to z tym...

Nidro uśmiechnął się z lekkim pobłażaniem, widząc, jak dziewczyna próbuje się wysłowić.

– Chodzi ci o to, jak sparaliżowałem jego układ nerwowy?

– O właśnie to. – Pstryknęła i wycelowwała w niego palcem.

– Mhy... – mruknął w zadumie, zanim oznajmił im głośno i wyraźnie – ...energia życiowa nieustannie przepływa przez ciało i koncentruje się w pewnych punktach. Kilka z nich już wam pokazałem: na łokciu, za uchem, nad obojczykiem. Te miejsca są stosunkowo małe i trudno w nie trafić, szczególnie podczas starcia, gdy przeciwnik jest w ruchu. Żeby zablokować czyjś układ nerwowy, trzeba nacisnąć trzy konkretne punkty jednocześnie. Co prawda, wszystkie znajdują się blisko siebie w okolicy serca, jednak są wyjątkowo małe i uderzenie musi być bardzo precyzyjne. Powiem szczerze, nie jestem przekonany, czy jest to odpowiednie ćwiczenie na początek. No, dobrze, możemy przynajmniej spróbować, skoro tak bardzo chcecie. – Uśmiechnął się w odpowiedzi na prośące spojrzenie dziewczyny. – Te punkty są tutaj. – Pokazał im palcem odpowiednie miejsca, wtedy zamilkł, jakby się nad czymś zastanawiał. – Mam pomysł, jak możecie to sobie poćwiczyć – oznajmił wyraźnie czymś zaaferowany.

Wypowiedział zakłęcie, a z rzeki wyłonił się wodny człowiek. Wspiął się na tratwę i stanął przed nimi z opuszczonymi rękami. Fantom na całym ciele miał coś w rodzaju lodowych znamion.

– To są punkty, o jakich wam mówiłem. – Wskazał znamiona na manekinie. – Musicie ułożyć palce w taki sposób i nacisnąć precyzyjnie. – Kilukrotnie zademonstrował im uderzenie. – Poćwiczcie tę technikę, a ja wam powiem, kiedy zdołacie trafić.

– A skąd będziesz wiedział, że trafiłam?

– Jestem sprzężony umysłem z tą kreacją i w pewien sposób ją wyczuwam. Uwierz mi na słowo, że będę wiedział, kiedy zrobisz to poprawnie.

Z wody wyszedł kolejny manekin, więc obie uczennice dostały własny obiekt do ćwiczeń. Dziewczyny zaczęły z zapalem okładać wodne postacie rękami po całym ciele. Nidro chodził wokół nich, obserwował i udzielał wskazówek. Trening trwał do czasu, aż Temu zawołał ich na obiad.

Dzień po tym, jak wypłynęli z Wielkiego Lasu, na brzegu pojawili się pierwsi ludzie. Na początku sporadycznie trafiali na wiejskie sadyby. Z czasem nieliczne drewniane chaty zamieniły się w całe wioski pełne łodzi rybackich i zwierząt hodowlanych. Okoliczni mieszkańcy, gdy dostrzegli przepływającą tratwę, zazwyczaj gorączkowo pokazywali ich sobie palcami. Zdarzało się, że biegły za nimi gromadki dzieci, a w jednej wsi na brzegu zebrał się prawdziwy tłum, by zobaczyć, jakie dziwy wyłoniły się z Wielkiego Lasu. Płynęli w ciągu dnia, nigdzie się nie zatrzymując, a na ląd schodzili wyłącznie na noc. Nidro na postój wybierał same ustronne miejsca, gdzie rosły drzewa z rozłożystymi gałęziami. Mag nie zamierzał tracić czasu na zwiedzanie kontynentu i planował płynąć tak jak najdalej, aż do samego morza, do portu Meana. Nauczony niedawnym doświadczeniem nie okazał najmniejszego zdziwienia, gdy i tym razem cały jego misterny plan ze smakiem pożarł niebieski krokozaur. W takich chwilach człowiek może się wyłącznie pogodzić z losem.

Trzeciego dnia po wypłynięciu z lasu na horyzoncie dostrzegli mury obronne miasta.

– Co to takiego? – spytała Sena zapatrzona w widok przed nimi.

– To Naldis – odparł Temu pewnym siebie głosem – i wygląda na to, że tędy nie przepłyniemy.

Patrzyli na most warowny, jaki wyłonił się bezpośrednio z muru obronnego po obu stronach rzeki.

– Wstrzymali żeglugę przez miasto – potwierdził słowa kupca Nidro. – Zobaczcie, pod mostem zamontowano drewniane kraty, by uniemożliwić łodziom wpłynięcie do środka.

– W takim razie czeka nas przymusowy postój – skwitował Temu ze znawstwem.

– Może to i dobrze – dodał po chwili Nidro. – W końcu Naldis to trzecie co do wielkości miasto na kontynencie. To tu zbiegają się wszystkie drogi obchodzące Wielki Las dokoła, zarówno od wschodu, jak i zachodu. Warto sprawdzić, jak sobie radzą w tych niepewnych czasach.

Na prawym brzegu rzeki Nidro dostrzegł kamienne nadbrzeże portu i właśnie tam skierował tratwę.

– To co, znowu udajemy posłańców? – Sena wyszczerzyła zęby w parodii uśmiechu.

Nidro mimowolnie rzucił okiem na Kami i tygrysa. Wyraźnie skrzywił się, zanim odpowiedział:

– Z tą dwójką możemy zapomnieć o podchodach.

– Mam rozumieć, że tym razem nie poprosisz o nocleg w areszcie? Przecież fajnie było poprzednim razem, prawda, Temu?

– Tak, bardzo fajnie – odparł skwapliwie kupiec.

– Zapomnij o posłańcu i więzieniu.

– To może jakieś nowe przebranie? – Sena nie odpuszczała, delektując się swym sarkazmem.

– Co masz na myśli?

– Możemy się przedstawić jako wędrowną trupą cyrkowa. Wyobraź sobie te rozentuzjasmowane tłumy. Drodzy mieszczenie, przed wami bestia z Wielkiego Lasu. – Sena w teatralny sposób wskazała tygrysa. – Popatrz na to z tej strony, trupa cyrkowa to idealne przebranie dla nas. Ja mogłabym żonglować nożami, ty zrobiłbyś jakieś czary-mary, Kami wróżyłaby z ręki, a Temu...

Oczy wszystkich przeniosły się na handlarza.

– A ja chętnie coś bym przekąsił – skończył za nią kupiec.

– Nie ma czasu na głupoty – podsumował jej wywód Nidro. – Tym razem wchodzimy do miasta z przytupem.

– A cyrk to niby nie jest z przytupem?

– Może i jest, ale nie mam zamiaru robić z siebie błazna. Jak na razie z tych przebieranek wychodzą jedynie same kłopoty. Najwyższa pora, by

zrozumieli, że jestem bojowym magiem.

Przepłynęli pomiędzy grzebieniem drewnianych kei, gdzie wymijali ciasno zacumowane statki i łodzie. Tratwa delikatnie oparła się o kamienny brzeg. Zatrzymali się w miejscu służącym do rozładunku towarów, skąd po trzech kamiennych schodkach wychodziło się do portu rzecznego, pełniącego jednocześnie funkcję targu. Przed nimi, jak okiem sięgnąć, w równych rzędach porozstawiano drewniane stragany. Było jeszcze przed południem, w związku z czym wszędzie wokół panował spory ruch. Z początku w codziennym zamieszaniu zaledwie kilka przypadkowych osób zwróciło na nich uwagę. Wszyscy ci ludzie momentalnie stawali w miejscu, jakby zapomnieli o bożym świecie. Ich sylwetki zastygały w najrozmaitszych pozach, nadając im groteskowy wyraz. To słodkie odrętwienie trwałoby zapewne o wiele dłużej, gdyby ktoś nie wydarł się nagle na całe gardło:

– Ludzie, ratunku! Bestia! Kryć się! Straże, ratunku!

I tak jak pojedyncza kulka śnieżna staje się zaczątkiem lawiny, tak i ten pojedynczy okrzyk przerodził się w zarzewie paniki. Rozpoczęła się reakcja łańcuchowa, a bieganina i wrzaski szybko ogarnęły całe nadbrzeże. Ludzie wbiegali na siebie i tratowali się nawzajem. Jedni, popychani przez falujący tłum, wpadali z pluskiem do wody. Inni z szelestem mokrych ubrań wychodzili na brzeg. Tłukły się gliniane naczynia, a sprzedawcy pakowali swe towary w pośpiechu. Z każdym kolejnym biciem serca psychoza zataczała coraz większe kręgi, aż poziom entropii osiągnął punkt krytyczny. Czyste szaleństwo.

Kami wyszła na brzeg, usadowiona wygodnie na grzbiecie tygrysa, i oglądała całe zajście rozanielonym wzrokiem. Cieszyła się, jakby całe to kolorowe widowisko przygotowano specjalnie dla niej, co w rzeczywistości było bardzo bliskie prawdy.

– Na Martwe Ziemie! Gdzie jest wojsko!? Ratunku!

Nidro stanął czujnie obok dziewczynki i z zainteresowaniem przyglądał się reakcji tłumu.

– Piękna sprawa – powiedziała Sena, dołączywszy do nich. – I pomyśleć, że u dzikich obcych było niekiedy bardziej cywilizowanie niż tutaj.

– Trudno się z tym nie zgodzić – odparł z kpina w głosie Nidro.

– Może to jakaś operetka, a my wchodzimy bez biletów w samym środku przedstawienia?

– Daj spokój, dochodzę do wniosku, że wojsko jest wyłącznie po to, żeby chronić mieszkańców przed nimi samymi – mówiąc to, zasłonił twarz ręką.

– Tak to jest na prowincji, tu ludzie mają serce dla gości.

– Chciałaś chyba powiedzieć, tu ludzie wyrwą serce z gości – popuścił wodze irytacji Nidro.

– Spójrz na to z tej strony: osiągnęliśmy ten sam efekt, co w Kenir, choć nie podpáliliśmy przy tym połowy miasta. – Szturchnęła go pięścią w ramię.

– Jesteśmy w tym coraz lepsi – zgodził się z nią, naśladowując jej wisielczy humor.

– Ja ich trochę rozumiem – powiedziała tym razem zupełnie poważnie. – W końcu u tego kota ludzie służą za karmę.

Obydwoje jednocześnie spojrzeli na tygrysa. Za ich plecami Temu wyjmował niespiesznie bagaże na brzeg. Zdawać by się mogło, że zachowanie tłuszczy nie zrobiło na kupcu żadnego wrażenia.

Ludzie tymczasem rzucili się do bramy, biegli na złamanie karku i niejednokrotnie po drodze deptali się nawzajem. Zdawało się, że zbyt duża ludzka hałastrą usiłowała wcisnąć się w o wiele za ciasną bramę. Wkrótce zbili się w rozedrganą masę na zwodzonym moście, by następnie zniknąć jeden po drugim w ciemnym przejściu. Plac zdążył opustoszeć zupełnie, zanim na wieży uderzyły na alarm spiżowe kuranty. Nidro postanowił zostać na miejscu i poczekać na dalszy rozwój wypadków. W końcu nietrudno się było domyślić, że to jeszcze nie koniec tego jakże ciepłego powitania. Po kilku modlitwach usłyszeli charakterystyczny stukot, jaki wydaje oddział wojska biegnący po bruku. Odgłosy narastały miarowo, aż z przejścia bramnego zaczęli wysypywać się pierwsi żołnierze. Oficer w randze centuriona wydał rozkazy. Oddział na placu zafalował, a następnie zaczął formować się w zwartą linię. W pierwszym rzędzie, tarcza przy tarczy, stanęli włócznicy, za nimi równie karnie ustawili się strzelcy uzbrojeni w lekkie kusze. Było ich wszystkich nie więcej niż cztery dziesiątki zbrojnych. Nidro z dezaprobatą zmarszczył brwi, gdy wszystkie kusze wymierzono w Kami i tygrysa.

– Koniec tej zabawy – fuknął w irytacji. Wypowiedział zaklęcie, a wtedy przed dziewczynką zmaterializowała się wodna tarcza w kształcie orła prezentowanego na godle Cesarstwa.

W odpowiedzi na tak nieoczekiwany pokaz siły żołnierze znieruchomieli w oka mgnieniu. Centurion stał z otwartymi ustami, jakby zastanawiał się, na co właściwie patrzy.

– Mam wrażenie, że to zadanie zaczęło ich trochę przerastać – podsumowała umysłowy i fizyczny paraliż żołnierzy Sena.

Wtedy, jak na zawołanie, wybiegł z rzeki na plac wodny jednorożec, stwór wstrząsnął bujną grzywą na boki i stępa podszedł do maga. Chwycił list przezroczystym pyskiem, a następnie drobiąc maleńkie krociki, zaniósł go centurionowi.

„Co tu się, do ciężkiej cholery, wyprawia, jeszcze przed chwilą grałem z chłopakami w karty na bramie, a teraz biegnie do mnie... – przełknął ślinę – ...wodny jednorożec? Co robić, co robić?” – myślał skołowany oficer.

Spojrzał na swych podkomendnych, ale w ich oczach dojrzał wyłącznie strach i dezorientację. Magiczny stwór przyniósł mu pocztę, lecz on nie zareagował w żaden widoczny sposób i wciąż wyłącznie stał jak sparaliżowany.

„Na Martwe Ziemi, ale się porobiło” – myślał gorączkowo centurion, który do tej pory zdążył spocić się na całym ciele.

Jednorożec w końcu stracił cierpliwość i wcisnął mu list do ręki. Żołnierz trzęsącą się dłonią uniósł go do oczu, by w iście ekspresowym tempie odczytać urzędowe pismo.

– Opuścić broń! – zawołał, gdy zapoznał się z treścią dokumentu.

– Ale Saru – zaoponował jeden z żołnierzy.

– Opuść broń, powiedziałem! – zgasił wszystkie sprzeciwy dowódca. – W dwuszeregu zbiórka! – zawołał, a oddział przetasował się i stanął bokiem do przybyszy. – Prezentuj broń!

Żołnierze zareagowali jednocześnie, przybierając wyuczone latami ćwiczeń pozy. Nidro zdjął wodną tarczę, ale zostawił jednorożca, żeby chodził przed żołnierzami i skubał niewidzialną trawę. Sena pokręciła głową z niedowierzaniem, wyraźnie bawiły ją perypetie baśniowego stwora. Oficer

energicznie podszedł do maga, wykonał regulaminowy salut, w tym celu przyłożył prawą pięść do piersi, i oddał mu list, mówiąc:

– Przepraszam, Saru, za to zamieszanie, nikt nas nie uprzedził, że Saru przybędzie i... – Słowa ze zdenerwowania plątały się mu w gardle. W końcu wydusił z siebie: – Witamy w Naldis.

Następnie spojrzał zdezorientowany na dziewczynkę, kiedy ta akurat zeskoczyła z tygrysa i razem ze swoim pupilem pobiegła oglądać przedmioty pozostawione na kupieckich straganach.

– Dziękuję za szybkie przybycie, centurionie – zaczął z lekką drwiną Nidro. – Nie spodziewałem się aż tak ciepłego przyjęcia ze strony miejscowej ludności.

– Chodzi o to... Bo oni...

– Ja rozumiem. – Nidro machnął ręką, aby uciąć spodziewane banalne wyjaśnienia. – Mój oddział różni się nieznacznie od standardowych formacji.

– Tak, Saru – odparł oficer i pokiwał głową. – Powiedziałbym nawet, że bardzo się różni.

Spojrzał przelotnie na Kami i tygrysa zajętych odkrywaniem zastosowania dla szklanej butelki.

– Jak sami widzicie, nasze przybycie wywołuje szereg... mhy, kompulsywnych zachowań u miejscowej ludności.

Centurion pokiwał głową na znak, że wie, do czego zmierza mag.

– Dlatego, skoro już tu jesteście, odeskortujecie nas do siedziby namiestnika prowincji. Ja i moi ludzie zostaniemy tu na noc.

– Tak jest! – odpowiedział oficer i od razu zaczął wydawać rozkazy.

Żołnierze porwani w ruch tubalnym tonem wykrzykiwanych komend sformowali podwójny szpaler wokół nich. Nidro zawołał Kami do siebie i cały orszak przeszedł przez bramę w stronę centrum miasta. Kiedy szli zwartą grupą, oficer zrównał się z Nidro i powiedział skruszonym tonem:

– Przepraszam, Saru, za moją wcześniejszą reakcję, ale czasy są niespokojne i wszyscy reagujemy tu trochę nerwowo, dlatego usilnie proszę o wybaczenie.

– W porządku, nic się nie stało. – Nidro machnął ręką w uspokajającym geście.

– Piękny jednorożec – dodał oficer, starając się w ten sposób zatrzeć złe wrażenie.

– Ach, dziękuję. – Chłopak obdarzył go wyrozumiałym uśmiechem.

Na wieść o niecodziennych przybyszach mieszkańcy tłumnie wylegli na ulice. Jedni wyciągali szyje, aby zobaczyć bojowego maga, który nadchodzi ich ocalić, inni zaś, by na własne oczy ujrzeć straszne potwory z Wielkiego Lasu, które zapewne mają ich zjeść. Tłum wokół nich gęstniał z każdą chwilą i gdyby nie zbrojna eskorta, ludzie niechybnie dawno weszliby im na głowę. Mieszkańcy pokazywali ich sobie palcami i wołali między sobą:

– Patrzcie, prawdziwy bojowy mag z Tarnau.

– Prowadzi na wojnę bestię z Wielkiego Lasu.

– Cesarz nadchodzi z armią.

Przybysze mieli przed sobą pełne spektrum ludzkich zachowań. Jedni mieszkańcy kłaniali się nisko, za to inni na widok tygrysa kryli się po bramach. W pewnym momencie tłum w bocznej uliczce zaczął się przerzedzać, a ludzie odsuwali się na boki z wyrazem obrzydzenia na twarzach. Przyczyną zamieszania okazała się stara kobieta, musiała mieć przy tym sporo krzepy, skoro parła wprost na nich z wiadrem nieczystości w spracowanych rękach. Szła, trzeba jej przyznać, z niezłomną determinacją na twarzy, prosto w stronę Kami. W końcu zatrzymał ją jeden z żołnierzy, zagrządzając jej drogę włócznią.

– To demon! – Starucha zaczęła się wydzierać na całe gardło, a chudym jak pietruszka palcem wskazała na dziewczynkę. – Demon z czeluści piekielnej!

Kami zatrzymała się odruchowo i z zaciekawieniem zaczęła przyglądać się całej scenie. Kobieta zdaje się zrozumiała, że dalej się nie przeciwie, bo zrobiła szeroki zamach wiadrem i bluznęła strumieniem nieczystości wprost w stojącą nieopodal dziewczynkę. Fala smrodliwej cieczy chlusnęła, zawisła w powietrzu na długość ramienia przed Kami, i z siłą wodospadu runęła z powrotem na staruchę, czym wywróciła ją na ziemię. Na ten widok zgromadzony wokół tłum ryknął gromkim śmiechem, a niecodzienny

korowód jak gdyby nigdy nic ruszył w dalszą drogę, zostawiając umorusaną babę samą z jej problemami.

– Prowincjonalne miasto, prowincjonalne zwyczaje – skomentował nieudany zamach Nidro.

Na szczęście po incydencie z wiadrem obyło się bez dalszych ekscesów, niebawem też minęli posterunek straży i dotarli do bramy pałacowej, prowadzącej na teren otoczonego zielenią kompleksu.

Pałac w Naldis nie dość, że cieszył oko piękną architekturą, do tego znacznie różnił się od typowych imperialnych budowli. Nadano mu kształt czteropoziomowej piramidy o podstawie kwadratu lub – jak powiedzieliby miejscowi – przypominał ogromny tort. Pierwszy kwadrat u podstawy budowli miał bok długości dwustu kroków i otoczony był równym rzędem wysokich marmurowych kolumn. Nad nim wzdłuż krawędzi znajdowały się ogrody i tarasy, tu zielone pnącza roślin spływały po kolumnach w dół niczym krem po wspomnianym torcie. W środkowej części piętra znajdował się kolejny kwadrat o boku długości stu sześćdziesięciu kroków. Nad nim wznosił się oczywiście kolejny taras i kolejny kwadrat. Pałac był najwyższym budynkiem na kontynencie, nic więc dziwnego, że cała trójka oglądała go z wielkim zainteresowaniem. Do budynku przechodziło się przez starannie utrzymany ogród, gdzie piaszczystą drogę wytyczały równo przyszczyżone żywopłoty, a na zadbanych trawnikach stały marmurowe rzeźby i fontanny. Kami biegała od jednej figury do drugiej, by wszystkiego dotknąć. Najwyraźniej widok kamiennych ludzi był dla niej nietuzinkowym przeżyciem. Pozostali cierpliwie czekali na nią, aż sobie wszystko obejrzy, i zanosilo się na to, że przejście ostatnich trzystu kroków zajmie im więcej niż cała przeprawa przez miasto.

– Chodź, Kami. – Nidro zamachał do niej ręką.

Dziewczynka zostawiła ostatni posąg w spokoju i ruszyła w jego stronę. Służba, o ile do tej pory spokojnie czekała przy wejściu, na widok tygrysa zamarła ze strachu.

– On wam nic nie robi – uspokajał ich mag.

To jednak na nic się nie zdało, bo gdy tygrys zbliżył się do drzwi, służący schowali się za plecami Nidro, wierząc zapewne, że ten ochroni ich przed

bestią. Chłopak pokręcił głową z rezygnacją. To są właśnie skutki straszenia dzieci od kołyski opowieściami o potworach z Wielkiego Lasu. Weszli do środka budynku, a gdy znaleźli się w przestronnym westybulu, Kami z ekscytacją rzuciła się na marmurową podłogę, wyłożoną bordowym dywanem, i z ogromnym zapalem zaczęła głaskać go ręką. Nidro zrobił głęboki wdech, co teoretycznie miało pomóc mu oswoić się z sytuacją. Rozumiał fascynację dziewczynki zupełnie nowym światem oraz atawistyczne reakcje ludzi na widok tygrysa, nie mógł się jednak oprzeć wrażeniu, że w tym całym międzygatunkowym kabarecie przypadła mu rola przedszkolanki. Przed nim Kami biegała na czworakach, za nim służba trzęsła się ze strachu, czyste szaleństwo.

– Chodźmy dalej – odezwał się do lokaja, kulącego się najbliżej niego.

Ten, nie spuszczając wzroku z tygrysa, nerwowo pokiwał głową. Ruszyli w głąb korytarzem, a służący wskazywał im drogę ręką.

– Kiedy Sur się odświeży, Saru namiestnik zaprasza na uroczysty obiad – oznajmił służący, otwierając drzwi do komnaty Kami.

Dziewczynka wpadła do środka niczym lis do kurnika i od razu zaczęła wszystkiego dotykać. Za nią weszła Sena, by w jednym altruistycznym zrywie pokazać dziewczynce, w jaki sposób należy korzystać z łaźni. Takie budynki jak ten miały zbiorniki z ciepłą wodą, dlatego wzięcie gorącej kąpieli nie nastręczało żadnych trudności. Dla osoby wychowanej w lesie obsługa łaźni mogła być jednak mało intuicyjna. Sena stała z rękami skrzyżowanymi na piersiach i czekała, aż dziewczynka zaspokoi pierwszą ciekawość, kiedy jednak Kami dorwała się do łóżka i odkryła sprężynowy materac, jej cierpliwość została poddana prawdziwej próbie. Dziewczynka najpierw dokładnie go obejrzała, spróbowała naciskać piernat ręką, aż odkryła, że w środku zamontowano metalowe sprężyny. Wtedy zaczęła skakać na materacu jak pchła po psie. Tygrys najwyraźniej podzielał jej zainteresowanie, bo z zapalem naciskał elastyczną powierzchnię lewą łapą. Kami, skacząc na łóżku, odkryła kolorowe poduszki i już miała jedną z nich walnąć tygrysa w głowę, kiedy Sena w końcu się poddała, podeszła do dziewczynki i delikatnie, acz stanowczo złapała ją za rękę. Ta momentalnie przestała skakać, odłożyła poduszkę na miejsce i dała się potulnie

zaprowadzić do łaźni. Tam Sena kazała jej się rozebrać. Pośrodku pomieszczenia znajdował się mały basen, do którego wchodziło się po kamiennych schodkach. Sena zatkała otwór w podłodze specjalnym drewnianym korkiem i odkręciła zawór z ciepłą wodą. Kami patrzyła z zainteresowaniem, jak z miedzianej rury leci ukrop, a po chwili sama z niesłabnącym zapalem manipulowała kurkami. Odkręcała jeden, a zakręcała drugi, i tak na okrągło. Sena dała w końcu upust frustracji, bo zaczęła głęboko oddychać. To było coś, co nie tak dawno podłapała od Nidro. Zanosilo się na to, że ta kąpiel nigdy nie dojdzie do skutku. Ostatecznie jednak Kami porzuciła zabawę kurkami na rzecz wielkiego srebrnego lustra zawieszonego na ścianie. Sena wykorzystała ten moment, by napelnić basen wodą, a gdy otworzyła fiolkę z wonnym olejkiem, dziewczynka znów była przy niej. Najpierw chciała zobaczyć samą buteleczkę, potem zaczęła wachać wszystko dookoła, a gdy miała pobiec po zielone ręczniki, by je sobie pooglądać, Sena pokazała jej palcem na basen. Kami wystarczyło, że ujrzała lekko spienioną wodę, by z radością niemal wbiec do środka. Sena westchnęła z ulgą, cieszyła się, że choć przez chwilę ma ją w jednym miejscu. Wzięła specjalne szmatki do mycia i zaczęła szorować dziewczynkę po całym ciele. Po kąpeli podała Kami miękkie ręcznik, a sama poszła przeglądać ubrania, jakie zostawiła dla Kami służba. Pośród nich wypatrzyła piękną żółtą sukienkę i pokazała ją dziewczynce. Ta momentalnie przestała się bawić ręcznikiem i pędem rzuciła się w jej stronę. Sena powstrzymała ją dosłownie w ostatniej chwili, gdyż Kami wciąż była cała mokra. Okazało się, że zabawa ręcznikiem nie obejmowała w ogóle wycierania. Dopiero Sena wytarła ją i rozczesała jej szmaragdowe włosy grzebieniem. Gdy opuszczała komnatę, dziewczynka była czysta i przebrana w nowe ubranie. Jeszcze zanim zdążyła zamknąć ciężkie drzwi za sobą, dostrzegła kątem oka, jak Kami bierze szeroki zamach poduszką prosto w głowę tygrysa.

Po kąpeli Nidro ubrał się w czysty oficerski mundur, składający się ze skórzanej kurtki i długich spodni, pelerynę sobie darował. Do pasa przypiął maczetę i tak wyrychtowany wyszedł na korytarz. Tu odszukał go przerażony służący, młody chłopak ubłagał go pełnym przejęcia głosem, by

to on sprowadził Sari Kami na obiad. Służba bynajmniej nie miała zamiaru otwierać drzwi do komnaty bestii, skąd nieustannie wydobywały się różne niepokojące dźwięki. Nidro natomiast bez wahania wszedł do środka i ujrzał, jak dziewczynka z całej siły próbowała zepchnąć tygrysa z łóżka. Ten jednak rozłożył się na całej szerokości dwuosobowego materaca i nie wyglądało na to, by zamierzał się stamtąd ruszyć.

– Chodź, Kami. – Wyciągnął do niej zapraszająco rękę. – Idziemy na obiad.

To dziwne, ale gdy padło słowo „obiad”, tygrys nieoczekiwanie zmienił zdanie i ochoczo ruszył za nimi. Wyszli na korytarz, gdzie natknęli się na Temu, akurat szedł w ich stronę ubrany w wytworny niebieski płaszcz z podniesionym kołnierzem, tak modny w ostatnich czasach. Do kompletu brakowało im wyłącznie Seny. Czas mijał, a dziewczyna nie dawała znaku życia. Nidro pukał, stukał, gadał do drzwi, by postarała się pospieszyć, bo wszyscy są przecież głodni, ale nic to nie dało. W końcu powiedział zrezygnowany:

– Idziemy bez niej.

A wtedy jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki drzwi otworzyły się szeroko, a w przejściu stanęła Sena w pięknej białej rozkloszowanej sukni. Otaczała ją zmysłowa aura kobiecego wdzięku. Ten widok sprawił, że Nidro zapomniał o obiedzie, tak samo zresztą jak i o bożym świecie.

– No idę, idę – powiedziała, zamykając z trzaśnięciem drzwi za sobą. Skwitowała śmiechem maślane spojrzenia obu mężczyzn. Puściła oko do Kami i chwyciwszy dziewczynkę za rękę, ruszyła do sali jadalnej.

Nidro musiał przyznać, że efektowne wejścia Sena miała opanowane równie dobrze, co notoryczne spóźnienia. W bogato urządzonym atrium, pełnym kobierców w odcieniach czerwieni i beżu, kandelabrow z brązu oraz marmurowych rzeźb ustawionych wzdłuż obu ścian, czekała na nich liczna delegacja lokalnych urzędników.

– Jestem Neton – przedstawił się jako pierwszy namiestnik prowincji.

Był to niezwykle przystojny, wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna. Miał wydatne kości policzkowe i kręcone włosy do ramion koloru pszenicy.

– A oto moja małżonka, Denija.

Niska, szczupła brunetka wydawała się krucha jak babie lato, ubrana była w długą czarną suknię bez rękawów. Dygnęła przed nimi, prezentując piękne białe zęby. Po oficjalnej części, której punktem kulminacyjnym było obwąchiwanie gości przez bestię z Wielkiego Lasu, wszyscy zasiedli do jednego stołu. Tygrys z racji swej morderczej aparycji został nakarmiony jako pierwszy. Wystarczyło, że rzucono mu na podłogę połówkę świniaka, przekąska wyraźnie przypadła mu do gustu, bo wyposzczony po długim rejsie kot położył się obok niej i zamlaskał z apetytem.

– Więc mówicie, Saru, że sami z własnej woli weszliście do Wielkiego Lasu?

Neton nie mógł wyjść z podziwu dla wielkiej odwagi lub może raczej bezmiernej głupoty swoich gości.

– Tak, jakoś tak wyszło. Jestem na kontynencie z misją zwiadowczą i zaglądam w różne dziwne miejsca – odpowiedział wymijająco Nidro.

– Więc tam jest więcej takich istot jak ta dziewczynka. – Dyskretnie wskazał na Kami.

– Nie przesadzę, jeśli powiem, że jest ich tam bez liku. I mają dużo więcej takich kotów jak ten w rogu. – Skierował wzrok na zajętego posiłkiem tygrysa.

– To niesamowite, naprawdę nie do wiary. Okazuje się właśnie, że nasz świat zamieszkują inne rasy rozumne, co potwierdza... A, nie będę Saru zanudzał opowieściami o kultach.

– Ależ śmiało, proszę mówić, jeśli zna Saru jakieś wzmianki o historii Ludu, to chętnie posłucham.

– Ach, no dobrze, opowiem, co wiem. Ja sam od wielu lat pasjonuję się religioznawstwem – podchwycił szybko temat Neton. – Mam pewną teorię na ten temat, że wszystkie istniejące obecnie wierzenia wywodzą się z jednego, pierwotnego kultu. Ale może lepiej przejdę do sedna. Na ziemiach Wolnych Ludzi, daleko na samym południu, znajduje się Kraina Płytkich Jezior. To swoista enklawa, gdzie żyją i nauczają kapłani Joku.

– Kapłani Joku? Nigdy o nich nie słyszałem.

– Nic dziwnego, Saru – Neton obdarzył gościa wyrozumiałym uśmiechem – w Cesarstwie mało kto o nich wie. Joku twierdzą, że całe eony temu

Wielobóg podzielił świat w taki sposób, by odizolować od siebie poszczególne rasy rozumne. Uważają, że to miejsce, w sensie cały świat, jest wielką kulą zawieszoną w zimnej pustce. A my, to znaczy ludzie, zasiedlamy wyłącznie specjalnie wydzieloną dla nas część tego wielkiego globu.

– No cóż, to bardzo odważna teoria ... – zaczął nieprzekonanym głosem Nidro.

– Wiem, że brzmi dość nieprawdopodobnie – wszedł mu w słowo Neton – ale zapewniam Saru, że ich naukom trudno odmówić logiki.

– A w jaki heurystyczny sposób oni doszli do tego skądinąd nietuzinkowego przekonania? Przecież nikomu nie udało się dotąd przekroczyć Wielkiej Pustyni, a przynajmniej ja nic o tym nie wiem.

– To prawda, Saru, nikomu. Jednak Joku utrzymują, że ich wielki prorok, jego imię jakoś wypadło mi z głowy, w swoich licznych wizjach rozmawiał z samym Wielobogiem i że stąd bierze się cała ich wiedza o świecie.

– Aha – zabrzmiało jak rozczarowanie.

– Ja bynajmniej nie chcę Saru namawiać do czegoś ani też podważać żadnych przekonań. Wspomniałem o tym, ponieważ ta doktryna, jako jedyna znana mi, otwarcie naucza o istnieniu obcych ras.

– Rozumiem. – Twarz Nidro pozostała nieprzenikniona.

– To wszystko jest ponoć szczegółowo opisane w Księdze Objawień.

– Po tonie wypowiedzi wnioskuję, że Saru nie posiada własnego egzemplarza?

– Niestety nie – westchnął przeciągle Neton. – O księdze dowiedziałem się z ustnych przekazów, a zdobycie jej jest poza moim zasięgiem.

Nidro obdarzył namiestnika pytającym spojrzeniem.

– Ujmę to tak. Wszystkie moje dotychczasowe starania utwierdziły mnie w przekonaniu, że księga, jeśli w ogóle istnieje, to jest dostępna jedynie dla garstki wybrańców. Od wielu lat interesuję się Joku i dużo bym dał, aby zgłębić ich wierzenia, Niestety łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Ich bardzo trudno spotkać, mam tu na myśli Kontynent Wolnych Ludzi, bo na ziemiach Cesarstwa jest to wręcz niemożliwe. Jednak warto mieć na uwadze, że pobyt Saru w Wielkim Lesie w oczywisty sposób zdaje się potwierdzać ich nauki.

„Tak, to rzeczywiście dość dobrze wpisuje się w nasze odkrycie. Kapłani Joku, mhy, ciekawe, muszę to zapamiętać” – myśli Nidro zawiesiły się na moment i ugrzęzły gdzieś na mieliźnie głębszego zrozumienia znaczenia słów namiestnika.

– Czy spotkał Saru jeszcze jakieś inne bestie? Chętnie o tym posłucham. – Neton płynnie wrócił do pierwotnego wątku rozmowy.

– Oczywiście, jest tam tego bez liku – odparł Nidro, podsuwając sobie bliżej krzesło, i pokrótce zaczął wymieniać namiestnikowi wszystko to, co może zabić człowieka w Wielkim Lesie.

Neton słuchał z zapartym tchem, a z każdym kolejnym przykładem jego oczy robiły się coraz większe. Kiedy mag dotarł na swej liście do zabójczych mrówek, były niemal tak wytrzeszczone jak u żaby. Sena tymczasem prowadziła wielce ugrzecznioną rozmowę z żoną namiestnika, z kolei ta gdy usłyszała o wielkim wężu jaskiniowym, o mało nie zemdląła na krześle. Kami natomiast próbowała po kolei każdej potrawy i jedynie Temu nałożył sobie na talerz więcej jedzenia od niej. O ile ona jadła z apetytem pieczone ziemniaki z majonezem, o tyle on wołał majonez z pieczonymi ziemniakami. Jednak cały obiad stracił dla Kami znaczenie, kiedy służba podała deser. Dziewczynka najpierw zjadła lody, potem ciasto, a na sam koniec rzuciła się na owoce w czekoladzie, po których ledwo mogła się ruszyć, dlatego siedziała teraz objedzona przy stole i popijała wyłącznie świeży sok z owoców i warzyw.

– Czy Saru ma dla mnie jakieś rozkazy w związku z obecną sytuacją na kontynencie?

– Nie, nic szczególnego. Róbcie to, co do tej pory, przestrzegajcie prawa, chronście obywateli przed bandytami. Kiedy dotrę do Oka Świata, przekażę dowództwu szczegółowy raport o waszej sytuacji. Jestem pewien, że Wielka Rada, a przede wszystkim sam Cesarz podejmą zdecydowane kroki, by ustabilizować sytuację w regionie.

– Z pewnością, z pewnością – zgodził się z nim namiestnik, lekko kiwając głową.

– Chciałbym po obiedzie zaopatrzyć się na dalszą drogę.

– Ależ oczywiście, Saru. – Namiestnik od razu przeszedł na służbowy ton.
– Ja – kontynuował, skinąwszy dworsko głową – jak również administracja całej prowincji oddajemy się niezwłocznie pod rozkazy Saru.

– Nie ma takiej potrzeby. – Nidro powstrzymał go ruchem ręki. – Jutro rano ruszamy w dalszą drogę, weźmiemy wyłącznie konie, żywność i broń.

– Oczywiście, Saru, co tylko rozkażecie. Przekażę dowódcy, by oprowadził Sur po pałacu wedle waszego uznania, a w szczególności po zbrojowni i stajniach. Natomiast jutro, zgodnie z rozkazem, każę przygotować śniadanie z samego rana.

– Doskonale – skwitował Nidro, rozparłszy się przy stole.

– To wspaniale, że Cesarz w swej wielkiej mądrości wysłał bojowego maga do naszej prowincji. Teraz wszędzie dochodzi do zamieszek i porwań, więc sama obecność Saru maga pomoże uspokoić sytuację.

– Słyszałem, że Synti się zbuntowali. Czy to prawda?

– Nie do końca, a w każdym razie nie wszyscy Synti się buntują. Główny problem stanowią Libertyni z Wolnych Ziem. Kiedy dotarły wieści o naszej klęsce w wojnie, zaczęli masowo uciekać. U nas na szczęście nie było ich zbyt wielu. Najwięcej Wolnych Ludzi trafiło na Geneę i to tam jest najgorzej.

– A co z Oser i Tendar? Doszły mnie słuchy, że niedawno wybuchło tam powstanie.

– Nie, na pewno nie powstanie – zachnął się Neton. – Kilku Synti chwyciło za broń, to prawda, lecz wojsko szybko ich spacyfikowało. Jednak słowo „powstanie” nie bardzo pasuje do tego, co tam się faktycznie wydarzyło.

– Czy mam przez to rozumieć, że nie macie żadnych problemów? – Nidro spojrzał badawczo na namiestnika.

– No, aż tak dobrze to nigdy nie jest – skrzywił się Neton. – Dziś rano, na przykład, moi Dobrzy Ludzie donieśli mi, że jakiś oddział zbirów napadł na karawanę.

– Napadł na karawanę – powtórzył za nim Nidro z rosnącym zainteresowaniem.

– Tak, Saru, wiozącą Synti i specjalistyczne wyposażenie górnicze do Tana. Ponoć bandyci wybili całą eskortę i zagarnęli towar. Wspominam

o tym, ponieważ jak Saru sam powiedział, jutro rano ruszacie na południe, a w związku z tym możecie natknąć się na nich po drodze do Meana. Moi zwiadowcy twierdzą, że kierują się głównym traktem na wybrzeże.

– W takim razie z ochotą zajmę się nimi, i powiem więcej, jeśli napotkam po drodze jakiegokolwiek inne grupy bandytów, to przynajmniej tygrys będzie miał zajęcie.

– Wybornie. – Namiestnik złożył dłonie razem, a promienny uśmiech rozciągnął mu lico. – Wierzę, Saru, że z łatwością ich rozpoznacie. Dowódca oddziału ma sprawne jedno oko i łysą głowę pokrytą licznymi bliznami.

– W takim razie przypuszczam, że wiem, dokąd zmierzają ci bandyci – odrzekł Nidro, tłumiąc narastające rozgoryczenie.

– O, więc Saru słyszał o nich? – Netonowi nie umknął krótki błysk, jaki pojawił się na moment w błękitnych tęczaówkach maga.

– Tak, to mój orzeł go okaleczył. Kiedy się spotkaliśmy, nie wiedziałem jeszcze, że to zdrajcy, i nieopatrznie puściłem ich z życiem. Szczęście w nieszczęściu, że mogę to teraz naprawić – dodał na pozór obojętnym tonem.

– To świetnie się składa – odparł Neton i uśmiechnął się z satysfakcją. – Musimy w końcu przywrócić porządek na drogach. Moje patrole niemal każdego dnia rozpędzają jakieś bandy rabusiów. Połowa garnizonu w tej chwili ochrania wszystkie okoliczne miasteczka. Ja mam zaledwie trzy centurie żołnierzy i nie jesteśmy w stanie być wszędzie jednocześnie.

– To zupełnie zrozumiałe – zgodził się z nim Nidro, skwapliwie kiwając głową.

– Musimy poczekać, aż Cesarz wyśle do nas swoje armie. Wtedy znów zapanuje ład i porządek.

– Jestem pewien, że nastąpi to niedługo – odparł mag, odsuwając od siebie puste talerze. – Dziękuję za wspaiały poczęstunek i jeśli Saru pozwoli, przejdę się do zbrojowni.

– Ależ oczywiście.

Neton wezwał gestem dowódcę garnizonu, on zresztą sam zgłosił się na ochotnika, aby oprowadzić gości po pałacu.

– Czy ktoś idzie ze mną? – zawołał Nidro do towarzyszy.

Temu nie mógł odejść od stołu, wzbraniał się przed tym, by nie obrazić gospodarzy, zwłaszcza że wnoszono właśnie żeberka wołowe, a szkoda, by się zmarnowały. Senie dawno wyczerpał się temat o sadzeniu roślin ozdobnych, z radością więc wymówiła się wizytą w stajni. Kami wstała, ale jakoś tak ciężko i z widocznym trudem podążyła za swym wodzem. Ich przewodnikiem okazał się smagły oficer w randze primusa, podszedł do nich w towarzystwie dwóch centurionów. Twarze żołnierzy przepełnione były autentyczną ekscytacją, co dobitnie świadczyło o tym, że pierwszy raz w życiu mieli możliwość osobistego spotkania się z bojowym magiem. Zadanie oprowadzenia gości po pałacu potraktowali jak prawdziwy zaszczyt. Primus na życzenie Nidro wpierw poprowadził ich do zbrojowni.

– Zapraszam Sur do środka – oznajmił, otwierając przed nimi szerokie wierzaje.

Wkroczyli do przestronnej sali, gdzie na drewnianych stojakach prezentowała się wstępnie posegregowana i dobrze naoliwiona niemal każda konwencjonalna broń używana przez cesarskie wojsko. Różne miecze i tarcze, włócznie i halabardy, łuki i kusze, kolczugi, kapaliny i zbroje, mieniły się w blasku lamp. Kami standardowo najpierw obezrzała wszystko dookoła, dwa razy dotykając przy tym każdej jednej sztuki broni. W końcu wybrała sobie krótką włócznię, z jakiegoś powodu właśnie ta prosta broń najbardziej przypadła jej do gustu. Dziewczynka z zainteresowaniem wymacała palcami jej metalowe ostrze.

– Dobry wybór, Kami – pochwalił ją Nidro. – Włócznia jest lekka i ma duży zasięg ataku, to doskonała broń dla ciebie na początek. Trzeba ci ją będzie odrobinę skrócić.

– Chętnie się tym zajmę, Saru. – Jako pierwszy zareagował towarzyszący im centurion.

Nidro pokazał mu, na jaką długość trzeba przyciąć broń, w tym celu zaznaczył odpowiednie miejsce płytkim nacięciem na drzewcu. Oficer wziął od niego włócznię i wyszedł z nią gdzieś na zewnątrz. Nidro również wybrał włócznię, dodatkowo uposażył się w zestaw noży bojowych. Sena co prawda oglądała przelotnie noże i sztylety, żaden jednak nie przykuł jej uwagi na dłużej. W końcu zdecydowała się na lekki łuk, a do niego sama dobrała

sobie najlepsze strzały. Kami chciała wziąć jeszcze wysoką tarczę ciężkiej piechoty, ale ta okazała się dla niej stanowczo za duża. Po wizycie w zbrojowni wycieczka ruszyła do stajni.

– Witam, Sur! – Koniuszy uklonił się nisko, jednocześnie zmierzył ich badawczym spojrzeniem, jakby oceniał nowego ogiera. – W czym mogę służyć?

– Jesteśmy w trakcie misji bojowej i potrzebne nam konie na dalszą drogę.

– To świetnie Sur trafił, posiadamy najlepsze konie na całej Rubieży, zapraszam dalej. A ile wierzchowców potrzeba?

– Sześć, z czego trzy z oporządzeniem i trzy na podmiankę.

– Rozumiem, że chodzi o szybką jazdę?

– Tak, ścigamy oddział wroga i nie planujemy się oszczędzać.

– Oczywiście, Saru. – Koniuszy zastanawiał się przez chwilę. – W takim razie...

– A ja bym chciała dostać białego konia – wtrąciła się Sena z subtelnością ściętego drzewa.

Nidro spojrzał na nią równie zaskoczony, co rozbawiony jej bezceremonialnym wejściem.

– No co, zawsze o takim marzyłam – dodała jeszcze, rozglądając się na boki, jakby mieli jej tego wymarzonego konia ukradkiem schować pod ziemią.

– Oczywiście, Sari – podjął z nieskrywaną radością koniuszy. – Mam wspaniałą, śnieżnobiałą klacz. – Wskazał gestem, by poszli za nim.

Kami przyglądała się koniom z niegasnącą fascynacją, takich dziwacznych zwierząt nie widziała jeszcze nigdy w życiu. Zaglądała w ich mądre ślepie, zawieszone wysoko na długich szyjach.

– Dobrze, że tygrys został w pałacu – zreflektował się po czasie Nidro.

– Oto ona. – Koniuszy wskazał na klacz, która wyglądała, jakby cała wpadła do beczki z białą farbą. – To Elda.

– Jaka ona jest śliczna! – zaćwierkała rozpromieniona Sena. Wystawiła do klaczy dłoń, w której, nie wiadomo skąd, pojawiło się okazałe czerwone jabłko. Elda potrząsając łbem, z wielką gracją ruszyła w jej stronę, zapewne skuszona pysznym świeżym przysmakiem. – Zobacz, Nidro, nawet pasuje

mi do sukienki. – Dziewczyna wskazała na wierzchowca, jakby mówiła do grupy dekoratorów wnętrz.

Mag zamiast odpowiedzi wymownie przewrócił oczami. Elda szybko uporała się z jabłkiem, a gdy owoc znikł w jej pysku, obwąchała Senę dokładnie, czy ta aby nie chowa czegoś jeszcze za plecami.

– Czy Saru ma jakieś preferencje odnośnie do maści? – zwrócił się koniuszy do Nidro.

– Nie, kolory to nie jest moja domena – odpowiedział z ironicznym uśmiechem. Mag wydawał się setnie ubawiony pytaniem. – Proszę jednak, aby konie były gotowe do drogi o świcie.

– Oczywiście, Saru, osobiście tego dopilnuję.

– Dziękuję. – Nidro skinął głową. – To co, idziemy dalej? – zapytał wpatrzony w Senę, podczas gdy ta czule szeptała coś do konia.

Dziewczyna pogłaskała Eldę na do widzenia, zanim wszyscy razem ruszyli w drogę powrotną. Po opuszczeniu stajni dogonił ich centurion ze skróconą włócznią dla Kami. Mag przyjął od niego broń, najpierw sam obejrzał ją dokładnie, a gdy stwierdził, że była ucięta równo pod kątem prostym, podziękował oficerowi i podał ją dziewczynce.

– Chodź, Kami – powiedział i porozumiewawczo skinął głową – pokażę ci, jak się tym posługiwać.

Zrobił trzy kroki na bok i przybrał postawę bojową. Kami ruszyła za nim z włócznią w ręku. Stała obok, jednocześnie starała się naśladować postawę maga. Nidro skinął głową z uznaniem i ustawił się na wprost dziewczynki z uniesioną przed siebie bronią. Dał znak ręką, by go zaatakowała. Dziewczynka wykonała krótkie pchnięcie, z tym że powoli wysunęła broń przed siebie. Nidro w tym samym tempie zasłonił się włócznią. Kami patrzyła z zainteresowaniem, w jaki sposób wódz płynnie unika trafienia. Powtórzyła atak jeszcze kilkukrotnie z większą werwą, a jej włócznia za każdym razem zsuwała się niegroźnie po bloku maga. Potem ich role się odwróciły. To on atakował, a ona miała blokować. Kami pewnie ustawiła włócznię przed sobą, trzymała przy tym mocno za drzewce dwiema rękami. Prawą zatoczyła łuk na wysokość czoła, lewą zaś wysunęła lekko do przodu. Włócznia zasłaniała całą jej sylwetkę, ustawiona ukośnie z ostrzem

skierowanym w dół. Nidro zaatakował, zrobił wypad w przód. W odpowiedzi dziewczynka wykonała ruch rękami, jakby wkładała wiosło do wody, a wtedy ostrze maga niegroźnie zsunęło się po drzewcu jej broni.

– Bardzo dobrze! – Nidro był autentycznie zadowolony. – To jest właśnie podstawowy blok przed atakiem z przodu lub z boku. Skoro zdecydowałaś się na włócznie, to od jutra zaczniemy regularnie ćwiczyć walkę z bronią.

Kiedy skończyli tę pokazową lekcję, Nidro ułożył włócznie wzdłuż ciała. Ukłonił się dziewczynce z szacunkiem, a wtedy Kami, za jego przykładem, powtórzyła ten sam gest. Podczas tych krótkich zajęć wszyscy wokół przyglądali im się z uwagą godną większej sprawy. Nidro dostrzegł podekscytowane spojrzenia towarzyszących im żołnierzy. Wiedział, że w trudnych czasach ludzie muszą znaleźć w kimś oparcie, by stawiać czoła przeciwnościom losu. Armia cesarska od tysięcy lat opierała się na bojowych magach, to oni siali postrach w szeregach wroga, a ich czyny nierzadko obrastały w legendy. Doszedł do wniosku, że mały pokaz walki włócznią nikomu nie zaszkodzi, a wręcz przeciwnie, będzie miał korzystny wpływ na morale. Był pewien, że wieść o tym, co za chwilę im pokaże, trafi lotem błyskawicy do każdego żołnierza stacjonującego w Naldis.

Dał znak gestem, by zostali na miejscu. Sam zrobił kilka kroków w bok i stanął pośrodku kamiennego placu otoczonego rzędem smukłych kolumn. Rozmowy momentalnie ucichły, a cała uwaga zgromadzonych skupiła się na nim. Także strażnicy pałacowi reagowali na to, co się dzieje, i intencjonalnie przystawali w miejscu, by móc się lepiej przyjrzeć całemu zajściu. Powietrze wypełniło się atmosferą oczekiwania. Nidro stanął naprzeciw towarzyszy z włócznią w prawej ręce ułożoną wzdłuż ciała. Trzymał ją w taki sposób, by jej koniec nie dotykał ziemi, a ostrze skierowane było w górę. Stanął w pozycji na wyprostowanych nogach. Lewą ręką jakby w zwolnionym tempie zatoczył szeroki łuk, unosząc ją od biodra aż na wysokość głowy. Dłoń trzymał otwartą, skierowaną krawędzią do ciała. Na początku pokazu zupełnie nic się nie działo. Nidro stał w nieruchomej pozie i jedynie oddychał miarowo. Nagle skrzył całe ciało w prawą stronę, jednocześnie chwycił włócznie obiema rękami. Zrobił to w jednym szybkim zrywie, jakby wypełniła go niewidzialna siła. Stanął stabilnie na nisko ugiętych nogach.

Jego dłonie spoczęły blisko siebie, tak że objęły drzewce włóczni w jednej trzeciej długości. Zamachnął się mocno oburącz, a włócznia przelatowała w powietrzu z jednej strony tułowia na drugą. Ostrze zaczęło miarowo uderzać o posadzkę, co nadało broni swoiste metrum grozy. Wtedy Nidro zaczął obracać się powoli wokół własnej osi, stawiał przy tym małe krociki na ugiętych nogach. Staccato broni uderzającej o posadzkę rozbrzmiewało głuchym echem. Włócznia wirowała rytmicznie, co tworzyło złudzenie, jakby rozmazywała się w powietrzu. Gdy wykonał pełny obrót, energicznie wyskoczył w górę, jednocześnie skręcił ciało w powietrzu. Włócznia zakreśliła długi łuk wokół niego, wzniosła się z furkotem ponad wirującą postać. Uniósł obie ręce, a następnie wykonał mocne cięcie znad głowy, zanim opadł w dół. Wylądował miękko na ugiętej prawej nodze. Broń uderzyła z trzaskiem o kamienną posadzkę, tuż obok wysuniętej do przodu lewej nogi. Podniósł się bez zwłoki i energicznie ruszył w prawą stronę. Miało się wrażenie, że biegnie, ciągnąc włócznię za sobą. Zanurkował głową w dół, zupełnie jakby skakał do rzeki z pomostu. Jego nogi wybiły się mocno, wyrzuciły cały tułów w przód, a wtedy ciało maga obróciło się wokół lewej ręki trzymającej włócznię. Obserwujący to ludzie mieli wrażenie, jak gdyby włócznia została przyklejona ostrzem do podłoża, a mag opierał się na niej całym ciężarem ciała. Przez chwilę wydawało się, że zawisł nad ziemią z nogami w górze. W końcu jednak najpierw lewa, a potem prawa stopa wylądowały miękko na posadce. Stał w pozycji bojowej i przyciągnął włócznię do siebie, przy czym zamienił chwyt rękami. Teraz to prawa ręka zagarniała broń do ciała, a lewa jedynie przepuszczała drzewce przez lekko zaciśnięte palce. Gdy przeciągnął połowę jej długości, mocno zaciśnął lewą dłoń. Wykonał dynamiczny skręt ciałem, jednocześnie uniósł ręce nad głowę. Zaatakował pustkę przed sobą mocnym cięciem z góry. Sam atak był tak szybki, że włócznia wygięła się w iluzoryczny łuk nad jego czołem. Tym razem broń nie uderzyła o posadzkę. Kiedy ostrze opadło na wysokości kolan, zatoczył nim szeroki łuk przed sobą, tnąc poprzecznie. To wszystko działo się tak szybko, że widzowie ledwo zdążyli nadążyć za nim wzrokiem. Zrobił dwa energiczne kroki w ich stronę. Wyskoczył wysoko, przy czym wyrzucił do przodu lewe kolano. Następnie, kiedy wciąż

znajdował się w górze, energicznie skręcił biodra i wykonał w powietrzu półobrót ciałem. W momencie, kiedy opadał na posadzkę, włócznia wystrzeliła zza jego pleców, zakręciła szybki młynek w powietrzu. Mag uchwycił wirującą broń obiema rękami nad głową. Wylądował na kamiennej posadzce, jednocześnie ciął na wprost. Zakończył atak na nisko ugiętej lewej nodze. Jedno uderzenie serca później z powrotem był w powietrzu. Kręcił się i wirował, a ostrze furczało złowrogo, tnąc przestrzeń wokół niego. Podczas każdego ataku słysząc było, jak chłopak głośno wypuszcza powietrze. Jego ciosy były potężne. Nidro nie uderzał, machając samymi rękami, on atakował całym ciałem. Cięcie zaczynało się od nóg, za nimi skręcały biodra, a następnie barki, dopiero na samym końcu podążały ręce trzymające śmiertelnośc broń. Twarde drewno w jego rękach wyginało się we wszystkie strony, przez co obserwatorowi stojącemu z boku wydawało się nienaturalnie plastyczne – jakby włócznia zrobiona była z wierzbowej witki.

Zgromadzeni wokół z zapartym tchem śledzili mistrzowski pokaz. Szczególnie zafascynowani wydawali się żołnierze, wpatrzeni w Nidro jak w obraz, a przecież zarówno z walką, jak i z taką samą bronią mieli do czynienia na co dzień. Jednak to, co rozgrywało się na ich oczach, nie było jedynie szybką kombinacją technik, a raczej zestawieniem najwyższej sprawności zarówno ciała, jak i ducha wojownika. W tym momencie człowiek i broń stawali się jednością i napędzali się wzajemnie swoimi ruchami w kinetycznym sprzężeniu. Dla wszystkich stało się jasne, dlaczego tak trudno jest pokonać maga w walce. To wciąż był groźny przeciwnik, nawet jeśli nie korzystał z magii. Ten chłopak był jak huragan, ciął i kasał ostrzem wszystko w zasięgu pięciu kroków od siebie. Kiedy pokaz dobiegł końca, Nidro zastygł w bezruchu i tkwił tak przez dwa uderzenia serca niczym postać zalana w bursztynie. Wyprostował się, ułożył włócznię wzdłuż ciała i wykonał ten swój ukłon w stronę zgromadzonych widzów. Rozległy się spontaniczne owacje poprzedzone głośnymi brawami. Towarzyszący im żołnierze byli zachwyceni, że sam bojowy mag urządził dla nich ten widowiskowy pokaz. Nidro podszedł do towarzyszy i jak gdyby nigdy nic ruszyli niespiesznie w stronę swoich pokoi.

W dalszą drogę wyruszyli z samego rana, zgodnie z życzeniem maga. Na opustoszałych o tej porze ulicach wyraźnie niósł się odgłos setek końskich kopyt, z rzadka przerywany rżeniem. Podkute staccato w akompaniamencie uderzającego o siebie rynsztunku odbijało się wielokrotnym echem od elewacji budynków. Na czele zbrojnego orszaku jechał Neton z dowódcą garnizonu po swojej prawej stronie. Kilka kroków za nimi podążał klan maga. Kolumnę zamykała centuria kawalerzystów w galowych mundurach z wojennymi proporcami powiewającymi dumnie na uniesionych nad głowami lancach. Sena dosiadała swej białej klaczy. Wzrok miała utkwiony w dal, przez co wydawała się nieobecna.

– Wszystko w porządku? – zapytał Nidro, odwróciwszy głowę w jej stronę.

Dziewczyna zareagowała dopiero po chwili, a jej zdeorientowana mina dobitnie świadczyła o tym, że nie usłyszała pytania.

– Wszystko w porządku, Sena? – powtórzył głośno i wyraźnie.

– Tak, wodzu, doskonale.

Posłała mu jeden z serii zagadkowych uśmiechów.

– Myślałam o pożegnaniu.

– O czym? – Spojrzał na nią, lecz bez zrozumienia.

– O pożegnaniu z Elonem. Dobrze będzie zamknąć chociaż ten temat przed wyprawą do Oka Świata.

Ich konie szły równo obok siebie, jakby jechały w zaprzęgu.

– Zgadzam się, to przeznaczenie nas...

– Nie ma żadnego przeznaczenia – przerwała mu, nie wysilając się na uprzejmość.

– To co jest w takim razie?

– Szczęście, a w przypadku Elona to raczej peszek. Trzeba być prawdziwym pechowcem, aby dwa razy nadzieć się na bojowego maga.

– Nie mów hop – przestrzegł ją. – Jeszcze go nie złapaliśmy.

– Ale złapiemy, czuję to. Przekona się, padalec jeden, jak się życie dziwnie toczy. Jeszcze kilka dni temu gonił za mną po bagnach, a teraz... Jadę z tobą, w towarzystwie bestii z Wielkiego Lasu, za tym śmierdzielem. He, he. Już nie jestem sama, o nie.

– Nie, Sena, nie jesteś sama, ale proszę, nie mów w ten sposób o Kami – odpowiedział i uśmiechnął się do niej szczerze. Dziewczyna zrewanżowała się tym samym.

– Możesz o tym wspomnieć w swoim raporcie, jak dotrzemy na miejsce, że aktywnie zwalczałam zdrajców Cesarstwa.

– Na pewno tak zrobię – odparł niepewny, do czego zmierza Sena, bo że pije do czegoś, nie miał wątpliwości.

– Skoro mam być tą piękną bohaterką na białym koniu, to muszę zadbać o wizerunek, nie sądzisz?

Nidro bezradnie pokręcił głową, najwyraźniej nie znalazł właściwych słów, aby jej odpowiedzieć.

– Nie, nie, mój drogi, nie można spocząć na laurach. Zdobyć odpowiedniej reputacji to nie w kij dmuchał. Nasz kraj potrzebuje bohaterów bardziej niż kiedykolwiek.

– Tu się akurat zgodzę, ale...

– Żadne ale, czy twoim zdaniem nie nadaję się na bohatera Cesarstwa?

– Nooo... – zaczął coś bełkotać, ale Sena znów mu przerwała.

– Sam widzisz, że jestem stworzona do tej roli. A co ci podpowiada to twoje przeznaczenie? – zapytała, czym po raz pierwszy dała mu dojść do słowa.

– Nic mi nie podpowiada, przeznaczenie tak nie działa.

– Aha – westchnęła drwiąco.

– A co tobie podpowiada szczęście? – odbił piłeczkę w jej stronę.

– Że mam się trzymać blisko ciebie – odpowiedziała i zaśmiała się łobuzersko. – Jak na razie kontakt z najwyższą władzą w państwie wywiera na mnie zbawienny wpływ.

Teraz to on się roześmiał.

– W zaledwie kilka dni ze złodzieja...

– Najlepszego złodzieja – poprawił ją.

– O, o, o – pokiwała wskazującym palcem – z najlepszego złodzieja stałam się bohaterem narodowym i epokowym odkrywcą. Najwidoczniej obcowanie z wielkimi ludźmi dobrze na mnie działa.

– Cieszę się, że tak to postrzegasz.

– Tak, właśnie tak to postrzegam. Powiem więcej, zaczynam się przyzwyczajać do wielkości.

Nidro wymownie spojrzał w niebo.

– A teraz mogę załatwić swoje prywatne porachunki, i to ku chwale Cesarstwa. Czego chcieć więcej? Elon tak bardzo chciał odzyskać ten artefakt. Powinien się więc ucieszyć, wiedząc, że klejnot sam do niego jedzie. Tylko że tym razem wsadzę mu go prosto w dupę.

Umysł Nidro mimochodem zwizualizował sobie tę scenę, a niewinny uśmiech zagościł na jego twarzy. Sena za to mówiła dalej:

– W końcu to jest bransoletka prawdy, więc będzie miał naprawdę przesrane.

Obydwoje wybuchnęli śmiechem.

– Co planujesz w związku z Kami po przyjeździe do Tarnau?

– Wcielę ją do wojska jako maga zwierzęcego.

– Nie jest za młoda na służbę w armii?

– Jest młoda – o dziwo nie zaprzeczył – ale ile dziewczynek w jej wieku, uzbrojonych wyłącznie w kij, stanęło do walki z tygrysem jaskiniowym?

– Przekonałeś mnie – odparła polubownie.

– W dodatku wcielę ją do mojego oddziału, więc będę miał nad nią pieczę. Kami jako mag automatycznie dostanie stopień oficerski, damy radę.

– Nie wątpię. – Skinęła głową z aprobatą.

Zatrzymali się przed bramą miejską. Na murach tu i ówdzie wisiały czarne sztandary z białym orłem. Wartownicy w galowych mundurach prężyli się przed nimi na baczność, stali karnie w dwuszerogu wzdłuż drogi. Kiedy ostatni kawalerzyści dotarli na miejsce, Neton wykonał regulaminowy salut, a uderzenie serca później w jego ślady poszli pozostali żołnierze.

– Chwała Cesarstwu! – zawołał namiestnik.

– Chwała! – odpowiedział mu okrzyk setek gardeł.

Nidro oddał salut i w szpalerze zachwyconych spojrzeń przejechał przez bramę na spotkanie z przeznaczeniem. W ślad za nim, z równą determinacją na twarzach, podążyli jego towarzysze. Nie było czasu do stracenia, jeśli chcieli dogonić Elona.

Szeroka, równa droga, ułożona z drobnych kamieni przysypanych ubitym piaskiem, wiła się szarą wstęgą gdzieś na południe. Ich dobrze wykarmione w cesarskich stajniach wierzchowce goniły z całych sił, wyciągając przy tym smukłe szyje, w pogoni za zdradziecką bandą. Ale jak wiadomo, nawet najsilniejsze zwierzę nie jest w stanie utrzymać takiego tempa w nieskończoność. Dlatego za każdym jeźdźcem biegł dodatkowy luzak, na podmianę podczas regularnych popasów. Jedynie Kami podróżowała niestrudzenie niesiona na grzbiecie swojego tygrysa, który, jak zresztą mieli okazję się przekonać, z łatwością prześcigał, gdy chciał, galopującego rumaka. Nic więc dziwnego, że to właśnie Kami wysforowała się na przód ich skromnego oddziału. Taka konfiguracja miała jeszcze jedno czysto praktyczne zastosowanie. A mianowicie, co zostało właśnie empirycznie udowodnione, widok szarżującej bestii z Wielkiego Lasu doskonale udrażniał ruch na drodze. Już samym swym wyglądem tygrys wprawiał podróżnych w osłupienie poprzedzone chwilowym paraliżem zarówno ciała, jak i umysłu. A dzięki swej morderczej aparycji skutecznie rozpędzał zastawiające przejazd wozy, podobnie jak wilk płoszy bezpańskie stado owiec. W dużym uproszczeniu, należy uznać, że to sami podróżni z opętańczym krzykiem na ustach schodzili im z drogi, dzięki czemu pędzący jeźdźcy przebijali się do wnętrza kontynentu niczym głodne korniki przez spróchniałe drewno. Dodatkowo, wbrew wszelkim wcześniejszym ostrzeżeniom, ich podróż przebiegała bez zakłóceń, a bandyci, jeśli nawet znajdowali się gdzieś w tych okolicach, to albo siedzieli cicho schowani po lasach, albo przezornie schodzili im z drogi.

Trzeciego dnia pogoni poranne niebo przybrało kolor krwi, co miało być zwiastunem nadchodzących wydarzeń. Wszystko zaczęło się, kiedy Arto wypatrzył ściganą karawanę. Była dokładnie tam, gdzie się jej spodziewali.

– Są przed nami! – zawołał Nidro do pozostałych.

– Chcesz na nich uderzyć z biegu? – zapytała Sena z rosnącym podekscytowaniem.

– Nie, mam lepszy pomysł. Uważam, że jeśli zaatakujemy frontalnie, to większość buntowników po prostu zrejeruje, a my nie mamy czasu, by się za nimi uganiać po lasach. Dlatego wyminiemy ich bokiem i przygotujemy

zasadzkę. W ten sposób pozabijamy ich wszystkich, zanim się zorientują, co się dzieje. Nasz cel jest prosty – za jednym zamachem zlikwidować cały oddział nieprzyjaciela, a nie tylko samego Elona. Tym razem nie będzie pardonu dla zdrajców.

Smętna karawana rozciągała się na dobre tysiąc kroków, zbrojni Elona jeździli wokół Synti podobnie jak zaganiacze pilnujący bydła. Od czasu do czasu w powietrzu zatańczył bat, krzyk bólu poprzedzał głośny trzask, kiedy rozdwójonym rzemieniem smagał odsłonięte plecy maruderów. Poza niewolnikami, których były tu dobre trzy setki, w skład karawany wchodziło czterdzieści wypchanych po brzegi wozów. Na dwóch z nich siedziały małe dzieci. Na pozostałych znajdowały się ziarno, ptactwo hodowlane, beczki z prowiantem i narzędzia górnicze. Z karawaną wędrowały także liczne zwierzęta, a na łące przylegającej bezpośrednio do drogi wypasało się niewielkie stado bydła. Synti szli powoli, prowadzeni w grupkach po dwadzieścia osób. Mieli powiązane linami nogi i ręce, co w konsekwencji spowalniało ich jeszcze bardziej.

– Tędy – zawołał Nidro do pozostałych, kiedy świadomie poprowadził wierzchowca do lasu. – Jeśli pojedziemy na przełaj, zdołamy ich wyminąć.

Chłodny, lapidarny ton maga stanowił najlepszą zapowiedź nadchodzących wydarzeń. Jego gniady koń posłusznie zjechał z traktu i szeroką pierśią torował sobie drogę przez wybujałe trawy. Pozostali wymienili przelotne spojrzenia, zanim ruszyli jego śladem. W samej kniei poruszali się powoli, ostrożnie przedzierali się przez liczne wykroty, bujne zarośla i przypadkowo powalone drzewa. Teraz nie należało się nigdzie spieszyć, szczególnie że na tak nierównym terenie nietrudno, by koń niefortunnie skrzyknął nogę. Wyminęli karawanę z prawej strony, w tym celu ścięli długi zakręt obchodzący gęsty las leniwym łukiem. Nie ujechali daleko, gdy z powrotem wydostali się na ubitą drogę. Wszystko wskazywało na to, że Nidro prowadził ich prosto na z góry upatrzoną pozycję, do miejsca, gdzie droga wila się pomiędzy porozrzucanymi tu i ówdzie głazami.

– To tutaj. – Nidro wskazał ostrzem włóczni na przydrożne zarośla. – Tu urządzimy zasadzkę.

Jeden po drugim jeźdźcy zsiadali z wierzchowców i z zaciekawieniem rozglądali się wokół. Wysokie skały i gęste zarośla tworzyły w tym miejscu idealną osłonę.

– Odprawa przed bitwą! – zawołał do pozostałych Nidro. Podniósł z ziemi drewniany patyk i zaczął nim coś rysować na piasku. Następnie zebrał kilka drobnych kamyków z pobocza, by je poukładać w sobie tylko znaną mozaikę. – W oddziale jest dwudziestu sześciu zbrojnych – od razu przeszedł do sedna sprawy. – Na szpicy jedzie trójka konnych – kontynuował i ułożył trzy kamyki na piasku – a jakieś pięćset kroków za nimi podąża karawana. Na czele kolumny pieszych jedzie Elon i ten jego osiłek w towarzystwie trójki żołnierzy. – Wskazał patykiem na kamienie ustawione przed długą kreską. – Pomiedzy Synti kręci się jeszcze trzynastu zbrojnych, a na samym końcu w ariergardzie jest zamykająca piątka. Tu jest ten zakręt. – Wskazał dłonią na drogę omijającą skałki. – Mój plan jest łopatologicznie prosty – powiedział z wilczym uśmiechem na ustach, spojrzał na każdego z osobna, po czym dodał: – Musimy ich pozabijać, zanim spróbują nam uciec.

Trzech żołnierzy bujało się leniwie na ciężkich kawaleryjskich wierzchowcach. Ich głównymi zajęciami były zwiad oraz udrażnianie drogi karawanie. Co w praktyce sprowadzało się do bicia, rabowania i gwałcenia przypadkowych podróżnych, jacy niefortunnym zrzędzeniem losu znaleźli się na ich drodze. Z tym że nie wiadomo, czy ze względu na niewielki ruch w okolicy, czy też wyprzedzając ich nadejście niechlubną sławę, tej tak zwanej pracy nie było ostatnio za wiele. Dlatego jechali ospale środkiem drogi, zajęci czymś, co było raczej zwykłą paplaniną niż prawdziwą rozmową.

- Ee, ty, patrz na niego. – Ten po lewej szturchnął kolegę ręką.
- No, ale się drapie – zgodził się ochoczo żołnierz jadący w środku.
- He, he, chrustu tam sobie nawpychaj, zanim ci ręka odpadnie – uzupełnił mało elokwentnie, za to wyjątkowo obrazowo i sugestywnie.
- To jest myśl, będziesz miał obie ręce wolne, co nie?
- A wepchajcie sobie ten chrust do głowy, może wtedy zaczniecie gadać z sensem – odpowiedział im trzeci towarzysz, wciąż drapiąc się ręką po

kroczu.

– A w ogóle, to co ty się tak drapiesz, hę? Na mrowisku siedziałeś czy co?
– Żołnierz w środku najwyraźniej postanowił zgłębić temat.

– Ee, nie wiem – stęknął wezwany do odpowiedzi. – Najpierw swędział mnie sam tyłek, a teraz rozłazi mi się ten świąd po całym ciele. – W jego głosie słychać było rezygnację.

– Ty, słyszałeś, nogi go swędzą, he, he. To dlaczego się drapiesz po jajcach?
– Środkowy wykazał się w równym stopniu empatią, co wszechstronną spostrzegawczością.

– A może to są swędzone jajka? – wtrącił ten z lewej, czym udowodnił, że jego zasób wiedzy dorównuje inteligencji.

– A to dobre – ucieszył się środkowy. – Jak będziesz się tyle drapał, to ci pójdzie w górę, i będą swędzone żeberka.

– Albo i piersi, he, he – bandyta z lewej podchwycił ubogi żart kolegi.

– A ja ci mówię, że on nie jest wcale taki głupi.

– A po czym poznałeś?

– A po tym, że zaczął swędzenie od jajek, zanim przeszedł do mięsa.

– No jasne, że tak, a to dobre, he, he. – Obaj żołnierze parsknęli niewybrednym śmiechem. Trzeci jedynie spojrzał na nich spode łba, ale się nie odezwał.

– A może jajka cię swędzą z innego powodu, co? – ciągnął dalej ten z lewej. – Bo jeśli za długo je wysiadujesz, to coś się w końcu wylęgnie.

– A mówiłem, że trzeba było sikać częściej, a nie trzymać urazę w sobie – podsumował cały wywód środkowy. Choć po niewybrednych minach jego kompanów domyślił się, że i ta figura retoryczna rozbiła się o rafa powszechnego niezrozumienia.

Cała trójka była aż do tego stopnia pochłonięta rozmową, że nikomu nie przyszło do głowy, by się szczególnie rozejrzeć dokoła. Ten błogi stan rozluźnienia towarzyszył im od ostatniego stajania i nic nie wskazywało na to, aby miał ulec zmianie. A przynajmniej tak było do czasu, kiedy wyminęli przydrożną skałę gęsto obrosniętą kępą krzaków. To tu ich oczom ukazało się coś nie tyle zaskakującego, co wręcz nierealnego. Mała upiorzyca siedziała na płaskim kamieniu i jednostajnym ruchem rozczesywała

grzebieniem długie chabrowe włosy. Istota z innego świata omiotła jeźdźców czarnym, proroczym spojrzeniem, i mrugnęła do nich zalotnie. Pierwszy z żołnierzy najpierw odruchowo przetarł oczy ręką, a jego wzrok opadł podejrzliwie na bukłak z samogonem, z którego powodu to właśnie tam upatrywał przyczyny swoich omamów wzrokowych. Stwór wyglądał tak bardzo realistycznie, że jego targany wątpliwościami umysł zaciął się, zakleszczył w niezrozumiałym stuporze, jak gdyby rzucał wyzwanie halucynacji.

– Na Martwe Ziemie! Czy wy też to widzicie? – Wskazał palcem na zjawę, jednocześnie chciał odwrócić głowę w stronę towarzyszy. Lecz zanim zdołał cokolwiek więcej powiedzieć, pierś przeszył mu ostry ból. Żołnierz charknął krwią, gdy stalowy grot włóczni przebił go na wylot.

– Już nie mogę się doczekać, kiedy dotrzemy do Segal. Cała dupa mnie boli od tej ciągłej jazdy – skarżył się Edir dowódca.

Wtedy z lewej strony drogi doszedł go znajomy kobiecy głos:

– Ty już nigdzie nie dojedziesz, palancie.

Odruchowo zwrócił głowę w tamtą stronę, a wtedy krótki nóż do rzucania trafił go prosto w oko. Jego twarz w jednej chwili załała się krwią, a Edir zleciał z konia niesiony siłą uderzenia. Umarł zaraz po tym, jak zwałił się na ziemię, z wyrazem bezbrzeżnego zaskoczenia na twarzy.

– Wszyscy, do broni! Na nich! – zawołał oszołomiony Elon.

Lecz zanim zdołał zrobić cokolwiek więcej, choćby odwrócić głowę, trzech kolejnych jeźdźców padało wokół niego na ziemię z czerwonymi strzałkami w szyjach. Elon rozglądał się nerwowo na boki, jakby szukał wyjścia z pułapki, lecz pomimo szczerych chęci jego świeżo wybudzony z letargu instynkt przetrwania nie dawał sobie rady z taką ilością zmiennych. Dobył miecz z pochwy, a wtedy uderzenie drzewcem włóczni w tors zmiotło go z konia na ziemię. Podczas upadku broń wypadła mu z ręki i potoczyła się z brzękiem w przydrożne zarośla. Jego ciałem zawładnął paraliżujący ból, gdy upadek wypchał mu całe powietrze z płuc, jak w zwolnionym tempie rozejrzał się bezradnie po poboju. Widział końskie nogi drobiące mu przed twarzą, swoich ludzi leżących martwych na drodze i cień... charakterystyczny cień orła, szybko sunący w jego stronę. Na ten widok

przeszył go lodowaty strach. Usłyszał znajomy świergot i zrozumiał, że to koniec. Pierzasty pocisk runął na niego z impetem i wbił ostre szpony w dopiero co zagojoną tkankę. Elon wydał z siebie spazmatyczny krzyk:

– Litości!

Ale jego głos urwał się zaraz, zabierając ze sobą ostatnie tchnienie zdrajcy. Miej więcej w tym samym czasie, z tyłu kolumny, zaalarmowani hałasem żołnierze ruszyli z odsieczą dowódcy, choć z oddali nie mogli widzieć dokładnie, co dzieje się za zakrętem. Zbili się w zwartą gromadę, dobyli mieczy, ale zanim dotarli na miejsce, z przydrożnych krzaków wyskoczył na nich tygrys szablozębny. Konie stawały dęba, krew zamarzała w żyłach, gdy z potwornym rykiem głośniejszym od setek rogów, tygrys zaszarżował i wmieszał się między jeźdźców w iście szaleńczym pędzie. Trudno powiedzieć, czy to z powodu szoku, a może raczej ze strachu, nikt nie odważył się na walkę z bestią, kiedy ta jak rozszałały bąk zawirowała w miejscu. Wielki kot samym tylko machnięciem łapy zrzucał jeźdźców z koni jednego po drugim, ciął ciała ostrymi pazurami, a kości łamał szczękami. Lekkie skórzane zbroje rozpadały się w jego objęciach niczym papierowe ubranka dla lalek. Żołnierze odrzuceni na boki nieprawdopodobną wręcz siłą zwierzęcia wylatywali w powietrze na kilka kroków w górę jak wystrzeleni z katapulty, a z ich porozrywanych ciał buchały fontanny krwi. Gdy idąca im w sukurs grupa ariergardy ujrzała na własne oczy, jaki straszliwy koniec spotkał ich towarzyszy, od razu zapomniała o wszelkiej lojalności i zamiast na pomoc kompanom, rzuciła się na oślep do panicznej ucieczki, a co gorsza, rozjechała się przy tym we wszystkie strony.

– Wiedziałem, że tak będzie. – Nidro zmełł w ustach całą garść przekleństw. – Wiedziałem, że zaczną uciekać, jeśli się zorientują. – W czasie, gdy sam skupił wzrok na malejących w oddali plecach uciekinierów, mentalnie wydał Arto nowe rozkazy. Buntowników została na szczęście niecała dziesiątka, mieli więc niewielkie szanse, aby ująć z tego z życiem. Chwilę po tym, jak ostatni żołnierz zniknął w lesie, orzeł i tygrys ruszyli za nimi w pogoń. Działali teraz jak zgrany zespół. W tym morderczym tandemie to Arto wypatrywał i dopadał bandytów, następnie

zrzucał ich z koni na ziemię. Za nim nadbiegał tygrys, by w jedno uderzenie serca przemienić ich delikatne ciała w strzępy porozrywanego mięsa. Rozkaz maga był dla orła jednoznaczny – nie oszczędzać nikogo ze zbrojnych.

Nidro zdał sobie sprawę, że gapi się na wychudzonych i zmizerniałych tułaczką niewolników, na zapadłe twarze dzieci, kobiet i mężczyzn kulących się ze strachu na ziemi. Synti przedstawiali sobą żałosny widok. Wielu z nich miało ciemną skórę, co jednoznacznie wskazywało na pochodzenie z Wolnych Ziem. Sena bez namysłu chwyciła za nóż i zaczęła im rozcinać pęta. Do dziewczyny dołączyli niebawem Temu i Kami, a każdy z nich podchodził do innej grupy Synti. Nagle w oddali, gdzieś na skraju lasu, rozległ się straszliwy wrzask. Nieludzkie wycie było dowodem na to, że kolejni żołnierze z Segal żegnali się z tym światem w objęciach tygrysa. Po chwili wrzaski ucichły i zapadła pełna napięcia cisza. Sena i Temu wciąż parli naprzód, przechodzili wzdłuż karawany i wyzwali pozostałych ludzi z więzów. Kami natomiast wróciła do wodza zapewne w oczekiwaniu na dalsze rozkazy. Synti, mimo że zostali właśnie oswobodzeni, wciąż stali nieruchomo na swoich miejscach. Ich puste spojrzenia były najlepszym dowodem na to, że nie rozumieli zupełnie nic z tego, co działo się wokół.

– Kto wami przewodzi?! – zawołał Nidro, a jego głos rozbrzmiewał wyraźnie ze wszystkich stron, zupełnie jakby to sama przestrzeń mówiła dookoła nich.

Z tłumu po krótkiej chwili konsternacji wyłonił się wysoki mężczyzna po trzydziestce. Nosił podniszczone ubranie, jego przystojną twarz zasłaniała maska pokory, a ręce drgały mu lekko, kiedy stanął niepewnie naprzeciw niego.

– Jak cię zwą? – zapytał Nidro przyjaźnie, przy czym nie okazywał wyższości.

– Jestem Kadu, Saru – odrzekł Synti i uklonił się przed nim nisko.

W tym momencie wrócił tygrys, cały skąpany w szkarłatnej posoce. Zarówno wielkie kły, jak i przednie łapy były niemal całe pokryte krwią. Wyglądał tak samo jak wtedy, gdy widzieli go po raz pierwszy na skalnej arenie. Na ten widok kobiety zaczęły mdleć, a mężczyźni lamentując, padali na kolana. Tygrys podszedł do Kami niespiesznie i położył się przed nią na

piasku, w dodatku wsadził jej głowę pod rękę, tak by dziewczynka mogła drapać go za uchem.

– Jestem bojowy mag Nidro. – Gromki głos poniósł się po zebranych. – Wasi oprawcy nie żyją. Nie przeżył nikt z bandy Elona. – Wskazał ręką na sponiewierane ciało niegdysiejszego centuriona. Przerwał na moment, dając im czas na rozważenie swych słów. – Jak widzicie, ja nie posiadam dostępnych środków, by odeskortować was do kopalni w Tana, gdzie pierwotnie zmierzała ta karawana.

Synti słuchali uważnie, wiedzieli przecież, że chodzi tu o ich przyszłość.

– Nasz oddział rusza niezwłocznie na południe, jedziemy wierzchem, a co za tym idzie z oczywistych względów nie możemy zabrać was ze sobą i dlatego właśnie puszczamy was samych. Wierzę, że dobrowolnie zgłosicie się do pierwszego posterunku armii cesarskiej, jaki napotkacie na swojej drodze.

Kadu patrzył w osłupieniu na to, co się dzieje.

„Czy on ma zamiar zostawić nas samych, bez nadzoru?” – przeszła mu przez głowę ta niewiarygodna ewentualność.

Rozglądał się wokół siebie bezradnie, a wtedy jego uwagę zwróciła niebieskowłosa dziewczynka, nieopatrznie spojrzał jej w oczy, a wtedy ta mrugnęła do niego przyjaźnie, co dodatkowo spotęgowało uczucie całkowitego odrealnienia tej sytuacji. Myśli tłukły mu się pod czaszką jak szalone.

„Czy ja śnię?” – Kadu wbił w maga nierozumiejące spojrzenie.

Po tej jakże krótkiej przemowie Nidro odwrócił się od grupy niewolników i wszystko wskazywało na to, że zwyczajnie zamierza odejść. Wtedy do oszołomionego Kadu dotarło wreszcie, że to dzieje się naprawdę.

– Dzięki ci, Saru magu! – zawołał za nim z mieszaniną podziwu i niedowierzania. – Jesteśmy twoimi dłużnikami, z Segal nie uszlibyśmy z życiem. Żołnierze... – kontynuował i pokazał na rozszarpane ludzkie szczątki – ...mówili, że w Segal oddaje się schwytanych Synti piratom z Martwych Ziem.

Nidro zatrzymał się i odwrócił w stronę mówiącego, a Kadu zobaczył wyraźnie, jak chłopak marszczy brwi, co jego twarzy nadawało złowieszczy

wyraz.

– Piraci z Martwych Ziem w Segal? – Słabo skrywana ciekawość wzięła górę, a pytające spojrzenie ośmieliło Kadu, by kontynuował.

– Tak, Saru. Tak właśnie mówili żołnierze, kiedy myśleli, że śpimy.

„Dziwna sprawa – rozważał w myślach Nidro – czy to przypadek, że piraci współpracują ze zbuntowanym Kapłanem? O co w tym wszystkim chodzi, mam bardzo złe przeczucia”.

– Pora na nas – powiedział do zgromadzonych, a kiedy dosiadł konia, dodał: – Macie prowiant i wozy, jestem pewien, że sami dacie sobie radę. Powodzenia – rzucił przez ramię na odchodnym z wysokości siodła do całkowicie oniemiałych Synti.

Spiął wierzchowca i w asyście setek spojrzeń wyjechał na pustą drogę. Jego kompani ruszyli zaraz za nim, zostawiając Synti samych w szczerym polu. Nikt z klanu maga nie oglądał się za siebie. Ich porachunki z grupą Elona zostały wyrównane, i to nieodwołalnie. Ta krótka, ale jakże satysfakcjonująca potyczka wszystkich wprowadziła w dobry nastrój. Nawet Temu wypinał dumnie pierś, jakby to on sam w pojedynkę rozbił cały oddział buntowników. Za to Sena... Ta odczuwała ogromną ulgę wymieszaną pół na pół z satysfakcją po rozprawieniu się ze swoim nie tak dawnym prześladowcą.

– Tak, tak, śmierdziele – mówiła do samej siebie. – Nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka.

Do końca dnia uśmiech nie schodził z twarzy dziewczyny i nic na całym świecie nie mogłoby wyprowadzić jej z równowagi, no, może z wyjątkiem Nidro, ale ten nie wyglądał, jakby chciał spróbować. Jechali głównym traktem na południe, wolno, gdyż oszczędzali konie, wyraźnie zmęczone po trzydniowej pogoni za karawaną. Pomędzy nimi a portem Meana znajdowało się jeszcze jedno miasto, Tewu, ale Nidro nie planował stawać tam z wizytą. Dodatkowy postój oznaczałby niepotrzebną zwłokę, a on wychodził z założenia, że i tak wystarczająco dużo czasu zmitrężyli po drodze.

Rozdział szósty

Port Meana

Sztuka umiera, kiedy pasja zamienia się w zwykłą pracę. – napis nad wejściem do Teatru Wielkiego w Tarnau

Usiany wiekowymi bukami trakt przerzedził się wyraźnie, o czym świadczyły ukośne smugi światła przebijające się przez korony drzew, tworzące piegowate łaty blasku na piaszczystej drodze. Nidro i jego zbieranina odmieńców zbliżali się nieubłaganie do Wybrzeża Końca Świata. Mag omawiał z Temu dostępne warianty niepostrzeżonego wejścia do miasta, chciał uniknąć tym samym zamieszania, jakie towarzyszyło im podczas pobytu w Naldis. Sena przyłączyła się do dyskusji, tudzież usilnie starała się pomóc w rozwiązaniu palącego problemu.

– Tak, wiesz co – przerwała mu w połowie zdania, gdy już otarła wierzchem dłoni łzy rozbawienia z twarzy – przykryjemy tygrysa kocem w ciapki i będzie udawał krowę, której rogi wyrosły nie z tej strony, co trzeba. – Zaniosła się ponownie niepohamowanym śmiechem. – Rozumiesz? Powiemy ludziom, że to taka specjalna krowa, której rogi rosną prosto z pyska.

Nidro samą tylko siłą woli zignorował komentarz towarzyszki, co pomimo usilnych starań przychodziło mu z coraz większym trudem.

– Myślałem raczej o tym, by go wsadzić na wóz, jak będziemy wjeżdżać do miasta. Nie będzie się wtedy aż tak rzucać w oczy.

Temu pokiwał głową, dał tym samym do zrozumienia, że pomysł mu się podoba.

– W razie potrzeby mógłby udawać martwego. Na pewno jest jakiś sposób, by wśliznąć się do Meana bez wszczynania przy tym aż takiej hecy.

Musimy się jakoś wmieszać w tłum, a potem powinno być z górki – dodał na koniec, ale bez przekonania.

– Problemem są kły – wtrąciła się Sena i zrobiła to iście eksperckim tonem. – Gdy rozwiążemy problem kłów, to jesteśmy w domu.

– Jak mam rozwiązać problem kłów u tygrysa szabłoźębnego? – zapytał, chociaż przeszło mu przez myśl, że tym samym wkłada rękę do gniazda szerszeni.

– Istnieje wiele sposobów ukrycia takich zębisk.

– Doprawdy, na przykład jakich?

– Bandaże.

– Co?

– Owiniemy mu pysk bandażami. To będzie wyglądać zupełnie normalnie, koty często chorują.

– Może i chorują, ale nawet wtedy nie owija im się głowy bandażem.

– To nie jest terapia konwencjonalna i rozwiązuje nam problem morderczej aparycji.

– A jak niby bandaże rozwiązują problem wystających kłów?

– Normalnie – ciągnęła dalej dziewczyna, a jej upór nie miał sobie równych. – Kły też mu owiniemy. Jak cały pysk będzie miał w bandażach, wtedy nikt nie będzie zwracać na niego uwagi.

Nidro milczał przez chwilę, po czym odezwał się bez przekonania:

– No nie wiem, Sena, czy tak to zadziała, to wciąż będzie tygrys z owiniętą gębą.

– Mam jeszcze inny pomysł, ale nie wiem, czy on będzie w stanie chodzić do tyłu – oznajmiła zupełnie poważnie.

– Wiem, że starasz się pomóc, ale...

Nagle zamilkł, a Sena rozpoznała bezbłędnie to nieobecne spojrzenie. Robił tak za każdym razem, kiedy kontaktował się z orłem. Po chwili, która zdawała się trwać wieczność, oznajmił lodowatym tonem:

– Miasto jest atakowane.

– Tylko nie to – zawył żałośnie Temu – a już byliśmy tak blisko.

– Oblega je armia, w sile tysiąca zbrojnych. Niektórzy z nich mają mundury z godłem Segal, ale nie ma ich więcej niż trzy setki, reszta to jakaś

przypadkowa zbieranina.

– Jakie flagi wiszą na murach? – dopytywał się Temu.

– Cesarskie – odparł nieobecny głosem mag.

– Więc miasto wciąż pozostaje wierne imperium – skwitowała Sena.

– Przynajmniej wiemy, po czyjej jesteście stronie. Nie ma czasu do stracenia, musimy im pomóc. – Nidro, nie czekając na pozostałych, spiął konia do galopu.

– Co tym razem, na cycki Cesarzowej – lamentował zdruzgotany Temu. – Przeszliśmy przez Wielki Las jako pierwsi ludzie w historii, a teraz mamy dać się zabić, rzucając się jak krety na całą armię? Tylko dlatego, że miasto jest w rękach cesarskich?

– A co, myślałeś, że znowu będziemy głosować? – odparła Sena, nim ruszyła za oddalającym się pospiesznie magiem.

Już z daleka dostrzegli smugi czarnego dymu wijące się ciemnymi kielichami ku niebu. Płonęły zabudowania okolicznych wiosek, a to, co nie było chronione za miejskimi murami, padło łupem plądrującej wszystko armii.

Nidro jednocześnie obserwował starcie z lotu ptaka, gdy sam gnał na złamanie karku w stronę północnego wzgórza, którego łagodna parabola górowała na tyłach nacierającej armii. Widział, jak oddział żołnierzy uzbrojonych w okrągłe tarcze i topory bojowe zbliża się nieubłaganie do linii umocnień wzniesionych z szarej cegły, by wyważyć taranem warowną bramę. Ciężka drewniana machina oblężnicza, wyglądająca jak przerośnięta szopa na kółkach obita skórą, stanęła naprzeciw wzmocnionych żelaznymi sztabami wrót. Poszczerbiona przez kuszników centuria lekkiej piechoty sprawnie zajęła pozycje po obu stronach maszyny. Ludzie chwycili za cztery stalowe łańcuchy i na dany przez dowódcę sygnał pociągnęli je równocześnie do tyłu. „I raz, i raz” – basowy głos centuriona przebiegał przez zgłębienie bitwy, aby nadać właściwe metrum podjętym wysiłkom. Zawieszona wewnątrz konstrukcji drewniana kłoda odchyliła się do tyłu, a następnie niesiona siłą rozpędu polizła wrota okutym w stal językiem. Wydawała przy tym głuchy, basowy łomot, który dla skrytych za murami obrońców zdawał się równie głośny, co złowrogi. Uniesione nad głowami

okrągłe tarcze odbijały większość posyłanych z murów raz za razem pocisków. Bełty zagrzechotały o drewno, a trzy uderzenia serca później niebo zasnuła kolejna najeżona stalowymi grotami chmura. Padło czterech zabitych, a sześciu innych żołnierzy zostało ciężiej lub lżej rannych. Ich krzyki mieszały się w powietrzu z zapachem krwi i ludzkich ekskrementów, nierzadko wyrzucanych z trzewi w trakcie dekapitacji. „Łup” – znów taran uderzył o bramę, świst, znów chmura czarnych bełtów wypełniła całą przestrzeń pomiędzy walczącymi stronami, ponownie zagrzechotały tarcze. Taran uderzał zapamiętane, lecz brama mu nie uległa, stawiała zacięty opór, podczas gdy kolejne serie z ciężkich kusz dziesiątkowały lekkobrojni oddział. Wokół maszyny oblężniczej trup ścielił się gęsto, a z każdą wypuszczoną z murów salwą padali kolejni zabici. Wszystko dlatego, że załoga tarana skupiła na sobie całą uwagę obrońców. Przerzedzona niesłabnącym ostrzałem centuria zaczęła się kurczyć w oczach, a z otaczających ją zewsząd ciał sterczały brzechwy zakończone czarnymi lotkami. Małe, okrągłe tarcze nie zapewniały wystarczającej osłony, a już na pewno nie stosowane indywidualnie. Na blankach okalających bramę zza prostokątnych krenelaży szył stalową śmiercią ciężki manipuł kuszników w sile dwustu zbrojnych. Żołnierze strzelali w tandemie, to znaczy, że gdy jedna setka prowadziła ostrzał, druga napinała i ładowała kusze. Taki układ zapewniał im największą szybkostrzelność. Dowodzący obroną oficer wykrzyczał krótki, ale za to stanowczy rozkaz: „Obrócić kotły!”. Z kamiennych machikułów nad bramą chlusnęła płonąca smoła, która, lepiąc się do wszystkiego, zapalała tłoczących się pod bramą żołnierzy. Nieludzki wrzask wzniósł się do nieba, gdy na ziemi zapanował chaos, a ten z kolei przerodził się w panikę, mogącą w niedalekiej przyszłości stać się preludium do równie nieprzemyślanej, co zgubnej w skutkach rejterady. Tymczasem obrońcy posyłali z większą ostrożnością kolejne bełty, tak by nie trafić przypadkiem rozpalonych ciał. Szybka śmierć byłaby dla nich aktem łaski, a tak przyszło im umierać w straszliwych męczarniach, miotali się więc w agonalnym szale dobre pół modlitwy, zanim zabrała ich upragniona śmierć. Taran umilkł, a zapach krwi i ekskrementów wyparła woń pieczonego mięsa. Wywołany smołowym atakiem rozgardiasz udało się

opanować dopiero, gdy starszy wiekiem centurion na powrót wziął ludzi w karby i krzykiem oraz siłą własnego autorytetu przywołał spanikowane wojsko do porządku. Pięć ocalałych dekuri na powrót zacieśniło szyk, żołnierze sprawnie postawili sferyczną ścianę tarcz. Wyłącznie takie ustawienie pozwalało skutecznie osłonić się przed ostrzałem, to jednak pozostawiało machinę oblężniczą samą, bez jakiegokolwiek obsady. Główne siły armii Segal stały, a w zasadzie to kuliły się za prowizoryczną barykadą wzniesioną dwieście kroków dalej, gdzie poprzewracano dziesiątki drewnianych wozów na burtach jeden obok drugiego, tworząc z nich przerywaną linię umocnień. Także tu walały się ciała poległych lub raczej ich porozrzucane szczątki, co z kolei świadczyło o tym, że dosięgły ich pociski z balisty, zapewne w pierwszych chwilach starcia. Dwie obrotowe maszyny miotające zamontowane na wieżach po obu stronach bramy nie pozwalały nacierającym oddziałom zbliżyć się na tyle, by użyć łuczników podczas szturm. Dzięki temu obrońcy nieniepokojeni przez nikogo mogli bez przeszkód nękać regularnym ostrzałem nacierających u stóp bramy żołnierzy. To właśnie załoga tarana stanowiła największe zagrożenie dla miasta. Tak długo, dopóki wrota pozostawały zamknięte, dopóty armia Segal nie mogła wykorzystać swojej trzykrotnej przewagi w ludziach. Za barykadą z wozów Nidro naliczył dobre pięć centurii lekkiej piechoty wyposażonej w okrągłe tarcze i krótkie miecze. Pełny manipuł ciężkiej piechoty uzbrojony w kolczugi, wysokie tarcze i włócznie oraz dodatkowy manipuł łuczników. Jakby tego było mało, to w odległości tysiąca kroków na północny zachód za głównym członem armii czekał w odwodzie oddział kawalerii, w sile co najmniej jednej centurii lekkiej jazdy. Jeźdźcy utrzymywali bezpieczny dystans poza zasięgiem balist, gdzie ustawieni w formacji klina czekali, aż padnie brama. Taran jednak milczał, a czas uciekał. Patowa sytuacja zmusiła dowodzącego armią Segal Legata do zmiany taktyki. Wtedy to zza wozów wysypał się oddział ciężkozbrojnej piechoty w sile centurii. Oficer wykrzyczał rozkazy, a biegnący dotąd luźną kupą żołnierze zaczęli ustawiać się w równe rzędy. Pierwszy szereg zacieśnił szyk i złączył tarcze razem, a wtedy ci, co stali za nimi, unieśli tarcze do góry. Wkrótce cały oddział szczelnie osłonił się z czterech stron na podobieństwo domku z kart.

„Naprzód marsz!” – zaryczał Centurion, a formacja żółwia ruszyła do przodu równym, miarowym krokiem wymuszonym dźwiękiem gwizdka. Obrońcy zareagowali na nowe zagrożenie i posłali w ich stronę pojedynczą serię ze wszystkich kusz, ale bełty co najwyżej wbijały się niegroźnie w tarcze, nie czyniąc żadnej szkody schowanym za nimi żołnierzom. Piechociarze parli naprzód, przypominali przy tym drewniane pudełko wolno sunące po ziemi. A gdy znaleźli się w połowie odległości do bramy, rozległ się głośny trzask, a po nim jeszcze głośniejszy krzyk. Strzepy ciał i broni wyleciały w powietrze, kiedy prawy bok żółwia został rozdarty przez pocisk z balisty, a w zwartej dotąd formacji powstała nieregularna wyrwa. Padły kolejne, bardziej gorączkowe rozkazy, po których żołnierze zaczęli pospiesznie opuszczać tarcze, by następnie luźną kupą rzucić się biegiem do przodu. Na nadbiegających posypał się rój pocisków, gdy kusznicy na murach wzięli ich w krzyżowy ogień. Kilkunastu, sądząc po mundurach, byłych legionistów padło martwych na ziemię, pozostali jednak szczęśliwie dotarli pod bramę, a było ich niecałe osiem dekurii, gdzie w zaskakująco krótkim czasie ustawili wysoką ścianę tarcz po obu stronach tarana. Pod samymi murami balisty nie mogły ich dosięgnąć, a bełty z kusz nie dały rady przebić się przez równomiernie nachodzące na siebie tarcze. W tym momencie przyszpileni wokół tarana topornicy mogli przystąpić na powrót do wyważania bramy. Machina wznowiła dzieło zniszczenia, łańcuchy napięły się, a ciężki taran ponownie uderzył we wrota, jakby domagał się wpuszczenia do środka. Szturm zaczął nabierać tempa, a szala zwycięstwa przechyliła się na korzyść oblegających.

Nidro wstrzymał konia na szczycie łagodnego wzgórza, skąd roztaczał się posępny widok na broniące się w dole miasto. Znalazł się tym samym na tyłach nacierającej armii. Wokół niego dopalały się szkielety drewnianych zabudowań, wypełniając nagrzane od łun pożarów powietrze duszącą wonią sadzy. Mag uważnie rozglądał się dookoła, podczas gdy niecałe trzy tysiące kroków przed nim wrzała bitwa.

– Nie wydaje ci się, że to może być dla nas... mhy... trochę za dużo? – zapytała zaniepokojona Sena, wstrzymując konia u jego boku.

– Nie dla nas – sprostował – ale dla mnie. Sam się tym zajmę. Jak myślisz, dlaczego nazywają nas bojowymi magami?

– No... – Dziewczynę wyraźnie zaskoczyło to pytanie, dlatego odpowiedziała dopiero po chwili: – A jeśli oni też mają bojowego maga?

– Gdyby tak było, już dawno byłiby w środku – odparł pewnym siebie głosem ze wzrokiem utkwionym w walczących.

– Ja jestem za głosowaniem! – zawołał dobitnie i z przekonaniem Temu, choć sam dopiero co zjawił się na wzgórzu. – Głosujmy tak, jak w Wielkim Lesie, i od razu wam mówię, że jestem na nie.

Kami siedziała spokojnie na grzbiecie tygrysa w oczekiwaniu na rozkazy od swego wodza. Jej twarz nie zdradzała jakiegokolwiek napięcia.

„Oni są siebie warci” – pomyślał handlarz, co rusz zerkając ukradkiem na maga i dziewczynkę.

Przezornie jednak zachował swoje spostrzeżenia dla siebie.

– To co robimy w końcu? – spytała Sena z wyczekiwaniem podszytym zwykłym ludzkim strachem.

– Wy wszyscy zostajecie tutaj. Postarajcie się nie wychylać za bardzo. – Wskazał ręką na zachód. – Jeśli ta kawaleria ruszy na was, kiedy ja będę zajęty walką, może być niewesoło. W każdym razie o mnie nie musicie się martwić. Ja sobie sam poradzę z piechotą.

– Chyba nie myślisz, że puszczę cię samego, byś...

Urwała nagle, gdy z płonących chat wystrzeliły wstęgi ognia. Płomienie wzbily się w górę i rozcapierzyły wokół nich niczym konary gorejącego drzewa. Skupiły się w jednym punkcie, a nad głową maga zaczęło formować się miniaturowe słońce. Poszczególne ognie spełzały do niego, niejako zasysane do środka, jakby wciągał je niewidzialny wir. Zebrani na wzgórzu obserwowali to zjawisko z zapartym tchem i szeroko otwartymi ustami, w dodatku dojmujące poczucie odrealnienia potęgował fakt, że do tej pory nie widzieli jeszcze magii ognia. Kula rosła w oczach, jakby syciła się połykanym blaskiem niczym kwiat karmiący się promieniami porannego słońca. Nidro zaczął czekać, aż cała energia z tłących się zabudowań zgromadzi się w jednym miejscu, a następnie bez słowa wyjaśnień spiął konia i z wiatrem we włosach ruszył prosto w stronę walczących. Ogier parsknął

i wyrwał ostro do przodu, wznosząc w powietrze tuman popielnego kurzu. Mała kometa podążyła za nim, jakby ciągnęła ją niewidzialna lina.

– Zwariowałaś?! – Zza pleców dogoniło go wołanie Seny. Wołanie pozostało bez odpowiedzi.

Nadciągającego ze wzgórza jeźdźca jako pierwsi dostrzegli obrońcy na murach. Zaaferowani żołnierze zaczęli gorączkowo pokazywać go sobie palcami. Na widok pędzącego prosto na nich bojowego maga załoga miasta wpadła w panikę. W jednej chwili ostrzał z murów ustał zupełnie. Nacierający na bramę zbrojni dostrzegli wahanie obrońców, ale zrozumieli je po swojemu i z jeszcze większą werwą rzucili się do szturm. Taran ponownie uderzył, lecz tym razem zamiast głuchego dudnienia rozległ się chrzęst łamanego drewna. Żołnierze pod murami wydali z siebie okrzyk triumfu na widok powstałego wyłomu. Nidro zbliżał się szybko, wreszcie zaczął rozróżniać niewyraźne sylwetki pojedynczych żołnierzy. Atakujący nie zauważyli go jeszcze, zapewne zaaferowani tym, co działo się pod bramą. Kiedy znalazł się w połowie drogi dzielącej go od miasta, z gorejącej kuli nad jego głową wystrzeliły ogniste pociski. Miniaturowe słońce wypluło z siebie trzy pestki wielkości ludzkiej głowy, a te jedna za drugą przeleciały z wizgiem ponad wrogą armią. Powietrze rozerwał huk eksplozji, gdy pierwszy pocisk uderzył w taran. Zaraz po nim w cel trafiły dwa kolejne, przekształcając ogromną maszynę w stertę płonących szczątków. Ci, którzy znaleźli się w odległości kilku kroków od centrum wybuchu, zamienili się w ludzkie pochodnie, za to pozostałych, tych stojących dalej, powalił na ziemię sam podmuch eksplozji. Krzyk, strach, panika, płonący ludzie – miejska brama zamieniła się we wrota piekieł. Za to z korony murów dla odmiany poniósł się gromki okrzyk zwycięstwa. Obrońcy zaczęli wiwatować, gdy okazało się, że bojowy mag opowiedział się po ich stronie. Strach i rezygnację w ich sercach zastąpiły nadzieja i wola walki. Ci z atakujących, którzy przeżyli wybuch, rzucili się do panicznego odwrotu. Zrobili to jednak zbyt późno, bo kiedy wreszcie poderwali się do biegu, z murów za ich plecami posypał się gęsty grad pocisków, siejąc stalową śmierć w ich szeregach. Jeden po drugim kolejni żołnierze padali z bełtami w plecach i jedynie nielicznym udało się dotrzeć do osłony z wozów.

Dowodzący armią Segal Legat odwrócił się w stronę wzgórza, pobladł nagle, gdy ujrzał szarżującego prosto na jego pozycje maga. Także Nidro bez trudu rozpoznał go w tłumie po bogato zdobionym napierśniku z brązu. Oficer zawahał się i stanął jak wryty, jednak szybko odzyskał kontenans, a kontrolę nad ciałem przejęły odruchy wyrobione przez długie lata spędzone na wojennym rzemiośle. Legat przywołał na twarzy znoszoną maskę pewnego siebie dowódcy i zaczął gorączkowo wydawać rozkazy:

- Lekka piechota, ustawić ścianę tarcz od strony wzgórza, ruszać się!

Zbity dotąd ciasno w bezkształtną masę tłum poruszył się niesiony okrzykami właściwych centurionów, by uformować pofalowaną linię, powoli, acz systematycznie poszerzaną na boki przed nadciągającym magiem.

- Łucznicy, biegiem na stanowiska, zająć pozycję za piechotą! Ciężka centuria do mnie, formować podwójny czworobok.

- Czekać na moją komendę – rozległ się tubalny głos centuriona dowodzącego manipulem strzelców. – Teraz!

Dwie setki ustawionych w czterech rzędach łuczników w tym samym momencie zwolniło cięciwy, w powietrze wzbił się rój pocisków zakończonych stalowymi grotami, i na jedną krótką chwilę przesłonił całe niebo. Na twarzy Nidro pojawił się zacięty grymas, z jego oczu biła stal, a na usta wypłynął mu wilczy uśmiech. Setki strzał zapikowały w dół, a wtedy przed magiem uformowała się ognista półsferyczna tarcza w kształcie cesarskiego orła, jej magiczna manifestacja nie dość, że wzbudziła postrach i zwątpienie w szeregach wrogów, to z dziecinną wręcz łatwością osłoniła go przed ostrzałem. Groty jeden po drugim niegroźnie odbijały się od niej, ciągnąc za sobą małe obłoczki dymu. Kiedy pierwsza salwa rozbiła się o tarczę, Nidro poczuł w umyśle kontakt, nową siłę, o wiele potężniejszą, niewyczerpaną moc oceanu. Wreszcie znalazł się dostatecznie blisko brzegu, by sięgnąć po energię zaklętą w ruchu fal. Przywołał ją, a ocean odpowiedział na wezwanie. Z morskiej toni wyłoniła się wirująca kolumna wody, za nią podążała druga i trzecia. Każda z nich miała trzydzieści kroków wysokości i jakieś dziesięć kroków średnicy. Trąby wodnej furii z hukiem

wodospadu zaczęły okrążyć miasto, które skierowały się w stronę walczących.

– No dobra, obwiesie, pewnie ucieszy was fakt, że nie muszę dłużej oszczędzać energii – powiedział, gdy szarpnięciem za wodze wstrzymał konia. – Przekonacie się na własnej skórze, jak w Cesarstwie traktuje się zdrajców.

Kiedy to mówił, małe słońce nad jego głową plunęło dziesiątkami ognistych pestek. Pociski pomknęły długą serią, każdy pod odrobinę innym kątem, by w świetlistej feerii eksplozji uderzyć prosto w szeregi nieprzyjaciela. Zwartą dotąd ścianę lekkiej piechoty poszczerbiły ogniste szramy. Nidro niczym Bóg zemsty zesłał na wrogów deszcz ognia, a tam, gdzie trafiały gorejące krople, ludzie stawali w płomieniach. To nie była walka, zdecydowanie nie, bo nie da się walczyć z żywiołem. Żywe pochodnie przewracały się na ziemię lub biegły gdzieś przed siebie w nieokreślonym kierunku na podobieństwo ludzkich zniczy. Tłuszcz perlił się na nich podobnie do kropel potu, a opętańcze wycie wydierało się z gardeł, aby rozejść się trwożliwie po całym polu bitwy niczym kręgi na wodzie. Przerażeni żołnierze przyglądali się w osłupieniu, jak ciała ich towarzyszy otaczały się jasnym blaskiem, by uderzenie serca później stać się zwęglonymi szczątkami. To wystarczyło, aby zalał ich blady, zwierzęcy strach, by morale dosłownie wyparowało, a dyscyplina przestała istnieć. Podziurawiona wypalonymi szczerbami ściana piechoty zafalowała, a zwarta dotąd formacja nagle zaczęła się rozpadać. Żołnierze, wpierw pojedynczo, a potem całą chmarą rzucili się do panicznej ucieczki, byle ocalić skórę, byle wydostać się z matni. Krzyki oficerów zdały się na nic, trzymające wojsko w ryzach blokady puściły, a na coraz bardziej umownym teatrze działań zapanowała całkowita histeria. W tym czasie Nidro ostrzeliwał selektywnym ogniem całe przedmurze, jednak robił to z rozmysłem i zamiast walić, gdzie popadnie, brał na cel najliczniejsze grupki umykających wrogów. W miarę, jak zwiększał intensywność ostrzału, ognisty kwiat nad jego głową zaczął wyraźnie zapadać się w sobie.

„Mam nadzieję, że podoba się wam moje ciepłe powitanie” – powiedział w duchu, wkrótce kolejne ziarna gorąca pomknęły w stronę nieprzyjaciela.

Armia Segal, z wyjątkiem nietkniętej dotąd kawalerii, poszła w całkowitą rozsypkę, a bitwa zmieniła się w totalną jatkę. Sena siedziała na swej białej klaczy z nieświadomie otwartymi ustami, choć z jej gardła nie wydostawał się żaden artykułowany dźwięk poza płytkim oddechem. Nie mogła pojąć rozumem tego, co działo się w dole przed nimi. Jeden człowiek stanął samotnie do walki przeciwko całej armii i najwyraźniej to on był górą w tym starciu. Miała przed sobą legendarnego cesarskiego maga w pełnej krasie i była pod wielkim wrażeniem jego skrywanej dotąd potęgi.

– Przyszedł czas, aby ostudzić wasz zapal do wojaczki – oświadczył niewzruszonym głosem Nidro z uśmiechem satysfakcji na ustach.

W tej samej chwili trzy słupy wody wdarły się z siłą sztormu na przedpola miasta. Wodne wiry ustawiły się w trójkącie równobocznym. Dwa stały wzdłuż murów obronnych po obu stronach bramy. Trzeci zaś zamykał trójkąt od strony wzgórza, skąd nie tak dawno nadszedł mag. Oddziały z Segal znalazły się w pułapce między nimi. W jednej chwili, zupełnie bez ostrzeżenia, z każdego tornada wystrzeliły dziesiątki, a potem setki lodowych pocisków, podobnych do tych, jakimi Nidro bawił się nad rzeką w Wielkim Lesie. Zdrajcy imperium, jak do tej pory ginęli małymi grupkami, zaczęli umierać całymi dziesiątkami. Na przedpolach miasta rozszalał się blizzard lodowych pocisków i uderzał na nich z każdej możliwej strony. Stojąc w obliczu niezaprzeczalnej klęski, jaka spotkała piechotę, dowódca kawalerii rozkazał natychmiastowy odwrót na zachód. Postanowił się wycofać, dopóki miał jeszcze taką okazję. Kryształowy ostrzał w kilka uderzeń serca zamienił pierzchającą ludzką masę w konającą stertę lodowych jeży. Obrońcy patrzyli w oszołomieniu na wirujący taniec śmierci, na koło zagłady miażdżące wszystko i wszystkich w zasięgu wzroku. Zabójczy mikser wciąż uderzał z tym samym natężeniem, pomimo że żaden z wrogów nie ustał na nogach. Nidro siedział wyprostowany w siodle, skupiony niczym dyrygent przed orkiestrą, i obserwował, jak lodowa uwertura kończy dzieło zniszczenia. Nagle ostrzał się urwał, a na cmentarzysku lodowych jeży zapanowała grobowa cisza. Kiedy występ dobiegał końca, po kawalerii z Segal nie pozostał choćby wzbity kurz na drodze. Trzy słupy wody przestały się obracać, by na jedno uderzenie serca

zamienić się w wodne jednorożce. Baśniowe stwory w idealnej synchronizacji wzniosły spienione łby ku niebu i dumnie stanęły dęba na tylnych nogach, młócąc powietrze kopytami, by uderzenie serca później zamienić się w rwącą rzekę i z hukiem, w rozbryzgach piany zakryć całe pobożowisko. Kipiel tańczyła, zawirowała, by niczym tresowana małpka ruszyć z powrotem do morza. Kiedy woda opadła, nie było żadnych ciał, zniknęły zarówno wozy, jak i resztki tarana, a zdumionym oczom obrońców ukazał się jedynie młody chłopak dumnie siedzący na bojowym rumaku. Załoga miasta Meana nie mogła uwierzyć we własne szczęście. Z początku – wydawałoby się – przegrana bitwa dziwnym zrzędzeniem losu zamieniła się w wielkie zwycięstwo wojsk cesarskich. Doniosłą chwilę uniesienia ostatecznie przerwał czyjś chrapliwy głos:

– Tak jest! Trzeba było siedzieć w Segal!

Potem okrzyki radości odezwały się raptem z setek gardeł. Żołnierze na blankach wiwatowali głośno i skandowali bojowe zawołanie cesarskich legionów.

– Biały orzeł! Biały orzeł!

Do samotnego jeźdźca przed bramą zaczęli dołączać kolejni.

– To tyle, jeśli chodzi o twój misterny plan niepostrzeżonego wjazdu do miasta – zadrwiła z niego Sena.

– Jak to mówią: „Żaden plan nie wytrzyma kontaktu z wrogiem” – odbił zręcznie jej żart Nidro.

– To co w końcu robimy, mam przykryć tygrysa kocem, czy nie? – zapytała i wyszczerzyła do niego perłowobiałe zęby.

– Nie, niech dalej udaje konia – skwitował chłopak, wyprostował się w strzemionach i z końskiego grzbietu napawał się swym zwycięstwem.

W tym czasie ciężkie wrota – a raczej to, co z nich zostało – zaczęły rozstępować się przed nimi na oścież.

– Myślę, że zasłużyliśmy sobie na dobre jadlo i gorącą kąpiel – stwierdził wyniośle Temu.

– My? – spytał zaskoczony mag. – Przecież to ja odwaliłem całą tę bitwę za was.

– No tak – zgodził się z nim kupiec – ale my przez cały czas osłanialiśmy ci tyły.

– Całe szczęście, że miałem się gdzie wycofać – stwierdził rozbawiony młodzieniec, gdy brama miasta stanęła przed nimi otworem.

Wjeżdżali do Meana witani z taką pompą, jakby to sam Cesarz zjawił się z odsieczą. Żołnierze ustawili się w równych rzędach po obu stronach drogi wyprężeni na baczność. Mag spostrzegł, że niektórzy z nich nosili świeże opatrunki, a na białych bandażach wciąż widać było czerwone ślady krwi. Mimo odniesionych ran mieli wyraźnie rozradowane twarze. Ich trud nie był daremny. Cesarz wysłał swym wiernym poddanym bojowego maga z odsieczą. Żołnierze wykonali jednoczesny salut, gdy przyłożyli prawą pięść do piersi. Wtedy uwagę maga przykuł fakt, że również po wewnętrznej stronie murów widać było ślady walki, a za plecami obrońców wciąż ładowano jeszcze ciała poległych na wozy. Inna sprawa, że zabici nie mieli na sobie żadnych mundurów. Wszelkie rozmyślenia przerwał mu ostatecznie dowódca garnizonu, kiedy stanął przed nimi i zasalutował sprężysto. Za jego plecami tłoczyła się cała delegacja: namiestnik z małżonką, kapłani, ważniejsi kupcy i co znaczniejsi mieszczanie.

– Port Meana wita wielkiego bojowego maga! – wykrzyczał donośnie oficer.

Nidro nie miał na sobie żadnych dystynkcji, żołnierz więc musiał improwizować. Wtedy jak na zawołanie zjawił się Arto, orzeł przeleciał nisko nad głowami gapiów i usiadł majestatycznie ponad miejską bramą. Pod nim rozpościerał się czarny cesarski sztandar z białym godłem. Arto w pełnej dramaturgii pozie zatrzepotał skrzydłami, czym ściągnął na siebie uwagę gapiów. Wyglądał teraz dokładnie tak samo jak orzeł z godła narodowego. Tłum patrzył na to wszystko z zapartym tchem. Nagle ktoś krzyknął:

– Biały orzeł! Biały orzeł!

To wystarczyło, by wszyscy zgromadzeni wokół skandowali za nim:

– Biały orzeł! Biały orzeł!

– Przyznaj się, że zrobiłeś to specjalnie – spytała rozbawionym głosem Sena, zadarła głowę do góry, by wraz z innymi oglądać przedstawienie.

Orzeł, jakby w odpowiedzi, wydał z siebie głośny świergot.

– Tak myślałam – westchnęła cicho. – W końcu nie powinno mnie to dziwić. Po prostu następnym razem daruj sobie tę całą gadkę o niezwracaniu na siebie uwagi, dobrze?

Najdostojniejsi delegaci podeszli bliżej, kłaniając się przy tym nisko. Wpatrywali się z zachwytem w Nidro i jego nieustraszoną drużynę. Po prawej stronie maga na białym koniu siedziała piękność o kruczoczarnych włosach. Po lewej natomiast, no cóż... był to radośnie uśmiechnięty niebieskowłosy demon, o przenikliwym spojrzeniu wyłożonym bezdenną pustką. Demon dosiadał bestię z piekła rodem, uzbrojoną w ostre kły i pazury. Cała trójka wydała się mieszczanom ucieleśnieniem postaci żywcem wyrwanych z baśni. Nie bez kozery w taki sposób przedstawiało się bojowych magów w podaniach i legendach. Tygrysa też zdawał się intrygować orszak kolorowo ubranych ludzi. Przyglądał im się z niemałym pożądaniem i co jakiś czas oblizywał wielkim jak bochen chleba jęzorem. Właśnie dlatego nikt z miejscowych nie znalazł w sobie dość śmiałości, by podejść do nich bliżej. Namiestnik prowincji z bezpiecznej odległości oznajmił uroczyście:

– Prosiłszy Cesarza o pomoc, a on...! W odpowiedzi na nasze wezwanie przysłał wielkiego bojowego maga w towarzystwie herosów i mitycznych bestii. Chwała Cesarstwu!

Tłum ochoczo odpowiedział na zawołanie:

– Chwała!

Na twarzach ludzi zgromadzonych wokół bramy malowały się najprawdziwsze podziw i uznanie.

– Tak! – zaczął niemal nabożnym tonem Nidro, a jego głos docierał ze wszystkich stron. – Cesarz nigdy nie zapomniał o swoich wiernych poddanych, wysłał mnie do was, bym pomógł obronić miasto przed buntownikami z Segal. Miasto, które wiernie stanęło po stronie imperium – przemawiał z końskiego grzbietu natchnionym tonem niczym kaznodzieja do wiernych. – Lecz to nie mnie powinniście dziękować za ocalenie – przerwał melodramatycznie – bowiem ocaliła was wszystkich... – kontynuował i wskazał ręką na szeregi żołnierzy – ...odwaga obrońców na

murach miasta. To oni utrzymali bramy na tyle długo, że ja i moja nieustraszona kompania zdążyliśmy na czas, by odeprzeć wroga.

Sena była pod wrażeniem, jak szybko owinął ich sobie wokół palca.

– To właśnie wasze poświęcenie i wasza wierność Cesarstwu ocaliły Meana. Podziękujcie waszym żołnierzom, pamiętajcie, że pomimo przewagi liczebnej wroga stanęli w waszej obronie.

„Oddał im to zwycięstwo” – stwierdziła z uznaniem Sena, jednocześnie nie uszło jej uwadze to, że żołnierze zgromadzeni wokół nich dosłownie pękają z dumy. „Gdzie on się tego nauczył, miał jakieś lekcje w klasztorze z wystąpień publicznych?”

Jakby czytając w jej myślach, odezwał się Temu:

– No proszę, i kto by pomyślał, że z niego taki erudyta. Podobnych dyrdymałów, znaczy się takiego ukwieconego popisu krasomównstwa, nie słyszałem od dawna, a po prawdzie, to chyba nigdy.

Mag skończył przemowę, a ze wszystkich stron rozległy się wiwaty i oklaski. Namiestnik wydał rozkazy, by wojsko utorowało im przejazd do pałacu, kończąc tym samym inauguracyjną część powitalną. Tłum niechętnie ustępował z drogi pod karcącymi spojrzeniami żołnierzy, aby zrobić orszakowi wąskie przejście. Delegacja urzędników państwowych ruszyła dostojnie przodem niczym klin wbijany w zbitą tłuszcę. Za nimi podążyli goście szczelnie osłaniani kordonem wojska. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, tłum wiwatował w uniesieniu.

Port Meana jest największym i najzamożniejszym miastem na kontynencie Rubież. Liczył sobie ponad trzysta tysięcy mieszkańców. Wszędzie, gdzie by nie spojrzeć, otaczały ich przepych i bogactwo, nawet niewolnicy byli tu dobrze ubrani. Mijali właśnie gmach sądu, zbudowany w całości z białego marmuru. Nad jego wejściem wypisano złotymi literami: „Prawo cesarskie ponad boskim”. Ta sentencja dobrze oddawała drugorzędną rolę Kościoła Boga Słońca w państwie. Co rusz mijali malownicze skwery ozdobione marmurowymi fontannami, wiele z nich przypominało małe ogrody pełne tysięcy kwiatów i kolorowych motyli. Pastelowe kamienice były nadzwyczaj wysokie, czasem nawet czteropiętrowe. Przepiękne fasady zdobiły liczne dekoracje, głównie

kunsztowne freski przedstawiające okręty pod pełnymi żaglami oraz rozmaite sceny z życia mieszkańców. Większość budynków miała arkady na każdym piętrze, zwieńczone kamiennymi kolumnami. Sena i Kami rozglądały się z uwagą dookoła, podziwiały te jakże piękne budowle z perspektywy herosów. Nidro natomiast odgrywał swoją rolę zbawcy, kłaniał się i pozdrawiał rozentuzjasmowany tłum. Co chwilę ktoś z tłumu rzucał im bukiety pod nogi, a z okien i tarasów gęsto sypano płatkami różnobarwnych kwiatów. Konie szły równo w tym ukwieconym deszczu, a ich umaszczenie z każdym kolejnym krokiem zamieniało się na bardziej tęcze. Tłum napierał z taką intensywnością, że żołnierze w kordonie ledwo dawali sobie radę z powstrzymywaniem najbardziej podekscytowanych mieszkańców. Nidro złapał w locie bukiet czerwonych kwiatów, podziękował za nie skinieniem głowy, a następnie szarmancko podał Senie.

– Mój ty bohaterze – powiedziała słodkim głosem i puściła mu całusa w powietrzu.

Wielu gapiów co rusz pokazywało sobie Kami palcami, mówili do siebie o dziewczynce jadącej na bestii.

– Ona pewnie sama rozgromiła wojska z Segal! – wołali jedni do drugich podniesionymi z przejęcia głosami.

Nidro spojrział na Kami, a ta w odpowiedzi puściła do niego oko. Jej gest w jakiś przedziwny sposób świetnie pasował do sytuacji. Miało się wrażenie, jakby dziewczynka rozumiała wszystko, co o niej mówiono. Nidro ponaglił konia i podjechał do przodu, zrównał się tym samym z dowódcą garnizonu.

– Widziałem sporo trupów na wozach – oznajmił, zaczynając rozmowę. – Ludzi bez żadnych mundurów i oznaczeń. Wokół bramy dostrzegłem też ślady walki.

– Tak, Saru – odpowiedział zmieszany oficer. – W chwili, gdy wrogowie rozpoczęli szturm na miasto, oddział nie większy niż setka zbrojnych zaatakował nas od tyłu. Próbowali zająć agorę z zaskoczenia, by otworzyć bramę nacierającej armii. Gdyby im się to udało, miasto padłoby zaraz na samym początku. Jednak moi ludzie to elitarna ciężka piechota. – Oficer nie ukrywał dumy. – Ustawiliśmy ścianę tarcz, zanim zdolali dobiec. Napastnicy

nie byli w stanie się przez nas przedrzeć i nasi kusznicy wytłukli ich z murów jednego po drugim. Kiedy zorientowali się w końcu, że ich plan się nie powiódł, dywersanci próbowali uciekać. Lecz wtedy od strony miasta nadjechał oddział kawalerii z gwardii namiestnika. Uderzyli na nich od tyłu i roznieśli dywersantów na lancach. W tym momencie nasza potyczka z piątą kolumną dobiegła końca, a wszyscy zdrajcy zostali zlikwidowani co do jednego. My natomiast zdołaliśmy obronić bramę niemal bez strat własnych. Było co prawda kilku mniej lub mocniej rannych, lecz w tym konkretnym ataku nikt z naszych nie zginął.

Nidro był pod wrażeniem bohaterskiej postawy obrońców.

– Dowództwo przyzna wam sporo punktów za ten wyczyn.

– Ku chwale Cesarstwa! – odpowiedział oficer z błyskiem rozbawienia w oku. – Podczas całej bitwy wróg nie zadał nam poważnych strat, ponieważ nasze balisty trzymały ich łuczników na dystans. Oni za to kryli się za wozami i czekali, aż padnie brama. No i się nie doczekali, psie syny! – Roześmiał się triumfalnie.

– Pytanie brzmi, czy Wielki Kapłan ma tu jeszcze jakichś szpiegów? Nie sadzę, by wszyscy wzięli udział w tym samobójczym ataku.

– Nasi Dobrzy Ludzie przeszukują miasto, a namiestnik płaci złotem za informacje o zdrajcach. Prędzej czy później wyłapiemy ich wszystkich co do jednego – oznajmił oficer z przekonaniem w głosie.

Orszak poruszał się nadzwyczaj wolno, dlatego upłynęło wiele wody w rzece, zanim dotarli wreszcie na wzgórze pałacowe. Tam niezwłocznie otworzono na oścież bramę w murze okalającym pałac, aby czym prędzej wpuścić wybawców do środka.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił dźwięcznym barytonem dowódca, wykonując salut przed odejściem.

Wraz z nim wycofali się eskortujący ich żołnierze, a pieczę nad bezpieczeństwem gości przejęła gwardia namiestnika.

Pałac na wzgórzu wyglądał olśniewająco. Trzy piętra wzniesione ze śnieżnobiałego marmuru zdobiły wysokie arkady, ich łukowate sklepienia podtrzymywały zielone kolumny ze szkła wulkanicznego wyraźnie

kontrastujące z jasnymi ścianami. Budowla niewiele ustępowała swym rozmiarem pałacowi w Naldis.

„Skoro na prowincji stawia się takie pałace, to co zobaczymy w Tarnau?” – zastanawiał się w duchu Nidro, podziwiając kunszt cesarskich architektów.

Rozmach, z jakim wzniesiono tę budowlę, doprawdy zadziwiał, zwłaszcza że znajdowali się na kontynencie zewnętrznym. Od strony lądu kompleks pałacowy otaczał mur z białego piaskowca, za to od morza dostępu bronił stromy klif. Pionowa kamienna ściana miała niemal czterdzieści kroków wysokości i rozciągał się z niej malowniczy widok na port. Powierzchnia klifu była zupełnie płaska i wyszlizgana, przypominała bardziej kamienny mur niż naturalny twór skalny. Gdy wkroczyli na teren rezydencji, Kami i Sena z wrażenia o mało nie wyszły z siebie. Od razu widać było, że to miejsce wyjątkowo przypadło im do gustu. Obie czekały wyłącznie na okazję, by się tu swobodnie rozejrzeć. W wejściu do budynku, a jakżeby inaczej, czekała na nich ustawiona w dwóch rzędach służba pałacowa odziana w wyjątkowo ozdobne zielono-czarne liberie.

– Witam Sur, wasze komnaty są gotowe – oznajmił lokaj i uklonił się nisko w pas. – Saru namiestnik kazał mi przekazać, że krawcy będą czekać na wezwanie Sur – dodał uprzejmie, prowadząc ich za sobą do środka.

– Jacy krawcy? – zapytał zaskoczony tym stwierdzeniem Nidro.

Jego kompani mieli równie zdziwione miny co on.

– Saru namiestnik założył, że elitarny oddział żołnierzy na misji bojowej nie będzie miał przy sobie żadnych strojów balowych.

– Jakich strojów? My nie idziemy na żaden bal – Nidro wypalił, zanim pomyślał.

Sena zgromiła go wzrokiem, a on poczuł kłujący ból w prawym stawie łokciowym. Dziewczyna wbiła mu swoje długie palce prosto w nerw, ten sam zresztą, jaki nie tak dawno jej pokazał.

„Zabolało” – stwierdził z ambiwalentnym uczuciem, mimo wszystko ucieszył się w duchu, że jego lekcje nie idą na marne.

– Przejęczyłem się – odrzekł po chwili namysłu do wciąż zmieszanego lokaja. – Powiedz Saru namiestnikowi, że bardzo dziękujemy za jego troskę

i z największą przyjemnością... – kontynuował, gdy oderwał palce dziewczyny od swego ramienia – ...wyberzemy się na bal.

– To wspaniale! – Sługa rozpromienił się od razu, jak gdyby kamień spadł mu z serca. – Sur nie musicie nigdzie wychodzić. Uroczystości odbędą się w pałacu dziś wieczorem. Ten bal jest organizowany wyłącznie na waszą cześć, dla uczczenia wielkiego zwycięstwa.

– Tak, mhy, to wspaniały pomysł – podsumował nieszczercze Nidro. Lokaj najwyraźniej uznał temat za zakończony, bo nie odgrzewał go ponownie.

Z przestronnego westybulu poprowadził ich po spiralnych schodach na pierwsze piętro pałacu. Sena na wieść o balu jakby dostała skrzydeł, ruszyła uradowana i bujała się na boki przy każdym kroku niczym kulawy pingwin skaczący po rozżarzonych węglach. A kiedy Nidro mimochodem spojrzał w jej stronę, dziewczyna pokazała mu język.

„Na szczęście nikt tego nie widział” – pomyślał, wznosząc oczy ku niebu.

Spojrzał na Kami, a ta mrugnęła do niego figlarnie.

– Zwariuję z wami – oznajmił bardziej rozbawiony niż zażenowany ich zachowaniem.

Lokaj wprowadził go do bogato urządzonych komnat. Nidro z wyraźną ulgą zzuł z siebie ciężkie skórzane buty do jazdy konnej i boso udał się do łaźni, gdzie zrzucił wprost na posadzkę przepocone ubranie, z przyjemnością zanurzył się po szyję w parującej wodzie.

– Najwyższa pora, by trochę odpocząć – westchnął przeciągle, ściągnął z wieszaka szorstką ścierkę i zaczął intensywnie szorować się mydłem. Miał wrażenie, że ciągle śmierdzi potem i koniem. Droga z Naldis zajęła im siedem dni z okładem, podczas których których jakoś nie było okazji, by dobrze się umyć.

Po kąpieli jak na zawołanie w wejściu do komnaty pojawił się krawiec. Rzemieślnik najwyraźniej bardzo cenił swój czas, bo przyniósł ze sobą gotowe stroje i od wejścia zaczął je wszystkie zachwalać. Pokazał mu kilka różnych kreacji do wyboru, co wyłącznie wprowadziło Nidro w jeszcze większe zakłopotanie. Przecież on nie miał zielonego pojęcia, co się nosi na balach.

– Sam zdecyduj – powiedział zrezygnowanym głosem do krawca.

– Doskonale, Saru!

Rzemieślnik ucieszył się niezmiernie zarówno z trafności, jak i szybkości samej decyzji podjętej przez Saru maga. A ponieważ najtrudniejszy etap mieli za sobą, mogło się zacząć mierzenie i dopasowywanie. Krawiec najpierw pobrał miarę taśmą, a następnie wziął strój na bok i zaczął nanosić jakieś poprawki. Mag nie wiedział zupełnie, czemu to wszystko ma służyć, w końcu był żołnierzem, a nie urodzonym szlachcicem. Krawiec za to z igłą w ręku czuł się jak ryba w wodzie. Połapał jakieś kawałki materiału i zaczął je sprawnie zszywać razem. Po chwili, jak mawiają krawcy, wszystko było zapięte na ostatni guzik. Męski strój balowy był czymś w rodzaju długiego czarnego kontusza, zakładanego przez głowę i ściąganego w talii złotym pasem. Nim cały rytuał przymierzania stroju zdążył się zakończyć, do środka wszedł Temu, ubrany równie dworsko, co jego towarzysz. Przeszedł się po komnacie i w niewyszukany sposób zaprezentował przyjacielowi swoją kreację.

– Jak tam przygotowania do drogi? – spytał Nidro obojętnym tonem, nie zaszczycając go choćby jednym ciepłym słowem.

– Wydałem odpowiednie dyspozycje – odparł kupiec wyraźnie zniesmaczony grubiaństwem maga. – Załoga szykuje statek do rejsu. Musimy jedynie zaopatrzyć się w prowiant i możemy wypływać. Myślę, że pojutrze będziemy gotowi do wyjścia w morze. Teraz co prawda statki pływają w konwojach z obawy przed piratami z Martwych Ziem, ale my pewnie damy sobie radę sami, czyż nie? – powiedział, wysilając się na nikły uśmiech.

– Przed piratami, powiadasz? Ostatnio sporo się o nich słyszy. Może będziemy mieli szczęście i też ich spotkamy po drodze.

Temu zbladł jak kreda, krew momentalnie odpłynęła mu z twarzy, kiedy usłyszał o szczęściu, jakie miałoby spotkać zarówno jego samego, jak i ukochany statek. Przełknął jednak bez słowa niewygodną odpowiedź.

– Teraz musimy jakoś przetrwać ten cały bal. – W głosie Nidro słychać było cień niezadowolenia, najwyraźniej wciąż nie mógł się przekonać do obcisłego stroju.

– Daj spokój – uciął szybko jego narzekania kupiec. – Widziałeś, jak dziewczyny się cieszą? Na wieść o balu Sena o mało co nie zniosła jajka. Przecież odrobina zabawy nikomu nie zaszkodzi. I tak musimy przygotować okręt do wyjścia w morze, więc na dobrą sprawę ten bal niczego tu nie zmienia.

– No nie wiem – odrzekł z rezygnacją młodzieniec i wypuścił głośno powietrze z płuc. – Nikt mnie nie uczył, co się robi na takich balach – wyrzucił z siebie w końcu. – Ja jestem żołnierzem szkolonym do walki, a nie jakimś bawidamkiem.

– Wreszcie rozumiem! Ty po prostu nie umiesz tańczyć – skwitował Temu i uśmiechnął się równie jowialnie, co kpiąco.

Nidro w żaden widoczny sposób nie odwzajemnił jego wesołości.

– Spokojnie – zmitygował się kupiec, spoglądając na tężejące oblicze maga. – Widziałem, jak ćwiczysz, dla ciebie nauka tańca będzie łatwa jak gra na skrzypcach dla świerszcza. Przecież ta twoja walka z cieniem też do pewnego stopnia przypominała taniec. Chodź. – Wyciągnął dłonie w zapraszającym geście. – Nauczę cię podstawowych kroków. Kto to widział, żeby bojowy mag nie umiał tańczyć. Zobaczysz, to jest proste jak... jak walka z lulu – dodał zadowolony z ostrości własnego intelektu.

Nidro zawahał się przez chwilę, głośno prychnął. Lecz z braku sensownej alternatywy wyszedł w końcu na środek komnaty i stanął naprzeciw kupca.

– Dobrze, ja robię to, co kobiety – oznajmił Temu, kładąc mu jednocześnie prawą rękę na ramieniu. – Ty musisz złapać mnie nieco niżej, o właśnie tak – instruował go z zapałem. – W zasadzie podczas tańca wszyscy kręcą się zarówno wkoło siebie, jak i sali balowej. Zademonstruję ci najprostszy krok, zresztą on jest równie dobry jak każdy inny. Na początku możesz sobie liczyć w głowie do trzech, niektórym to pomaga w nauce. Zaczynamy, prawa noga do przodu, lewa noga w bok, potem lewa noga do tyłu i prawa noga w bok.

Temu zrobił krok do tyłu, nie przerywając mówienia.

– Bardzo dobrze, zrób jeszcze kilka razy to samo.

Nidro wykonał polecenie, chociaż przez cały czas spoglądał głównie pod nogi.

– Teraz dodamy do tego obrót – oznajmił, gdy uznał, że chłopak załapał kroki. – Raz, dwa, trzy. Raz, dwa, trzy. Świetnie, o to chodzi, widzę, że pojąłeś. To teraz trochę szybciej. Na koniec wystarczy, że dodamy do tego obrót wokół komnaty i...

Wirowali tak obaj, kręcąc się zapamiętane, gdy do komnaty nieoczekiwanie weszła Kami. Dziewczynka przystanęła za progiem, skąd wpatrywała się w nich z rozbawieniem w oczach. Gdy ją dostrzegli, Nidro i Temu przestali tańczyć, zamiast tego podeszli bliżej, by obejrzeć jej wieczorową kreację. Kami miała na sobie śnieżnobiałą, dopasowaną w talii suknię, wykończoną niebieskimi koronkami i czymś w rodzaju szerokiego, ażurowego kołnierzyka w tym samym kolorze. Trzeba powiedzieć, że wyglądała w niej przepięknie i odrobinę surrealistycznie zarazem. Bardziej przypominała porcelanową lalkę aniżeli żywą istotę z krwi i kości. Dziewczynka dygnęła dworsko przed nimi, co obaj nagrodzili głębokim ukłonem.

– Widzę, że Sena nie marnowała czasu – stwierdził z rozbawieniem Nidro, jednocześnie z uznaniem przyglądał się podopiecznej.

Kami jakby wyczuwając jego myśli, puściła do niego oko, co pozostali skwitowali śmiechem.

– No to chodźmy na ten bal – oznajmił wreszcie Nidro, kiedy jego nastawienie uległo stopniowej poprawie.

Wyszli na długi korytarz i skierowali się w stronę komnaty Seny. Droge oświetlały im naścienne kinkiety, zawieszone po obu stronach zielone kłosze w kształcie polnych kwiatów wykonano kunsztownie z wulkanicznego szkła. Światło odbijało się promieniście od białych marmurów, tworząc pełgający powidok na ścianach. Kiedy dotarli na miejsce, musieli tradycyjnie odczekać swoje pod drzwiami. Nidro, o dziwo, tym razem nawet się nie zbulwersował. Chodził po korytarzu i powtarzał dopiero co przyswojone kroki taneczne, trwało to tak długo, aż dziewczyna zdecydowała się wpuścić ich do środka.

– No proszę, jaka delicja! – skomentował jej wygląd Temu, gdy jego wzrok przyzwyczaił się do delikatnych kształtów dziewczyny.

– Tobie już wystarczy słodkości – odpowiedziała mu radośnie z typowym dla siebie przytykiem.

Trzeba przyznać, że Sena prezentowała się doskonale. Włosy spięła w skomplikowaną kompozycję połączonych ze sobą pasemek. Włożyła długą suknię balową złotego koloru, do tego delikatne złote kolczyki w kształcie poszczepianych ze sobą liści, a na jej szyi mienił się mały listek na łańcuszku wykonany z tego samego kruszcu.

– Wyglądasz... – zaczął Nidro łamiącym się głosem.

Dziewczyna podeszła do oniemiałego maga tanecznym krokiem i zdecydowanym ruchem ujęła go pod ramię. Nie czekała, aż chłopak dojdzie do siebie, zamiast tego wyprowadziła go z komnaty. Temu chwycił Kami za rękę i niespiesznie ruszyli ich śladem. Dopiero w głównym holu, niemal drżącym głosem, Nidro wybąkał w końcu:

– Przepięknie...

Kiedy wkroczyli do rozświetlonej dziesiątkami żyrandoli sali jadalnej, herold tubalnym głosem oznajmił ich przybycie:

– Bojowy mag Nidro wraz z Sari Seną!

Zaraz po tym zawołał:

– Saru Temu wraz z Sari Kami!

Tłum gości w odpowiedzi przywitał ich głośnymi brawami. Ludzie unosili puchary z winem, inni kłaniali im się nisko. Nidro szedł pewnie wyprostowany, czym stwarzał wrażenie, jakby pół życia spędził na balach. Sena natomiast trzymała go pod ramię, a jej oczy lśniły w taki sposób, że odbijały w bursztynowych tęczówkach cały blask i splendor, jaki otaczał ich ze wszystkich stron. Sena starała się zamaskować ekscytację, ale pierwszy zachwyt na jej twarzy nie przygasł, a wręcz przeciwnie – rozpalał się coraz bardziej na podobieństwo rzuconej w ogień oliwy. Podeszedł do nich służący, skłonił się nisko i zaprowadził całą czwórkę do stolika ustawionego na honorowym miejscu w przeciwległym końcu pomieszczenia. Po drodze minęli łukowate wejście do o wiele większej sali tanecznej. I choć na razie jeszcze nikt nie tańczył, to słyszeli wyraźnie, jak orkiestra stroi instrumenty przed występem.

– Drodzy obywatele! – obwieścił uroczyście namiestnik prowincji, jednocześnie wyszedł na środek zgromadzenia i srebrną łyżeczką zaczął stukać w puchar do wina. – Skoro są z nami nasi wspaniali goście, chciałbym

wznieść toast za wielkie zwycięstwo i wielką sprawę. Wypijmy za pomyślność misji bojowego maga Nidro. Chwała Cesarstwu! – wykrzyknął.

– Chwała! – odpowiedziała mu cała sala.

Wszyscy zgromadzeni wokół podnieśli w górę puchary.

– Chwała!

Potem rozległy się skandowanie i ponowne oklaski. Do ich stołu służba nieustannie donosiła kolejne potrawy. Na niezliczonych talerzach piętrzyły się smażone pierogi z mięsem i serem, podano pieczone kuropatwy z grzybami, mieniące się złocistą skórą, krwiście czerwoną zupę w porcelanowej wazie oraz wiele innych dań, których nie dało się spałiętać. Dość powiedzieć, że wszystko wyglądało wspaniale i pachniało apetycznie. Temu na widok jedzenia o mało nie wyszedł z siebie, przywarł całym sobą do krawędzi stołu i od razu zaczął napełniać talerze. Jego dłonie przemykały między potrawami niczym palce pianisty po klawiszach fortepianu. Ułożył przed sobą dania w kolejności alfabetycznej, a następnie porwał największą karafkę z winem i nalał sobie pełny puchar.

– To jest życie – westchnął uradowany.

Przez wypełnioną ludźmi salę przetoczył się kojący dźwięk skrzypiec, gdy orkiestra zagrała do tańca. Wskutek czego, nie wiadomo skąd, wokół Kami pojawiło się kilku młodzieńców w podobnym do niej wieku, czyli tak od dwunastu do szesnastu lat. Oni również ubrani byli stosownie do okazji i wszyscy jak jeden mąż prosili ją do tańca. Dziewczynka wstała, wykonała swoje popisowe dygnięcie i pozwoliła się poprowadzić do sali tanecznej. Zanim jednak zniknęła za drzwiami, nie omieszkała się odwrócić. Spojrzała na zupełnie skołowanego Nidro i w samym przejściu puściła do niego oko.

– Ta dziewczynka nie przestaje mnie zaskakiwać – skomentował zdumiony tym, jak szybko adaptowała się do każdych warunków.

– To miło, że namiestnik zaprosił tych chłopców – zauważyła Sena. – Dzięki temu Kami nie będzie się czuła obco na balu.

– Tak, to bardzo miłe – odparł odruchowo, choć sam jednocześnie bił się z natrętnymi myślami.

„Przecież to nie może być takie trudne. A niech tam, raz kozie śmierć. Jak ta mała smarkula dała radę, to i ja nie mogę być gorszy” – powiedział

w duchu, poprawiając obcisłe rękawy swego eleganckiego stroju.

Ostatecznie zebrał się w sobie, skłonił nisko przed Seną i zaprosił ją do tańca. Dziewczyna w odpowiedzi obdarzyła go jednym ze swoich zniewalających uśmiechów. Chwyciła wyciągniętą do niej rękę i dała się prowadzić przez tłum zaaferowanych dygnitarzy do sali tanecznej. Tam w świetle kryształowych żyrandoli wirowały dziesiątki elegancko ubranych par, poruszających się synchronicznie w rytm muzyki jak nakręcone marionetki. Na ich widok Nidro złapała lekka trema.

„No ładnie, nie ma to jak pierwszy taniec w życiu na oczach całego Cesarstwa. Parafrazując Temu, walka z lulu była o wiele łatwiejsza od tego tutaj. No nic, trzeba się było słuchać Ligura, teraz jest już za późno, aby się wycofać”.

Stanęli naprzeciw siebie. Sena wpatrywała się prosto w jego oczy, tak że Nidro nie miał gdzie się schować przed przewiercającym na wskroś spojrzeniem. Położyła mu rękę na ramieniu, a on delikatnie chwycił ją w talii.

– Podoba mi się służba w wojsku, szczególnie w tym wykonaniu – powiedziała, wskazując na pełną salę tańczących.

To jedno zdanie wystarczyło, by opadło całe napięcie, a Nidro poczuł się znacznie pewniej. Rozluźnił spięte dotąd mięśnie i ruszył powoli, dając prawą nogę do przodu. Ku jego pełnemu zdumieniu Sena poruszyła się niemal w tym samym momencie i przesunęła lewą nogę do tyłu.

„Raz, dwa, trzy. Raz, dwa, trzy” – powtarzał sobie w głowie, gdy ostrożnie stawiał kolejne kroki z obawą, że przypadkowo nadeptnie stopy swojej partnerki.

Wirujący krąg postaci samą tylko siłą inercji wciągnął ich na salonowe głębiny. Dziewczyna w tańcu poruszała się tak lekko, zupełnie jak poranna mgła, jakby unosiła się nad ziemią, niczym złoty liść z jej naszyjnika. Wkrótce tak zatracili się w zabawie, że nie wiedzieli nawet kiedy, a przetańczyli pierwszy taniec. Nidro czuł się doskonale, jego pierś wypełniła prawdziwa euforia, nowe silne doznanie zajęło wolne miejsce po tremie, jaka męczyła go, od kiedy weszli na salę. Sam taniec okazał się mniej groźnym przeciwnikiem, niż początkowo sądził, do tego radził sobie na tyle

dobrze, że pod koniec mógł zapomnieć o liczeniu kroków. Stanęli w miejscu w oczekiwaniu, aż orkiestra wznowi występ, i jedynie w głowie kręciło im się nadal.

– Świetnie tańczysz – zauważył szarmancko.

– Ty również – odpowiedziała mu zupełnie szczerze, a uśmiech nie schodził jej z twarzy.

– Nie przyszło mi do głowy, że to może być takie przyjemne – stwierdził zaskoczony własnym odkryciem.

– Wiem, głuptasku. – Pstryknęła go palcem wskazującym w nos. – Mam nadzieję, że następnym razem rzucisz się na zabawę dziękczynną z taką werwą, z jaką ruszyłeś na wroga.

Nidro obdarzył ją rozradowanym spojrzeniem.

– Następnym razem na pewno tak zrobię.

Orkiestra zaczęła grać kolejny utwór, a Sena natychmiast znalazła się blisko niego. Nidro tym razem porwał ją do tańca niczym zawodowiec. Poruszał się przy tym płynnie i naturalnie, zupełnie jakby robił to od dziecka. Znowu cały świat zawirował, a przestrzeń wokół stała się niewyraźną, rozmazaną plamą. Chłopak wpatrywał się w swoją parę jak w obraz, urzeczony jej naturalnym wdziękiem. Ona natomiast uśmiechała się do niego zalotnie, co pogłębiało objawy nieuleczalnej choroby, na którą próżno by szukać liści leczniczych.

Tego wieczoru tańczyli jeszcze bardzo długo, a kiedy mieli dość, wyszli na spacer do ogrodu, by zaczerpnąć świeżego powietrza w zielonkawym blasku papierowych lampionów. Skupieni na sobie, wyminęli całą kawalkadę gości, a ci gdy przechodzili obok, kłaniali im się nisko. Niebo było bezchmurne, a wiatr niósł ze sobą zapach morskiej wody.

– Jak ci się podoba bal? – oboje odezwali się jednocześnie.

– Robię to wyłącznie dla chwały Cesarstwa – odrzekł pierwszy i mimo że usilnie starał się nie śmiać, nie zdołał zachować poważnego wyrazu twarzy.

Stanęli na krawędzi klifu i zapatrzeni w dal, obserwowali w milczeniu, jak ciemne morze błyska się pod ich stopami setkami białych bałwanów rozbijających się o przybrzeżne skały.

– Dzisiaj jesteś moim czarodziejem z bajki – oświadczyła i mocno objęła go za ramię.

– Czarodziejów nie ma... – zaczął zaprzeczać, jak to miał w zwyczaju.

– No wiem, że nie ma – przerwała mu w pół słowa. – Ale czarodziej bardziej pasuje do tej scenerii.

– No dobrze, dzisiaj mogę robić za czarodzieja. Tylko nie każ mi czarować, bo się zdemaskuję.

– Zawsze możesz przecież oczarować mnie samym sobą. To chyba potrafisz? – powiedziała, trzepocząc długimi rzęsami.

Nidro uśmiechnął się szerzej. Przypomniawszy sobie właśnie komplement, jakiego nie tak dawno nauczył go wódz Soma w Wielkim Lesie.

– Dzisiaj czary to raczej twoja specjalność – odparł, gdy już się opanował.

– Czyżbyś chciał zasugerować, że jestem wiedźmą? – droczyła się z nim.

– Tak, to znaczy, nie – odpowiedział zupełnie zbity z tropu. – Chciałem powiedzieć, że jesteś olśniewająca i że do twarzy ci w tej sukni.

– Wyłącznie służę Cesarstwu – odparła, naśladowując jego sposób mówienia.

Oboje się roześmiali. Sena spojrzała na niego zmysłowo, intensywnie trzepocząc rzęsami, a Nidro poczuł, że zaczyna tracić grunt pod stopami.

„Ta dziewczyna jest groźna jak krokozaur nawet bez swoich noży bojowych” – pomyślał, delektując się chwilą.

Ale to, o czym właśnie myślał, nie miało już znaczenia. Tonął w jej oczach i wiedział, że zaraz zabraknie mu powietrza. Sena zamrugowała ponownie.

„Ona to robi specjalnie!” – dotarł do niego przekaz z ostatniej aktywnej części mózgu.

– Długo każesz mi czekać? – powiedziała w końcu tonem słodkim niczym ciastko z kremem.

– Czekać na co? – zapytał zupełnie zdezorientowany.

– Na mojego całusa – odparła bez wahania.

Zamknęła oczy i zachęcająco ułożyła usta w dziobek. Mag delikatnie wargami musnął je, a ona oddała pocałunek i uwiesiła się mocno rękami na jego szyi.

– Mam cię – powiedziała rozradowana. – Gdzie podział się ten straszny mag, co w kilka uderzeń serca posiekał na plasterki całą wrogą armię?

- Raczej ponadziawał ją lodowymi włóczyniami – sprostował.
- Szkoda, że nie jesteś czarodziejem, zamieniłbyś tę chwilę w wieczność.

Z tego miejsca świat nie wydaje się taki straszny.

- Bo nie jest straszny, to ludzie sprawiają, że czasem taki się staje.

Sena nieporadnie zakryła ręką usta, czym próbowała zasłonić ziewnięcie.

- Widzę, że jesteś zmęczona.

- Nie – odrzekła, wciąż ziewając – nie jestem.

– Chodź. – Objął ją jedną ręką w pasie. – Odprowadzę cię do twojej komnaty. Lepiej dobrze się wyśpij, na statku raczej nie będzie już takich wygod.

Sena ponownie złapała go pod ramię i ruszyli niespiesznie w stronę pałacu.

Nidro odprowadził ją do komnat możliwie najkrótszą drogą. Kiedy dotarli na miejsce, dziewczyna ledwo trzymała się na nogach. Z obolałych stóp zrzuciła buty na środku dywanu i opadła na łóżko w sukni balowej. Nidro podszedł do okna i zaciągnął ciężkie zasłony.

– Dobranoc – powiedział, gdy odwrócił się w jej stronę, lecz ku jego pełnemu zdumieniu dziewczyna spała już w najlepsze z otwartą buzią. Mag westchnął z czułością, zamknął drzwi za sobą i ruszył do swojej komnaty, by tym samym udać się na zasłużony spoczynek.

„Ja przynajmniej przebrałem się do snu” – pomyślał jeszcze, kładąc się do królewskiego łóża.

Tej nocy zasypiał szczęśliwy, mając przed oczami uśmiechniętą twarz dziewczyny.

Obudziło go gwałtowne szarpanie za ramię. To Kami stała przy łóżku w pełnym rynsztunku bojowym, potrząsając nim z całej siły na boki. Nidro spojrzał na nią z bezbrzeżnym zdumieniem wymalowanym na zaspanej twarzy, wciąż był jeszcze środek nocy.

- Kami, co się stało? – wybąkał na widok zatroskanej twarzy dziewczynki.

Z ust Kami padło wyłącznie:

- Sena.

Ale jego brzmienie napawało taką trwogą, że Nidro od razu zerwał się na równe nogi. Ubierał się w pośpiechu, mimo że wciąż nie wiedział, co się tak

naprawdę stało. Na wszelki wypadek on również przypiął pas z maczetą.

– Idziemy! – zawołał, gdy włożył buty.

Oboje jednocześnie rzucili się do drzwi. W ekspresowym czasie dotarli do komnaty Seny. Nidro przekręcił klamkę, wpadł do środka jak zamieć, rozejrzał się dokoła. Jednak w komnacie nie zastali nikogo. Kami ruszyła do przeciwległej ściany, gdzie zwróciła jego uwagę na rozbitą szybę w oknie. Mag podeszedł bliżej i oszołomiony podniósł z ziemi odłamany kawałek szkła.

„Niedobrze – myślał gorączkowo, lustrując uważnie rozbite okno – nie podoba mi się to wszystko”.

Kami w tym czasie zaczęła przeglądać rzeczy Seny pozostawione na stoliku nocnym. Nagle odwróciła się do niego triumfalnie z grzebieniem dziewczyny w ręce. Zachowywała się dziwnie, uniosła go przed sobą w taki sposób, jakby trzymała w dłoni największy skarb Cesarstwa. Zdjęła z grzebienia kilka długich, antracytowo czarnych włosów, podeszła do niego i złapała go mocno za rękę, bez choćby słowa wyjaśnień. Nidro momentalnie zrobiło się czarno przed oczami, a cały świat zawirował dokoła. Zachwiał się na nogach i zapewne upadłby na podłogę, gdyby dziewczynka nie przytrzymała go za ramię.

– Co się dzieje? – wysapał cicho oszołomiony wszechogarniającym bólem.

Zrobił kilka głębokich wdechów i poczuł, że zaczyna odzyskiwać ostrość widzenia, a uczucie niemocy stopniowo opuszcza jego ciało. W pewnym momencie zauważył z równą dozą zachwyty co niedowierzania, że na łóżku przed nim pojawił się gęsty cień, ten cień wyglądał dokładnie jak... jak kobieca postać w sukni balowej. Nie miał żadnych wątpliwości. Eteryzny twór miał taki sam kształt jak Sena, kiedy zostawił ją tu na noc.

– Co to takiego? – wymamrotał, pokazując ręką na ciemną postać.

Mówił z trudem, ponieważ wciąż jeszcze zmagał się z bólem głowy. Dolegliwości jednak powoli mijały, a on z każdą chwilą czuł się coraz lepiej. Wtedy zauważył coś jeszcze. Do komnaty weszły trzy kolejne cienie. Wyglądały jak ludzie skradający się po cichu. Cienie gromadnie podeszły do

łóżka, a jeden z nich wykonał taki ruch, jakby zakrywał twarz dziewczyny ręką.

„Zasłonił jej usta dłonią” – zrozumiał oszołomiony mag.

Pozostała dwójka zaczęła sprawnie krępować ręce dziewczynie, a przynajmniej on tak to zinterpretował. Następnie zręcznie podnieśli ją z łóżka. Dopiero kiedy ruszyli z miejsca, cień w sukni balowej zaczął się wyrywać i wtedy jeden z porywaczy po ciosie stopą w głowę wpadł plecami w okno. „To właśnie wtedy musiał rozbić szybę” – zaświtało mu w głowie. Zaraz po tym ta sama postać, która na samym początku zatykała dziewczynie usta, uderzyła ją czymś tępym w tył głowy. Po właściwie zadanym ciosie powidok dziewczyny oklapł w rękach porywaczy. Nidro obserwował pełen trwogi, jak obwiązują jej ciało liną i spuszcza ją przez okno na podwórze, a potem sami zsuwają się po sznurze w dół. Ponieważ lina była jedynie przełożona przez barierkę, a nie związana, wystarczyło ją pociągnąć za jeden koniec, by spadła na ziemię, nie zostawiając tym samym żadnego śladu w komnacie. Poza przypadkowo wybitą szybą ma się rozumieć. Nidro i Kami stanęli w oknie komnaty, skąd obserwowali ze zgrozą, jak cienie skradają się w stronę klifu z dziewczyną na rękach. W tej samej chwili spojrzeli na siebie ze zrozumieniem w oczach.

– Spuścili ją z klifu na linie! – Umysł maga pracował na pełnych obrotach.

Mieli trop, a przede wszystkim mieli tropiciela. Puścił rękę dziewczynki i oboje popędzili do korytarza. Nie zwolnili ani na moment, gdy zbiegali w dół po krętych schodach, tratując po drodze zaskoczonych strażników. Wybiegli na zewnątrz, jakby się paliło, i pognali w stronę zbocza. A kiedy dotarli do krawędzi klifu, Kami ponownie ujęła jego dłoń. Nidro spojrzał na nią z mieszaniną fascynacji i niedowierzania zarazem.

„Co właściwie robi ta mała?” Pytanie samo cisnęło się mu na usta, jednak nie ubrał go w słowa i bynajmniej nie dlatego, że odjęło mu mowę, po prostu nie miał w tej chwili na to czasu. „Tym zjawiskiem zajmę się później. Teraz mam ważniejsze sprawy na głowie. Muszę jak najszybciej odnaleźć Senę” – zastanawiał się w tle, obserwując, jak cienie schodzą po linie.

Eteryczni porywacze nieniepokojeni przez nikogo opuścili dziewczynę na sam dół stromego zbocza. Dwa cienie zeszły za nią, natomiast trzeci

odwiązał linę i zrzucił jej końcówkę w przepaść. Rozejrzał się uważnie wokół, a gdy nie dostrzegł nikogo, ruszył z powrotem w stronę pałacu. Spektakl urwał się akurat na tej scenie, ponieważ Kami puściła jego rękę.

– Ważne, że dowiedzieliśmy się, gdzie szukać Seny.

W tym czasie ściągnięty na pomoc Arto leciał wzdłuż skalnej ściany i prześwietlał wzrokiem podnóże klifu.

– Tam jest jaskinia – powiedział nieobecny głosem. – Zabrali ją do jaskini na brzegu.

Nidro wypowiedział zaklęcie, a z morza uformowała się wodna dłoń i na długim ramieniu uniosła się do góry, by po chwili zrównać się z krawędzią urwiska. Obydwoje bez zwłoki wbiegli na platformę po transparentnych palcach. Niebawem dłoń płynnym ruchem zaczęła się przemieszczać w dół, by znieruchomieć ostatecznie u podnóża zbocza. Zeszli z niej na skalisty brzeg tuż przy samej jaskini. Ruszyli do wejścia, ostrożnie stąpali po wyszlizganych kamieniach, a te cicho trzeszczały pod ich stopami. Otwór był mały i dobrze zamaskowany. Na szczęście nie dość dobrze, by orzeł go nie wypatrzył.

– Świetnie się spisałeś, Arto – pochwalił przyjaciela mag.

„Zostań tu i obserwuj okolicę” – przekazał mu mentalną komendę, kiedy on tymczasem ruszył do środka jaskini.

Orzeł wydał z siebie zadowolony świergot i odleciał, młóćąc powietrze skrzydłami. We dwoje zagłębili się w ciemną otchłań. Na końcu groty znaleźli wejście do podziemnego tunelu, tam przystanęli na moment. Dzięki bransoletce Ludu Nidro widział wszystko wyraźnie w czarno-białym odcieniu, jakby naszkicowane ołówkiem. Uważnie rozejrzał się na boki, a gdy uznał, że nie zastawiono tu żadnych pułapek, ponownie ruszył biegiem. Kami trzymała się tuż za nim i nie odstępowała go ani na krok. W pewnym momencie trafili na rozgałęzienie, wtedy dziewczynka bez wahania wskazała palcem na korytarz po prawej stronie. Nidro nie zadawał żadnych pytań, zamiast tego ruszył dalej we wskazanym kierunku. Tunel rozgałęział się jeszcze kilkukrotnie, lecz Kami za każdym razem z pewnością szulera wskazywała mu konkretną drogę. Koniec przejścia wyznaczała drewniana belka przerzucona ponad głęboką rozpadliną w skale, po której

ostrożnie przeszli. A kiedy znaleźli się po drugiej stronie, wystarczyło precyzyjnie się przez wąską szczelinę, aby trafić do... Tak, bez wątplenia znaleźli się w miejskich kanałach. Ceglany korytarz wydał im się ogromny, szczególnie że dopiero co wyszli z wąskiego przejścia, miał co najmniej dwanaście kroków szerokości. Ten fakt nie powinien ich specjalnie dziwić, w końcu cesarskie miasta miały szerokie ulice, a kanały wiły się bezpośrednio pod nimi. Korytarz po obu stronach wyposażono w coś w rodzaju chodnika, a jego środkiem biegł rów odwadniający, to jego gardzielą spływały miejskie ścieki. Był on w tej chwili w jednej trzeciej wypełniony nieczystościami. Owionął ich wszędobyłski zaduch kloacznych miazmatów, a stęchły smród fekaliiów niemal fizycznie lepił im się do ciała. Ruszyli w lewo, wzdłuż chodnika, a Kami wciąż nieprzerwanie wskazywała drogę. Mijali liczne zakręty i rozgałęzienia, aż wreszcie za jednym z nich ich oczom ukazała się grupa dwunastu zbirów. Nidro nie zwolnił biegu. Wypowiedział zaklęcie, a z kanału ściekowego wystrzeliły lodowe sople, uderzyły precyzyjnie, w dodatku z taką siłą, że przebiły gardła bandytów na wylot w ciągu jednego uderzenia serca. W ślad za soplami z wody wyłoniły się liany uplecione z jakiegoś gówna. Zwinnie złapały w locie upadające ciała, zanim te zdążyły jeszcze runąć na posadzkę. Dwunastu zbirów straciło życie, nie wydając przy tym ani jednego dźwięku, a ich cielesne powłoki zniknęły bezszelestnie w kanale ściekowym. Kiedy przebiegali w tym miejscu, po bandytach nie było śladu. Za sprawą Nidro ostatnie wspomnienie po nich popłynęło wraz z nieczystościami prosto do ujścia kanału.

– To jest śmierć godna waszej profesji – stwierdził nie bez satysfakcji Nidro.

Zrobił zatroskana minę. Bynajmniej nie było mu szkoda zbirów, o nie, żałował jedynie, że zadał im taką szybką śmierć. Uważał, że za to, czego się dopuścili, powinni umierać powoli. Nie to było jednak w tej chwili najważniejsze, teraz liczył się czas. Muszą zdążyć, zanim... Starał się nie myśleć o tym, że coś mogłoby się jej stać. Skręcili w prawo na skrzyżowaniu. Jeśli chciał ją uratować, musiał działać szybko, a jednocześnie zachować spokój i trzeźwy umysł.

Powrót do przytomności skojarzył się jej z bólem, jaki towarzyszy ludziom od zarania dziejów podczas cudu narodzin. I paradoksalnie właśnie to dojmujące uczucie, skupione w okolicach tylnej części głowy, wciągnęło za fraki otumanioną świadomość z powrotem do nieprzygotowanego na to ciała. Przebudzeniu towarzyszył krótki spazm, tak podobny do wyjścia z sennego koszmaru. W pierwszym odruchu Sena miała ochotę zerwać się, aby na wyprostowanych nogach stawić czoła niechcianej rzeczywistości, która w tak obcesowy sposób wyrwała ją z manowców umysłowego zatracenia. Wszelki trud okazał się tu jednak daremny, gdyż została mocno przywiązana do krzesła za nogi i ręce. Niemrawo zamrugała ciężkimi od zmartwień powiekami, a w ustach wyczuła miedziany posmak krwi. Dookoła panował stęchły półmrok. W dodatku bez pomocy ndulu dziewczyna widziała jedynie niewyraźne kontury rozmazanych cieni. Jakby tego było mało, w jej nozdrza wwiercał się nachalnie ostry fetor fekaliiów, zdawał się wplatać kolejną niechcianą nić w kobiercu jej gównianego położenia. Po na równi stęchłym, co charakterystycznym zapachu domyśliła się, że jest gdzieś w miejskich kanałach.

„Zabrali mi bransoletę” – pomyślała, zmuszając umysł do wytężonej pracy.

Usłyszała wtedy przed sobą niski, chrapliwy i bardzo nieprzyjemny głos:

– Budzi się nasza gołąbeczka – powiedział wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna, jeszcze zanim wyłonił się z mrocznego cienia.

Jego kanciastą twarz ozdabiała długa blizna ciągnąca się od czoła aż do ust. Dodatkowo brakowało mu dwóch przednich zębów, co nie poprawiało i tak szpetnej już aparycji. Bandzior sprawiał wrażenie typowego tępego osiłka, nieskażonego inteligencją, to taki typ, co nawet z rękami w kieszeni wciąż jest panem sytuacji.

– Ładnie ubrałaś się na swój pogrzeb, gołąbeczko – stwierdził kolejny bandyta, wychodząc zza jej pleców.

Podszedł do niej i z zainteresowaniem zaczął oglądać suknię, którą na szczęście wciąż miała na sobie. Był niski i chudy, za to dorównywał koledze urodą.

– Zabijecie mnie? – spytała nie swoim głosem, słowa z trudem przechodziły jej przez zaschnięte gardło, w dodatku wciąż jeszcze kręciło jej się w głowie.

– Nie, księżniczko, na twoje nieszczęście Szczur płaci nam za żywą dwa razy więcej niż za martwą. Dlatego zabicie cię nie leży w naszym interesie. Najwidoczniej on sam bardzo chce się z tobą „pożegnać”.

Teraz zaśmiali się wszyscy trzej.

„Więc ich jest tu trzech. Słabo to wygląda. Jak to jest, że w jedną noc spadłam z nieba aż do samego piekła? Jeszcze nie przestałam myśleć logicznie, to dobrze, tutaj jestem zdana na samą siebie. W takim miejscu jak to mój dzielny mag nigdy mnie nie znajdzie” – zauważyła trzeźwo i uśmiechnęła się pod nosem, lecz bez cienia radości.

– Popatrz, Suchy, nasza księżniczka się uśmiecha – powiedział ten bez przednich zębów. – No dobrze, skoro już nie śpisz, pozwól, że trochę lepiej nakreślę ci sytuację. To, że oddamy cię żywą, nie oznacza wcale, że nie możemy się z tobą trochę zabawić. Nikt nie powiedział przecież, że masz trafić do Szczura nietknięta. Zwłaszcza że to my wykonaliśmy tu całą pracę. Muszę ci się przyznać w sekrecie, że prawie nam zwiąsał. Gdyby nie ten bal – kontynuował i cmoknął przeciągle – ciężko byłoby się dostać do pałacu. Sprytnie to sobie wykombinowałaś z tym magiem. Nic dziwnego, że wyłącznie tobie udało się uciec przed ludźmi Kapłana.

– Ale teraz masz konkretnie przesrane. Jak to mówią, życie to kupa gówna, więc im dłużej żyjesz, tym bardziej śmierdzisz – zarechotał mięśniak, patrząc prosto w jej bursztynowe tęczówki.

Jego słowa pozostali skwitowali nosowym chichotem. Trzeci z bandytów wydawał się jakiś nieswój i przez cały czas pozostawał w cieniu.

„Nic się nie odzywa, on jest bardziej czujny od tych dwóch debili. Będzie z nim większy problem, to musi być mózg całej operacji” – jej umysł wciąż analizował fakty, mimo że nie miała jeszcze choćby namiastki jakiegokolwiek planu ucieczki.

– Dobra – ciągnął dalej dryblas i obnażył jej swe braki w uzębieniu – wypada, byś stanęła przed Szczurem choć odrobinę skruszona. Słyszałem, że jesteś świetną aktorką i na pewno potrafisz płakać na zawołanie. Dlatego,

aby twój żal był naprawdę szczery, postanowiliśmy z kolegami, że na początek naszego spotkania wyłupiemy ci oczy.

Podszedł do falbanka stojącego pod przeciwległą ścianą i wziął z niego cienki nóż do filetowania ryb. Ostrze zaślnęło złowrogo w świetle lampy, mignęło na chwilę odbitym blaskiem, by po chwili zniknąć w cieniu.

– Myślę, że jak staniesz przed Szczurem... – kontynuował swój wywód bandyta, najwyraźniej zakochany w brzmieniu własnego głosu – ...z takimi krwawymi łzami, jakie ci zaraz zrobię, to od razu zrozumie, że jest ci bardzo przykro.

Przystawił nóż do oka dziewczyny.

– A niech mnie. – Bandyta zawadiacko klepnął się w udo. – Spodobałaś mi się, księżniczko, lubię takie harde suczki. Zrobię dla ciebie ostatnią rzecz – przerwał teatralnie dla zbudowania napięcia – i pozwolę ci samej wybrać oko, które ci wytnę – mówił to wszystko z sadystycznym uśmiechem na twarzy.

– Zaproponuj to swojej starej, obesrańcu jeden – warknęła Sena, obrzucając go nienawistnym spojrzeniem.

„Dlaczego nie ukryłam w sukni żadnego ostrza” – pomyślała zrezygnowana i skarciła się za głupotę. Jak mogła pójść tak kompletnie nieuzbrojona na bal?

W akcie desperacji napięła wszystkie mięśnie w więzach, te jednak trzymały mocno, pozbawiając ją tym samym resztek nadziei.

– Powoli zaczynam rozumieć, czemu Szczur tyle płaci za ciebie. – Bandyta pomachał jej nożem przed twarzą.

– Szcherba, po skończonej robocie możemy jej wsadzić to oko do ręki! – zawołał Suchy, przyglądając się dziewczynie z fascynacją kota śledzącego wzrokiem rybki w akwarium.

– Po co? – zdziwił się mięśniak.

– Żeby mogła na wszystko rzucić okiem – odparł z debilnym uśmiechem bandyta.

– Od kiedy nad tym myślałeś?

– No ... – Nie musiał odpowiadać, wystarczyło, że w zadumie podrapał się po głowie.

– Tak też myślałem – podsumował twórcze zapędy kolegi Szczerbera i odwrócił się na powrót w stronę dziewczyny. – To które oko wybierasz, książniczko, lewe czy prawe?

Przykucnął naprzeciw niej z obnażonym nożem w dłoni.

– Zdychaj, psie! – odparła hardo Sena i splunęła mu prosto w twarz.

Uśmiech momentalnie spęłzył z twarzy osiłka, a jego rysy stężały. Najwidoczniej nie takiej reakcji się spodziewał po związanej i zupełnie bezbronnej ofierze. Szczerbera wytarł ślinę z twarzy i mocniej zacisnął palce na rękojeści.

Nidro zwolnił nieoczekiwanie, coś było nie tak. Wprawdzie od dawna czuł kontakt mentalny, lecz dopiero teraz, gdy podeszli dostatecznie blisko, zrozumiał, że jego źródło znajduje się tuż przed nim.

– Mają maga, psie syny – wysyczał przez zaciśnięte zęby. – Na szczęście to tylko mag użytkowy i nie jest w stanie mnie wykryć na większą odległość, ale to z kolei oznacza, że wyczuje mnie, jak podejdziemy bliżej.

„Niedobrze, niedobrze. W takim razie musimy ich wziąć z zaskoczenia. W przeciwnym wypadku użyją Seny jako zakładnika, a do tego nie można dopuścić” – myślał gorączkowo, szukając wyjścia z patowej sytuacji.

Podeszli do załomu, a Nidro pokazał Kami gestem, że muszą być cicho. Dziewczynka skinęła głową na znak, że rozumie.

„Jesteśmy blisko granicy detekcji ich maga. Kilka kroków dalej i na pewno mnie wyczuje”.

Za zakrętem kanału stał bandyta, znajdował się jakieś dziesięć kroków od nich.

„Zostawili jednego na czatach przed wejściem. Cholera, niedobrze, niedobrze, trzeba będzie spróbować czegoś nowego. Jak to mówią, na trudne czasy zostają trudne decyzje” – analizował wszystkie możliwości w zakamarkach zdesperowanego umysłu.

A ponieważ nie przychodził mu do głowy żaden inny pomysł, z braku alternatywy wyjął z kieszeni drobny zielony listek i wsadził go sobie pod język. Kolejny podobny podał Kami, by dołączyła do niego. Na efekty nie musiał długo czekać, poczuł, jak jego zmysły się wyostrajają i wyciągają na pierwszy plan wrażenia chowane dotąd w podświadomości. Odczucie było

tak intensywne, jakby jego myśli zaczęły biec równolegle na kilku płaszczyznach naraz. Oddech przyspieszył rytm, a serce popchnęło buzującą w żyłach krew do najdalszych zakątków ciała. Widział wolno opadającą ze ściany kroplę wody, obserwował jej lot, patrzył, jak ginie w płytkiej kałuży pod jego stopami. Zdawało mu się, że słyszy oddech strażnika przy schodach, ale to mogło być tylko takie wrażenie.

– No dobra, obesrańcy, nie będę wam wciskał kitu, będzie bolało – wyszeptał prawie bezgłośnie.

Wskazał strażnika dłonią, a Kami pojęła w lot, czego od niej oczekuje. Wzięła do ręki dmuchawkę i posłała czerwoną strzałkę prosto w szyję mężczyzny. Nidro wystartował natychmiast, kiedy Kami przyłożyła śmiertcionośną rurkę do ust. Biegł co sił, w dodatku kątem oka był w stanie śledzić lecącą strzałkę. Prawie dobiegał do strażnika, kiedy ten chwycił się ręką za szyję. Starał się biec jak najciszej, o ile coś takiego w ogóle jest możliwe.

„Nawet nie wiesz, jakim jesteś szczęściarzem” – pomyślał, gdy wyminął opadające ciało.

Skręcił w lewo i wbiegł do wąskiej klatki schodowej umieszczonej w ceglanym murze. Kami podążała tuż za nim, ruszyli po schodach na górę. Nidro wiedział, że w tej chwili wrogi mag go wyczuł, dlatego biegł ile sił w nogach.

„Muszę ich wyeliminować, zanim zdążą zareagować” – myślał o co najmniej pięciu sprawach jednocześnie, a każda z nich jawiła mu się niezwykle klarownie.

Wpadł przez otwarte drzwi do niewielkiej izby, to równie dobrze mogła być piwnica jakiegoś starego domu. Wydawało mu się, że od progu w jakiś dziwny sposób wyczuwa wszystkich znajdujących się w pomieszczeniu ludzi, i nie była to magia. Przysiągłby, że poczuł zapach Seny, to było coś jak zwierzęcy instynkt. Nie rozglądał się na boki, nie zgadywał, on po prostu wiedział: ilu, gdzie. Podejmował błyskawiczne decyzje, podświadomie analizując sytuację. Wiedział, że Kami jest tuż za nim. W jakiś sposób wyczuł, że dziewczynka ma załadowaną strzałkę w dmuchawce. Jedną ręką rzucił maczetą w draba nachylającego się nad Seną z długim nożem. W tym

samym czasie drugą dłońią wskazał Kami kolejny cel. Obserwował, jak maczeta przechodzi przez głowę bandyty, jak stalowe ostrze wbija się w skórę w okolicy ucha. Rzut był mocny i celny, a siła uderzenia zmiotła mężczyznę na bok.

„Ty szczęściarzu, zaraz mi wszyscy pouciekają” – pomyślał zirytowany Nidro.

Usłyszał lecącą w powietrzu strzałkę, dlatego drugim bandytą nie zawracał sobie głowy. Uznał, że Kami nie da mu żadnej szansy. Odwrócił się gwałtownie w stronę trzeciego zbira, którego miał za swoimi plecami. To był mag użytkowy i to właśnie jego aurę zdołał wyczuć z kanału. Ich spojrzenia spotkały się na krótką chwilę, potem wzrok Nidro zjechał w dół, na lewej ręce maga dostrzegł bransoletkę Seny. Był szczupły i nieuzbrojony, poruszał się jakoś niezdarnie. Nidro przyjrzał mu się krytycznie i wtedy zdał sobie sprawę z tego, że to nie był żaden wojownik.

– Mam cię – powiedział do niego, a kąciki ust uniosły się mu w złowieszczym grymasie. – Złapałem cię z ręką w nocniku, gnojku.

Nidro wyjął liść z ust, a wtedy świat wokół niego na powrót przyspieszył bieg. Odczekał chwilę, aż uspokoi oddech, przy czym przez cały czas nie spuszczał wzroku z mężczyzny. Bandyta wiedział doskonale, kogo ma przed sobą, samego bojowego maga z krwi i kości, a to oznaczało, że nikt nie przyjdzie mu z pomocą, to było nie do pomyślenia, by ktokolwiek zdołał mierzyć się z takim przeciwnikiem. Stał więc z opuszczonymi rękami, jakby czekał na śmierć. Wydawał się zaskoczony, najwyraźniej wciąż nie mógł uwierzyć, że śmierć może mieć takie przystojne męskie oblicze. Za jego plecami Kami pomagała Senie się uwolnić. Więzy w końcu puściły, a kawałki liny opadły na podłogę. Sena poczuła mrowienie, gdy krew na powrót dopłynęła jej do stóp i rąk. Wstała z krzesła i z dziką satysfakcją roztarła obolałe nadgarstki.

– Oddawaj – warknęła do bandyty, jednocześnie gestem wskazała bransoletkę na jego ręce.

Tamten zdjął ją pospiesznie, jakby artefakt nagle zaczął palić go w skórę żywym ogniem. Widać było wyraźnie, że trzęsą mu się ręce ze strachu. Sena wyrwała mu artefakt z palców, wsunęła go na rękę i podeszła do Szczerby, by

odzyskać maczetę sterczącą paradnie z jego głowy. Szarpnęła mocno, aby uwolnić zaklinowane ostrze, aż te w końcu wyszło z ciężkim młaśnięciem. Wyprostowała się i ruszyła z powrotem w stronę ostatniego z bandytów. Widok obłąkańczo uśmiechającej się dziewczyny w złotej sukni balowej, z ociekającą świeżą krwią maczetą w ręku, zrobił na nim upiorne wrażenie. Na twarzy jeńca malowało się zwierzęce przerażenie. Wiedział, że ma przed sobą prawdziwego zabójcę, a nie dziewczynkę, która mdleje na widok krwi jednorożca.

– Jak mnie znaleźliście? – spytała Sena, gdy dołączyła do pozostałych.

Nidro wskazał skinieniem głowy na Kami.

– To ona nas tu przyprowadziła.

– Kami, ale jak? – spytała zaskoczona dziewczyna.

– Nie wiem – odparł zwięźle.

– Co to znaczy: nie wiem?

– Nie wiem, jak to zrobiła. Po prostu nie wiem, później się będę nad tym zastanawiał. Teraz mam zamiar spuścić tęgie lanie temu śmieciowi. Wsadzę mu w dupę lodową rękę sprawiedliwości prosto z szamba i poczekam, aż z nosa wyjdą mu gówniane sople w bordowym kolorze. – Na jego twarzy wykwitł straszliwy uśmiech z najgorszego koszmaru.

– Poczekaj, błagam – wybąkał bandyta. – To nie jest tak, jak myślisz – zaskomlał rwącym się z przerażenia głosem.

Nidro widział, jak pot obficie spływał mu po czole.

– A kto ci powiedział, że będę się zajmować myśleniem, trupku? Ja już cię zabiłem w mojej głowie na siedem różnych sposobów – odrzekł mu, cedząc słowa przez zaciśnięte zęby. – Ale wciąż się waham. Czy nakarmić cię twoimi wnętrznościami po tym, jak cię podpalę, czy przed?

Jego słowa musiały zrobić odpowiednie wrażenie na rozmówcy, bo ten zsikał się w spodnie, kiedy je usłyszał. Nogawki bandyty zaczęły zmieniać odcień, a on sam trząsał się jak epileptyk. Poruszał rękami przed sobą w taki sposób, jakby trzymał w dłoniach niewidzialne kości do gry.

– Oni zaraz tu będą – rozpląkał się rozhisteryzowany bandyta.

– Jacy oni? – zainteresował się Nidro.

– Ludzie Szczura, mieli zawieźć ją do Atolu. – Wskazał trzęsącym się palcem na Senę. – Ja jedynie miałem się upewnić – mówił coraz wolniej, przerywając swoje słowa łkaniem – że obie strony wywiązały się ze swoich zobowiązań.

– Jakie strony, z jakich zobowiązań? Mów jaśniej, trupku.

– Chodzi o zapłatę oczywiście, jest nagroda za jej głowę. Szczur płaci dwieście złotych monet za żywą.

– Szczur płaci za żywą – powtórzył po nim jak w transie mag. – Więc ci od Szczura idą tu teraz z pieniędzmi?

– Tak, właśnie tak! – zawył jeniec, energicznie potakując głową.

Twarz Nidro wygładziła się momentalnie.

– To świetnie się składa, bo widzisz, kilka złotych monet zawsze się przyda, a ktoś w końcu będzie musiał zapłacić mi za to wszystko, co tu się stało. Myślałem z początku, że dorwałem wyłącznie ciebie, ale skoro mówisz, że trupki właśnie się schodzą... No, no, może tym samym załatwiłeś sobie szybką śmierć, kolego. Rozumiesz?

– Tak, Saru.

– To co się mówi, kiedy ktoś okazuje ci taką łaskę?

– Dziękuję, Saru?

– Dobry trupek. Co o tym myślicie, dziewczyny? – Spojrzał na nie, a ich okrutne uśmiechy powiedziały mu więcej niż tysiąc słów. – W takim razie poczekamy tu sobie na nich.

Minęło sporo czasu, zanim w głębi kanału pojawiło się pięciu drabów, a może po prostu im się tak strasznie dłużyło. Gdy usłyszeli odgłos kroków, Nidro wychylił się zza winkła, by lepiej przyjrzeć się przybyszom. Wysłannicy Szczura szli pewnie w świetle pochodni i kierowali się prosto na nich, wszystko wskazywało na to, że któryś z nich znał drogę. Odziani byli w ciemne peleryny z kapturem, takie same jak ta, którą Sena nosiła w Kenir. Gdy podeszli na odległość kilku kroków do ceglanych schodów, z przyległego kanału wystrzeliły wodne liany, błyskawicznie dopadły bandytów i zwinnie oplotły im nogi i ręce. Dwa uderzenia serca później cała piątka zawisała pół kroku nad ziemią, miotając się bezradnie w magicznych pętach. W pierwszym odruchu bandyci zaczęli krzyczeć, starali się za

wszelką cenę oswobodzić z gównianej pułapki, liany jednak trzymały pewnie, nie dając im żadnej szansy na ratunek. Zobaczyli, jak z przejścia w ceglanym murze wychodzi młody chłopak. Obok niego szła upiorna lalka z czarnymi otworami w głowie zamiast oczu, przez które wyzierała pustka bezdennej otchłani. Za nimi wyłoniła się Sena w długiej balowej sukni poplamionej krwią, mroczna i piękna zarazem, prowadziła za sobą na postronku związaną postać mężczyzny. Jeniec kuł się w więzach, z trudem drobił rozchwianymi krokami, gdy usiłował za nią nadążyć. Widok upiornego trio uśmiechającego się złowrogo jednym sprawnym cięciem wykastrował ich nadzieje na ocalenie życia. Złodzieje zamarli, pełną piersią wciągali do płuc intensywną woń fekaliiów, w takich chwilach, jak się okazało, zmysł powonienia potrafił doskonale podsumować ich jakże jednoznaczne położenie. Nidro stanął przed wisielcami i zatarł ręce z zadowolenia. Wyciągnął nóż i kilkoma sprawnymi ruchami uwolnił pierwszego z bandytów od ciężaru czterech ciężkich sakiewek z pieniędzmi.

– Chodź do mnie, trupku! – zawołał do jeńca, jednocześnie wskazał ręką, aby ten stanął przy nim.

Sena z ochotą ściągnęła bandycie ozdobną pętlę z szyi, by mógł iść się pobawić z Saru magiem.

– Jeszcze tego pożałujesz – zaczął wygrażać mu jeden ze zbirów, ten, szarpiący się najmocniej w urynopnączach. Jednak pomimo szczerych chęci, w jego głosie próżno by szukać pewności siebie. Wręcz przeciwnie, wybrzmiewała w nim rozpacz podszyta strachem niesionym na fali kompletnego zaskoczenia. Ostatecznie ich obecna sytuacja nie wróżyła świetlanej przyszłości i musieli wszyscy jednakowo dobrze zdawać sobie z tego sprawę.

– Miałeś nadzorować transakcję i wszystkiego dopilnować – odezwał się Nidro z pogardą do jeńca. – Więc obserwuj. – Gwałtownym ruchem złapał go za włosy i ustawił twarzą w stronę wisielców. – Jeśli zobaczę, że chociaż na moment, na jedną krótką chwilkę zamknąłeś oczy, to spotka cię coś jeszcze gorszego. Zrozumiałeś?

– Mhy...

– Dobrze. – Poklepał go dłonią po policzku.

Jeden z bandytów wciąż im wygrażał, ale Nidro go zignorował. Zachowywał się jak krwiożerczy somnambulik, jak ktoś pogrążony w lunatycznym transie. Na jego wezwanie z kanału wylała się brunatna cuchnąca breja i w czasie krótszym niż dwa uderzenia serca uformowała wodny sześcian wokół pojmanych bandytów. Wszystko to wydarzyło się błyskawicznie. Nie było nic, a chwilę później wiszący w uwięzi złodzieje znaleźli się w środku półprzezroczystej kostki. To, co się stało, zaskoczyło bandytów do tego stopnia, że większość z nich nie zdążyła choćby zawczasu nabrać powietrza do płuc. Pływali w miejscu niczym ryby w brudnym akwarium, machając we wszystkie strony rękami i nogami. Od sześcianu biła intensywna woń ludzkiej egzystencji, równie odpychająca jak zagłada, czekająca na zamknięte w nim ofiary. Mętna zawiesina zawierała w sobie dość wody, by można było dostrzec bąbelki powietrza wydostające się z ust bandytów, ci szarpali się, krzyczeli bezgłośnie, uwięzieni w odchodach. Zalani w trupa złodzieje nieruchomieli jeden po drugim z wybałuszonymi oczami, zamieniając się w makabryczne kukły zastygłe w nienaturalnie powykrzywianych pozach.

– HUUUUU. – Nidro długo wypuszczał powietrze z płuc. – Trochę mi przeszło – powiedział raczej sam do siebie. – Ale byłem wściekły, mówię wam.

Spojrzał na dwie dziewczyny, lecz te w dalszym ciągu gapiły się na sześcian z otwartymi z niedowierzania ustami.

– Ty szczęściarzu – zwrócił się do jeńca i niespodziewanie klepnął go poufale dłonią po plecach. – Widzisz... – zaczął spokojnie wyjaśniać – ...tak się składa, że potrzebuję kogoś, kto przekaże ode mnie wiadomość Szczurowi. A ponieważ cała reszta jest... niedostępna – kontynuował i wskazał ręką na kostkę szamba – ten niewątpliwie zaszczyt przypadnie tobie w udziale. Dlatego dam ci dobrą radę, a ty, jeśli nie chcesz mnie więcej spotkać w życiu, przekażesz Szczurowi, że oddycha wyłącznie dlatego, że jeszcze nie miałem czasu go zabić. Opowiedz mu ze szczegółami, co przydarzyło się jego ludziom. Przekaż mu ode mnie, że jeśli chce się dowiedzieć, jak to jest utonąć we własnych szczyinach, to niech mi jeszcze raz któryś z jego dupowłazów wejdzie w drogę, a obiecuję, że przy pierwszej

nadarzającej się okazji zawitam do Atolu, by pokazać miejscowym władzom, jak można wykorzystać ścieki do walki z przestępczością. Czy wyraziłem się jasno?

– Tak, Saru – wybąkał więzień.

– A tobie radziłbym na przyszłość, abyś lepiej dobierał sobie pracodawców. Widzisz, dzisiaj jedynie mój spokój cię uratował. Ale kto wie, co z tego wyniknie następnym razem? Zrozumiałeś lekcję?

– Tak, Saru – bełkotał coraz ciszej jeniec.

Mag złapał go za włosy i spojrzał mu prosto w oczy.

– Pytam cię! – Cedził mu teraz każde słowo osobno: – Czy mnie zrozumiałeś?

– Tak, Saru! – odpowiedział tamten, lecz tym razem zdecydowanie gorliwiej.

– To dobrze. – Nidro puścił go, a bandyta bezgłośnie osunął się na posadzkę. – Chodźcie, dziewczyny, wracamy do pałacu. Trzeba wziąć porządną kąpiel po tej śmierdzącej awanturze.

Po tych słowach całą trójką ruszyli przed siebie, dokładnie tą samą drogą, którą poprzednio przyszli. Jeszcze długo po ich odejściu w miejskich kanałach słychać było piskliwy płacz pozostawionego przy życiu bandyty.

Rozdział siódmy

Morska Piana

Kraj, który niewoli, bądź w inny równie bezwzględny sposób niszczy ludzi, nie zasługuje na to, by istnieć. – z Ksiąg zakazanych

Dzień po tragicznych wydarzeniach w kanałach Nidro i jego towarzysze byli gotowi, by ruszyć w dalszą drogę. Uroczystości pożegnalne zakończono w porcie morskim, gdzie od rana gromadził się tłum gapiów. Ludzie obsiedli nawet okoliczne dachy, by po raz ostatni przyjrzeć się bohaterskim obrońcom miasta.

Morska Piana to smukły biały szkuner. Dwumasztowiec z kompletną załogą na pokładzie właśnie szykował się do wyjścia w morze. Temu stanął z wyeksponowanym brzuchem za kołem sterowym, skąd nieustannie z równym zacięciem wykrzykiwał komendy. Widać było, że na statku czuje się pewnie jak palec w nosie.

– Odrzucić cumy, rozwinąć żagle!

Wypoczęta załoga wsadziła handszpaki w kabestany, liny napięły się, a białe żagle zaczęły jednostajnie wspinać się na maszty.

– Luzować szoty do półwiatru! – zawołał Temu tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Oba bomy jednocześnie wychyliły się poza obrys kadłuba na bakburcie. Morska Piana zrobiła głęboki wdech, wydymając płócienne płuca. Odsunęła się od kei, by po chwili minąć główki portu i wypłynąć na szerokie wody Morza Zmierzchu. Z każdym biciem serca nabierali prędkości, a miasto za ich rufą zaczęło maleć w oczach. Skurczyło się do zamazanego punktu na widnokręgu, aż wyparła je zupełnie błękitna toń oceanu, nucąca swą jednostajną pieśń. Pogoda im dopisywała, wiał silny wiatr od lądu, płynęli więc fordewindem prosto na południe. Obrali kurs na kontynent centralny

zwany Okiem Świata, stanowiący najgęściej zaludniony obszar Cesarstwa. Portem docelowym był Tamir, to właśnie stamtąd pochodzili Temu i jego załoga. Owca

Kami stała oparta o burtę w dziobowej części okrętu. Wiatr bawił się jej długimi włosami, nawiewając je prosto na rozmarzoną twarz. Wpatrywała się urzeczona, jak ich biały szkuner rozcina poprzeczne fale w kolorze akwamarynu. Nidro podszedł do niej, stanął obok i oparł się o nadburcie. Wkrótce oboje wpatrywali się w dal. Kiedy statek opadał na fali, Kami wyciągała ręce przed siebie, a gdy dziób okrętu zarył w morską toń, czuli na twarzach przyjemną wodną mgiełkę pachnącą przygodą i solą. Przed nimi skrzyła się odbitym blaskiem wodna tafla Oceanu Snów.

„Ona tak jak ja pierwszy raz w życiu widzi ocean” – zreflektował się w duchu Nidro, kiedy spostrzegł zachwyt i wzbierające poruszenie na twarzy dziewczynki.

– O czym tak myślisz? – zapytała Sena, podchodząc do nich ze śródokręcia.

– Aaa, o niczym konkretnym. Podziwiamy widoki. – Skinął głową na Kami, jej włosy miały kolor zaledwie o odcień ciemniejszy od nieba i wody.

– Opowiesz mi nareszcie, co tam się stało w tych kanałach? Jestem bardzo ciekawa, w jaki sposób mnie znaleźliście. Wiesz, zaczynam tracić rachubę, ile to razy uratowałeś mi życie.

– Tym razem to nie ja cię uratowałem – poprawił ją. – Gdyby nie Kami... – zawiesił głos na moment – wolę nie myśleć, co by się stało. Wydaje mi się, że ona przyszła do ciebie w nocy, kiedy skończyła tańce. Pewnie chciała się położyć obok ciebie, jak to robiła wcześniej. Gdy odkryła, że w komnacie nie ma nikogo, a okno ma wybitą szybę, wzięła broń i przyszła mnie obudzić.

– No dobrze, rozumiem, w jaki sposób zorientowaliście się, że zostałam porwana. Ale ta droga w kanałach to był jakiś koszmarny labirynt. Przecież tam są dziesiątki różnych przejść i korytarzy.

– No właśnie. – Nidro zmarszczył czoło w zadumie. – I tu dochodzimy do sedna sprawy. Jeszcze nigdy w życiu nie spotkałem się z czymś podobnym. Na dobrą sprawę, nie umiem tego właściwie nazwać. Ona wzięła twoje włosy z grzebienia, chwyciła mnie za rękę, a wtedy coś zobaczyłem. To

przypominało widma utkane z dymu. Coś jak teatr cieni, odtwarzających przeszłość. Wyglądało to tak realistycznie, jakbyśmy przy tym byli. Wiem, że to brzmi jak wariactwo, ale naprawdę to widziałem, mimo że kompletnie tego nie pojmuję.

– Wariactwo?! – roześmiała się Sena. – Teraz przynajmniej wiesz, jak ja się czuję, przez cały czas przebywając w twoim towarzystwie. No dobrze, więc wreszcie trafiła kosa na kamień – powiedziała i złapała go za rękę.

– Ta mała nie przestaje mnie zadziwiać.

– Cały czas to powtarzasz.

– Bo to szczerą prawdą. Martwiłem się o ciebie – dodał, kiedy obejmował ją w talii.

– Daj spokój, przecież panowałam nad sytuacją. Gdyby nie wy i tak bym im uciekła – powiedziała, choć sama nie wierzyła w ani jedno swoje słowo. Chciała go uspokoić. – Dlaczego ten mag w kanałach nie walczył z tobą? No wiesz, o co mi chodzi, za pomocą magii. – Zamachała nieskładnie rękami w powietrzu, jakby to miało mu coś wyjaśnić.

– Bo nie mógł – odparł i uśmiechnął się rozbawiony jej cudaczną pantomimą. – Mówimy na nich magowie użytkowi, oni mają upośledzony dar. Taki mag potrafi jedynie wykonywać proste modyfikacje, zmieniać jeden parametr źródła w danej chwili. Jakby to powiedzieć... – zawiesił głos i zastanowił się przez chwilę. – Oni potrafią na przykład ogrzać powietrze w pomieszczeniu za pomocą energii ognia lub powietrza. Nie będą jednak w stanie zrobić, dajmy na to, ognistego pocisku i strzelić nim we wroga. Dobrze radzą sobie z wiatrem. Potrafią kierować ruchem powietrza w niewielkiej odległości wokół siebie, dlatego często zajmują się obsługą maszyn różnego rodzaju. Każda, dajmy na to, łódź latająca ma na pokładzie przynajmniej jednego takiego maga. On podgrzewa semipowietrze w balonach, dzięki czemu łódź szybko unosi się w górę. Może także puścić strumień powietrza na wirnik, co pozwala rozpędzić statek, a także obrócić go we wskazanym kierunku. Tak naprawdę sterowanie powietrzem w ograniczonym zakresie nie wymaga dużych umiejętności. Magowie użytkowi często pracują w szpitalach, ponieważ potrafią uśpić pacjenta podczas zabiegu. Umieją też stosować magię leczniczą na niewielką skalę.

I chociaż nie mógł walczyć ze mną, to jego obecność i tak była sporym problemem. On mnie potrafi wyczuć z małej odległości, a co gorsza, jest w stanie zablokować swoje uśpienie i ludzi wokół niego. Do uśpienia człowieka, jak pamiętasz, wykorzystuje się energię celu, a to są właśnie małe moce. Dokładnie to, w czym specjalizują się tacy jak on. Gdybym spróbował uśpić tych bandytów w piwnicy, on odruchowo by mnie powstrzymał. Dlatego uznałem, że jedyną realną szansę na powodzenie daje mi błyskawiczne działanie, zanim jeszcze zdążą zareagować. W przeciwnym razie mogłoby... – urwał ponownie, lecz z tych samych pobudek.

Sena troskliwie chwyciła jego dłoń i przez chwilę w trójkę wpatrywali się w monotonny krajobraz wodnej pustyni. Słońce zawisło w zenicie, a ciepły wiatr łagodnie przeganiał złe myśli, tak samo jak ich kołyszący się lekko statek skutecznie wyciszał natrętne wspomnienia.

– Widzisz... – wznowił rozmowę po przerwie, z konsternacją wymalowaną na ogolonej twarzy, najwyraźniej zastanawiał się, jak jej to klarownie wyjaśnić – ...z kierowaniem energią jest trochę tak... a szczególnie, gdy masz wokół siebie dużo różnych źródeł. – Przerwał znowu, jakby szukał odpowiedniego porównania. – Spróbujmy inaczej, wyobraź sobie, że siedzisz w sali pełnej różnokolorowych nici, rozciągniętych we wszystkie strony, w dowolnych płaszczyznach. Załóżmy, że czerwone nici są od ognia, niebieskie od wody, a białe od powietrza.

Sena pokiwała głową, na znak, że wyobraziła sobie to wszystko.

– Wspaniale – podchwycił Nidro. – Magowie potrafią rozplątać i posegregować te nici, a przy tym wybierają jedynie te kolory, które ich interesują. Wyobraź sobie, że taki mag bojowy potrafi wziąć cały gruby pęk nitek i formować je w wykreowany przez siebie sposób oraz poruszać nimi wedle uznania. Mag użytkowy zapanuje wyłącznie nad kilkoma niteczkami, nie potrafi ich formować, a jedynie ciągnie je do siebie. On nie wezwie tarczy energetycznej, by obronić się przed atakiem. W dodatku ja jestem w stanie wytrącić mu jego nitki z ręki, a on może jedynie biernie się temu przyglądać. Zupełnie inaczej sprawa wygląda, kiedy stanie naprzeciw siebie dwóch magów bojowych. Jeśli znajdą się dostatecznie blisko siebie, będą w stanie przeszkadzać sobie nawzajem w korzystaniu z energii. To tak, jakby

wyrywali sobie te same nitki z rąk. Wtedy żaden nie jest w stanie uformować tego, co potrzebuje. Możemy równie dobrze założyć, że nitki się nie poruszają i pozostaną w tym samym miejscu przez cały czas. Nie wiem, czy dobrze to wytłumaczyłem. Problem w tym, że mag wyczuwa energię, a trudno jest mówić o tym, co się czuje.

– Myślę, że świetnie sobie poradziłeś – pochwaliła go Sena. – A przykład z nitkami bardzo mi się podobał. Rozumiem, że zielone nitki są od energii leczniczej – dodała i uśmiechnęła się sympatycznie.

– Tak, jak najbardziej. Możemy tak przyjąć na potrzeby naszej lekcji. Dlatego w Cesarstwie magów bojowych szkoli się również w klasycznej walce wręcz – ciągnął swój wykład Nidro, dodatkowo połączony pochwałą dziewczyny. – Jeśli podczas bitwy dwóch lub więcej magów stanie naprzeciw sobie na krótkim dystansie, będą zmuszeni walczyć tradycyjnie, czyli bez korzystania z energii. Inaczej rzecz się ma w półdystansie. Gdyby przeciwnicy stali w oddaleniu tysiąca kroków od siebie, dajmy na to na plaży nad brzegiem morza, wtedy korzystaliby z tego samego potężnego źródła energii, jakim jest rozkołysana masa wody, lecz ze względu na dzielącą ich odległość ciągle mieliby dostęp do niebieskich nitek wokół siebie. Obydwaj chwytają za nitki tego samego źródła, jednak w zupełnie innym miejscu w pomieszczeniu. Ponieważ stoją dostatecznie daleko od siebie, nie mogą ich sobie wyrywać z rąk. Taka sytuacja podczas walki jest patowa i żadna ze stron nie uzyska przewagi nad przeciwnikiem – energia jest dostępna dla wszystkich dokładnie w takim samym stopniu, mają taką samą liczbę nitek w ręku. Sięganie po te nitki i wyrywanie ich przeciwnikowi jest podstawową zasadą sztuki prowadzenia walki. Dzięki temu z taką łatwością pokonałem armię Segal. Ja bez przeszkód uzyskałem dostęp do potężnego źródła mocy, a oni nie byli w stanie mnie od niego odciąć, ponieważ wybrali się na wojnę bez bojowego maga. Gdyby mieli chociaż jednego, sprawa przedstawiałaby się zupełnie inaczej. Podczas bitwy dowódca armii stara się doprowadzić do walki w takim terenie, aby to on miał przewagę energetyczną. Lub, jak też się czasem zdarza, by odebrać przewagę przeciwnikowi. Dajmy na to, armia wroga wychodzi z przełęcz, a ja mam za swoimi plecami rzekę. Wtedy, nawet jeśli oni dysponują tysiącem bojowych magów, to ja i tak sam ich

pokonam w ciągu dziesięciu uderzeń serca. Wykorzystam do tego celu energię płynącej wody, kiedy ta wciąż będzie poza ich zasięgiem. Pozamieniam ich wszystkich w lodowe jeże, zanim zdążą zmniejszyć dystans.

– Czy myślisz, że coś takiego spotkało cesarską armię na Kontynencie Wolnych Ludzi? – spytała niepewnie.

– Tego nie wiem – odparł wyraźnie zaskoczony. – Jakoś trudno mi w to uwierzyć. Co jak co, ale naszą armią nie dowodzą idioci. W armii cesarskiej nigdy nie było miejsca na nepotyzm czy niekompetencję i nie wierzę, by tym razem miało być inaczej. Zwłaszcza jeśli chodzi o tak dużą kampanię. Cesarscy magowie mają bogate doświadczenie bojowe.

– Więc jeśli nie to... – Spojrzała na niego pytająco.

– Nie wiem. – Rozłożył bezradnie ręce. – Może wpadli w jakąś zasadzkę, nie mam pojęcia. Mam nadzieję, że kiedy dotrzemy do Tarnau, wszystko się wyjaśni. Na razie wiemy zbyt mało na ten temat i nie ma co zgadywać, czas pokaże.

– Łup, łup! – Wczesnie rano Senę obudził jakiś hałas. Równe, miarowe stuknięcia, potem chwila spokoju i znowu: – Łup, łup. Wyszła z kajuty, zmrużyła posklejane snem powieki i zobaczyła, że Kami wskakuje, po wybiciu się z obu nóg, na beczkę specjalnie ustawioną pośrodku pokładu. – Łup! – Wylądowała na górnej pokrywie, na ugiętych kolanach, podniosła się na jednej nodze, a drugą wykonała kopnięcie w przód. Następnie zeskoczyła do tyłu z powrotem na deski: – Łup. I od początku, skok na beczkę: – Łup. Kopnięcie, tym razem drugą nogą, odskok: – Łup. Nidro stał nieopodal na identycznej beczce. Balansował ciałem na jednej nodze. Drugą unosił wyprostowaną nad głową i jakby od niechcienia podtrzymywał ją jedną ręką. Sena spojrzała na Temu wielkimi jak spodki oczami, ale ten jedynie rozłożył ramiona, jakby chciał powiedzieć: i co ja mogę. – Łup, łup.

– No ładnie. To tyle w temacie: „A co my będziemy robić przez te wszystkie dni na statku, chyba umrzemy z nudów”. A swoją drogą, nie mam pojęcia, jak ty to robisz.

Spoglądała skonsternowana na pokaz ekwilibrystyki w wykonaniu maga. Co prawda, statkiem nie kołysało jakoś strasznie, a beczka stała na środku

pokładu, ale to i tak było za dużo, nawet jak dla niej, a szczególnie z samego rana, bo dla Seny ranek był pojęciem względnym i trwał w najlepsze, choćby słońce stało w pełnym zenicie.

– Przecież to musi boleć, a ty wyglądasz, jakbyś zaraz miał zasnąć z nudów. Założę się, że dla mnie też coś zaplanowałeś? – spytała bez ogródek, zaspokoiwszy pierwszą ciekawość.

Skinął głową i wskazał na trzecią beczkę.

– No ładnie, i wykrakałam!

– Rób to, co Kami. Musisz zacząć od czegoś łatwego – powiedział i uśmiechnął się pod nosem z niejakim przekąsem. – Ale skacz bez rozpędu, z miejsca, inaczej to ćwiczenie nie będzie miało żadnego sensu.

Sena stanęła przed beczką równie skonsternowana, co załamana.

– Ale skacz bez rozpędu – burknęła pod nosem, udanie naśladowując ton głosu chłopaka.

Wybiła się z całej siły, a beczka znalazła się pod nią. Sena z ledwością złapała równowagę, w tym celu musiała rozłożyć szeroko obie ręce na boki. Kiedy przestała się chybotać, powoli i niepewnie z cichym stęknieniem podniosła się na jednej nodze, nawet wykonała coś jak kopnięcie drugą.

– Na Martwe Ziemie! Przecież po czymś takim nogi mi odpadną! – zawołała załamującym się głosem.

– Widzę, że szybko rozgryzłaś, jaki jest cel tego ćwiczenia – odparł jej szczerze rozbawiony.

– Łup, łup.

– Jak się wdrożysz, to postaraj się trzymać takie samo tempo jak Kami.

– Łup, łup.

„W co ja się wpakowałam” – zdążyła jeszcze pomyśleć Sena, gotowa do kolejnego skoku.

Następne dni na statku wyglądały podobnie, większość czasu zajmowały im intensywne treningi. Wykonywali pompki na palcach, teraz już wyłącznie na czterech. Skomplikowane serie kopnięć i ciosów, połączone razem w spójne sekwencje, oparte na różnych stylach walki, a wszystko to zakończone rozciąganiem rozgrzanych mięśni. Krótka przerwa: siusiu, piciu i od nowa. Walka wręcz, walka włócznią, przerwa i tak aż do znudzenia.

Kami podobało się najbardziej, kiedy Nidro wzywał wodne kule, używane przez niego do szkolenia walki z nożami. Te pojawiały się niezapowiedzianie podczas całodniowych ćwiczeń, a każda z dziewczyn miała za zadanie jak najszybciej wyjąć nóż, by zniszczyć nadlatujący cel, w taki czy inny sposób. Oni trenowali, w czasie gdy Arto nieustannie patrolował okolicę. Od zmierzchu do świtu lustrował jednakowo nijaki wycinek oceanu wokół ich statku. Tygrys głównie spał lub bez celu wałęsał się po pokładzie znudzony. Czasem wpatrywał się z pasją w delfiny płynące równo z nimi tuż pod powierzchnią wody. Sprawiał wtedy wrażenie, jakby zaraz miał skoczyć za nimi w morską toń. Wieczorami był czas wolny od zajęć. Wszyscy z wyjątkiem załogi, ktoś zawsze miał wachtę przy sterze, odpoczywali po całodniowej harówce.

Nidro podszedł do Seny wpatrzonej w malowniczy zachód słońca i oparł się o nadburcie tuż obok niej.

– Kami zna coraz więcej słów we Wspólnym – uprzedziła go i pierwsza zaczęła rozmowę. – W ogóle szybko się uczy – dodała – szybciej, niż można by się spodziewać.

Stali obok siebie zwrócenii twarzami w stronę chowającej się za horyzontem czerwonej tarczy.

– Tak, zauważyłem – odparł wesoło. – „Tygrys, tygrys, tygrys zje, tygrys nie zje”. Moim zdaniem ona już mówi lepiej niż Tyba, a uczy się dopiero od kilku dni. To niesamowite, jak szybko zapamiętuje nowe słowa. Także techniki walki przyswaja nad wyraz szybko. – Postępy dziewczynki były widoczne na każdym polu, również pozaleksykalnym.

– Nie dziwi cię to? – spytała i spojrzała na niego z uwagą.

– Po tym, co widziałem w Meana i w Wielkim Lesie, raczej nic mnie nie zdziwi.

– To co ja mam dopiero powiedzieć – odparła wesoło. – Teraz pojmuję, w jaki sposób pokonałeś tego Tehu, nawet z tym całym wspomaganie. – Wskazała na bransoletki na ich rękach. – Skoro ćwiczyłeś tak przez całe życie...

– Nie, nie tak – przerwał jej szczerze rozbawiony. – Ja ćwiczyłem dużo, ale to dużo ciężiej. Zresztą wkrótce sama się przekonasz, że jak tylko nabierzecie

sił, będziecie w stanie ćwiczyć o wiele dłużej.

– O, to wspaniale – odparła ironicznie. – Czyli trudzimy się po to, by później męczyć się jeszcze więcej? Jesteś wspaniałym demotywatorem, mówił ci to ktoś?

– Jak na razie moi uczniowie jedynie marudzą i piętrzą trudności, zamiast się wziąć do roboty. Zawsze mówiłaś, że lubisz się uczyć nowych rzeczy.

– Pewnie, że tak – przytaknęła z udawanym entuzjazmem. – Zobacz, czego się ostatnio nauczyłam. Na przykład: jak skoczyć z masztu na pokład, by sobie nóg nie połamać, albo jak obijać worki z ziarnem gołymi rękami. Nie mam pojęcia, jak ci wszyscy ludzie radzą sobie na co dzień bez tej wiedzy – mówiąc to, rozłożyła ręce przed sobą.

– Powiem szczerze, że ja też nie – odparł zupełnie poważnie.

– A! Jest jeszcze coś, co chciałabym wiedzieć o magii – przypomniała sobie nagle. – Pamiętam, jak mi kiedyś tłumaczyłeś, że im większa jest energia źródła, tym większą mocą dysponuje mag.

– Tak, to prawda – przytaknął jej skwapliwie.

– Ale nie bardzo rozumiem, jak można powstrzymywać huragan siłą tego samego huraganu? Albo dajmy na to, uspokoić wulkan siłą tegoż samego wulkanu? Nie obraż się, ale to dla mnie nie ma żadnego sensu.

– Rozumiem – odparł niezrażony. – To nie jest takie znowu proste. Może pocieszy cię fakt, że wytłumaczyć to jest mi równie ciężko, jak tobie zrozumieć – dodał i uśmiechnął się do niej ciepło. – W takim razie... – zrobił głęboki wdech – ...wyobraź sobie, że stoisz naprzeciw dużej skały i zaczynasz naciskać ją obiema rękami. Wtedy zarówno ty, jak i skała pozostajecie nieporuszeni w miejscu. Dzieje się tak, ponieważ skała naciska na ciebie z taką samą siłą, jak ty na nią. Panuje równowaga sił. Ale im mocniej ty będziesz ją naciskać, tym mocniej ona będzie naciskać na ciebie.

– A jak to się ma do wulkanu? – spytała, ni w ząb nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

– Dokładnie tak samo. Jeśli wulkan się wzburzy i zacznie gromadzić energię, mag może wykorzystać tę samą energię, by powstrzymać erupcję. Ale to nie rozwiąże całego problemu, ponieważ ciśnienie wewnątrz góry będzie wciąż narastać. A co za tym idzie – również mag będzie dysponował

coraz większą siłą, by powstrzymać wulkan. Wydawałoby się, że mamy tu do czynienia z sytuacją niezachwianą, jak w naszym przykładzie ze skałą. A jednak cała ta nagromadzona energia prędzej czy później znajdzie sobie jakieś ujście. I na przykład dojdzie do erupcji w innym miejscu, poza zasięgiem oddziaływań maga. Jeśli odpowiednio mocno naciśniesz na skałę, ona w końcu pęknie. W tym przypadku mag zadziała tutaj jak korek zatykający krater. Podczas pracy z wulkanem magowie sterują procesem formowania się lawy, w tym celu tworzy się na zboczach specjalne kanały spustowe, służące do odprowadzania nadmiaru energii z wulkanu i kierowania lawy w pożądane miejsca.

– Możecie sterować przepływającą lawą?

Spojrzała na niego z mieszaniną zachwyty i niedowierzania, a jej brwi powędrowały aż na sam środek czoła.

– Tak, jak najbardziej. Sterowanie lawą niczym się nie różni od sterowania wodą czy ogniem.

– Niesamowite, ale ja chyba nie potrafię tego sobie wyobrazić, że ktoś miałby sterować wulkanem.

– Być może niedługo sama zobaczysz, jak to wygląda w praktyce. Szczerze mówiąc, też jestem ciekaw, jakby to było poczuć w sobie wulkan.

Na te słowa uśmiechnęli się oboje.

– Kiedy dojdzie do erupcji – wrócił do przerwanego wątku Nidro – magowie prowadzą lawę w wybrane przez siebie miejsce i formują ją w taki sposób, by powstały konkretne rzeczy. Już starożytni wykorzystywali wulkany do swoich celów. W taki sposób tysiące lat temu lawa posłużyła do budowy muru obronnego oraz całej infrastruktury wokół. Dzięki temu kawałek po kawałku powstawał doskonały system obronny z jednolitego kamienia. W każdym kolejnym stuleciu mur stawał się coraz dłuższy, aż w końcu trafiał na inny kawałek prowadzony z sąsiedniego wulkanu. Wtedy łączyło się ze sobą, tworząc w ten sposób nieprzerwany system umocnień wokół kontynentu. Jak zapewne wiesz, w Oku Świata znajdują się dziesiątki czynnych wulkanów i dlatego właśnie tam starożytni postanowili się osiedlić. Ich gęsta sieć stanowi najlepszą naturalną linię obronną na świecie. Kiedy poszczególne fragmenty muru zostały ze sobą połączone, powstał

pierwszy pierścień umocnień, obejmujący cały kontynent. A kiedy także ten etap się zakończył, zaczęto budować kolejny. To wszystko trwało ponad tysiąc lat. Dziś istnieją aż trzy mury obronne, ustawione jeden za drugim, a przejścia przez umocnienia są silnie bronione. Oczywiście przy samych wulkanach tych murów jest z reguły znacznie więcej. Coś w dalszym ciągu trzeba przecież robić z tą całą lawą. Właśnie dlatego każdy z magów pełniący służbę w fortecy ma coś w rodzaju planu budowy, tak by w razie potrzeby poprowadzić lawę tam, gdzie trzeba, i uformować z niej to, co zaplanowało dowództwo. Tak powstają kolejne bramy, zamki obronne, stajnie dla koni, baraki dla wojska, w zasadzie cała infrastruktura. W ten sposób przez tysiące lat wzniesiono największy system obronny na świecie. Między innymi dlatego jeszcze nigdy w historii żadna armia nie zagroziła Cesarstwu na kontynencie centralnym. Zewnętrzny mur znajduje się poza obszarem oddziaływań oceanu. Dlatego podczas ewentualnej inwazji nie ma mowy o zastosowaniu osłony z wodnych tarcz przez nacierające oddziały. W dodatku każdy wulkan sam w sobie jest potężną bronią. Za jego pomocą bojowy mag potrafi wyrzucać skalne pociski na odległość dziesiątek tysięcy kroków. To jeden z powodów, dlaczego magowie są tak bardzo potrzebni w Cesarstwie. Z jednej strony kontrolują wulkany, by te nie dewastowały kraju, z drugiej zaś by służyły jako tarcza obronna, jakiej żadna armia na świecie nie jest w stanie przebić. Zresztą, kto wie? Może kiedyś sam dostanę taką ciepłą posadkę.

- Wtedy zrobiłbyś dla mnie skalnego jednorożca z lawy.
- Tak, z pewnością, postawiłbym bramę z dwóch jednorożców zwróconych do siebie głowami.
- Ooo, to byłoby przepiękne. – Zrobiła minę aniołka. – Koniecznie musisz o tym powiedzieć Cesarzowi.
- Zrobię tak zaraz po przyjeździe do Tarnau.
- Powiedz, że jak chcą, to ja chętnie pomogę dowództwu udoskonalić te plany budowy. Dla zwiększenia obronności kraju oczywiście.
- Tak, jestem pewien, że Cesarz od razu każe wprowadzić w życie twoje poprawki.

– I bardzo dobrze, nikt nie będzie mówił, że kobiety nie znają się na budowie umocnień.

Nidro nic na to nie odpowiedział, w dodatku skrzętnie pominął fakt, że połowa bojowych magów w Cesarstwie to właśnie kobiety.

– Myślę, że każdy najeźdźca uznałby, że mamy najpiękniejsze fortyfikacje obronne na świecie – dodała z przekonaniem w głosie.

A Nidro pocałował ją wyłącznie dlatego, by przestała opowiadać te swoje wymysły.

Arto szybował wysoko w przestworzach, skąd wpatrywał się z uwagą w monochromatyczny błękitny ocean wypełniający idealną płaszczyznę całą przestrzeń wokół. Każdego dnia na polecenie Nidro kreślił w powietrzu kręgi o średnicy tysięcy kroków. Przeczesał okolicę w poszukiwaniu pirackich okrętów, choć jak dotąd wypatrzył jedynie cesarski konwój w drodze na Rubież. Wyglądało na to, że ze względu na nowe zagrożenie ruch statków ograniczono ostatnio do niezbędnego minimum. Morska Piana przebyła ponad dwie trzecie odległości, a jak na razie na widnokręgu nie dostrzegli żadnego śladu obcych jednostek.

Mimo że zbliżali się powoli do kresu podróży, ten dzień miał zacząć się zupełnie inaczej od pozostałych. Arto dostrzegł jakiś ciemny punkt na horyzoncie i skierował się prosto w jego stronę, by mu się lepiej przyjrzeć. W miarę jak zbliżał się do celu, zaczął systematycznie obniżać lot. A kiedy znalazł się dostatecznie blisko, by zidentyfikować rodzaj jednostki, przesłał przyjacielowi mentalny sygnał. Nidro spojrzał na świat jego oczami i z zadowoleniem stwierdził, że właśnie tego szukał, to nie mogło być nic innego. Okręt piratów wyglądał bardzo dziwnie. Pierwsze, co rzucało się w oczy, to fakt, iż nie miał żadnego ożaglowania. Jego kadłub był trzykrotnie dłuższy i ponad dwukrotnie szerszy od Morskiej Piany. W dodatku na obu burtach zamontowano olbrzymie młyńskie koła. Takie samo obrotowe kuriozum znajdowało się na rufie. Zupełnie jakby ktoś wziął młyn rzeczny i przerobił go na jednostkę pływającą. Do tego z tyłu pokładu znajdowała się kanciasta nadbudówka ze szklanymi oknami. Całe to dziwo było tak cudaczne, że nie dało się go pomylić z jakimkolwiek innym statkiem.

„Jesteś wspaniały, Arto, dokładnie tego szukałem” – pochwalił skrzydlatego przyjaciela. „Pilnuj ich, ale nie podlatuj za blisko, by cię nie dostrzegli. Nie chciałbym, aby zaczęli do ciebie strzelać z tej swojej legendarnej broni. Jeśli ich dowódca ma choć trochę oleju w głowie, od razu się połapie, że nie ma morskich orłów”.

– Temu, zwijajcie żagle! – zawyrokował rozkazującym tonem.

– Dlaczego? – Handlarz wbił w niego pytające spojrzenie.

– Teraz to ja pokieruję statkiem. Kiedy woda popcha okręt do przodu, żagle wyłącznie nas spowolnią.

Temu stanął w miejscu skonfundowany, a jego twarz wyrażała kompletny brak zrozumienia.

„Każe mi zwinąć żagle, by popłynąć szybciej?” – analizował w głowie słowa maga jak sprawozdanie schizofrenika. Wtedy przypomniał sobie wielkie ryby wyskakujące z wody na pokład łodzi w Wielkim Lesie.

– Stój, łódź w Wielkim Lesie, przecież ona też pływała sama.

Temu pacnął się ręką w czoło z taką siłą, że usunął sobie wszystkie zmarszczki na zawsze. „Znowu się zaczyna” – przemknęło mu przez myśl. Szczerze mówiąc, nawet nie chciał wiedzieć, jaki tym razem szalony plan wymyślił jego towarzysz.

– Zwijamy żagle – westchnął zrezygnowany. – Wszyscy do żagli! – zawołał o wiele bardziej zdecydowanie, na pokładzie zawrzało. Marynarze pospiesznie podeszli do kabestanów wprawieni w ruch słowami kapitana. Obszerne białe żagle jeden po drugim zaczęły zsuwać się na bomby masztu. – Klarować pokład!

– Poszcęściło nam się.

Nidro podszedł do Temu uskrzydłony dobrymi wieściami.

– Arto właśnie wypatrzył statek piratów. Płyną kursem na trawersie i mam zamiar ich przechwycić.

Temu zamarł na dźwięk słów „piraci” i „przechwycić”, a krew momentalnie odpłynęła mu z twarzy. Dla normalnych ludzi, do jakich sam siebie zaliczał, spotkanie z piratami był to najgorszy możliwy koszmar, a już na pewno nie powód do zachwyty, jaki nieskrępowanie przejawiał mag.

– Sprawdź sobie w słowniku, co oznacza słowo „szczęście” – skwitował sardonicznie Temu. – Jestem pewien, że spotkanie na swojej drodze morderczych mutantów nie znajduje się pod jego opisem.

– Pomyśl, Temu, z jakimi opowieściami wrócisz do domu. – Nidro wyraźnie starał się przekonać handlarza do swojego pomysłu, w tym celu delikatnie łechtał jego złąknione pochlebstwem. – Powiedzą o tobie: przeszedł Wielki Las, a potem pokonał piratów.

– Wolałbym, żeby mówili: przeszedł Wielki Las i bezpiecznie wrócił do domu, by cieszyć się zasłużoną chwałą.

– Niestety, nie ma tak dobrze. – Nidro szeroko rozłożył ręce. – Służba nie drużba. Na horyzoncie pojawił się wróg, dlatego ty i twoja załoga automatycznie przechodzicie pod moją komendę. Rekrutuję tę jednostkę na czas misji bojowej. Ku chwale Cesarstwa! – zawołał z wyzywającym uśmiechem na twarzy.

Temu nic nie odpowiedział, smętnie zwiesiwszy nos na kwintę. Bał się, że zaraz straci swój piękny okręt. Widział oczami wyobraźni, jak maszt statku znika pod wodą, a on rusza do Tamir, unosząc się na falach w beczce po winie.

– Dużo nasłuchiwałem się o tej nowej broni – kontynuował Nidro niezrażony szybko pogarszającym się nastrojem przyjaciela. – Marynarze w porcie niemal nie mówią o niczym innym. Ponoć potrafi przeciąć statek na pół w trzy uderzenia serca.

– Co za szczęście, że nie w dwa – odparł kupiec i pokręcił głową z dezaprobatą.

– Dawniej, z tego, co wiem, piraci nie dysponowali taką bronią ani tym bardziej jednostkami wyposażonymi w napęd. Ba, gdzie ktoś słyszał kilka lat temu, by piraci pokazali się na wodach w okolicy prowincji centralnych. Takie rzeczy były nie do pomyślenia. A teraz atakują również ochraniane konwoje. Doszło do tego, że jednostki cesarskie, jak widzą piratów, to próbują uciec, zamiast podjąć z nimi walkę. I dlatego właśnie koniecznie chcę to sprawdzić.

Nidro rozumiał, że muszą podjąć to ryzyko.

– Nie da się walczyć z wrogiem widmem. Trzeba się koniecznie dowiedzieć, jaką technologią dysponują piraci.

– Jesteś pewien, że chcesz ich atakować? – zapytał Temu, skupiony wyłącznie na tym, w jaki sposób odwieść chłopaka od tego pomysłu. Jednocześnie domyślał się też, jaka padnie odpowiedź.

– Pierwsza zasada wojny – odparł Nidro – poznaj swojego wroga, poznaj jego siłę i słabości.

– A co mówi druga zasada? Daj się zabić, będąc niemal w domu? – odparował ponuro kupiec.

– Nie – skwitował z niezaraźliwym entuzjazmem Nidro. – Druga zasada mówi: skop im dupę, kiedy masz okazję. Następnym razem to mogą być trzy statki, a nie jeden.

– Może nie być następnego razu – odrzekł cierpko handlarz.

Bał się, w końcu rumak, na którym mag chciał ruszyć do walki tym razem, był jego ukochanym żaglowcem, a Temu bynajmniej nie zamierzał się z nim rozstawać. Podał w końcu swój ostatni argument, choć i tak nie wierzył, by Nidro zmienił zdanie.

– A co będzie, jeśli oni mają na pokładzie bojowego maga i w dodatku tę straszliwą broń?

– Bardzo się cieszę, że zadałeś to pytanie. – Twarz chłopaka na powrót przybrała poważny wyraz. – Wtedy niestety będziemy musieli z nimi walczyć okręt na okręt i dlatego cała załoga musi przygotować się do abordażu.

– Do abordażu – powtórzył za nim bezgłośnie Temu.

Kupiec wiedział, że Nidro jest jednoosobową armią i że sam jeden wyciągał ich z niejednych opałów. Chociaż... wtedy w jego głowie zaświtała kolejna myśl, a mianowicie, że duża część tych kłopotów, w jakie się pakowali, była spowodowana skłonnością tegoż samego maga do ryzykanckich posunięć. Pomodlił się w duchu, by to „szczęśliwe” spotkanie piratów nie było ich ostatnim. Gdy złożyli żagle i zabezpieczyli je linami, okręt z dużą prędkością wyrwał do przodu. Jego dziób lekko uniósł się nad wodą. Nidro uchwycił kątem oka zaskoczone spojrzenie Seny. Dziewczyna oburącz złapała się za nadburcie, by nie upaść na pokład.

– Skoro możemy tak szybko pływać bez żagli, to dlaczego do tej pory tego nie robiliśmy? – zadała mu pytanie, które wszystkim cisnęło się na usta. Ale gdy ujrzała zadowoloną twarz chłopaka, skwitowała krótko: – Mogłam się tego domyślić. – Zrozumiała, że od samego początku liczył na to „szczęśliwe spotkanie”. Dlatego pozwolił im płynąć wolniej, a Arto całymi dniami latał dookoła jak wściekły. Właśnie wszystkie kawałki układanki znalazły się na swoim miejscu.

– Załoga, przygotować się do walki! – zawołał tubalnie Nidro.

Marynarze gorączkowo zaczęli rozglądać się na boki, jakby szukali odpowiedzi na dręczące ich pytania. Sena i Kami w lot pojęły, co się święci, i od razu ruszyły po broń. Temu zrezygnowany zszedł pod pokład, gdzie trzymał swoją lekką kuszę. Konsternacja załogi nie trwała jednak długo, marynarze bowiem, gdy zobaczyli, z jakim zapałem dziewczyny szykują się do starcia, także ruszyli się z miejsca. Po chwili na pokładzie pojawiły się okrągłe tarcze i krótkie miecze, topory bojowe, bosaki i haki do rzucania lin. Kami wskoczyła na grzbiet tygrysa, który swym entuzjazmem dorównywał Nidro i wyraźnie nie mógł się doczekać nadchodzącego starcia. Widocznie brak ruchu i otwarta przestrzeń do reszty pomieszały mu zmysły. Pewnie sobie myślał, że to będzie takie polowanie na wodzie. Temu wsadził stopę w strzemię i za pomocą koziej nogi naciągnął stalową cięciwę, a gdy wreszcie nabił kuszę, dobiegło go wołanie maga.

– Hej, załoga, chodźcie tu wszyscy! – Nidro dał znak ręką, by marynarze zebrali się na śródkręciu. – Słuchajcie – zaczął równie patetycznie, co zdecydowanie, a jego stalowy wzrok ciężko przetoczył się po zebranych – czeka nas walka z okrętem piratów...

Przerwał mu spontaniczny pomruk zdezorientowanych marynarzy. Uniósł otwarte dłonie przed siebie, by uciszyć rozgorzałe rozmowy.

– Za moment czeka nas walka, dlatego wysłuchajcie mnie do końca. Nie wiem, co znajdziemy na tym okręcie ani jakiej dokładnie broni używają piraci, w związku z tym przewidziałem kilka możliwych wariantów starcia.

Marynarze ustawili się zwartą grupą w półokręgu jak na wiecu, a ich niepodzielna uwaga skupiła się na twarzy Nidro.

– Gdyby z jakiegoś powodu okazało się, że nie jestem w stanie ochronić nas przed ostrzałem za pomocą wodnej tarczy, wtedy natychmiast przerwę atak i wycofamy się do Tamir. Choć ten scenariusz wydaje mi się najmniej prawdopodobny, nie mogę zupełnie wykluczyć takiej ewentualności. Natomiast jeśli tarcza wytrzyma ostrzał, a na statku wroga znajduje się bojowy mag, będziemy musieli zająć okręt siłą.

Nidro uniesieniem dłoni spacyfikował kolejną falę pomruków.

– Przyjrzałem się dokładnie okrętowi piratów – ciągnął niezrażony, kiedy tumult zamilkł – i sądzę, że jedynym miejscem, gdzie można dokonać abordażu, jest część dziobowa. Ponieważ przeciwnik będzie miał nad nami przewagę liczebną, musimy działać szczególnie rozważnie. Dlatego gdy szczepimy się hakami z wrogą jednostką, pierwszy na pokład wchodzi ja, za mną wkraczają tygrys i Sena. Naszym zadaniem jest zrobienie jak największego zamieszania w szeregach nieprzyjaciela i zabezpieczenie przyczółku.

Mag przerwał na moment, aby podać Senie zielony liść nasączony jadem lulu. Ta mała niespodzianka miała dać im przewagę szybkości i zaskoczenia. Dziewczyna ujęła go palcami i z aprobatą skinęła głową.

– Tak jak mówiłem, my wchodzimy pierwsi, a gdy oczyścimy przyczółek, reszta rusza za nami i od razu formuje ścianę tarcz w poprzek pokładu. Waszym zadaniem jest wyłącznie utrzymanie pozycji, by dać nam szansę na wycofanie się w razie potrzeby. Za wami ustawiają się Temu i Kami, będziecie ostrzeliwać wroga zza osłony.

Buzujące dotąd emocje zaczęły powoli opadać, a słuchający go marynarze z połowiczną akceptacją pokiwali głowami. Wiedzieli, że tygrys i mag są ich zbrojnym ramieniem. Prawdę mówiąc, byli przekonani, że mało kto mógłby z nimi stawać w szranki.

– Może się też okazać – kontynuował odprawę Nidro – że nie mają bojowego maga. Wtedy w zasadzie jest już po walce i ja sam się wszystkim zajmę. Osobiście uważam, że jest to najbardziej prawdopodobny scenariusz. W końcu bojowych magów nie ma zbyt wielu, a wodna tarcza oceaniczna to potężna osłona. Aha, na koniec ostatnia rzecz. – Spojrzał marynarzom

prosto w oczy. – Pamiętajcie, że podczas walki to ja i tylko ja wydaję rozkazy, i macie je wykonywać natychmiast, bez mrugnięcia okiem. Zrozumiano?!

– Tak jest, Saru! – padła odpowiedź z wielu gardeł.

Kiedy Nidro zakończył egzortę, marynarze zaczęli się gromadzić pod bronią w dziobowej części okrętu. Na pokładzie zapanowała atmosfera napięcia i wyczekiwania. Ucichły wszelkie rozmowy, nieliczni zaczęli się modlić, podczas gdy pozostali nerwowo rozglądali się na boki w poszukiwaniu zagrożenia. Po chwili, która zdawała się trwać wieczność, zamajaczył im przed dziobem wciąż jeszcze dość niewyraźny punkt na widnokręgu. Z początku ledwo dostrzegalny obiekt zaczął się szybko powiększać, a w miarę jak rósł, nabierał ostrości. Nidro obserwował z lotu ptaka, jak oba okręty płyną wprost na siebie kursem przechwytyjącym.

– Przekonajmy się, jakie karty macie w ręku.

Wypowiedział zaklęcie, a wtedy przed dziobem szkunera pojawiła się wodna tarcza, tyle, że tym razem była to gruba ściana wzniesiona z morskiej toni, tak duża, że swym obszarem zasłoniła cały obrys okrętu, łącznie z ożaglowaniem. Wyglądała jak kryształowa półsferyczna kurtyna sunąca w stałej odległości przed nimi. Przywołanie magicznej osłony spotkało się z entuzjastycznym przyjęciem załogi. Marynarze unosili w górę broń, ktoś skandował ochrypłym głosem:

– Biały orzeł!

Najwyraźniej już sama obecność bojowego maga na pokładzie dodawała pozostałym niebywalej pewności siebie. Każdy, kto choć raz w życiu zobaczył oceaniczną tarczę, uważał, że jest to siła, z jaką nic i nikt nie mógłby się równać. Nidro wiedział, że nie jest to prawda, swoje przemyślenia zachował jednak dla siebie. Cieszył się, że jego obecność pomaga ludziom przezwyciężyć strach. Przerazona załoga to ostatnia rzecz, jakiej potrzebował. Gdy odległość pomiędzy okrętami zaczęła maleć, poczuł mentalny wstrząs – silny, punktowy impuls energii uderzył prosto w tarczę. Było to dla niego zupełnie nowe doznanie, osobliwe uczucie, jakiego nie dało się porównać z niczym. Uderzenia następowały punktowo, jakby ktoś orał tarczę diamentowym kłem. Na szczęście wiązka okazała się za słaba, aby przebić się przez osłonę, i wyłącznie on sam zdawał sobie sprawę, że gdyby

trafiła bezpośrednio w okręt, z łatwością pocięłaby kadłub na kawałki. Nidro długo wypuszczał powietrze z płuc, poczuł, jak wielki kamień spada mu z serca. Przeciwnik nie zdołał ich zatopić energetycznie, co samo w sobie miało ogromne znaczenie. Ostrzał zakończył się równie niespodziewanie, jak się rozpoczął, a drapanie o tarczę ustąpiło zupełnie. Oczami orła zobaczył, jak okręt piratów pospiesznie zmienia kurs. W tym celu prawe koło wodne zatrzymało się, a potem zakręciło raptownie w przeciwną stronę. Okręt wykonał ciasny skręt przy dużej prędkości, a gdy po zwrocie wreszcie wyszedł na prostą, ponownie zaczął przyspieszać, wzbijając fontanny wody.

– Zawracają! – zawołał Nidro, a w jego głosie słychać było ulgę i zadowolenie.

Załoga również przywitała tę wiadomość głośnie owacją.

„Dobrze, że to piraci uciekają przed nami, a nie na odwrót” – filozofował mag.

Spojrzał na Kami, a ta mrugnęła do niego w odpowiedzi, jednocześnie uśmiechając się triumfalnie. W pełnym napięciu obserwował rejterujących piratów, ich intencje były co prawda krystalicznie czyste, szkopał w tym, że nadzieje okazały się płonne, ponieważ mechaniczny okręt poruszał się zdecydowanie wolniej od Morskiej Piany. Nidro czekał, podczas gdy dystans pomiędzy jednostkami systematycznie malał.

„Przyszła chwila, by sprawdzić kolejną niewiadomą” – powiedział w myślach.

Wszystko wskazywało na to, biorąc pod uwagę ich wzajemną odległość, że znajdują się w strefie wykrywalności typowej dla bojowego maga, a skoro Nidro wciąż niczego nie wyczuł..., to mogło oznaczać, że wrogim okrętem kieruje mag użytkowy. U osoby z upośledzonym darem strefa mentalnej projekcji jest wielokrotnie mniejsza, a co za tym idzie, niewykrywalna z tak dużej odległości. Młodzieniec uśmiechnął się pod nosem i czekał, aż podpłyną bliżej, chciał się upewnić co do swoich przypuszczeń. Dopiero kiedy dzielący ich dystans zmalał o kolejne tysiąc kroków, wtedy to poczuł, tak, znajome wrażenie kontaktu.

– Mamy ich! – zawołał w podekscytowaniu i uniósł zaciśniętą pięść ku górze. Na pokładzie wrogiej jednostki przebywał wyłącznie mag użytkowy, ten jednak choćby nawet chciał, nie byłby w stanie podjąć z nim wyrównanej walki. Szeroki uśmiech Nidro szybko zaczął zarażać pozostałych członków załogi. Choć wrogowie w dalszym ciągu usiłowali uciekać, ich okręt w jednej chwili stanął w miejscu. Zatrzymał się tak gwałtownie i niespodziewanie, że kilku piratów stojących na dziobie z impetem wyleciało za burtę. Wypadli z pokładu jak prele z koszyka pijanej handlarki. Na tym dystansie Nidro, gdyby tylko chciał, mógłby ich zatopić w jedno uderzenie serca. Wystarczyło sprawić, by pod jednostką wroga rozstąpiła się otchłań. Wtedy cały okręt wpadłby w toń jak kamień, zniknąłby tak szybko, że zapewne nikt postronny by tego nie zauważył. On jednak zamierzał przejąć ten statek, i dlatego musiał być cierpliwy.

– Odłożyć broń! – wydał komendę załodze.

Temu nie trzeba było dwa razy powtarzać, od razu odłożył kuszę na pokład, a ostatnie słowa maga przyjął z radością szczeniaka goniącego za piłką. Dotarło do niego, że ocalą skórę, nie wspominając przy tym o jego pięknym statku. Morska Piana zaczęła odczuwalnie zwalniać, załoganci chwyтали się za co kto miał pod ręką, by utrzymać równowagę. Magiczna tarcza z jednostajnym chlupotem opadła do morza niczym kurtyna w oceanicznym teatrze. A wtedy oczom zaskoczonych widzów ukazało się fantasmagoryczne przedstawienie grozy ze statkiem piratów w tle. Zaskoczeni marynarze znieruchomieli jak zakłęci w kamień, a ich otwarte ze zdziwienia usta naśladowały rybi chór. Okazało się, że stali zwróceni bakburtą do dziobowej części statku piratów, na którym rozgrywały się dantejskie sceny. Z morskiej toni na długich, giętkich szyjach wyłaniały się gargantuiczne smocze głowy, bestie pomimo swych ogromnych rozmiarów nadzwyczaj żwawo balansowały, a w zasadzie to kołysały się w takcie niesłyszalnej dla nikogo melodii. Było ich co najmniej z tuzin. Wiły się tanecznymi ruchami i baraszkowały ponad pokładem unieruchomionej jednostki. Chwytały wygłodniałymi paszczami umykających na wszystkie strony mutantów za co popadnie. Zamaszystymi ruchami wyrzucały ich z pokładu do wody w taki sposób, jak wyciąga się brudne ubrania z kosza na

bieliznę. A ponieważ bestie miały wielkie kły i nie przejmowały się delikatną budową ciał swych ofiar, zdecydowana większość piratów trafiała za burtę w kawałkach. W osłupieniu obserwowali, jak dwa smoki siłowały się o zdobycz. Pierwszy złapał zębami za głowę, drugi natomiast trzymał w pysku obie nogi. Koniec przepychanki między potworami był łatwy do przewidzenia. Wkrótce wnętrzności mutanta rozbryznęły się w fontannie krwi po całym pokładzie, pozostawiając po sobie długie szkarłatne smugi na deskach. Przerażeni korsarze biegali dokoła, jakby szukali w tym śmiertelnym chaosie jakiegoś wyjścia z matni. Ale jak to czasem bywa w życiu, uciekając przed jedną głową, trafiali na kolejną. Można więc śmiało powiedzieć, że tego dnia byli rozchwytywani. A w każdym razie ich droga w zaświaty miała więcej niż tylko jedno oblicze. Gdy materiał biologiczny zaczął się wyczerpywać, wodne bestie niemal przepychały się między sobą, by zagarnąć ostatnie kąski dla siebie. Zwalisty pirat z czymś na podobieństwo skorupy żółwia na plecach próbował im umknąć pod pokład. Wtedy goniąca za nim głowa bluznęła w niego wodną strugą. Człekożółw trafiony w nogi wywrócił się na plecy jak długi i nieźbornie zamachał wszystkimi kończynami. Próbował się podnieść, robił to jednak zdecydowanie zbyt wolno. Rozwarta paszcza dopadła go. Pirat zamknął oczy i zasłonił się rękami. Chrupnęły segmenty skorupy, a jej zawartość z chłupotem rozbryznęła się dokoła. Wszyscy piraci, mówiąc oględnie, byli wielcy i zdeformowani, a każdy wyglądał na swój sposób pokraccie. Przedstawiali sobą dziwną krzyżówkę człowieka ze zwierzęciem. Ich ciała szpeciły liczne deformacje i nie sposób było znaleźć dwóch podobnych do siebie okazów. Te istoty w bardzo małym stopniu przypominały swych ludzkich antenatów. Widok mutantów tańczących ze śmiercią niebywale wstrząsnął widownią. A trzeba przyznać, że reakcje były bardzo różne. Jedni z przerażeniem zakrywali twarze rękoma, jakby nie mogli znieść tego obrazu zgrozy. Inni wręcz odwrotnie, nie potrafili oderwać oczu od krwawego przedstawienia. Ich spojrzenia niczym całun otulały piratów po drodze na spotkanie wieczności. Magiczny spektakl miał prostą fabułę, a szybkie zwroty akcji sprawiały, że widzowie z ledwością nadążali za nieprzerwaną wymianą aktorów na planie. Nic więc dziwnego, że w zaledwie piętnaście

uderzeń serca morskim bestiom skończyły się obiekty do zabawy. Smocze głowy przetrząsały każdy skrawek pokładu w poszukiwaniu ukrytych za nimi kąsków. Tymczasem na Morskiej Pianie upojeni łatwym zwycięstwem marynarze wiwatowali triumfalnie. Sena spojrzała spod przymkniętych powiek na reżysera.

– Smoki, naprawdę? – spytała kpiąco i z niedowierzaniem.

– Ponoć bardzo dobrze wpływają na morale – odparł Nidro z niezachwianym przekonaniem w głosie.

Woda wokół była czerwona od krwi. A gdy wreszcie zabrakło piratów, uwagę zebranych przyciągnął sam okręt.

„W jaki sposób oni napędzają te młyńskie koła? To nie przypomina żadnego ze statków, jakie do tej pory widziałem” – zastanawiał się Temu w duchu.

Z przodu, w części dziobowej, znajdowało się urządzenie w kształcie teleskopu z metalowym rdzeniem zwężonym na jednym końcu. Szerszy koniec obrócony do wewnątrz kadłuba opasywały cztery kule ustawione symetrycznie. Wykonano je z jakiegoś matowego metalu i przytwierdzono do teleskopu za pomocą stalowych prętów. Całe urządzenie osadzono na drewnianej platformie wykorzystywanej powszechnie do obracania balist. Obie jednostki w idealnej synchronizacji delikatnie zetknęły się burtami.

– Wyłącznie ja wchodzę na pokład! – Nidro przemówił stanowczo do zebranych wokół siebie ludzi.

– Idę z tobą – zaprotestowała Sena. – Nie musisz wszystkiego robić sam, wiesz?

Dziewczyna zdecydowanie ruszyła do przodu, lecz wtedy Nidro delikatnie złapał ją za ramię.

– Nie możesz iść ze mną – tłumaczył jej spokojnie. – Ten statek jest skażony. – Nidro wyjął jakieś zioła z woreczka i wsadził je sobie do ust. Skrzywił się, gdy poczuł intensywny gorzki smak na języku. – Cały ten statek jest przesiąknięty złą energią – dodał, kiedy przełknął paskudne lekarstwo. – Tutaj wszędzie jest to, co zabija ludzi na Martwych Ziemiach – wyjaśniał dalej cierpliwie.

– Ale przecież masz lekarstwo. – Wskazała na woreczek z ziołami.

– Tak, to prawda, mam lekarstwo, ale sam nie wiem jeszcze, jakiej dawki będę potrzebował. Nigdy dotąd bezpośrednio nie zetknąłem się z tą energią i nie wiem, jakie szkody spowoduje w moim organizmie. Dlatego planuję jak najszybciej załatwić sprawę i od razu wracać.

– A ten woreczek? – Pokazała na zrolowaną torbę.

– To wszystko, co mam, i musi mi wystarczyć. Zrozum, że im więcej osób wejdzie na pokład tego statku, tym więcej będę musiał potem leczyć. A jeśli zabraknie lekarstwa, to co wtedy?

Sena rozumiała jego argumentację, ale chciała się w końcu do czegoś przydać, a nie jak pod Meana stać i patrzeć, jak Nidro sam naraża się na niebezpieczeństwo.

– To co mam robić? – powiedziała z narastającą frustracją w głosie.

Chłopak popatrzył na nią z uznaniem.

– Jeśli bardzo chcesz pomóc, to weź od Temu klepsydrę i zmierz czas, jaki spędzę na tym okręcie. Po wszystkim porównam go z ilością leku, jaką musiałem przyjąć. Myślę, że ta wiedza bardzo nam się przyda w przyszłości. Zrozum, że ten okręt sam w sobie jest większym zagrożeniem niż ci piraci, jacy wciąż się na nim kryją.

– To po co w ogóle na niego wchodzić? – zapytała trochę już udobruchana.

– Gdzieś na tym statku wciąż ukrywa się ich mag użytkowy. – Wskazał ręką za burtę.

– Ale on nie jest w stanie sterować statkiem, kiedy jesteś blisko – stwierdziła, starając się go odwieść od powziętej decyzji.

– Nie, nie jest – zgodził się z nią Nidro. – Problem w tym, że po drodze do Tamir wciąż może wszystko zniszczyć, a nam potrzebny jest statek w nienaruszonym stanie. Przydałby się też żywy jeniec, zwłaszcza taki, co potrafi obsługiwać to całe ustrojstwo. – Pokazał na młyńskie koła i teleskop.

– Nie mogę przecież wykluczyć, że będąc w sytuacji bez wyjścia, nie targnie się na swoje życie.

– Myślisz, że zrobiłby coś takiego?

– A czemu nie? On i tak nie ocali skóry i na pewno sam doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Dobrzy Ludzie już o to zadbają. W dodatku przed

nieuniknionym końcem czeka go długie i zapewne drastyczne przesłuchanie. Więc czemu nie miałyby wybrać szybkiej śmierci?

– Może masz rację, o tym nie pomyślałam. A nie mógłbyś wysłać, no nie wiem, smoka, by go poszukał?

– Smoki są wyłącznie kreacją i robią dokładnie to, co im każę. Do tego muszę wiedzieć cel, by nimi kierować. Sama widzisz, że jedynie ja mogę się tym zająć.

Sena niechętnie pokiwała głową. Chcąc nie chcąc, pogodziła się z sytuacją, dlatego przestała go nagabywać i poszła po klepsydrę. Temu nie zadawał żadnych pytań, wyjął z bakisty urządzenie wypełnione białym piaskiem i bez słowa podał je dziewczynie.

– Czas start! – zawołał Nidro, dając tym samym znak Senie, by ta rozpoczęła pomiar, po czym zwinnie przeskoczył na pokład pirackiej jednostki. Usłyszał charakterystyczne plaśnięcie, spojrzał w dół. Jego obie stopy przykleiły się do pokładu, grzęznąc w szerokiej kałuży krwi.

„No ładnie, chyba do końca tego nie przemyślałem” – zganił się w myślach za przesadną kreatywność.

Wtedy smocze głowy bluznęły strugami wody, aby zmyć pod ciśnieniem szkarłatne plamy do morza. Krew piratów była skażona i należało się jej pozbyć, by choć w minimalnym stopniu dekontaminować okręt. Dalej po czystym pokładzie ruszył prosto w stronę rufy, skąd wyczuwał wrogiego maga. Wyjął z kieszeni liść z jadem lulu i wsadził go sobie pod język. Z satysfakcją poczuł, jak jego koncentracja rośnie, a rzeczywistość zwalnia bieg. Wydawało mu się przez chwilę, że potrafi wyczuć emocje przeciwnika, jego niepokój i determinację.

„Dziwnie to na mnie działa” – zauważył bezwiednie.

Przebiegł po mokrych deskach, rozchlapując wodę stopami, aż dotarł w pobliże nadbudówki.

„On jest gdzieś na dole” – zauważył, omiótł pokład szybkim spojrzeniem w poszukiwaniu zejścia. Było tam, wciśnięte obok ściany sterówki. Wbiegł na drewniane schody, które ostrzegawczo zaskrzypiały pod jego stopami. Zatrzymał się w pół kroku i wbił przenikliwe spojrzenie w ciemne, prostokątne przejście otwarte na oścież niczym kwiat rosiczki przed tłustym

owadem. Dostrzegał wyraźnie wirowanie drobinek kurzu, kiedy te przelatywały chaotycznie w jasnym snopie światła kładącym się ukośnie w przejściu.

„Jest ich trzech i wszyscy czekają blisko wejścia. To pułapka” – pomyślał, gdy szykował się do nieuniknionej walki.

Ponownie ruszył w dół na ugiętych nogach, lecz tym razem szedł ostrożnie. Mimo wszystko nie chciał im dać się zabić przez niepotrzebny pośpiech. Oparł jedną stopę na drewnianej podłodze, odczekał chwilę, postawił drugą, zrobił krok do przodu, a potem rozplynął się w półmroku. Jego wzrok wspomagany ndulu momentalnie przystosował się do ciemności. Trójka piratów ruszyła w jego stronę w tym samym momencie. Najwyraźniej zamierzali zaatakować go jednocześnie, dwóch oskrzydłało po bokach i jeden od przodu.

„Dobre miejsce na zasadzkę” – pochwalił przeciwników w myślach.

Każdy, po przejściu do mrocznego pomieszczenia, potrzebowałby czasu na akomodację źrenic i przez chwilę niczego by nie widział. Dzięki temu piraci uzyskaliby przewagę już na samym początku starcia. Traf chciał jednak, że on widział ich doskonale, choć bynajmniej nie zdradzał się z tym przed nikim. Piraci wyróżniali się muskularną budową ciała i to niemierzoną ludzką miarą, po prostu byli ogromni. Również wzrostem przewyższali większość ludzi. Ich wręcz nienaturalnie zwaliste cielska wypaczały przeróżne aberracje zwierzęcego pochodzenia. Na przykład mutant po prawej stronie zamiast ręki miał spiczasty szpon, który wyrastał mu wprost z przedramienia, i uzbrojony był jedynie w okrągłą tarczę.

„Będzie walczył szponem jak mieczem” – domyślił się Nidro.

Pirat po lewej miał cztery mackowate ręce, w dodatku te poruszały się niezależnie, a w każdej z nich ściskał długi nóż. Ten z przodu był normalny... to znaczy normalny w porównaniu z pozostałą dwójką. Też był wielki jak niedźwiedź, zamiast twarzy posiadał psi pysk, lecz z wyglądu on najbardziej jeszcze przypominał w tym wszystkim człowieka. Obracał w dłoni stalowy łańcuch zakończony metalową kulą, którą jednostajnie wywijał nad głową. Kolczasta piłka świszczała cicho, jakby nadawała rytm do zabójczego tańca. Piraci mieli mord w oczach i żaden nie zawahał się

nawet przez chwilę. Wszyscy na dany sygnał rzucili się w stronę chłopaka, jakby wyczuwali, że jest to ich jedyna szansa, by ocalić skórę. On był na to przygotowany. Skoczył do przodu i zrobił wślizg wprost pod szeroko rozstawione nogi najbliższego pirata. W jego dłoniach pojawiły się ostre noże bojowe.

„To właśnie był ich mag” – przeszło mu przez myśl, kiedy szorował tyłkiem po deskach pokładu.

Natychmiastowa reakcja Nidro w połączeniu z ogromną szybkością zupełnie zaskoczyły korsarzy. Zachowanie chłopaka wyraźnie nie licowało z ich oczekiwaniami i być może właśnie dlatego cała trójka zawahała się na moment. A tymczasem Nidro przemknął pod szeroko rozstawionymi nogami przeciwnika i jednocześnie ciał oburącz po nieosłoniętych ścięgnaach. Trafiony zawył z bólu, wkrótce potem stracił władzę w nogach i z łoskotem runął na ziemię. Nidro wybił się ciałem i jak wygięta sprężyna stanął z powrotem na równe nogi. Obrócił się zwinnie przez prawe ramię. Zrobił to w samą porę, by zablokować uderzenie szponem na odlew. Sparował cios dwoma nożami naraz. Uderzenie było tak mocne, że aż odrzuciło go do tyłu. Wtedy rozsierdzony pirat zaatakował go tarczą. Uderzył po łuku prosto w głowę chłopaka. Nidro uchylił się z niewiarygodną łatwością i płynnie przeszedł do przodu pod uniesionym ramieniem mutanta. Przeciwnicy znacznie przewyższali go masą ciała, nie mógł więc sobie pozwolić na niepotrzebną wymianę ciosów. Należało ich pozabijać i to najlepiej bez walki kontaktowej. Przemknął pod tarczą niczym wirująca smuga dymu i zadał głębokie pchnięcie nożem prosto w pachę napastnika. Ostrze weszło w tkankę aż po rękojeść, chlusnęła ciepła krew. Mutant zawył z bólu, wypuścił tarczę z rąk, a ta uderzyła z trzaskiem o deski pokładu. W tym czasie Nidro znalazł się za jego plecami. Dostrzegł ruch kątem oka, zareagował bez udziału woli i gwałtownie odskoczył w bok, co pozwoliło mu uniknąć zdradzieckiego cięcia nożem jednej z czterech macek kolejnego napastnika. Przeciwnicy atakowali z zaskoczenia i starali się zająć go od tyłu. On sam wirował pomiędzy nimi z nadludzką szybkością niczym rozdrażniony giez wokół końskiego ogona. Twarz czterorękiego wykrzywił wyraz bezmiernego zdumienia, gdy ostrze noża przecięło samo powietrze.

Był pewien, że zakończy tę walkę jednym celnym cięciem, lecz kiedy okazało się, że drobny chłopak dosłownie znika mu spod ręki, po prostu zdębiał. I dopiero po chwili wahania, zapewne w przypiływie korsarskiej fantazji, rzucił dwoma nożami za umykającym młodzieńcem. Nidro się nie uchylał, zamiast tego z dziecinną łatwością odbił oba noże na boki. Rozległ się metaliczny klangor, a po nim głuchy stukot upadającej broni.

– Co jest, do jasnej cholery?! – zawołał równie zdezorientowany, co wściekły pirat.

Gdy wreszcie dotarło do niego, z jaką łatwością chłopak odbija lecące ostrza, czteroręki wyraźnie się wzdrygnął. Spojrzał na swoje dłonie, jakby czegoś w nich szukał, choć tak naprawdę nie miał pomysłu, co robić dalej.

„Nie spodziewałeś się tego, brzydal?” – pomyślał Nidro z nieskrywaną satysfakcją.

Jego ryzykancka wycieczka do Wielkiego Lasu okazała się wielką wygraną na loterii. Szybkość, jaką uzyskał podczas walki, dawała mu zdecydowaną przewagę. A jeśli dodać do tego jeszcze widzenie w ciemności, to... Nidro zrobił krótki zamach i rzucił własnym nożem przed siebie. Ostrze wykonało w powietrzu pełny obrót, zanim wbiło się w prawy oczodół mutantą. Nóż plasnął cicho, gdy z impetem wdzierał się w miękką tkankę. Olbrzym stał przez chwilę zdziwiony jak żywa tarcza strzelnicza, zanim zwałił się na plecy z niewypowiedzianym słowem na ustach. Wrogi mag w tym czasie zdołał odczołgać się do schodów. Ciągnął za sobą nogi i, podobnie jak ślimak, zostawiał szkarłatne smugi na sękatych deskach. W kierunku Nidro ruszył pirat ze szponem, jednak on również nie wyglądał za dobrze, i wciąż przyciskał lewą rękę do ciała. Wyraz jego twarzy dobitnie świadczył o tym, że morderczy zapach dawno z niego wyparował. Zapewne, gdyby miał taką możliwość, uciekłby stąd czym prędzej. Szkopuł w tym, że jedyne wyjście na zewnątrz znajdowało się za plecami chłopaka, a ten bynajmniej nie wyglądał, jakby zaraz miał się wycofać. Pirat zbliżał się powoli, a na wykrzywionej bólem twarzy Nidro dostrzegł zamglone spojrzenie, które pasowałoby równie dobrze do otumanionej ćmy lecącej na oślep do światła. Z rany pod pachą wyciekała strużka krwi i, podobnie jak piasek w klepsydrze, odmierzała mu ostatnie krople życia. Ich spojrzenia zderzyły

się ze sobą. Olbrzym machnął szponem, ale jakoś tak bez przekonania, zamarkował cios w szyję chłopaka. A wtedy Nidro płynnie doskoczył do niego, chwycił za opadającą rękę i przerzucił przeciwnika przez ramię. Pirat runął na podłogę, gdzie zarył plecami o deski pokładu. Nie poczuł bólu, nawet nie krzyknął, kiedy zdecydowane pchnięcie nożem w serce zakończyło jego korsarską karierę. Nidro podniósł się i stanął wyprostowany pomiędzy ciałami poległych.

„I to by było na tyle” – powiedział w duchu, kiedy odwrócił się w kierunku maga. Człekopies z widocznym trudem usiłował się wspinać na górę, w tym celu szorował poranionym ciałem po stopniach.

– Pozwól, że ci pomogę – zawołał Nidro pogodnie, zaraz też wypowiedział zaklęcie.

Wkrótce z górnego pokładu spełzły wodne liany. Sprawnie oplótły się wokół ciała pirata i złapały go mocno za nogi i rękę.

– Pora na nas – mruknął Nidro, ruszając pospiesznie w kierunku schodów.

Wybiegł na górny pokład zaraz za wynoszonym piratem i od razu pomknął w stronę najbliższej burty okrętu. Wybił się, wyskoczył jak najdalej. Przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby zawisł w pustej przestrzeni na wysokości pokładu, a wtedy przezroczysta ręka wystrzeliła z wody i chwyciła go w powietrzu. Następnie, całkowicie posłuszna jego woli, zaniósła go z powrotem na Morską Pianę. Ustawiła Nidro na pokładzie niczym pionek na planszy, pomachała wszystkim na pożegnanie, zanim wróciła do morza, by na powrót stać się jego integralną częścią. Gdy poczuł stabilny grunt pod stopami, wyjął liść z ust, a świat zaczął odzyskiwać swój normalny bieg.

– Jesteś cały? – Usłyszał wołanie za plecami. – Nic ci nie jest? – Sena rzuciła się mu na szyję.

– Raczej nie – odparł bez przekonania.

– To tak czy nie? – naciskała, spoglądając mu prosto w oczy.

– Oparzyła mnie zła energia – oświadczył z wahaniem.

Dziewczyną zamarła.

– Ale jest dobrze – uspokoił ją. – Lekarstwo działa i zaraz mnie uleczy.

Sam czuł, jak kojąca moc roślin wypełnia uszkodzone miejsca.

– Wystarczy ci lekarstwa?

– Tak, to co zażyłem, wystarczy mi z nawiązką.

– Ale brzydal! – zawołała, gdy wodne liny posadziły ocalałego pirata na pokładzie.

– Popłynię z nami do Tamir – odparł beztrosko Nidro.

– Ale jest paskudny. – Dziewczyna skrzywiła się na widok zdeformowanego jeńca.

– Jeśli ten ci się nie podoba – stwierdził rozbawiony mag – tam jest jeszcze dwóch innych, choć moim zdaniem pies wygląda najlepiej z nich wszystkich.

Uśmiechnęli się oboje. Mutant, wciąż skrępowany wodnymi linami, został usadzony naprzeciw głównego masztu. Obejmował go rękami i nogami, co sprawiało wrażenie, jakby się do niego przytulał.

– Zwiążcie go linami! – zawołał Nidro do marynarzy, kiedy ci z zaciekawieniem przyglądali się jeńcowi.

Wypowiedział zakłęcie, a wtedy kadłub statku obrócił się w miejscu i ustawił dziobem na południe. Morska Piana wyrwała do przodu i szybko nabierała prędkości. W tym momencie nikt z załogi nie zajmował się sterowaniem okrętem czy choćby stawianiem żagli. Szkuner sam płynął we właściwą stronę, tnąc tafle ostrym dziobem niczym strzała powietrze. Dwadzieścia kroków za Morską Pianą całkowicie autonomicznie podążał bezzałogowy okręt piratów.

– Takim tempem niedługo dotrzemy do Tamir – zauważył ożywionym głosem Temu.

– Mamy wszystkie prezenty dla Cesarza, więc nie ma na co czekać – odpowiedział Nidro przez ramię, zaraz też podszedł do pirata.

Klęknął przy nim i założył mu liściaste opatrunki na nogi. Wypowiedział zakłęcie, a rany od razu zaczęły się zasklepiać. Pirat westchnął głęboko, a jego pysk wygładził wyraz ulgi. O tym, co musiał wycierpieć, świadczyły jedynie dwie krwawe smugi na deskach.

– Czy zaplanowałeś dla nas jeszcze jakieś atrakcje podczas rejsu? – spytała Sena ze sporym zapasem drwiny w głosie.

– Nie wiem, czy nazwałbym to planowaniem, raczej wypatrywaniem okazji. Sądzę, że jeden okręt piratów w zupełności nam wystarczy.

– Och, nie bądź taki skromny, rozumiem, że rozmawiam z prawdziwym koneserem – skomentowała. – Kiedyś ludzie powiedzą: popatrzcie na tę wielką armadę, a zaczynał od jednego statku piratów.

– To chyba lepiej, niż gdyby mieli mówić: zobaczcie, płynie okręt piratów, w jaki sposób mamy z nim walczyć?

– A to zależy.

– Od czego?

– Od tego, po której stronie teleskopu właśnie się znajdujesz. – Obdarzyła go kpiącym uśmiechem.

– Zapewne masz rację – odparł, przyłączając się do jej gry. – Czy twoja strona teleskopu odpowiadała ci dzisiaj?

– Zdecydowanie tak. – Sena energicznie skinęła głową. – Powiem więcej, dzisiejszy spektakl był po prostu wyborczy – mówiła to wszystko z wielce egzaltowaną miną bywalej w świecie damy.

– Teraz pojmuję, dlaczego na przedstawienie nie wpuszczano dzieci. Biedulki zapewne potopiłyby się we krwi.

Na te słowa Nidro parsknął śmiechem, a Sena komentowała dalej:

– Przyznam się, że najbardziej ujęła mnie wspaniała gra aktorów. Te emocje były tak autentyczne, to rozdarcie wewnętrzne, w ogóle świetna obsada i twardy klasyczny repertuar.

W tym momencie obydwójce zagapili się na ostatnią pozostałą przy życiu gwiazdę wieczoru, niepozornie cicho siedzącą przed nimi, przywiązaną do piąty masztu.

– Zastanawiam się, co to takiego? – stwierdziła Sena, gdy stanęła pochyłona obok pojmanego pirata.

– Co jak co, ale człowiekiem to bym go nie nazwał.

Oglądali jeńca niczym kolorowego motyla złapanego do siatki.

– Jak cię wołają, brzydalę? – spytała z wyraźną drwiną.

Pirat spojrział na nią z taką odrazą, jakby dopiero co wypełzła z kloaczego dołu.

– Jesteś wyszczekana jak na swoją prymitywną rasę – odparł jej chrapliwym głosem. – A czy ja się ciebie pytam, kiedy miałaś okres, poczwarko? – Spojrzał jej hardo w oczy.

– Dziwnie usłyszeć o szczekaniu od kogoś z psim pyskiem. To trochę tak, jakby świnia powiedziała mi, że mam paskudny ryj.

Sena wzięła na siebie cały ciężar konwersacji, a z każdym kolejnym wypowiedzianym słowem poprawiał się jej humor, jakby denerwowanie innych było jej metodą na walkę ze stresem.

– A skoro o świniach mowa, to jeśli mnie pamięć nie myli, widziałam tam dzisiaj jedną świnkę, jak smocza głowa robiła z niej mielonkę na kiełbasę – dodała i wygięła wargi w szyderczym uśmiechu, za to w oczach jeńca zapłonęła czysta nienawiść.

– Niedługo przekonacie się, jak smakują Martwe Ziemie, jeszcze całej waszej rasie wyjdą boki. Nadchodzą czasy, kiedy to poczwarki takie jak wy będą srały krwią. – Pirat zaśmiał się obłąkańczo z własnego żartu.

– Widzę, że trafił nam się ciekawy okaz – odparła zupełnie niezrażona. – Przyznaj się, nie chcesz powiedzieć, jak masz na imię, bo to jedno z tych takich głupich, co? Założę się, że trafiłam.

Pirat usilnie starał się ją ignorować, lecz Sena miała za dużo doświadczenia w byciu upierdliwą, aby tak łatwo odpuścić.

– Czekaj, niech zgadnę, może... – Wydęła usta i udała, że się nad czymś zastanawia. – Reksio? – stwierdziła po chwili. – Trafiłam, co? Reksio pasuje do ciebie, bo wyglądasz, jakbyś miał pieskie życie. Nie, nie trafiłam? Chyba cię rozgryzłam. Rozpoznaję, co myślisz, po tym, jak merdasz ogonkiem.

Nieszczęsny pirat odruchowo spojrzał w dół, co wywołało kolejny napad śmiechu u dziewczyny.

– Lubię cię, brzyda! – dodała, z trudem powstrzymując nerwowy chichot. – Umiesz się bawić. Może gdy będziemy schodzić na ląd w Tamir, porzucam ci patyki, co? Przyniósłbyś patyk w pysku?

Mutant spróbował splunąć na nią, ale Sena wyczuła, co się święci, i w porę odsunęła się od niego.

– Nie to nie – stwierdziła zadowolona z tego, że zdołała wyprowadzić go z równowagi. – Jak nie chcesz się bawić, to waruj tutaj grzecznie... A nie,

przepraszam, siad. Aj, niepotrzebnie namieszałam ci w głowie. Kiedy trafisz do Dobrych Ludzi i zaczniesz siadać, jak zawołają „waruj”, to będzie kłopot. Oni nie lubią, jak pieski się ich nie słuchają, o nie. – Sena zrobiła zatroskaną minę. – Mów, co chcesz, ale Dobrzy Ludzie nie mają ręki do zwierząt.

Zerknęła na maga, który w zamyśleniu przysłuchiwał się ich rozmowie.

– Twój pies nie chce się ze mną bawić – powiedziała z udawanym wyrzutem.

– Widzę. – Nidro niedbale machnął ręką. – W Tamir oddamy go do schroniska, tam się nim właściwie zaopiekują.

Pirat nieoczekiwanie poczuł stęchły oddech na twarzy, ten charakterystyczny smród, jaki wydziela psujące się mięso. Odwrócił głowę i ujrzał monstrualną szczękę gęsto najeżoną ostrymi zębami. Nad kudłatym pyskiem bestii siedziała mała dziewczynka i wpatrywała się w niego wielkimi jak u owada oczami, a niebieskie włosy oplatały ją szmaragdową wstęgą, spływając po prawym ramieniu. Pirat energicznie zamrugał powiekami, jakby to miało pomóc mu w pozbyciu się omamów. Jednak bestia o dwóch głowach wciąż stała naprzeciw niego. Kiedy on gapił się zdumiony, upiorna dziewczynka puściła do niego oko, co dodatkowo pogłębiło stan mentalnej zapaści.

„Źle ze mną. Musiałem się uderzyć w głowę lub straciłem za dużo krwi” – zastanawiał się oszołomiony.

Ponownie zamrugał oczami, ale i tym razem to nie pomogło. Ostatecznie spuścił głowę zrezygnowany, postanowił odczekać, aż minie mu szok pourazowy.

Przez resztę dnia płynęli ze stałą prędkością, by tuż przed zmierzchem dojrzeć ląd na horyzoncie. Statek pruł fale w stronę miasta, które zdawało się rosnąć w oczach. Przed nimi otwierało swe podwoje Tamir, metropolia licząca ponad milion mieszkańców. Największy port na północy, zyskał na znaczeniu dopiero w czasach nowożytnych, kiedy Cesarstwo podbiło Rubież, a ponieważ usytuowany został na ogromnym wzniesieniu, z daleka przypominał kamienne schody. W pewnym momencie przed dziobem statku z toni morskiej wyłoniła się monstrualna dłoń odwrócona

wewnętrzną stroną w kierunku miasta, z wyciągniętymi ku górze dwoma palcami, wskazującym i środkowym, ułożonymi w literę V.

– Co to? – spytała bardziej zaintrygowana niż zdumiona Sena.

– To wiadomość dla bojowego maga broniącego miasta. Chcę, by wiedział, że nie mamy złych zamiarów.

– Myślisz, że mogliby nas ostrzelać? – zapytała z mieszaniną strachu i niedowierzania w głosie.

– My ich nie atakujemy, więc i oni nie powinni niczego przedsięwziąć. Wolę jednak zapowiedzieć się z odpowiednim wyprzedzeniem. Może dzięki temu ludzie nie powrzucają się do wody, jak miało to miejsce w Naldis. Poza tym pamiętaj, że ciągniemy za sobą okręt piratów, a to, jak by nie patrzeć, nie dodaje nam wiarygodności.

– A ty skąd wiesz, że bojowy mag jest w mieście? Z tak daleka raczej nie jesteś w stanie go wyczuć.

– Masz rację, nie wyczuwam go jeszcze. To jednak nie są już prowincje zewnętrzne. Tamir jest jednym z największych i najbogatszych miast na kontynencie, a w związku z tym musi być dobrze bronione. Cesarstwo nie pozwoliłoby sobie na utratę tak ważnego portu. Miasto pozostawione samopas bez bojowego maga aż prosi się o kłopoty, szczególnie w tak niepewnych czasach jak obecne.

Statek wyczuwalnie zaczął zwalniać, gdy wpłynęli do basenu portowego. W całym mieście dzwony biły na alarm. A na nadbrzeżu darmo by szukać jakichś cywili. Najwidoczniej sposób Nidro się sprawdził, skoro na ich powitanie wyszły doborowe oddziały ciężkiej piechoty.

– A oto i nasz gospodarz. – Nidro wskazał ręką na bojowego maga, siedzącego dostojnie na grzbiecie karego rumaka o wyjątkowo lśniącej sierści, na samym czele formacji.

Był to szczupły mężczyzna po pięćdziesiątce, miał duże krzaczaste brwi, a jego szpakowatą twarz zdobił wydatny nos. Trzy kroki za magiem stał pełny manipuł ciężkozbrojnej piechoty. Przypominał czarny prostopadłościan okolony wysokimi tarczami i najeżony długimi włóczniami. Dowodzący oddziałem primus w widocznym napięciu czekał na rozkazy. Zaraz za włócznikami stała doborowa centuria ciężkozbrojnych

kuszników z bronią przygotowaną do strzału. Również korony murów obsadzono strzelcami, w dodatku co najmniej cztery balisty nieustannie mierzyły w ich okręty. Nawet z tej odległości dało się wyczuć atmosferę napięcia i wyczekiwania. Najwidoczniej mag broniący miasta postawił na nogi cały garnizon.

– Gdzie zacumujemy? – spytała Sena, aby przerwać niewygodną ciszę.

– Nie mam pojęcia – odparł Nidro.

– Jak to? – spytała zdziwiona. – To kto w takim razie steruje okrętem?

Chłopak skinieniem głowy wskazał na jeźdźca.

– Jesteśmy w strefie wspólnej, więc musimy współpracować. A skoro on chce nas poprowadzić na miejsce, jako gospodarz ma do tego prawo.

– W strefie wspólnej? – Twarz Seny w bardzo ekspresyjny sposób wyraziła pełne niezrozumienie.

– Tak, pamiętasz naszą lekcję o magii z nitkami?

– Pamiętam.

– No właśnie, na tak krótkim dystansie nie da się prowadzić walki energetycznej.

Mina dziewczyny powiedziała mu, że sprawa nie jest taka znowu oczywista.

– Chodzi o to, że gdybyśmy zaatakowali miasto, żaden z nas nie mógłby używać magii. Dlatego musielibyśmy z nimi walczyć w tradycyjny sposób, a w sile żywej, jak sama widzisz, mają nad nami miażdżącą przewagę. Więc gdyby miało tu dojść do starcia, to z łatwością by nas pokonali, a to powinno ich chociaż trochę uspokoić.

– Czyli tu jednorożec nie robi roboty?

– Nie, podejrzewam, że on nie pozwoli mi zrobić żadnej z tych rzeczy.

Ponownie wskazał ruchem głowy na jeźdźca. Morska Piana stanęła w miejscu, przy czym delikatnie otarła się o deski pomostu. Statek piratów ustawił się bezpośrednio za nimi. Nidro wcześniej uprzedził załogę, by ci nie wykonywali żadnych niepotrzebnych ruchów. Z pokładu zniknęła też cała broń i nawet Sena musiała chwilowo odłożyć swoje noże, z którymi przecież nierzadko kładła się spać. Była więc to całkowita demobilizacja. Dodatkowo tygrys i Kami siedzieli schowani za beczkami z wodą, nie dając się dostrzec

obserwatorom z lądu. Nidro wiedział, że widok tygrysa prowadzi u żołnierzy do różnych niepożądanych reakcji, jak chociażby niekontrolowany skurcz palców na dźwigniach spustowych kusz, a tych w porcie nie brakowało. Lepiej uważać, by przez czyjeś stargane nerwy nie doszło tu do głupiego wypadku.

– Zostańcie na pokładzie, kiedy ja pójde ich obłaskawić – rzucił Nidro do załogi.

– Chyba nie strzelą do własnego maga? – zapytała zaniepokojona Sena.

– Trudno powiedzieć, sytuacja jest dość nietypowa. Jego nikt nie uprzedził o naszym przyjeździe, a sama wiesz, że wszędzie wokół trwają zamieszki. Mówiąc ogólniej, czasy nie sprzyjają niezapowiedzianym wizytom, więc i oni podjęli szczególne środki ostrożności. – Wskazał na zwarte szeregi zbrojnych. – Pamiętajcie, że on ma przede wszystkim bronić miasta i nie zawaha się nas zabić, jeśli stwierdzi, że jesteśmy zagrożeniem. Nie ma co deliberować, idę z nim pogadać, a wy w tym czasie nie róbcie niczego głupiego. Najlepiej w ogóle niczego nie róbcie – dodał po chwili namysłu, następnie zszedł na pomost i ruszył pewnym krokiem w stronę najeżonej włóczniami linii obrońców.

Rozdział ósmy

Port Tamir

Szczęście bywa, a choroby i wojny są. – powiedzenie ludowe

Nidro stanął przed namiestnikiem wyprostowany w postawie zasadniczej. Pierwsze wrażenie jest – jak wiadomo – najważniejsze. Ubrany był w czysty oficerski mundur z oznaczeniami portu Meana. Na spotkanie stawiał się bez broni, co miało podkreślić jego pokojowe zamiary. Przyłożył prawą pięść do piersi i wyrzucił z siebie meldunek jednym tchem:

– Cesarski bojowy mag Nidro w misji do stolicy Cesarstwa, Tarnau, melduje się i prosi o gościnę dla siebie i swojej drużyny.

Po tych słowach wyjął list z kieszeni i podał go namiestnikowi. Jeździec przyjął dokument i obejrzał go z uwagą. W miarę jak zagłębiał się w treść listu, mięśnie jego twarzy rozluźniały się wyraźnie, zamieniając posępne dotąd oblicze w neutralnie przyjazne.

– Jestem wielki mag Waldir – przedstawił się gospodarz władczy tonem z wysokości siodła, następnie oddał list. – Wasze przybycie jest dla mnie sporą... – zawiesił na moment głos, wpatrując się w statek piratów – ... niespodzianką.

Nidro wzruszył ramionami, zanim schował dokument do kieszeni.

– Ten statek za wami jest jakiś dziwny, i nie chodzi mi o jego wygląd. – Waldir nie spuszczał wzroku z okrętu. – Wyczuwam emanację złej energii?

– Tak, ten okręt został zdobyty na wrogu – odpowiedział dumnie Nidro. – Po drodze z Meana zostaliśmy zaatakowani przez piratów i udało nam się przejąć zarówno okręt, jak i cennego jeńca.

Waldir uniósł brwi z mieszaniną zdziwienia i zainteresowania.

– A gdzie ten jeńiec? – spytał z rosnącą ekscytacją w głosie.

– Siedzi związany pod masztem. – Nidro wskazał ręką na szkuner. – To mag użytkowy wroga, doświadczony kapitan, w pełni zapoznany z obsługą okrętu wraz z zamontowanym na nim uzbrojeniem. – Wskazał gestem na broń teleskopową.

Kiedy skończył wyjaśniać, wodne macki wystrzeliły z morza, wdarły się na okręt, sprawnie rozcięły więzy pirata, i podobnie jak miało to miejsce wcześniej, owinęły mu się wokół nóg i rąk, by wywlec go z pokładu na brzeg. Mutant bezwolnie zawisł w powietrzu dwa kroki przed Waldirem.

– A co to za paskudztwo?

Wielki mag skrzywił się na jego widok.

– To jest Reksio – wyjaśnił rzeczowo Nidro. – Jak sam twierdzi, nie jest piratem, lecz Wyniesionym.

– Wynie... kim?

– On uważa siebie i sobie podobnych za nową rasę nadludzi, twierdzi, że zostali wyniesieni do lepszej formy – tłumaczył pośpiesznie Nidro to, co sam zapamiętał z niekończących się przepychanek słownych pomiędzy Reksiem a Seną.

– Do lepszej formy? – powtórzył za nim Waldir z niedowierzaniem w głosie, wciąż wpatrzony w psią facjatę. – To bardzo ciekawe. No dobrze, Reksiu – podjął i uśmiechnął się złowrogo do Wyniesionego. – Coś tu jednak jest na rzeczy, he, he, w końcu wyniosłem cię z tego statku, nieprawdaż?

Nie czekając na żadną odpowiedź, ruchem dłoni wskazał na grupę zbrojnych. Poleciał założyć Reksiovi stalowe kajdany, a tak się jakoś złożyło, że akurat mieli je ze sobą. Żołnierze niezwykle sprawnie skuli Wyniesionego i odprowadzili go pod broń do więźniarki, również zupełnym przypadkiem oczekującej na swój ładunek za oddziałem kuszników.

„Wkrótce Reksio trafi w ręce Dobrych Ludzi na badanie” – skostatował w duchu Nidro.

Swoją drogą, „badanie” to ciekawy eufemizm na spędzenie kolejnych kilku dób bez możliwości snu w celi, gdzie w każdej chwili można otworzyć deszczownicę w suficie i zalać więźnia lodowatą wodą. Nidro domyślał się, że po czterech nieprzespanych dniach Reksio bez specjalnego bicia wygada

im wszystko jak na kolacji u teściowej. Usłyszeli wołanie woźnicy, wkrótce zastąpione przez stukot końskich kopyt, to więźniarka ruszyła w stronę miasta. Chwilę po jej odjeździe od nabrzeża odłączył się bezzałogowy statek piratów i skierował się w stronę wewnętrznego portu schowanego za pierwszą linią umocnień.

– Formacja marszowa! – wydał rozkaz Waldir czekającym za nim żołnierzom, a ci w jednej chwili zaczęli ustawiać się w równą kolumnę czwórkami.

– Jest jeszcze jedna sprawa – zawołał do niego Nidro, widząc, że Waldir szykuje się do odjazdu.

– Tak? – spytał zaskoczony tym faktem jeździec.

– Korzystając z okazji, chciałbym Saru przedstawić moich towarzyszy.

W odpowiedzi Waldir wykonał przyzwalający ruch ręką.

– Zanim jednak to zrobię, proszę, by Saru odwołał balisty i kuszników na blankach. Obawiam się, że moi podkomendni mogą wywołać nadmierną ekscytację wśród naszych żołnierzy, a nie chciałbym, aby komuś stała się krzywda.

Waldir najwyraźniej nic z tego nie zrozumiał i wpatrywał się w Nidro, jakby ten nie dość, że kompletnie postradał zmysły, to jeszcze karmił go zagadkami. Młodzieniec z kolei zachował nieprzejeđnaną twarz, zastygłą w niemym wyczekiwaniu. Waldir westchnął zauważalnie, zanim wykonał umówiony sygnał ręką, kilka uderzeń serca później kusznicy wycofali się, a balisty odstawiono na pozycje wyjściowe. Nidro odczekał cierpliwie, aż ostatni strzelec zniknął mu z oczu, dopiero dał znak ręką swojej załodze, że mogą bezpiecznie wychodzić na brzeg. Pierwsza ze statku zeszła Sena, która podeszła do nich iście tanecznym krokiem. Niczym dama dworu skłoniła się uprzejmie przed namiestnikiem.

– To jest Sena – przedstawił ją Nidro. – Chce się zaciągnąć do służby w cesarskiej armii, dlatego będę prosił Konsula, by pozwolił mi wcielić ją do mojego oddziału.

Waldir skinął dziewczynie głową, i spojrzał na... No właśnie, na co? W ich stronę zmierzała umięśniona dwugłowa bestia, uzbrojona w długie kły, pewnie stawiająca masywne łapy na deskach pomostu. Waldir

zorientował się wreszcie, na co tak naprawdę patrzy, to była mała dziewczynka siedząca na bojowym tygrysie. Namiestnik wzdrygnął się zauważalnie na ich widok. Nie mógł oderwać oczu, dlatego gapił się na Kami z otwartymi ustami.

– Co, co to takiego? – wydobył z siebie w końcu zduszonym głosem.

– To Kami i jej tygrys – przedstawił bardziej nietypowych członków swego oddziału, mimo że formalnie jeszcze go nie posiadał.

Kami skłoniła się dworsko, jak uczyła ją Sena przed balem, a następnie puściła Waldirowi oko, na co ten o mało z wrażenia nie wypuścił lejców z dłoni. Czas płynął, a oni stali w milczeniu, wpatrzeni w siebie nawzajem.

– Kami dołączyła do oddziału w Wielkim Lesie – ponownie odezwał się Nidro, czym przerwał tę nafaszerowaną niedopowiedzeniami ciszę.

– Weszliście do Wielkiego Lasu?! – bardziej stwierdził, niż zapytał Waldir. Wydawał się zupełnie skołowany. W dodatku jego koń robił się niespokojny, podobnie zresztą jak większość zwierząt w obecności tygrysa. – Co ja mówię! – poprawił się jeździec, zdał sobie sprawę z tego, że źle zadał to pytanie. – Wyszliście żywi z Wielkiego Lasu? Jak to możliwe?

– Tak, to długa historia – zaczął wymijająco Nidro, wpatrując się w wieczorne niebo. – Spieszyło nam się i... – zawahał się, rozważając, co powiedzieć dalej.

– I nasz nieustraszony dowódca wybrał drogę na skróty – skończyła za niego uradowana tym wszystkim Sena.

– Rozumiem – odparł Waldir, lecz jego mina świadczyła o czymś zgoła przeciwnym. – Doprawdy nie mogę się doczekać, aż usłyszę twój pełny raport z wyprawy – stwierdził, na powrót odzyskując rezon. – A z Księżyca nie macie nikogo w oddziale? – zapytał jeszcze Waldir, bardziej tym rozbawiony niż zmieszany.

– Nie – odpowiedziała poważnie Sena. – Oddział z Księżyca został wybity do nogi podczas szturm na statek Reksia.

Po tych słowach wszyscy jak na zawołanie wybuchnęli gromkim śmiechem. Sena dobrze wiedziała, jak rozładować nagromadzone napięcie.

– Nie będziemy tak przecież stać po próżnicy – stwierdził polubownie Waldir. – Zapraszam was do zamku, jesteście moimi honorowymi gośćmi.

Dzisiaj odpocznijcie po podróży, a jutro Nidro złoży mi pełny raport i zobaczymy, co dalej – oznajmił, wpatrując się w młodzieńca z zagadkowym wyrazem twarzy. – A widzę, że będziesz miał sporo do opowiadania.

Wielki mag zawrócił karego wierzchowca, koń dostojnie wypiął się do nich zadem i ruszył paradnym krokiem w stronę miasta za kolumną oddalającej się piechoty. Dopiero wtedy Temu wraz z pozostałymi członkami załogi zaczęli niespiesznie schodzić na pomost, gdzie znosili swoje toboły. Morska Piana kołysała się lekko, pewnie zacumowana przy kei. Marynarze cieszyli się, że cali i zdrowi wrócili do domu po emocjonującym rejsie. Nidro pomachał im na pożegnanie.

– Wiecie, gdzie mnie znaleźć! – krzyknął do nich Temu. – Piąty poziom, ulica Diamentowa – przypomniał im kolejny raz, tak na wszelki wypadek.

– Jasne, dzięki za podwiezienie, Temu! – zawołał Nidro, odchodząc.

– Jutro wpadniemy na kraby – dodała na odchodnym Sena.

Na nadbrzeżu czekał na nich niewielki oddział włóczników. Nidro ruszył pewnie w ślad za odjeżdżającym namiestnikiem, razem z nim poszli też jego kompani.

Opuszczali nadbrzeże przez warowną bramę prowadzącą za pierwszą linię umocnień, by tam skręcić w prawo w stronę metropolii. Tamir wzniesiono na masywnym wzgórzu, a ze względu na nietypowe ukształtowanie terenu miasto zostało rozsiane na pięciu różnych poziomach. Każdy z nich był oddzielony od pozostałych wysoką na trzydzieści kroków skalną ścianą. Właśnie to z daleka sprawiało wrażenie ogromnych kamiennych schodów. Na wysokości linii brzegowej, czyli od strony północnej, znajdował się pierwszy poziom. Piąty natomiast był położony najwyżej, w południowej części miasta. Poszczególne poziomy, w odróżnieniu od wspomnianych schodów, spełniały przeróżne funkcje, a ich domena była odgórnie ustalona. Na pierwszym i piątym mieściły się głównie magazyny, warsztaty rzemieślnicze oraz części mieszkalne metropolii. Nidro razem z eskortą udawali się właśnie do środkowego, tzn. trzeciego poziomu, gdzie mieściły się zamek, wielka świątynia, sądy i w zasadzie cała administracja cywilna i wojskowa. Na poziomie czwartym znajdowały się między innymi: wielki uniwersytet, wiszące ogrody oraz łaźnie publiczne. Stanowił część

rekreacyjną, uznawaną powszechnie za najpiękniejszą w całym mieście. Na drugim poziomie funkcjonowały rozmaite targi, w tym także wielki targ niewolników. Była to w dodatku część gastronomiczno-rozrywkowa, zdominowana przez liczne gospody, teatry i domy uciech. Wszystkie poziomy połączono ze sobą za pomocą gigantycznych ramp, wykonanych z jednolitego kamienia. W Tamir istniały trzy takie przejścia: wschodnie, zachodnie i centralne. Każde miało szerokość dwustu kroków i podzielone zostało na specjalne sektory. Osobny sektor wyznaczony był dla wojska, osobny dla pieszych, jeszcze inny dla wozów i zwierząt. Każdą rampą odbywał się ruch w obu kierunkach, w górę i dół, dlatego poszczególne sektory dzielono jeszcze na pół. Dodatkowo na każdym z poziomów rampa miała specjalne wypłaszczenie, odpowiednio oznakowane kolorowymi pasami, umożliwiającymi przejście do właściwego sektora. Cywilom wyłącznie tam wolno było się poruszać pomiędzy nimi. Cały system transportu spinający poszczególne schody był bardzo nietypowy i na pierwszy rzut oka skomplikowany. Niezmiennie przyprawiał o zawrót głowy wszystkich przyjezdnych. Za organizację ruchu na rampach odpowiadali żołnierze garnizonu specjalnie wyszkoleni do tego celu.

Z portu morskiego do pierwszego poziomu miasta prowadził rozległy deptak, zaprojektowano go jako coś w rodzaju artystycznego łącznika w całości poświęconego opiewaniu chwały Wiecznego Cesarstwa.

– Spójrz na to! – zawołała Sena, wskazując ręką na kamienne posągi wzniesione amfiladą po obu stronach drogi. Niektóre z nich miały do piętnastu kroków wysokości.

– Są wspaniałe – przyznał Nidro. – To aleja zasłużonych. Tu stawia się statuy wybitnych cesarzy, dowódców i odkrywców, tych, którzy w szczególny sposób zasłużyli się w dziejach.

– Potrafisz rozpoznać te postacie?

– Tak, w swoim czasie uczyłem się o nich na zajęciach z historii. Ten tutaj... – dodał i wskazał na pierwszą z nich – ...biegnący z dwoma mieczami u boku bojowego niedźwiedzia to Salomon, ostatni przede mną bojowy mag posiadający zdolność związania się ze zwierzęciem. Po jasnym odcieniu kamienia można określić, że ten pomnik jest najnowszy i ma nie

więcej niż dziesięć lat. Salomon wslawił się podczas najazdu z armią inwazyjną na Kontynent Wolnych Ludzi dwadzieścia lat temu. Rozpoczęta przez niego kampania zaowocowała podbiciem większej części kontynentu zamieszkanego przez Libertynów.

– A co porabia teraz? – spytała Sena żywo zainteresowana.

– Salomon zmarł niespełna dekadę temu.

Idąc dalej wzdłuż alei, mijali magów zasłaniających się tarczą energetyczną przed ostrzałem lub formujących wodne bestie. Wszystko wyglądało tak realistycznie. Szczególnie ujęły ich rysy twarzy postaci, artysta musiał poświęcić wiele czasu, aby kamienne oblicza tak wiernie oddawały uczucia i emocje.

– A ten jaki jest wielki. – Sena wskazała na pomnik niemal dwa razy większy od pozostałych. Przedstawiał on męską postać w otoczeniu uczonych rozwijających na stole jakieś zwoje.

– Ten przedstawia Cesarza Asu XXI. To on wprowadził kodeks praw niewolników, co było rewolucyjnym i bezprecedensowym wydarzeniem w dziejach Cesarstwa, a nawet świata.

– Jest w ogóle coś takiego? – zapytała z nieskrywanym zdziwieniem.

– Tak – odparł Nidro. – Ten kodeks przetrwał w niemal niezmienionej formie do naszych czasów. Ów Cesarz był niezrównanym wizjonerem, jego plany nierzadko daleko wybiegały w przyszłość, to on zlecił pracę nad budową maszyny latającej, co w konsekwencji doprowadziło do powstania powietrznych okrętów. Ponoć powiedział wtedy, że zainspirowały go lecące ku niebu papierowe lampiony. Jako Cesarz był kochany przez lud, a znienawidzony przez szlachtę i własną rodzinę. Przez całe swoje długie panowanie nieustannie walczył z korupcją i nepotyzmem, zarówno w armii, jak i w administracji państwowej.

– O nim coś tam słyszałam – przyznała, ale bez przekonania Sena. – Ponoć zreformował armię.

– Tak, między innymi – potwierdził jej domysły Nidro. – Wprowadził punktowy system oceny w armii, odnoszący się zarówno do bojowych magów, jak i zwykłych żołnierzy. System obowiązuje w niezmienionej formie do dziś i polega na skwantyfikowanej ocenie przebiegu służby

każdego żołnierza. Wszyscy są oceniani przez specjalne komisje za pomocą standardowego klucza. A rolą przełożonego jest wyłącznie ustalenie, czy dane zdarzenie miało miejsce, lub ewentualnie wyjaśnienie wątpliwych kwestii. Komisja ustala, ile punktów zgodnie ze skalą powinien za nie otrzymać lub stracić każdy żołnierz. Suma otrzymanych punktów decyduje o ewentualnych awansach lub karach.

– Faktycznie, pamiętam, że wspominałeś coś o punktach za bransoletkę.

Nidro w odpowiedzi uśmiechnął się wymownie.

Za aleją posągów skierowali się do rampy centralnej, prowadzącej na wyższe poziomy miasta. Akurat ta rampa wyjątkowo miała aż dwa sektory wojskowe. Ruszyli pod górę sektorem wschodnim, ponieważ po drodze do zamku skręcał on w lewo na trzecim poziomie. Wejście po rampie przypominało wspinaczkę w górach. Dlatego na sektorach transportowych co pięćdziesiąt kroków ustawiono kamienne zapory, aby w razie awarii wozu dało się na nich zatrzymać ładunek. Kiedy wspięli się ponad drugi poziom, mogli podziwiać z góry dwie pierwsze dzielnice miasta, gdzie równe rzędy domów i ulic ciągnęły się aż po horyzont. Dostrzegli także pękate sylwetki łodzi latających, przyziemionych na specjalnych wieżach cumowniczych, pobudowanych, zdawałoby się, losowo w różnych lokalizacjach. Konstrukcje ich kadłubów najczęściej przypominały jednostki pływające po wodzie. Największe z nich zapewne dorównywały wielkością Morskiej Pianie. Budowano je przeważnie z wikliny obłożonej skórami zwierząt. Nad pokładami unosiły się przywiązane olinowaniem nabrzmiałe balony na semipowietrze. Napęd stanowiły liczne wirniki umieszczone najczęściej na rufie. Wieżom cumowniczym nadawano kształt ludzkiego oka, co nie powinno nikogo dziwić na kontynencie o nazwie Oko Świata. Mimo wszystko posiadanie własnego statku powietrznego uchodziło w Cesarstwie za wielki luksus. Wynikało to z prostego faktu, że wyłącznie magowie potrafili nimi latać, a zatrudnienie kogoś takiego nigdy nie było małym wydatkiem. Szczęśliwymi posiadaczami większości z nich były: wojsko, uczelnie wyższe, możne rody i gildia kupiecka.

– Jakie to miasto jest piękne – stwierdziła Sena z zachwytem w głosie, wpatrując się z góry w zabudowania dwóch pierwszych poziomów.

- Robi wrażenie – zgodził się z nią Nidro.
- Atolu przy tym to dziura zabita dechami – dodała po chwili.
- Skoro tak twierdzisz. Dla mnie każde miasto jest wielkie, a to w szczególności. Od zawsze marzyłem, aby tu kiedyś przyjechać.
- Marzyłeś o przyjeździe do Tamir?
- Tak, to znaczy nie tylko do Tamir, miałem na myśli cały kontynent centralny. Nie mogę się doczekać, kiedy dotrzemy do Tarnau, tam dopiero będzie się działo.
- Popatrz na te wszystkie łodzie latające. – Sena wskazała je ręką. – Latałeś kiedyś czymś takim?
- Nie, nigdy. Latałem na lotni w górach, ale to nie to samo.
- Obiecay mi, że kiedyś zabierzesz mnie na romantyczny rejs na pokładzie takiej łodzi. – Sena ujęła go za rękę, robiąc przy tym słodką minkę małego kociaka.
- Jestem żołnierzem, pamiętasz? W armii jest romantycznie, gdy strzelasz z balisty, a za szanćami wroga widać tęczę. Dlatego od razu mogę cię zapewnić, że jeśli dadzą nam łódź latającą, to jako balast dorzucą rozkazy, ciężkie jak życie grabarza.
- Chcesz powiedzieć, że wojsko nie patroluje plaż na zachodnim wybrzeżu z pokładu łodzi latających? – Sena w bardzo atrakcyjny sposób udała rozczarowanie, do tego teatralnie ułożyła usta w podkówkę.
- Wiem, że to może być dla ciebie trudne – odrzekł na pozór zupełnie poważnie – ale w wojsku trzeba wstawać rano, nawet kiedy pada lub jest zimno.
- O nie – odparła scenicznym szeptem. – Nic mi o tym nie mówiłeś, kiedy się poznaliśmy.
- Jeśli mnie pamięć nie myli, to kiedy się poznaliśmy, spytałeś mnie, czy nie chcę gaci z gówna szorować.
- A ja pamiętam, że mnie wałnąłeś w buzię.
- Sama widzisz, że zabrakło nam czasu, by omówić szczegóły dalszej współpracy.
- Ja przynajmniej cię ostrzegłam, a ty co? Bojowy mag rzuca się z pięściami na samotną kobietę zbierającą z mozołem grzyby w lesie.

Ciekawe, czy dają wam jakieś punkty w wojsku za bicie dziewczyn?

– No tak. – Nidro parsknął śmiechem. – Musiały ci te grzyby wypaść gdzieś na bagnach. A ja nie zaatakowałem żadnej dziewczyny, a jedynie golema o, co prawda, pięknym, wysokim kobiecym głosie.

– Nie zaprzeczam, że mogłam omyłkowo zostawić grzyby w spa i że trudno było mnie poznać, kiedy miałam maseczkę na twarzy, dlatego wybaczyłam ci ten afront.

– Jeśli dobrze pamiętam, to nosiłaś maseczkę również na butach, a ja po tym, jak cię... obezwładniłem, miałem całą rękę czarną od szlamu.

– Ciesz się, że chociaż gacie zostały ci czyste.

– Cieszę się, i ja również się nie gniewam, że rzuciłaś we mnie nożem do obierania grzybów.

– No cóż, widocznie wypadł mi z rąk, jak się potknęłam o korzeń.

– Tak, to było bardzo niefortunne, że wypadł ci dokładnie w moją szyję.

– Nikt nie mówił, że zbieranie grzybów jest bezpiecznym zajęciem – powiedziała bez krztyny skruchy.

Nidro westchnął głęboko, jakby wynurzył się z wodnej głębi.

– I tak właśnie jest z tym wojskiem – stwierdziła ostatecznie Sena, robiąc minę słodkiej idiotki. – Teraz już wszystko zrozumiałam. – Pacnęła się ręką w głowę. – Służba w wojsku jest jak zbieranie grzybów na bagnach. To brudna i śmierdząca robota, za którą przełożeni tłuką cię po głowie do nieprzytomności.

– Tak, Sena, to niemal podręcznikowa definicja opisująca służbę w armii. Doprawdy świetnie to ujęłaś – stwierdził Nidro, setnie rozbawiony jej fabularną retrospekcją.

Tym sposobem dotarli na trzeci poziom, gdzie mogli podziwiać forteczny zamek w całej jego okazałości. Był to w zasadzie cały kompleks warowny, otoczony dwoma murami obronnymi. Dosłownie rojący się dziesiątkami wież i wieżyczek różnej wielkości i przeznaczenia. To właśnie te ogromne budowle jako pierwsze przykuły ich uwagę. System siedmiu wież mocy był w istocie potężną bronią energetyczną. Na środku wyznaczonego przez sześć wież heksagonu placu stała wieża centralna, była o dziesięć kroków wyższa od pozostałych, a dostępu do niej bronił owalny barbakan. Siedmiu kolosów,

walcowatych olbrzymów o średnicy dwudziestu i wysokości pięćdziesięciu kroków, rzucało wyzwanie najeźdźcom. Pomiędzy nimi na wielu poziomach zaprojektowano kamienne pomosty prowadzące zarówno do wieży centralnej, jak i dwóch sąsiadujących, tworząc tym samym całą pajęczynę zawieszonych w przestrzeni przejść. Do trzech północnych wież wodę dostarczały kamienne akwedukty, prowadzone osobno do każdej z nich. Dzięki temu rozwiązaniu woda mogła spływać do dowolnej z trzech wież niezależnie, tworząc w jej wnętrzu coś w rodzaju sztucznego wodospadu. Pozostałe cztery bastiony wypełniono po brzegi czarnym węglem, były więc w rzeczywistości wielkimi piecami. Z ich szczytów z kolei odchodziły specjalne rury miedziane, z dołu wydawały się niewielkie, ale z bliska robiły piorunujące wrażenie, gdy wyciągały pokryte patyną szyje aż do samych akweduktów. Rurociągi służyły do odprowadzania dymu, by ten nie zasłaniał magom widoku w walce. Najczęściej dowodziło się z dachu na wieży centralnej, to z tego miejsca najłatwiej było korzystać z pozostałych źródeł energii, by zaprzęgać je do obrony w razie najazdu. Wieże mocy stanowiły szczyt techniki w dziedzinie budownictwa lądowego i inżynierii wojskowej. Zarówno sam zamek, jak i wewnętrzną sieć murów obronnych celowo zbudowano na trzecim poziomie metropolii. Tym sposobem znalazły się one dobre tysiąc kroków poza obszarem oddziaływania oceanu. W tej odległości od brzegu atakująca armia nie mogłaby się chronić za potężną wodną tarczą, a co za tym idzie – nawet wspierana bojowym magiem, nie zdołałaby się przebić na górne poziomy, a przynajmniej na to liczyli cesarscy budowniczowie. Obrońcy mogli się wycofać do trzeciego poziomu i walczyć dalej w silnie umocnionej twierdzy. Teoretycznie mag broniący zamku dysponowałby dużą przewagą energetyczną nad przeciwnikiem, który, chcąc zdobyć miasto, wciąż musiałby sforsować mury obronne trzeciego poziomu. Zadanie nie było proste i jak dotąd w całej historii Cesarstwa jeszcze nikomu nie udało się tego dokonać. W ten sam sposób ufortyfikowano wszystkie większe miasta na kontynencie centralnym. Wykluczając jedynie te posiadające w swym sąsiedztwie czynny wulkan, będący twierdzą samą w sobie.

Po dotarciu na teren warowni ich oddział poprowadzono prosto do komnat, gdzie w trosce o ich wygodę udostępniono im całe osobne skrzydło zamku. Przyniesiono tam jedzenie, czystą odzież i w zasadzie pozostawiono ich samych sobie. Miejsca było dość, aby każdy mógł sobie wybrać osobne komnaty połączone wspólnym tarasem z widokiem na morze. Te kwatery zostały przewidziane dla pięćdziesięciu osób, a ich była zaledwie trójka, nie wliczając w to tygrysa, zresztą on i tak standardowo rozłożył się w komnacie upatrzonej przez Kami. Przed swoim odejściem towarzyszący im centurion zapytał uprzejmie, co ma zrobić z „kotem”, a wtedy Nidro wyjaśnił mu, że to maskotka oddziału i że zostaje z nimi. Po tych słowach oficer o nic więcej nie pytał, w dodatku po dobrze maskowanym rozbawieniu dało się poznać, że był przyzwyczajony do najróżniejszych dziwactw magów. Przecież ktoś, kto na co dzień rozkazuje wulkanom, nie może być po prostu normalnym człowiekiem. Skoro chce spać z bestią pod jednym dachem, jego wybór. Z drugiej strony, oficer odczuł niewysłowioną ulgę. Co by się stało, gdyby dostał rozkaz, by jednak zająć się tygrysem? Nie miał bladego pojęcia, co należałoby wtedy zrobić, a zapytać się było głupio. Przecież do stajni go nie zaprowadzi, bo nad ranem nie mieliby żadnych wierzchowców. Dlatego bardzo dobrze się stało, że problem sam się rozwiązał.

– Ja jutro pewnie cały dzień będę zdawał raport z przebiegu misji – powiedział Nidro bez entuzjazmu w głosie.

Podszedł do Seny, dziewczyna stała nieruchomo na tarasie w zamyślanej pozie, ze wzrokiem utkwionym w dal.

– Tyle się tego nazbierało – ciągnął dalej mag – że zleci mi aż do wieczora. A muszę się również zapoznać z obecną sytuacją w kraju, co, zważywszy na okoliczności, pewnie też trochę zajmie. Wasz status jest na razie tymczasowy, ale będą was traktować z honorami przewidzianymi dla członków oddziału maga i raczej nikt nie powinien się was o nic czepiać. Dostaniecie potwierdzenie na piśmie z kancelarii namiestnika prowincji.

– Dlaczego tymczasowy? – spytała Sena, po raz pierwszy odnotowując jego obecność.

– Wielki mag nie jest władny w takich sprawach, nadawanie waszych uprawnień leży w gestii samego Konsula.

– W takim razie – uprzedziła jego kolejny monolog – skoro ty jesteś jutro zajęty, to ja i Kami zwiedzimy sobie miasto. Temu zaprosił nas wszystkich na degustację. Mają być wielkie kraby, cokolwiek to jest.

– W Oku Świata chyba wszystko jest wielkie – skwitował Nidro krótko.

– Poza tym ma być jeszcze jakaś niespodzianka, więc żałuj, że ci wszystko przepadnie – powiedziała, wplatając ironię w słowa. – Ty zapewne będziesz się świetnie bawił i bez kraba.

– Nic na to nie poradzę, przypomnę ci jeszcze, że służę w cesarskiej armii i to, czego sam chcę, zeszło właśnie na dalszy plan. Ale obiecuję, że jeśli się wyrobię, to na pewno dołączę do was. Sam też jestem ciekaw, co to jest za krab. Skoro największy żarłok, jakiego znam, mówi, że warto, to zapewne musi być to coś ekstra.

– Przyznam ci się, że padam z nóg – zmieniła temat Sena, zasłaniając ręką ziewnięcie. – Tak na dobrą sprawę, to od kradzieży tej bransoletki ciągle coś się dzieje. A ten idiotyczny trening, jaki nam urządziłeś na statku, dobił mnie zupełnie.

Nidro podszedł beztrasko do stolika z owocami ustawionego w pobliżu wejścia na taras. Wziął z patery dojrzałe jabłko i bez ostrzeżenia rzucił nim prosto w Senę. W jej dłoni, nie wiadomo skąd, pojawił się ostry nóż, a jabłko przecięte na pół spadło po obu stronach dziewczyny, zanim jeszcze zdążyło w nią trafić. Sena z niedowierzaniem wpatrywała się w owocowe połówki leżące u jej stóp.

– I co ty na to? – zapytał zadowolony z siebie Nidro. – Taki głupi ten trening jednak nie był – skomentował szczerze rozbawiony wyrazem zdumienia malującym się na jej twarzy. – Właśnie w tym celu wysyłałem na was te wodne kulki. Chodziło o to, abyście zaczęły działać odruchowo. Dobry wojownik to ktoś, kto ma właściwe odruchy, a nie jedynie celnie rzuca nożem. Po tym szkoleniu ty i Kami najpierw zabijecie przeciwnika, a dopiero później zaczniecie się zastanawiać, co się właściwie stało. Jest jeszcze jedna sprawa, jaką koniecznie chciałem z tobą omówić.

Spojrzał jej prosto w oczy, a jego twarz przybrała na powrót poważny wyraz.

– Przez to, że ci się wygadałem wtedy o klasztorze, no wiesz, jak się poznaliśmy, wykręciłaś mi ten numer z artefaktem.

Sena skinęła głową na potwierdzenie, że coś sobie przypomina.

– Ta wiedza wszelako jest bardzo niebezpieczna, a mi nie wolno będzie tego faktu zataić. Poznałaś skrywaną tajemnicę imperium, dlatego Cesarz nigdy nie pozwoli ci odejść. A mówiąc prościej, jedyny sposób, byś zachowała swoje życie, tak, nie przesłyszałaś się, życie – dodał, widząc malujące się niedowierzanie na twarzy dziewczyny – to złożyć przysięgę na wierność Cesarzowi i tak jak ja do końca swoich dni służyć w armii.

– Czemu sądzisz, że Cesarz miałby mnie zabić? – spytała nieprzekonana.

– Położenie klasztorów jest ściśle tajne, a ty wiesz, gdzie znajduje się jeden z nich, choćby za samo to Cesarz mógłby cię stracić. Jednakże twoja ohydna zbrodnia może pójść w zapomnienie, jeśli sama dobrowolnie zgłosisz chęć do służby w armii, szczególnie że dołączysz do oddziału bojowego maga, to moim zdaniem powinno zakończyć całą sprawę polubownie. Nie bez znaczenia pozostaje fakt, że to dzięki tobie Cesarz odzyskał artefakt, może tego nie wiesz, ale kiedyś musiał oddać go swemu bratu, aby zasiąść na tronie.

– Wielki Kapłan z Segal to jego...?

– Tak, to starszy brat Cesarza. Przed koronacją istniały różne frakcje, nie chciałbym cię zanudzać, chodzi o przepychanki pomiędzy szlacheckimi rodami. Ostatecznie to konklawe elektorów miało zdecydować, który z braci zostanie Cesarzem. Stało na tym, że Kapłan dostał potężny artefakt, a w zamian za to miał dobrowolnie usunąć się w cień i wyjechać z Oka Świata na prowincję.

– Spory jest ten jego cień – wtrąciła Sena, czym w oczywisty sposób zmieniła temat rozmowy, jednocześnie odświeżyła sobie w myślach fizjonomię Kapłana. – O wiele większy od Temu.

– Tak też słyszałem, choć sam nigdy nie widziałem go na oczy – przyznał obojętnie Nidro.

– To wyobraź sobie wielkiego knura stojącego na dwóch nogach.

– Knura kiedyś widziałem.

– To Kapłana też byś rozpoznał. On nawet tak mówi nosowo jak świnia.

– Sena, skup się, proszę – przerwał jej Nidro. – Musisz się określić, czy chcesz służyć Cesarstwu jako oficer w moim oddziale?

Kiedy to mówił, przez korytarz przewalili się z wrzaskiem Kami i tygrys. W otwartych drzwiach widać było, jak gonią przed siebie za piłką.

– Czy to ta elitarna formacja bawi się właśnie z kotem na korytarzu?

– Chciałaś powiedzieć: rozwija koordynację ruchową, ganiając za morderczą bestią. Ale tak, to właśnie jego zbrojne ramię.

– Czy muszę mieć swojego zwierzaka, by służyć w tak elitarnych siłach zbrojnych?

– Nie, przyjmujemy też bez zwierząt.

– W takim razie od razu mogę cię uspokoić. Chętnie wstąpię do twego magicznego wojska – powiedziała to ciepłym, niemalże zmysłowym tonem.

– Mój ty przystojny i czarujący dowódco. – Sena wyraźnie przechodziła do swojego nowego żartu. – Pod warunkiem, że zabierzesz mnie ponownie w taki romantyczny rejs statkiem. – W iście melodramatycznym geście zakryła ręką usta, intensywnie trzepocząc przy tym rzęsami. – W rejs... – kontynuowała zmysłowo – na którym wyciśniesz ze mnie siódme poty na deskach pokładu, na oczach tych wszystkich marynarzy.

Teraz to i on zaczął się śmiać.

– No cóż – stwierdził, dając za wygraną – chciałem z tobą poważnie porozmawiać, ale jak to się mówi, ziarenkami pod siekierką to kogucik się nie najadł.

Sena uśmiechnęła się od ucha do ucha i ruszyła z wolna w stronę wyjścia z tarasu. W drzwiach odwróciła się do niego, zatrzepotała rzęsami, puściła mu całusa w powietrzu i rzekła:

– Pa, pa, dobranoc.

Po czym weszła do swojej komnaty z zamiarem położenia się spać. Nidro stał tak jeszcze przez chwilę, dumając o pozytywnych aspektach bycia zignorowanym.

„Chyba poszło mi całkiem nieźle” – powiedział w duchu, okłamując w ten sposób samego siebie.

Ruszył niespiesznie tarasem, skąd przeszedł do swoich komnat. Sam też miał zamiar się położyć. Gdy zaległ na szerokim łóżu, przebrany do spania,

zamknął zmęczone oczy i wsłuchał się... No właśnie, usłyszał, jak za drzwiami Kami biegnie na złamanie karku, wołając tygrysa. Wtedy coś wielkiego walnęło z impetem o ścianę. Komnata zatrzęsa się w posadach, mimo że wzniesioną ją z grubego kamienia. Nidro z rezygnacją popatrzył na żyrandol, jak ciężki stalowy pierścień zawieszony na łańcuchu groźnie majta się pod sufitem.

– Skąd oni wzięli tę przekłętą piłkę? – westchnął ciężko, licząc na to, że mimo wszystko jakoś uda mu się usnąć. – W końcu... – próbował się pocieszyć – nikt nie mówił, że życie dowódcy będzie usłane różami.

Sena spała w najlepsze, kiedy zbudziło ją energiczne walenie do drzwi. Wstała z ociąganiem, jak to miała w zwyczaju, i w samej tylko bieliźnie otworzyła okute odrzwia, za którymi sterczała twarz młodziutkiego posłańca. Ten był wielce zdziwiony, gdy otworzyła mu skąpo ubrana, piękna czarnowłosa dziewczyna.

– Pali się czy co? – zapytała zaspanym głosem.

– Przynoszę dla Sari dokumenty z kancelarii – wyjaśnił zmieszany posłaniec, cały czerwony na twarzy – o oddelegowaniu do oddziału bojowego maga Nidro. – Podał jej złożoną kartkę opatrzoną woskową pieczęcią. – Przekazuję również rozkaz dowódcy, że została Sari Senie oraz Sari Kami przydzielona osobista eskorta na czas pobytu w Tamir.

– No ładnie – westchnęła dziewczyna. „Dostanę swoją wojskową nianię” – dodała w myślach z rozbawieniem.

Posłaniec wykonał formalny salut i odmaszerował korytarzem w stronę wyjścia.

– Skoro mamy być żołnierzami, to najwyższa pora, abyśmy zaczęli zachowywać się jak oni – stwierdziła filozoficznie Sena, ziewając przy tym przeciągle.

Po krótkim namyśle, ubrana jedynie w koszulę nocną, udała się do komnaty Kami. Ta jednak, ku zaskoczeniu dziewczyny, była od dawna na nogach. Przebrana w strój do ćwiczeń, z włócznią w ręku powtarzała techniki walki z cieniem. A co było jeszcze dziwniejsze, tygrys ćwiczył razem z nią, a przynajmniej tak to zinterpretował zaskoczony umysł Seny. Kot na przemian zbliżał się i odskakiwał od niej podczas wykonywania

kolejnych technik. Kiedy damy na to Kami robiła wymach włócznią do przodu, tygrys odskakiwał na bok, aby uniknąć ciosu. Gdy cofała się, z zastawą, zwierzę machało łapą przed nią w symulowanym ataku, po czym dziewczynka przechodziła płynnie do kolejnej postawy. Sena patrzyła na to wszystko z umiarkowanym zainteresowaniem. W końcu chrząknęła głośno, by skupić na sobie uwagę ćwiczących.

– Yhym, słuchajcie – powiedziała to tak, jakby oboje z tygrysem mogli ją zrozumieć. – Jesteśmy już prawie żołnierzami, a co za tym idzie, mamy swoje obowiązki. W związku z tym czeka nas dzisiaj długi, rutynowy patrol po mieście. Ale co zrobić? Taka praca. Jak to często powtarza nasz dowódca, służba w wojsku to nie zabawa.

Kami wysłuchiwała tego pseudologicznego wywodu Seny, przyłożyła włócznię do ciała, jak uczył ją Nidro, i złożyła jej krótki ukłon. Sena zadowolona, że jej odezwa trafiła na podatny grunt powszechnego zrozumienia, ziewnęła po raz ostatni i wróciła do siebie, by przyszykować się do wyjścia. Nie wiedziała wprawdzie, jakie są najnowsze trendy mody wśród kobiecej części garnizonu, dlatego po chwili wahania włożyła na siebie długą kremową letnią sukienkę, dochodząc przy tym do oczywistego wniosku, że żołnierz musi się czuć komfortowo w czasie służby, a przewiewna, letnia garderoba wydała się jej idealnym rozwiązaniem na patrol w upalnym słońcu. Dziewczyna bynajmniej nie zapomniała przy tym o formalnej konieczności noszenia munduru. Dlatego specjalnie na tę okazję na sukienkę założyła czarną skórzaną kurtę wojskową z naszywkami miejscowego garnizonu, szczególnie że akurat ta część stroju bardzo przypadła jej do gustu. Zwłaszcza, że można było do niej poprzyczepiać sporo różnego wyposażenia, a tego z kolei Sena nosiła przy sobie bez liku.

– Wreszcie mam gdzie pochować te wszystkie noże. – Ucieszyła się na widok dodatkowych skrytek i kieszeni.

Kiedy stanęła przebrana przed lustrem, do jej komnaty weszła Kami. Dziewczynka zamierzała sprawdzić sytuację na garderobianym froncie. Popatrzyła na Senę z uznaniem i porozumiewawczo puściła do niej oko.

– To co, idziemy na patrol?

Dziewczynka skinęła głową, zaraz też razem udały się do wyjścia. Nieopodal korytarza prowadzącego z ich komnat do części centralnej kompleksu czekał na nie oddział eskorty w sile pełnej dekurii. Gdy do uszu znudzonych żołnierzy dotarł narastający odgłos kroków, ci pośpiesznie przybrali postawę zasadniczą. Ich dowódca otrzymał wyraźny rozkaz, by towarzyszyć podczas pobytu w mieście żołnierzom z oddziału bojowego maga. Agoba odczuwał ekscytację na myśl o czekającym go zadaniu i cieszył się, że to właśnie jemu przypadło w udziale nawiązanie bliższej współpracy z jednostką stanowiącą niezaprzeczalną elitę wśród całej cesarskiej armii. Jakież więc było jego zdziwienie, gdy w korytarzu ukazała się filigranowa kobieta w kremowej sukience w towarzystwie małej dziewczynki przewiercającej go na wylot wielkimi, czarnymi oczami pozbawionymi białek.

– Melduje się dekurion Agoba – wykrztusił z siebie oficer, oddając im regulaminowy salut.

Zrobił to jednak po ledwo dostrzegalnej chwili wahania. Sena w odpowiedzi uniosła rękę przed siebie, jakby machała przyjaciółce na powitanie.

– Cześć, chłopaki! – zawołała po wojskowemu. – Ruszam właśnie wraz z magiem Kami na małe zwiedzanie, to znaczy na rutynowy patrol po mieście. – Wskazała jednoznacznie na niebieskowłosą istotę.

Kami, jak to miała w zwyczaju, mrugnęła do nich swoim czarnym okiem, umiejętnie budując napięcie.

– Ja rozumiem – zaczęła Sena zupełnie od rzeczy – że jesteśmy w wojsku i musimy wykonywać te... – Pstryknęła palcami w wielkim skupieniu, szukając właściwego słowa – ...zlecenia, ale... – dodała zupełnie poważnie do całkowicie zdezorientowanych żołnierzy – ...postarajcie się podczas służby, by nie deptać nam po piętach. Spróbujmy się jakoś wtopić w tłum i nie przeszkadzać sobie nawzajem w pracy.

– Tak jest, Sari! – zawołał oficer, maskując tym samym rosnące zakłopotanie.

„To musi być jakaś jednostka specjalna. Zapewne oddział do tajnych poruczeń, od razu widać, że to nie są zwykłe trepy” – myślał gorączkowo

Agoba, analizując zalewające jego umysł fakty.

Kami porozumiewawczo szarpnęła Senę za rękaw, mówiąc coś do niej szeptem.

– Ach tak – wtrąciła Sena – niemal o tym zapomniałam. Proszę podesłać kogoś z... kozą, tak, z kozą do kwater maga Kami.

– Tak jest! – zawołał służbiście Agoba.

Sena ucieszyła się, że szybko załatwiła kolejny temat z długiej listy zadań na dzisiaj. Dekurion zachował się tu jak prawdziwy zawodowiec. Nawet przez chwilę nie podjął tematu kozy w komnatach najwyższego dowództwa.

„To muszą być ludzie do zadań specjalnych albo jakieś kompletne świry” – przemknęło mu przez głowę, kiedy wysyłał posłańca po kozę.

Dziewczyny wyszły z zamku na ulicę niemal tanecznym krokiem w otoczeniu zbrojnej eskorty. Żołnierze odziani byli w identyczne kurtki, jak ta noszona przez Senę, uzbrojeni w krótkie miecze i noże bojowe. Miasto wchłonęło ich do swego krwiobiegu przez szeroką ulicę, skąd ruszyli na zachód niesieni ludzkim prądem w stronę rampy centralnej. Dekurion i jego ludzie utrzymywali słuszną odległość pięciu kroków od eskortowanej dwójki, nie dając tym samym Senie najmniejszego pretekstu do awantury. Minęli w zasadzie zaledwie jeden zakręt i znaleźli się na głównej alei trzeciego poziomu. Tam przygarnął ich charakterystyczny zgiełk wielkiego miasta. Sena i Kami przechadzały się niespiesznie i z najwyższą uwagą oglądały wszystko dokoła. Tamir mamiło jaskrawymi barwami i egzotycznymi zapachami. Tu na każdym rogu można było coś zjeść lub czegoś się napić. Popularne stały się zwłaszcza jeżdżące grille na kółkach. Niewolnik pchał taki majdan ulicą i przystawał, gdy trafił na chętnego klienta. Na licznych skwerach dosłownie roiło się od różnej maści kuglarzy, grajków, akrobatów, pieśniarzy i tym podobnych cudaków umalowanych na całym ciele i dziwacznie poprzebieranych w barwne, przyciągające spojrzenia stroje. Minęli bajkowego smoka żonglującego piłkami i lukrowanego króliczka balansującego na linie rozpiętej pomiędzy ozdobnymi drzewami. W tym jakże kolorowo poprzebieranym tłumie Kami musiała jawić się przechodniom zupełnie normalnie. W końcu, czym jest normalność, jeśli nie nieodróżnianiem się od innych. W taki oto sposób,

lawirując w tłumie dziwaków, dotarli do rampy centralnej. Tu panował niewysłowny ścisk, ludzie przepychali się, stawali w kolejkach, aby precyzyjnie się do właściwego sektora. Im na szczęście udało się tego uniknąć, gdyż szybko zostali wypatrzeni w tłumie przez żołnierzy pilnujących porządku. Dalej poszło już z górki, a w zasadzie to wręcz przeciwnie, czekała ich wspinaczka sektorem wojskowym, tyle dobrze, że najmniej zatłoczonym. Tym sposobem roniąc kilka kropel potu, dostali się na poziom piąty, najwyższej położoną część miasta lub – jak kto woli – ostatni stopień schodów. Tam jacyś sympatyczni tubylcy wskazali im drogę na ulicę Diamentową. Okazało się, że ich uroczy grubasek mieszka w jednym z najpiękniejszych zakątków Tamir. Wejście do domu kupca mieściło się przy szerokiej brukowanej ulicy przylegającej jedną stroną do okazałego placu w kształcie kwadratu. W jego środku umieszczono piękną fontannę, a na cokole ustawiono postać skrzydlatego anioła wylewającego wodę z misy do marmurowego basenu. Dookoła niej ustawiono liczne klomby z kwiatami i drewniane ławki, o tej porze zajęte przez dobrze ubranych ludzi. Ci rozmawiali jarmarcznie, śmiali się i grali w przeróżne gry planszowe oraz karciane. Najmłodsze dzieci karmiły gołębie, a dwie podobne do siebie jak kurze jajka dziewczynki sprzedawały przechodniom czerwone kwiaty.

– Jak tu pięknie – stwierdziła Sena urzeczona tym sielskim widokiem.

Po chwili zachwyt jednak minął, a ona poczuła silne ssanie w żołądku.

– Przecież dzisiaj jeszcze nic nie jadłam – zauważyła przytomnie. – Starczy tego zwiedzania – oznajmiła z determinacją w głosie. Nie po raz pierwszy już szerokie postrzeganie świata zawężył jej pierwotny instynkt głodowy.

Okrągłą kołatką uderzyła o ciężką, czerwoną furtę prowadzącą na podwórze przez wysoki, otynkowany na biało mur. Dziewczyna po pierwszej nieudanej próbie zamierzała zacząć się dobijać od nowa, gdy brama otworzyła się przed nią, a w drzwiach ukazała się znajoma uśmiechnięta twarz handlarza diamentów. Temu rozpromienił się na ich widok. W dodatku przywitał je tak wylewnie, jak gdyby sto lat się nie widzieli, albo i dłużej.

– Sena, Kami! – zawołał jowialnie, następnie obcałował je jak, dajmy na to, tygrys. – Cieszę się, że jesteście. Zachodziłem w głowę, czy sam będę musiał zjeść te wszystkie kraby?

Sena w odpowiedzi pogroziła mu palcem przed nosem.

– Wtedy ja oddać ciebie na żer do tygrys i lulu.

Na te słowa wszyscy, włączając w to Kami, wybuchnęli gromkim śmiechem. W przejściu tuż za dziewczętami nieoczekiwanie pojawił się groźnie wyglądający oficer, ten uprzejmie „poprosił”, by jego ludzie mogli wejść i sprawdzić cały dom. Temu nie miał w zwyczaju odmawiać uzbrojonym gościom, dlatego z niewymuszoną kurtuazją dobrowolnie zgodził się na kontrolę. Po rewizji, gdy formalnościom stało się zadość, żołnierze wyszli na zewnątrz, zostawiając ich na osobności.

– Co to takiego? – wyszeptał Temu konfidentycznie, wskazując gestem na ich eskortę.

– Nasza wojskowa niania – odpowiedziała mu równie skrycie Sena. – Jesteśmy teraz prawie żołnierzami, więc przydzielono nam zbrojną opiekunkę.

Kupiec ochoczo pokiwał głową, mimo że niewiele z tego zrozumiał. Jednak w trakcie ich wspólnej wędrówki zdążył przywyknąć do tego, że życie regularnie go zaskakuje, a czasem nawet przerasta. Gdy zostali sami, dziewczyny rozsiały się przy długim drewnianym stole biesiadnym, ustawionym na środku podwórza. Następnie gospodarz zniknął gdzieś za drzwiami ładnego, dwukondygnacyjnego domu. Gdy wrócił, niósł w rękach okazałą misę, na której piętrzyły się smukłe, czerwone odnóża. Dziewczyny przyglądały się im z wygłodniałym zainteresowaniem.

– Zaczekajcie chwilę! – zawołał kupiec, powstrzymując ochoczo wyciągnięte ręce. – Pokażę wam najpierw, jak taki krab wygląda w całości.

Odłożył misę na stół i ponownie zniknął im z oczu. Wrócił z niesionym oburącz ciałem morskiego stwora. Chwycił go za odnóże, a kiedy podniósł całość do góry na wysokość swojej głowy, dolne kończyny skorupiaka w dalszym ciągu sięgały ziemi. Krab był tak ciężki, że Temu aż cały się napiął, by utrzymać go w powietrzu. Dziewczyny obejrzały morskie kuriozum ze wszystkich stron.

„Dobrze, że nie wzięły ze sobą tygrysa, kotek zapewne samym machaniem ogona rozwaliby mi tu połowę obejścia” – przemknęło mu przez myśl.

– Jaki ten krab jest wielki – dziwiła się Sena. – My tego przecież sami nie zjemy.

– Tak, kraby są naprawdę duże – zgodził się z nią handlarz. – Jednak zjadamy z nich wyłącznie nogi, a mówiąc dokładniej, jedynie samo mięso z odnóży. Reszta nadaje się co najwyżej na zupę – dodał, ale jakoś bez entuzjazmu.

Temu z uwagi na to, że gościom ślina napływała do ust, z ulgą odłożył ciężkiego kraba do wiklinowego kosza ustawionego na ziemi. Wyjął za to pojedyncze odnóże z misy i włożył je w specjalną maszynkę przygotowaną wcześniej na stole. Następnie umocował kończynę w urządzeniu i opuścił metalową dźwignię.

– Trach! – rozległ się chrobot łamanego pancerza, gdy chitynowa kończyna pękła na przegubie. W miejscu złamania na wierzch wyszło białe, soczyste mięso.

– Jemy wyłącznie to ze środka. – Temu pokazał na wystający strzęp.

Sena chwyciła go palcami, a z wąskiego odnóża swobodnie wyszedł pokaźny kawał mięsa, nęcącego zmysły subtelnym zapachem. Jedzenie było wciąż ciepłe w dotyku.

– Do tego przygotowałem specjalny dodatek.

Temu wskazał ręką na pokaźną misę wypełnioną mętnym, kremowym, maślanym sosem. Po prezentacji Sena i Kami ochoczo zabrały się do łamania odnóży w maszynce. Po chwili każda z nich trzymała w ręce spory kawałek soczystego mięsa zanurzonego aż po koniuszki palców w misce z sosem. Zaczęły jeść, a na ich twarzach rozbłysła egzaltowana błogość.

– To jest naprawdę wyborne! – zawołała Sena z pełnymi ustami. – I do tego jeszcze... – przerwała jedynie po to, by przełknąć kolejny kawałek, lecz zanim dokończyła wątek, Temu, jakby czytając w jej myślach, podał im tacę z chrupiącym pszenicznym chlebem, do tego dorzucił wodę cytrynową oraz dzban białego półwytrawnego wina. – No właśnie! – ucieszyła się Sena, bezwstydnie wypychając sobie usta mięsem.

Temu posłał jej niedwuznaczny uśmiech, mówiący: nie ucz ojca dzieci robić. Sena natomiast w atmosferze wzajemnego zrozumienia poklepała go ręką po ramieniu. Chwyciła podany przez kupca kielich i wypila go duszkiem do dna. Chłodny napój w sobie tylko znany sposób poprawiał apetyt, doskonale gasił pragnienie i rozpałał skrywane w głębi serca uczucia. Odłożyła puste naczynie na stół i rozparła się wygodnie na drewnianej ławie z wyrazem ukontentowania na twarzy.

– I jak poczęstunek? – dopytywał się Temu, jednocześnie dolał Senie wina.

– To jest to – odparła zachwycona dziewczyna, sama też obserwowała, jak Kami pałaszuje swoją porcję. – Muszę przyznać, że bardzo się postarałeś.

– To drobiazg. – Temu niedbale machnął ręką.

– Zawsze wiedziałam – oznajmiła, opróżniając kolejny puchar wina – że marnuję się jako złodziejka.

– Tak, tak – przytaknął jej odruchowo, chociaż sam jeszcze nie wiedział, w jaką stronę zmierza jej wywód.

– Zamiast tracić czas na kradzieże, od razu powinnam się zaciągnąć do wojska – podjęła.

Temu rozejrzał się dokoła, jakby niepewny, czy te słowa skierowane są do niego, po czym dodał od siebie:

– No wiesz, życie handlarza diamentów też nie jest takie znowu różowe – mówiąc to, pomasaował się po wydatnym brzuchu tegoż właśnie koloru.

– Nie wyglądasz, jakbyś przymierał głodem – zauważyła rozbawiona.

– Ale to wszystko zawdzięczam tobie i Nidro – skwitował nader skromnie.

– To wy wyciągnęliście mnie z więzienia w Kenir i faktycznie dzięki tej wyprawie stałem się naprawdę zamożnym człowiekiem, a wkrótce zdobędę również zasłużoną sławę. Przejdę do historii jako Temu, zdobywca Wielkiego Lasu.

Jego słowa zabrzmiały tak patetycznie, że Sena zupełnie niezamierzenie parsknęła śmiechem.

– Co cię tak rozbawiło? – Skupił wzrok na rumianej twarzy dziewczyny i doszedł do wniosku, że ta miała już trochę w czubie.

– Nic takiego, przepraszam – odparła, wciąż się chichrając. – Przypomniałam sobie, jak się wydzieraleś, kiedy ten wąż zwałił się z drzewa.

– Przecież to było wielkie bydlę. – Temu wzdrygnął się na samo wspomnienie obślizgłego gada. – Mam zamiar wkroczyć do panteonu odkrywców jako ten, co się bał, lecz pomimo przeciwności losu wciąż parł do przodu. Napisałem w tej sprawie odpowiednie pismo do wydziału przyrodniczego tutejszego uniwersytetu, ale to dopiero początek. Myślę o wydaniu pamiętników z wyprawy, a kto wie, jak wszystko pójdzie dobrze, może niedługo powstanie sztuka teatralna poświęcona naszym przygodom. Pomyśl o tym, o implikacjach, możliwości są niewyczerpane.

– Twoje zdrowie, pajączku – rzekła ugodowo, popijając kolejny łyk wina. – Muszę ci sprawiedliwie oddać, że zagłosowałeś za wejściem do lasu. Tam na łódce to ja spanikowałam. Bałam się, że Nidro nas wszystkich pozabija. – Spojrzała mimowolnie na pałaszującą kraba Kami. – Wiesz, jak to jest, pajączku – mówiła dalej coraz bardziej pijana – czasem muszę nie mieć racji, by innym razem ją mieć.

Temu zdecydowanie pokręcił głową, co miało oznaczać, że nie ma pojęcia, jak to jest. Ale jego gest został całkowicie zignorowany. Sena tymczasem opróżniła kolejny puchar wina, przy czym z każdym kolejnym łykiem odpływała na coraz to głębsze wody umysłowego zatracenia.

– Chodzi o to, pajączku – kontynuowała i poklepała go przyjacielsko ręką po policzku – że Nidro mnie uratował i to w zasadzie sama nie wiem, ile razy z rzędu. Powiem więcej, Kami również zawdzięczam życie.

Życzliwie uśmiechnęła się do dziewczynki. Sena piła jak smok, a co gorsza, przed samą ucztą zupełnie nic nie jadła, skutkiem czego składała zdania z coraz większym trudem, przeciągając poszczególne słowa.

– Rozumiesz mnie, pajączku?

Ponownie lekko poklepała dłonią po twarzy przyjaciela. Zdezorientowany Temu dla świętego spokoju twierdząco pokiwał głową. Nie miał zamiaru wyklócać się o nieistotne drobiazgi z uzbrojoną i przez to niebezpieczną kobietą, w dodatku najwyraźniej dobrze już wstawioną.

– I właśnie do tego zmierzam, pajączku. – Jej głos stawał się coraz bardziej bełkotliwy.

Wtedy w bursztynowych oczach dziewczyny zaszklily się łzy, a Sena bez żadnego ostrzeżenia zaczęła ryczeć jak żona grabarza. Niespodziewający się niczego Temu spojrzał na nią pytająco, zabełkotał coś skonsternowany, w dodatku nie miał pojęcia, co ma z nią począć dalej. Z braku innego wyjścia, ostatecznie przytulił płaczącą złodziejkę do piersi i zaczął przemawiać do niej uspokajającym tonem:

– Wszystko będzie dobrze, Sena, zobaczysz.

Mimo wsparcia duchowego dziewczyna zawodziła równo, niczym zawodowa płaczka na pełnym etacie.

– Ty mnie rozumiesz, pajaczk, prawda? – zawyła żałośnie wtulona w jego pierś.

Temu nie pozostało nic innego, jak tylko gorliwie przytaknąć.

– Chodzi o to, że ja go kocham – wykrztusiła to z siebie w końcu.

Po tym wyznaniu Sena rozryczała się na dobre. Temu objął ją mocniej ramieniem, co miało uspokoić dziewczynę. Inna sprawa, że chyba po raz pierwszy w trakcie tej rozmowy dowiedział się wreszcie, co tak naprawdę chodziło jej po głowie. Za to puchar wina później, ku wielkiej uldze gospodarza, nastrój gościa uległ diametralnej poprawie, tkliwy balast zniknął w odmętach niepamięci, a ona sama na powrót ochoczo zabrała się za kolejną porcję kraba. Handlarz postanowił nie marnować takiej szansy i oznajmił uroczyście:

– Mam dla was jeszcze jedną niespodziankę.

Położył na stole dwie pękate sakiewki, uginające się od złotych imperiałów.

– Co to takiego? – zapytała szczerze zdziwiona Sena.

– To wasza część ze sprzedaży kamieni.

– Jakich kamieni? – dopytywała się, niczego nie rozumiejąc.

– Pamiętasz, że Derys był mi winny czterdzieści sześć diamentów, tak?

– Coś tam pamiętam – przytaknęła, popijając wino.

– A to, że za jednym razem zabrałem mu cały worek, grożąc śmiercią, jeśli nam odmówi, kojarzysz?

– Tak – odparła zaskakująco przytomnie.

– No właśnie! – ucieszył się, że dziewczyna jeszcze za nim nadaża. – A w tym worku było prawie dwieście diamentów! Wziąłem więc to wszystko, co zostało, podzieliłem równo na trzy części, ponieważ był to nasz wspólny... – zatrzymał się na chwilę w potoku wypowiedzi, by dobrać właściwe słowa – ...utarg. Tak więc po potrąceniu waszych kosztów, transportu, wyżywienia... – mówił to, szczerząc się w uśmiechu.

– Ty się ciesz, pajaczk, że ja jestem w wojsku dopiero od niedafna, i jeszcze znaaam się na szartach. Gdybyś tak powiedział do mojego dofódcy, to pewnie goniłby cię tu jakiś wodny smok z tej fontanny na placu. – Wskazała ręką niemal dokładnie w przeciwną stronę od domniemanego miejsca.

– Albo dom by mi spalił ognistym jednorożcem – podjął zgrabnie jej dowcip.

– Dokładnie tak – zgodziła się z nim ochoczo, po czym podniosła ze stołu jedną, ale za to wyjątkowo ciężką sakiewkę i schowała ją sobie do kieszeni. – Ile to waży? – zapytała zaskoczona, kiedy kurtka pod jej ciężarem przechyliła się na lewą stronę. – Tę drugą sakiewkę oddaj Nidro, on ponoć planuje przyjść do siebie wieczorem na kraba. Teraz raportuje dowódcy, co nawywijał od wyjścia na wolność. Pewnie mu tłumaczy, jak zaśekle walczył z wężem jaskiniowym w Wielkim Lesie.

Sena szybko podchwyciła nowy wątek i opowiedziała kupcowi cały przebieg walki, żywo przy tym gestykulując za pomocą mięsa kraba i chleba. Gdy skończyła gastronomiczną wizualizację starcia, zjadła z apetytem zarówno węża, jak i maga, a na koniec popiła wszystko białym winem. Choć akurat ten rekwizyt odnosił się do całkiem innej przygody. Mówiła coraz bardziej nieskładnie. Piła, a potem znowu jadła i jeszcze więcej piła, aż wreszcie powiedziała:

– Dośść, śekujemy, hikap, za miłą wyżerkę, hikap. Czszkafka mnie dopadła – mówiąc to, Sena zachwiała się lekko na nogach. – Choś Kami, jessztesmy w wojsku i mamy kupę kasy – mamrotała niezrozumiale pod nosem. – Więś isemy, pora is na patrol, choś na zakupy.

Nieźbornie wstała z ławy i demonstrując zupełny brak koordynacji, wytoczyła się na ulicę, spektakularnie przeleciała przy tym przez bramę.

I wyłącznie niezwykła przytomność oraz niezawodny refleks stojącego za nią oficera ocaliły ją przed roztrzaskaniem się na jedynym stopniu feralnego przejścia. Kami troskliwie chwyciła niedysponowaną koleżankę za ramię z drugiej strony, by ta mogła kroczyć o sześciu nogach, co przynajmniej doraźnie pozwoliło jej odzyskać pion.

– Hikap, Goba? – wymamrotała do dekuriona.

– Tak, Sari? – zapytał zupełnie poważnie oficer.

– Iśemy na targ, gśe mają nosze.

– Nie bardzo rozumiem, Sari.

Oficer rozłożył ręce i chyba pierwszy raz tego dnia nie wiedział, co robić dalej. Co gorsza, nie miał pojęcia, co regulamin przewiduje w tak nietypowej sytuacji. Wychodzi na to, że poziom trudności zleconego mu zadania zaczął właśnie szybować ku słońcu.

– Iśemy na targ, gśe mają nosze, przeciesz mófię – powtórzyła, podkreślając każde wypowiedziane przez siebie słowo.

Niestety dekurion, pomimo tej jakże jasnej i precyzyjnie wyartykułowanej podpowiedzi, wciąż stał, niezdolny do jakiegokolwiek reakcji, a w jego wąskich żrenicach tliły się dwa znaki zapytania. Na szczęście w sukurs przyszła mu Kami. Dziewczynka odsunęła połę kurtki Seny i wskazała gestem na nóż do rzucania. Oczy dekuriona błysnęły zrozumieniem, a jego umysł dokonał natychmiastowej interpolacji.

– Na targ z nożami, tak jest! – odpowiedział służbiście, lecz z cieniem ulgi w głosie. – Może... – zaczął niepewnie, łypnął dyskretnie, jak Sena zatacza tułowiem nierówne kręgi w miejscu – ...może pojedziemy buntą – zaproponował, gdy myśl skryształizowała się w jego głowie.

– Śfietny pomysł – przyjęła przez akłamację „zmęczona” dziewczyna.

Agoba postanowił przekuć ideę w czyn, a ponieważ nie zwykł tracić czasu, niezwłocznie wysłał żołnierza, by ten sprowadził jakąś buntę z głównej ulicy. Wkrótce obie niewiasty wsiadały na kołową przyczepkę z siedzeniem dla czterech osób, ciągniętą przez dwóch bunciarzy, po jednym z przodu i z tyłu pojazdu. Rośli mężczyźni chwycili za drewniane uchwyty i ruszyli dziarskim krokiem w stronę rampy. Obaj nosili niewolnicze tatuaże na odsłoniętych ramionach. A ponieważ ich droga wiodła rampą w dół,

szybko i sprawnie pokonali całą trasę. Zjechali na drugi poziom miasta, gdzie skręcili na zachód w stronę wielkiego targu. A gdy dotarli na miejsce, okazało się, że Sena od dawna śpi w najlepsze, rozparta na dwuosobowym siedzeniu, pochrapując cicho. Dobrze, że była z nimi Kami, bo po kwaśnej minie Agoby można wnosić, że oficer nie wiedziałby, co ma z tym fantem zrobić. A tak, dziewczynka szarpnęła Seną bez żadnych skrępow. Tarmosiła złodziejką jak workiem ziemniaków, żeby ta po kilkunastu energicznych próbach w końcu wbiła w nią nieprzytomne spojrzenie.

– So? – zapytała nieswoim głosem.

– Noże – odpowiedziała Kami.

– Jakie nosze? – Sena patrzyła na nią ze zdziwieniem dopiero co wyklutego pisklaka.

Wreszcie, gdy rozejrzała się wkoło, z pełnym niedowierzaniem stwierdziła, że znajdują się na targu z bronią. Co prawda, broni w garnizonie nie brakowało, ale ponieważ złoto w kieszeni paliło ją coraz bardziej, a Sena nie otaczała się innymi zbytkami, postanowiła wydać pieniądze na to, co lubi najbardziej. Zresztą, wojsko miało głównie sztylety i noże bojowe, a te, choć funkcjonalne, były proste i toporne, zupełnie pozbawione polotu, a ona potrzebowała czegoś z klasą. Sena nie potrafiła ukryć zdziwienia faktem, że znaleźli się w tym właśnie miejscu. Choć po prawdzie minę miała równie zaskoczoną, co zadowoloną. Najwidoczniej ni w ząb nie pamiętała, że jeszcze nie tak dawno sama kazała się tu przywieźć. Kami, po ocuceniu koleżanki, zeskoczyła z buntury na ziemię i ruszyła ochoczo oglądać stragany z bronią. Sena próbowała powtórzyć jej wyczyn, lecz zamiast tego zwyczajnie i nie po żołniersku zwała się na ziemię. Podniosła się wprawdzie niebawem, choć z widocznym trudem, a przynajmniej tak jej się wtedy wydawało. Niestety, umknęło jej uwadze, że to Agoba w ostatniej chwili zamortyzował jej upadek, chwyciwszy ją za prawe ramię. Kiedy z głośnym westchnięciem podniosła się z kolan, zaczęła na nowo nabierać pędu. I tak raz wprawiona w ruch jak niesiony sztormem grzywacz wpadła do pierwszego lepszego straganu z brzegu. Tam, z trudem łapiąc równowagę, zaczęła z pasją godną furiata oglądać dosłownie wszystko, na czym zdołała skupić wzrok lub co zupełnym przypadkiem wpadło jej w ręce po drodze.

Zachowywała się, jakby była niewidoma i wszystkiego musiała dotknąć. I tak od pierwszego pochwycenia spodobały jej się gwiazdki do rzucania, a było ich tutaj ze sto różnych rodzajów. Od trójramiennych z prostymi, krótkimi ostrzami, do sześcioramiennych z ostrzami zakrzywionymi niczym sierpy. Dziewczyna oglądała wszystko jak leci. W pewnej chwili postanowiła rozejrzeć się za jakimś sprzedawcą i ujrzała ją – ogorzałą, przerażoną twarz kupca, który zobaczył oczami wyobraźni, jak jego całe stoisko z bronią wywraca się z trzaskiem na ziemię.

„Tylko nie to, dopiero co skończyłem to wszystko rozkładać” – pomyślał zirytowany handlarz bronią.

– Poproszę tarcze do szucania – wybąkała do niego nieskładnie, oparłszy się rękami o stragan.

Handlarz podbiegł do dziewczyny jak oparzony, złapał ją mocno za ramię i pociągnął na zewnątrz stoiska z nieskrywanym zamiarem pozbycia się kłopotliwego klienta. Następnie chwycił Senę oburącz za kurtkę i zapewne szykował się do efektownego rzutu opojem w dal, gdy zatrzymał go w miejscu zimny chłód stali pod szyją. Kupiec zesztyniał momentalnie. Łypnął na bok i kątem oka dostrzegł sylwetkę oficera armii cesarskiej, w dodatku w jego stronę, zaalarmowani zdecydowaną reakcją dowódcy, dobiegali właśnie kolejni żołnierze.

„Co tu się dzieje, do ciężkiej cholery?” – pomyślał zbity z tropu handlarz.

Zamrugnął powieką, gdy jego umysł przechodził pośpiesznie na tryb awaryjny. Postanowił wykorzystać swój ostatni atut, czyli fakt, że wciąż żyje, i dlatego ponownie, lecz tym razem z większą atencją, przyjrzał się Senie, następnie długo wodził nierozumiejącym wzrokiem to na oficera, to znów na dziewczynę. Przygryzł wargę, gdy dotarło do niego, że trzyma ją za charakterystyczną wojskową kurtkę, w dodatku obszytą jeszcze bardziej charakterystycznymi naszywkami miejscowego garnizonu. W jednej chwili wszystko ułożyło mu się w głowie, a na twarzy kupca zaszły wyraźne zmiany. Stężełe dotąd oblicze wygładziło się jak skorupa jajka, a on sam niezwykle delikatnie odstawił Senę na bok, zrobił to w taki sposób, jakby dopiero co pomógł jej podnieść się z ziemi. W odpowiedzi na tak jaskrawy gest dobrej woli Agoba schował miecz i odstąpił na bok, choć w dalszym ciągu nie

spuszczał z handlarza surowego spojrzenia. W tym samym momencie Sena wyjęła z kieszeni nabrzmiałą sakiewkę, a w powietrzu poniósł się charakterystyczny odgłos, jaki wydaje naprawdę gruba gotówka. Na dźwięk szlachetnego kruszcu kupiec przeżył prawdziwe nawrócenie i odrodził się na ich oczach pod postacią oddanego mamonie pielgrzyma. Nowe wcielenie handlarza zaczęło się Senie kłaniać w pas i kordialnie zapraszać ją do środka, jednocześnie wywołując kogoś na zapleczu z tarczą do rzucania. Kupiec artykułował głośno każdą wypowiedzaną sylabę:

– Przynieś tę naj-wię-kszą! Może podać coś do picia? – potulnie zwrócił się do dziewczyny, na co dekurion kategorycznie pokręcił głową. – To może wody? – Handlarz spróbował z innej strony. Teraz dwoił się i troił, żeby zatrzeć pierwsze złe wrażenie.

– Tak, poproszę – wymamrotała nieskładnie.

Ledwo to powiedziała, a kupiec podbiegł do stolika, gdzie stała karafka z wodą. Tak się przy tym spieszył, że o mało co zębów po drodze nie zgubił. Nabity stalowymi mięśniami niewolnik ustawił ogromną tarczę do rzucania pośrodku niewielkiego placu za straganem. Była to najpewniej największa tarcza, jaką kiedykolwiek skonstruowała ludzkość.

– Bezpieczeństwo przede wszystkim – antycypował z rozbawieniem bieg wydarzeń Agoba.

W międzyczasie Kami udało się zgromadzić na rękach prawie pół straganu. Ruszyła obładowana z ekscytacją wymalowaną na twarzy godną rozweselonego szczeniaczka, znosząc do koleżanki wszystko to, co wpadło jej w oko. Wkrótce przed napalonymi klientkami zaległa cała masa najróżniejszego żelastwa. Wtedy obie, po raz chyba piętnasty, poczęły to wszystko oglądać od nowa. Podrzucały sobie noże w dłoniach, obracały je w palcach, a także oglądały pod światło, dosłownie pełna analiza z organoleptyczną włącznie. Nagle sprzedawca kątem oka dostrzegł jakiś ruch. A gdy odwrócił głowę, by przyjrzeć się uważniej, zobaczył, jak mała dziewczynka o chabrowych włosach rzuca ośmioramienną gwiazdką prosto w sam środek tarczy. Jednak to nie jej celność zrobiła na nim największe wrażenie, ale to, że ona nawet nie patrzyła uważnie, gdzie kieruje broń. Zrobiła to tak jakby od niechcienia, jednocześnie w tym samym czasie

oglądała coś zupełnie innego na kupie pozostałych skarbów. Ot tak sobie nią rzuciła i zaczęła przebierać dalej. Sena dojrzała gdzieś piękne noże do rzucania, imitujące ozdobne szpile do włosów, wysadzone szlachetnymi kamieniami. Rzuciła nimi w tarczę, naprzemiennie zmieniając przy tym rękę. Wszystkie ostre jak brzytwa szpile wbiły się w cel tuż obok gwiazdki Kami.

– To mi się podoba – wymamrotała ukontentowana dziewczyna i od nowa zaczęła przebierać w stercie broni.

Handlarz spojrzał na oficera ze zdumieniem wymalowanym na zdeorientowanym obliczu, ale ten nic nie dał po sobie poznać i zachował kamienną twarz. Ponownie świst powietrza wywołały trzy stalowe dyski, posłane jeden za drugim. Ich śladem podążyły dwa noże rzucone oburącz jednocześnie i jak poprzednio wszystkie utkwily w pobliżu środka tarczy. Kami wypatrzyła dla siebie skórzany pas biodrowy z zestawem noży różnej wielkości. Wkrótce wyrzuciła je wszystkie z taką szybkością, co biegiem. Zrobiła to tak błyskawicznie, że handlarz zdążył wymówić jedynie:

– O, w mordę kopany, co to są za ludzie?

I dopiero, gdy uważniej przyjrzał się Kami, zdał sobie sprawę z tego, że najwyraźniej źle zadał ostatnie pytanie. Dwie nietuzinkowe klientki jeszcze przez chwilę rzucały sobie od niechcenia do tarczy, zanim ostatecznie zaczęły wybierać broń, pokazując handlarzowi palcem to wszystko, co im się spodobało. To, to i to, i jeszcze tamto. Ten pakował w ferworze wszystko jak leci, zgodnie z życzeniem klientek, cieszył się co niemiara, że te dwa dziwolągi zrobiły u niego zakupy dla całego oddziału asasynów. Z taką ilością broni równie dobrze można by uzbroić po zęby trzydziestu zabójców. Handlarz zacierał z satysfakcją ręce. Na koniec wystawił im ciężką paczkę, którą sam ledwo dał radę unieść. Za wszystko policzył sobie bagatela dwadzieścia złotych imperiałów.

„Ale utarg! A ja takiego dobrego klienta chciałem jak ostatni dureń ze składu wyrzucić” – łajał się w myślach.

Sena zapłaciła mu lekką ręką i bez słowa pożegnań wdrapała się z powrotem na buntę.

– Jeśiemy do zamku – oznajmiła bunciarzom, a ci ruszyli posłusznie we wskazanym kierunku.

Widząc odjeżdżającą buntę, Agoba zareagował błyskawicznie. Podeszedł do handlarza, odebrał od niego zakupy i na tyle służbowo, na ile zdołał, przekazał je podkomendnym. Zaraz też ruszył za odjeżdżającą buntą.

Nidro kończył składać raport w gabinecie namiestnika prowincji i przyglądał się, jak trzech skrybów jednocześnie zapisywało każde jego słowo.

„Ciekawe, czy jak mówię yyyyy lub mhy, to też to notują w raporcie” – zastanawiał się bezwiednie.

Waldir słuchał go uważnie, w nieprzerwanym skupieniu, czasem zadał mu jakieś pytanie, kiedy chciał się o coś dopytać, ale robił to niezwykle rzadko. Jednak z każdym kolejnym wypowiedzianym przez Nidro słowem jego usta rozwierały się bezwiednie, a oczy rozszerzały wydatnie, co upodabniało go do kogoś z Ludu. Gdy raport dla dowództwa armii został skończony, Waldir wziął do ręki artefakt. Obejrzał go uważnie z każdej strony, zanim zdecydował, że należy go niezwłocznie na sobie wypróbować. Musiał się wszak upewnić, czy bransoletka jest autentyczna. W tym celu jego adiutant zapytał go o ulubiony kolor. Waldir zamierzał go zwyczajnie okłamać, ale wbrew sobie powiedział:

– Zielony – własne słowa odebrał z nieskrywanym zdziwieniem.

Potem długo i z niejakim szacunkiem wpatrywał się w artefakt. Kiedy skończył, schował bransoletkę do ściennego sejfu.

„Pewnie jemu jakiś punkcik też za to wpadnie” – zastanawiał się Nidro, obserwując rutynowe działania przełożonego.

Wielki mag podrapał się ręką po głowie i dopiero po dłuższej chwili przemówił:

– Nasz Cesarz albo od razu cię awansuje, albo na miejscu zabije. – Roześmiał się rubaszenie, pokazując mu garnitur białych zębów. – Dzięki tobie dowiedziałem się właśnie, dlaczego adeptów odbiera się prosto z klasztoru po zakończeniu szkolenia – mówił dalej z wyraźnym rozbawieniem. – Żeby się nie wpakowali w taką kabałę jak ty, he he. Przyznam ci się, że mnie samemu trudno jest uwierzyć w całą tę historię.

Gdyby nie ten tygrys – zaczął wyliczać na palcach – artefakt i ta twoja niebieskowłosa dziewczynka.

– Kami – odpowiedział mu Nidro.

– No właśnie, Kami, to bym w to nigdy, przenigdy nie uwierzył. Nie dość tego, za obronę miasta Meana i to w dodatku bez uprzedniego rozkazu, za zdobycie statku piratów i sam Bóg Słońce wie co jeszcze, dostaniesz tyle punktów, że cała Wielka Rada łącznie z samym Konsulem nie uzbiera więcej od ciebie. No nic, gratuluję ci bohaterskiej postawy. – Waldir klepnął Nidro przyjaźnie w ramię. – Ty i twoi... – zawahał się na moment – ludzie właśnie przeszliście do historii jako wielcy odkrywcy. Trudno mi sobie wyobrazić lepszy początek służby. Udowodniłeś, że jako żołnierz nie piętrzysz trudności, potrafisz działać samodzielnie, a co najważniejsze, twoje działania są wyjątkowo skuteczne. Zaimponowałeś mi, Nidro, dlatego będę z tobą zupełnie szczery. W ciągu ostatnich kilku miesięcy sytuacja w Cesarstwie zmieniała się jak w kalejdoskopie, o czym sam zresztą miałeś okazję naocznie się przekonać. Na pewno słyszałeś pogłoski, że pół roku temu doszło do załamania naszej ofensywy na Kontynencie Wolnych Ludzi.

– Czy to prawda? – zapytał Nidro, on sam od dawna chciał się tego dowiedzieć.

– Niestety tak – potwierdził Waldir. – Z nie do końca znanych nam przyczyn siły cesarskie zaczęły przegrywać bitwę za bitwą i jedynie trzy ocalałe legiony wróciły po przegranej kampanii do Oka Świata. W ten sposób upada pierwszy klocek domina, ciągnąc za sobą kolejne. Na wieść o naszej klęsce Libertyni pojmami do niewoli wznieśli powstanie na kontynencie Genea i tam w dalszym ciągu trwa lokalna wojna domowa. Jakby tego było mało, ty przyprowadzasz mi wyrośniętego mutantą z psim pyskiem, który waży tyle samo, co mleczna krowa, i twierdzisz, że jest więcej takich dziwolągów. Zastanawia mnie fakt, że ci cali „Wyniesieni” uaktywnili się akurat teraz. Niezaprzeczalnie dysponują bardzo nowoczesną i unikatową bronią. A to pozwala im bez większych przeszkód łupić nasze, choćby i świetnie chronione, konwoje. Można śmiało powiedzieć, że imperialna flota jest bezsilna w starciu z takim przeciwnikiem. Nie dajmy sobie wmówić, że to są jedynie piraci, jak romantycznie nazywają ich ludzie.

Żeby zbudować taki okręt, potrzebne są zespół inżynierów, odpowiednie zaplecze naukowe i techniczne. Potrzeba wielu lat starań, by stworzyć tak zaawansowaną konstrukcję. Tylko głupiec zlekceważyłby takiego przeciwnika. Smutna prawda jest taka, że niewiele wiemy zarówno o samych Wyniesionych, jak i o ich technologii. Ten świat, Nidro, zmienia się na naszych oczach. Cesarstwo nie przegrało żadnej kampanii od setek lat. Wszyscy musimy się powoli oswoić z myślą, że stare, dobre czasy nigdy już nie wrócą. Ja to wiem i ty to wiesz, a przynajmniej jesteś oswojony z tą myślą. Niedługo także Wielka Rada to zrozumie. Mamy w kraju coraz mniej bojowych magów, a coraz więcej zagrożeń.

Waldir zaczął się niespiesznie przechadzać po gabinecie, co pomagało mu uporządkować niesforne myśli w głowie.

– Gdybyś się wtedy nie pojawił przypadkiem w Meana, Wielki Kapłan z pewnością odciąłby nas od kontynentu Rubież. Wyłącznie ślepy traf sprawił, że jego plan się nie powiódł. W odpowiedzi na rosnące zagrożenie spodziewam się, że na dniach Cesarz wyśle na Rubież legion pacyfikacyjny. To tylko kwestia czasu, kiedy i tu rozpęta się prawdziwa wojna.

Nidro nie odzywał się ani słowem i jedynie śledził wzrokiem przechadzającego się po gabinecie Waldira. Sam dobrze wiedział, jak to jest, gdy dopiero co ułożony naprędce plan wali się na całej linii. Wielki mag wyjaśniał dalej:

– Dlatego, podsumowując całą tę sytuację, chciałbym cię prosić, abyś coś dla mnie zrobił, skoro i tak znalazłeś się w Tamir. Wiem, że powinienes się pilnie zgłosić w Tarnau i zameldować przed Konsulem, jednak na razie, przynajmniej czysto formalnie, nikt o tobie nie wie. Trochę to jeszcze potrwa, zanim dowództwo otrzyma ten raport. Nawet wysłany dzisiaj łodzią latającą będzie szedł do stolicy co najmniej pięć dni. Uznajmy więc, że jesteś obecnie bojowym magiem bez oficjalnego przydziału, a przynajmniej taką wersję przedłożę Konsulowi. – Uśmiechnął się szelmowsko, wbijając w niego łobuzerskie spojrzenie. – Widzisz, Nidro, po tym, co zmagistrowałeś do tej pory, nasi przełożeni będą cię całować po pupie jak samego Boga Słońce zstępującego z nieba, a po przyjeździe do Tarnau czeka cię niechybnie awans na wielkiego bojowego maga. Gwarantuję ci to – dodał w odpowiedzi na

zdziwione spojrzenie młodzieńca. – Ja mam pod swoimi rozkazami jednego bojowego maga do pomocy, w dodatku musiałem wysłać go na misję, z której do tej pory nie wrócił. Dosłownie dzień przed twoim przyjazdem dostałem od Konsula niezwykle ważne zadanie, powiedziałbym nawet, że priorytetowe. Ale sam, jak rozumiesz, nie mogę się go podjąć. Nie wolno mi pozostawić miasta bez odpowiedniej ochrony. Na domiar złego, przez tę całą zawieruchę w kraju kompetentnych i dostępnych ludzi jest jak na lekarstwo, a przecież nie do każdego zadania można posłać regularne oddziały. Dlatego chciałbym cię prosić, abys razem ze swoim oddziałem wykonał rozkaz Konsula. Tak, dobrze słyszałeś, prosić – podkreślił swe ostatnie słowa Waldir, widząc zakłopotaną twarz chłopaka. – Po tym, co nawywijałeś w Wielkim Lesie, zaraz każą mi zamawiać kolejny kamień na posąg do alei chwały. Tak, tak, wiem, co mówię. A ja nie mam zamiaru z kogoś takiego sobie robić wroga. Przedstawiłem ci moją sytuację najlepiej, jak umiałem, i proszę cię o przysługę. Jeśli się nie zgodzisz, to odeślę cię rurą do Tarnau i jutro wieczorem będziecie w stolicy. Co ty na to?

– Zgadza się – odparł Nidro pewnym siebie głosem.

Waldir rozpromienił się na te słowa.

– Jeszcze nawet nie wiesz, czego dotyczy rozkaz.

– Nie, nie wiem – przyznał Nidro – ale ja też nie chcę sobie robić wroga z Saru. Poza tym rozumiem, że w tej chwili nie ma się kto zająć tym zadaniem.

Waldir pokiwał głową z uznaniem, intensywnie wpatrując się w młodzieńca.

– Słuchaj więc. – Wskazał ręką na mapę kontynentu rozłożoną na masywnym drewnianym stole pośrodku pomieszczenia. – Tu znajduje się twierdza wulkaniczna Tomio. – Pokazał niewielki punkt na mapie. – A tutaj jest kolejna, Kanan. – Przesunął palec w lewo od pierwszej lokalizacji. – Jak zapewne wiesz, pomiędzy nimi rozciąga się potrójny mur obronny z litego kamienia. My jesteśmy tutaj. – Wskazał znacznik z napisem Tamir. – Całą tę sieć umocnień od Tomio do Tamir zamykamy szczelnie północno-zachodni kraniec kontynentu. W tym miejscu znajduje się miasteczko Nibben. – Wskazał punkt mniej więcej pośrodku trójkąta wyznaczanego

przez trzy wymienione uprzednio twierdze. – Dostałem wiadomość od głównodowodzącego, że wszyscy mieszkańcy miasteczka zniknęli bez śladu.

– Jak to zniknęli? – zapytał równie zaskoczony, co podekscytowany Nidro.

– No właśnie nie wiadomo. – Waldir rozłożył bezradnie ręce. – Twoje zadanie będzie polegało na tym, by się tego dowiedzieć. Musimy zrozumieć, co tam się tak naprawdę stało. To jest nasze wewnętrzne terytorium, dobrze chronione za murem, a z opisu wynika, że nikt niczego nie widział, a przecież na murach nieustannie trzymamy strażę. Wszystko jest doskonale chronione i wróg, ktokolwiek by nim był, nie ma jak się prześliznąć. Rozejrzyj się po okolicy i zobacz, co uda ci się ustalić. To nie jest normalne, że kilkaset osób znika nagle bez śladu. Ty dysponujesz ponadto bojowym orłem, co może bardzo pomóc w poszukiwaniach. Dowiedz się po prostu, co się stało z tymi wszystkimi ludźmi.

– Kiedy mam ruszać? – zadał pytanie, na które dobrze znał odpowiedź.

– Jak najszybciej – odparł Waldir zgodnie z oczekiwaniem. – Zgłosisz się jutro na uniwersytet do Wydziału Sił Burzy. Tam spotkasz się z badaczem Amonem, to bardzo zdolny mag użytkowy. Tak się właśnie składa, że on ma jutro lecieć do Kanan po nowe kule z wulkanicznego szkła. Ty i twoi ludzie zabierzecie się z nim na pokładzie łodzi latającej. Samo odebranie przesyłki nie zajmie wam wiele czasu, a w drodze powrotnej Amon podrzuci was do Nibben i będzie oddany całkowicie do twojej dyspozycji. Chcę, byś z nim poleciał jeszcze z jednego powodu. Amon otrzymał duży grant od Cesarza, a w zasadzie dostał go jego zespół badawczy z naszego uniwersytetu. Chcę, byś się uważnie przyjrzał ich pracom. Ten projekt może się okazać kluczowy dla obronności Cesarstwa. Napisałem także wniosek w tej sprawie. Prosiłem o zwiększenie zakresu prac oraz o przydział dodatkowych osób do zespołu badawczego. Sam osobiście jestem wielkim zwolennikiem rozbudowy flotyli łodzi latających nowego typu, lecz Wielka Rada w całej swej skostniałej zachowawczości uznała, że zaangażowanie państwa na obecnym poziomie jest zupełnie wystarczające. Instytut Burz prowadzi wprawdzie liczne badania, ale takim tempem prace zajmą jeszcze wiele lat, a my potrzebujemy nowych rozwiązań na wczoraj. Popatrz tylko na ten okręt piratów. Żeby skutecznie walczyć z czymś takim, musimy dysponować nowoczesną bronią.

Jestem bardzo ciekaw twojej opinii. Zresztą niedługo sam się przekonasz, że to krok we właściwym kierunku.

– Oczywiście, zrobię, co w mojej mocy – potwierdził Nidro z wrodzonym optymizmem.

– W takim razie do zobaczenia po powrocie. Gdyby tobie lub twoim kompanom czegoś brakowało, przekaz zapotrzebowanie do kancelarii garnizonu. Postaramy się was wyposażyć we wszystko, co uda się zorganizować w tym krótkim czasie, jaki nam pozostał.

– Na pewno tak zrobię – lapidarnie skwitował Nidro i przyłożył prawą pięść do piersi.

Waldir odpowiedział mu tym samym, kończąc jednocześnie ich naradę. Nidro w pośpiechu wychodził z kwater dowódcy, a gdy znalazł się na korytarzu, od razu ruszył w stronę wyjścia z twierdzy.

„Trzeba w końcu spróbować tego kraba, skoro niebawem mamy wyruszać w drogę” – powiedział w duchu i poklepał się dłonią po pustym brzuchu, jednocześnie przyspieszył kroku.

Sena obudziła się ze strasznym bólem głowy. Rozejrzała się po komnacie, na szczęście dzbanek z wodą stał na stoliku nocnym. Najwidoczniej ktoś o wyostrzonej prekognicji zostawił go tu dla niej.

„Nie ruszam się dzisiaj z łóżka” – zamajaczyła samotna myśl w jej głowie, gdy odłożyła osuszony do dna dzbanek z powrotem na blat tuż obok.

Nagle pokojem wstrząsnął odgłos pukania do drzwi. Sena stęknęła cicho z dezaprobatą. Z trudem uniosła się z miękkich piernatów, zanim równie wolno, co chwiejnie ruszyła w stronę wejścia, niemrawo powłócząc nogami. Była oczywiście w samej koszuli nocnej, w której – nie wiedzieć jak – wczoraj się znalazła.

– Czego tak walisz?! – zawołała, jednocześnie ciągnąc drzwi za klamkę. Rozwarła je na oścież. Spodziewała się ujrzeć posłańca z nowymi rozkazami, natomiast za drzwiami przywitała ją uśmiechnięta twarz Nidro. Sena, nie wiedząc, jak ma mu ściągnąć ten głupawy uśmieszek z twarzy, powiedziała po prostu:

– I co się tak szczerzysz?

– Uśmiecham się do ciebie – powiedział zupełnie niezrażony jej złym humorem Nidro, jednocześnie wpatrywał się w rozwichrzone włosy dziewczyny. – Jak forma? – spytał bez ceregieli.

– Słabo – wybąkała zgodnie z prawdą.

– Właśnie widzę, że zostałeś wczoraj ciężko ranna na „patrolu”.

Omiótł wzrokiem wnętrze komnaty, lustrując przy tym dłużej dzbanek z wodą.

– Cztery rany śmiertelne – potwierdziła dziewczyna, nawet spróbowała się uśmiechnąć, ale wyszło jej to mało przekonująco.

– Słuchaj, Sena, wyślę do ciebie kogoś z lekarstwem i jak... – przerwał nad doborem słów – ...wyzdrowiejesz, to zacznij się szykować do drogi.

– Dzisiaj do drogi? – spytała załamującym się głosem. Przecież była ciężko chora i powinna leżeć w łóżku, a ten znowu zamierzał wpakować ją w jakieś nowe kłopoty. Bo że właśnie do tego zmierzała cała ta mentorska pogadanka, to mogła być bardziej niż pewna.

– Tak, zgadza się – odparł sucho Nidro. – Mamy robotę. Pamiętasz? Rozmawialiśmy o tym wielokrotnie, że służymy w armii cesarskiej.

– Nidro, ja naprawdę nie dam rady. – Sena miała minę zbitego zwierzaka.
– Jestem taka chora, a może nawet ranna.

– Ranna? – Nidro roześmiał się szczerze rozbawiony.

– Tak, ranna – powtórzyła z przekonaniem. – Wczoraj dokonałyśmy z Kami zwiadu na obcym dla nas terytorium i zostałam ranna w trakcie służby. Albo nie – niespodziewanie zmieniła swoje zeznania – zostałam otruta przez nieprzyjaciela, a ty, zamiast mnie ratować, pisałeś jakieś tam raporty.

– Dobra, dobra – podsumował Nidro – uznajmy, że zostałeś ranna. Może następnym razem po prostu się wycofasz, zamiast walczyć z przeważającymi siłami wroga. Tak czy siak, żadne chorobowe nie wchodzi w grę. Przyślę ci posłańca z lekarstwem, a jak to nie pomoże – zawiesił głos, miał tu oczywiście na myśli, jak lekarstwo wyjdzie bokiem – to coś poczarujemy – dodał i uśmiechnął się do niej z politowaniem. – Ja w każdym razie muszę się udać na uniwersytet, aby załatwić dla nas transport, i chciałem się upewnić, że dasz radę chodzić o własnych siłach. Pewnie ucieszy cię fakt –

podjął po chwili namysłu – że armia postanowiła spełnić twoje marzenia i wysyła nas na misję specjalną na pokładzie łodzi latającej. – Wyciągnął otwartą dłoń przed siebie i zaczął nią poruszać na boki, tuż przed bladą twarzą dziewczyny. Wykonywał nią przy tym rozmaite ewolucje. – Polecimy do góry i na dół, w lewo i w prawo.

Senie już od samych gestów robiło się niedobrze. Nidro spostrzegł, jak dziewczyna zamiera w nienaturalnym bezruchu i jednocześnie wstrzymuje oddech. Dlatego asekuracyjnie wykonał dwa kroki do tyłu, tak na wszelki wypadek. Po pełnej napięcia chwili kolory wróciły, a Sena odzyskała kontrolę nad własnym ciałem.

– Jesteś zwykłym sadystą! – warknęła na niego z irytacją, gdy wreszcie doszła do siebie, to powiedziawszy zatrzęsła mu drzwi przed nosem.

Nidro stał tak przez chwilę skonsternowany przed zamkniętymi drzwiami. Jego ręka mimowolnie powędrowała w stronę klamki, lecz wtedy się zawahał.

– Nie, lepiej nie – powiedział sam do siebie. – Jestem nieuzbrojony, a cholera wie, co ona trzyma pod poduszką.

Błyskawicznie rozważył wszystkie za i przeciw, dokonał niezbędnej analizy ryzyka, a potem odwrócił się na pięcie i ruszył do wyjścia.

„Lepiej rozejrzę się na uniwersytecie”, skonstatował w duchu na odchodnym.

Wtedy też bezzwłocznie udał się tam, gdzie miała się rozpocząć ich kolejna przygoda.

Epilog

Port Ostia

Wpierw umysłowo, a potem fizycznie ludzie zapadają się w trzewiach własnych pragnień, tylko po to, by się obudzić, kiedy jest już za późno. – Łombat z Tarnau

Niedobitki cesarskiej armii okupacyjnej powracają do Oka Świata. Po przegranej bitwie pod Darwą naczelne dowództwo, chcąc ocalić zdziesiątkowane oddziały, zdecydowało wycofać się z okupowanych ziem. Do tej pory w trakcie trwającej kontrofensywy Wolnych Ludzi przeważająca część sił lądowych została rozbita, przez co dalsza walka wydała się zupełnie daremna. Jedynie flota ostała się w nienaruszonym stanie, co pozwoliło szybko i bezpiecznie ewakuować na kontynent centralny ostatnie ocalałe legiony. W ten sposób po dwudziestu latach nieustających walk kończyła się zbrojna kampania przeciw Libertynom.

Dowodzący powracającą armią liktor Nandu przypłynął do kraju na pokładzie okrętu flagowego Szkwał na czele wielkiej armady. Z przeszło stu tysięcy żołnierzy, jacy służyli pod jego komendą jeszcze zaledwie pół roku temu, do Oka Świata powróciło niecałe czterdzieści tysięcy ocalałych. Ta kampania okazała się największą klęską wojsk cesarskich w całej nowożytnej historii.

Wielka armada wpływała do portu Ostia, najbardziej na południe wysuniętego miasta na kontynencie centralnym. Nandu z pokładu okrętu nadzorował cały proces rozładunku. Wpatrywał się nieobecny wzrokiem, jak kolejne statki cumowały na nadbrzeżu, gotowe, by zdesantować ładunek ludzi i sprzętu na brzeg. Wielu z powracających żołnierzy odniosło poważne rany w walce i nieprędko powróci do czynnej służby wojskowej.

– To koniec, przyjacielu – powiedział Nandu, zapatrzone na oczekujące w kolejce okręty do rozładunku.

– Koniec kampanii? – dopytywał zaskoczony oficer.

– Koniec wojny, koniec podbojów, koniec mojej kariery, to koniec przez wielkie „K”.

– Nie możesz się obarczać winą za wszystko. – Oficer starał się jakoś pocieszyć Nandu. – Wróg uzyskał nad nami przewagę i świetnie ją wykorzystał. Wolni Ludzie mają teraz nową broń, a ta całkowicie zmienia sytuację pola bitwy – dodał na osłodę.

– Niewiele mi to pomoże – westchnął Nandu, który przez ostatnie sześć miesięcy postarzał się więcej niż przez całe życie. – Za utratę większej części armii dostanę tyle ujemnych punktów, że resztę służby spędzę na ciepłej posadce gdzieś na zapomnianym przez Boga i ludzi wulkanie, zarządzając zrzutami lawy do końca moich dni. A zaledwie rok temu miałem najwięcej punktów ze wszystkich liktorów. Byłem pierwszym kandydatem brany pod uwagę na stanowisko Konsula. A teraz, popatrz na mnie, przejdę do historii jako ten, który wszystko spieprzył. Ludzie nawet za sto lat będą mówić: spieprzył to jak Nandu. Albo coś w rodzaju: prędzej Nandu zostanie Konsulem, niż ty złowisz tutaj jakąś rybę – zakończył równie sardonicznie, co smutno mag. – Niedługo przyjdzie mi złożyć raport przed Wielką Radą, aby mogli mnie oficjalnie zdegradować. Potem zapewne stanę przed samym Cesarzem, o ile ten jeszcze w ogóle będzie chciał ze mną rozmawiać. Czasem żałuję, że tam nie zginąłem z moimi ludźmi – dodał po chwili milczenia głosem zupełnie wypranym z emocji. – Od pierwszej przegranej bitwy pod Zatą do ostatecznej klęski pod Darwą minęło zaledwie pięć miesięcy, pojmujesz to? W pięć miesięcy straciłem siedemdziesiąt tysięcy doborowych żołnierzy, w tym dwudziestu jeden magów bojowych. Dlatego o powrocie na Kontynent Wolnych Ludzi możemy zapomnieć.

Gdy to mówił, kolejny okręt podpłynął do rozładunku, spuszczone trap, a żołnierze zaczęli karnie dwójkami schodzić na brzeg. Wyraźnie słychać było tupot wojskowych butów miarowo uderzających o podrygujące lekko deski kei.

– Najgorsze w tym wszystkim jest to, że ja nadal nie wiem, jak oni tego dokonali. Przecież od lat bez większych przeszkód zajmowaliśmy kolejne prowincje. Zdobywaliśmy ten kontynent kawałek po kawałku, w czasie gdy nasi wrogowie wyrwali sobie sami z rąk to, co im jeszcze zostało. Sam dobrze wiesz, że Libertyni byli od zawsze wewnętrznie podzieleni, ciągle walczyli ze sobą nawzajem. Aż tu nagle pod Zatą stają przed nami, nie wiadomo skąd, z trzydziestotysięczną armią i biją się jak nigdy wcześniej.

– Myślę, że to my ich zjednoczyliśmy – przerwał mu przysłuchujący się oficer. – W końcu nic nie łączy ludzi bardziej niż wspólny wróg.

– Tu akurat możesz mieć rację. – Nandu skinął głową. – To nie wyjaśnia jednak tego, co się stało. Podczas swojej kontrofensywy Libertyni zastosowali zupełnie nową taktykę, wykorzystali do tego celu przedziwną broń energetyczną. Jakiś rodzaj spalanej energii zgromadzonej w beczkach. Impuls mocy wysyłany przez to zogniskowane źródło był tak krótkotrwały, że w zasadzie nikt nie powinien być w stanie nad nim zapanować.

– A jednak komuś się to udało – poparł słowa dowódcy oficer.

– Jest jeszcze jedna wielka niewiadoma tej wojny – wtrącił Nandu. – A mianowicie, ich magowie pojawiają się niczym widma nie wiadomo skąd. Jak gdyby wyrastali z podziemi. To dziwne, ale nie byliśmy w stanie ich wyczuć, nawet kiedy znaleźli się w naszym zasięgu detekcji. W ten sposób dezaktywowali magiczną obronę, sabotując działania magów. Przekonałem się na własnej skórze, że w otwartym polu bez silnych źródeł energii zwyczajnie nie damy im rady.

– Sądzisz, że mogliby uderzyć na nas w Oku Świata?

– Tutaj raczej nas nie zaatakują. Centralny kontynent jest zbyt dobrze ufortyfikowany i oni świetnie zdają sobie z tego sprawę. Zbombardowalibyśmy ich z wulkanów i byłoby po walce. Mogliby zapewne zająć kilka portów. Ale za jaką cenę? W walkach o miasta ponieśliby ogromne straty. Nie, to nie miałoby sensu ze strategicznego punktu widzenia. Ponadto, żeby tego dokonać, musieliby tu wysłać całą swoją armię, a jedynie skończony głupiec zrobiłby coś takiego. W końcu mają przecież to, czego chcieli. Pozbyli się nas raz na zawsze. A Cesarstwo po tak spektakularnej porażce nawet za sto lat nie zdecyduje się, by spróbować

ponownie. Wolni Ludzie są po raz pierwszy od początku dziejów naprawdę zjednoczeni, doskonale dowodzeni i mają nową, skuteczną broń, a to, przynajmniej chwilowo, daje im nad nami przewagę. Czasy niepodzielnej władzy Cesarstwa odchodzą właśnie do lamusa. Musimy zacząć myśleć w nowy sposób. Od zawsze traktowaliśmy Libertynów jak nasze pieski, którym wystarczyło rzucić kość, by pozagryzały się o nią nawzajem. Dzisiaj to są wilki, a one potrafią się skradać, są silne i atakują stadem. Nawet Cesarz będzie musiał się z nimi liczyć i traktować ich jak równych sobie. Mieczem już ich do niczego nie zmusimy. Przyszedł czas, by wysłać posłów i ustalić warunki pokoju.

– Sądysz, że Cesarz tak łatwo odpuści? – spytał z rosnącym niedowierzaniem oficer.

– Cesarz nie będzie miał wyjścia. – Nandu rozłożył ręce. – Dalsza wojna na kontynencie nie ma racji bytu. Lepiej się dogadać i zacząć budować pokojowe relacje. Bardziej się nam opłaci handlować z nimi, niż walczyć. I zapewniam cię, że Cesarz doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

Dyskutowali jeszcze długo o wojnie i niepewnej przyszłości, podczas gdy kolejne oddziały schodziły na brzeg.

Synti

Wartość Synti zależy od wielu czynników, głównie od ich wieku, stanu zdrowia, kondycji fizycznej oraz posiadanych umiejętności. Dlatego nie może być na stałe przypisana do niewolnika. – fragment z traktatu dla ekonomów ze zbiorów Biblioteki Narodowej w Tarnau

Kadu prowadził przeszło trzystuosobową grupę Synti przez rozległe tereny kontynentu Rubież. Ich karawana na skutek szczęśliwego zrządzenia losu została odbita z rąk rabusiów, a co dziwniejsze, wyzwolił ich nie kto inny, jak sam cesarski bojowy mag. Była to ostatnia osoba na świecie, od której spodziewaliby się pomocy w odzyskaniu tak upragnionej wolności. Kadu do dziś nie mógł zrozumieć, co się właściwie wtedy stało. Na jego oczach oddział zbójców został rozbity w pył w zaledwie kilka uderzeń serca. Nie mógł tego pojąć, przecież to właśnie Cesarstwo ich zniewoliło, a bojowy mag jest niemalże ucieleśnieniem samej idei Cesarstwa. Za każdym razem, kiedy o tym myślał, dochodził do wniosku, że ta sama siła, co wcześniej ich zniewoliła, pozwoliła im uciec. Masło maślane. Najwidoczniej nie wszystko na świecie da się pojąć rozumem. Ich karawana to zbieranina zupełnie przypadkowych ludzi. Różnych narodowości, wyznań, historii. Część z nich urodziła się w niewoli. Inni natomiast trafili do niej później z takich czy innych powodów, najczęściej z wyroków sądów lub za długi. Była też spora grupa Libertynów z Wolnych Ziem, których Cesarstwo zniewoliło w czasie wielkiej wojny. Kiedy pozostawiono ich samych sobie bez żadnej eskorty, musieli zdecydować, co chcą robić dalej, a to samo w sobie stanowiło pewien ekwiwalent wolności. Przypadek sprawił, że razem z ich karawaną podróżowało zaopatrzenie dla kopalń diamentów. Mieli więc ze sobą wszystko, czego potrzeba świeżym osadnikom do założenia kolonii. W dzień wyzwolenia Synti, po burzliwej co prawda naradzie, postanowili w dalszym ciągu trzymać się razem, a Kadu stał się ich nieformalnym przywódcą.

Najtrudniejsza dla nowej wspólnoty okazała się decyzja, gdzie mają szukać schronienia. Rozważali różne możliwości, ale istniało mało sensownych miejsc do wyboru. W grę wchodziły wysokie góry, jednak tam życie byłoby dla nich bardzo trudne ze względu na surowy klimat. Na północnym zachodzie kontynentu znajdowała się Równina Kamieni, za nią zaś rozciągała się Kraina Wielkich Jezior, to ponoć bezludny i przyjazny dla osadników teren. Niestety, nikt z ich grupy nigdy tam nie był, co stanowiło nie lada problem. Bez przewodnika na nieznanym terenie mogli łatwo wpaść w zasadzkę. Ostatnią zaproponowaną lokalizacją były bezludne oazy na przedsiönku Wielkiej Pustyni i właśnie tam postanowili się udać. Była to zarazem propozycja samego Kadu, który całym sercem wierzył w to, że właśnie tam będą bezpieczni. Kadu jako jedyny w ich grupie świetnie poznał ten rejon świata. Nic więc dziwnego, że to z jego opinią liczone się najbardziej. Traf chciał, że osiem lat wcześniej służył jako tragarz w ekspedycji prowadzonej przez naukowca z uniwersytetu w Tamir, który w owym czasie zajmował się badaniami fauny i flory Wielkiej Pustyni. Dostał on wówczas spory grant z uczelni. Dzięki temu zorganizował poważną ekspedycję badawczą mającą na celu zbadanie dwóch znanych ludzkości oaz tętniących zielenią na skraju nieprzebytej pustki. W taki sposób zwykły niewolnik dowiedział się czegoś, co było wiadome zaledwie garstce ludzi na świecie, a mianowicie, że na Wielkiej Pustyni da się normalnie żyć, i to w zupełnym odizolowaniu od reszty świata. Dwie oazy nazywane czasem Łzami Boga były bowiem całkowicie bezludne. Nikt tam nie zaglądał, z wyjątkiem ludzi nauki – jedynie ci, jak wiadomo, mają w zwyczaju łaźić tam, gdzie nikt inny się nie wybiera. Kiedy wreszcie podjęli decyzję, gdzie ostatecznie zamierzają się osiedlić, sprawy szybko nabrały tempa. Karawana ruszyła bezzwłocznie na północny zachód. Podczas pierwszych kilku dni marszu przemierzali gęsto zaludnione tereny wokół miasta Naldis, dlatego by przekraść się niezauważenie, podróżowali jedynie nocami. W dzień zaś odpoczywali, kryjąc się po lasach. W ich grupie nie brakowało żołnierzy pojmanych do niewoli podczas wielkiej wojny. To oni przejęli broń i konie zdobyte na zbirach Elona. Dzięki nim mogli sami bronić się przed ewentualnym atakiem. Na szczęście w zamieszaniu, jakie

wciąż trwało na kontynencie, mało kto zwracał na nich uwagę. W czasie wędrówki obeszlili Wielki Las od strony zachodniej. Poruszali się wolno, ciągnąc ze sobą liczne wozy i zwierzęta, tak by po kilku tygodniach marszu dotrzeć szczęśliwie do gór OstSa. Tam nareszcie mogli nieco odetchnąć, bez obaw, że zostaną wykryci, ponieważ ziemie na północ od Wielkiego Lasu były słabo zaludnione. Nocą obeszlili Kenir od strony północnej i przeprawili się w bród przez Rzekę Alabastrową. W ten sposób zostawili za sobą ostatnie cesarskie miasto na swojej drodze. Następnie karawana skierowała się na wschód, trasą prowadzącą w stronę Skalnej Przełęczy, jedynej w swoim rodzaju bramy do najbardziej niegościnniej krainy znanej człowiekowi. Stanowiło to kolejny ważny punkt zwrotny podczas ich długiej wędrówki. Zdecydowana większość uciekinierów nigdy w życiu nie widziała pustyni na oczy, szczególnie mieszkańców z nadmorskich krain ten widok nappełniał trwogą. Wszędzie wokół skrzypiała pod stopami skalista, wymarła ziemia, pokryta oceanem kamieni aż po horyzont. Nic więc dziwnego, że dopiero po długich namowach Synti postanowili zaufać Kadu i wejść na wypalone słońcem obszary. Strach przed pojmaniem okazał się silniejszy od lęku przed palącym żarem lejącym się z nieba. Ruszyli dalej, podbudowani dotychczasowymi sukcesami. Droga przez nicość okazała się niezwykle wymagająca, a jeden dzień marszu przez pustynię dał im się mocniej we znaki niż tydzień wędrówki w krainie zieleni. Za to cały trud odszedł w zapomnienie, gdy na horyzoncie ukazała im się długo wyczekiwana kraina, znana pod nazwą Oazy Życia. To miejsce dosłownie tętniło życiodajną energią niczym zielony kaboszon umieszczony w skalnej oprawie, piękna, żyzna, pełna tropikalnych drzew i roślin jadalnych. Synti powitali ją spontanicznymi okrzykami radości, to wszystko działało się naprawdę. Udało im się!

Niektórzy, dając upust euforii, klepali Kadu po ramieniu, chwalili go za świetny wybór. Ta ziemia z pewnością wyżywi ich i zwierzęta. To jednak nie był jeszcze koniec wędrówki. Gdy dotarli do pierwszej oazy, Kadu oznajmił im, że muszą iść dalej na północ. Wolał być pewien, że nikt ich tu nigdy nie odnajdzie. Dlatego pomimo sprzeciwu ze strony najbardziej zmęczonych jeszcze następnego ranka ruszyli w dalszą drogę. Kadu obiecał im, że kolejna

oaza będzie znacznie większa i lepiej ukryta pośrodku pustyni. Znajdowała się o kolejny dzień drogi na północ stąd. Badacze nazywali ją Oazą Łaski. Na pustyni wbrew ich wcześniejszym przypuszczeniom tliło się nikle życie. Tu i ówdzie rosły wielkie kaktusy, przypominające ludzi z wyciągniętymi ku górze ramionami, a przy większych skałach dało się znaleźć gąbczaste porosty. Widywali też zwierzęta, takie jak jaszczurki, skorpiony czy węże. Oaza Łaski nie była z tego świata, przypominała tropikalną wyspę zieleni na oceanie kamieni. W jej środku skrzyło się błękitne jezioro. Początkowo Synti pytali, czy nie zabraknie im wody do picia, chcieli przecież uprawiać ziemię i hodować zwierzęta. Wtedy Kadu powiedział im to, co przed laty przekazał mu badacz, a mianowicie, że ta oaza powstała z wielkiego wysadu solnego. Mówiąc prościej, pod ziemią była kiedyś gruba warstwa utworzona z krystalicznej soli. Z czasem podziemna woda wypłukała sól, a następnie wypełniła powstałą w ten sposób kawernę, tworząc w jej miejscu bezdenne jezioro. Naukowiec miał zamiar zmierzyć jego głębokość. W tym celu spuścił do wody linę o długości stu kroków, z kamiennym odważnikiem przywiązany na jednym jej końcu. Okazało się wówczas, że nawet nieopodal brzegu lina wisiała luźno w wodzie, a kamień wciąż nie trafiał na dno, dlatego Kadu nie obawiał się, że zabraknie im wody, mogli z niej korzystać do woli. Należało jedynie uważać, by się nie utopić. Jeziorko przy brzegu było zdradliwie płytkie, lecz odrobinę dalej stawało się od razu bezdenne. Z góry widać było, jak woda z jasnoniebieskiej przy brzegu przechodzi nagle w ciemny granat. Ta oaza miała jeszcze jedną zaletę. W południowej części skalisty brzeg podnosił się na jakieś dwanaście kroków ponad poziom lustra wody. Wypiętrzał się niczym skalna ściana wydrenowana licznymi jaskiniami o głębokości zaledwie kilkunastu kroków. Groty wprost idealnie nadawały się do zamieszkania, stając się naturalnym załóżkiem nowej osady. To właśnie tu Kadu i jego ludzie będą się mogli wygodnie urządzić, pozostając zupełnie niewidoczni dla nieproszonych gości.

Segal

Najlepszy wróg to martwy wróg, a najlepszy przyjaciel to twój przyjaciel. – powiedzenie ludowe

Wielki Kapłan Boga Słońca przechadzał się niespiesznie po kwitnącym o tej porze roku ogrodzie pałacowym w Segal.

„To jest to. Prawdziwa władza, realna potęga, wszyscy ci ludzie padają u moich stóp. A jednak, braciszku, nie pozbyłeś się mnie, tak jak zaplanowałeś, i to był twój wielki błąd” – myślał sobie w skrytości ducha.

Gdy wyciągnął na bok rękę z dopiero co opróżnionym pucharem, natychmiast podbiegła do niego młoda, skąpo odziana dziewczyna, by dolać mu świeżego wina z dzbana. Tłusty Kapłan energicznie klepnął ją w pośladek. Służąca podskoczyła zaskoczona, zanim spłoszona wróciła do orszaku służby, jaki samozwańczy władca Segal miał w zwyczaju wszędzie prowadzić za sobą. Służący jak co dzień kroczyli w jego cieniu po całym ogrodzie, niosąc na szerokich tacach i, zdawało się, w bezdennych koszykach wszystko to, czego tylko mógłby sobie życzyć. Kapłan wypił tęgi łyk wina, zanim ruszył niespiesznie przed siebie, na powrót pograżając się w rozmyślaniach.

„Doprowadziłeś kraj do ruiny, bracie. Dałeś się pobić Libertynom, tym nędznym ignorantom, którzy jeszcze nie tak dawno leżeli na kolanach u twych stóp. Ale dobrze się stało, niech wszyscy zobaczą, jakiego mają słabego Cesarza” – kontynuował swój wewnętrzny monolog.

Automatycznie stawiał kolejne kroki zatopiony w rozmyślaniach, a z jego pełnej jak księżyc twarzy nie schodził obleśny uśmiezek.

„Tak, tak, już niedługo. Dzisiaj Segal, jutro Meana, a potem cały świat”.

I gdyby nie to, że spoglądał w świetlaną przeszłość, tak jasną, że przysłoniła mu cały świat, z pewnością wcześniej dostrzegłby dwa żółwie okręty, które wyłoniły się z gęstych chmur na niebie i zaczęły szybko

podchodzić do lądowania. Statki powietrzne miały długość stu i szerokość czterdziestu kroków. Były więc olbrzymami w porównaniu z ich tradycyjnymi odpowiednikami. Na dziobie okrętu zamontowano prostokątną rampę rozładowniczą, za to ponad owalnym pokładem wyrzyszała się łagodnym łukiem czasza ogromnego balonu, do złudzenia przypominającego żółwią skorupę. Drewniano-stalowy kadłub znaczyły okrągłe szklane bulaje, rozmieszczone w równych odstępach od siebie. Okręt miał jakby cztery „łapy” opadające w dół pod kątem trzydziestu stopni, na nich zamontowano stalowe wirniki skierowane pionowo do góry. Najwidoczniej sam balon nie wystarczył, by unieść w powietrze tak ciężką maszynę, a już na pewno nie z ładunkiem. Wirniki znajdowały się również na rufie, co nadawało okrętowi niezbędne przyspieszenie. Pod pokładem zawieszono opuszczaną gondolę, do tego w jej wnętrzu na obrotowej platformie osadzono działo teleskopowe. Drugie takie samo działo znajdowało się na pomoście strzeleckim, tuż nad rampą dziobową.

Po ziemi przemknął szeroki cień, na jego widok Wielki Kapłan stanął jak wryty. Spojrzał w górę i momentalnie uśmiech odkleił się mu od twarzy, zastąpiony dla odmiany zwierzęcym strachem. Jeden z okrętów podchodził do lądowania dokładnie na wprost niego.

„Idą kłopoty” – pomyślał, kuląc się w sobie.

Choć prawdę mówiąc, akurat tego dnia kłopoty spadały z nieba. Kapłan stanął jak sopel lodu, gdy powietrzny potwór lądował na trawie naprzeciw niego, traktując przy tym jak leci wszystkie drzewka ozdobne oraz klomby z kwiatami. Ludzie zgromadzeni wokół pałacu widzieli, jak wirniki zwalniają obroty i jak opada rampa rozładownicza. Na jej końcu Kapłan dostrzegł znajomą postać. Był to potężny, zdeformowany, przypominający człowieka stwór. Jego całe ciało pokryte było długimi igłami, luźne kolce oplatały go niczym naturalna kolczuga. Stwór zszedł po rampie pewnym, sprężystym krokiem i skierował się, jakże by inaczej, prosto w jego stronę. Za nim ze statku desantowała się cała hałastra rozmaitych dziwolągów. Piraci byli uzbrojeni po zęby głównie w berdysze i młoty bojowe, a ta ewidentnie ciężka broń w ich ogromnych rękach wyglądała jak dziecięce zabawki. Z pokładu zeszło prawie pół setki mutantów, wkrótce ich zdeformowane sylwetki

wypełniły całą dostępną przestrzeń, gdy jak mrówki rozpełzli się po całym ogrodzie. Postać spowita igłami szła nieubłagane w stronę Kapłana, każdy jej krok poprzedzał charakterystyczny grzechot. Odgłos ten przypominał stukot wielu blaszanych patyczków uderzanych rytmicznie o siebie. Już sam ten dźwięk przyprawiał Kapłana o obłęd i powodował, że zimne ciarki przechodziły mu po plecach. Władca Segal spojrzał w oczy bezlitosnego przeznaczenia i dostrzegł w nich wyłącznie gniew. Kolana same się pod nim ugięły, przytłoczone aurą niechęci, jaką emanował stwór.

„On wie” – pomyślał Kapłan trwożliwie.

Jego ociężały ze strachu umysł jak dotąd nie odnalazł żadnych sensownych sposobów na wyjście z tej pożałowania godnej sytuacji. Ostatnimi resztkami siły woli uniósł przed siebie ręce, by choć zasłonić twarz przed ciosem.

– Nie, wielki Dao, nie bij! – zawył błagalnie Kapłan, zamykając oczy.

Zaciśnięta pięść zatrzymała się w odległości płytkiego oddechu od twarzy Kapłana. Dao sapał ciężko i widać było, że z trudem powstrzymał się przed wybuchem. W końcu mutant cofnął rękę, zrobił to jednak z wahaniem, jakby postępował wbrew sobie. Dao wiedział, że poczwarki szybko się psuły, kiedy je bił, i to najczęściej tak, że nie dało się ich potem naprawić. A ta konkretna poczwarka wciąż była mu potrzebna żywa.

Kapłan stwierdził z ulgą, że jego manifestacja uległości przyniosła pozytywny skutek, dlatego upadł na twarz przed jeżołakiem i zaczął skomleć o litość. W tym czasie pozostali piraci otoczyli ich ciasnym kręgiem i przyglądali się zajściu z uwagą.

– Ty mała, tłusta, tępą, śmierdząca poczwarko. – Dao cedził każde słowo przez zaciśnięte zęby, a jego niski, chrapliwy głos rozchodził się basowo wokół niczym pomruk niedźwiedzia wybudzonego z zimowego snu. – Wstań, poczwarko, zanim cię wdepczę w ziemię.

Kapłan podniósł się niepewnie, zakołysał przy tym tułowiem jak wąż wezwany przez zaklinacza.

– Coś ty najlepszego zrobił, tępaku? – bardziej stwierdził, niż zapytał Dao.

– Ja przepraszam, to miało wyglądać inaczej, ja nie chciałem, nie bij mnie, proszę.

Kapłan zasypał mutantą nieprzebraną siecią wymówek, jakby liczył na to, że zagadana w ten sposób bestia stanie się mniej bezwzględna.

– Jesteś najbardziej krnąbrną poczwarką, jaką sobie wyhodowałem – odparł Dao głosem nieznoszącym sprzeciwu. – Zignorowałeś moje bardzo wyraźne rozkazy.

Zaciśnięte pięści drgnęły, gdy to mówił, co nie umknęło uwadze osaczanego Kapłana.

– Ja wszystko wyjaśnię, to nie tak, że je zignorowałem. Po prostu pojawiła się niesamowita szansa i chciałem ją wykorzystać dla naszej sprawy, niedługo miałem ruszyć...

– Szansa! – przerwał mu Dao w uniesieniu, ochlapując adwersarza śliną. – Ty tępaku, zmarnowałeś wspaniałą szansę, i to niejedną. Jeśli dobrze pamiętam, kazałem ci zająć wszystkie ziemie na północ od Segal. Czy ci tego wyraźnie nie tłumaczyłem?

– Tak, o Pierwszy z Równych – odparł Kapłan, czerwieniąc się na twarzy niczym rozziewiczony burak. Domyślał się przecież, dokąd zmierzają myśli tamtego, i nie podobał się mu ten kierunek.

– A czy ty posłuchałeś mojego rozkazu i zrobiłeś to, co ci wyraźnie kazałem? Pytam cię! – zagrzmiał Dao. – Odpowiadaj, czy zająłeś Oser i Tendar, dopóki trwały tam zamieszki i byli zupełnie bezbronni?

– Chodzi o to, że... – zaczął się nieskładnie tłumaczyć, lecz cierpliwość Dao była na wyczerpaniu.

– Coś ty powiedział? – Olbrzym chwycił go masywną dłonią za gardło. – Czy ja mam ci zacząć ucinać uszy, byś poprawnie odpowiadał na moje pytania?

– Nie, Saru! Ja odpowiem – wycharczał, z trudem łapiąc powietrze.

Dłoń uwolniła jego szyję, co przynajmniej na moment odwlekło widmo śmierci.

– To dlaczego, jak zadaję ci proste pytanie, ty zaczynasz gadać zupełnie nie na temat?

Odpowiedziało mu milczenie. Dao nie wytrzymał wreszcie.

– Nóż! – zawołał, chciwie wyciągnął prawą rękę na bok.

Wtedy jeden z przybocznych, jakby właśnie na to czekał, podał mu do ręki ostre jak brzytwa wąskie ostrze.

– Nie, błagam, ja odpowiem! – darł się wniebogłosy Kapłan, zasłaniając jednocześnie uszy dłońmi.

– W takim razie zapytam cię po raz ostatni. Czy zająłeś Oser i Tendar?

– Nie, Saru.

– A czy kazałem ci je zająć?

– Tak, Saru.

– To dlaczego, do jasnej cholery, ty wysłałeś całą armię do portu Meana?

– Bo, bo, bo... – zapowietrzył się zupełnie.

– Bo jesteś tępym gównojadem, a zaraz zostaniesz w dodatku bezjajecznym kutasem.

Dao najwyraźniej stracił swoją i tak bardzo nadwątloną cierpliwość, bo ruszył z obnażonym nożem w stronę Kapłana. Ten ponownie padł na ziemię, jakby kończyny odmówiły mu posłuszeństwa.

– Brać go! – zawołał mutant. – Zapłacisz mi, ty tępym matole, za wszystko mi zapłacisz. Tysiąc ludzi straciłeś, artefakt straciłeś!

– Ja nie chciałem! – zawył potępieńczo Kapłan, gdy dwójka piratów podnosiła go za ręce. Ich swobodna postawa świadczyła o tym, że nie sprawiało im to żadnego wysiłku. – Błagam, nie! Cesarz uderzył na mnie z całą swoją potęgą, jakoś się dowiedział o spisku...

– Gacie w dół! – zawarczał Dao i jednocześnie machnął pojmanemu nożem przed twarzą.

Wtedy ktoś podszedł do Kapłana od tyłu i jednym mocnym szarpnięciem pozbawił go spodni. Ten wisiał na wpół nagi, trzymany w stalowych łapach piratów, machał niezbornie krótkimi nóżkami, czym zresztą wywoływał głośnie salwy śmiechu w szeregach Wyniesionych.

– No i gdzie on jest? – zapytał szczerze zdziwiony Dao.

– Kto, Saru?

– No ten twój kutas, jesteś taki tłusty, że nie mogę go nigdzie znaleźć.

– Błagam, zrobię wszystko, co zechcesz, błagam, nie rób tego – zaryczał, zalewając się rzewnymi łzami, jednak cała ta polegliwość na niewiele się

zdała, na skruchę było za późno, a i jego los został przypieczętowany dawno temu.

– Chcesz wiedzieć, co ja o tym wszystkim myślę? – powiedział pozornie pojednawczo Dao. – Tobie się wydaje, że aby rządzić światem, trzeba mieć w żyłach szlachecką krew, prawda? – Spojrzał na Kapłana z obrzydzeniem, jednocześnie poklepał go płazem noża po policzku. – Ale uwierz mi na słowo, że od dzisiaj nie będziesz rządził nawet we własnych majtkach, ponieważ jesteś największym imbecylem, jakiego nosi ta ziemia. Zrujnowałeś cały mój plan jednym głupim posunięciem za drugim. I wiesz co? Popatrz mi prosto w oczy.

Kapłan spełnił to polecenie i podniósł niepewnie wzrok.

– Ty dalej nie wiesz, co zrobiłeś źle, prawda? Nie masz żadnego pojęcia, co?

Dao dostrzegł w oczach Kapłana, że trafił w samo sedno. Ta tępa, nalana twarz nieskażona była inteligencją. Owa świadomość sprawiła, że spojrzał na pojmanego z niejakim politowaniem.

– Więc pozwól, że wyłuszcze ci to w najprostszy możliwy sposób. Po pierwsze, oficjalnie wypowiedziałeś posłuszeństwo bratu, mimo że wyraźnie ci tego zabroniłem. Miałeś udawać, że jesteś lojalnym sługą Cesarza i po prostu ignorować niewygodne dla nas rozkazy. Zachowywać pozory! Po drugie, kazałem ci zająć Oser i Tendar pod przykrywką tłumienia rebelii. A ty zamiast tego wysłałeś całą armię na Meana! Pokazałeś Cesarzowi, że chcesz go odciąć od terytoriów zewnętrznych! A on na to nie może sobie pozwolić. Teraz po tym wszystkim zapewne każe wzmocnić port, o ile już tego nie zrobił. To jedynie kwestia czasu, kiedy wyśle do Rubieży korpus ekspedycyjny, a takimi siłami z pewnością dowodził będzie bojowy mag. W końcu, po trzecie, straciłeś artefakt na rzecz Cesarza, dając mu do ręki potężne narzędzie. Dzięki niemu będzie w stanie wykryć mój spisek na dworze. A to znowu zmusza mnie do drastycznej zmiany planów. Nawet nie wiesz, tępaku, jak przysłużyłeś się swojemu bratu, którego swoją drogą tak strasznie nienawidzisz. Można śmiało powiedzieć, że swoją nieposkromioną głupotą uratowałeś mu właśnie życie.

Podczas całej tej przemowy Kapłan nieprzerwanie płakał i bezmyślnie wbijał wzrok w ziemię. Dao natomiast bacznie mu się przyglądał. Wiedział, że jego zaufani żołnierze uważnie śledzą bieg wydarzeń. Byli ciekawi, w jaki sposób Dao rozprawi się ze zdrajcą, bo czym innym, jeśli nie zdradą, jest ignorowanie jego rozkazów?

– Wciąż jesteś mi potrzebny żywy – odezwał się po chwili namysłu. – Ale za to, co uczyniłeś, musisz ponieść karę. Dlatego w swej wielkiej łasce każę ci jedynie zeżreć własnego kutasa.

Mutant jednym stalowym ruchem chwycił Kapłana za przyrodzenie. Ból był przy tym tak silny, że zaskoczonej ofierze aż oczy wyszły z orbit.

– Nie, błag...!

Ostrze noża z łatwością przeszło przez miękką tkankę i ucięło coś więcej niż tylko rozpaczliwą wypowiedź Kapłana

– Aaaaaa!

Zwierzęcy krzyk, jaki wydobył się z jego ust, poniósł się zwielnokrotnionym echem po całym ogrodzie. Świeży kastrat zawodził z taką mocą, że Dao w pierwszym odruchu chciał mu zapchać usta tym, co akurat trzymał w dłoni. Powstrzymał się dosłownie w ostatniej chwili i to wyłącznie nadludzką siłą woli. Dao uśmiechnął się złowrogo do swojej ofiary, czym wyraźnie dał do zrozumienia, że lekcja jeszcze nie dobiegła końca. Kazał puścić Kapłana. Ten upadł na trawę, gdzie zwinął się z bólu jak pałak. Wił się niezdolnie niczym glista wyciągnięta z ziemi, a przy tym trzymał się mocno za krocze obiema rękami. Zgromadzeni wokół piraci przyglądali się z rozbawieniem, jak coraz rzadsza szlachecka krew przelewa mu się przez palce. Także służba pałacowa stała z boku, skąd z zapartym tchem oglądała całe zajście. W ich umysłach strach przed mutantami mieszał się na równi z radością, jaką sprawiał im widok upokorzonego tyrana, obserwowali upadek człowieka, który niewiele lepiej traktował przecież ich samych. Dao niedbałym ruchem rzucił ociekające krwią genitalia na tacę z przekąskami, trzymaną w trzęsącej się dłoni przez równie młodą, co atrakcyjną służącą. Mutant podszedł do niej i powiedział zadziwiająco uprzejmym tonem:

– Zanieś to do kuchni, poczwarko, i każ przyrządzić kucharzowi na grillu. Jakie Kapłan lubi mięso? – spytał wystraszoną dziewczynę.

– Średnio wysmażone – odpowiedziała drżącym od emocji głosem.

– Doskonale! – odparł z radością Dao. – Powiedz mu w takim razie, że ma być średnio wysmażone, i niech je poda z sosem do wieprzowiny. Jestem pewien, że doskonale będzie pasował.

Dziewczyna skłoniła się nisko, po czym ruszyła biegiem prosto do kuchni.

Lepszy zły posłaniec z dobrymi wieściami, niż gdyby miało być na odwrót. – Łombat z Tarnau, fragment z pamiętnika

Koniec tomu pierwszego

W świecie kontrolowanym przez wulkaniczne twierdze, ze wszech stron otoczonym pustynią, której nie da się przekroczyć nawet na pokładzie łodzi latających na semipowietrze, Wieczne Imperium podbija nowe krainy w drodze ku dominacji. Daleko na północnej rubieży, na kontynencie zewnętrznym, w ukrytym pośród ośnieżonych turni klasztorze, bojowy mag Nidro kończy swoje szkolenie i na skutek dziwnego zrzędzenia losu wyrusza w samotną podróż do stolicy cesarstwa, Tarnau, aby zgodnie ze zwyczajem terminować w armii. Po drodze jednak nie wszystko układa się po jego myśli. Nidro zostaje wciągnięty w wir nieprzewidzianych wydarzeń, które postawią cały jego plan na głowie i zamienią uporządkowaną podróż w fascynującą przygodę. Wszystko wskazuje na to, że nadchodzą nowe czasy, kiedy to zarówno Cesarstwo, jak i cała ludzkość stanie w obliczu poważnych przemian społecznych i polityczno-militarnych. „Posłaniec” to opowieść pełna humoru, nieoczekiwanych zwrotów akcji, epokowych odkryć, niebanalnej przyjaźni oraz bezwzględnej walki na śmierć i życie. Świat nigdy już nie będzie taki jak przedtem, to pewne, ale co wywoła dziejową burzę, ma się dopiero okazać.